

TADEUSZ KOSTECKI

Wilk

TOM I

WILK

I

MILA DWIEŚCIE DZIEWIĘCDZIESIĄTA

Prószło jak wszyscy diabli. Wielkie płaty mokrego śniegu wirowały, wprawiane w ruch wściekłymi porywami wiatru. Biała, niemal nieprzenikniona zasłona chybotą nad lokomotywą, skrywając linię szyn. Na szybach narastała pokrywa śnieżna.

Tim Spaney zagryzł wargi. - Do diabła z taką trasą. Kauczukowe ramię wycieraczki zarysowało na przedniej szybie przezroczyste półkole. I tak niewiele pomogło. Jechali raczej na słowo honoru. A na tym odcinku jazda po omacku? Bagatela. Zbliżali się do mili dwieście dziewięćdziesiątej. Najpaskudniejszy kawałek w całej Alasce. Ostry zakręt, spróchniałe podkłady i szyny umocowane na słowo honoru. Nacisnął dźwignię. Nie da rady - trzeba zwolnić. Naturalnie w raporcie opiszą każdą minutę spóźnienia. I płac człowieku karę, jakbyś był milionerem. Zamieć nie zamieć - nie będą dyskutować. Rozkład dla nich rzecz święta.

W ogóle cały kurs był pechowy. Choćby ten typ sterczący za plecami. Gdy go zobaczył w Curry, zaproponował z miejsca: - może wam pożyczyć dziesięć centów na żyłkę? - - Bo obrośnięty jak małpa. Żeby się choć uśmiechnął. Gdzie tam. Mruknął ni to, ni owo i podetknął kartkę dyspozytora. Lokomotywa numer taki i taki, maszynista Timotheus Spaney. Że niby wyznaczili go na pomocnika. A no cóż, wyznaczili, to wyznaczili. Zresztą, skoro Jim gdzieś się zawieruszył, musieli dać kogoś na jego miejsce. Ale takiego pomocnika świat chyba nie widział. Gęby jegomość nie raczy otworzyć. A gdy go już do muru przycisnąć, to skrzeknie byle co. Ładna przyjemność spędzić z takim mrukiem kilkanaście godzin w ciasnej budce lokomotywy. I ta pieska pogoda na dodatek.

Wytrzeszczył oczy, usiłując przebić wirującą ścianę śnieżnej zamieci. Tak, trzeba jeszcze przyduścić szybkość. Coraz bliżej dwieście dziewięćdziesiątej. Lepiej nie żartować. Dwa miesiące temu cały skład spadł z nasypu. Kilkadziesiąt ofiar. Właśnie w tym miejscu.

Znowu poruszył wycieraczką. Tu trzeba było przepatrzyć każdy metr drogi. Wyteżył wzrok, badając z uwagą linię szyn lśniąca mdłą poświatą wilgotnej stali. Z prawej strony poprzez śnieżną zasłonę czerniała nieprzenikniona, niemal szczelna ściana niebotycznych jodeł. Z lewej, z odległości zaledwie kilkudziesięciu kroków od nasypu kolejowego, także las. Zupełnie jakby jechali głębokim wąwozem.

Jeszcze nie przebrzmiał przenikliwy dźwięk gwizdu, gdy do świadomości Tima dotarło chrapliwe brzmienie głosu.

W pierwszej chwili nie zrozumiał znaczenia wpadających do uszu słów. Zdumiał go jednak już sam fakt odezwania się milczącego dotychczas pomocnika.

- No - pomyślał, odwracając leniwie głowę - patrzcie no, imć pan milczek gada?!

Spojrzał i zdrętwiał. Więcej nawet ze zdziwienia wywołanego nieoczekiwanym widokiem niż z przerażenia. Raczej mógł oczekiwać, że wierzchołek Mc Kinleya runie mu całym ciężarem na głowę, niż zobaczy podobne zjawisko.

W osmolonej ręce pomocnika tkwił wielkokalibrowy rewolwer. Zaś otwór jego lufy wisiał gdzieś na wysokości serca Tima.

Wytrzeszczył oczy, niezdolny do wyduszenia z zaciśniętej przemrożonym skurczem krtani ani jednego słowa. Miał wrażenie jakby z tajemniczej głębi lufy szczyrzyła złowrogie zęby śmierć.

Poczuł nieprzyjemny chłodek, przebiegający wzdłuż krzyża. Spojrzał z niepokojem na zarośniętą twarz pomocnika. Nic jednak nie zdołał z niej wyczytać. Wyglądała jak zawsze. Ale któż mógł wiedzieć, co się kryło za zasłoną gęstej szczeciny?

Co to miało znaczyć? Nagle w jego mózgu błysnęła alarmująca myśl - czyżby zwariował? U takiego melancholika wszystko możliwe. Zrobiło mu się całkiem zimno. Ładna historia! Siedzieć w tym stalowym, zamkniętym ze wszystkich stron, pudełku od sardynek z wariatem uzbrojonym na dobitek w rewolwer? Zerknął odruchowo ku drzwiom. Nie, o ucieczce nie było mowy. Lufa rewolweru odcinała wszelkie drogi odwrotu. Zresztą, zostawić pociąg wiozący kilkaset istnień ludzkich na łasce wariata? Skazywać ich wszystkich na pewną zagładę? Zawstydził się pierwszego odruchu. Raczej zginie, aniżeli to. Trzeba szukać innego wyjścia. Może go zdoła jakoś zmitygować. Przelknął ślinę zwilżając zeschłe gardło.

- Jeżeli to ma być kawał - zaczął, próbując z całym wysiłkiem opanować drżenie głosu. Nie bardzo się jednak udało. Słowa wypadały poszarpanymi strzępkami - to...

- Milcz! - przeciął ostro tamten ani pary z gęby i w tył zwrot! Tim zamrugał powiekami. Rozkaz brzmiał zupełnie stanowczo.

Nie, to nie wyglądało ani trochę na bredzenie wariata, raczej...

Zamarł w niepewności: co robić? Rewolwer miał całkiem przekonującą wymowę. Ale z drugiej strony pociąg... Tim widział już w życiu niejedno. I właściwie o co tamtemu chodzi? - mózg pracował gorączkowo, usiłując bezskutecznie wywołać jakiś sens z całej tej niesamowitej historii.

- No? - W ukrytych pośród gąszczy zarostu źrenicach zamigotały zielonkawe płomyki. Oparty na cynglu palec wyraźnie drgnął.

Ostry, nabrzmiały groźbą dźwięk głosu wyrwał wreszcie Tima z osłupienia. Tu nie było nad czym rozmyślać. Zaczął już kombinować z kim ma do czynienia. Dla takiego posłać komuś ołowiany poczęstunek znaczyło na pewno mniej, niż dla innego kichnięcie.

Ocieżałym ruchem podniósł ramiona w górę nie spuszczać wzroku z zasmolonego palca, trzymającego jego życie na ostrzu sprężynki. Sam przecież miał nie od dzisiaj pukawkę i dobrze wiedział, jak łatwo wprowadzić w ruch iglicę. A potem... Łatwo komuś gadać o opanowaniu.

Niebezpieczne płomienie w szarych źrenicach zgasły. Drzenie palca zniknęło. Pomimo zarostu Tim zauważył, jak z twarzy rzekomego pomocnika ustąpił wyraz napiętej czujności.

- Dobra. Teraz w tył zwrot! - Głos brzmiał jakimś drewnianym chropowatym dźwiękiem.

- Na pewno zmienia go umyślnie - skonstatował ospale Tim, odwracając się twarzą do bocznego okienka. Nie myślał już więcej o jakimkolwiek oporze. Nie przegadasz rewolweru.

W Seward czeka nań żona i dwoje drobnych dzieci. Nie wyżyją przecież z pięćdziesięciodolarowej emeryturki. A większej jeszcze nie wysłużył. Zresztą i tak nic nie potrafi zaradzić, po co więc ostrzyć zęby na gryzienie piasku?

Poczuł lekkie dotknięcie w okolicy tylnej kieszeni skórzanych spodni. Tamten dobrze wiedział, gdzie szukać. Nie od dziś szedł pewnie swoją ścieżką. Zręczne palce wysunęły delikatnie browning Tima. Ten ani drgnął. Wielkie rzeczy, pukawka. Niecałe pięć dolarów. Kupi drugi i następnym razem będzie trzymał bliżej pod palcami. Nie puści nauczki mimo nosa... ba, drugim razem, ale w tym sęk, czy dożyje tego drugiego razu? Któż zdoła rozgryźć, co tkwi w głowie takiego typu. Ale nadzieja zaczęła sączyć się cieniutką strużką poprzez serce - może dożyje... Gdyby miał zamiar zastrzelić, nie zabierałby chyba rewolweru. - W każdym razie nie dam mu powodu do pociągnięcia za cyngiel! - postanowił solennie.

Tymczasem nieznajomy ujął zdecydowanie rączkę dźwigni i powoli nacisnął ku dołowi. Znowu przenikliwy gwizd ulatującej pary przeciął powietrze. Białe obłoki gęsto zasnuły oczyszczoną ze śniegu powierzchnię szyb. Stukot kół zaczął powoli zamierać. Jeszcze kilkadziesiąt sekund i pociąg zastygł w bezruchu.

Aha - Tim stłumił westchnienie więc o to chodziło? Taki pech. Żeby akurat na niego musiała trafić taka paskudna historia. Po przeszło dziesięciu latach nienagannej służby! Kto wie, czy nie będą podejrzewać o zмовę?... Wszystko możliwe.

Wlepił oczy w okienko. Poprzez przerzedzane ostrymi porywami wiatru kłęby pary ujrzał, jak spomiędzy gęstwiny wybiegło kilkanaście postaci z rewolwerami w rękach. - Tak - skonstatował markotniejąc - wszystko przygotowane jak należy. Pomimo zawiei, dojrzał na twarzach biegnących czarne chustki. Czyżby banda Wilka? Mocno coś na nią wyglądało.

Gdzieś poza tendrem mignął ognik i zaraz potem głuchy odgłos strzału przeniknął poprzez szybę. Drugi... trzeci... Teraz już trzeszczały gęstą kanonadą. W ambulansie pocztowym wieźli całkiem solidną przesyłkę dla oddziału Banku Federacyjnego w Fairbanks i dostali odpowiednią ochronę. - Bandyty mogą sobie zęby połamać na tym kęsku - pomyślał ze złośliwym zadowoleniem.

Biegnący zapadli w zaspy śniegu. Nie pokazywali ani końca nosa. Gdzie tam takich trafić. Zupełnie stracił ich z oczu. Gdyby nie błyski ognia migocące tu i ówdzie, można by pomyśleć, że uciekli z powrotem do lasu. - Hm - obserwował z napięciem strzelaninę - czyżby mieli zamiar przeprowadzić prawidłowe oblężenie pociągu?

To by ich mogło w rezultacie drogo kosztować. Przecież na posterunku w Hurrigan Gulch siedzi kilku dróżników. Też chłopcy nie od parady. I każdy potrafi trzymać strzelbę z właściwej strony. Lada chwila powinni nadciągnąć z odsieczą. A wtedy napastnikom wziętym w dwa ognie będzie ciepło! Może jeszcze i on, Tim Spaney zaprowadzi dla odmiany tę obrośniętą małpę, która go tymczasem trzyma na muszce, na posterunek w Seward. Da mu wtedy bobu, aż się echo rozlegnie.

Buuuch!!! - Potężny grzmot przetoczył się gdzieś tuż za plecami. Gwałtowny wstrząs powietrza uderzył w stalowe ścianki budki. Z brzękiem sypnęły na podłogę odłamki szkła. Na szybie, przez którą patrzył, zaczerniała ciemna krecha pęknięcia. Nie zaryzykował odwrócenia głowy. Zresztą i bez tego wiedział co zaszło: wysadzili drzwi ambulansu dynamitem, albo czymś w tym rodzaju. Mieli głowy na karku; ci pukający na wiwat, spełniali jedynie zadanie odwrócenia uwagi obrońców. Właściwy atak przyszedł z tamtej strony. Strzelanina umilkła jakby ucięta nożem.

Nagle drgnął. Ostry, przeraźliwy krzyk przeciął powietrze. Docierał zupełnie wyraźnie poprzez rozbitą szybę. Twarz Tima zszarzała. Zaciśnął pięści, wpijając aż do bólu paznokcie w dłonie, by opanować odruch rozpacz. Boże! Mordują kogoś tuż przy nim, a on stoi jak kamień, zastygły w tchórzliwym pragnieniu ocalenia swego życia!

Krzyk zabrzmiał powtórnie. Na czoło wystąpił mu zimny pot. - To... niemożliwe... Nie wytrzymam... - szeptał bezgłośnie zsiniałymi wargami. - Kłębiaste strzępki krwawej mgły wirowały w zawrotnym tempie przed oczyma. Coś dławilo stofuntowym ciężarem otępiały mózg. - Mordują!!!

- To przecież przechodziło wytrzymałość ludzkich nerwów. Znowu ten sam głos. Przystawał myśleć. Stracił kontrolę nad swymi odruchami. Wszystkie mięśnie ciała sprężyły się w szaleńczym pragnieniu skoku. Niespodziewany krzyk umierał w półdźwięku przechodząc w jazgot, szybko wyrzucanych, nabrzmiałych histerią i przestraciem, ale nie bólem słów.

Krew odpłynęła szeroką falą od serca. Naprężone mięśnie zwiotczały nagle. Czuł, jak drobne kropelki potu spływają po policzkach. Ażeby ją skrzył, tę wariacką histeryczkę! - zaklął w duchu, z ogromną ulgą - wrzeszczy nie wiadomo czego, jak zarzynane prosię. A człowiek o mały włos nie zainkasował kuli w stos pacierzowy.

Nie mógł powstrzymać wzruszenia ramion. Bandyta nie reagował. Widocznie nie uważał, by ten niewinny gest mógł zagrozić jakimkolwiek niebezpieczeństwem.

Skądś z dołu zabrzmiał chrapliwy krzyk dzikiej gęsi. Sygnał, naturalnie. Jakże tam gęsi o tej porze roku!

- Marsz do maszyny!

Spaney nie zrozumiał w pierwszej chwili.

- Jak to...? - spojrzał błagalnie na bandytę.

Zwyczajnie - wargę nieznajomego wykrzywił niewyraźny uśmiech - jedziemy dalej!

Wciąż jeszcze trzymał wycelowany w Spaneya rewolwer, jednak ruch ten stracił jakoś swą poprzednią grozę. Teraz czynił wrażenie czegoś nieskończenie niedbałego.

Spaney położył niezdecydowanie dłoń na dźwigni. Nie, to mu się nie mogło pomieścić w głowie w żaden sposób. Mieli jechać, a... tamten? Czyżby zamierzał wysiąść, jak gdyby nigdy nic na stacji w Seward? A może kpi sobie z niego po prostu?

- Ale... - wyjąkał zduszonym głosem.

Uśmiech bandyty nabrał odcienia niefrasobliwej wesołości. Widocznie uważał zmieszanie Spaneya za bardzo komiczne.

Spaney w normalnych warunkach nie lubił, gdy ktoś go wyśmiewał. I potrafił nakazać poszanowanie dla swej osoby. Teraz jednak uśmiech bandyty nie wywarł na nim żadnego wrażenia. Wlepił tęskne spojrzenie w zamarłą strzałkę manometru. - Niech myśli co chce byleby tylko na pożegnanie nie poczęstował kulką w plecy.

- Nie dyskutuj! - dorzucił bardzo groźnie bandyta, widząc niezdecydowane ruchy maszynisty - jazda powoli naprzód!

Spaney usłuchał w milczeniu. Poruszył dźwignię. Stalowe cielsko drgnęło ochoczo. Zabrzęczały metalowym oddźwiękiem tłoki. Nie odwracaj się!

Spaney nie miał najmniejszego zamiaru. Co go może w rezultacie obchodzić, co tamten robi? Aby tylko...

Gdy w dłuższą chwilę potem zaryzykował nieśmiało zerknięcie ponad ramieniem, stwierdził, że w budce poza nim, nie było nikogo. Bandyta wyskoczył widocznie gdzieś po drodze.

- Uff - głębokie westchnienie wypłynęło z jego piersi.

Żył przecież! A nie bardzo już na to liczył, by miał wyjść cało z opresji. Szybko przesunął manetkę, zwiększając szybkość. Aby tylko jak najprędzej uciec od tej piekielnej dwieście dziewięćdziesiątej mili.

Dopiero teraz podniósł dłoń do czoła, by zetrzeć pot, występujący obfitymi kropelkami poprzez pory skóry.

Gorąco - uśmiechnął się w przestrzeń. Ale nie był to wesoły uśmiech.

Długi wąż wagonów znikł za zakrętem, pędząc coraz szybciej w kierunku widniejącego już w oddali drewnianego mostu. W wysmukłym, szarym cielsku wagonu ambulansowego czerniała poszarpaną linią brzegów podłużna wyrwa w miejscu, gdzie przedtem znajdowały się drzwi.

II

PREZENTACJA, KTÓRA NIC NIE MÓWI

Lokomotywa nabierała z każdym przebytym metrem coraz większej szybkości. Rzekomy pomocnik maszynisty obrzucał badawczym spojrzeniem wygiętą linię pleców Spaneya. Nie, nie wyglądało na to, by maszynista miał się obejrzeć we właściwym momencie. Był najwyraźniej sterroryzowany do ostatnich granic.

Uśmiechnął się z zadowoleniem. Przynajmniej z tej strony nic mu nie groziło. Wsunął niedbałym ruchem rewolwer do kieszeni zasmolonego kombinezonu i bezszelestnie podszedł ku wyjściu. Ostrożnie pchnął stalowe drzwiczki. Nie były zamknięte na klamkę. O to postarał

się już zawczasu. Nie mógł zaniedbywać najmniejszej drobnostki. Od takich na ogół błahych szczegółów zależało niejednokrotnie jego życie.

Wychylił się na zewnątrz, stojąc na krawędzi stopnia. W twarz uderzył go kłęb mokrych płatków śniegu. Tak, zapewne skok nie należał do najłatwiejszych. Nieprzenikniona zasłona zadymki nie pozwalała dojrzeć celu. Wiedział, że w tym miejscu tor biegnie nasypem kilkunastostopowej wysokości. Jeśli trafi na jedną z zasypanych szyn, licznie ułożonych wzdłuż toru, ma wszelkie szanse skręcenia karku, albo w najlepszym razie - nogi.

A w tych warunkach było to najzupełniej jednoznaczne. Unieruchomienie, choćby na przeciąg kilku kwadransów, znaczyło dla człowieka w zasmolonym kombinezonie - śmierć, nie mniej przykrą od skręcenia karku. Pamiętał o tym dobrze i sprężając wszystkie mięśnie do skoku poleciał się opiece szczęśliwej gwiazdy.

Musiał już opuścić lokomotywę. Dalsza zwłoka pachniała także ostateczną klęską. W odległości zaledwie dwudziestu kilku kilometrów za zakrętem stała tuż przy torze drewniana chatka. A w niej trzech dróżników uzbrojonych po zęby. Każdy obrót przybliżał lokomotywę do tego posterunku. Ryzyko skoku było niewątpliwie bardzo znaczne, nie większe jednak od niebezpieczeństwa dalszego zwlekania. Poza tym zaś bandyta nie miał zwyczaju zbyt długo rozmyślać nad niebezpieczeństwem.

- Teraz! - rozwarłszy mocno dotychczas zaciśnięte wokół stalowej poręczy dłonie, skoczył potężnym zrywem całego ciała w mgłę białych płatków.

Wylądował w miękkiej jak puch zaspie śniegu. Prawie nie odczuł upadku. Nie ruszał się przez dłuższą chwilę, obserwując przetaczające się tuż nad sobą wagony. Pociąg wciąż przyspieszał tempo. Widocznie maszynista nie zauważył jeszcze nieobecności groźnego gościa w kabinie parowozu. W przeciwnym razie na pewno nie zaniedbałby dodania od razu potężnej porcji pary do tłoków maszyny.

- Cóż... - mruknął filozoficznie, ścierając z pedanterią mokry śnieg przylepiony do twarzy ciekawym jak długo potrwa zanim zaryzykuje odwrócenie głowy.

Wyjął z kieszeni małe lusterko o powiększającym szkłem i badawczo obserwował odbicie swej twarzy. Ta dbałość o wygląd czyniła dziwaczne wrażenie w zestawieniu z tym, co zaszło przed kilkoma minutami. Chodziło jednak o bardzo poważne sprawy. Rozprostował starannie jakiś zamoczony kosmyk zarostu przesuwając go na właściwe miejsce. Rzucił ostatnie spojrzenie w lustro. Teraz zarost zakrywał już niemal całą twarz, przechodząc nieprzeniknioną gęstwiną aż po same skronie.

- Ali right. - Przeczekał aż wielka tarcza wisząca na buforach ostatniego wagonu zniknęła za zakrętem, po czym przesunął wzrokiem dookoła i ruszył w kierunku lasu.

Szedł bardzo powoli, wyciągając z trudem nogi i zapadając co krok po kolana w warstwie śniegu. Gdy dotarł do lasu przystanął. Z ust jego wypłynął chrapliwy, donośny dźwięk przypominający do złudzenia krzyk dzikiej gęsi. Po kilkunastu sekundach z głębi lasu dobiegał przytłumiony odzew. Jeszcze raz wymienił sygnał, aby się zorientować co do kierunku. Odpowiedź dźwięczała niewyraźnie, poszarpanymi szczątkami głosu, przenoszonymi na skrzydłach wiatru. Tamci byli dość daleko. Znacznie dalej, aniżeli tego oczekiwał.

Wzruszył z rezygnacją ramionami. Trudno. Zanim zeskoczył z parowozu, ten przejechał przynajmniej dobre półtorej mili. Nie uszczęśliwiała go wprawdzie perspektywa spaceru wśród zawiei, ale nie miał innej rady, lepiej nie wywoływać ich z lasu. Każdej chwili mógł przybyć zwabiony strzelaniną któryś z dróżników, zatrudnionych na stacji Honolulu. A po cóż zostawiać na swojej drodze zupełnie niepotrzebne trupy?

Wszedł pomiędzy drzewa. Tu było już o wiele przyjemniej. Przesiewana przez sita gęstych gałęzi zawieja straciła wiele ze swej gwałtowności. I droga była lepsza - śnieg leżał znacznie płytszą warstwą.

Sięgnął do kieszeni kombinezonu, wydobywając wymiętoszonego papierosa. Przylepiwszy go w kąciku ust, usiłował zapalić. Nie przyszło to zbyt łatwo. Pomimo osłaniania iskry otwartą dłonią, musiał co najmniej kilkanaście razy przytykać zapalniczkę, zanim tytoń zatlił się wreszcie nikłym żarem. Wciągnął z rozkoszą w płuca potężny haust dymu.

Od chwili wejścia do budki parowozu nie miał papierosa w ustach. Kosztowało go to niemało wysiłku woli. Maszynista podając rysopis, nie zapomniał na pewno charakterystycznego szczegółu „nie pali”. Zapiszą oczywiście, gdzie należy. Bo w takich stronach wskazówka taka miała znaczenie nie do pogardzenia. Tu palili prawie wszyscy. Od kilkunastoletniego wyrostka poczynając, a na stuletniej Indiance kończąc.

- Tak - uśmiechnął się do swych myśli. - Będą mieli sporo roboty, jeżeli zechcą znaleźć osobnika, odpowiadającego rysopisowi otrzymanemu od maszynisty.

Przedzierał się przez gęstwinę, idąc coraz głębiej w las. Nie potrzebował rozmyślać nad kierunkiem drogi. W mózgu tkwił usłyszany przed kilkoma minutami głos, wskazujący cel z niezawodnością igły kompasu. Jeszcze nigdy nie zmylił kierunku.

Po przebyciu kilkuset metrów jego bystry wzrok wyłowił poprzez ruchliwy parawan chybotających na wietrze gałęzi, czerniejącą sylwetkę.

- Halo? - rzucił przytłumionym głosem, wsuwając na wszelki wypadek prawą rękę do kieszeni. Nigdy nie zaniedbywał żadnej ostrożności.

- To ja, bossie. - Zza drzewka wyszedł niepozorny człowiek z rewolwerem w garści.

- Aha - skinął lekko głową - wszystko w porządku?

- Tak - zaraportował tamten, mimo woli prężąc swą figurkę - czekamy na was.

- Dobrze - skwitował krótko, wchodząc za nim na niewielką polankę. Przybycie jego wywołało ożywienie w kilkunastu niewyraźnych postaciach, przycupniętych pod osłoną drzew. Zapadł mrok. Tu zaś było znacznie ciemniej niż na otwartej przestrzeni.

Podbiegli pośpiesznie ku niemu.

- Nikogo nie brakuje? - Przesunął po nich wzrokiem. Któryś chrząknął niewyraźnie.

- Gulier zabity - oznajmił po chwili. Nieznajomy strzepnął palcami.

- Trudno - mruknął obojętnie - gdzie drwa rąbią... - wypuścił z ust gęsty kłąb sinawego dymu.

- Przynieśliście go? - zapytał z naciskiem.

- Naturalnie, bossie - potwierdził ten, który go spotkał na wstępie - zgodnie z waszym rozkazem. Leży tam - machnął w kierunku szarzejących niewyraźnie krzaków. Pozostali rozstąpili się pośpiesznie. Dopiero teraz zobaczył za ich plecami podłużną ciemną plamę, odcinającą się nieruchomym konturem na szarzejącym w półmroku śniegu.

Podszedł powoli, niemal spacerowym krokiem. Trysnął oślepiającym światłem silnej elektrycznej latarki.

Oczy jego patrzyły zupełnie spokojnie. Rysy nie zdradzały żadnych uczuć. Zresztą twarzy nie było widać prawie spoza osłony bujnego zarostu. - Przeszukany? - rzucił przez ramię nie odwracając głowy. Nie kierował pytania do nikogo specjalnie.

Przecież mamy go zakopać... - Bąknął niepewnie mały człowieczek. W głosie jego dźwięczały nutki zmieszania. Widocznie właśnie na nim ciążył obowiązek przestrzegania, by rozkazy bossa były wykonywane dokładnie.

- Nie pytałem o to, co będzie zrobione - przeciął ostro - przeszukaliście go?

- Nnnie...

- Więc...! - znaczące drgnięcie światła podkreśliło rozkaz. Szczupła sylwetka przyklękła bez słowa przy zwłokach. Reszta zastygła w bezruchu, obserwując milcząco scenę.

Zachrząściło sztywne od przemarzniętej wilgoci ubranie. Manipulujący przy zwłokach nie zwracał najmniejszej uwagi na guziki, odrywając je bez pardonu. Byle prędzej. Robota należała do mocno paskudnych. Ale nawet nie myślał o dyskusji z poleceniami bossa.

- Proszę - wyciągnął wypchnięty, pękaty, mocno podniszczony portfel. Boss przeszukał uważnie. Plik banknotów odsunął niecierpliwie palcami na bok. Nie interesowały

go w najmniejszym stopniu. Za to każdy najmniejszy nawet, zapisany świstek papieru oglądał na wszystkie strony. Na widok zaadresowanej niezgrabnymi literami koperty: Francis Gulier, Alaska - „Anchorage”, chmura spłynęła na jego twarz. - Otóż to - pomyślał gniewnie, brakowało, by nosił ze sobą paszport. Paszportu wprawdzie nie znalazł, wyłowił za to z ostatniej przegródki portfela mały, postrzępiony notes, którego treść przyprawiła go o istną wściekłość. Kartkowane stroniczki wypełniały nieczytelne, pozakreślane notatki. Ostatnie słowa nie były zakreślane. I to do tego jakie słowa: „Piątek... piętnasta... 290 m”. Głupi by zrozumiał o co chodzi.

- Tss - syknął przez zaciśnięte zęby, bez żadnego szacunku dla majestatu śmierci - niedołączny idiota. - Gdyby znaleźli tę kartkę, dostaliby do łapy mocną jak łańcuch nić. I doszliby do końca. Znadto już zalał im sadła za skórę.

Boss zapalił zapalniczkę przytykając płomień do kartek. Dopiero wtedy rzucił na śnieg zwęglone szczątki, gdy żar osiągnął skórę palców. Jeszcze roztarł popiół podeszwą. Wiedział coś niecoś, jakie tamci stosują sposoby.

- Więcej nic nie ma szefie - zaraportował głos nachylonego nad trupem.

- Firma z ubrania wycięta?

- Zaraz. - W palcach tamtego załśniło ostrze. Zatrzeszczały szklanym oddźwiękiem zmarznięte nitki.

- Jest - wyciągnął skrawek czerwonego materiału.

Tak - mruknął nieznajomy - teraz dajcie mu rewolwer.

- Ooo - wyjąkał - rewolwer?

- Oczywiście - potwierdził niecierpliwie - cóż w tym dziwnego?

- Nie ma... rewolweru - opuścił głowę na piersi.

- Co? - w głosie nieznajomego dźwięczała stal. - Jak to nie ma?

- Został tam - machnął ociężale ręką w kierunku toru.

- Ach tam... - w szarych źrenicach załśnił nieprzyjemny płomień - zostawiliście na pamiątkę...?

- A czy przypadkiem nie dołączyliście biletu wizytowego? - dorzucił zjadliwie.

Wargi zapytanego zadrżały. Współzycie z bossem nie należało do najłatwiejszych. Nie zaryzykował jednak ani jednego słówka odpowiedzi.

Minęła chwila, nabrzmiałego napiętym oczekiwaniem, milczenia.

Wreszcie ogniki w oczach nieznajomego zgasły. Szczupły człowiek odetchnął z ulgą. Śmierć przeszła tuż koło niego. Czuł to dobrze. Widział już niejedno od momentu przystania

do bandy. Dla bossa zgaszenie czyjegoś życia nie znaczyło więcej od zdmuchnięcia niepotrzebnej zapalki.

- Przecież numer... spiłowany - szepnął nieśmiało.

- Sam wiem o tym - warknął. - Jeszcze by tego brakowało. No niech tam - machnął ręką. - Tym razem - ujdzie ci na sucho, ale...

Nie skończył. Nie potrzebował zresztą. Nikt nie miał najmniejszych wątpliwości, co do treści jego myśli. I odniosło to odpowiednie wrażenie. W bandzie każde najdrobniejsze skrzywienie warg szefa miało swoją niepoślednią wagę.

- Zakopać - rozkazał krótko, wskazując niedbałym kiwnięciem głowy na trupą. W kilku rękach zaczęły składać łopaty o krótkich trzonkach. Minęło więcej niż pół godziny, zanim zdołali uporać się z przemarznąłą ziemią. Ostatnie mieszkanie dla Guliera było gotowe. Nie żałowano podeszew przy ubijaniu powierzchni grobu.

Boss ani na ułamek sekundy nie spuszczał z nich czujnego wzroku. Wszystko musiało być all right. W końcu zgarnięto śnieg na odsłonięte miejsce. Nic prawie nie wskazywało, że przed chwilą ziemia pochłonęła ciało ludzkie.

- A teraz, podział - odwrócił się plecami do mogiły towarzysza wyprawy.

Tuż u jego stóp rozłożono jakąś płachtę. Skierował na nią reflektor latarki. Znał dobrze swych podwładnych. Chwila ciemności mogła w rezultacie kosztować tysiące dolarów.

Podchodzili kolejno, opróżniając kieszenie. Trwał w milczeniu, rzucając od czasu do czasu przenikliwe spojrzenie w twarze podchodzących. Czytał w nich jak w otwartej księdze.

- Western - głos bossa zabrzmiał ostro, w chwili, gdy jeden z bandytów zabierał się już do odejścia w ciemność.

Wystarczyło to jedno słowo. Twarz Westerna pobladła gwałtownie. Sięgnął do kieszeni wyjmując gruby, złoty pierścień z wielkim brylantem. Rzucił go w ślad za banknotami.

- Ja, ja... zapomniałem - bąknął zduszonym głosem. Boss kiwnął obojętnie głową.

- Dobrze. Żebyś jednak na drugi raz nie potrzebował ci przypominać!

Western odszedł chwiejnym krokiem. Na jego czoło wystąpiły drobniutkie kropelki potu. Miał już u bossa kreskę. Przeklinał w duchu niewczesną chęć zatrzymania kosztownego drobiazgu na pamiątkę. Te parę sekund kosztowało go więcej, aniżeli były warte wszystkie pierścionki na całym świecie, razem wzięte.

Dalsze gromadzenie łupów szło już gładko, bez najmniejszych incydentów. WILK potrafił trzymać w garści swoją bandę.

Gdy odszedł już ostatni, nachylił się nad płachtą, badając w świetle latarki jej ceną zawartość.

- O key - mruknął wreszcie, przeliczając szybko banknoty - sześćdziesiąt tysięcy, dwieście osiemdziesiąt dolarów. Połowa dla mnie - wsunął do kieszeni plik papierów. - Reszta dla was do podziału, według zwykłego klucza.

Liczył wprawdzie na znacznie większą zdobycz mając nadzieję, że z samego worka pocztowego wyłowi co najmniej sto tysięcy, ale ostatecznie to było sumą nie do pogardzenia.

Teraz kosztowności - złoty deszcz, lśniąc w promieniach latarki, przepłynął pomiędzy jego palcami. Tu i ówdzie zamigotały tęczowymi odbłaskami brylanty.

- Dam wam na waszą część okrągłe sześć tysięcy. Zgoda?

- zapytał obojętnie, nie racząc nawet na nich spojrzeć. Sięgnął do kieszeni wyjmując drobną część schowanych przed chwilą pieniędzy. Pytanie należało do rzędu czysto retorycznych. Słowo Wilka było w bandzie prawem. Nikt za żadne skarby nie zaryzykowałby choćby słówka protestu. Zresztą płacił lepiej aniżeli jakikolwiek paser na całej Allasce. Ba, nawet w dolnym kraju nie osiągnęliby ceny, jaką im dawał.

- To wszystko - zsywał biżuterię do niewielkiego woreczka z irchy, który następnie wsunął niedbałym ruchem do kieszeni.

- Po podziale rozejść się do swych dziur i czekać na nowe wezwanie. Przyślę jak zwykle za pośrednictwem Mike'a.

Niepozorny człowieczek skłonił głowę w milczącym ukłonie. On właśnie nosił w bandzie nazwisko Mike i pełnił odpowiedzialne funkcje adiutanta bossa.

- Bywajcie! - boss wykonał ręką jakiś nieokreślony gest pożegnania i ruszył przed siebie, zagłębiając się w gęstwinę.

- Do widzenia, szefie! - odpowiedział mu chór mrukliwych głosów.

Szedł równym, elastycznym krokiem wyćwiczonego piechura. Miał jeszcze do przebycia ładny kawałek nieprzyjemnej drogi. Poza tym potrzebował dobrych kilkanaście minut na doprowadzenie do porządku swej powierzchowności. Gdyby go tak ktoś z domowników ujrzał w tym stanie, jak teraz? Nie, znacznie wygodniej byłoby już iść samemu od razu do więzienia. A potem na fotel... br!

- z trudem opanował nieprzyjemny dreszcz.

Czasami, pomimo swej całej zimnej krwi, nachodziły go przykre chwile. Cóż dziwnego? Balansował przecież ustawicznie nad krawędzią niezgłębionej przepaści. Jeden nieostrożny ruch i... do widzenia. Nie ma takiej siły na świecie, która by go mogła wówczas ocalić od haniebnego końca.

Nie spojrzął poza siebie ani razu. Za to słuch pracował ze zdwojoną czujnością. Dosłyszałyby nawet igłę opadającą z jodły a cóż dopiero czyjeś kroki.

Tkwące w kieszeni palce muskały lekko rękojeść rewolweru. Tak, ten kto by szedł jego śladem, nie wróciłby z niego nigdy. Za dużo miał do stracenia, by ryzykować pozostawienie za sobą choćby jednego człowieka, który by... wiedział...

* * *

Wśród pozostałych na polanie panowało jeszcze przez kilka minut grobowe milczenie. Potem dopiero odetchnęli z ulgą. Boss odszedł na dobre. Można było wreszcie pogadać po ludzku. Wszczął się przytłumiony rozgwar. Nawet Mike poczuł odprężenie.

Western stał nieco na uboczu, podparty plecami o jodłę. Kurzył zapamiętałe papierosa za papierosem. Jeszcze nie zdołał przyjść całkowicie do siebie po przeżytym wstrząsie. Nie mógł sam siebie zrozumieć. Zaglądał już nieraz śmierci w oczy i jakoś potrafił trzymać nerwy w kupie. A teraz zwiotczały jak u baby. Jeszcze raz przeżywał w myśli groźne chwile. Dlaczego zapomniał języka w gębie i od razu oddał pierścionek na jedno słowo szefa? I czuł się... - przez chwilę szukał odpowiedniego porównania. Tak, chyba podobne uczucie ma ptak, stojąc na wprost rozwartej paszczy boa-dusiciela.

Nie był zdolny do najmniejszego nawet samodzielnego ruchu. Ani do myśli. Oczy bossa grzebały w jego mózgu jak u siebie w domu...

- Et, nie wykombinuję niczego z sensem - rzucił papierosa na śnieg. Zaraz jednak sięgnął do papierošnicy po nowego.

Jakiś niewyraźny cień szedł ku niemu przez polanę. Bezskutecznie usiłował przebić wzrokiem nieprzeniknioną ciemność. Mimowolnym ruchem sięgnął do kieszeni.

- Może Mike ma do spełnienia rozkaz bossa w stosunku do niego? Nie poszłoby mu tak łatwo - dłoń Westerna dotknęła zimnej powierzchni browninga. Mike to nie Wilk. Nie, to nie Mike. Teraz dopiero, gdy tamten podszedł nie dalej jak o półtora kroku, poznał ostre rysy młodego, barczystego chłopca, znanego w bandzie pod nazwiskiem Dawson. Pseudonim oczywiście taki jak i inne. Tu nikt nie używał nazwiska, pod którym się urodził.

Wyjął rękę z kieszeni. Dawson darzył go raczej sympatią. Z jego strony nie groziło chyba żadne niebezpieczeństwo.

- Nie spieszno wam do waszej części? - zaczął przybyły, stojąc tuż przed nim.

Western ruszył niedbale ramionami:

- Nie ucieknie... - mruknął obojętnym tonem.

- Muszą patrzeć na palce Mike'owi, aby nie dał przypadkiem komuś centa więcej niż innemu - w głosie jego zabrzmiała ironia.

- A wy nie pilnujecie?

Western splunął przed siebie brunatną od nikotyny śliną.

- Cóż - rzucił z poczuciem wyższości - człowiek umie liczyć nie tylko na palcach.

Mnie tam nikt nie oszuka.

Dawson milczał przez chwilę.

- Dawno już jesteście w bandzie? - mruknął ni to pytanie, ni to twierdzenie.

Widocznie dąży do jakiegoś celu, nie mając odwagi wygarnąć od razu.

- Tak - bąknął Western niepewnie.

- Otóż to... - Dawson wyraźnie się wahał.

Po chwili przechylił głowę, dotykając niemal ustami jego ucha.

- Hm... - szepnął głosem pełnym emocji - znacie dobrze szefa? Western z trudem powstrzymał odruch zdziwienia.

- Tu cię boli? - pomyślał, mając się coraz więcej na baczności.

- Kto go tam zna - westchnął i przymknął powieki, jakby miał lada moment zasnąć.

- A kto to jest?

- Jak to kto? - powtórzył, wydymając wargi - wiadomo Wilk!

- To wiem i bez was - w głosie Dawsona brzmiały nutki zniecierpliwienia - ale kim jest on naprawdę?

- Ooo - w gardle Westerna nagle zaschło. Przesunął końcem języka niedopałek papierosa w przeciwległy kącik warg.

- Ba - obrzucił go badawczym spojrzeniem - czy to was bardzo interesuje?

Dawson drgnął. Tamten wyraźnie zaczynał mieć jakieś podejrzenia. Źle się zabrał do rzeczy.

- Mnie - wysilił się na niedbały ton - nie specjalnie, ale...

- To dobrze - przerwał mu w pół słowa. - Bo gdyby was interesowało specjalnie, nie dałbym nawet trzech centów za wasze życie.

Pomimo ciemności, dostrzegł jak twarz Dawsona mocno pobladła.

- Jak to? - wyjąkał zmieszany.

- Tak to - powiedział. - Opowiem wam coś ciekawego. Rozewrzyjcie sobie uszy. Był u nas niejaki Harren. Przynajmniej znaliśmy go pod takim nazwiskiem. Też, uważacie, osoba szefa zaczęła go interesować. Węszył na prawo, węszył na lewo. Nagabywał to tego, to owego z chłopców. Koniecznie chciał się dowiedzieć kim jest boss naprawdę. No i uważacie...

Urwał, sięgając po nowego papierosa. Zapalał go niemożliwie długo. Rytm oddechu Dawsona przybrał wyraźnie wzmocnione tempo.

- No i odkrył? - Nie wytrzymał wreszcie.

- Aaa - Western pokiwał głową, wypuszczając z ust gęsty obłok dymu. - Możliwe... bardzo możliwe - powtórzył, patrząc ponad jego głowę, gdzieś w mrok.

- Bo w pewnym momencie Harren nagle znikł. Ot po prostu jak kamień w wodę. Nikt nigdy nie widział go więcej. Niby to nie wiadomo co się z nim stało... Ale chyba sami rozumiecie, jakie ma to znaczenie, gdy przestajemy widywać na „zebraniach” kogoś z kolegów. Policja przecież, jak dotychczas, trzyma ręce z daleka od naszych chłopców - dodał znudzonym tonem.

Dawson zaciął wargi, z trudem pokonując drzenie.

- Więc to tak - serce jego zawisło nagle w próżni.

- A wiecie co by się z wami stało, gdybym powtórzył bossowi naszą rozmowę? - zapytał cicho Western.

Przez twarz Dawsona przeleciał skurcz. Oczy jego zalśniły blaskiem desperacji. Western na wszelki wypadek pomacał po kieszeni.

- Chyba nie powiecie? - syknął Dawson - ja do was w zaufaniu.

- Otóż to - Western pokiwał głowę - w zaufaniu. Nie, nie powtórzę naszej rozmowy...

- Za to będę cię miał na oku - dodał w myśli - kto wie, co z ciebie za ptaszek.

Dotrzymał słowa. Nie doniósł Wilkowi o ciekawości Dawsona. Niewiele to jednak chłopcu pomogło. I tak nie brał udziału w następnej wyprawie. Widocznie w tym lesie jodły odznaczały się nader czujnym słuchem...

III

HARRY COSS

Harry przeciągnął obolałe stawy rąk. Mógł już trochę wypocząć po ustawicznych zmaganiach z kierownicą. Ford szedł teraz równiutko, jak po maśle. Nic dziwnego. Autostrada Nenana - Fairbanks znana była powszechnie ze swej wspaniałości. Za to przedtem? Pożal się Boże! Gdyby nie gąsienice, zastępujące tylne koła, utknąłby beznadziejnie co najmniej tysiąc razy. Prawie sto mil takiej drogi a raczej piekielnego bezdroża. Koło kierownicy przez cały czas szalało jak dzikie zwierzę. Chwilami już tracił nadzieję dobrnięcia do szosy. Nie raz i nie dwa przygryzał boleśnie język, zaplątany nieostrożnie między zęby, szczękając w takt dzikich skoków samochodu.

Teraz miał już to wszystko za sobą! Wprawdzie przebył dopiero niewiele więcej, aniżeli połowę drogi, ale to co go czekało, wyglądało w porównaniu ze sforsowanym odcinkiem jak przyjemna przejażdżka w celu nabrania apetytu.

- Apetytu?... Hm... - wzruszył ramionami, czując ślinkę napływającą do ust.

Głód skręcał po prostu wnętrze. Taka emocja i taka droga! Bagatela. Wystarczyło aż nadto, by czuć wilczą tęsknotę za czymś pożywnym.

A poza tym tak wypadło, że wczorajsza kolacja musiała pozostać w sferze nieziszczonych pragnień. Miał ważniejsze sprawy na głowie niż pamiętanie o jedzeniu. Od kilkunastu miesięcy życie Harry'ego Cossa stanowiło wymyślny kontredans ze śmiercią. Raz bliżej, raz dalej. Ale odniósł wrażenie, że z każdą zmianą figur śmierć podchodziła raczej bliżej. I nie tylko śmierć. Wszystko wisiało na cieniutkim włosku.

Wszystko u Harry'ego znaczyło bardzo dużo. Obejmowało także pewne rzeczy, posiadające dla niego daleko większe znaczenie niż własne życie. Jedno małe poślizgnięcie i... Obojętnie w tę czy inną stronę. Nawet nie wiedział, w którą stronę lepiej. Nie - nieprawda - wiedział dobrze. Stokroć wolałby runąć w tamtą przepaść. Tam mu groziła tylko śmierć. Podczas gdy tu... Mag... Tak, to było przecież najważniejsze. Gdyby powzięła choćby najlżejsze podejrzenia - koniec. Wolałby umierać po dziesięciokroć razy w najstraszniejszych męczarniach, aniżeli ją stracić. Gdyby mógł, wycofałby się z całej historii. Ale nie mógł. Dzisiaj było już za późno... Albo jeszcze raczej za wcześnie. Skoro wlaź w to wszystko, musiał dobrać do końca. Zaufali. A poza tym za daleko zabrnął, by istniała możliwość odwrotu.

Na białą wstęgę szosy spadła różowa poświata. Wstawał świt. W oddali szarzała, poszarpana linią pociętych turni, ściana Białych Gór. Zwiększył szybkość. Nie było zbyt bezpiecznie zajechać do domu w jasny dzień. Albo spotkać po drodze zbyt wiele osób. Sfatygowany wygląd samochodu wracającego z nocnej wycieczki mógłby dać komuś za dużo do myślenia. A potem będzie już łatwo skojarzyć ten powrót z pewnymi wypadkami, jakie zaszły wczorajszego wieczora. Radio śpi. Ale co tam radio. Tu wystarczy nawet zwykły przewód telegraficzny.

Stracił tyle czasu! Służba informacyjna dzienników w Fairbanks pracuje bez zarzutu. I tak spotykał niekiedy w spojrzeniach ludzkich dziwny wyraz. Jak odnosił wrażenie, ten i ów kombinował więcej, niż miał odwagi mówić. Trudno. To było w tych warunkach nieuniknione. Rozumiał dobrze. Chodziło jedynie, by nie zdobyli czegoś bardziej konkretnego, co by dodało odwagi do poruszenia językami. Dopóki tylko myśleli, wszystko było all right. Gorzej będzie, gdy zaczną gadać. Wtedy koniec.

Sięgnął po papierosa. Teraz mógł już sobie na to pozwolić. Na autostradzie wystarczyła jedna ręka do prowadzenia wozu. Podniósł zawieszoną na jedwabnym sznurze zapalniczkę elektryczną i przytknąwszy do niej koniec papierosa zaciągnął się z rozkoszą. Wczoraj przeżywał ciężki dzień...

Znowu wpadł w ponurą zadumę. Może źle zrobił wchodząc na ten kręty szlak, biegnący poprzez nieprzenikniony mrok? Ale cóż miał robić? Groziła mu już ruina. Mała, odziedziczona po ojcu farma, nie dawała prawie żadnych dochodów. Łatwo było rządowej stacji rolniczej głosić urbi et orbi o nadzwyczajnej płodności ziemi leżącej nad Tananą. Stacja miała przyzwoite zbiory. Ale każde wyprodukowane przez nią ziarno kosztowało bodaj czy nie więcej od ziarnka złota tej samej wagi. Tak, przy tych wkładach można było wydusić pszenicę nawet z kamienia. Przeciętny osadnik nie mógł marzyć o prowadzeniu podobnie kosztownej gospodarki. Nie opłacała się zresztą. Zboże ostatnio ogromnie spadło w cenie.

Ojciec Harry'ego do końca życia zaciskał zęby i walczył z uporem. Był prawdziwym pionierem. Musiał nim być zresztą, inaczej nie potrafiłby długo popasać w okolicy. Gdy po długiej tułaczce, w czasie której przemierzył samotnie porządny szmat świata, dotarł wreszcie na Alaskę, mijały właśnie lata dziewięćdziesiąte. Jeszcze nie wygasła gorączka złota i w „złotym kraju” nie było miejsca dla ludzi słabych. Dużo musiał przejść, zanim zdołał założyć farmę.

Harry z zapartym tchem słuchał opowiadań ojca o tamtych czasach. Oczyma wyobraźni widział groźne postacie obszarpanych poszukiwaczy złota i ojca trzebiącego jedną ręką chaszczę, podczas gdy palce drugiej obejmowały rękojeść rewolweru. Wtedy nie można było inaczej. Tylko lufa rewolweru potrafiła powstrzymać w przyzwoitej odległości przybyłych z całego świata włóczęgów, którzy uważali cały kraj za swoją własność. Ojciec przetrwał to wszystko. Twardy był to człowiek. Krwawym znojem wydarł szmat ziemi puszczy i gotów był jej bronić, choćby zębami. Bronił.

Potem przyszły inne czasy. Rządy objęło oficjalne prawo, mające poparcie potężnej maszyny państwa. Gdy Harry ujrzał światło dzienne byt farmy opierał się już na solidnych podstawach. To był całkiem odmienny kraj niż ten, do którego przybył emigrant polityczny Stanisław Kos. Ojciec... Jakże często, gdy ciało ojca spoczywało już pod granitową płytą na cmentarzu w Fairbanks, przed oczyma Harry'ego wstawiała pełna zawsze wyrazu skupienia, poorana zmarszczkami twarz, okolona sinawą, krótko przyciętą bródką, nadającą jej cechy odrębności od innych, gładko wygolonych fizjonomii tutejszych mieszkańców.

Ojciec musiał mu wystarczyć za oboje rodziców. Matki swojej nie znał wcale. Okupiła śmiercią życie syna. Wyblakła fotografia delikatnych, niemal dziewczęcych rysów,

to wszystko, co mu po niej zostało. Charakter Harry'ego kształtował się pod wyłącznym wpływem ojca. Pierwszą rzeczą, jaką objął świadomym spojrzeniem dziecka, były siwe źrenice zawisłe nad jego twarzą z wyrazem serdecznej, troskliwej miłości. Pierwsze słowo, które wyszczebiotał niemowlęcym językiem, było powtórzeniem dźwięków wychodzących z ust okolonych szpakowatym zarostem. Brzmiało ono zupełnie inaczej niż wymawiane przez czarnoskórą nianie. Pamiętał dobrze tę chwilę, gdy jako kilkuletni zaledwie chłopiec obchodził z ojcem farmę.

- Tu będziesz pracował - pomarszczona, pokryta odciskami ręka zakresliła granice posiadłości. - Gdy zostaniesz już sam pamiętaj, by nie wypuścić z palców ziemi, która cię żywi. Każdy zagon wydarłem niemal własnymi pazurami spod mchu.

- Będę pracował - powtórzył Harry, przejęty powagą dźwięczącą w głosie ojca.

Ale pamiętaj też - dodał ojciec ściskając dłoń syna - że w tym kraju jesteś tylko gościem. Prawdziwa twoja ojczyzna jest tam - wskazał siwiejący w oddali pasek Białych Gór. W górach? zapytał zdumiony chłopiec. Nie - pokiwał głową ojciec - het poza nimi.

Bardzo... bardzo daleko. Głos jego zadrżał a oczy dziwnie zwilgotniały. Wtedy dopiero dowiedział się Harry, że jest Polakiem. Zrozumiał, dlaczego rozmawiając z ojcem używa innego języka od tego, którym zwracał się do otoczenia, by być zrozumianym. Słowa ojca odmalowały leżącą o tysiąc mil piękną, okutą w pęta niewoli ojczyznę. Ojciec potrafił rozpalic we wrażliwej duszy dziecka płomień gorącej miłości do nieznanego kraju ojczystego. Sam zresztą zawsze podkreślał z dumą swoje pochodzenie.

Pomimo namów otoczenia, nie chciał zmienić nazwiska. Takim był człowiekiem. Charakter twardy i jednolity, jakby wykuty z bryły kamienia.

Gdy Harry podrósł, zaczął pracować z ojcem ramię przy ramieniu nad oporną rolą. Zresztą wtedy powodziło mu się nie najgorzej. Niezłe jeszcze były czasy dla rolników na Alasce. Farm niewiele, kolej dopiero w budowie. Płacono dobre ceny za zbiory. Ziemia karmiła jeżeli nawet niezbyt hojnie, to w każdym razie wystarczająco dla utrzymania życia na jakim takim poziomie. Będzie lepiej - powtarzał ojciec - zobaczysz.

Nie przewidział kryzysu. Ukończono budowę kolei. Ceny zboża gwałtownie spadły. Nastąpiło załamanie. Zaczęło brakować na najpotrzebniejsze rzeczy. Stary Kos nie ustąpił jednak. Zacisnął zęby i walczył dalej. Nie zmienił w niczym linii swego postępowania. Pracował i wierzył.

Po skończeniu przez Harry'ego wyższej szkoły w Fairbanks, posłał go na Uniwersytet w Columbii. Nie pomogły protesty Harry'ego, który przecież orientował się doskonale w stanie interesów ojca.

- Skończysz uniwersytet - oświadczył synowi bezapelacyjnie - a potem, gdy powrócisz z dyplomem, będziemy znowu razem pracowali na roli.

Harry pojechał.

Dyskusja z postanowieniem ojca była niemożliwa. Pojechał ze ściśniętym sercem. Wiedział jak ciężko będzie ojcu samemu. Potem nadeszły lata, przy których poprzednie robiły wrażenie okresu złotej pomyślności. Nieraz błagał ojca, by pozwolił rzucić uczelnię i powróciwszy na farmę stanąć u jego boku. Ojciec jednak o tym nie chciał słyszeć.

- Jak dostaniesz dyplom, wtedy wrócisz.

I tak nie dostał dyplomu. Nadwątłone ciężką pracą siły ojca nie wytrzymały. Sterany organizm odmówił dalszego funkcjonowania. Przyszła nieoczekiwana przez Harry'ego katastrofa.

Ojciec zmarł nagle, w czasie dozorowania robót w polu. Harry powrócił. Pomny rozkazowi ojca, który uważał za testament, zakasał rękawy i stanął do pracy. Z początku jeszcze wierzył w powodzenie.

- Wytrwam powtarzał zaciskając zęby - nie oddam farmy, gdzie każdy skrawek roli nasiąknął znojem ojca.

Powodziło mu się coraz gorzej. Ceny spadały ustawicznie, a plony były marniejsze z każdym niemal zbiorem.

Ziemia nie chciała go wyżywić - założył lisią farmę. Niedługo trwała. W kilka miesięcy po zainstalowaniu pięknych drucianych zagród, przyszła jakaś tajemnicza epidemia. Wszystkie lisy padły, a przedtem potraciły włos. Skóry nie były warte złamanego centa. Jeszcze to go nie załamało. Zadłużył się po uszy, obciążył farmę do ostatniej piędzi ziemi i kupił stado. Z bydłem też nie poszło. Chorowało, zdychało. Wiadomo - pasza niedobra. Wtedy przyszły czarne godziny. Do drzwi farmy „Forwards”, tak bowiem nazywał ojciec swoją posiadłość, zapukała nędza. Ruina wisiała już na włosku, który lada sekundy groził pęknięciem. Nie stało pieniędzy na opłatę procentów. W banku zaczęto przebąkiwać o licytacji.

W tym samym czasie poznał Mag. Może właśnie to zadecydowało. Gdzież śmiałyby podnieść oczy na córkę bogatego dyrektora Zjednoczonego Towarzystwa Kopalń Złota? W ostatecznej rozpaczy zaczął poszukiwać wyjścia. I wreszcie znalazł. Pierwszy raz stało się zupełnie przypadkowo. Ot po prostu zbieg okoliczności, na który mimo woli trafił. Przedtem nigdy mu ani w głowie powstało, by wybrać właśnie taki sposób zarobkowania. Nawet się nie zdążył opatrzyć, gdy było już po wszystkim. Poszło jak z płatka.

Pieniądże spadały niby z nieba. Potem go wciągnęło. Jedno, drugie szczęśliwe pociągnięcie. Złoto zaczęło płynąć do jego opustoszałej kasy szeroką rzeką. Emocjonujące, pełne dreszczyków grozy zajęcie weszło w krew. Teraz już robił to nie tylko dla zdobycia pieniędzy. Tkwiąca w głębi duży żądza awanturniczych przygód, rozbudzona niebezpieczeństwem, wołała wielkim głosem: naprzód - mało!!!

I szedł naprzód. Bo jednak pomimo wszystko było to naprawdę ciekawe życie. Każda niemal sekunda decydowała o zwycięstwie lub ostatecznej klęsce. Tak... gdyby tylko nie Mag.

Brzęczenie motoru wyrwało go z rozmyślań.

Spojrzał niespokojnie przed siebie. Naprzeciwko waliła wielka, biało pomalowana ciężarówka. Naturalnie! Jeszcze tego było potrzeba. Jak pech to pech.

Joe Holmers przy kierownicy swego mleczarskiego wozu. Język jak na sprężynach. Największy plotkarz w okolicy. Każdemu kto będzie chciał słuchać rozchlapie: widziałem mister Cossa jak pędził na swoim „tanku”. W ten sposób nazywał zawsze samochód Harry’ego, ze względu na jego gąsienice.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powiększyć szybkości. W końcu zrezygnował. Nic by nie pomogło. Holmers już go poznał. Machał zawzięcie ręką w powitalnym geście, krzycząc coś na całe gardło. Szum motorów zagłuszył większą część jego słów - „na... da...” - Miało to zapewne znaczyć: „piękna pogoda - albo coś w tym rodzaju”: Harry kiwnął uprzejmie głową. Lepiej nie zrażać Holmersa. Lubił węszyć wokoło jak wyżeł.

Ciężarówka przemknęła tuż obok, przy akompaniamencie ogłuszającego brzęku blaszanych baniek.

Harry wybiegł badawczymi oczyma naprzód. Chwilowo szosa bielą pustką.

- Ba - westchnął - ale kto wie, kogo jeszcze spotkam.

Na szosie panował stanowczo zbyt, jak dla niego, ożywiony ruch. Może lepiej było wracać na przełaj? Poczciwe fordzisko typu „Colonial” polazłoby wszędzie. Czy nie za bardzo ufał w swą opiekuńczą gwiazdę, taszcząc się na wygodne autostrady?

Na szczęście nie spotkał więcej nikogo. Jeszcze kilka mil i skręcił w bok, wjeżdżając w szeroką, starannie utrzymaną drogę, prowadzącą do jego farmy. Też zbudowana z tamtych pieniędzy. Za czasów ojcowskich rządów biegła tędy rozmiękła, albo tonąca w sypkim kurzu polna dróżka. Niejedną parę resorów i osi miała na swoim sumieniu.

Zatrzymał samochód przed zamkniętą bramą. Nacisnął klakson.

W domu wszczął się nagle ruch. Trzasnęły jakieś drzwi. Zatrzeszczały pod pośpiesznymi krokami schody. Nie minęło nawet parę minut, gdy ozdobne metalowe wierzeje

stanęły otworem. Podjechał pod betonowe stopnie ganku. Nie zdążył jeszcze zgasić motoru, gdy na klamkę drzwiczek samochodu spadła okrągłym ruchem postać Johnsona. Jak zwykle zapięty na ostatni guzik. Na ustach uśmiech pełen szacunku i dostojeństwa zarazem. Wzór doskonałego butlera.

Ten także doznałby silnego wstrząsu, gdyby mu ktoś zakomunikował o niezwykłym zajęciu, z którego jego pan czerpie dochody. Zresztą chyba by nie uwierzył.

Harry wysiadłszy z samochodu przeciągnął całe ciało, aż zachrząściły stawy. Poczł niezwykłą ulgę, stawiając nogi na żwirze podjazdu. Wrócił do domu. A jakże łatwo mógł pozostać tam...

Przesunął wzrokiem dookoła.

Dom i obejście wyglądały więcej niż dostatnio. Odnowił je niedawno, przebudowując to i owo. Gdyby nie tamto, nie byłoby tego wszystkiego. Przedtem stary dom zaczynał się już chylić do upadku.

Kąpiel, śniadanie i łóżko gotowe, sir - zaraportował Johnson. Dziękuję - wchodził zmęczonym krokiem na stopnie. A czy kto do mnie nie dzwonił? rzucił mimochodem pytanie.

- Tak jest, sir. Dzwoniła miss Barton.

Aha - Harry odwrócił głowę, by ukryć płomień w źrenicach. Mag dzwoniła. To było przecież najważniejsze ze wszystkiego. Czy długo to potrwa? Czy długo jeszcze potrafi balansować na śliskiej krawędzi przepaści?

- Mówiła co?

- Tak, pytała o pana. Zawiadomiłem ją o pańskim wyjeździe do Nenany w sprawach bankowych. Kazała zakomunikować, że o dziesiątej jedzie do Eastern Creek.

Pokrywająca czoło Harry'ego chmura zniknęła bez śladu. Chciała się z nim widzieć, inaczej nie kazałaby przecież powtarzać o zamierzonej wycieczce. Słońce jeszcze świeciło. Dzisiaj należało do niego, a jutro... et... nie warto rozmyślać. Widmo minionych chwil i tego co nadciągało z nieubłaganą grozą, zapadło w nicość.

Rzucił okiem na zegarek. Dochodziła szósta. Miał więc masę czasu. Droga do Fairbanks nie powinna zabrać więcej niż pół godziny.

- Obudźcie mnie o dziewiątej trzydzieści.

Tak jest, sir - w głosie Johnsona zadźwięczała ukryta nagana. Wciąż jeszcze uważał Harry'ego za panicza, którym potrzeba się opiekować. A takiego trybu życia, jaki ostatnio prowadził, nie wytrzymują najbardziej nawet niespożyte siły. Po całonocnej podróży przy kierownicy, niecałe trzy godziny snu. To już zaczynało przeczyć po prostu wskazaniami zdrowego rozsądku!

- Aaa Harry dopiero w tej chwili przypomniał sobie coś niezmiernie ważnego. Zatrzymał się na ostatnim stopniu. Musiał za wszelką cenę wyprawić Johnsona. Nawet oczy wiernego służącego mogły w pewnych warunkach grozić niebezpieczeństwem.

Zadzwońcie do... elektrotechnika, żeby przyjechał. Instalacja w moim gabinecie szwankuje. A może po prostu grzejnik zepsuty.

- Dobrze, sir.

- Ale zaraz - dodał niecierpliwie, widząc, że Johnson stoi w miejscu.

Idę lokaj podreptał w kierunku schodów.

Coraz więcej dziwaczny zamruczał z niepokojem, gdy już dotarł poza zasięg słuchu swego pana po co niby taki gwałt z tym elektrotechnikiem? O szóstej rano? Śmiało mógłby poczekać z tym do wieczora - westchnął sięgając po słuchawkę. - Stanowczo paniczowi przydałby się porządny odpoczynek.

Harry tymczasem zbiegł pośpiesznie z powrotem do samochodu. Rozejrzał się po podwórku. Pusto. Błyskawicznym ruchem schylił się na skrytkę umieszczoną pod siedzeniem, wydobywając sporą walizę. Jej zniszczony wygląd zupełnie jakoś nie pasował do otoczenia. Gdy wchodził na stopnie prowadzące na ganek, we wnętrzu walizki brzęczało coś metalicznym głosem.

- Ależ tak... mówię wyraźnie: instalacja zepsuta - tłumaczył komuś z ożywieniem Johnson. Harry odetchnął. Zdażył. Podniósł wieko solidnej dębowej skrzyni, stojącej pod ścianą hallu i wsunął do jej wnętrza walizkę, potem ostrożnie opuścił wieko, żeby broń Boże nie trzasnęło za głośno. Przekręciwszy klucz w zamku schował go starannie do kieszeni. Teraz już wszystko było w porządku. Mógł wreszcie pomyśleć o kąpieli.

IV

INSPEKTOR MAC DUFTY

Gęste kłęby dymu tytoniowego zaścielały gabinet inspektora. Powietrze pachniało jak w dobrze prosperującej wędzarni. Sam inspektor Mac Dufty tkwił głęboko w fotelu za wielkim biurkiem, strasząc swych podwładnych groźnym marsem na czole. Był wściekły i miał po temu całkiem poważne powody.

- Człowiek może dostać obłędu - mruzczał gniewnie, przeglądając po raz nie wiadomo który plik papierów przyniesionych przez swego pomocnika Hersta - zaledwie wróciłem z urlopu i taki pasztet. W końcu dojdzie do tego, że w ogóle nie będzie można wyjeżdżać poza rogatki Fairbanks. Wilk. Wciąż Wilk. Tam napad, tu napad. Ani zipnąć w tym przeklętym okręgu. Już ja tego Wilka... Niech go tylko dostanę w swoje ręce... - Zgrzytnął zębami,

przecinając nieopatrznie papierosa, tkwiącego w ustach. Gorzki smak wilgotnego tytoniu spłynął wraz ze śliną do gardła.

- Tfu! - splunął w ostatecznej wściekłości wprost na podłogę, bez żadnego poszanowania dla lśniącej posadzki. Herst rozłożył bezradnie ręce, jakby tłumacząc, że nie ponosi za to wszystko żadnej odpowiedzialności. Rozumiał dobrze gniew inspektora. Bo pewno. Zaledwie zdążył wrócić z trzydniowej wycieczki do Parku Mc Kinleya, a tu napad na pociąg! Wyłuskanie zawartości ambulansu pocztowego. I Wilk. Znowu Wilk. Ci u góry będą oczywiście dusić bez litości. Nie popuszczą na jedną chwilę. Mieli już dosyć tego Wilka i jego sprawek. Od roku krzyczą jednym głosem: „Dawać głowę Wilka! Zaraz! Natychmiast!”
A skąd tę głowę wziąć?

Sami przecież wciąż nadsyłali swych wyźłów, z dolnych stanów. I to jakich wyźłów. No i co z tego wynikło? Powęszyli, powęszyli i wracali jak niepyszni z powrotem. Trzeba było widzieć ich miny. Cóż, nie tak łatwo wytropić Wilka.

- Spaney podał jego rysopis - zauważył bez większego przekonania.

- To już piętnasty z rzędu - warknął inspektor.

- Ma gęsty zarost na twarzy...

Inspektor spojrział spod oka na swego pomocnika. Usta jego wykrzywił zjadliwy grymas. - Gęsty zarost przedrzeźniał głos Hersta. - Właśnie. Tylko tego brakowało do kompletu! Raz ma wąsy, raz zarost, to znowu gładko wygoloną twarz. Zarost powtórzył - przyklejony oczywiście zamiast maski. Inaczej doszedłbym do wniosku, że na Alasce grasuje co najmniej tuzin Wilków.

- I... i... nie pali. To przecież też szczegół nie do pogardzenia... podsunął słabo Herst. Inspektor aż podskoczył na swoim fotelu. - Nie pali! - wałnął pięścią w stół. Też dla niepoznaki oczywiście. Szkoda gadać. Na pewno w chwilach wolnych od swych „zajęć” kopci jak fabryczny komin.

Herst zrobił męczeńską minę. Naprawdę rozmowa z inspektorem w dniu dzisiejszym nie należała do zadań specjalnie przyjemnych ani łatwych.

- Cóż - westchnął z rezygnacją skoro waszym zdaniem wszystko „dla niepoznaki”, powinniśmy szukać osobnika o wręcz przeciwnym rysopisie. Gładko wygolonego i nadużywającego nikotyny...

Inspektor nagle podniósł głowę, wlepiając badawczy wzrok w twarz swego pomocnika. Trwało to zaledwie nieznaczny ułamek sekundy, po czym jego rysy przybrały znowu poprzedni wyraz rozgoryczenia. Herst niczego nie zauważył. A gdyby nawet dojrzał

tajemnicze płomyki w oczach zwierzchnika nie zwróciłyby to na pewno jego uwagi. Po prostu nie zrozumiałby ich znaczenia.

Może macie i rację... - mruknął inspektor. Głos jego przy tych słowach zabrzmiał cokolwiek głuchym dźwiękiem.

Herst wzruszył lekko ramionami.

- No... bo pewno - bąknął - ten cały Wilk musi jakoś ostatecznie wyglądać... Może chcecie przesłuchać Spaneya?

Kącik ust inspektora drgnął ledwie widocznym skurczem. Wzrok jego padł na rozłożone na biurku papiery.

Spaney - powtórzył z namysłem. - Któż to taki?

Herst odwrócił ku niemu głowę. Teraz już w twarzy inspektora nie było niczego niezwykłego. Wyglądał jak zawsze.

- To maszynista napadniętego przez Wilka pociągu. Zatrzymali go do waszego powrotu. Władzom kolejowym nie bardzo się podobało ale zdołałem im wytłumaczyć - wyjaśnił z odcieniem chępliwości.

- Uhum - chrząknął obojętnie Dac Dufty. - Zapewne dobrzeście zrobili... Lepiej osobiście pogadać z jegomościem. Może wyduszę z niego coś więcej, aniżeli jest w protokole. Sprowadźcie go...

Już sprowadzony - oświadczył z zadowoleniem Herst - czeka na dole.

Nie upłynęło nawet pięć minut, gdy w drzwiach stanął Spaney. Przymrużył oczy chcąc dojrzeć cokolwiek poprzez mgłę tytoniowego dymu, szczelnie wypełniającą pokój. Minę miał mocno zastraszoną. Te wszystkie historie wyprawiane z nim przez „nierobów w granatowych mundurach”, jak zazwyczaj pogardliwie określał policję, zaczynały go już porządnie nudzić. No, bo pewno. Od dwóch dni nie przestawali go maglować na wszystkie strony. - Do tego to zdolni - pomyślał niechętnie wchodząc do wnętrza gabinetu - ale złapać Wilka, to ani rusz.

Zaproszony urzędowo uprzejmym głosem inspektora, opadł ociężale na fotel. Miał tego dosyć. Życie po prostu człowiekowi nie daje.

- Pan mnie wzywał? - mruknął z determinacyjną opryskliwością.

- To jest inspektor - zauważył z naciskiem Herst.

Spaney łypnął na niego oczyma i nic nie powiedział. Wyglądało jakby w ogóle nie dosłyszał, że podinspektor coś mówił. Nie da sobie przecież grać na nosie jakimś tam łapaczom.

Mac Dufty spojrzał na niego uważnie. Przez chwilę wzrok ich zetknął się i zwał w niemym kontakcie. W głębi źrenic Spaneya przez mgnienie oka zamigotał wyraz zdumienia. Zgasł jednak w tym samym niemal momencie, stłumiony stalowo chłodnym wzrokiem inspektora... Nedorzeczna myśl rodząca się w zakątkach mózgu zapadła w nicość zanim zdołała przybrać konkretne kształty.

- Nazywacie się Tim Spaney? - padło suche pytanie zza biurka.

Spaney kiwnął głową.

- Pytano mnie o to samo co najmniej dziesięć razy - mruknął niechętnie.

- Tak - palce inspektora turlały wieczne pióro po blacie biurka.

- Wasz ton nie jest jednak właściwy - skonstatował spokojnie.

W głosie jego brzmiało znużenie.

Tym razem zauważył to również i Herst. Nie dziwiło go bynajmniej. Cóż - pomyślał ze współczuciem - sprawa tego przekłętego Wilka może wyciągnąć nerwy z człowieka choćby nawet były ze stali.

Spaney poczerwieniał z gniewu. Uwaga inspektora dotknęła go do głębi.

- Nie będziecie mnie uczyć jakim tonem mam mówić - wrzasnął wściekle.

Zaczynało go ponosić. Gorycz nagromadzona w piersi w czasie tych dwóch dni spędzonych niemal całkowicie w urzędzie policyjnym, wymagała rozładowania.

Herst zrobił krok naprzód w kierunku Spaneya. Takim tonem do inspektora? Czort wie, co może jeszcze wpaść do głowy temu zwariowanemu maszynieście!

- Wprost przeciwnie - zaprzeczył Mac Dufty będę was uczył właściwego tonu i jeżeli nie pomoże...

Spaney zacisnął palce na krawędzi fotela. To już przechodziło wszelkie pojęcie. Ten waśniak przemawia do niego jak do ostatniego pętaka. - Już ja mu pokażę! Oczy jego zwęziły się w poprzeczne szparki. Spaney był dobrym chłopcem, ale nie znosił, gdy ktoś okazywał mu lekceważenie. Bez względu na to kto.

- To co? - wycedził przez zaciśnięte zęby. Wyglądało, jakby lada sekunda miał skoczyć na inspektora. Herst mimo woli wyciągnął ręce.

Inspektor uważnie obejrzał złotą stalówkę swego pióra.

- Nic wielkiego, oczywiście. Po prostu każę was zamknąć - zakończył niemal uprzejmie. Spaney raptownie osowiał. Prawda. Mogą go zamknąć. Jeszcze tego brakowało, by dla ukoronowania pobytu w Fairbanks miał spędzić kilka dni w celi! Nie warto ryzykować. Lepiej trzymać buzię na kłódkę. Niech się wygłupia, jeżeli mu to sprawia przyjemność.

Przez dłuższą chwilę w gabinecie panowała przygniatająca cisza. Inspektor umiał wytwarzać odpowiedni nastrój do badania. Spaney ciężko dyszał, jakby właśnie przed chwilą zakończył męczący bieg.

- Tak - bąknął wreszcie, prawie potulnym tonem - nazywam się Timotheus Spaney... lat...

Dziękuję powstrzymał go lekkim gestem inspektor - resztę personaliów mamy już w aktach.

Spaney odetchnął z ulgą. Inspektor widocznie nie miał zamiaru korzystać ze swej przewagi. Właściwie nie było czego zaraz się indyczyć. Ale od tej historii z Wilkiem nerwy maszynisty najweselszego w całej rządowej kolei chodziły na wszystkie strony, jak rozluźnione sprężyny.

Powiedzcie mi - stalówka watermana w ręku inspektora zaczęła kreślić jakieś litery arabskie na boku arkusza - czyście dokładnie widzieli waszego rzekomego pomocnika? - zapytał z naciskiem.

Spaney zmarszczył brwi, rozmyślając nad pytaniem.

Nie - zaprzeczył wreszcie. - Nie mogę powiedzieć, żeby za dokładnie. Przeważnie był odwrócony do mnie plecami. Albo ja do niego. Zwyczajnie, jak na parowozie. Na tym odcinku człowiek musi mieć oczy otwarte. Podły kawałek drogi.

- Aha - Mac Dufty przymrużył znacząco oko w kierunku swego pomocnika więc nie bardzo dokładnie... A pomimo to podaliście do protokołu jego szczegółowy rysopis?

- Ba wydał wargi - dla mnie wystarczy jedno spojrzenie. Poznałbym go nawet w nocy.

- Czyżby? inspektor patrzył gdzieś w przestrzeń. Na wargach jego błąkał się ledwie dostrzegalny cień uśmiechu.

- A tak - maszynista potwierdził z przekonaniem - nawet o milę dojrzałbym tego gagatka.

Uhu pióro inspektora zawisło w powietrzu a ten jego zarost?

- Przede wszystkim zawołał z ożywieniem wyglądał jak nie przymierzając małpa:

- A... może był przylepiony.

- Oooo! - Spaney wytrzeszczył oczy. Przylepiony? Dotychczas taka możliwość nie powstała mu w głowie. Zanurzył palce w gęstwinie nieco zwichrzonej czupryny, jakby chcąc wydobyć spod czaszki jakąś myśl.

- Przy-le-piony? powtórzył jeszcze raz sylabizując powoli.

- Czyja wiem? - wzruszył w końcu bezsilnie ramionami wszystko możliwe.

- Możliwe... oczywiście - inspektu postawił kilka kropek, pedantycznie usiłując zachować między nimi taką samą odległość.

- Ale pytam was o rzeczy bardziej konkretne. Czy nie zauważyliście w tym zaroście niczego, co by wskazywało, że jest on przyprawiony?

- Nnie, niczego poza jego niezwykłą gęstością...

- Tak, to rzeczywiście niewiele jeszcze mówi - westchnął inspektor. - No, a głos tego jegomościa?

- Głos? - Spaney skrzywił się pogardliwie. - Paskudny. Jak z uszkodzonego gramofonu.

- Robił wrażenie naturalnego? Spaney pokręcił przecząco głową.

- Wprost przeciwnie, chyba go zmieniał. Ale szyi bym za to nie dał - zastrzegł się ostrożnie.

- I nie palił? inspektor podkreślił jakieś słowo na leżącym przed sobą protokole.

- Ani nawet. Poczęstowałem go na początku papierosem, to zrobił minę, jakbym mu proponował truciznę.

- A zęby?

- Zęby? - nie rozumiał Spaney - co zęby?

- Jakie miał zęby? Widzicie - wyjaśnił cierpliwie - jeżeli zauważyliście na przykład na jego uzębieniu osad nikotyny - wiedzielibyście od razu, że tylko udawał z tym niepaleniem.

- Niestety - oświadczył ze skruchą Spaney - nie widziałem jego zębów. Nie można powiedzieć zresztą, aby je zbyt często szczyrzył.

Mac Dufty spochmurniał.

- Szkoda. Mielibyśmy choć jedną wskazówkę, nie czyniącą wrażenia charakteryzacji obliczonej na wyprowadzenie nas w pole...

- Cóż robić przytknął palcami Spaney. Nie mogłem przecież przewidzieć tego, co zajdzie. Na przyszłość będę chyba każdemu podchodzącemu na milę do parowozu zaglądał w zęby.

Herst odwrócił głowę, by ukryć uśmiech. Groźba inspektora poskutkowała niespodziewanie. Teraz ten tak awanturczy jeszcze przed kilkoma minutami maszynista, czynił wrażenie potulnego jagnięcia. Mac Dufty wiedział jak należy postępować z ludźmi. On, Herst, na pewno by w tym wypadku nie zdołał sprostać sytuacji. Nie umiałby odpowiednio spreparować tego cholerycznego typu. Doszłoby do grubszej awantury. Zawsze zresztą czuł pełne uznanie dla kunsztu swego szefa.

- A poza tym - zaczął znowu inspektor - czy wam nic nie podpadło w jego sylwetce?

- Mnie - bąknął Spaney - zupełnie nic. Nawet nie wiem, czy był gruby, czy też chudy. Sami rozumiecie, jak człowiek wygląda w roboczym kombinezonie...

- Otóż to - inspektor porywczo odłożył pióro na bok i oparł prawą dłoń na biurku. Rozmyślał nad czymś. Jego krótko obcięte paznokcie zaczęły wystukiwać na blacie jakiegoś smętnego marsza. - Tyle wiemy co i przedtem.

Herst potaknął filozoficznie kiwnięciem głowy. Pieska sprawa. Wszystkie drogi prowadziły w próżnię.

Mac Dufty powolnym ruchem wyjął z kieszeni papierošnicę. Twarz jego była mroczna, ale zupełnie spokojna. Niewzruszony spokój inspektora stanowił przedmiot podziwu u ludzi, z którymi się stykał.

- Jeszcze nie widziano, aby cokolwiek potrafiło wytrącić go z równowagi. Odpowiedni człowiek na odpowiednim miejscu - powtarzali niejednokrotnie z dumą mieszkańcy okręgu.

- Zapalicie? - podsunął otwartą papierošnicę Spaneyowi. Herst obserwował uważnie całą scenę. Uczył się. Każdą obecność przy badaniu przeprowadzanym przez inspektora uważał za cenną lekcję postępowania z ludźmi. - Wpierw go wziął krótko za cugle, a teraz chce ośmielić, aby nabrał odwagi do gadania - stwierdził w duchu.

Spaney skwapliwie skorzystał z zaproszenia. Prawdę mówiąc od dawna czuł nieprzewartą tęsknotę za nikotyną, ale po ofuknięciu na wstępie jakoś nie miał śmiałości sięgnąć do kieszeni. - W rezultacie wcale nie najgorszy chłop - pomyślał o inspektorze, zaciągając się z lubością dymem.

Inspektor też zapalił.

- Widzieliście pozostałych bandytów? - zapytał po chwili.

- A jakże - potwierdził z ożywieniem. Wilk kazał mi stanąć plecami do siebie, więc chcąc nie chcąc patrzyłem cały czas w okno.

- Wilk - podkreślił od niechcienia inspektor - jesteście pewni, że to właśnie on?

- Ani chybi, że właśnie on - Spaney dopiero teraz siadł wygodnie w fotelu. Do tego momentu siedział na samym brzeżku. Ale od poczęstowania papierosem odniósł wrażenie, jakby atmosfera panująca w gabinecie nagle zmieniła swój charakter. Czuył się prawie przytulnie.

- Nikt inny nie potrafiłby tego zorganizować w taki sposób. W każdym najdrobniejszym szczególe napadu znać było plan. Szło jak w zegarku. Wilk ma głowę na karku - dodał z mimowolnym uznaniem.

- Niestety - mruknął nienawistnie Herst - to prawda. Inspektor milczał, przebiegając oczyma protokół - ilu ich było?

- spojrzął na Spaneya.

- Hm - chrząknął z zakłopotaniem - żeby tak dokładnie ich liczył, to nie powiem. -
Widzicie - poczerwieniał lekko - człowiek jakoś nie miał wtedy głowy do rachunków.

Utkwił oczy w podłódze. Wspomnienie własnego zachowania w czasie napadu nie sprawiło mu najmniejszej przyjemności.

- Oczywiście... to zupełnie zrozumiałem. - Głos inspektora brzmiał uspokajająco - może jednak potraficie wskazać choć w przybliżeniu ich liczbę? Do protokołu zeznaliście: kilkunastu - to przecież nic nie mówi. Bliżej to jedenastu czy też do dziewiętnastu?

- Raczej do dziewiętnastu. A może nawet dwudziestu, albo jeszcze więcej. Jednego z nich ludzie z ambulansu utrupili a w każdym razie ciężko ranili. Leciał im przez ręce, gdy nieśli go w stronę lasu.

Palce inspektora powędrowały szybko w stronę porzuconego pióra.

- Tego przecież nie mówiliście w czasie pierwszego badania?

- Chyba nie - bąknął słabo - jakoś mi to wyleciało z pamięci. Inspektor wpisał kilka słów do protokołu.

Herst zaczął słuchać ze zdwojoną uwagą. Nowy szczegół i to nie byle jaki. Jeżeli jeden z bandytów został zabity w czasie napadu, to musieli go gdzieś w pobliżu zakopać. Na pewno nie taszczyli ze sobą. Będzie można odszukać. A trup potrafi niejednokrotnie powiedzieć znacznie więcej niżeli żywy. Rannego też musieli gdzieś umieścić. W każdym razie zaświtała nadzieja znalezienia jakiejś choćby najsłabszej nici. Niech no Dufty dostanie taką nić do ręki. Wtedy już koniec z Wilkiem.

Dokąd uciekali? - zadał pytanie inspektor - czy prosto w stronę lasu?

- Jak strzelił.

- A ten... Wilk, jak go nazywacie, pozostał jeszcze przez pewien czas z wami na parowozie? - Wskazujący palec inspektora błędził po linijkach gęsto zapisanego arkusza..

Tak. Gdy tamtych diabli wzięli, kazał mi uruchomić maszynę.

- Widzieliście kiedy zeskoczył?

- Nie... zupełnie. Zakazał mi nie oglądać się, a ponieważ przez cały czas trzymał w garści pistolet... - dodał z usprawiedliwieniem - w każdym razie w niedługim czasie od momentu, gdyśmy ruszyli. Może jakieś dwie mile od tamtego miejsca. Tak coś koło tego.

Ktoś zastukał delikatnie do drzwi. Herst wyjrzał na korytarz nie chcąc, by przeszkadzano w badaniu. Po chwili podszedł do biurka, kładąc na nim podłużną szarą kopertę.

- Telefonogram. Poufny. - Przymrużył znacząco oko.

- Tak - inspektor obracał kopertę pomiędzy palcami nie otwierając jej jednak. - To byłoby wszystko. Jesteście wolni.

Spaney zerwał się gwałtownie z krzesła.

- Mogę wracać do domu?

- Możecie - przyzwolił z uśmiechem. - W razie czego, potrafię znaleźć was i w Curry.

- Bywajcie zdrowi.

Spaney zgiął swą otyłą figurę w niezgrabnym ukłonie i zrejterował pośpiesznie.

Inspektor przeczekał, zanim nie zniknął za drzwiami, po czym dopiero rozerwał kopertę. Przebiegł niecierpliwie oczyma kilka linijek maszynowego pisma.

- No i co? - zapytał ciekawie Herst - znaleźli?

- Guzik - podał mu papier - przeszukali każdą piędź w promieniu paru mil i nic...

Najmniejszego śladu. Śnieg zasypał wszystko.

Znowu zapukano do drzwi. Herst wzruszył z niezadowoleniem ramionami.

- Łażą jak na jarmarku - mruknął pod nosem.

Do gabinetu wsunęła się niska postać o kocich ruchach. Brunatny odcień skóry i wystające kości policzkowe na twarzy przybyłego wskazywały, że w jego życiu dominowała krew indiańskich przodków.

- Witaj, Salambo - uśmiechnął się przyjacielsko inspektor - przynosisz coś nowego?

Mieszaniec wyszczerzył żółte zęby.

- Coś niecoś, panie inspektorze - podszedł miękkim krokiem do biurka.

Patrzyli wyczekująco na gościa. Salambo, nie wzywany niezmiernie rzadko odwiedzał gmach komendy. Jego przyście oznaczało, że przynosi coś, czego warto posłuchać. Nigdy nie zawracał głowy błahostkami. Miał dobrą markę u zwierchników. Wyżeł. Choć domowego chowu, potrafił czasami wywąchać historyjki, o jakich by się nie śniło nawet jego osławionym kolegom z dolnego kraju. - Otóż, proszę panów - zaczął, zniżając głos...

V

WYCIECZKA

Była za kwadrans dziesiąta, gdy osadzony naciśnięciem hamulca samochód Harry'ego zamarł w bezruchu przed wspaniałym podjazdem domu dyrektora Bartona w Fairbanks.

Harry rzucił nieco zakłopotanym spojrzeniem na zegarek.

- Naturalnie - stwierdził z niezadowoleniem - jak zawsze za wcześniej.

Nigdy nie potrafił tak wycelować, by nie przybyć choć parę minut przed oznaczoną godziną. A przecież wyjechał z „Forwardsu” dopiero za pięć wpół do dziesiątej. Powinien dotrzeć do miasta akurat w porę. No tak, to prawda. Gazował mocno przez całą drogę. Cóż dziwnego. Jechał do Mag, a w takich momentach nie myślał o niczym innym poza tym, by ją ujrzeć jak najprędzej.

Chyba poczeka ten nieszczęsny kwadrans w samochodzie? Bo jeszcze dyrektor gotów sobie o nim pomyśleć Bóg wie co.

Za późno! Za drzwiami zabrzmiały czyjeś kroki. Musieli usłyszeć piskliwy zgrzyt hamulców. Zaraz wylezie jakiś napuszony sługus. Pełno tego w dyrektorskim domu.

- Tak.

- Zdecydował - powiem mu, że przyjadę za kwadrans. Wpadłem tylko po drodze, by upewnić się, czy zamierzona wycieczka dojdzie do skutku. To będzie najlepsze.

Drzwi bezszelestnie zapadły w głąb. W półmroku zalegającym hall zajaśniała niewyraźna plama ogorzałej twarzy, otoczonej aureolą kasztanowych włosów.

- Mag! - jednym susem znalazł się na chodniku.

Pobiegł ku niej chwytając jej szczupłe ręce w żelazny uścisk swych dłoni. - Mag - powtórzył, zatapiając rozkochane spojrzenie w szmaragdowych źrenicach. W tej chwili nie był zdolny do powiedzenia niczego więcej. Tak dawno jej nie widział. Całe dwa dni.

- Jesteś kochany, żeś przyjechał. - Ale - przesunęła troskliwie oczyma po jego wymizerowanej twarzy - nie zdążyłeś wypocząć po drodze. Nie powinnam była mówić Johnsonowi o dzisiejszej wycieczce.

Przytulił wargi do jej rąk.

- Zrobiłabyś mi wielką krzywdę, Mag - spojrzał na nią z wyrzutem.

- Pomyśl - szepnął żarliwie - nie widzielibyśmy się znowu przez cały długi dzień. Zresztą i tak bym pojechał za tobą. Chyba żebyś nie chciała tego...

- Harry - oczy jej pociemniały z gniewu. - Jak możesz mówić w ten sposób? Czyż nie wiesz...

Nie zdążyła skończyć. Z głębi klatki schodowej dobiegł gderzący głos, wpadający obcym dysonansem w muzykę jej słów.

- O, to panienka sama pobiegła otwierać drzwi. Utrapienie tylko z panienką. Jak z małym dzieckiem. Człowiek nie może upilnować na chwilę...

Harry spochmurniał.

Człapiące kroki oznaczały koniec rozmowy w cztery oczy.

- To Bella - wyjaśniła z pobłażliwym uśmiechem Mag.

- Zobaczyłam cię przez okno i nie mogąc się doczekać, aż ci ktoś otworzy, zbiegłam na dół. Będzie uważała to pewno za wielką nieprzyzwoitość.

Z półmroku panującego w hallu wychyliła się sylwetka starej, nieprawdopodobnie otyłej Indianki.

Mag wysunęła delikatnie dłonie z jego rąk.

- Czy zawsze będzie nam asystowała? - szepnął Harry smętnie. Mag przesłała mu przepraszający uśmiech.

- Nie gniewaj się. Spełnia tylko polecenia ojca. Wiesz jaki jest ojciec. Uwaga, że nie wypada, by młoda panienska przebywała sam na sam z mężczyzną... Wierzaj - dodała po chwili, spuszczać oczy mnie samej... jest też czasami bardzo przykro. Gniew Harry'ego zgasł w jednej chwili pod wpływem jej słów.

Miała rację. Bella nie ponosiła żadnej winy za swą ustawiczną obecność w czasie ich spotkań. Tak, znał dobrze dyrektora Bartona. Zdążył go poznać przez kilka miesięcy narzeczeństwa z Mag. Dyrektor miał niezwykle surowe poglądy na to, co wypada, a co nie.

- Kochanie... - więcej już nie zdążył. Rozlewna postać nadpływała majestatycznym krokiem.

- Aaa - podniosła wyblakłe oczy na Harry'ego, jakby go dopiero w tym momencie dojrzała - mister Coss! - Dygnęła z gracją słonia.

Miał wrażenie, że podłoga zadrgała niepokojąco pod jej ciężarem. - Pan jedzie z nami do Eastern Creek?

- Z nami - zachnął się w duchu. Z trudem pokonał grymas niechęci, maskując go uśmiechem.

- Tak - bąknął tonem, którego mimo najlepszej chęci, nie można było nazwać uprzejmym przyjechałem po miss Mag.

- Zaraz będziemy gotowe. Musimy się ubrać. Pan poczeka w saloniku, na dole - oznajmiła Bella bezapelacyjnie.

Harry ruszył lekko ramionami. Stara panoszyła się w domu jak szara gęś. Ale na to nie było rady. Za nią stał ojcowski autorytet Bartona.

Idziemy, miss Mag - sunęła niczym lawina w stronę schodów.

- Oczywiście włożę spodnie - zawołała Mag.

- Spodnie! - Indianka podniosła ramiona obrosnięte olbrzymimi warstwami tłuszczu, jakby wzywając pomocy nieba. Nie protestowała jednak. Dyrektor Barton pozwalał jedynacze nosić ten, jak uważała, strój zupełnie nieprzyzwoity dla panny z dobrego domu.

- Będziemy jeździli na nartach - Mag klasnęła w dłonie. Wiesz, ta górka w parowie, wcale nie jest najgorsza. Zobaczymy, kto skoczy dalej. Zaraz będę gotowa. Przechodząc obok narzeczonego spojrzała na niego prosząco. Nie złość się na nią i na... mnie, Kochany - wionęła ledwo dosłyszalnym szeptem - wskazując wzrokiem na piastunkę - jestem oczkiem w jej głowie, toteż może przesadza trochę w swojej gorliwej opiece.

Gonił za narzeczoną rozkochanymi oczyma. Jakżeby mógł się gniewać? Dla niej przecież gotów był na wszystko. Nie tylko zresztą gotów. Robił... więcej, niż wszystko. Ba, gdyby wiedziała...

- Harry! - przystanęła przeszedłszy kilka kroków - zabrałeś ze sobą swoje narty?

- Narty? - powtórzył niemal bezmyślnie. O, narty, na śmierć zapomniałem o nartach. Od momentu przyjazdu osoba Mag wypełniała jego myśli bez reszty. Nie był zdolny pamiętać o czymkolwiek poza nią. Przedtem w czasie podróży co innego. Całym wysiłkiem woli musiał skierować mózg na zadanie, jakie miał przed sobą. Sekunda rozmyślań o narzeczonej mogła zagrozić niepowetowaną katastrofą. Ale gdy już powrócił do domu. Widzisz... ja... - wyjąkał skonfundowany.

Mój pan zapominałski jak zwykle. Ale nic nie szkodzi. Weźmiesz deski Dicka. Będą one na ciebie jak ulał - pobiegła szybko po schodach znikając za załamaniem ściany. - Zaraz wracam - zabrzmiał w oddali jej głos.

Jak ulał - powtórzył z przekonaniem. Nic go w tej chwili nie obchodziło, że brat Mag, student Akademii Górniczej w Fairbanks, dorastał mu zaledwie do szyi i jego narty na pewno nie sięgają wyżej aniżeli do łokcia. Nie zdawał sobie nawet w przybliżeniu sprawy, jak długo trwała jej nieobecność. Gdy zbiegła już w narciarskim kostiumie, zastała go w hallu w tej samej pozycji, w jakiej widziała go odchodząc.

- Cóż to? pogroziła mu żartobliwie paluszkami - nie poszedłeś do salonu?

Czekałem - westchnął... Harry w obecności Mag był zupełnie innym człowiekiem niż tamten, wędrujący sobie tylko wiadomymi, pokrytymi mrokiem tajemniczy ścieżkami.

Na pewno żaden z tych, z którymi spędzał wczoraj wieczór, nie poznałby go w tej nedorzecznej postaci zakochanego do otępienia mężczyzny. Wczoraj stał dzisiaj jedwab. Któż zdoła przeniknąć wszystkie tajemnice duszy ludzkiej?

Jesteś naprawdę Kochany wspięła się na paluszki dotykając na mgnienie oka jego wargi miękkimi pachnącymi wiosną ustami. Odskoczyła gwałtownie. Schody zatrzeszczały ostrzegawczo. Odgłos kroków Indianki łomotał po nich, niby huk dalekiego gromu.

Bella wyglądała jak prawdziwe czupiradło. Jakieś mantylki i inne w tym rodzaju części garderoby zamierzchłej mody, założone kopiasto jedno na drugie, pogrubiały jeszcze jej i bez tego monstrualnie rozlewną figurę.

- Dla takiej fasy przydałaby się ciężarówka - pomyślał złośliwie, odwracając z niechęcią głowę.

Nie było mowy, by zdołała o własnych siłach włączyć się na zapasowe tylne miejsce samochodu Harry'ego. Musiał jej w tym pomóc z niemałym trudem barczysty Bob, czarny służący dyrektora. Harry usiadł obok Mag. Jakby to było rozkosznie, gdyby nie para czujnych oczu wlepionych w ich plecy. No i nie mniej czujne uszy chciwie wchłaniające każde słowo.

Nacisnął starter. Pokażę tej babie prawdziwe tempo zdecydował w duchu. - Może na przyszłość zrezygnuje z towarzyszenia podczas naszych przejażdżek.

Mag zerknęła w zasępioną twarz narzeczonego. Uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- Harry - poprosiła tylko nie jedź zbyt szybko. Bo ostatnim razem Bella bardzo niepokoiła się o całość swej osoby i powtórzyła tatusiowi. A tatuś...

Skinął w milczeniu głową. Tak, to oczywiście decydowało. Zamiar postraszenia Indianki wziął z miejsca w łeb. Nie chciał się narażać na gniew dyrektora. Barton trzymał krótko swą jedynaczkę i mógł po prostu zabronić wspólnych wycieczek. Jechał powoli i ostrożnie po pustych ulicach. Minęło dobrych kilka minut, zanim płytki gąsienic głucho zachrobotyły po gładkiej nawierzchni mostu. W odległości kilkudziesięciu stóp pod nimi Tanana toczyła leniwie swe mętne nurty. Tu i ówdzie jaśniały płaty płynącej kry.

Patrz, Harry zawołała radośnie Mag - lada dzień stanie. Nareszcie będę miała porządną ślizgawkę.

Odpowiedział jej nieco smętnym uśmiechem. Nie czuł jakoś pociągu do łyżew, a poza tym miał niezbyt przyjemne wspomnienie z loterii lodowej. Niewiele nawet chybił: niecałe dwie godziny, ale te nieszczęsne kilkadziesiąt minut kosztowały go okrągłe pięć tysięcy dolarów. Było to dwa lata temu. Postawił ostatnie pieniądze, szukając rozpaczliwie ratunku przed nadciągającą ruiną. Został bez grosza. Wtedy właśnie sięgnął do tamtego źródła.

- Przecież i teraz masz ślizgawkę - zauważył, odrywając wzrok od brunatnej wody.

- At wykrzywiła pogardliwie usta taka tam ślizgawka. Na betonie. Zanim zdążę wziąć porządny rozpęd, napotykam ze wszystkich stron bariery. Żadna przyjemność. Co innego na rzece - tu można pędzić w bezkresną dal...

- Aha - odezwała się znowu po chwili byłabym ci zapomniała powiedzieć. - Będiesz się śmiał. Dziś rano Mac Dufty przysłał mi kosz kwiatów.

- Oo - dźwięk, który wypłynął z ust Harry'ego, niczym nie przypominał śmiechu - znowu?

- Znowu - potwierdziła wesoło. - To już dziesiąty raz w ciągu dwóch miesięcy. Mówię ci, taki olbrzymi kosz - rozłożyła ramiona dla zilustrowania jego wielkości. - Pomyśl, teraz, w zimie.

Syknął przez zaciśnięte zęby. Mac Dufty był zupełnie przystojnym mężczyzną. Nie widział wcale komizmu w ustawicznym adorowaniu Mag przez inspektora.

Przecież... to - mruknął zachmurzony do niczego niepodobne Dlaczego? - spojrzała na niego przekornie mister Mac Dufty stara się o moją rękę wedle wszelkich prawideł.

- A ja? twarz Harry'ego stężała.

- Ty, to zupełnie coś innego dopóki jednak nasze zaręczyny nie zostaną ogłoszone oficjalnie, nie mogę mu zabraniać.

Tak z oczu Harry'ego powiał lodowaty chłód, jakby odbijał blask z kry płynącej po Tananie nie możesz mu zabronić. Ale... urwał zaciskając wargi.

- Nie wolno ci urządzać żadnych awantur - oświadczyła stanowczo. Wiesz, tatuś...

- Wiem - w kącikach jego ust zarysowała się głęboka zmarszczka. Nie będzie żadnych awantur. Niech inspektor przysyła kwiaty. Niech łązi za tobą, dopóki...

- Dopóki co? zapytała żywo.

Nie podobał się jej wyraz oczu narzeczonego.

Nic machnął niedbale ręką.

- Powiedziałem to bez żadnej myśli.

Zamilkł, kryjąc źrenice pod pół przymkniętymi powiekami. Nie chciał, by wyczytała w nich to, co zastygło w nieodwołalne postanowienie, pod osłoną czaszki.

Mag obserwowała go badawczo. Bywały takie chwile, w których miała wrażenie, jakby nagle stawał się zupełnie obcy. Nie rozumiała czasami wyrazu jego twarzy i oczu, szczególnie w ostatnich dniach.

- Harry - dotknęła leciutko palcami jego ręki nie jesteś ze mną szczery.

Uśmiechnął się z udaną niefrasobliwością.

- Ależ tak kochanie. Cóż miałbym przed tobą ukrywać?... Rozmawiałaś z ojcem o naszych zaręczynach? - zmienił szybko temat. Prosił ją o to przed odjazdem.

Splonęła rumieńcem.

- Tak - powiedziała cicho - rozmawiałam. Niestety, bez żadnego skutku. Oświadczył, że nie widzi powodu, by zmieniać ustalony poprzednio termin ogłoszenia. Wiesz jaki jest... - zawahała się króciutką chwilę... stanowczy. Na święta Bożego Narodzenia urządzi wielki bal

i wtedy właśnie poda do wiadomości publicznej nasze zaręczyny. Nie ustąpi ani jednego dnia - westchnęła.

To było do przewidzenia - bąknął, pochylając twarz nad kierownicą. Brak oficjalnych praw do Mag wobec ludzi zaczynał mu nieznośnie ciążyć.

- Każdy mógł jej nadskakiwać. Każdy mógł starać się o jej rękę. Chociażby ten Mac Dufty...

- Do Bożego Narodzenia jeszcze prawie miesiąc... - głos jego brzmiał głucho.

- Tak kochany - szepnęła, pochylając się nieznacznie ku niemu to okropnie długo.

W oddali zaczerniały kontury budynków Zjednoczonych Kopalń Złota”. Jeszcze kilkaset metrów i zatrzymał samochód przed biurowym barakiem.

- Może to i lepiej rzucił w przestrzeń kładąc palec na tasterze klaksonu.

- Co lepiej? spojrzała na niego zdziwiona. At... dalsze jego słowa utonęły w powodzi dźwięków syreny. Obite papą drzwi otworzyły się przepuszczając szczupłego młodzieńca w skórzanej kurtce. Klaniał się już z daleka. Twarz jego rozpromieniła się radosnym uśmiechem na widok Mag. Harry z trudem powstrzymał odruch niechęci. Ten smarkacz Corman był także zakochany po uszy.

- Czekamy już od rana... - zaczął nieco drżącym głosem powitalną przemowę.

- Czy jest dyrektor? przerwał mu bezceremonialnie Harry. Corman zerknął na niego spode łba.

- Jest - burknął półgębkiem i zapowiedział nam wizytę miss Mag podkreślił ze złośliwą satysfakcją - nie oczekiwaliśmy, że również i pan...

Ostry wzrok Harry'ego uderzył w oczy mówiącego. Corman dałby wiele, by móc wytrzymać atak siwych, podobnych teraz do lodowatych kryształów, źrenic. Nie zdzierzył jednak. Spojrzenie jego umknęło w bok.

Wyciągnął demonstracyjnie rękę, by pomóc Mag przy wysiadaniu. Harry zacisnął pięści. Stanowczo szczeniak za dużo sobie pozwala. Zaczynało go ponosić. Kto wie, czy nie doszłoby do grubszej awantury, gdyby Mag nie wyskoczyła zręcznie na ziemię, udając, że nie dostrzega dłoni Cormana.

- Ale - zauważył obojętnie Harry, wychodząc z samochodu - Bella na pewno nie zdoła wyleźć bez pańskiej pomocy wskazał niedbałym gestem na bezkształtne ciało Indianki, wypełniające szczelnie tylne siedzenie wozu. Młody sekretarz dyrektora aż poczerwieniał ze złości.

- Ja... - zaczął opryskliwie.

Tak, tak... zawołała radośnie Bella, przysłuchując się uważnie rozmowie - mister Corman być dobrym... dobrym... dżentelmenem i pomóc biednej niani od miss Mag.

Corman wpadł w sidła zastawione przez Harry'ego. Zamruczał coś niewyraźnie przez zęby i ruszył ku Indiance.

- Jesteś okropny - szepnęła z uśmiechem Mag, obserwując tę całą scenę.

- Bo... Harry umilkł, gdyż w tej samej chwili w drzwiach ukazała się sztywno wyprostowana postać dyrektora Bartona.

- Witajcie - podszedł ku nim. Córkę pocałował w czoło. Harry'emu uścisnął dłoń. Uścisk ten wypadł nijako. Barton wprawdzie nie protestował przeciw Harry'emu jako przyszłemu zięciowi, ale nie był specjalnie zachwycony wyborem jedynaczki. Jego aspiracje sięgały znacznie wyżej niż osoba przeciętnego farmera. A poza tym... Wprawdzie te inne zastrzeżenia, jak dotychczas miały nieokreślone kontury bezkształtnej mgławicy, mimo tego nie mógł jednak przejść nad nimi lekko do porządku. Dlatego właśnie nastawał na dotrzymanie dość odległego terminu oficjalnego ogłoszenia zaręczyn. Do tego czasu sprawa powinna się wyjaśnić w tę lub w tamtą stronę. Inspektor Mac Dufty napomknął niedawno w poufnej rozmowie, że już najbliższe dni mogą przynieść coś konkretnego.

- Będziemy jeździli na nartach - oznajmiła radośnie Mag, wsuwając stopy w wiązania desek.

- A to świetnie - przesunął pełnym miłości spojrzeniem po rozpromienionej twarzy córki. Śnieg dziś idealny. Taki miękki, puszysty.

- O tatusiu - podniosła z żartobliwą zgrozą ręce ku górze - jak możesz wygłaszać podobne herezje? Puch wcale nie jest idealnym śniegiem do jazdy.

Harry z trudem dopasowywał narty do swoich butów. Naturalnie okazały się za krótkie. O wiele za krótkie. Ale to nie miało żadnego znaczenia.

- No, panie guzdralski - Mag ujęła w dłonie bambusowe kijki - długo tam jeszcze?

- Już jestem gotów - zasunął byle jak końce rzemieni. Jedziemy!

VI

SALAMBO PRZYNOSI NOWINY

Zgodnie z pańskimi wskazówkami inspektorze... Nie dawałem wam żadnych wskazówek - fuknął gniewnie Mac Dufty. Mieszaniec spojrział na niego mimochodem. Wystarczyła jedna chwila, aby zorientować się co ma mówić. A właściwie czego mówić nie powinien. Skoro inspektor ma jakieś, sobie jedynie wiadome powody, aby ukrywać swą inicjatywę w tym kierunku śledztwa, jego rzecz. Nie należy iść na przekór intencjom inspektora, od którego zależała kariera.

Salambo stworzył sobie swoistą filozofię życiową; trzymał się jej wiernie. Jak dotychczas nie wychodził na tym źle.

- To jest... chciałem powiedzieć, wniosując z przedstawienia stanu sprawy przez pana inspektora - poprawił się natychmiast - zacząłem obserwować uważnie mieszkańców miasta i najbliższych okolic.

Teraz już ważył w myśli każde słowo, żeby znowu nie wyrwać się z czymś niepotrzebnym.

Herst nie zauważył tego krótkiego spięcia między wywiadowcą a swoim zwierzchnikiem. Zbyt był zaciekawiony relacją Salambo, by zwracać uwagę na szczegóły.

- Tak inspektor obserwował uważnie dym ulatujący ze swego papierosa i na kogo podkreślił nieznacznie zwróciliście specjalną uwagę?

Salambo zrozumiał w lot wskazówkę zawartą w pytaniu. Inspektor widocznie nie chciał, by od razu przystępować do sedna rzeczy.

Ciekawym zastanowił się w duchu o co mu właściwie chodzi? Znał nadto dobrze Mac Dufty'ego by uwierzyć, że w jego postępowaniu nie było jakiegoś ukrytego sensu. Postanowił przemyśleć to jeszcze raz w wolniejszej chwili. Może zdoła wyłowić coś interesującego. Nie miał zwyczaju zaniedbywać nawet najbliższej, pozornie nic nie znaczącej okoliczności. Te czasem zawierały bardzo ciekawe jądro. Otóż zaczął znowu z namysłem z początku nie miałem żadnego określonego kierunku. Raczej wahałem po prostu na wszystkie strony...

Zerknął nieznacznie w twarz inspektora. Ten kiwał potakująco głową. A więc tak! Teraz już wiedział jaką drogą ma iść dalej.

-...ale później - ciągnął - uderzyła mnie jedna rzecz. Niemal wszystkie napady zbiegały się dziwnie z wyjazdem jednego obywatela.

Może przypadkiem? - mruknął obojętnie inspektor.

- Cóż - Salambo splótł palce obu rąk - jeżeli przypadek - to mocno dziwny. Jednego dnia ten obywatel wyjeżdża a na drugi dzień, gdzieś na terytorium Alaski ma miejsce napad bandycki.

- O inspektor wypuścił ustami misterne kółko dymu - to rzeczywiście ciekawe.

- Zacząłem bliżej pilnować tego pana. I cóż się okazało? Tego samego dnia, kiedy napadnięto na pociąg na dwieście dziewięćdziesiątej mili, jegomość o świcie wyjechał z domu.

- O świcie? - wtrącił z powątpiewaniem Herst słuchający z napięciem jego słów - bagatela. Bez mała dwieście mil podłej drogi.

- Otóż obserwowany ma nowoczesny samochód - wyjaśnił wywiadowca.

A pokiwał głową Herst to co innego - jedźcie dalej.

- To jeszcze nie wszystko. Powiedział służącemu, że jedzie do Nenany w sprawach bankowych...

- No więc - inspektor przydusił papierosa na popielnicze wasze podejrzenia pewno nic nie warte? Gdzie Nenana, a gdzie dwieście dziewięćdziesiąta mila?

Zapewne Salambo wydał wargi z grymasem triumfu - ale w tym rzecz, że w tym dniu nikt gentelmena nie widział. A przecież nie takie wielkie miasto, aby można było siedzieć cały dzień bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi. Zresztą obywatel ten ma w okolicy całą masę znajomych. Następnego dnia po napadzie spotkano go na szosie. Jechał z wielką szybkością. Samochód wyglądał, jakby używano go zamiast śnieżnego pługa.

- Aha - wzrok inspektora powędrował ku oknu. - Nie powinien tak wyglądać, gdyby rzeczywiście odbył drogę do Nenany?

- Właśnie - potwierdził mieszaniec - na autostradzie nie ma ani jednej zasy.

- Jak wygląda wasz podejrzany? zapytał inspektor - obrośnięty na twarzy?

- Przeciwnie, gładko ogolony. Nie używa nikotyny?

- Pali niemal nieustannie...

- Uwaga - zawołał wyraźnie podniecony Herst - uwaga, inspektorze. Wilk z mojej teorii. Zupełne przeciwieństwo podanych rysopisów.

- Hm - inspektor wyjął powoli papierosa z pudełka. - Nazwisko tego jegomościa?

- Coss - wyrecytował dobitnie wywiadowca.

Twarz Mac Dufty'ego pozostała niewzruszona. Mało było rzeczy na świecie, które potrafiłyby wytrącić go z równowagi.

Natomiast Herst drgnął gwałtownie, wytrzeszczając zdumione oczy na Salambo.

Co, Coss? Harry Coss z „Forwards”? Ależ to niemożliwe. Na pewno idziecie fałszywym śladem - zawołał żywo. Znał dobrze Harry'ego i spotykał go niejednokrotnie na terenie towarzyskiego klubu w Fairbanks. Nie, takie podejrzenie nie mogło mu się pomieścić w głowie.

Nieruchomy wzrok inspektora utkwiał ciężko w twarzy pomocnika.

- Dlaczego niemożliwe? - zapytał chłodno.

- Bo... - Herst zająknął się, szukając w myśli argumentów, który by obalił niedorzeczne przypuszczenia - znam go dobrze...

- Ja też znam go dobrze - oświadczył inspektor. - Bardzo miły w życiu towarzyskim człowiek. Czy to jednak jest wystarczający dowód?

- Nie Herst przesunął dłonią po wygolonym podbródku

- zapewne, że nie. Ale przecież jego ojciec...

- Nie mówimy o ojcu, tylko o synu - przeciął stanowczo Mac Dufty. - Jakie macie dowody wykluczające podejrzenie?

- Nno... Nie. - Herst wzruszył bezradnie ramionami - nie ma takich dowodów. Tak samo, jakbym ich nie miał w stosunku do każdego innego obywatela. W teorii każdy może być Wilkiem. Ale w praktyce? Nie, nigdy nie uwierzę, by Harry miał być bandytą - oświadczył ze szczerym przekonaniem.

- Hm... tak - inspektor oparł się plecami o sprężyny fotela łatwo powiedzieć: wierzę albo nie wierzę. Znacznie zaś trudniej wiedzieć. My zaś nie możemy się opierać na naszych wewnętrznych przekonaniach. W ten sposób zaszlibyśmy niedaleko.

Herst pominął milczeniem tę uwagę. Twarz jego jednak wyrażała niewiarę.

- I jeszcze jedno proszę panów - wtrącił cicho Salambo. Zdołałem ustalić poza tym pewien bardzo charakterystyczny szczegół dotyczący mister Cossa. Otóż dwa lata temu, to jest mniej więcej w tym czasie, gdy Wilk pojawił się na horyzoncie Alaski, interesy Cossa stały bardzo kiepsko. Groziła mu już zupełna ruina, rozpisano nawet licytację farmy. Potem zaś nagle jego sytuacja finansowa gwałtownie poprawiła się. Popłacił wszystkie długi. Odnowił swój dom. Przybudował nawet coś niecoś. Wszystko to dużymi nakładami. Nikt zaś nie potrafi wskazać źródła tych dochodów.

- Jak to, nikt? przerwał z oburzeniem Herst. - Ja pierwszy. Sam mi opowiadał o spadku jaki otrzymał po stryju zamieszkałym na Bermudach.

- Sam wam opowiadał - powtórzył z dziwną intonacją inspektor - to rzeczywiście murowany dowód.

- Może nie murowany - zaperzył się Herst. - Ale w każdym razie prawdopodobny.

- Mówił wam na pewno także jak się ten krewny nazywa? rzucił niedbałym tonem pytanie inspektor. Herst zachnął się niecierpliwie.

- Nnie... Tego mi nie mówił. Po prostu go nie pytałem dodał, widząc ironiczne skrzywienie warg inspektora.

- A może nadmienił przypadkiem, ile ten spadek wynosił? Też nie przyznał niechętnie - nie byłem na tyle niedelikatny, aby o to pytać... - To brzmiało już prawie niegrzecznie. Bodaj pierwszy raz w czasie współpracy z Mac Duftym Herst wziął na kiel. Taki ton w stosunku do bezpośredniego zwierzchnika? Toż to prawie otwarty bunt. Ale nie potrafił opanować wzburzenia wywołanego tym niedorzecznym posądzeniem. Uważał Cossa niemal za przyjaciela.

- Aha - inspektor przytknął płomień zapalniczki do papierosa - nie byliście na tyle niedelikatni, on zaś do tego stopnia rozmowny. Tak... tak... - w jego oczach zamigotało coś w rodzaju rozbawienia trzeba przyznać: dużo wam powiedział...

Herst przełknął jakieś słowo i opuścił gabinet. Inspektor popatrzył za nim w milczeniu.

- Trzeba mu przykrócić nieco cigli - postanowił. W tych warunkach zbyt wiele zależało od każdego szczegółu, by można było którykolwiek zaniedbać.

Po zredagowaniu wspólnie z Salambo raportu - zatelefonował do prokuratora. Prokurator nie miał jednak zbyt dużej ochoty na rozmowę. Inspektor sięgnął po argument najcięższego kalibru: - Sprawa Wilka.

- Aha... rozumiem... W takim razie oczywiście czekam na pana.

- Kiedy mogę przyjść?

- Zaraz mam pilny wyjazd... I w ogóle. Potem nie mógłbym w żadnym razie...

Nie minęło nawet pięć minut, gdy już Mac Dufty przechodził szybkim krokiem obszerny mroczny hall gmachu sądowego.

Prokurator Wilmers spacerował po pokoju, raz po raz zerkając na zegarek.

- Tak - mruknął po przywitaniu wskazując uprzejmym gestem fotel stojący za biurkiem.

Niezmiernie mi przykro, że nie mogę dzisiaj z panem rozmawiać dłużej, ale sam pan rozumie, inspektorze sprawy urzędowe - rozłożył bezradnie ramiona.

Będę się streszczał. Proszę - podał prokuratorowi raport otrzymany od Salamba - oto wyniki bardzo ciekawych obserwacji poczynionych przez jednego z najzdolniejszych moich agentów. Wilmers przebiegł szubko oczyma treść zapisków.

- Ha - westchnął lekko Harry Coss?

Inspektor spojrzał na niego ze zdziwieniem. Prokurator wbrew jego przewidywaniom nie czynił bynajmniej wrażenia zaskoczonego. Raczej wyglądało, jakoby oczekiwał czegoś w rodzaju tego raportu.

- Więc - Wilmers położył obojętnie papier na biurku - niech pan go każe obserwować dalej.

Przysłonił oczy powiekami. Ale przez ułamek sekundy poprzedzający ten ruch, Mac Dufty'emu wydawało się, że dojrzał w źrenicach prokuratora coś, co przypominało tłumiony uśmiech.

Cóż, do licha - zachnął się w duchu - co to wszystko ma znaczyć? Dzisiejsze zachowanie Wilmersa odbiegało od tego, do jakiego inspektor był przyzwyczajony w czasie poprzednich rozmów służbowych.

- Tu chodzi nie tylko o śledzenie mister Cossa. Nie zajmowałbym takimi drobiazgami czasu panu prokuratorowi. Przyszedłem, aby porozumieć się, co do jego aresztowania.

Wilmers podniósł raptownie głowę.

- Ts - syknął niecierpliwie, jakby go nagle coś boleśnie ukłuło - aresztować Cossa?

- Tak - potwierdził spokojnie Mac Dufty. - Mam wrażenie, że w tych warunkach byłoby to najwłaściwszym posunięciem.

Wilmers pokręcił energicznie głową.

- Nie... to niemożliwe...

- Ale dlaczego? - Inspektor był coraz więcej zdumiony.

- Bo... - prokurator znowu wlepił oczy w raport - jakże: człowieka powszechnie szanowanego, tak ni stąd, ni zowąd wsadzić do kryminału? To by nas mogło wpakować w ładny pasztet.

- Przecież poszlaki... - zaczął inspektor.

Nie - głos Wilmersa brzmiał zupełnie stanowczo. - Nie możemy zamykać Cossa na podstawie poszlak... Co innego - dodał pospiesznie, widząc niezadowoloną minę inspektora - gdybyśmy mieli konkretne dowody. Wtedy go zamkniemy bez namysłu... tymczasem nie może być o tym mowy.

Mac Dufty rozmyślał przez chwilę, zacisnąwszy zęby. Nie mógł zrozumieć oporu Wilmersa. Tak wszystko już zdawało się iść gładko, drogą prowadzącą wprost do celu. Nieoczekiwana odmowa prokuratora wznosiła na tej drodze przeszkodę nie do przebycia. W każdym zaś razie opóźniała mocno definitywne zakończenie sprawy. A czas naglił. Nikt więcej od samego inspektora nie wiedział, jaką cenę w tej sprawie mogła mieć każda stracona godzina. Zatriumfuje ten, kto pierwszy stanie u mety. Zwłoka groziła ostateczną klęską. Klęska... teraz, gdy stał niemal u kresu męczącego wyścigu?

Z trudem zdołał pohamować odruch gniewu.

Wciągnął głęboko oddech do płuc. Rozprostował palce zaciśnięte w pięści. Nie wolno dać się ponieść nerwom.

VII

MISTER JAMES CLIFFTON WKRACZA NA WIDOWNIĘ

Mister James Clifton przyjechał do Fairbanks wprost z Juneau. Właściwie nawet przyjechał z miejscowości znacznie dalej położonej, ale to do rzeczy nie należy. Fakt, że

bezpośrednio przed wyruszeniem w drogę do drugiej stolicy Alaski odbył dłuższą konferencję w gubernatorskiej willi. Długą, poważną, a ponadto popartą pewną ilością szeleszczących argumentów, mających za zadanie podniesienie energii Cilfftona do maksimum. Bo jego ekscelencja gubernator miał już po uszy całej tej historii z Wilkiem. Gdy ktoś przypadkiem wymienił w jego obecności nazwę tego drapieżnego zwierzęcia, wpadał w stan nerwowego podniecenia. Zresztą trudno było się dziwić jego ekscelencji. Jedna banda potrafiła zmienić doskonale administrowaną prowincję w rodzaj dzikich pól. Raz po raz dokonywano zuchwałych napadów... Rabowano... mordowano i niszczone.

Policja była bezsilna. Zupełnie, jakby rząd nie łożył na nią rocznie olbrzymich sum, pochłaniających Iwią część budżetu. Dzienniki Alaski wrzeszczały wielkim głosem: „Brak należytej organizacji władz bezpieczeństwa”. „Gdzie jest policja?” „Obywatele Alaski nie są pewni swego życia i mienia”, „Do czego w końcu dojdzie?”

Prasa dolnych stanów robiła też niesamowitą wrzawę koło sprawy Wilka. Prawie dwa lata upłynęło od pierwszego napadu i nie zdołano wykryć najsłabszego śladu sprawcy. Lada chwila mógł zabrać głos Waszyngton. Dalsze czekanie nie miało sensu. Gubernator postanowił sięgnąć do bardziej radykalnych środków. Właśnie osoba mister Clifftona była takim środkiem. Kosztował немало, ale cóż robić. Taka sława nie zechce marnować czasu i narażać się na niewygody za byle co. A Cliffton był naprawdę sławą. W ciągu swej kariery zdołał rozplątać niejednego kłębek, przed którym inni stawali z bezradnie opuszczonymi rękami.

Długo radzili z gubernatorem, aż wreszcie zawarli coś w rodzaju kontraktu. Cliffton został przyjęty na służbę władz bezpieczeństwa z niezmiernie szerokimi pełnomocnictwami. Bo Alaska to nie dolny kraj. Tu żeby móc coś zrobić, trzeba mieć jakieś oficjalne stanowisko. Bez tego ani rusz. Gubernator z czystym sumieniem podpisał pełnomocnictwo dla Clifftona. Referencje, jakie detektyw posiadał, dawały żelazną gwarancję, że wszystko będzie all right. Zresztą słyszał o nich dostatecznie dużo. Któż bowiem na rozległym terytorium stanów nie słyszał o Jamesie Clifftonie?

Cliffton zaraz po przyjeździe do Fairbanks skierował kroki do gmachu sądowego.

Spotkało go jednak rozczarowanie. - Prokurator wyjechał i nie wiadomo kiedy wróci oznajmiono na wstępie. Trudno. Na to nie było rady. Z kolei odwiedził inspektora. Mac Dufty starannie przejrzał dokumenty gościa.

- Tak - skonstatował wreszcie w duchu - gubernator przysłał kogoś, nie tylko całkowicie niezależnego od normalnych organów policyjnych, ale nawet nadrzędnego. Na upartego Cliffton mógł wydawać rozkazy nawet samemu inspektorowi. Mac Dufty nie uzewnętrznił jednak niczym swego niezadowolenia. Dyskusja z zarządzeniami jego

eksceleencji nie dawała żadnych szans, poza możliwością natychmiastowej dymisji. A na to nie miał bynajmniej ochoty.

- Jesteśmy wszyscy na pańskie usługi - oświadczył z gotowością. Potem przedstawił detektywowi cały nagromadzony materiał.

Materiały dotyczyły Cossa. Bo innego... nie było.

- O - spojrzał na niego ze zdziwieniem Cliffton po zapoznaniu się z raportami. - To jak widzę, wbrew temu, co mi powiedziano, sprawa prawie skończona?

Mac Dufty uśmiechnął się skromnie.

- Tak coś na to wygląda - potwierdził.

- W takim razie nie wiem, po co mnie tu wzywano - sarknął z żalem Cliffton - nie będę miał przecież nic do roboty. A w New Yorku dawano mi taką ciekawą historię do rozwiązania - dodał smętnie. Bo pracował nie tylko dla pieniędzy. Raczej pieniądze odgrywały całkiem podrzędną rolę.

- Ten Coss siedzi naturalnie? - zapytał mimochodem.

- Nie - zaprzeczył inspektor - jest na wolności.

- Na wolności - przeciągnął wyraźnie zdziwiony - pomimo takiego materiału? - Wskazał kiwnięciem głowy na rozłożone na biurku papiery.

- Tak, pomimo takiego materiału - powtórzył jak echo inspektor.

- Aaa... dlaczego, jeśli można wiedzieć?

- Prokurator Wilmers kategorycznie zabronił aresztowania - odpowiedział obojętnie.

Poczekaj - pomyślał przy tym ze złośliwą satysfakcją o prokuratorze będziesz teraz miał pasztet, na którym możesz połamać zęby. Jegomość na pewno doniesie dokąd potrzeba. Tam nie będzie już można wykupić się byle czym.

Czy podał jakiś powód? Cliffton zacisnął dłoń wokół swego gładko wygolonego podbródka.

- Tak głos Mac Dufty'ego brzmiał wyraźnie lekceważeniem - obawa skandalu - wycedził przez zęby. Uważajcie: mister Coss jest u nas osobistością powszechnie szanowaną. Powtarzam dokładnie słowa prokuratora podkreślił.

Cliffton zamyślił się głęboko. - Obawa przed skandalem? To przecież nie mógł być prawdziwy powód. W postępowaniu prokuratora musiało tkwić coś głębszego. Gubernator powiedział mu coś niecoś o Wilmersie. Wystarczyło, by powziąć pewne mniemanie, o jego osobie. Nie, nie był on niedołągą. A najwyższy urzędnik Alaski znał się na ludziach.

Hm splótł palce obu rąk, kręcąc wielkimi palcami młynka; takie buty... Powstrzymał się jednak od wszelkich komentarzy. Zażądał jeszcze kilku dodatkowych informacji i opuścił gabinet inspektora.

Całe popołudnie tego dnia spędził w swym hotelowym pokoju pogrążony w głębokich rozmyślaniach. Sprawa jednak nie wyglądała tak prosto jak na początku. Dlaczego Wilmers nie pozwolił aresztować tego Cossa? Przy takich dowodach? Wystarczyłyby nie tylko dla zamknięcia, ale nawet dla skazania. Najprościej oczywiście byłoby zapytać o to Wilmersa. Ba, ale gdzie go szukać? Obawa i skandalu. Także powód - prychnął gniewnie. - Nie bratku. To nie dla Clintona. Na pewno w tym wszystkim siedzi całkiem coś innego.

Spacerował tam i z powrotem kopiąc niezliczoną ilość mocnych tureckich papierosów. Nikotyna i ruch najlepiej sprzyjały pracy jego mózgu. Co łączyło Cossa z Wilmersem? I z jakiego powodu inspektor policji o tych więzach nie wiedział? Coś tu nie pasowało z tym wszystkim. Przestał już żałować wypuszczenia z rąk tamtej sprawy w New Yorku. Ta też wyglądała całkiem nie najgorzej. Lubił takie zagadki.

- Więc tak - mruknął półgłosem, nadsluchując dźwięku własnych słów. - Mac Dufty wykopał tego Cossa, zebrał przeciwko niemu poszlaki i prosi Wilmersa o pozwolenie aresztowania. A Wilmers stanął okoniem. Czyżby był w jakiś sposób sam wmieszany w sprawę Wilka? Może brał od niego łapówki?

Mózg Clifftona nie cofał się przed żadnym podejrzeniem. W czasie swej kariery widział już niejedną historię wyglądającą w pierwszej chwili niemal na świętokradztwo.

- Tak - rozmyślał dalej na głos to niemożliwe... Ale w takim razie znalazłby niewątpliwie jakiś bardziej dorzeczny powód do skierowania śledztwa w inną stronę. Jakby nie było jest przecież inteligentnym człowiekiem, no i prawnikiem przede wszystkim. Miałby więc coś przygotowanego w zanadrzu dla inspektora, a tak? Poza tym kazałby na pewno inspektorowi zaprzestać dalszego śledzenia swego współnika. Tymczasem nie napomknął o tym ani słowa. - Nie - pokręcił z powątpiewaniem głową - coś mi na to nie wygląda... A Mac Dufty?... - przeżuwał w myśli każde słowo wypowiedziane przez inspektora - tak, inspektor wyraźnie usiłował jak najwięcej obciążyć Cossa. To było aż nadto widoczne. Nie był bezstronny w tej sprawie. Może miał jakąś osobistą animozję i chciał w ten sposób szukać zemsty. Prokurator zaś wiedział o tym? Bo poszlaki można ostatecznie sfabrykować, stosownie do potrzeby.

Szczególnie piastując urząd inspektora policji. Ale jaki powód nienawiści? - rzucił gniewnym ruchem papierosa na popielniczkę.

- Błędne koło. - Albo Coss jest Wilkiem i wtedy szkoda każdej minuty rozmyślań, albo natrafił na kłębowisko poplątanych okoliczności...

Nalał do szklanki wody i wychylił ją jednym haustem. W gardle mu zaschło od dymu. Skrzywił się z obrzydzeniem. Woda była ciepła i miała jakiś dziwny smak. Świństwo. Nagle w umyśle detektywa błysnęła myśl.

- A jeżeli kobieta?

- O - usiadł z rozmachem na krześle. - Że też wcześniej nie wpadło mi to do głowy. - W większości tajemniczych spraw rozwiązanie tkwiło właśnie w sercowych historiach.

Trzeba poszukać - zdecydował w jednej chwili. Włożył marynarkę i nasunął kapelusz głęboko na czoło. Gdy wychodził na ulicę, miał już całkiem określony plan poszukiwań. Oczywiście cukiernia, albo kwiaciarnia. Gdzież indziej można szukać nici łączących osoby płci odmiennej tej sfery? Postanowił zacząć od kwiaciarni. Inspektor raczej robił wrażenie człowieka zamiłowanego w spędzaniu czasu w lokalach publicznych.

Wystarczyło jedno pytanie, by znaleźć bez trudu poszukiwane przedsiębiorstwo. Fairbanks miał tylko dwa zakłady tego rodzaju. Wszedł do obszernego lokalu o lustrzanych szybach, chroniących kosze kwiatów od zimna panującego na dworze. W nozdrza uderzył mdły zapach więdnących roślin.

Zza lady wyjrzała pytająco anemiczna panienska w niebieskim fartuchu.

- Czym mogę służyć? Clifton rozejrzał się uważnie po sklepie. Nagromadzone kosze z przekwitłymi kwiatami wskazywały, że klienci nie odwiedzali zbyt tłumnie kwiaciarni. Tym lepiej.

- Chciałbym kupić kilka storczyków - rzucił niedbale.

- Storczyków? anemiczna panienska spojrzała na niego z nie ukrywanym podziwem. Niestety proszę pana... chwilowo nie mamy na składzie. Moglibyśmy sprowadzić, gdyby pan zamówił - dodała z wahaniem. W głębi duszy nie była całkiem pewna, czy takie zamówienie nie wykraczało poza zakres możliwości firmy... no i klienta przede wszystkim.

- Ba - wydał wargi - sprowadzić. To by na pewno potrwało czas dłuższy. A ja potrzebuję koniecznie dzisiaj. Może mi pani w takim razie poradzi coś innego? Inspektor Mac Dufty wspomniał; mi właśnie o tym sklepie, jako najlepiej zaopatrzone w Fairbanks.

Urwał, patrząc na nią wyczekująco. Przynęta została rzucona.

- Ach tak - ożywiła się panienska - pan inspektor jest najlepszym naszym klientem...

Clifton z trudem powstrzymał uśmiech zadowolenia. A więc od pierwszego kroku trafił w sedno. W życiu dostojnika policyjnego była jakaś kobieta, której posyłał kwiaty. Gdyby jeszcze okazało się, że wybrankę serca inspektora łączy więzy z tym Cossem?

- Otóż to - rzucił obojętnie, obserwując z uwagą nadmiernie rozchylone płatki wspaniałej herbacianej róży - jest z waszej firmy bardzo zadowolony. Mówił, że także, panna... hm... panna...

- Panna Barton, zapewne? - podsunęła bez namysłu panienka. Cliffton nachylił twarz tuż nad kwiatami.

- Oczywiście - potwierdził lekko - też podobno wyrażała zachwyt nad waszymi kreacjami kwiatowymi.

Rezultat wywiadu przeszedł najśmielsze jego oczekiwania, a znalezienie willi dyrektora Bartona nie przedstawiało najmniejszych trudności.

Cliffton po kilku minutach stanął przed ozdobnie kutym w metalu ogrodzeniem.

- Hm - przeczytał treść mosiężnej tabliczki przybitej nad dzwonkiem - Dyrektor Zjednoczonych Kopalń Złota? Nasz przyjaciel dosyć wysoko sobie sięga.

Tu sprawa wyglądała znacznie trudniej niż w kwaciarni. Nie mógł przecież wejść pod zmyślonym pozorem i zawiązać rozmowy ze służbą. Takie podstępny groziły zawsze całym szeregiem komplikacji, aż do kompletnego fiaska włącznie. Nie stosował nigdy przebiegania i charakteryzacji, uważając to raczej za rekwizyty odpowiednie dla upiększenia powieści kryminalnej albo sztuki scenicznej. Wolał czekać na jakiś szczęśliwy traf ułatwiający kontakt z osobami, od których miał zamiar zasięgnąć informacji.

Tym razem czekał dość długo, spacerując cierpliwie tam i z powrotem po chodniku przed domem Bartona. Dla pewności dochodził w swym spacerze aż do rogu ulicy. W ten sposób dla przypadkowego widza jego czekanie nabierało cech niewinnej przechadzki bez określonego celu.

Mijały kwadransy, a obserwowany dom pozostawał wciąż zamknięty na głucho.

- Wymarli tam wszyscy, czy co? - zaczął się w końcu niecierpliwić. - A może wyjechali? Zapomniałem zapytać ekspedientki kiedy miała miejsce ostatnia przesyłka Mac Dufty'ego.

Z równym skutkiem panna mogła bawić się na wyspach, podczas gdy on tu traci bezpłodnie drogocenny czas.

Minęły dwie godziny. Na ulicę spadła szara mgła zmierzchu. Zmęczony do ostateczności zdecydował się już na odwrót, gdy nagle gdzieś z tyłu domu dobiegło słabe skrzypnięcie zawiasów. Przybrał jak najbardziej obojętną minę, zwalniając tempo kroków. Na ulicę, wyszedł barczysty Murzyn w luźnej bluzie.

- Służący oczywiście - stwierdził w myśli Cliffton obserwując z zaciekawieniem zakurzone gałęzie jodły, stojącej po przeciwległej stronie ulicy.

Murzyn rozejrzał się niepewnie na wszystkie strony. Na Clifftona jednak nie zwrócił najmniejszej uwagi.

Detektyw sięgnął do kieszeni po papierosa. Zapalał go jednak bardzo długo. Znacznie dłużej, aniżeli zachodziła potrzeba. - Tak pomyślał nie patrząc w stronę Murzyna, wciąż jeszcze tkwiącego przy furtce - wycieczka bez wiedzy państwa. Jeżeli idzie w odwiedziny, to dwie godziny czekania stracone, nie będę go przecież i zaczepiał na ulicy. Jeżeli zaś do knajpy...

Murzyn jeszcze raz zerknął nieufnie za siebie i powziął wreszcie decyzję. Ruszył szybkim krokiem w stronę centrum miasta.

Cliffton przeczekał dłuższą chwilę. Poszedł za nim dopiero wtedy, gdy dzieliło ich dobre piętnaście metrów. Bliższa odległość mogłaby wzbudzić podejrzenie pod kędzierzawą czaszką. Murzyn niemal za każdym krokiem przyspieszał tempo, zaczął w końcu prawie biec. Cliffton powiększył długość swoich kroków, ale nie ich szybkość. Wyścigi na pustej ulicy niewątpliwie zwróciłyby uwagę tamtego! Skręcili w wąską bardziej ludną ulicę. Tu było już zupełnie łatwiej. Stuk kroków Clifftona tonął w gwarze ulicy.

Knajpa czy wizyta? - rozmyślał w niepewności.

Weszli w następną, jeszcze węższą uliczkę.

- Chyba jednak knajpa. - Cliffton z rosnącą nadzieją przesunął wzrokiem po wywieszkach barowych, coraz liczniej zdobiących ściany mijanych domów. Nie znał wprawdzie Fairbanks, sądząc jednak po otoczeniu nietrudno było wykombinować, że znajdują się w dzielnicy robotniczej miasta. Wreszcie Murzyn pchnął jakieś oszklone drzwi. Na ulicę buchnął skłócony gwar pijackich głosów i zachrypnięte tony gramofonu.

Cliffton zajrzał przez zapotniałe szyby. Murzyn wymienił kilka uścisków dłoni, przepchnął się w głąb izby i usiadł samotnie przy stoliku stojącym w kącie.

- Wygląda jakby na kogoś oczekiwał - medytował z niepokojem. Dłuższe jednak stanie przed drzwiami było pozbawione sensu. Przekręcił kapelusz na bakier, zsuwając go jednocześnie na tył głowy, szybkim ruchem wymiął trochę krawat i pchnął drzwi baru.

Otoczyło go ciężkie, przepojone kwaśnym zapachem powietrze. Zachłysnął się niemal, z trudem powstrzymując gwałtowny atak kaszlu.

Niepewnym, rozkołysanym krokiem podszedł do szynkwasu. W kącie ust tkwił wypalony do połowy papieros. Na twarzy błąkał się bezmyślny, pijacki uśmiech. Robił wrażenie, jakby przewędrował już uprzednio nieskończoną ilość barów a do tego wszedł na „wykończenie”.

Jego wejście nie zwróciło najmniejszej uwagi. Niczym się nie różnił od pozostałych gości.

- Upp - udał czkawkę, opierając się ciężko na metalowym pręcie przymocowanym do lady dajcie no... upp, - gospodarzu... tego... no... wódki - bełkotał.

Otyły jegomość w brudnym kitlu oparł obnażone do łokci ręce na blaszanej ladzie i spojrzał na niego badawczo.

- A forsa jest? - zapytał lakonicznie.

- Ooo - Cliffton zrobił obrażoną minę - czyż wyglądam... na tego... co nie ma forsy?

Przesunął dłonią niezdarnie po kamizelce, jakby nie mogąc trafić do kieszonki, po czym wyłowił srebrnego dolara.

- Proszę - rzucił wielkopańskim gestem monetę na blachę. A teraz... ten tego... wódki machnął znacząco ręką.

Oberżysta lał z pękatej butelki do grubego zielonego kieliszka jasnobrunatny płyn.

- Proszę - wprawnym ruchem pchnął kieliszek w stronę Clifftona - dziesięć centów. Za każdym razem forsa z góry.

Szybko wyłowił dolara, wrzucając go z brzękiem do szuflady. Przed Clifftonem położył kilka sztuk niklu.

- Nie... nie potrzeba - język Clifftona plątał się - to... będzie... z... tego... no... z góry... za następne...

Dobra - niklowe monety zniknęły w szufladzie. Macie zapłacone za dziesięć kieliszków.

Detektyw wychylił alkohol jednym haustem. Minę miał wciąż wniebowziętą, a przecież wódka śmierdziała samogonem i piekła gardło jak wotriol.

- Otóż to - pomyślał z ponurym humorem, całym wysiłkiem woli wstrzymując odruch obrzydzenia - łatwo mu mówić: dziesięć kieliszków. Na pewno już szósty zwałiłby mnie z nóg.

- A... a... tego... portwajn... macie. Wargi jego rozchylił głupkowaty uśmiech.

- Jest i portwajn - nowy gość zyskał w oczach oberżysty co najmniej sto procent swej pierwotnej wartości - osiemdziesiąt centów butelka.

- O... key. Niech będzie... osiemdziesiąt... tych... No jak tam... wszystko jedno... Podajcie mi tam... ja sobie siądę... - wskazał okrągłym machnięciem ręki jakieś nieokreślone miejsce na sali.

Udał, że zapomniał o pełnym kieliszku i odwróciwszy się plecami do lady, ruszył chwiejnie w głąb sali, lawirując niezdarnymi ruchami ciała pomiędzy gęsto zatłoczonymi stolikami.

Szedł zawilym zygzakiem, za każdym jednak krokiem podchodził konsekwentnie coraz bliżej stolika, przy którym siedział, wciąż jeszcze samotnie Murzyn, wpatrzony tępo w szklanekę do połowy napełnioną ciemnym płynem.

- Albo naprawdę czeka na kogoś, albo nie ma pieniędzy na picie - rozmyślał Cliffton. - W każdym razie nie można tracić czasu.

Przechodził teraz tuż obok Murzyna. Niby to niechcący nadepnął mu nogę.

- Tss - syknął niecierpliwie czarnoskóry - niechże pan uważa! Cliffton chybnął całą postacią w bok, jakby mając zamiar runąć na podłogę.

- Tego... przepraszam... O! - wyrzeszczył oczy wpatrując się w hebanową twarz.

- Czyżby mnie wzrok... tego owego... nie mylił? Ależ nie... To przecież... ten... no, Gabriel Dodge... we własnej osobie... Jak się... masz... chłopie... chodź w moje objęcia... - otworzył szeroko ramiona.

Murzyn wybałuszył niebieskawe białka. - Co... co pan mówi? bąknął niepewnie.

- Jaki tam pan - przerwał mu z płaczącym wyrzutem w głosie Cliffton - czyż... już zapomniałeś swego przyjaciela Joego?

- Ja pana nie znam - tłumaczył coraz bardziej zdumiony Murzyn.

- Ludzie, patrzcie no! - westchnął żałośnie - Gabriel Dodge stał się już taki wielki, że nie poznaje swych przyjaciół. Wstyd... tego... Gab!

- Ależ proszę pana to pomyłka, ja nie jestem wcale Gabrielem Dodge.

- Nie? - mina Clifftona wyrażała bezmiar zaskoczenia. - To niemożliwe... To ty... sam się mylisz... na pewno jesteś moim przyjacielem Gabem... wiem przecież co mówię...

- Jestem Robert Fryday - oświadczył z godnością czarnoskóry.

- Jak? - Cliffton zarechotał na całe gardło. Nie rób kawałów chłopie!

- Tak się nazywam - ton Murzyna zabrzmiał szczerą obrazą. Cliffton potarł czoło wierzchem dłoni i zmarszczył brwi, jakby zastanawiał się nad czymś głęboko.

- Aha... a to... całkiem... co... innego... w takim... razie... przepraszam... - ciągnął bełkotliwie... Cóż, macie rację... Fryday... to Fryday... całkiem dobre nazwisko... nawet... ten... no jakże mu... lepsze od innych tylko... wybaczcie mi... euehemp... - wydał z ust jakiś nieartykułowany dźwięk.

Murzyn odsunął się zapobiegliwie.

- Nie - Cliffton machnął uspokajająco ręką - nie... bój się, jestem... zupełnie trzeźwy... tylko twoje nazwisko trochę postne... chciałem powiedzieć. No a tamten z... Fi... fi...ladelfii... ten... no, Doge... na pewno wasz brat... I to bliźniak... znam się... na tym.

- Nie mam brata zaprzeczył Murzyn.

- Nie? To tego... nic nie szkodzi... W każdym razie... jakby z tamtego skórę... zdarł... jak dwie... kro...krople... No... wiesz... atramentu... I to spotkać takiego na o...obczyźnie - zawołał z rozrzewnieniem... To trzeba oblać jakim... Dobb... bson...

Zachwiał się mocno i opadł ociężale na krzesło. Uff odetchnął z głębi piersi jak... to przyjemnie... siedzieć. Ale Murzyn patrzył na niego nieufnie.

- Ja nie mam pieniędzy na wódkę. Dobra nasza - pomyślał Cliffton - tu cię trzymam bratku.

- O - strzepnął palcami - kto mówi... o... pieniądzach?... Przecież mnie nie chcesz... uppf... obrazić... ja stawiam...

- Kelner! - wrzasnął na całe gardło. - Wódki... wina... całej morze. Tego... no alkohol... akoholu... no zresztą wiesz czego...

- Położył ostentacyjnie na blacie stolika monetę pięciodolarową. Szczupły ruchliwy człowiek w płóciennej mocno poplamionej kurtce nadszedł pośpiesznie.

- Cóż to - uśmiechnął się z pobłażaniem, chwytając pieniąż - za pięć dolarów chcecie całe morze?

- Za mało... no mo... morze? - podniósł na niego współprzymknięte oczy Cliffton. - Nie... szkodzi... jest więcej... człowiek... na...I pracował się... przy kolei... to ma forszę... podał kelnerowi drugą pięciodolarówkę - a jak będzie... potrzeba... jeszcze... to... się, tegc znajdzie... - pogłaskał się pieszczotliwie po kieszeni.

Murzyn pomyślał jeszcze przez chwilę i usiadł zdecydowanym ruchem przy stoliku. Tego jegomością musiał uważać za wielką, i niespodziewaną wygraną na loterii przypadku. Nieznajomy zjawił się najbardziej w porę. Właśnie dzisiejszego wieczoru poczuł nieodpartą tęsknotę za wódką, tylko nie miał pieniędzy. A w barze wbrew nadziei nie znalazł nikogo, kto by mu chciał postawić.

Kelner przyniósł butelkę i drugą szklankę. Portwajn pachniał wprawdzie podle, ale w każdym razie zapowiadał się znacznie lepiej od spróbowanego przy szynkwasiu samogonu.

- Twoje zdrowie chłopie - Cliffton podniósł drżącą ręką szklankę do góry.

- Pańskie - Murzyn nie wahał się już ani przez ułamek sekundy. Pić to pić. Oby tylko jak najwięcej spotkało go w życiu takich omyłek, jak dzisiaj.

Zaczęła się pijatyka. Cliffton potrafił nadać jej odpowiednie tempo. Z początku musiał dotrzymać Murzynowi towarzystwa pijąc szklanki do dna, po drugiej jednak butelce, gdy sinawe białka Frydaya powlokła pijacka mgła, wypił tylko niewielki łyk, zasłaniając szklankę dłonią. Wypity alkohol nie naruszył w najmniejszym stopniu przejrzystości jego myśli. Organizm Clifftona oznaczał się żelazną odpornością.

Obserwował ukradkiem Murzyna baczными oczyma. Nie chciał ryzykować. Wolał poczekać, aż Murzyn zostanie odpowiednio spreparowany. Uważał jednak, by nie przeciągnąć struny. Gdy tamten straci przytomność wszystko przepadnie.

Frydayowi porządnie już zaszumiało w głowie. Raz po raz wlepił tępe spojrzenie w sufit. Dobrze było. Wypił już wtedy zbyt wiele, by zwrócić uwagę na dziwne zachowanie się swego towarzysza, który zamiast runąć pod stół, czego należało oczekiwać po stanie w jakim przyszedł do stolika, trzeźwiał niemal z każdą wypitą szklanką.

- Musisz mieć piękne dochody bracie? - zagadnął od niechcienia Cliffton. Stracił już zupełnie swą poprzednią czkawkę. Murzyn był gotów. Szkoda czasu i strun głosowych.

- Dochody? - Fryday machnął pogardliwie ręką - guzik, a nie dochody.

- To przecież Mac Dufty... podsunął gładko.

Murzyna zupełnie nie dziwiły informacje nieznanego o domowych gościach. Teraz zresztą nic nie było w stanie go zdziwić.

- Et - parsknął gniewnie - sknera... Jak kiedy da ćwierć dolara to rety...

- A ten drugi? - zaryzykował...

- Coss? - westchnął Murzyn - tak. Ten lepszy. Ale rzadko przychodzi do domu. Przeważnie jeździ z panienką na wycieczki.

Cliffton z trudem powstrzymał drgnięcie.

- Coss! - Bagatela. Pochylił pośpiesznie głowę nad szklanką, by ukryć przed Murzynem wyraz swej twarzy. Minęła dłuższa chwila, zanim za pomocą gwałtownych grymasów zdołał przywołać na fizjonomię poprzedni zapijaczony wygląd.

Mózg jego pracował z gorączkowym wysiłkiem. Kobieta, a obok niej Coss i inspektor, Tego właśnie szukał. Szczęśliwy dzień. Każdy strzał trafiał w sedno. Mało że złapał do rąk końce nici, ale te nici zaczynają się schodzić. Teraz już miał powód, dla którego Mac Dufty'emu mogło zależeć na obciążeniu Cossa. To oczywiście choć było niezmiernie dużo, nic jeszcze nie mówiło, czy ten ostatni był winien naprawdę, czy też wina jego istniała jedynie w oczach inspektora. W każdym razie szczegół należał do mocno zastanawiających.

- Pewno gentlemeni żrą się ze sobą? - rzucił pytanie, napelniając szklanki.

- Nie - czarne palce miłosnym chwytem objęły szkło - mało... się spo... spotykają... Ten posyła... kwiaty... tamten... też, ale... razem... prawie... nigdy... - język Murzyna chodził coraz luźniej - zna...cie ich? Podniósł zamglone oczy na Clifftona.

- Tak - mruknął - no, wypijmy lepiej - zszedł z niebezpiecznego tematu.

Pili jeszcze przez kwadrans. Gdy wreszcie Cliffton odchodził od stolika, kędzierzawa głowa Murzyna spoczywała na dłoniach leżących na metalowym blacie. Donośne chrapanie wypływające spod rozstawionych sztywno palców dowodziło, że delikwent nie jest w stanie udzielać dalej jakichkolwiek informacji.

Po wyjściu na ulicę Cliffton zatarł z rozradowaniem ręce. Masę roboty zdołał odwalić dzisiaj.

Nazajutrz skoro świt ruszył w teren. Zajrzał do Nenany. Przepytał dyskretnie służbę hoteli, poszedł do banku, przejrzał konto Cossa. Zapytał mimochodem również o konto Mac Dufty'ego - gdy mu odpowiedziano, że inspektor nie ma konta - zanotował sobie coś w pamięci. Potem wrócił do Fairbanks. Tu także obszedł wszystkie banki, a było ich aż trzy. Porobił odpisy z manipulacji dotyczących Cossa. Konta inspektora nie znalazł. Nie okazał oczywiście najmniejszego zdziwienia, jednak ta okoliczność mocno go zastanowiła. Dlaczego Mac Dufty nie ma konta w żadnym z miejscowych banków? I w jaki sposób przeprowadza swe rachunki? Czyżby nie uznawał w ogóle czeków? Tak, to było niewątpliwie bardzo ciekawe.

Wieczorem wsiadł do ekspresu Fairbanks - Seward. Chciał coś niecoś obejrzeć na dwieście dziewięćdziesiątej mili.

W chwili, gdy pociąg już ruszył, do ostatniego wagonu wślizgnął się jakiś niepozorny cień. Konduktor udał, że go nie widzi. A Cliffton nie zauważył naprawdę.

VIII

SPOTKANIE

Johnson obrzucił niezbyt zachwyconym spojrzeniem wynajęte auto, które przywiozło gościa. Poznał od razu odrapane pudło starego Frumusa z Fairbanks. Sam przybysz wyglądał znacznie lepiej od wehikułu. Nienagannie skrojone podróżne ubranie, obszerny wełniany płaszcz, ba, nawet kapelusz i rękawiczki, wszystko o milę pachniało elegancją. Johnson miał dobre oko.

- Zastąłem pana Cossa?

- Tak - służący skłonił się z godnością.

- Proszę mnie zameldować - gość wyciągnął z portfela bilet wizytowy.

- W tej chwili. Tymczasem może pan zechce poczekać - wskazał okrągłym gestem otwarte drzwi do saloniku, po czym ruszył powolnym odmierzonym krokiem w głąb domu.

Gdy już dotarł poza zasięg wzroku przybysza, podniósł bilet do oczu.

„Geoffrey Carton, przemysłowiec, New York” - oznajmiały gotyckie litery ozdobnego ażurowego druku.

Gość wszedł tymczasem do saloniku. Przesunął badawczym spojrzeniem po zawieszonych obrazami ścianach. Poznawał teren walki. Bo jeszcze tylko jedno pozostało mu w trudnej robocie, właściwie w jej pierwszym etapie. Jakim się okaże ten Coss? Od tego zależało niezmiernie wiele. Niemal wszystko.

- Tak - podszedł do jednego z olejnych obrazów przedstawiających jakąś historyczną bitwę - wcale nieźle. Musiał kosztować ładny kawał grosza. Ciekawym kiedy został kupiony?

- Ha... ha... ha... - zabrzmiał od drzwi wesoły śmiech. Witam serdecznie pana Geoffreya Cartonę z New Yorku w moich skromnych progach.

Drgnął gwałtownie, wykonując szybki obrót na piętach. Spojrzał i oniemiał. Coś podobnego. Więc to był ten ów podejrzany Coss.

- O - bąknął zmieszany do ostateczności - Harry Coss?!

- Tak, stary, ten sam: Harry Coss pospolicie zwany „Skoczkiem” - wyciągnął ku przybyszowi serdecznym gestem obie ręce - widzisz, ja - podkreślił lekko - jeszcze nie zmieniłem swego nazwiska, ani imienia.

Gość uściskał serdecznie ręce gospodarza. Na policzki jego wystąpił rumieniec zażenowania. Taki traf. Przecież z Harry „Skoczkiem” przesiedzieli parę lat na wspólnej ławie uniwersytetu w Columbii. Nigdy nie przypuszczał, że to właśnie ten sam, o którym mu opowiadał inspektor. Nazwisko Coss zupełnie wypadło mu z pamięci. Cóż zresztą dziwnego - tyle lat. A poza tym pamiętał o nim z uniwersyteckich czasów jako po prostu o Harrym albo o „Skoczku”, jak go przezywali koledzy za fenomenalne wprost wyniki w lekkiej atletyce.

- Widzisz - bąknął - ja...

- Głupstwo - przerwał mu w pół słowa, klepiąc przyjacielsko po ramieniu - nie ma o czym mówić. Chcesz być Cartonem, będziesz dla mnie Cartonem. W tej chwili właśnie zapomniałem jak brzmi two poprzednie. Bodaj czy nie zawsze nosiłeś przesławne miano Cartonów...

Przybysz machnął z desperacją ręką.

- Nonsens, dla ciebie nie mogę być kimś innym niż Jamesem Cliftonem. To oczywiście. Muszę ci wyjaśnić parę słów. Widzisz...

- Poczekaj - przerwał mu znowu Harry - na wyjaśnienia będzie czas. Przede wszystkim siadaj - pchnął go niemal siłą w objęcia rozłożystego fotela klubowego - najpierw napijemy się czegoś, a potem dopiero możesz coś wyjaśnić, jeżeli będziesz miał ku temu ochotę. Nachylił się nad niewielkim dębowym barem, stojącym w rogu pokoju i wyjął stamtąd butelkę oraz dwie szklaneczki.

- Nie, dziękuję, jadłem lunch przed swym wyjazdem, ale muszę...

- Najpierw wypijemy - podniósł w górę szklaneczkę - nasze niespodziewane spotkanie - wychylił ją do dna. Gość poszedł w jego ślady.

- Widzisz - oświadczył sentencjonalnie Harry - we wszystkim musi być zachowana kolejność rzeczy. Inaczej świat dawno by się zawalił.

Cliffon słuchał go z uśmiechem. Harry niemal nic się nie zmienił od tamtych czasów. Ciepłe, prawie rzewne uczucie przeniknęło mu serce. Tak... wspomnienie beztróskich lat życia akademickiego zawsze ma posmak czegoś utraconego bezpowrotnie... Opanował się po chwili. Nie przyjechał tu, aby wspominać przeszłość. Ani, by spędzać czas na serdecznej rozmowie z kolegą. Tego rodzaju uczucia nie powinny mieć przystępu do mózgu. Za wszelką cenę musi zachować niczym nie zmaconą jasność sądu.

- A teraz zapalimy - Harry podał gościowi srebrne pudełko wypełnione papierosami.

Ten sięgnął niezdecydowanie. Wziął jednak. Cóż miał robić? Harry po prostu nie dawał przyjąć do słowa.

- A więc - Harry spojrzał prosto w oczy - chluba Columbii zasilila swą osobą szeregi alaskańskich władz bezpieczeństwa.

Cliffon drgnął.

- O - bąknął ze zdumieniem - skąd wiesz o tym?

- Cóż - wzruszył ramionami - czyż to naprawdę takie trudne do wywnioskowania? Pomyśl sam: przyjeżdżasz pod przybranym nazwiskiem, nie wiesz, że mnie tutaj zastaniesz, a przede wszystkim przyjeżdżasz do mnie - podkreślił niedbałym gestem ręki - czyż tak trudno dodać dwa do dwóch i otrzymać w sumie cztery? Jak wiesz, nigdy nie byłem specjalnie tępy. Dedukcja, ot co panie Sherlocku Holmesie - wypuścił w kierunku szalowanego drzewem sufitu kłąb tytoniowego dymu.

Cliffon milczał dłuższą chwilę, rozmyślając nad czymś usilnie.

- A więc tak - powiedział wreszcie - masz rację. Jestem detektywem w chwilowej służbie władz Alaski. Zaprzeczenie temu nie miałoby najmniejszego celu. I tak byś nie uwierzył. I jeszcze jedno. Moim zadaniem jest wykrycie Wilka.

- Wiem - kiwnął obojętnie głową Harry.

- Skąd?

- Bo przyjechałeś właśnie do mnie - przymrużył znacząco oko. Cliffton poruszył się niespokojnie w fotelu. Harry miał zwyczaj stawiania kwestii w sposób co najmniej żenujący.

- Jestem teraz w trakcie polowania na Wilka - oznajmił detektyw twardo...

Harry uśmiechnął się w sposób nieokreślony.

- Życzę ci powodzenia.

Cliffton obrzucił go przenikliwym spojrzeniem

- Czy twoje życzenie jest naprawdę szczere? - zapytał żywo.

- Ba - Coss wyciągnął nogi przed siebie, obserwując z zainteresowaniem końce swych nienagannie wyglansowanych butów - powinieneś sam najlepiej o tym wiedzieć. Od tego jesteś przecież detektywem.

- Ale to - powstał szybko z fotela sięgając po butelkę - w niczym nie przeszkadza, abyśmy zwilżyli nasze gardziółka. Przyznaj - głos jego brzmiał niefrasobliwie - chyba w czasie całej swojej kariery spotykasz po raz pierwszy przypadek, by badany częstował inkwizytora? Bo jeżeli mnie domyślność nie myli, masz zamiar urządzić coś w rodzaju badania.

Tak - westchnął smętnie Cliffton - chciałbym ci zadać parę pytań.

Cała ta niedorzeczna scena napawała go przykrym niesmakiem. Polować na przyjaciela? Zadanie nie mogło mu przypaść do gustu. Był jednak na służbie i ani na ułamek sekundy nie zapomniał o tym.

- Pytaj - Harry powrócił na swój fotel.

- Odpowiesz mi na moje pytania? Wzrok Clifftona zawisł z napięciem na twarzy Harry'ego.

- Na wszystkie na pewno nie - rozłożył ramiona gestem ubolewania - inaczej pozbawiłbym pracy twój sprawny mózg.

- Czy ty jesteś Wilkiem? - rzucił zniecierpliwiony Cliffton pytanie. Jeżeli oczekiwał jakiegoś gwałtownego odruchu ze strony Harry'ego, to spotkało go rozczarowanie. Rysy zapytanego nie drgnęły nawet najsłabszym skurczem.

- Otóż to - mruknął sennie, wypatrując czegoś na ułożonej w kwadraty podłodze - pytanie można powiedzieć lekkiego kalibru... Nie, stary, nie odpowiem ci na nie.

- To jest po prostu nieprawdopodobne - zachnął się gniewnie Cliffton - mógłbyś przecież zaprzeczyć...

- Niestety, przyjacielu - Harry wreszcie oderwał oczy od podłogi i spojrzał spokojnie na detektywa - to zagadnienie muszę pozostawić całkowicie twej domyślności no... i ocenie zebranych poszlak.

- A... w takim razie może mi odpowiesz, czy wiesz kto jest Wilkiem?

Harry uśmiechnął się przepraszająco.

- Bardzo mi przykro, ale i to pytanie musi pozostać bez odpowiedzi.

- Więc nie zaprzeczasz, że wiesz? - nastawał Cliffton. Harry wcisnął znużonym ruchem plecy w miękkie obicie fotela.

- Nie. Nie zaprzeczam, ani potwierdzam. Po prostu nie odpowiadam. Sam wysnuj z tego odpowiednie wnioski.

- Cliffton wpatrywał się w jego ręce?

- Czy zawsze palisz tak wiele?

- Przeważnie.

- Czy są takie powiedzmy... godziny, gdy nie palisz wcale?

- Zdarza się. Tak, masz rację. Wilk udając pomocnika maszynisty Spaneya przez kilka godzin nie tyknął ani smużki dymu - dodał nie zmieniając tonu.

- O - Cliffton nie potrafił powstrzymać odruchu zdumienia.

- Więc o tym także wiesz? Przecież to jest tajemnica strzeżona przez policję!

- Znam wiele pilnie strzeżonych tajemnic - stwierdził obojętnie Harry.

Cliffton wpadł w zadumę. Nie, takie badanie nie doprowadzi do niczego. Harry po prostu kpi sobie z niego. I na pewno nie piśnie ani jednej sylaby więcej, aniżeli będzie miał ochotę. - Stalowe nerwy - skonstatował z mimowolnym uznaniem. Ale tym lepiej. Lubił mieć do czynienia z mocnymi przeciwnikami w grze.

- Słuchaj - powiedział stanowczo - to wszystko nie manajmniejszego sensu. Musimy sprawę postawić jasno i bez osłonek.

- Stawiaj - zgodził się cokolwiek znudzonym głosem Harry.

- Był kiedyś taki słowiański książę, który uprzedzał swych przeciwników: „Idę do was...”

- Był - potwierdził Harry - pamiętam to także z historii. Ale tu nie ma żadnej analogii. Ów Słowianin uprzedzał po to, by nie zaskoczył swych przeciwników znieacka. W sprawie Wilka nie ma o tym mowy. On na pewno wie więcej o twoich posunięciach, niż by sam tego pragnął.

- Jesteś tego pewien? - Cliffton zajrzał mu niespodziewanie w oczy. Nic mu to zresztą nie dało. Źrenice Harry'ego odbiły jego spojrzenie jak nieruchoma tafla jeziora.

- Zupełnie.

- Dużo wiesz jednak o Wilku - podkreślił z naciskiem.

- Ano, coś niecoś.

Cliffton spojrział na niego z ukosa. Obojętna twarz Harry'ego nie wyrażała żadnych uczuć. Nieruchome rysy czyniły wrażenie wyrzeźbionych z twardego drzewa.

Postanowił uderzyć mocno, by przebić wreszcie tę maskę.

- CIEBIE podejrzewają właśnie o to, że jesteś Wilkiem! - wypalił z nienacka.

- Czyżbyś - Harry strzepnął jakiś niewidzialny pyłek z kłapy swej marynarki - nie przywiózł przypadkiem z Fairbanks świeżych nowin?

Cliffton zwiesił z rezygnacją głowę.

- Jesteś twardy jak skała - syknął przez zęby.

- Tak mówią...

- Ale ja ciebie rozgryzę!

Harry zaśmiał się zupełnie szczerą wesołością.

- No widzisz. Powiedziałeś mi nieprawdę o tym lunchu w Fairbanks. Musisz być naprawdę głodny, jeżeli ostrzysz zęby na moje żyłaste ciało. Może pozwolisz, że cię poczęstuję czymś bardziej lekkostrawnym.

- Rozgryzę cię - powtórzył z uporem Cliffton nie zwracając uwagi na jego żartobliwy ton - choćbym miał przy tym zęby połamać.

- Smacznego. Cóż mogę poradzić, skoro nagle nabrałeś takiej nieprzewycięzonej ochoty? Jesteś moim gościem, a sam wiesz, że nie ma takiej rzeczy, której by przyzwoity gospodarz nie poświęcił dla gościa. Jedno mnie tylko martwi - dodał cokolwiek poważniejszym tonem - cóż, nie jestem zupełnie pewien, czy znajdziesz to, czego szukasz...

- Ha - westchnął z desperacją Cliffton - ja też nie jestem o tym przekonany. Za to wiem jedno: na pewno znajdę coś mocno ciekawego.

- Oczywiście. Jeżeli jest takie twoje przekonanie, szukaj. Clinton przytknął machinalnym ruchem trzymaną w ręku szklaneczkę do ust i łyknął spory haust whisky.

- Chciałbym ci zadać jeszcze parę pytań.

- Słucham - Harry przytknął lekko powieki, jakby nagle opanowała go nieprzemierzona senność.

- Wyjeżdżałeś w środę z domu?

- Trafiłeś w sedno. Wyjeżdżałem samochodem o świcie tego samego dnia, kiedy miał miejsce napad na pociąg na dwieście dziewięćdziesiątej mili. Samochód mój to najnowszego typu Ford kolonialny. Z łatwością zdążyłem przybyć się Curry w momencie odejścia pociągu.

A nawet przy pewnym wysiłku jeszcze trochę wcześniej. Gdy wracałem z tej wycieczki następnego dnia o świcie moja maszyna wyglądała jakby jej używano zamiast pługa śnieżnego. Ten szczegół polecam twojej specjalnej uwadze. Jest bardzo charakterystyczny. Bo tej nocy na autostradzie Nenana - Fairbanks nie było ani jednej zasy - wyrecytował monotonnie, jakby czytając jego niewidoczny tekst. - Zdaje się, że właśnie w ten sposób zeznawał imć pan Holmers. Czy nie przekręciłem czegoś przypadkiem z cennego protokołu, spoczywającego w biurku komendanta policji? - spojrzał niewinnie na detektywa.

Cliffton potarł zaciśniętą ręką czoło. Wydawało mu się, jakby śnił jakiś niesamowity sen. Harry powtarzał niemal słowo w słowo treść raportu złożonego przez Salambo. Co to wszystko miało znaczyć?

- A... dokąd pojechałeś? - jęknął prawie.

- Do Nenany. Sprawy bankowe..

- Człowieku - mimo woli podniósł głos - opamiętaj się. Przecież ciebie nie było wcale tego dnia w Nenanie!

- Powiadasz: nie było? - Harry odstawił szklaneczkę na mały stolik stojący przy fotelu. - Nic na to nie mogę poradzić. Widocznie zmyliłem drogę zajeżdżając gdzie indziej.

Cliffton nie wytrzymał. To wszystko zaczynało przewyższać nawet odporność jego stalowych nerwów. Zerwał się gwałtownie z fotela i podbiegł do Harry'ego.

- Gdzie byłeś? - nachylił twarz tuż nad jego twarzą - powiedz wreszcie!

Źrenice Harry'ego pozostały niezmacone. Wytrzymał spokojnie atakujące natarczywe spojrzenie detektywa.

- Daruj stary - odłożył papierosa na bok, by nie puszczać dymu w twarz Clifftona - to trzecie pytanie, które musi paść w próżnię.

Cliffton zacisnął pięści. Ogarniała go wściekłość. Drwiące odpowiedzi Harry'ego wytrąciły go z równowagi. Trzymał nerwy na wodzy ostatkiem sił. Najchętniej schwyciłby go za ramiona i dotąd potrząsał, aż spadnie wreszcie z jego twarzy ta nieprzenikniona maska.

Nagle osowiał. Przyszła nieunikniona reakcja. Wściekłość zgasła, jak zdmuchnięty gwałtownym porywem wiatru nikły płomyk świecy. W sercu podniosło niespodziewanie głowę współczucie dla byłego kolegi z jednej ławy. Tak. Ile Harry'ego musiała kosztować ta rozmowa. Wiedział przecież, że każde słowo może zdecydować o nieodwołalnej katastrofie. Zupełnie inna sytuacja u partnerów gry. Grają odmiennymi kartami. Z jednej strony człowiek mający za plecami potężne poparcie całej maszyny państwowej, z drugiej samotnik, mogący liczyć wyłącznie na własne siły. I każdy z nich gra o różną stawkę. Po raz pierwszy od wstąpienia na drogę zawodu detektywa, w mózgu Clifftona zjawiała się refleksja tego rodzaju.

Ale też po raz pierwszy znalazł się w tak niesamowitej sytuacji. Po tamtej stronie bariery stał przyjaciel. Dlatego może nie wytrzymał nerwowo pierwszej rozgrywki.

Odszedł ociężałym krokiem w kierunku fotela, który poprzednio zajmował.

Upadł w jego głębiny, aż sprężyny jęknęły cichutko.

- Kręcisz pętlę na własną szyję - stwierdził ponuro. Z warg Harry'ego nie zniknął niefrasobliwy uśmiech.

- Cóż robić, stary - sięgnął znowu po odłożonego papierosa - taki widocznie już mój los.

- A więc wojna? - wycedził przez zęby Cliffton.

- Ale skądże znowu - spojrzał na niego wzrokiem niesłusznie podejrzanej niewinności - o tym nie ma w ogóle mowy. Ty tylko jesteś stroną atakującą. Mnie pozostaje rola najzupełniej bierna. Czyż zadałem ci na przykład w czasie naszej rozmowy choćby jedno pytanie?

Cliffton zacisnął szczękę, aby powstrzymać ich drżenie.

- Dobrze - mruknął twardo - rozumiem. Wiedz tylko jedno: szukam Wilka. I na tej drodze nie uznaję żadnych więzów. Ani przyjaźni, ani innych... Jestem na służbie i w czasie jej trwania tracę prawo do osobistych uczuć. Muszę myśleć jedynie o obowiązkach, jakie przyjąłem wobec tych, którzy mi zaufali.

- To zupełnie zrozumiałe.

- I jeżeli nabiorę przekonania, że właśnie ty występujesz jako Wilk, bez najmniejszych względów oddam cię w ręce sprawiedliwości...

- Hm - chrząknął - to się nazywa sprawa jasno postawiona. Czy jednak nie sądzisz, że gdybym ja był naprawdę Wilkiem, to usunąłbym cię z drogi, zanim wprowadziłbyś w czyn swój piękny zamiar zaprowadzenia mnie na szubienicę? To oczywiście najzupełniej przypadkowo - zastrzegł się uprzejmie. Ot, takie rozważanie teoretyczne.

Cliffton wychylił resztę whisky ze szklanki.

- Tak - potwierdził. - Gdybyś był Wilkiem zabiłbyś mnie, zanim zdołałbym cię aresztować. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Więc układ stoi - Harry trzepnął otwartą dłońią w swoje kolano. - Z chwilą, gdy ustalimy moją tożsamość z tym nieznośnym bandytą, ja ciebie zastrzelę, a ty mnie zaciągniesz na szafot. Albo odwrotnie. Jak kto woli.

- Może przestaniesz choć na sekundę błaznować - warknął detektyw.

- Mam płakać?

- Wolałbym już nawet to. Sprawa należy do rzędu zbyt poważnych, aby dawała powód do kpin. Tak czy inaczej, chodzi o czyjej życie.

- Nie tylko jedno - po raz pierwszy w ciągu rozmowy przez źrenice Harry'ego przesunął się ponury cień - zapewniam cię. I nie tylko o życie. Ale pomimo to wolę śmiać się niż płakać. I tak już zostanie do końca bez względu na to, co spotkam na swojej drodze - zakończył twardo.

Zapadło przenikliwe milczenie. Obydwaj rozmyślali o szlakach, jakimi będą musieli wędrować przez nadciągający, ciężki odcinek życia. A może myśleli o jednym?

- Będę cię śledził - odezwał się pierwszy Clifton.

- Pycha! Dziękuję za uprzedzenie. Potrafię teraz lepiej kryć swoje ciemne sprawy.

- I aby cię mieć stale na oku, zamieszkam u ciebie - oświadczył niespodziewanie Clifton. - Chyba mi nie odmówisz gościny w swym domu? - spojrzał na niego spod oka.

Wyciągnięta do pudełka z papierosami ręka Harry'ego zawisła w powietrzu.

- O - przymrużył powieki, jakby nagle uderzył go jaskrawy snop światła - chcesz u mnie zamieszkać?

- Tak - odpowiedział detektyw niewzruszenie - właśnie mam ten zamiar. Nie bardzo ci to na rękę?

- Nie - westchnął Coss - nie bardzo.

- Otóż to. Tym bardziej nabieram ochoty. Nie odmówisz mi.

- O tym nie ma mowy - powiedział uprzejmie. - Przecież jesteś moim gościem.

- Dziękuję ci - wzrok Clifftona stracił nieco ze swego poprzedniego natężenia. - Prawdę powiedziawszy liczyłem na twoją gościnność - sięgnął po papierosa. - Będę jednak nie bardzo przyjemnym gościem - mruknął.

- Dla mnie najmiłym - zaprotestował żywo Harry.

- Lubię szperać - ciągnął dalej.

Szperaj, bardzo proszę. Cały dom stoi do twojej dyspozycji - zakresił ręką wokół. Może jakoś dzięki ostrzeżeniu potrafię i ukryć moje podejrzone machinacje przed twoją przenikliwością - dodał niedbale.

IX

CLIFFTON PRACUJE

Wyjeżdżasz? - detektyw spojrzał pytająco na podróżny ciepły płaszcz i czapkę z nausznikami.

- Niestety - zrobił grymas ubolewania - zechciej mi łaskawie wybaczyć. Okoliczności tak się złożyły, że muszę cię zostawić na dwa dni samego.

- Hm... tak - Cliffton siadł okrakiem na poręczy fotela, stojącego w hallu. Ledwie zdołał przyłapać gościnnego gospodarza. Gdyby nie zerwał się skoro świt słysząc jakieś podejrzane szmery w sąsiednim pokoju, na pewno umknąłby bez uprzedzenia.

Swoją drogą - powiedział poważnie - ja na twoim miejscu nie robiłbym żadnych wycieczek. Harry rozłożył ramiona.

Cóż robić. Interesy mnie wzywają. Nie mogę wciąż leżeć do góry brzuchem. Sam powinienes zrozumieć: interes jest interesem. Głos jego był zupełnie wyprany z jakiegokolwiek intonacji. Naciągał starannie długie rękawice z grubej wełny. Cliffton patrzył na niego, rozmyślając nad czymś w milczeniu.

No, bywaj stary - Harry machnął ręką pożegnalnym gestem. Więc jedziesz nieodwołalnie? - Cliffton pomacał po kieszeni w poszukiwaniu papierośnicy.

- Muszę.

Ano trudno - detektyw wzruszył ramionami - w takim razie będziemy pewno mieli w najbliższym czasie nowy występ Wilka.

Harry pochylił głowę nad klamerką pasa, którą w tej chwili zapinał. Detektyw nie mógł dojrzeć wyrazu jego twarzy. Jesteś tego pewny? - wycedził nie podnosząc głowy. Prawie - potwierdził ze smutkiem. - Bo twoje wyjazdy w niewiadome niemal zawsze zbiegają się z napadami urządzanymi przez Wilka. Harry starannie poprawił futrzany kołnierz.

- Albo - rozmyślał na głos Cliffton - może raczej napady Wilka zbiegają się twoimi wyjazdami.

- A - rzucił na niego przelotne spojrzenie - czyż to nie to samo?

- Nie udawaj - zachnął się - rozumiesz doskonale różnicę - podkreślił.

Gwizdnął przeciągle przez zęby.

- Miej się na baczności Jim. Idziesz mocno niebezpieczną drogą No, good bye! Trzymaj się ciepło i uważaj na zakrętach.

Jeszcze jeden pożegnalny gest i zbiegł pośpiesznie po schodach. Po chwili huk potężnego motoru oznajmił o jego odjeździe.

Cliffton siedział jeszcze dobre parę minut wciąż w tej samej pozycji, pogrążony w głębokiej zadumie. Ostatnie słowa Harry'ego pomimo swej żartobliwej treści nie brzmiały bynajmniej wesoło. Raczej dźwięczało w nich ostrzeżenie. Najchętniej pogoniłby za nim, by stwierdzić dokąd pojechał. To jednak należało do oczywistych niemożliwości. Zanim by sprowadził z Fairbanks samochód...

Zeskoczył z fotela, rozpoczynając spacer po hallu.

- Co znacząły tajemnicze wycieczki Harry'ego i ich dziwna zbieżność z napadami Wilka? Czyżby naprawdę był tym bandytą? Biorąc na zdrowy rozum, tak właśnie wyglądało. Za bardzo nawet wyglądało. Po prostu rzucało się w oczy.

- Uwaga! - mruknął, przystając nagle w swej wędrówce. - Tę przecież jest w tej sprawie najdziwniejsze! Dlaczego postępuje z taką ostentacją, jakby specjalnie usiłował zwrócić na siebie podejrzenie?

- O, do wszystkich...! Gdzie tu prawda, a co należy odrzucić jako nagromadzone celem zamydlenia oczu?

Znowu rozpoczął bezcelowy spacer. Prawda, jeszcze jedno! Jaką rolę w tej całej historii odgrywają wspólne konkury inspektora policji i podejrzanego do panny Barton?

Od biedy mógł tłumaczyć gorliwość Mac Dufty'ego w gromadzeniu dowodów przeciwko Harry'emu. Jednak te dowody naprawdę czyniły przekonujące wrażenie. Jaki ma cel sam Harry w tym swoim, tak niezrozumiałym i dziwacznym postępowaniu?

Drzwi otworzyły się cicho i do hallu wszedł Johnson.

- Czy pan mnie będzie potrzebował do godziny dwunastej w południe?

- Nie - spojrzał na niego z zaciekawieniem - dlaczego o to pytaacie?

- Bo jeżeli nie jestem potrzebny, pojechałbym do Fairbanks po zakupy - Ponieważ zaś mister Coss zabrał samochód, nie zdążę wrócić przed południem. Oczywiście o ile pan rozkaże, odłożę wyjazd na kiedy indziej - zastrzegł służbiście.

- Możecie śmiało jechać. Świetnie sobie tu sam dam radę.

- Dziękuję sir - szpakowata głowa Johnsona zakreśliła łuk pełnego godności ukłonu. - W każdym razie w domu, służbowym pozostaje Francis. Gdyby pan potrzebował, oto dzwonek - wskazał na czerwony taster.

Wycofał się sztywnym krokiem. Clifton pogonił spojrzeniem za lekko zgarbionymi plecami służącego. Ta na pozór nic nie znacząca rozmowa też miała swoją osobliwą wymowę. Mózg pracował z precyzją maszyny. Nigdy nie odrzucał najbliższych nawet szczegółów. Kamerdyner wyjeżdżał na kilka godzin w czasie nieobecności swojego pana. Wniosek prosty: Harry widocznie nie polecił mu pilnowania kłopotliwego gościa. Więc albo nie miał niczego do ukrywania, albo tajemnice były ukryte tak doskonale, że nie obawiał się zdemaskowania.

Wyjrzał przez okno, wychodzące na podwórze.

Przed wejściem do służbowej oficyny stały niskie sanki zaprzężone w rosnącego konia. Po dłuższej chwili zszedł po schodach Johnson, otulony po czubek nosa w kożuch.

Trzaśnięcie batem i sanki ruszywszy szparko po wyjeżdżonym śniegu zniknęły za bramą.

Należało wykorzystać okazję. Dotychczas, pomimo przeszło czterodniowego zamieszkiwania w farmie nie znalazł jakoś sposobności, by przeszukać dokładnie pokoje.

Najwięcej interesował go gabinet gospodarza. Jeszcze w nim nie był. Już sam fakt, że go tam Harry nie zapraszał - nasuwał pewne domysły.

Pokój ten mieścił się, jak to już zdołał spenetrować, na pierwszym piętrze.

Wbiegł szybko po schodach. Nie wiadomo jak długo potrwa udzielona łaskawie przez służącego samotność.

Pchnął pierwsze drzwi wychodzące na podest. Zajrzał ciekawie do wnętrza. Nie tu. Nie było tego, czego szukał. Sypialnia. Tej wprawdzie również nie zwiedzał, postanowił ją jednak zachować na później. Przede wszystkim gabinet. Potem, jeżeli wystarczy czasu wróci do sypialni. Choć właściwie Harry nie wyglądał na takiego,; który by chował swe sekrety pod poduszką.

Drugie drzwi. Solidne, z czarnego masywnego dębu, odbijały swym świeżym wyglądem od tamtych pierwszych. Czyniły wrażenie, jakby je zainstalowano niezbyt dawno.

Puknął w powierzchnię drzewa zgiętym palcem, nad słuchując uważnie dźwięku. - No, no - pokręcił ze zdumieniem głową.

Stuknął jeszcze raz. Tak, teraz nie miał już wątpliwości. Poprzez, głuchy odgłos wydawany przez drzewo przebijał ton metalu. Stalowa płyta zaszalowana dębem - stwierdził bez wahania.

Nacisnął delikatnie klamkę, odskakując raptownie w bok. Stalowe, niedawno założone drzwi wyglądały mocno podejrzanie. Kto wie, jakie mogły zawierać w sobie niespodzianki? Znał te nowoczesne instalacje, mające za zadanie dotkliwie pouczać niepowołanych o konieczności poszanowania cudzych tajemnic.

Nic jednak z nieoczekiwanych tajemnic nie nastąpiło. Ani nie czuł uderzenia prądu, ani nie gwizdnęła mu koło ucha kula.

- Tak - westchnął podchodząc znowu - najgorsze jest właśnie to nieznane.

Tym razem szarpnięcie klamki wypadło o wiele energiczniej. Niewiele pomogło. Drzwi pozostały nieruchome, strzegąc swą stalową pierśią wejścia.

- Zamknął naturalnie na trzy spusty - mruknął z niezadowoleniem. - Zobaczmy teraz, jakiego rodzaju zamek mogą mieć takie drzwi?

Sięgnął do kieszeni wyjmując małe skórzane etui. Gdy je otworzył, błysnął rząd niklowych przedmiotów, o dziwnie powykęcanych kształtach.

Obejrzał uważnie wykrój otworu zamka, po czym popatrzył z zastanowieniem na swoje narzędzia. - Może ten? - wyjął płaski drucik o lekko zakrzywionym końcu.

Wsunął go delikatnie do otworu. Nie spodziewał się wprawdzie natychmiastowego powodzenia, jednak to, co zaszło w tej chwili, zaskoczyło, go nieprzyjemnie.

- Trrr - gdzieś w oddali zaterkotał głucho przeciągły głos dzwonka.

- O, do licha? - Zaklął wściekle wyszarpując gwałtownym ruchem wytrych. - Dzwonek alarmowy! Zaraz się zbiegnie cała chmara służących!

Nadsłuchiwał z niepokojem. W domu wciąż panowała niczym nie zmacona cisza. Dźwięk dzwonka zamarł w tym momencie, gdy wyjął wytrych. - Czyżby nikt nie usłyszał? - pomyślał z niedowierzaniem.

Podszedł do wąskiego okienka umieszczonego w głębi podestu. Widać było stąd doskonale całe podwórko.

Patrzył z natężeniem na oficynę. Nikt jednak z niej nie wychodził. Tonęła w sennej martwocie.

Odetchnął z ulgą. Minęło co najmniej pięć minut od alarmu i nie następowała żadna reakcja.

- Ależ służba - wydał pogardliwie wargi - przepędziłbym ją na cztery wiatry. Ten, polecony na chwilowego zastępcę przez Johnsona, Francis, pewnie śpi w jakimś kącie. Albo poszedł na spacer. Można używać na całego.

Znowu powrócił do tajemniczych drzwi. Przesunął badawczym wzrokiem po ścianie.

Jest. Tuż nad podłogą biegł cienki drucik. Przewód alarmowego dzwonka.

Zacisnął z uporem szczęki. Pot wystąpił obfitymi kroplami na czoło. Przy tym wysiłku otworzyłby bodaj kasę Federalnego Banku, a to stalowe świństwo ani drgnęło.

Wypróbował po kolei wszystkie klucze. Żaden nie pasował. Zamek musiał mieć w swym wnętrzu nie byle jakie kombinacje. Wreszcie wyjął przyrząd podobny raczej do dentystycznego świdra, aniżeli do wytrycha. Jakies sprężynki, śrubki, igły. Przygotował to z pedantyczną starannością. Ostatnia nadzieja.

Przyklęknął na podłodze, nachylając się nad zdradzieckim drutem. Unieszkodliwił go w parę sekund.

Teraz przyszła kolej na zamek. Nie było to takie łatwe, jak wyglądało na pierwszy rzut oka. Tego cacka na pewno nie robił jakiś wioskowy kowal. Mijały jedna za drugą cenne minuty bez żadnego rezultatu. Wydawało się już, że nie pomogą precyzyjne narzędzia. Na pewno niejednen z zawodowych włamywaczy dawno by już machnął ręką. Clifton jednak nie miał zamiaru rezygnować. Musi sforsować ten piekielny zamek. Chociażby go nawet miał

wygryzać zębami. Trudności podniecały go jeszcze bardziej. Nie zamyka się przecież tak pokoju, w którym nie ma nic ciekawego. Mógł zaufać tym drzwiom. Mógł, ale nie wobec wszystkich. Nie znał jeszcze Clifftona! Naturalnie tego dzisiejszego.

Włożył cienkim końcem do zamka, manipulując zajadłe śrubkami. Posłuszne nakazom sprężyny igły poszukiwały zazębień mechanizmu zamka. Spróbował na lewo - nic... przekręcił jeszcze więcej - również żadnego rezultatu. Teraz na prawo... przesuwiał koniec śruby milimetr po milimetrze.

- Jest - krzyknął radośnie na cały głos, kwitując szczęk sprężyny - dobra!

Nacisnął klamkę. Niezwyciężone drzwi zapadły w głąb.

Uśmiechnął się z triumfem. Nareszcie!

Otarł wierzchem dłoni pot z czoła. Napracował się naprawdę aż do znoju. Gdyby nie znalazł niczego, przeżyłby chyba jedno z największych rozczarowań w życiu.

X

ODKRYCIE

Pokój nie czynił bynajmniej tajemniczego wrażenia. Nowoczesne meble z polerowanego orzecha, na podłodze puszysty, kosztowny dywan, na jednej ze ścian olbrzymi wschodni kilim obwieszony myśliwską bronią. Przeciętny męski gabinet w zamożnym domu.

Przystanął na progu, wodząc uważnym spojrzeniem dookoła. Od czego zacząć? Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Miał przed sobą co najmniej dwie godziny na poszukiwania. Aż nadto czasu, by przeszukać cały dom od strychu aż po fundamenty. A cóż dopiero jeden jedyny pokój.

Na wprost drzwi, pod przeciwległą ścianą, stała oszklona kryształowymi szybami biblioteczka, lśniąca bogato złożonymi grzbietami książek. Ukośne do okna wielkie biurko dźwigało na gładkim szklistym blacie przybory z zielonego nefrytu. Raczej powinien zacząć od dwóch sprzętów. Choć równie dobrze tajemnica Harry'ego mogła tkwić w jakiejś skrytce zamaskowanej pod tapetą. Albo pod którymś z jasnych kwadratów podłogi. Wszystko możliwe. Konstrukcja drzwi przygotowała na najbardziej niedorzeczne niespodzianki.

Przebiegł oczyma tytuły książek stojących równym szeregiem. To też miało swoje znaczenie dla charakterystyki gospodarza. - Pierwszy rząd nie zawierał nic specjalnie ciekawego.

Za to drugi? Ten należał niewątpliwie do najbardziej interesujących. „Psychologia zbrodni” Whinte'a, „Daktyloskopia”, „Lampa kwarcowa jako środek wykrywania fałszu dokumentów”, „Grafologia”, „Psychologia zeznań świadków” i dalej w tym samym rodzaju.

Właśnie - westchnął żałośnie, patrząc melancholijnie w sufit, jakby stamtąd oczekiwał pomocy - „Powiedz mi co czytasz”... Wiem już co stanowi jego lekturę, ale nie jestem przez to ani o włoskę mądrzejszy niż przedtem. Księgozbiór niewątpliwie całkiem osobliwego gatunku, jeżeli chodzi o przeciętnego farmera. Ale z drugiej strony, jak pogodzić działalność Wilka z rozprawami na temat fałszu dokumentów? Czyżby miał zamiar w najbliższym czasie zmienić swoją specjalność?

- Et - mruknął w końcu zniechęcony. - Dedukcja w tej sprawie widocznie do luzu. Trzeba szukać bardziej konkretnych podstaw. Podszedł do biurka. Zamek niezbyt skomplikowany. Wystarczył pierwszy z rzędu wytrych, wydobyty z etui, by wszystkie szuflady stanęły otworem. Zaczął systematyczny przegląd, nie zaniedbując najmniejszego skrawka papieru. Nie znalazł jednak nic godnego uwagi. Jakieś rachunki, listy handlowe, oferty. W jednej z szuflad natrafił na kilka rewolwerów rozmaitych systemów i kalibrów. Wszystkie w miękkich skórzanych futerałach, naładowane aż po kule w lufie, wyczyszczone i naoliwione, jednym słowem gotowe do natychmiastowego użytku. To jednak właściwie nie miało żadnego specjalnego znaczenia. W tych stronach wielu spokojnych obywateli odznacza się zamiłowaniem do broni.

Jeszcze jedna szuflada napełniona dokumentami dotyczącymi farmy - i koniec.

Opadł ciężko na rozłożysty fotel stojący przed biurkiem. Nic. Najślabszego nawet śladu, który by wskazywał na coś podejrzanego.

- Więc po co w takim razie te drzwi? W obawie przed włamywaczami? Nie, to nie wyglądało na Harry'ego.

- Ano - westchnął z rezygnacją - trzeba będzie zabrać się do biblioteki. A potem opukać ściany. Jeżeli zaś i to nie pomoże, pozostaje tylko podłoga. Miał zamiar już zamknąć biurko, gdy wzrok jego padł przypadkowo na małą metalową tabliczkę przybitą dyskretnie na wewnętrznej stronie drzwiczek biurka.

- „Andrew Stonnsway, Pittsburg, Pensylwania” - przeczytał bezmyślnie. - O! - drgnął nagle - Pittsburg? Ładny szmat drogi. Czyżby mister Coss nie mógł znaleźć odpowiedniego stolarza w całej Alasce? Transport mebli na pewno kosztował znacznie więcej aniżeli one same. Dlaczego sprowadzał meble aż Pittsburga? W tym niewątpliwie tkwiło coś niezwykłego.

- Zaraz, zaraz - mózg jego pracował z gorączkowym wysiłkiem. - Andrew Stonnsway? Stonnsway? - powtórzył półgłosem, wsłuchując się w dźwięk słów. Tak, niewątpliwie nazwisko to brzmiało jakoś znajomo. Nagle aż podskoczył na fotelu. - Naturalnie! Teraz dopiero przypomniał sobie skąd znał jego brzmienie. Fabryka Stonnswaya

była jedną z niewielu, które wyrabiały „specjalne meble” z dobrze ukrytymi sekretnymi skrytkami. Spotkał się kiedyś przecież z biureczkiem, pochodzącym z tej pracowni. Kosztowało go wtedy niemało wysiłku zanim przeniknął jego tajemnicę. A warto było. Mała przemyślnie zamaskowana sprężynka rozwiązała za jednym zamachem sprawę, nad którą przez parę miesięcy bezskutecznie łamało sobie głowy kilku tęgich asów tajnej policji.

Wtedy natrafił na sekret zupełnie przypadkowo. Teraz już wiedział. Przesunął dłonią po blacie. Otóż to. Była jednak pewna różnica. Tamto biurko pokrywała gęsta sieć rzeźbionych ozdób. Aż zapraszało, by pogłaskać te wszystkie różyczki i smoki. To zaś lśniło pogardliwie absolutnie gładką powierzchnią.

- Gdzie tu szukać sprężyny?

Wszędzie gładka warstwa polityry. Najmniejszej szczeliny. Czyżby się jednak omylił w swoich przypuszczeniach?

Pozostawała mu tylko spodnia strona, nieznacznie wystająca poza szufladki, blatu. Przesunął czujnie końcami palców, naciskając raz po razie.

Doszedł już do środka długości, gdy nagle drzewo ustąpiło pod naciskiem.

Lekki szmer mechanizmu i cały blat biurka zaczął się z wolna unosić ku górze. Ledwie zdążył schwytać w ostatniej chwili sunące po śliskiej powierzchni przybory. Błogosławił w duchu podstawkę do wiecznego pióra. Gdyby na biurku stał kałamarz z atramentem, na pewno zaznaczyłby czarną plamą ślad wizyty.

Patrzył radośnie na wędrujące do góry wieko. Cały blat! Dobrze pomyślane.

Zacisnął zęby, by powstrzymać triumfalny okrzyk. Kochany Stonnsway. Wystarczyło raz natrafić na jego arcydzieło, by nie być zmuszonym do tracenia czasu na opukiwanie ścian i podłogi.

Blat zatrzymał się w pozycji niemal pionowej, odsłaniając płytkę, ale za to obszerną, bo zajmującą cały obszar powierzchni biurka, skrytkę.

Cliffon nachylił się nad nią z uczuciem myśliwca, dopędzającego zwierzynę po niezmiernie uciążliwej pogoni.

Przede wszystkim uwagę jego zwróciło kilka płaskich oprawionych w czerwoną skórę pudełek. Otworzył niecierpliwie pierwsze. Błysnęło osadzone na wewnętrznej powierzchni wieka lustro. Na wyścielanych aksamitem podstawach spoczywał komplet szminek.

- Otóż to - pokręcił głową, sięgając po drugie z kolei pudełko - wystarczyłoby dla całego zespołu amatorskiego teatru.

Drugie pudełko zaprezentowało asortyment sztucznych zarostów. Trzecie takie samo.

Tak, musi nałożyć kajdany na ręce, które ścisnął serdecznie. Najlepiej byłoby, gdyby Harry w ogóle nie wrócił ze swojej wyprawy.

W skrytce leżał wciśnięty w najgłębszy kąt, sporych rozmiarów portfel z kozłowej skóry. Sięgnął bez przekonania... Cóż może znaleźć ponadto? Dowodów i tak miał dosyć. Nawet za dużo, jak na swoje potrzeby.

Zajrzał do wnętrza. Plik banknotów wysokiej wartości. Sądząc na oko co najmniej kilkanaście tysięcy dolarów. Popatrzył na nie niemal z nienawiścią. One właśnie skierowały Harry'ego na tę drogę.

Jakieś papiery. Przejrzał obojętnie. Co? Twarz skamieniała ze zdziwienia. Niemożliwe! Czytał teraz sylabizując każde słowo po kolei.

Wytrzeszczył oczy. Wyglądały jakby za chwilę miały wypłynąć z orbit. Napięte do ostateczności nerwy nagle zelżały, jak rozkręcone struny. Jeszcze pieczęć i podpis. Niewątpliwie autentyczne.

- Tak - westchnął. - Niestety. Sprawa skończona. Biedny Harry. Za bardzo ufał swoim wymyślnym skrytkom. I za nisko szacował moje wścibstwo. Mac Dufty miał rację. Pozostaje tylko wykrycie związku pomiędzy Cossem i Wilmersem. Ale to już dalsze rzeczy. Tajemnice Wilka odkryte. Harry'ego... także. Szkoda chłopca. Nie ma jednak na to rady. Obowiązek.

Oparł plecy o poręcz fotela, wpatrując się bezmyślnie w płaskie pudełko. Dzięki nim właśnie Wilk występował pod różnymi postaciami. Raz obrośnięty na podobieństwo małpy, drugi raz jako smagłolicy mieszaniec.

- Tfu do licha - sarknął, wzruszając ramionami - pomimo wszystko paskudna historia. Kolega z uniwersyteckiej ławy! - Uczucie triumfu nagle zgasło bezpowrotnie. Pozostał tylko przykry niesmak. Bodajby nigdy nie wtykał w to wszystko swego nosa.

Na twarz spłynęła ciężka chmura. Po co przyjeżdżał do tej przeklętej Alaski?

- Brr - wzdrygnął się - świństwo. A może by machnąć na to wszystko ręką, oddać pieniądze i wracać do domu?

- Nie - odpędził kuszącą myśl. - Nie wolno. Obowiązek. Jest na posterunku. Prawo mu zaufało. Może paść, ale cofać się - nigdy!

XI

MAG JEDZIE NA BAL

Mag spojrzała z nieśmiałą nadzieją na wskazówki miniaturowego zegarka, osadzonego w złotej bransoletce, opasującej przegub lewej dłoni. Westchnęła żałośnie. Pełzły z zabójczą powolnością. Dochodziła zaledwie szósta. Jeszcze co najmniej czternaście godzin zanim ujrzy Harry'ego. Czternaście godzin! - Jakże okropnie długo!

Spojrzała tęsknie w okno. Szarawy mrok sączył się przez szyby i otulając sprzęty, zacierał ich realne kontury. Odłożyła ociężałym ruchem trzymaną dotychczas w rękę książkę. Niby to próbowała czytać, jednak sens zdań umykał przed umysłem, w którym panowała niepodzielnie myśl o nieobecnym. Czuła się tak bardzo samotna, gdy Harry'ego nie było przy niej. Interesy - pomyślała gorzko - stale jakieś tajemnicze interesy, zabierające jej narzeczonego. Co robił naprawdę? Nigdy nie opowiadał jej dokładnie o celu swych ustawicznych wycieczek.

Przesunęła dłonią po zmarszczonym czole. Jej chłopiec... ostatnio stał się jakiś dziwny... Nie zawsze rozumiała wyraz jego oczu. Czasami odnosiła wrażenie, jakby w głębi źrenic Harry'ego czaiła się starannie maskowaną troska. Może chodziło mu o te śmieszne zaloty Mac Dufty'ego? Możliwe. Nie miał zbyt zachwyconej miny, gdy mu o nich opowiadała. Nie lubił inspektora, to pewne. Właśnie dzisiaj Mac Dufty telefonował do niej. Nie podeszła nawet do telefonu, każąc oznajmić, że leży jeszcze w łóżku. Nie miała najmniejszej ochoty na rozmowę z tym jegomościem, do którego nie odczuła zbytnej sympatii. Znosiła jego natrętną adorację jedynie ze względu na ojca. - Moja droga - oświadczył jej kiedyś w czasie jednej z rozmów na ten temat - dopóki nie jesteś zaręczona oficjalnie, nie widzę niczego niewłaściwego w postępowaniu pana inspektora. Naturalnie. Ojciec chciał być ze wszystkimi w zgodzie. A na Mac Duftym zależało mu specjalnie, potrzebował często jego usług w sprawach kopalni. Mac Dufty był nie byle jaką figurą w Fairbanks.

Znowu przysłał kwiaty. Nawet nie spojrzała na nie. Poleciała od razu wnieść je do saloniku na dole. Cóż ją mogły obchodzić kwiaty od tego człowieka. Gdyby mogła, odesłałaby z powrotem.

Potem dzwoniła Lucy. Z nią musiała porozmawiać. Nie była wobec niej zupełnie w porządku. Obiecała już od dwóch tygodni wziąć udział we wspaniałym weekendzie, urządzanym przez Lucy w Starej Farmie. Tak, ale Harry miał być na tej wycieczce. I nagle wyjechał. Bez niego impreza traciła całą swą atrakcyjność. Lepiej posiedzieć w domu. Przynajmniej można pomarzyć bez przeszkód.

Nagle szyby w oknach zadrżały rezonansiem przytłumionego odgłosu motoru. Jakiś samochód stanął przed domem.

- Czyżby Harry urządził niespodziankę? - Zerwała się gwałtownie z krzesła, podbiegając do okna. Serce jej zabiło gwałtownie.

- Nie - posmutniała ujrawszy wydłużoną sylwetkę Chevroleta. Auto Stetsonów - poznała błękitną karoserię.

Z samochodu wyskoczyła zręcznie smukła, młoda dziewczyna. - Lucy? - Mag patrzyła ze zdumieniem - co znowu zaszło nowego?

Nie czekała długo na odpowiedź. Po chwili wpadła Lucy do pokoju, zaróżowiona od szybkiego biegu po schodach.

- Jak się masz kochanie! - uścisnęła serdecznie Mag. - Jesteś przebrzydły kłamczuch! - oznajmiła ze śmiechem na wstępie.

- Strasznie mi przykro - na twarz Mag wystąpił lekki rumieniec - ale widzisz...

- Tsss - Lucy podniosła znacząco rękę. - Nie masz nic do gadania. Jesteś kłamczuch i nie zdołasz mnie przekonać, że jest inaczej.

- Ale...

- Możesz tłumaczyć do wieczora i nic nie wytłumaczysz. Wiem, dlaczego nie chcesz jechać z nami na weekend - spojrzała na nią przekornie.

Rumieniec na policzkach Mag przybrał barwę szkarłatną. Nic nie zdoła się ukryć przed czarnymi, pełnymi życia oczyma Lucy.

- Ooo - zaśmiała się triumfalnie Lucy - patrzcie no, jak to panna spiekła raka! Wszystko przez tego przebrzydłego mister Cossa!

Ty każdego nazywasz przebrzydłym! Lucy podskoczyła jednym susem do niej i pocałowała serdecznie w policzek.

- Nie gniewaj się. Mister Coss jest bardzo sympatycznym gentlemanem. I do tego bardzo przystojnym. Cóż z tego? - Skrzywiła z udanym smutkiem kształtne wargi - stracony dla świata. Wiem, gdzie ulokował swe męzne serce.

- Lucy - Mag bezskutecznie usiłowała zmarszczyć groźnie brwi. - Jesteś nieznośna gaduła. Pleciesz trzy po trzy.

- Wcale nie - klasnęła w dłonie. - Gadułą może jestem, ale za to wiem dobrze, co mówię. Może zaprzeczysz, że macie się ku sobie? No, zaprzecz, proszę bardzo - patrzyła na nią roześmianymi oczyma.

Mag odwróciła głowę ku oknu, jakby nagle dojrzała coś niezmiernie ważnego na ulicy. Nie potrafiła wyprzeć się swojej miłości.

- No widzisz - podskoczyła na kozetce Lucy - ani piśniesz. Ale dam ci już spokój, bo jeszcze mi się rozplączesz. Zresztą nie ma o czym mówić. Daruję ci tego Cossa! I tak jedziesz na nasz bal!

- Nie - pokręciła przecząco główką Mag - daruj mi jednak...

- Nie potrzebuję ci nic darować. Jedziesz! To już postanowione.

- Jak to: postanowione? - spojrzała ze zdziwieniem na przyjaciółkę.

- Kto postanowił?

- Pan dyrektor Barton, oczywiście - zawołała Lucy z triumfem. - Na sposoby są sposoby. Zanim przyjechałam do ciebie wpadłam po drodze do Eastern Creek. No, może nie było po drodze, ale czego się nie robi dla przyjaciółki. Wygarnęłam wszystko twemu papie. Przyznał mi rację bez zastrzeżeń. Karnawał w mieście zapowiada się podle. Każdy krzyczy „kryzys” i siedzi w domu. A nasz bal, ho, ho... - pokręciła głową. - Nie poznałabyś Starej Farmy. Podłogi jak z lustra. Kazałam zawiesić nowe żyrandole. Jednym słowem klasa. Niech się schowa sala klubowa. Ani porównania!

- Lucy - Mag spojrzała na przyjaciółkę z wyrzutem - naprawdę rozmawiałaś z moim ojcem?

- No - Lucy zmieszała się cokolwiek - nie masz potrzeby patrzeć na mnie, jakbym co najmniej chciała cię skrzywdzić. Mister Coss buja po świecie, a ty masz siedzieć samotnie w domu, jak Penelopa? Nic z tego, moja panno. Od tego masz Lucy Stetson, by ci, na taką niedorzeczność nie pozwoliła. Wyszędzisz się dosyć w domu, gdy będziesz już po ślubie.

Mag spuściła głowę z rezygnacją. Tak, jeżeli ojciec zdecydował, że ma być na tej zabawie, nic na to nie poradzi. Nie miał zwyczaju? nigdy zmieniać swych raz już powziętych decyzji. Lucy i tym razem zdołała postawić na swoim. Tak, jak zawsze zresztą. Byłaby chyba zdolna przewrócić całe miasto do góry nogami, gdyby coś nie szło po jej myśli.

- Zrobiłaś mi dużą przykrość - szepnęła smutno. Lucy zerwała się gwałtownie i podbiegła do niej.

- Nie mów tak - prosiła gładząc ją pieszczotliwym ruchem po policzku - bo się rozplaczę. Ja tobie przykrość? Przecież bym chciała nieba ci przychylić. Wiesz, jak cię kocham. Zobaczysz, jak będzie wesoło. Toalety pań - klękajcie narody. Wiem już coś niecoś o tym. Ta gruba Lerimerowa powiesi na sobie cały sklep jubilerski. Odwiedziła już safes. Inne także.

- Muszę tymczasem uciekać. Mam jeszcze całą masę spraw do załatwienia. Nie wracam do Starej Farmy bez ciebie. Wpadnę za godzinę i zabiorę cię, choćby siłą. Tylko nie udawaj, że cię głowa boli. Znam się na takich wykrętach. Może zresztą mister Coss wróci wcześniej i zdąży na bal? - dodała obiecująco.

- Nie - zaprzeczyła smutno Mag. - To niemożliwe. Powiedziałam mu, że będę siedziała w domu...

- Ach - roześmiała się na całe gardło Lucy - mam cię panienko. Na pewno nie przyjedzie, bo myśli, że nie zastanie swej ukochanej. A bez niej oczywiście nie może się bawić.

- Pa, kochanie - wycisnęła na policzku Mag serdecznego całusa i zanim ta zdołała odpowiedzieć cokolwiek, już jej nie było. Po chwili za oknami zabrzączał motor. Lucy lubiła tempo w życiu.

Mag osunęła się na fotel. Przetarła ręką czoło. To wszystko spadło na nią zbyt nagle, wytrącając z równowagi. Ma jechać na bal bez Harry'ego? Strasznie nie miała na to ochoty. I może Harry'emu będzie przykro? Nigdy dotychczas, od chwili, gdy się zaręczyli, nie bywała w domach, gdzie nie miała nadziei go spotkać.

Siedziała nieruchomo wpatrzona w drżące na wietrze gałęzie jodły stojącej po przeciwnej stronie ulicy.

Aha, a może rzeczywiście wróci wcześniej? To byłoby świetnie, podbiegła szybko do telefonu, wiszącego na podeście.

Tu farma „Forwards” - zameldował nosowy głos Johnsona.

- Dobry wieczór, Johnson...

- O, to panienka - w głosie służącego zabrzmiała niekłamana radość. - Moje uszanowanie paniencie. Niestety, mister Coss jest nieobecny...

- Wiem. Gdyby jednak wrócił wcześniej, proszę mu powiedzieć, że jestem na zabawie w Starej Farmie...

- Oczywiście, proszę panienci, powtórzę, gdy tylko wróci. Nie ma jednak nadziei, by przyjechał przed świtem - dodał z ubolewaniem.

Nie upłynął nawet kwadrans, gdy dyrektor Barton wrócił do domu. Pobiegnęła mu na spotkanie.

- Tatusiu - nadstawiła jak zwykle czoło do pocałunku - mam do ciebie wielką prośbę...

- Słucham - spojrzał na nią pytająco. Barton był nieco oschły. Nie tracił też oschłości nawet w stosunku do własnej jedynaczki. - Bo widzisz - ujęła go pod ramię Lucy mi mówiła...

- Ach tak - potwierdził kierując się ku drzwiom łazienki.

- Panna Stetson odwiedziła mnie w biurze. Przedstawiła mi całą sprawę. Ma zupełnie rację. Musisz być na tym balu.

- Tatusiu - głos jej dźwięczał błagalnie - tak bardzo nie mam ochoty jechać na zabawę. Twarz Bartona przybrała jeszcze chłodniejszy wyraz.

Z powodu nieobecności mister Cossa? - obrzucił ją badawczym wzrokiem. - Nie ma mowy, to nie jest żaden powód. Dopóki zaręczyny nie zostały ogłoszone oficjalnie, nie życzę sobie, by ludzie łączyli wasze osoby więcej niż potrzeba - powiedział twardo.

- Twoja nieobecność zwróciłaby powszechną uwagę. Na balu będą wszystkie panie należące do towarzystwa Fairbanksu i okolicy. Co innego, gdy będziecie już narzeczonymi - dodał nieco łagodniej, znikając w łazience.

- Ciekawym - pomyślał odkręcając kurek kranu z gorącą wodą - kiedy i czy w ogóle to nastąpi?

Czoło jego pofałdowały zmarszczki szczerzej troski. Miał dostateczny powód do stanowczości w tej sprawie. Ostatnie rozmowy z Mac Duftym zawierały bardzo szczególne momenty.

Mag patrzyła bez słowa na białe lakierowane drzwi. Serce jej ścisnął bolesny skurcz przecucia czegoś okropnego. Poczowała nagle w piersiach mrozący chłód. Zupełnie, zupełnie, jakby jej zamiast serca włożono kawał lodu.

XII

BAL W STAREJ FARMIE

Posuwiste tony bostona spływały z podium orkiestry, wprawiając strojne sylwetki w rytm tańca. Rzęsiste światła licznych żyrandoli odbijały stubarwną tęczę od bogatych klejnotów prezentowanych przez damy. Ilość ich świadczyła, że skrytki banków Fairbanks opustoszały na pewno do ostatniego najmarniejszego nawet pierścionka. Bal w Starej Farmie był okazją do pokazania publicznie bogactw ukrytych przez większą część roku w safesach. Balowe stroje panów stanowiły czarno-białe tło dla olśniewających toalet przedstawicieli fairbankskiego high-life'u.

Na niejednym spośród męskich palców lśniły wielkie brylanty, perły zaś wetknięte w gorsy białych koszul były przeważnie prawdziwe.

Jednym słowem istna rewia klejnotów.

Bal należał naprawdę do wyjątkowo wspaniałych. Stary Stetson nie pożałował pieniędzy na prezentację, na równi z zaproszonymi - gośćmi. Zasada: jak cię widzą, tak cię piszą" w młodym kraju alaski miała zastosowanie bodaj czy nie większe niż w pozostałych zakątkach świata.

Mag wymówiła się od zaproszeń do tego tańca. Czuła się już zmęczona, choć bal trwał dopiero od niespełna dwóch godzin. Zazwyczaj bawiła się ochoczo do samego końca, ale dzisiejszej nocy?

- Zabawa bez Harry'ego nie była zabawą. Raczej odrabianiem nudnego, nakazanego z góry obowiązku.

Siedziała z melancholijną miną na małej kanapce wciśniętej w róg sali, patrząc obojętnie na ruchliwy korowód tańczących par, przesuających się w zawitych skrętach po

wyfroterowanym parkiecie. Dwóch wytwornych młodzieńców w nienagannie skrojonych frakach trzymało czujną straż przy kanapce: Jerry Compbell i Hugh Walter. Nie odstępowali Mag ani na krok od samego początku balu. Nie zwracała na nich niemal żadnej uwagi, choć obydwaj byli naprawdę bardzo sympatyczni i przystojni. Raz po raz dostrzegała zachęcające spojrzenie panienek skierowane ku nim z głębi sali.

Powiedziała im nawet o tym bez żadnych ogródek: „Chłopcy, tam na was czekają”.

Uwaga nie uczyniła na nich najmniejszego wrażenia. Ani drgnęli. Żaden z nich nie zerknął nawet w kierunku tęsknych spojrzeń pięknych panien. Zbyli słowa Mag niewyraźnymi uśmiechami.

- Jeżeli pozwolisz, pozostanę przy tobie - oświadczył prosząco Jerry.

- Ja także - zawtórował pospiesznie Hugh.

I trwali dalej na swych stanowiskach po obu stronach kanapki. Wyszli już z tych lat, gdy każde cieplejsze spojrzenie płci odmiennej wytrąca z równowagi, a poza tym od dawna obydwaj kochali się w Mag. Było to całkiem beznadziejne uczucie. Wiedzieli o tym dobrze. Ptaki na drzewach świergotały o Mag i Cossie. Zdążyli się już pogodzić z losem.

Trudno. Nie poszczęściło się. Przyszedł obcy i zabrał serce dziewczyny, którą uwielbiali niemal od lat dzieciennych. Nie mieli żadnych szans. Pomimo to korzystali z każdej okazji, by być przy niej.

Na siebie patrzyli bez zawiści. Miłość do nieosiągalnego obiektu w niczym nie zaważyła na ich przyjaźni. Cóż, obydwaj znajdowali się w takiej samej sytuacji.

Mag darzyła ich szczerą sympatią. Wiedziała o uczuciu, jakie do niej żywią. Traktowała jednak je z odcieniem żartobliwej pobłażliwości. Miała nadzieję, że młodzieńcza miłość przejdzie z czasem w przyjaźń taką, jaką ona w stosunku do nich odczuwała.

Po krótkiej przerwie orkiestra zniewolona gorącymi oklaskami tancerzy, podjęła po raz drugi tę samą melodię.

- Nie zatańczysz? - Jerry pochylił się ku Mag z proszącym uśmiechem.

- Nie. Mówiłam ci już przecież. Nie tańczę bostona. Jerry pokiwał głową z wyrzutem.

- A z Cossem?

Mag spiekła gorącego raka.

- Ja... - zaczęła niepewnie.

- Tss - Hugh szarpnął za rękaw Jerry'ego - Czemu jej dokuczasz? Coss, to co innego - podkreślił bez cienia złośliwości. - Jeśli będziesz się naprzykrzał, to nas w końcu przepędzi gdzie pieprz rośnie - dodał ostrzegawczym tonem.

Przyłapał w przejściu jednego z lokajów w bogato szamerowanej liberii, roznoszącego na srebrnej tacy szampana.

Napijesz się? - podał jej z zachęcającym ukłonem kryształowy kielich.

- Dziękuję - upiła trochę lodowato zimnego napoju. Straszniej tu gorąco.

Rzeczywiście w obszernej sali, pomimo pootwieranych na oścież górnych okien, panował męczący upał. Wychyliła powoli resztę musującego wina. Orzeźwiło ją to nieo. Odbierając opróżniony kielich z jej rąk, Hugh rzucił triumfującej spojrzenie na towarzysza niedoli.

- Widzisz - zrobił dumną minę - ja lepiej wiem, czego Mag trzeba!

- Hm - oczy Jerry'ego powędrowały w kierunku tonącego w powodzi światła sufitu - oczywiście. Jeśli tylko nie dostanie z tego... zapalenia płuc...

- Co? - zaperzył się nagle Hugh - zapalenie płuc z naparsteczka wina? Kraczesz z zazdrości, żeś sam nie wpadł na pomysł poczęstowania jej czymś chłodzącym.

- Obydwoj jesteście kochani - ciepły uśmiech Mag zażegnał spór w zarodku.

Muzyka zamarła w pożegnalnym akordzie. Wytrąceni z rytmu tańca ludzie mieli przez mgnienie oka niepewne ruchy, jakby dopiero teraz konstatawali ze zdumieniem, że można również stawiać stopy na podłodze w sposób całkiem zwyczajny.

Mag dojrzała jak przez środek sali szedł sprężystym krokiem Mac Dufty, rzucając na wszystkie strony zdobywcze spojrzenia. Kierował się wyraźnie ku niej. Przybrała odpychający wyraz twarzy. Byleby tylko nie prosił jej do tańca. Czuła do tego człowieka niczym nie wytłumaczoną antypatię. Po prostu go nie znosiła.

Demonstracja nie pomogła. Kapiący złotem mundur inspektora lawirował zręcznie pomiędzy spacerującymi parami, zbliżając się z każdą chwilą.

- Chłopcy - zniżyła głos do szeptu, nie patrz na swych towarzyszy, by nie wzbudzić podejrzeń w inspektorze - musicie mnie ratować.

- Rzeknij słowo, a padnę trupem w twojej obronie! - zawołał patetycznie Jerry.

Mag uśmiechnęła się mimo woli. Trudno było zachować powagę w towarzystwie tych dwu przyjaciół lat dziecinnych.

- Nie wymagam tak wiele. Po prostu nie chcę tańczyć z Mac Duftym. Właśnie idzie ku nam. Na pewno mnie poprosi.

- O - Hugh przymrużył złośliwie oczy - mam go spławić?

- Tak - szepnęła jeszcze ciszej, bowiem Mac Dufty znajdował się już w odległości zaledwie paru kroków. - Coś w tym rodzaju.

- Chcesz, to nazwę go „gliną”, a gdy zrobi obrażoną minę, dam mu w zęby? - zaproponował całkiem poważnie Jerry.

- Ani mi się ważcie robić takiej awantury - przeraziła się naprawdę. - Musicie to załatwić taktownie.

- Taktownie? - powtórzył Hugh - możesz na nas liczyć...

- Spławimy go z całą delikatnością - potwierdził Jerry. Obydwaj przybrali uprzejmie obojętne miny.

- Czy mogę prosić panią do tańca? - Mac Dufty zachrząścił sztywnymi ozdobami munduru, kłaniając się szarmancko,;;

- Niestety - rzuciła alarmujące spojrzenie w stronę przyjaciół.

- Miss Mag obiecała mi już przedtem ten taniec - oznajmił; Jerry.

- Ach, tak - po twarzy inspektora spłynęła przelotna chmura

- to może w takim razie do następnego?

- Miss Mag od dawna zrobiła mi zaszczyt, rezerwując następny dla mnie - wycedził sztywno Hugh.

- A... - Mac Dufty zacisnął wargi... - chyba trzeci z rzędu będzie nareszcie wolny?

- Wpis na trzeci taniec zastrzeżony w karnecie na moją rzecz.

- Jerry bez uśmiechu sparodiował napuszony styl prawniczy” czyniąc w ten sposób przejrzystą aluzję do nie dokończonych studiów inspektora. On również nie przepadał za tym nadętym policjantem.

Mac Dufty poczerwieniał ze złości. To już wyglądało na z góry ukartowany spisek. - Kpią sobie po prostu ze mnie - zdecydował w duchu.

- Ależ pani jest obłąkana - zauważył ironicznie. - Na przyszły raz będę musiał prosić o taniec chyba na tydzień wcześniej.

Mag nie odpowiedziała. Obydwaj przyjaciele skłonili się w milczeniu. Jednak ich gorejący wzrok ostrzegał aż nadto dobitnie przed prowadzeniem dalej rozmowy w tym samym tonie. Mac Dufty obrzucił niechętnym spojrzeniem szerokie bary Jerry’ego i mocno zbudowaną postać Hugh’a. Nie, nie miałyby żadnych szans w wypadku awantury. W źrenicach jego zalśnił przekorny, niesamowity płomień.

- Nie będę państwu zabierał czasu - skinął lekko głową, odchodząc z powrotem na salę.

- Na wszystko przyjdzie właściwa chwila - pomyślał z trudem powstrzymując chęć zaciśnięcia pięści. - Zobaczycie gagatki, co to jest zadzierać z Mac Duftym.

- Ależ purchawka - pokiwał z niezadowoleniem głową Hugh goniąc za nim nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Tak - potwierdził Jerry - niesympatyczna kreatura. Wciąż ma wrażenie, że rozmawia ze swoimi policjantami. Bardzo żałuję, żeś mi zabroniła poczęstować go w szczykę.

- Dziękuję wam chłopcy - uśmiechnęła się do nich - postąpiliście zupełnie correct.

- Prawda - wypiął pierś Jerry - jak w teatrze! A jegomość i tak dostał po nosie.

I zarobiliśmy na tym coś niecoś - dorzucił Jerry - bo Mag będzie teraz z nami musiała tańczyć przez cały wieczór. Inaczej inspektor poleci zaraz ze skargą do wuja. - Nazywał Bartona wujem, choć łączyło ich bardzo dalekie pokrewieństwo.

Po dłuższej przerwie z podium znowu popłynęły tony muzyki. Tym razem grano jakieś rzewne tango. Panowie tłumnie pospieszyli ku tancerkom, żegnając tęsknymi spojrzeniami opuszczony bufet.

Mag zgodnie z obietnicą tańczyła z Jerrym, była jednak myślami daleko. Raz po raz zerkała ku drzwiom.

- Ach - myślała w duchu - żeby Harry wrócił wcześniej. Jakby to było cudnie, gdyby tak niespodzianie wszedł na salę...

XIII

WILK POKAZUJE ZNOWU PAZURY

Przy drzwiach wszczął się nagle jakiś niepokojący rozgwar. Kilka osób weszło naraz. W pierwszej chwili trudno było się zorientować kto to.

- Stać! - ostry chropowaty głos przeciął muzykę. - Wszyscy ręce do góry!

Zabrzmiał wysoki, dźwięczący nutkami nadchodzącej hysterii śmiech kobiety.

- Panowie - zawołał jakiś mężczyzna. - Co znowu za niedorzeczne kawały? Wszystko dobrze, ale panie się boją!

- Milczeć! - rozległ się rozkaz. - Ręce do góry! Nie mam czasu na żarty! Kto nie usłucha - kula w łeb!

Kilkanaście zamaskowanych postaci rozsypało się w szeroką tyralierę. W rękach przybyszów tkwiły wielkokalibrowe rewolwery, wymierzone wprost na salę. Czarne, ziejące tajemniczą głębią otwory luf, wędrowały ruchem wahadłowym w rozmaitych kierunkach sali. Każdy z obecnych miał wrażenie, że to właśnie jego serce stanowi cel dla pocisków tkwiących niewidzialnie we wnętrzach rewolwerów. Wybuchła niesamowita panika. Ze wszystkich stron zaczęły dobiegać piskliwe krzyki przerażonych kobiet.

- Ratunku! Bandyci!

- Wilk! - wrzasnął ktoś przeraźliwie.

Z podniesionej ku górze lufy wionął snop ognia. Zapachniało spalonym prochem. Na wspaniałe fryzury pań spadło kilka kawałków tynku, oderwanych kulą od sufitu. Strzał spotęgował jeszcze silniejsze nasilenie popłochu. Ludzie zaczęli nerwowo biegać, jakby dotknął ich nagły obłęd.

- Ostatni raz ostrzegam! - zawołał stojący na przodzie barczysty mężczyzna o twarzy spowitej w grubą, jedwabną chustkę, z podłużnymi wykrojami na oczy. - Kto nie przestanie krzyczeć, albo zrobi choćby krok, z miejsca dostanie kulę w łeb.

Wszyscy zastygli w bezruchu. Salę zaległa nagle przejmująca cisza.

- Oddawać kosztowności! - rozkazał ten sam bandyta. - Najmniejszy opór - śmierć.

Bandyci zaczęli żniwo. Kobiety stały jak kamienne posągi, patrząc rozszerzonymi oczyma na obce ręce, sięgające po ich kosztowności. Mężczyźni zaciskali bezsilnie pięści. Żaden nie zdobył się na odruch obrony. Za późno. Tamten pokazał już, że nie będzie żartował. Zresztą straszliwe imię Wilka spadło obezwładniającym ciężarem na najodważniejsze nawet serca. Nie warto ryzykować życia w obronie biżuterii. Jak dotychczas przynajmniej, bandyci, nikomu nie robili żadnej krzywdy.

W momencie wejścia bandytów Mag z Jerrym znajdowali się w pobliżu jakiegoś filaru.

Jerry nie stracił zimnej krwi. Twarz jego, nieco pobladła, pozostała jednak niewzruszona. Chodźmy - szepnął spokojnie, wciągając Mag za osłonę filaru.

- Tak - mruknął, sięgając do tylnej kieszeni spodni. - Wilk, to Wilk.

W ręku jego zaczerniał kształt niewielkiego pistoletu.

- Co masz zamiar robić? - spojrzała na niego z przerażeniem. Nic - wargi jego wykrzywił niezbyt wesoły uśmiech. - Nie czuję w sobie zadatków na Don Kichota i nie mam ochoty atakować całej bandy w pojedynkę. Ale musimy spróbować. Może zdołamy opuścić ten rozkoszny bałagan po angielsku.

- Tss - ktoś pełznął ku nim pod osłoną niskiej bariery. Nie było widać twarzy, przygiętej ku podłodze.

Jerry skierował w tamtą stronę rewolwer. Co za czort?

- syknął groźnie.

Uff - zgięta postać dobiegła do filaru wyprostowała się nagle. - Nie czort, a ja - umorusana twarz Hugh'a błysnęła ku Mag rozplamionymi źrenicami. - Nie powiem, żeby tu nie było kurzu - strzepnął swobodnym gestem pył z jedwabnych wyłogów fraka.

- Obserwowałem was, jak zawsze, przez cały czas - wyjaśnił cicho. A gdy ten parszywy wszedł na salę, pomyślałem sobie zaraz, że lepiej jak nas dwóch będzie przy Mag.

Zasunął pospiesznie prawą rękę za plecy. Mag zdążyła jednak dostrzec błysk oksydowanej stali. - No i co teraz? Spojrzał znacząco na rewolwer Jerry'ego. - Dwóch, przeciwko dwunastu? - zapytał beznamiętnie.

- Nnnie - odburknął niechętnie Jerry - o tym, niestety nie ma mowy. Nie możemy przecież ryzykować wskazał oczyma na kredowobiałą twarzyczkę dziewczyny.

- Otóż to - Hugh kiwnął potakująco głową - więc co zamierzasz?

Spróbujmy może zwać stąd, korzystając z zamieszania... Dobra myśl - potwierdził z przekonaniem. Spojrzał w kierunku sali. Niestety - nachylił usta tuż nad uchem przyjaciela - już za późno. Popatrz! Musimy przejść przez tę operację. W razie, gdyby Mag coś groziło, będziemy tu dwaj...

Jerry'emu wystarczył jeden rzut okiem, by przyznać przyjacielowi rację. Nie było żadnych szans ucieczki. Środek sali pustoszał coraz bardziej. Bandyci spędzili obrabowanych w jeden kąt, trzymając w szachu groźbą wycelowanych, prosto w zwarty tłum, rewolwerów. W razie strzelaniny mogło dojść do straszliwej masakry. Praca napastników dobiegała końca. Jeszcze kilka osób tkwiło na środku, czekając na rewizję.

Trzech bandytów podchodziło do filaru, za którym stali. Na przodzie szedł barczysty mężczyzna, kierujący wyraźnie całą akcją.

- Wilk - szepnął bezgłośnie Jerry.

Hugh potwierdził milczącym skrzywieniem warg.

Doszli do filaru. Teraz dopiero mężczyzna w jedwabnej chustce zastępującej maskę dojrzał Mag.

Zatrzymał się w miejscu, podając głowę naprzód.

Cała jego sylwetka zastygła w pozycji wyrażającej bezmiernie zaskoczenie. Więcej nawet, niemal przerażenie.

- O... spod chustki wypłynął nieartykułowany chrapliwy bełkot - tu...?

Szarpnął się gwałtownie całym ciałem w tył. W podłużnych otworach chustki zamigotał błysk źrenic. Przez chwilę tftał nieruchomo, jakby niezdolny do wykonania choćby najślabszego ruchu. Rewolwer w jego rękę wyraźnie drżał.

Mag patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. Co to wszystko ma znaczyć? Zdumienie zaczynało brać górę nad przestachem. Nagle sina szarość powlokła jej twarzyczkę. Błysnęło przerażające podejrzenie. Te siwe oczy, gorejące poprzez otwory w chustce! Ta wyniosła barczysta postać, zarysowana niewyraźnie pod płóciennym kitem? I wreszcie to zmieszanie na jej widok!

- Kim jesteś? - krzyknęła przeraźliwie, głosem wypływającym z głębi udręczonego serca. Nie myślała teraz o niczym, poza tym jednym: Harry, Harry!

Wyciągnęła ręce przed siebie sięgając do jedwabnej chustki, zasłaniającej twarz bandyty. Zobaczyć co się pod nią ukrywa. Zobaczyć za wszelką cenę. To przecież ważniejsze od życia. Od wszystkiego na świecie!

- Precz! - Silna dłoń uwięziła jej ręce w brutalnym uścisku.

Zabolało nieznośnie. Miała wrażenie, jakby stalowa prasa gniotła dłonie. Jęknęła cicho, jak skrzywdzone, bezbronne dziecko.

- Boli! Puść!

Jerry patrzył na tę scenę nieruchomymi, jakby zastygłymi oczyma. W głębi jego źrenic zabłyśły zielonkawe ogniki. Chrapliwy oddech wypłynął świszcząco spomiędzy zaciśniętych kurczowo zębów. To było ponad jego siły. Na mózg spadła ciężka, pochłaniająca myśl, czerwona mgła wściekłości.

Bandyta nie uwolnił uścisku wiążącego dłonie Mag. Przeciwnie, zacisnął jeszcze mocniej, jakby umyślnie chciał ją torturować.

- Boli - jęknęła znowu. Po policzkach jej spływały dwie wielkie łzy.

Jerry nie wytrzymał. Mózg jego przestał pracować.

- Puść, ty... zbójcu! - wyszarpnął gwałtownym ruchem spoza pleców dłoń uzbrojoną w rewolwer.

- W łeb drania! - Hugh w mgnieniu oka poszedł za jego przykładem.

Dwa otwory lufy zawisły na wysokości piersi prześladowcy. Żaden jednak z nich nie zdążył pociągnąć za cyngiel. Palec bandyty lekko drgnął raz po raz.

- Ooo - z ust Jerry'ego wypłynął chrapliwy jęk. Wyprężone ciało nagle zwiotczało.

Osunął się miękko na podłogę, tuż u stóp Mag. Hugh stał jeszcze przez ułamek sekundy nieporuszenie. W oczach jego załśnił wyraz głębokiego zdumienia. Robił wrażenie, jakby rozmyślał nad tym, co ma teraz uczynić. Potem runął, jak drzewo porażone piorunem. Uderzył całym ciężarem o parkiet. Mag poczuła wyraźnie drżenie podłogi pod stopami. To, co zaszło przed chwilą, nie wywarło na nim najmniejszego wrażenia. Zresztą chciał tego i umyślnie sprowokował obu przyjaciół Mag do wystąpienia, zadając jej ból. Miał z nimi pewne porachunki, które teraz dopiero wyrównał. Pomimo swego haniebnego zawodu był odważnym mężczyzną i nie strzelał do przeciwnika zanim tamten nie weźmie do garści broni. Czysta gra. Dwóch przeciwko jednemu. Nie trzymał się nawet, by sprawdzić celność swych strzałów. Były na pewno celne. Kula z jego rewolweru nigdy nie chybiała. I teraz także obie

kule trafiły, gdzie należy, choć może po raz pierwszy, od wstąpienia na ścieżkę zbrodni, skierował lufę w innym niż zazwyczaj kierunku.

Tym razem nie chciał, by stalowe stożki dotarły do siedliska życia: przeciwników. Chciał tylko ich obezwładnić i dać bolesną nauczkę. Miał swoje wyrachowanie w tym, by żyli i mogli zeznać potem o przebiegu napadu. Bardzo poważne wyrachowanie. Tak poważne, że musiał powściągnąć chęć wyprawienia wrogów na tamtą stronę.

Ale Mag nie wiedziała, że Hugh i Jerry żyją. Padające bezwładnie postacie miały wszelkie pozory śmierci. Myśli kłębiły się w jej czaszce w zwarty, niemożliwy do rozplatania kłębek. Na twarz spadły jakieś ciepłe, krzepiące bryzgi. Co to? Świadomość rzeczywistości była zbyt straszna, aby udręczona myśl nie wzdygnęła się przed jej przyjęciem. Miała wrażenie, jakby mózg pęczniał na kształt nasiąkającej gwałtownie wilgocią gąbki.

Jerry... Hugh... jeszcze przed chwilą byli pełni życia... żartowali, a teraz?... Tamte, porzucone jak niepotrzebne łachmany, kształty na podłodze?... Przestała rozumieć... Jakże to być może?... Nie... to przecież nieprawda... Jakiś koszmar... Tak... to... tylko sen... na pewno okropny sen... zaraz nadejdzie przebudzenie...

A ten, stojący przed nią mężczyzna w masce... Ten sam, który przed sekundą... a może przed całymi wiekami... Kto to jest!!!... Czy...

Dłonie jej wciąż tkwiły w żelaznym uścisku lewej ręki mordercy. Nie puścił jej nawet w momencie, gdy strzelał do tamtych. Teraz dopiero rozwarły się stalowe więzy twardych palców. Chybnęła gwałtownie w tył, uderzając plecami o filar. Gdyby nie ta podpora, upadłaby niewątpliwie z rozmachem na podłogę. Bandyta przesunął obojętnym wzrokiem po zastygłych w bezruchu na lśniących kwadratach parkietu, ciałach.

- Tak - wycedził przytłumionym głosem wszystko all right Dźwięki wpadły do uszu Mag jakby przez gęstą mgłę. Brzmiały obcym, sztucznym zgrzytem. Obcym, a... przecież dźwięczało w nich coś znajomego... Na pewno znajomego... Słyszała ten sam głos niedawno... Tylko że wtedy brzmiał inaczej... Bandyta odwrócił się raptownie na pięcie.

- Idziemy! - rzucił w kierunku swych towarzyszy.

- Bossie - dotknął jej ramienia jednym z nich - a to? - wskazał palcami na klejnoty połyskujące na szyi Mag.

- Zostaw - warknął z groźbą.

Poszli za nim bez słowa. Żaden nie ryzykował choćby najslabszego protestu. A przecież błyskotki na szyi dziewczyny przedstawiały pewno niezgorszy kawałek grosza. Co tam, boss wiedział co robi.

Mag ciężko dysząc patrzyła za nimi zastygłymi w wyrazie najwyższej zgrozy oczyma. Nie odważyłyby się opuścić wzroku na podłogę. Tam przecież u jej stóp...

- Boże... Boże... - szeptały bezdźwięcznie siniejące wargi. Jakże to możliwe? Jerry... Hugh... i On?...

W uszach brzmiał coraz wyraźniej szum, uderzając boleśnie w skronie. Co tak szumi? Woda?... tak... woda... jakiś wodospad. Przed oczyma wirowały w zawrotnym tempie ogniste kręgi... Myśli rwały się na bezsensowne strzępki.

Nagle ogarnęła ją ze wszystkich stron miękkim powojem kojąca cisza i nieprzenikniona ciemność. Straciła przytomność.

* * *

Harry manipulował manetką, zmuszając motor do największego wysiłku. Powinien zdążyć. Na wschodzie różowił się wąski pasek wstającego świtu. Całe przygotowania balowe trwały dosłownie piętnaście minut. Dzień był jeszcze daleko, a on już dojeżdżał do Starej Farmy.

Był w radosnym nastroju. Wyprawa poszła niespodziewanie gładko i przyniosła całkiem przyzwoity przyływ mamony. Wprawdzie pewien incydent zamącił bieg wypadków... nie należało to jednak do rzeczy poważnych. Ot, po prostu pewna przykrość. Nieodzowna przy tego rodzaju zajęciu.

Niezwykły ruch, panujący przed podjazdem farmy wytrącił go brutalnie z beztroskich rozmyślań.

Spojrzał z niepokojem. Kilkunastu ludzi biegających nerwowo koło domu. Niezgrabny kształt policyjnego auta, białolakierowana karetkasamochodowa z czerwonym krzyżem. I wreszcie granatowe mundury.

Coś się stało?! - Zahamował ostrosamochód i wyskoczył na śnieg. - Co takiego? - schwytał kogoś za rękaw.

- A... - tamten spojrzał na niego niezbyt przytomnie - WILK! Morderca!

Twarz Harry'ego gwałtownie pobladła.

- Morderstwo? A tam przecież była Mag!

Wbiegł błyskawicznie po kamiennych schodach, przeskakując na raz po kilka stopni. Wejście zagroziła barczysta postać w granatowym mundurze.

- Dokąd? - powstrzymał go stanowczym gestem. - Tam nie można!

Harry podniósł opuszczoną dotychczas głowę.

- Gdzie miss Barton? - zapytał, zdając się nie słyszeć jego zakazu.

- Aaa - sierżant Hawkins zasalutował lekko. - Przepraszam, nie poznałem pana w pierwszej chwili, mister Coss.

- No tak, pan może wejść, oczywiście - powiedział z dziwną intonacją.

Harry nie zwrócił uwagi na jego ton. W tej chwili nie był w stanie dostrzec niczego. Myśli jego pochłaniało bez reszty nabrzmiałe niepokojem pytanie: „Co z Mag?”

- Gdzie jest miss Barton? - powtórzył.

Sierżant Hawkins obserwował go spod przymrużonych powiek.

- Wygląda jakby naprawdę nie wiedział o niczym - skonstatował ze zdziwieniem. - Ale kto go tam wie. Mocny człowiek. - Sierżant został dopuszczony przed kilku dniami do tajemnicy Wilka przez Mac Dufty'ego.

- Leży w różowym saloniku - wyjaśnił - od wejścia na prawo.

- Leży? - Harry jednym ruchem odtrącił policjanta wbiegając na salę.

Kilka ciemnych postaci otaczało szezlong. Wśród nich siwy mężczyzna w koszuli bez marynarki z zakasnymi po łokcie i rękawami koszuli. Poznał doktora Lestera z miejskiego szpitala.

- Boże - okropna myśl przemknęła w mózgu Harry'ego - co oni tu wszyscy robią przy Mag? Czyżby? - Serce zawisło w próżni. Zimny pot wystąpił na czoło. - Nie - niemożliwe.

Rozepchnął bezwzględnie ludzi i podszedł do szezlonga. Wlepił pełne troski i przerażenia oczy w bladą twarz otoczoną nieporządnie rozrzuconymi włosami. Te zamknięte powieki, kurczowo zaciśnięte sinawe wargi? Zachwiał się na nogach.

Doktorze - zwrócił się do Lestera napełniającego strzykawkę jakimś płynem z ampułki - co z nią? W głosie jego dźwięczało błaganie. Zawisł oczyma na ustach doktora, jakby od jego odpowiedzi zależało życie.

- Nic wielkiego - uśmiechnął się uspokajająco doktor - po prostu wstrząs nerwowy.

Nie uwierzył. Wstrząs? A dlaczego rysy ukochanej twarzyczki zastygły w martwym bezruchu?

Ujął zwisającą bezwładnie rękę. Nie widział tych wszystkich, którzy otaczali szezlong. Nic go nie obchodzili. Niech myślą co chcą.

Dłoń Mag wydała mu się zimna jak lód.

- Mag - szepnął rozpaczliwie - Mag... kochanie moje... Po bladej jak kreda twarzy przebiegło lekkie drzenie. Serce Harry'ego załomotało oszalałym rytmem. Więc usłyszała go! Więc żyła!

- Mag - gładził z delikatną pieśczęcią nieruchomą rączkę - co tobie?

Powieki leżącej uniosły się ociężale w górę. Spojrzała na nachyloną nad sobą twarz mężczyzny. W oczach zamigotał wyraz poznania. O, Harry - westchnęła słabo - jednak... przyjechałeś...

Nagle blade wargi wykrzywił grymas wstrętu. W głębi źrenic zamigotały ogniki bezmiernej zgrozy. - WILK - wyszeptała przejmująco, prężąc z wysiłkiem ciało, jakby chcąc zerwać się z kanapy - MORDERCA... PRECZ...

Spróbowała odwrócić głowę w stronę dwóch, pokrytych bandażami postaci, spoczywających nieruchomo na rozesłanych na podłodze opodal kanapy kocach. Zabrakło jej jednak sił.

Głowa opadła bezwładnie na obitą jedwabiem poręcz.

- Tam... krew... Hugh... Jerry... Wi... Wilk... - szept jej brzmiał coraz ciszej. Wreszcie zamarł zupełnie. Powieki osunęły się powoli, przykrywając zamglone oczy.

Jedyną oznaką życia był słaby oddech unoszący spazmatycznym rytmem jej piersi. Wśród otaczających przebiegł szmer współczujących szeptów. - Biedne dziecko... bredzi... Cóż dziwnego, przeszła takie piekło...

Nikt nie zrozumiał, co chciała powiedzieć. Jeden tylko Harry. Drgnął jak smagnięty biczem. Twarz jego zastygła w kamiennej masce. Sinoszary odcień powłókł policzki. Zrozumiał. Katastrofa wisząca od tyłu dni w powietrzu uderzyła w niego gromem. Wyprostował się powoli, jakby każdy ruch kosztował go niezmiernie wiele.

- Tak - rzucił w przestrzeń przez zęby. - Więc tak... Odwrócił się, idąc sztywno ku wyjściu. Szedł wolno powłócząc nogami. Plecy zgarbiły się, ramiona opadły bezsilnie w dół. Czynił wrażenie, jakby w tej chwili jego barki przygięło ku ziemi brzemień kilkudziesięciu lat.

Ten i ów pogonił za nim wzrokiem kiwając głową. - Ale chłopca wzięło. Musi ją naprawdę kochać.

Harry brnął poprzez salę, patrząc w przestrzeń niewidzącymi oczyma. Ruchy jego były automatyczne, jak u człowieka pogrążonego w hipnotycznym śnie. Zdawało mu się, że minęły całe stulecia, zanim zdołał dojść do samochodu.

- Boże - podniósł oczy ku tonącemu w purpurowej poświacie wstającego dnia, niebu - Dlaczego? Za co? Daj mi siłę, abym zdołał; wytrwać do końca! Nie mogę przecież zejść z tej drogi... Jeszcze nie...;

XIV

SZACH MISTER CLIFFTONA

Dochodziła godzina ósma, gdy Clifton wrócił do farmy. Zabłocone powyżej kolan spodnie świadczyły o długiej i niezbyt wygodnej drodze. Twarz wyrażała ostateczne

zmęczenie, pomimo to promieniowała jednak triumfem. Oczy lśniły podnieceniem szczęśliwego myśliwca. Gwizdnął jakąś wesołą melodię.

Uff - odetchnął, ściągając w hallu przemoczone na wskroś palto. Ale pogoda.

Pogoda nie była rzeczywiście przyjemna. Od południa padał deszcz pomieszany ze śniegiem. Twarda dotychczas śniegowa pokrywa, zaścielająca ziemię, rozmiękła zapadając się pod stopami. A musiał do tego wędrować niezbyt utartymi drogami. Wszedł do tonącego w półmroku saloniku. Przekreślił wyłącznik. Jaskrawe potoki światła wypędziły ciemność.

Ktoś poruszył się niespokojnie w fotelu, jakby przebudzony z drzemki.

- O - przepraszam - zawołał dostrzegłszy Harry'ego - nie wiedziałem, że tu jesteś. Przeszkodziłem ci?

- Nnnie - Harry zamrugnął powiekami. Skądżeby, siadaj. Detektyw obrzucił baczny spojrzeniem bladą, jakby postarzałą twarz Harry'ego. - Spotkała cię jakaś przykrość?

- Przykrość? -7 powtórzył z wymuszonym uśmiechem - gorzej... nieszczęście...

- Tak - Cliffton zapadł w głąb fotela, sięgając do pudełka z papierosami czy to coś, co się nie da powetować? - zapytał, przytykając zapalniczkę.

Harry wzruszył bezradnie ramionami.

- Nie wiem - powiedział cicho bezdźwięcznym głosem. To wszystko zależy...

Cliffton pokręcił głową

- Wszystko będzie dobrze, stary. A mnie widzisz poszczęściło się tak, jak nie można lepiej, wiem już kim jesteś - oświadczył z naciskiem.

- Czyżby? - Harry mruknął bez żadnego zainteresowania nie podnosząc zwieszanej ponuro na piersi głowy.

- Wiem - powtórzył z przekonaniem - nie pomogły stalowe drzwi, ani sekret stonnswayowskiego biurka. Przeniknąłem wszędzie. Trochę mi nawet przykro.

- At - machnął znużonym gestem ręką szkoda gadać.

- To jeszcze nie wszystko - ciągnął dalej detektyw, zaciągając się papierosem - wiem również kto... - wytrzymał efektowną pauzę... - kto jest Wilkiem.

- A - Harry podniósł powoli oczy. Nagle skoczył gwałtownie na nogi. - Uwaga! - krzyknął przytłumionym głosem. W ręku jego błysnęła niespodziewanie stal rewolweru.

Cliffton drgnął, patrząc na niego z niezmiernym zdumieniem. Twarz jego nieco pobladła.

- Co się stało? - bąknął.

- Nic - Harry znowu osowiał, wsuwając powoli rewolwer z powrotem do kieszeni. - Miałem wrażenie, że coś mignęło za oknem. - Opadł ociężale na fotel.

Cliffon wlepił natężony wzrok w szyby. Nie mógł jednak niczego dojrzeć. Za oknami panowała jednostajna czerń niezmaconego mroku.

- Zdawało ci się - skonstatował wreszcie. Nikogo tam nie ma.

- Możliwe. Ostatnimi czasy wiele rzeczy muszę kłaść na karb przywidzeń.

- Więc wiem kim jest WILK - powtórzył. To...

- Milcz - przeciął ostro dalsze słowa Harry.

- Dlaczego?

- Powinieneś sam wiedzieć. Wilk ma długie uszy...

Jedno słowo o nim może być ostatnim, które powiesz w życiu...

- Albo ostatnie w życiu... WILKA.

Harry przesunął dłonią po czole. W jego mózgu panowała pustka.

- Tak - potwierdził obojętnie - to racja. Jedno z dwojga. Albo w twoim, albo w jego życiu... - Milczał dłuższą chwilę.

Cliffon obserwował go dyskretnie.

- Teraz to już wszystko jedno - powiedział wreszcie Harry jakby do samego siebie. - A może nawet i lepiej, że wiesz... Zresztą zależy od tego, co masz w ręku...

- Prawie wszystko. Brak mi tylko ostatniego ogniwa...

- Właśnie - westchnął - o to ostatnie ogniwo chodzi. Bez niego nie możesz zrobić ani kroku naprzód. Rozumiem cię...

- Ale - detektyw wpatrzył się na zbierający się na końcu papierosa popiół. - Dziś jeszcze mam nadzieję zdobyć brakujące ogniwo... I wtedy koniec z Wilkiem.

Harry oparł policzek na dłoni. Czynił wrażenie, jakby z trudem pokonywał ogarniającą go senność.

- Cóż - powiedział cicho - niech i tak będzie. Zdobądź to ogniwo. Wczoraj może bym jeszcze walczył z tobą, ale dziś... Dziś przestało mnie już to wszystko obchodzić... Zawiodłem się widząc na jednej rzeczy ważniejszej od życia... Znacznie ważniejszej... - powtórzył głucho.

- Ustępujesz z pola?

- Harry gładził końcem palców skórzane obicie poręczy fotela.

- Nie wiem, chyba jednak raczej tak niż nie...

Zmarszczył brwi, zamyślając się nad czymś. - Masz rewolwer? - zapytał niespodziewanie.

- Co? - spojrzał na niego zaskoczony Cliffon. - Ach tak, rewolwer - zrozumiał wreszcie. - Oczywiście - potwierdził. Jakżeby mógł inaczej...

- No to trzymaj go mocno w garści - wycodził wolno Harry. Zdawało się, jakby wymówienie tych kilku słów sprawiało mu niewymowną trudność.

- Nie omieszka - kiwnął głową detektyw. - I bez tego mam go zawsze pod ręką. W każdym razie dziękuję za ostrzeżenie. Fair play aż do końca? - Uśmiechnął się z odcieniem melancholii.

Harry nie odpowiedział. Oczy jego patrzyły gdzieś w przestrzeń.

Cliffon położył starannie niedopałek papierosa na popielniczce. Rzucił przelotnie okiem na wskazówki zegarka tkwiącego w metalowej bransolecie, na przegubie jego lewej ręki. Większa wskazówka przekroczyła dawno cyfrę dziewięć.

- Na mnie już czas - powstał z fotela.

- Idziesz? - Harry wyciągnął nogi przed siebie, jakby układając się do snu.

- Tak. Po ostatnie ogniwo. Bywaj - uścisnął dłoń Harry'ego.

- Bywaj! I pamiętaj: rewolwer w garści. Palec na cynglu. Śmierć cię otacza ze wszystkich stron.

- Tak - machnął ręką. - Naturalnie, wiem o tym - ruszył w kierunku drzwi. Zatrzymał się na progu, odrywając ku Harry'emu głowę. Nie mam pewności czy będziemy jeszcze kiedykolwiek mieli sposobność rozmawiania ze sobą, więc chciałbym zwrócić twoją uwagę na pewną okoliczność... - urwał jakby z wahaniem.

- Jaką? - zapytał Harry.

- Otóż, czy zastanawiałeś się kiedy nad swoim podobieństwem z inspektorem Mac Duftym?

- Ooo - głowa Harry'ego zapadła głęboko w ramiona - podobieństwem? - spytał przeciągle.

- Właśnie... mówię oczywiście o cechach zewnętrznych. Otóż macie oczy jednego i tego samego koloru, a figury... no, gdyby tak nałożyć luźny płaszcz, chyba by nikt nie odróżnił...

Harry spojrzał ciepło na detektywa.

- Dziękuję ci stary. Jesteś dżentelmenem i grasz w tej rozgrywce, jak na takiego przystało. Ale czy znasz człowieka, który by nie zastanawiał się nad swoim losem?

Cliffon pokiwał głową. Więc i to także wiedział? Nie było potrzeby odkrywania kart. Podniósł rękę w pożegnalnym geście.

- Bywaj!

Po chwili już go nie było w pokoju.

Harry patrzył nieruchomo w okno. Ciemno. Bardziej ciemno niż kiedykolwiek indziej. Gęste, granatowe chmury przysłaniały niebo. Za szybami wisiała nieprzenikniona maź mroku. Paskudna noc. Splótł ręce na piersiach.

Nerwy zaczynały się budzić z odrętwienia. Myśl powracała coraz szybciej. Pod czaszką dojrzywało postanowienie. Cliffton poszedł na poszukiwanie ostatniego ogniwa?

- Nie - westchnął w końcu z rezygnacją - pomimo wszystko nie mogę dopuścić do tego, aby... - Sięgnął do kieszeni, wydobywając rewolwer. Zarepetował raz po raz sprawdzając uważnie działanie mechanizmu. Połyskujące miedzią naboje spadały bezszelestnie na fotel.

Gdy już wypróżnił magazynek, zebrał je oglądając dokładnie. Tu nie mogło być żadnego niedopatrzenia. Przypadkowy niewypał groził ostateczną katastrofą. Miał przed sobą dwie drogi. Albo tkwić nieruchomo w fotelu, albo iść w czerń nocy za Clifftonem. Skoro jednak wybrał tę drugą - musiał przygotować wszystko, aż do najmniejszego szczegółu włącznie.

Naładował z powrotem rewolwer wsuwając kulę do lufy. Nie zamknął bezpiecznika. Po co? Lepiej w ten sposób, aby wystarczyło jedno drgnięcie palca. Każdy ułamek sekundy mógł decydować o wyniku. Otulił się w grubą burkę, nasuwając na czoło ciepłą czapkę.

- Fair play - szepnął bezgłośnie wsiąkając w mrok.

XV

PIERWSZY MAT WILKA

Cliffton brnął z trudem przez głębokie zasy mokrego śniegu. Ze wszystkich stron otaczał go gąszcz lasu. Szumiały glucho jodłowe gałęzie, poruszane ostrymi podmuchami przepojonego wilgocią wiatru.

Ziąb przenikał do szpiku kości. Dokuczliwy dreszcz przebiegał całe ciało. Wilgoć wciskała się lepkimi mackami pod ubranie. - Brr - szcęknął zębami - ależ noc.

Szedł po omacku. Ciemność nie pozwalała widzieć dalej aniżeli na dwa kroki przed sobą. Prowadził go węch. Wiedział, gdzie należy szukać ostatniego ogniwa. Tylko dziś mógł je znaleźć tutaj. O świcie będzie za późno. Wiatr powinien mu przynieść pierwszy sygnał ostrzegawczy.

Teraz pozostawał mu tylko słuch. Słuch i instynkt gończego wyźła. Ten sam instynkt, który tyle razy pomógł mu w opresjach. Oczy stawały się najzupełniej bezużyteczne. I tak nie byłby w stanie dojrzeć niczego, niczego.

Palce detektywa ścisnęły chłodny metal rękojeści pistoletu. Od twardego dotyku spływało poczucie bezpiecznej ufności. Wystarczy jeden ruch, aby mrok zajaśniał promieniami błyskawic, by go otoczył ochronny mur stalowych pocisków.

Brnął nieustępliwie naprzód. Musiał wykryć to ostatnie ogniwo, choćby miał nawet zapłacić cenę własnego życia.

Tak - rozmyślał - na pewno na jakiejś polanie, albo czymś w tym rodzaju. Niemożliwe, by mieli schadzkę w gęstwinie. Pogubiliby się niechybnie. Wskazujący palec spoczywał lekko na języczku cyngla. Harry miał rację. Śmierć towarzyszyła w tej nocnej wycieczce. Grom mógł spaść z każdej strony. I to w każdej sekundzie.

- Harry... - przed oczyma detektywa stanęła blada twarz kolegi z uniwersyteckiej ławy. - Biedny chłopiec... Trudno... nie można powodować się względami przyjaźni w takiej sprawie. Jak na wojnie, albo raczej, jak na polowaniu... Zresztą sam przecież pierwszy zrezygnował z walki. Czy jednak naprawdę zrezygnował? A może to wszystko było tylko bluffem, mającym za zadanie wyprowadzenie przeciwnika w pole? Też możliwe. Właśnie nie sprzeciwiałby się nawet zasadzie czystej gry... Czyż on sam nie stosowałby podstępów w tej partii?

Nagle drgnął gwałtownie, a dłoń zacisnęła się jeszcze mocniej na rękojeści pistoletu. Coś miękkiego musnęło mokrym smagnięciem po twarzy.

- Otóż to - mruknął z niechęcią - zachowuję się jak histeryk. Głupia gałąź wytrąca mnie z równowagi.

Teraz już nie pozwalał sobie na rozmyślanie. Musiał skupić wszystkie zmysły w bojowej gotowości.

Drzewa wyraźnie rzedły. Węch nie mylił detektywa. Podchodził ku jakiejś obszernej polanie. Ciemność zaczęła tracić swą nieprzeniknioną gęstość.

O! - wyszarpnął błyskawicznym ruchem rewolwer z kieszeni. Pomiędzy gałęziami coś wyraźnie zaszeleściło. I znowu - trochę dalej na prawo. Wytężył oczy usiłując przebić zasłonę mroku. Jakiś duży kształt przesunął się w gęstwinie. Skierował lufę w stronę źródła tajemniczych szmerów. Zwierz albo... Kto? rzucił dobitnym szeptem - bo...

Nie skończył. Ognista krecha przecięła mroki nocy. Coś uderzyło z piekielną siłą prosto w pierś. Całe jestestwo przenikał przeraźliwy, szarpący ból. Niedokończone pytanie wypłynęło z gardła strzępkami chrapliwego jęku.

W głowie zahuczał nagle potężny głos spizowych dzwonów. - Koniec - zabłysło resztą gasnącej świadomości. - Osta... tnie...; ogniwo.

Chybnął gwałtownie całym ciałem. Palec bezwiednym ruchem pociągnął za cyngiel. Gruchnął strzał, ale detektyw Clifton już go nie słyszał. Osunął się wstecz, padając plecami na miękką pokrywą śniegu.

Szeroko rozwarłe oczy szklily martwo, wpatrzone w nisko nawisłe chmury.

Ostatni strzał zda się zbudził do życia jakieś utajone w mroku moce. Trzasnęło nagle kilka detonacji. Zamigotały gęste krwawe ogniki. Ktoś zaklął głosem nabrzmiałym wściekłością i bólem.

Buchnęły liczne podniecone krzyki. Zatupotały kroki szybko biegnących nóg. Zakotłowało się w ciemnościach niesamowitym rozgwarem. Wreszcie hałas powoli słabnął. Jeszcze jeden samotny strzał i na las padła niczym nie zmacona cisza, tak samo nagle, jak przedtem rozpętało się piekło.

* * *

Harry rozejrzał się nieufnie wokoło. Nic. Pustka i cisza. Na rozległym podwórku ani żywej duszy. W oknach służbowej oficyny najslabszego choćby odblasku światła. Widocznie nie usłyszeli. Zresztą nic dziwnego. Farmę dzieliła od lasu co najmniej dobra mila.

Otworzył ostrożnie drzwi przeslizgując się do hallu. Przekręcił za sobą dwukrotnie klucz w zamku. Nie zapalał światła, wchodząc po omacku na schody.

Nogi pod nim drżały. Raz po raz chwycił kurczowo poręcz balustrady. Gdyby nie to, runąłby niechybnie w dół. Wreszcie dobrnął do sypialni. Przekręcił włącznik. Tu mógł to zrobić bez żadnej obawy. Ciężka zasłona zakrywała okno, nie przepuszczając na zewnątrz najmniejszego promyczka. Sprawdzał to w swoim czasie.

Opadł ciężko na miękki fotel. Ukrył twarz w dłoniach.

Boże... jeszcze przez to musiałem przejść - jęknął cicho - przyjaciel ze szkolnej ławy...

Gdy odjął dłonie, twarz jego wyrażała bezmiar bólu. Cierpiał. Fizycznie i moralnie. Był teraz sam, mógł więc odrzucić maskę. Ta niewymownie zaczynała go ostatnio męczyć. Sięgnął po papierosa. Ręka jego wyraźnie drżała.

- Tss - syknął boleśnie - ażeby to wszyscy...

Ramię opadło bezsilnie w połowie drogi. Nie, nie da rady. Wyciągnął z kolei lewą rękę. Musiał zapalić. Trzeba było przemyśleć całą sprawę, zanim uczyni jakiegokolwiek dalsze posunięcia. A obawiał się, by nie stracić przytomności. Niezdarnie ujął w lewą dłoń zapalniczkę. Zapalił. Łapczywie wchłaniał w płuca hausty tytoniowego dymu. Orzeźwiło go to nieco...

- Więc... tak - wyciągnął się bezwładnie na krześle - co dalej? Mózg jego pracował niezmiernie leniwie. Upłynęło co najmniej kilkanaście minut, zanim powziął decyzję.

Najchętniej położyłby się do łóżka. Choćby parę godzin odpoczynku. Już nawet nie snu, ale bezruchu. Bo zasnąć tej nocy na pewno nie zdoła ani na sekundę. Jednak nie, nie mógł przecież zostawić zwłok na żer wilkom.

- Tym wilkom przez małe „W” - uśmiechnął się ponuro do swoich myśli.

Przed wszystkim kąpiel - powstał i chwiejnym krokiem ruszył w kierunku łazienki... Nie minęła nawet godzina, gdy stał na podeście przy telefonie.

- Proszę mnie połączyć z inspektorem Mac Duftym - rzucił do mikrofonu jakby rozspanym głosem.

- Halo! Co się stało? - usłyszał po chwili rzeński głos. Nawet za bardzo rażny, jak na tę mocno spóźnioną porę. Spojrzawszy bowiem na zegarek stwierdził, że dochodziła godzina druga.

- Nie wiem dokładnie... ale mam wrażenie, że coś nie bardzo dobrego - wyjaśnił - przed chwilą słyszałem jakąś gęstą strzelaninę, dobiegającą od strony lasu, a Clifton wyszedł wieczorem z domu. Obawiam się więc...

- Ooo - mruknął z niewyraźnym niepokojem inspektor - to rzeczywiście niedobrze. Zaraz tam przyjadę z ludźmi. Czy mogę liczyć na pańską pomoc w poszukiwaniach?

- Jestem do usług - odwiesił słuchawkę.

Wrócił do sypialni. Miał jeszcze kilkanaście minut czasu. Niestety, nie na odpoczynek. Należało przede wszystkim uprzątnąć ślady nocnej wycieczki. Kto wie, co strzeli do głowy inspektorowi i dokąd zechce wścibić nos? Gdyby tak Mac Dufty dostał do ręki jakiś pozór dowodu?

- Nie - mruknął półgłosem, kręcąc energicznie głową - teraz już nie można do tego dopuścić za żadną cenę.

To, co zaszło tej nocy, stawiało przed nim obowiązek czynu. Trzeba na nowo podjąć opuszczone brzemie. Nie miał prawa zakładać beczynnie rąk. Jeszcze przed kilkoma godzinami, gdy Clifton wstępował w swe ostatnie szranki, sprawa wyglądała zupełnie odmiennie. Ale zajścia ostatniej chwili zmieniły radykalnie sytuację. Sprawa musi zostać tak czy inaczej doprowadzona do końca. I to właśnie on sam winien ją przygotować do ostatecznej rozgrywki. A nie wyglądało na to, by trzeba zbyt długo na tę rozgrywkę czekać. Za dużo już nagromadziło się elektryczności, by lada moment nie miał paść grom, rozjaśniający mrok i jednocześnie spopielając tę czy drugą stronę.

Całym wysiłkiem woli skupił resztki energii. Farma musi być przygotowana odpowiednio na wizytę inspektora. Nie wolno zapomnieć o najmniejszym nawet szczególe. Mac Dufty potrafił pracować niezwykle sprawnie, jeżeli już coś wpadło w oko.

Przede wszystkim ubranie. Świeże ślady przemoczenia zwróciłyby na pewno uwagę policjanta.

Zwinął w ciasny kłębek mokrą wełnę i rzucił ją na sam spód szafy, przykrywając z góry ciężką walizką. Tak samo postąpił z burką i czapką, które miał na sobie w czasie dzisiejszej wycieczki. Na wsz ilki wypadek w hallu wisiało kilka wierzchnich okryć. Była to niezbędna zapobiegliwość ze względu na rodzaj zajęcia właściciela farmy.

Zamknął drzwiczki szafy starannie na klucz, klucz zaś schował głęboko do kieszeni od kamizelki. Inspektorowi po rozmowie z Wilmersem na pewno zabraknie tupetu do przeprowadzenia otwartej rewizji. Co innego ukradkowe węszenie. Będzie usiłował zajrzeć niby przypadkiem do każdego dostępnego kąta.

Na stoliku leżał wielokalibrowy rewolwer. Ten w żadnym wypadku nie mógł dostać się w pole widzenia policji. Miałyby zbyt wiele do powiedzenia, choćby tylko osadem świeżo spalonego prochu, pokrywającego wnętrze lufy. Harry zdjąwszy przybór z biurka, nacisnął sprężynę. Szybko wsunął zdradziecką broń w najtajniejszy kąt sekretnego schowka. Gdy wieko opadło z powrotem, ustawił pedantycznie przybór bacząc, by każdy przedmiot znalazł się znów na swoim miejscu.

Teraz wszystko było all right. Mac Dufty mógłby myśleć przez cały rok i nie odkryłby tajemnicy stonnswayowskiego biurka. To nie należało do właściwości jego umysłu. Nie każdy miał mózg biednego Jima.

Kwestia rewolweru nie była jeszcze wyczerpana. Brak broni wydałby się niewątpliwie inspektorowi podejrzanym. A Harry nie żywił żadnych złudzeń, że policjant użyje wszystkich sposobów, by obejrzeć rewolwer, który będzie miał przy sobie. Sięgnął do „oficjalnej” części biurka, wysuwając szufladę z rewolwerami. Wziął pierwszy z brzegu, kładąc go do tylnej kieszeni spodni. Nie miało żadnego znaczenia, jaki system i kaliber. Grunt, że wyczyszczony i naładowany aż do ostatniego ładunku.

Zaledwie skończył przygotowania do wizyty, od strony podwórza dobiegł szum kilku silnych motorów.

- Ależ gazowali! - skonstatował z mimowolnym podziwem. Od telefonu nie upłynęło więcej aniżeli jakieś trzy kwadransy. Zorganizowanie w tak krótkim czasie wyprawy i pokonanie około trzydziestu mil drogi należało uznać za nie lada wyczyn. Zszedł powoli na dół do hallu: ktoś już stukał niecierpliwie do drzwi.

Zapalił tylko jedną żarówkę w zawieszonym u sufitu żyrandolu w kształcie średniowiecznej latarni i podniósł rygiel automatycznego zamka.

Do hallu wbiegł inspektor Mac Dufty. Z jego kosmatej burki spływały mokre strugi, znacząc na wyfroterowanej podłodze ciemne ślady.

Spojrzał badawczo na gospodarza. Twarz Harry'ego cechował niewzruszony spokój.

- Mister Cliffton nie wrócił? - zapytał bez wstępów. Harry pokręcił przecząco głową.

- Niestety. Co gorsza nie dał żadnego znaku życia. Zatelefonowałby chyba, gdyby mu coś nieprzewidzianego stanęło na przeszkodzie do powrotu. Nigdy dotychczas nie wychodził na noc z domu. I poszedł pieszo... W tych warunkach wycieczka do miasta nie wygląda na możliwą...

- Tak - inspektor strzepnął końcami palców wielkie krople na wpół zamarznętej wody, przyczepione do kołnierza. - To rzeczywiście... niepokojące... Z której strony słyszał pan strzały? - rzucił pytanie po chwili milczenia.

- Od strony lasu. Tam - wskazał ręką w kierunku tylnej ściany hallu.

- Obudziły pana?

Mac Dufty nie patrzył teraz na Harry'ego. Ale ten nie miał najmniejszej wątpliwości, że obserwuje bacznie każde najsłabsze nawet drgnięcie jego twarzy.

- Nie - zaprzeczył obojętnie - zazwyczaj udaję się na spoczynek dość późno. Czytałem właśnie książkę. Zaraz po usłyszeniu podejrzanych odgłosów zawiadomiłem pana.

- Aha - mruknął inspektor - oczywiście...

Z dwóch mężczyzn rozmawiających spokojnie w hallu żaden nie mówił tego co myślał. Gdyby więzione pod czaszkami przybrały kształt słów, zamiast chłodno uprzejmej rozmowy, rozgorzałyby pomiędzy nimi śmiertelna walka.

Wskaże pan nam drogę do tego lasu? Trudno byłoby nie znając tutejszych wertepów nie zabłądzić w ciemnościach...

- Służę. Nie mogę wprawdzie powiedzieć, aby mi to miało sprawić specjalną przyjemność, ale sam rozumiem: obowiązek obywatelski - ostatnie słowa brzmiały ledwo uchwytną ironią.

Sięgnął po zawieszoną na dębowych szaragach burkę, narzucił ją na siebie.

Dłoń inspektora otarła się niby przypadkiem o miękką powierzchnię wełny.

- Nie lubi pan takiej pluchy?

- To prawda - potwierdził lekko ale skąd ten wniosek? No... płaszcz zupełnie suchy. Wygląda jakby pan nie wychodził od dzisiejszego południa z domu. Po wargach Harry'ego przemknęło coś w rodzaju uśmiechu.

- Tak... w ostatnich czasach nabrałem upodobań sybaryty - odpowiedział wymijająco.
- Na taki czas najprzyjemniejszym miejscem jest wygodny fotel przed płonącym kominkiem. Systematycznie, bez pośpiechu, zapinał guziki.

- Jestem gotów - oświadczył wkładając czapkę na głowę.

- No to idziemy. Bardzo z pańskiej strony uprzejmie... O - zatrzymał się nagle, jakby sobie przypomniał coś niespodziewanie

- wziął pan ze sobą rewolwer?

Harry przymrużył oczy. Od samego początku oczekiwał czegoś w tym rodzaju.

- A jakżeby inaczej? Stale noszę przy sobie coś do pukania. Wie pan, od tych ostatnich wyczynów WILKA...

Wzrok jego powędrował w kierunku sufitu.

Mac Dufty zaciął wargi, aby powstrzymać gniewnie przekleństwo. W słowach Harry'ego dźwięczały wyraźnie nutki tłumionego uśmiechu.

- Czy aby w porządku? Bo z tego co pan mówi wygląda jakby ich siedzielo w lesie co najmniej kilkunastu. A w takich warunkach każda lufa po naszej stronie może mieć swoje znaczenie... - tłumaczył rozwlekle.

- Nie noszę broni, która by szwankowała - bąknął niedbale.

- To już przyzwyczajenie z lat niemowlęcych.

- Tak, ale... - urwał niezdecydowanie, poszukiwał widocznie pretekstu.

- A może chce pan sam zobaczyć? - zaproponował uprzejmie Harry.

- To byłoby najlepsze - potwierdził skwapliwie. - Uchodzę za coś w rodzaju specjalisty od broni palnej.

Harry z trudem powściągnął pogardliwy grymas. W takich drobiazgach inspektor nie przejawiał zbytnej przebiegłości. Koncept nie czynił wrażenia koronkowej roboty. Raczej przeciwnie.

- Proszę - sięgnął powoli do kieszeni, wydobywając miękką skórzaną pochwę. - Niech pan obejrzy - podał Mac Dufty'emu.

Ten wyłuskał rewolwer, odciągając wierzchnią część lufy, niby to sprawdzając działanie mechanizmu. Przy sposobności zajrzał w otwór.

- Ali right - oddał rewolwer. - Dba pan o swoją broń.

- To też należy do moich dziwactw. - Wsunął pistolet do bocznej kieszeni płaszcza.

- A... - zawahał się - czy ma pan również inne?

- Znalazłoby się. Chce pan obejrzyć wszystkie? - Tym razem pytanie brzmiało niemaskowaną już ironią.

- Nnie... Teraz szkoda czasu. Może przy bardziej sprzyjającej okazji.

Przed podjazdem dygotały niespokojnym rytmem pracujących motorów dwa wydłużone cielska wielkich kilkunastoosobowych samochodów policyjnych. We wnętrzu tkwiły szczelnie okutane postacie.

Wsiedli wraz z inspektorem do pierwszego. Harry zajął opróżnione przez jednego z policjantów miejsce przy kierowcy, Mac Dufty usiadł tuż za nim.

- Jazda! - rozkazał głośno inspektor.

Przyćmione ślepia potężnych reflektorów rozjarzyły się jaskrawym białym światłem. Motory zawarczały szybszym oddechem. Samochody ruszyły w stronę otwartej na oścież bramy.

Musieli ją okrążyć wielkim łukiem, nie było bowiem mowy, by precyzyjnie przecisnąć szerokie maszyny przez furtkę wychodzącą bezpośrednio w kierunku lasu.

Wyrzucane pneumatykami w górę wielkie płyty śniegu wpadały gęsto do wnętrza wozów, smagając po twarzach. Z góry sypał bez przerwy lepki puch pomieszany z kryształkami gradu. Nie, stanowczo jazda nie należała do specjalnie przyjemnych.

Znacznie gorzej poszło, gdy po przebyciu kilkuset jardów drogą samochody skręciły zgodnie ze wskazówkami Harry'ego na szerokie pole. Musieli przejechać przeszło milę na przelaj po gruncie pełnym nierówności i wyrw. Maszyny chygotały na wszystkie strony jak łódki kołysane wzburzonymi falami. Raz po raz zdawało się, że nic już nie zdoła ich ocalić przed runięciem na bok.

Wreszcie zaczerniała ściana lasu.

Harry spojrział przelotnie na fosforyzujące cyfry zegarka. Bagatela! Na niespełna półtorej mili stracili przeszło dwadzieścia minut. Piechotą poszłoby na pewno znacznie prędzej.

Mac Dufty wyskoczył na śnieg.

- Tyraliera co trzy metry! - rozkazał. - Rewolwery w garści i przy najmniejszym podejrzeniu strzelać bez pytania. Latarki w drugiej ręce. Inaczej gotowi byście pomordować się nawzajem - dorzucił rubasznie.

Harry zszedł powoli z wysokiego stopnia.

Słyszając zarządzenie inspektora wzruszył lekko ramionami. W ten sposób obudziliby nawet niedźwiedzia z zimowego snu, a cóż dopiero mówić o wzbudzeniu czujności byndytów. Strategia Mac Dufty'ego należała widocznie do całkiem osobliwego rodzaju.

- Pan pójdzie ze mną, jeśli łaska - oświadczył mu bezapelacyjnym tonem inspektor. - Zna pan zapewne trochę ten labirynt?

Harry wsunął ręce do kieszeni. - Prawdę powiedziawszy, to niewiele... - mruknął bez entuzjazmu.

Zaczęli się przedzierać przez mokrą gęstwinę. Pomiędzy gałęziami migotały dziesiątki ręcznych latarek policjantów.

- Ależ iluminacja - zauważył bez żadnej intonacji Harry.

- Nie aprobeje pan mego systemu poszukiwań? - zerknął na niego inspektor.

- No - powiedział obojętnie - gdyby w krzakach siedzieli bandyci...

Mac Dufty roześmiał się chropowato.

- O... zaraz bandyci. Pan ma zbyt wielkie wymagania, mister Coss. Na pewno już nie pozostało po nich ani śladu, jeżeli w ogóle znajdowali się tu kiedykolwiek. Nie czekaliby przecież jak trusie na obławę po strzelaninie.

Harry pochylił głowę i zdawał się patrzeć pilnie pod nogi.

- Cóż - bąknął bez specjalnego nacisku - pan zna lepiej ich zwyczaje niż ja.

Zauważył kącikiem oka, jak twarz inspektora nagle drgnęła.. - Co? - obrzucił go ciężkim badawczym spojrzeniem - dlaczego to niby mam wiedzieć lepiej? Wydawało się jakby Harry nie usłyszał pytania.

- Tam do licha! - zaklął półgłosem zawadziwszy o jakiś sterczący w śniegu pień. - Można nogi połamać w tych wertepach.

Nie patrzył na inspektora, jednak zauważył jak złote galony połyskujące spod podbitego futrem mankieta zbliżały się do odstającej kieszeni kurtki. Mocne palce o krótko obciętych paznokciach drżały drapieźnie w kierunku twardego kształtu zarysowującego się poprzez grubość materiału burki. A Harry wiedział doskonale co to był za przedmiot.

Prawa dłoń Harry'ego zwisała zupełnie swobodnie. Zawsze zdąży sięgnąć do swojej kieszeni. Ćwiczył ten ruch ładnie parę lat i inspektor na pewno mu nie dorówna. Mózg jego pracował z zimną precyzją. Serce nie przyspieszyło ani na jotę swego rytmu. Kto wie, może byłoby i najprostsze rozwiązanie? Wszystko jedno co będzie później. Więc, może? Ale nie, nie miał jeszcze w ręku ostatniego ogniwa. Sprawa nie dojrzała jeszcze do swego ostatecznego rozwiązania. Przecięcie węzła nie wystarczyłoby dla tamtych.

Inspektor wciąż zwalniał kroku. Kącik powieki jego lewego oka drgał ledwo dostrzegalnym nerwowym tikiem. Dotychczas jednak nikt nigdy nie widział u inspektora tego odruchu. Widocznie panowanie nad nerwami zaczynało mu już przychodzić z trudem.

- Więc - Mac Dufty zatrzymał się, odwracając ostrym skrzętem głowy wprost ku Harry'emu - dlaczego właśnie ja mam znać, waszym zdaniem zwyczaje bandytów.

W głosie jego dźwięczały tym razem nutki tajonej groźby. W szarych źrenicach gorzał zielonkawy odblask.

- Bo... - Harry zgarbił się przechodząc pod nisko zawisłą gałęzią - bo - powtórzył, prostując swą barczystą postać i podnosząc powoli wzrok ku twarzy inspektora - powinien pan znać je doskonale... mając z tego rodzaju ludźmi często do czynienia

- dorzucił w końcu niedbale. Ton tych słów wypadł zgodnie z jego intencją wyraźnie nieprzekonywająco.

- Ach... tak... - oczywiście - wyraz czujności nie zniknął z rysów inspektora. - Chciałbym pana o coś zapytać - przechylił ku niemu głowę.

- O co?

- Czy pan nie wie przypadkiem kto jest WILKIEM? - wypalił znienacka.

Ostry promień latarki Mac Dufty'ego uderzył w oczy Harry'ego. Coss opuścił powieki, chroniąc się od ataku jaskrawego światła.

- Gotów mnie pan oślepić, inspektorze - bąknął zbolalym tonem.

Reflektor opadł z powrotem ku ziemi. Mac Dufty miał ochotę zakląć. Zasadzka spelzła na niczym.

- Nie odpowiedział mi pan - podkreślił z naciskiem.

- Nie odpowiedziałem - przyznał uprzejmie. - Za to powiem panu coś ciekawego. Już po raz drugi słyszę to samo pytanie.

- Po raz drugi? A pierwszym razem...

- Przedtem pytał mnie o to samo... mister Clifton - mruknął jakby sennym głosem.

- I? - Inspektor spojrział na niego z natężeniem. Oczy jego rozblęły zielonkawym odblaskiem.

Dłoń trzymająca rewolwer lekko drgnęła. Niewiele brakowało by skierował lufę na Harry'ego. Harry westchnął z głębi piersi.

- Jemu niestety też nie udzieliłem odpowiedzi... Zresztą to było zbędne. Clifton i tak wiedział dokładnie... - dorzucił cicho.

Mac Dufty nagle stracił ochotę do dalszej rozmowy. Szli teraz w zupełnym milczeniu. Ze wszystkich stron otaczał ich przenikliwy trzask łamanych gałęzi. Policjanci robili zgiełk, jakby przez las przechodziło całe stado słoni. Inspektor ani razu nie zwrócił uwagi swym podwładnym. Widocznie ich zachowanie nie stało w sprzeczności z jego intencją.

- Halo! Tutaj! - zabrzmiał czyjś podniecony okrzyk. - Jest! Światelka znieruchomiały na chwilę, po czym ruszyły w kierunku głosu.

Na brzegu niewielkiej polany zrobiło się nagle jasno. Pocięty dziesiątkami ostrych promieni mrok odpłynął w głąb lasu, gęstniejąc pomiędzy drzewami w nieprzeniknionej czerń.

Na szarawym tle śniegu leżał podłużny kształt podobny na pierwszy rzut oka do sterty rozrzuconych bezładnie łachmanów.

Pobiegli pośpiesznie bliżej. Szeroko otwarte oczy Clifftona zaszklily się, odbijając światło latarek.

- Ooo - Mac Dufty wsunął rewolwer do kieszeni - więc jednak... Martwy jak kawał lodu - oznajmił stłumionym głosem - śmierć nastąpiła co najmniej przed trzema godzinami. Albo jeszcze wcześniej. A pan słyszał strzelaninę przed godziną? podniósł oczy na Harry'ego.

- Coś w tym rodzaju patrzył ze smutkiem w zastygłą skurczoną twarz przyjaciela lat młodości.

Patrzcie no - Mac Dufty wyjął ostrożnie spomiędzy zaciśniętych palców zabitego rewolwer. Kto wie czy nie dogodził któremuś z zabójców? - dodał w zamyśleniu. - Jak mówią, strzelał po mistrzowsku.

Powstał, przeciągając zdrętwiałe mięśnie. - Niech pan patrzy Coss - zaczął podchodząc ku Harry'emu. O - pośliznął się nagle na mokrym śniegu. - Do licha! Chybnał całym ciałem gwałtownie naprzód, uderzając ramieniem w pierś Harry'ego.

Harry stał nieporuszenie. Zdołał nawet wywołać na z lekka pobladłe wargi imitację uśmiechu.

- Niezgrabiasz z pana inspektora - rzucił żartobliwie.

Po twarzy Mac Dufty'ego przemknął wyraz zawodu. Mocny człowiek - pomyślał z mimowolnym uznaniem. Wiedział przecież, że...

Po raz drugi w ciągu dzisiejszej nocy zwierzyzna ominęła zastawione sidła.

- Panie inspektorze - jeden z policjantów oświetlił promieniem latarki głębokie ślady stóp odcięte na śniegu - czy robić odlewy?

- Odlewy? - skrzywił pogardliwie wargi. - Dużo by ci z nich przyszło. Czyż nie widzisz - wskazał palcem na niewyraźne zarysy buta - że brzegi pozasypywane? Szkoda gipsu.

Po upływie kilku minut zaczęli odwrót. Nie było już czego szukać po lesie. Znaleźli to, po co przyszli - Clifftona.

Zwłoki owinięto w ciemny koc, dwóch ludzi ujęło za jego końce i ruszyli łatwiejszą już teraz, bo wydeptaną drogą, w kierunku oczekujących samochodów.

Szli w absolutnym milczeniu. Mogłoby się wydawać, że obecność zastygłego w bezruchu śmieci kształtu, chyboczącego bezwładnie w takt kroków policjantów, nakłada na wszystkie usta nierozzerwalną pieczęć.

Władowano zabitego na jeden z wozów, kładąc go na podłodze wzdłuż siedzeń. Zabrzmiał jęk syreny i samochody zaczęły pracowicie forsować zaspy.

- Czy mam pana odwieźć do domu? - zaproponował lekko inspektor, gdy już dobrnęli do drogi.

- Dziękuję - Harry odmówił uprzejmie - przejdę spacerkiem. Kiwnął głową w pożegnalnym geście, zeskakując na ziemię. Maszerował wyprostowany sztywno, stawiając sprężyste nogi. Gdy doszedł do bramy swej farmy, odwrócił głowę. W oddali zniknęły czerwone światła aut.

Z tej odległości nie mogliby go widzieć nawet przy użyciu dalekosiężnej lunety.

Nacisnął klamkę bocznej furtki. Twarda linia jego postaci zwiotczała nagle, jakby pozbawiona oparcia kośćca.

Włókł się teraz anizeli szedł przez puste, tonące w szarym mroku podwórze. Miał wrażenie, jakby w schodach przybyło co najmniej w trójnasób stopni. Zanim dotarł do sypialni, pot wąskimi strużkami spływał spod czapki, znacząc wilgotne bruzdy na zapadniętych policzkach.

Zamknął za sobą starannie drzwi, przekręcając dwa razy klucz w zamku, choć każdy ruch kosztował go niewymownie wiele.

Odchylił ostrożnie zasłonę, wyglądając przez okno. Nie zauważył niczego podejrzanego. Samochody policyjne zniknęły bez śladu w zaścielającej gęstymi kłębami ziemię wilgotnej mgły.

Mrok nocy ustępował powoli, mieszając się z drżącą szarością nadchodzącego dnia.

Zasunął z powrotem portierę.

Miał za sobą piekielnie ciężkie chwile... A to... co go jeszcze czekało. Tak, to było bodaj jeszcze trudniejsze.

Niemrawymi, jakby z waty, palcami odpinał guziki burki. Wreszcie opadła na ziemię. Nie schylił się po nią. Nie zaryzykowałby schylenia, gdyby u jego stóp leżały bezcenne skarby.

Zaczął ostrożnie ściągać kurtkę. Twarz jego zsiniała. Wargi zaschły w szorstką obcą skorupę. W źrenicach raz po raz migotały płomyki gorączki.

Gdy rozchylił kurtkę i kamizelkę, wyrzwała koszula pokryta wielkimi plamami krwi.

COSS

- Dziękuję, miss Barton czuje się nie najgorzej...

- Dziękuję, stan zdrowia miss Barton uległ dalszej poprawie.

- Tak, doktor pozwolił dziś miss Barton wstać z łóżka. Zaczynał już po prostu nienawidzić słuchawki, przemawiającej chropowatym głosem Belli. A przecież przedtem gdy rozbrzmiewała srebrną muzyką słów Mag, potrafiła mu dać tyle chwil szczęścia. Mag wyraźnie nie chciała z nim rozmawiać. Miała kontakt telefoniczny w swojej sypialni tuż przy łóżku i gdyby zażądała, przyniesiono by jej niewątpliwie aparat. Dawniej robiła w ten sposób niejednokrotnie. Tak, dawniej, a teraz? Od momentu napadu na Starą Farmę nie zdołał zamienić z nią ani słowa.

Próbował pisać listy. Błagał, aby odpowiedziała, choć kilka słów - wracały nie rozpieczętowane. Nie miał żadnych złudzeń - odsyłano je na wyraźne polecenie Mag. Ani Barton, ani tym razem Bella nie posunęliby tak daleko opieki nad nią.

Zaprzestał prób. Zacisnąwszy zęby poświęcił się bez reszty swej pracy. Ciężkiej, żmudnej pracy. Miał jeszcze tyle do zrobienia, zanim... Wtedy, gdy wszystko będzie skończone, może potrafi przekonać ukochaną. Porwie ją i wywiezie w daleki świat z dala od tego piekła.

Tymczasem musiał przede wszystkim rozkruszyć łańcuchy przykuwające go do miejsca. Bez tego nie miał prawa myśleć o swoich osobistych sprawach. Ani o szczęściu. Obowiązek! Przynajmniej taki, jak on go pojmował. Skoro już zaczął, musi dobrać do końca. Zwłoki Clifftona stawały się krwawym drogowskazem. Jego zastygłe w bezruchu śmierci ramię wskazywało nieubłaganie kierunek, którym musiał iść dalej.

Stracił tylko jeden jedyny dzień. Dzień po wyprawie do lasu. Ale wtedy pomimo wysiłku, nie zdołał zwlec się z łóżka. Był na wpół przytomny. Miał wrażenie, że gorączka go zmoże ostatecznie. Gdyby Mac Dufty odwiedził tego dnia farmę, zdobyłby wreszcie tak gorączkowo poszukiwany dowód. Nawet Wilmers nie miałby nic do powiedzenia. Musiałby ustąpić. Inspektor postawiłby na swoim, osiągając upragniony triumf.

Na szczęście dla Harry'ego Mac Dufty nie myślał wcale o nim. Przynajmniej chwilowo. Miał aż nadto kłopotu z innymi sprawami.

Zamordowanie Clifftona pociągnęło za sobą całkiem nieprzyjemne komplikacje w funkcjonowaniu maszyny policyjnej w Fairbanks.

- Jakże - sławny detektyw zamordowany niemal tuż pod nosem policji? To już nie byle co. I znowu WILK. Bo nikt nie chciał wierzyć w możliwość jakiegoś przypadkowego

mordu. Któż zresztą inny miałby powód do uprzątnięcia detektywa? Przecież wiadomo, że śledził właśnie Wilka.

Mac Dufty zredagował w pocie czoła obszerny raport do samego gubernatora. Nie należało to do specjalnie łatwych zadań. Gubernatorowi nie można posyłać byle czego. To oczywiście jeszcze nie wszystko. Protokoły, sekcje, szkice terenowe też zajmowały немало czasu. A poza tym miał jeszcze inne niecierpiące najmniejszej zwłoki zajęcia. Bodaj, czy nawet nie ważniejsze od tamtych urzędowych. Ale nikt nie wiedział, jakiego rodzaju praca zajmowała noce policyjnego dygnitarza. Zresztą noce te nie należały do urzędu. Stanowiły prywatną własność Mac Dufty'ego. Miał prawo nimi rozporządzać według własnej woli.

Harry również pracowicie spędzał całe doby. Zapomniał już niemal jak to przesypanie się noc w łóżku. Właśnie z zapadnięciem mroku wyruszał ukradkiem w świat na tajemnicze wycieczki w poszukiwaniu sobie jedynie wiadomego celu.

Wracał przeważnie dopiero wtedy, gdy świt przerzedzał zasłonę ciemności. Zmęczony, zmarznięty do szpiku kości, a co gorzej zniechęcony. Chodziło już tylko o drobnostkę, by móc zamknąć ten grzęznący w zdradzieckim trzęsawisku rozdział życia. Jeden, jedyny szczegół, który miał stanowić kropkę po ostatnim zdaniu. A właśnie ten szczegół tkwił gdzieś w niewiadomym. Bez niego cała pracowicie wzniesiona konstrukcja traciła fundamenty, grożąc runięciem za najbliższym podmuchem wiatru. Musiał go zdobyć. Za wszelką cenę. Cel, który jaśniał przed jego oczyma oślepiającym blaskiem błyskawicy, ale jednocześnie zawierał w sobie śmiertelną groźbę gromu. Nie tylko dla niego. Dla wielu innych również.

Minął tydzień. Siedem nieskończenie długich dni i tyleż nocy. Telefon milczał. Poczta przynosiła jakieś nikomu niepotrzebne świstki bez treści. Od Mag ani znaku życia. Wreszcie nie wytrzymał. To znaczyło przewyższać siły jego woli. Spróbował jeszcze raz. Ostatni. To niemożliwe przecież, aby go nie chciała wysłuchać. Chyba, że nie kocha.

Przyrowadzenie siebie do jakiegoś takiego ludzkiego wyglądu zajęło mu więcej aniżeli godzinę czasu. Zaniedbał się bardzo w ostatnich czasach. Samochód powierzony pracowitym rękóm Johnsona błyszczał jak cacko.

Nacisnął starter z jakimś niedobrym przeczuciem. O mały włos nie wyskoczył z maszyny w panicznej ucieczce przed... pewnością.

- At - mruknął zaciskając szczęki - niech tam. Raz kozie śmierć.

Jechał powoli. Nigdy jeszcze droga do Fairbanks nie trwała tak długo. Odsunął tchórzliwie moment usłyszenia wyroku. W końcu zatrzymał maszynę przed podjazdem

dyrektorskiego domu. Podniósł głowę wlepiając stęsknione spojrzenie w jej okno. Usłyszała przecież chyba?

Nic. Szyby lśniły matową pustką.

Minęła dłuższa chwila. Nacisnął taster klaksonu. Nie mógł przecież tkwić tu bez końca.

Ciszę rozerwał na strzępy jękliwy głos syreny.

Za drzwiami powstał jakiś ruch. Ciężkie powolne kroki schodziły po stopniach. Nie, to nie Mag.

- Pewno mnie w ogóle nie zechce widzieć - pochylił głowę nad kierownicą, aby ukryć przed służbą swój niepokój.

Szczęknięt metalicznie zamek. Ktoś niewidoczny uchylił ostrożnie jedno skrzydło drzwi.

Wyjrzały niebieskawe białka otoczone hebanową skórą - to Bill. Harry jednym ruchem wyskoczył na kamienne płyty chodnika.

- Zastąłem miss Barton? - Głos jego nie drżał, ale kosztowało go to niezmiernie wiele wysiłku woli.

- Nie - wargi Murzyna rozchylił głupkowaty uśmiech - miss Barton nie ma w domu.

- A... - zająknął się - kiedy wróci? Pokryta kędzierzawą gęstwą włosów głowa wykonała nieokreślony ruch.

- Niestety, mister Coss, nie mogę panu tego dokładnie określić. Miss Barton wyjechała z Fairbanks.

Oczy służącego obserwowały ciekawie gościa. To wszystko, co się ostatnio działo w domu dyrektora tak daleko odbiegało od zwykłego trybu życia. A przecież przybysz odgrywał w tym niewątpliwie całkiem niepoślednią rolę.

- Wy...je...chała... - powtórzył bezmyślnie Harry. Wiadomość uderzyła w niego, jak wymierzony zniecka cios obuchem. Przed oczyma pociemniało. W głowie zapanowała pustka, jakby jakaś okropna miotła wygarnęła nagle wszystkie myśli. Nie był zdolny do przepchnięcia poprzez zaciśniętą krtani ani jednego słowa. Zaciśnął pięści, wpijając paznokcie w ciało dłoni. Nie, nie będzie przecież robił z siebie widowiska. Wciągnął powietrze do płuc.

- Dokąd? - głos jego brzmiał już niemal obojętnie.

- Nie wiem - Bill rozłożył bezradnie ręce - może pan dyrektor będzie mógł pana o tym poinformować. Jest właśnie w domu. Czuję się dziś rano niezbyt dobrze i nie pojechał do kopalni.

- Zamelduj mnie dyrektorowi.

Zaczął ociężale wchodzić po schodach. Miał takie uczucie, jakby wstępował na szafot. Gorzej jeszcze. O ileż radośniej szedłby na szubienicę, gdyby wiedział, że Mag go kocha. A teraz? Uciekła od niego! Wyjechała z miasta, by nie być narażona na przypadkowe spotkanie.

Otoczające przedmioty tonęły w jakiejś drżącej mgle. Nie zdawał sobie sprawy, ile czasu minęło zanim Bill powrócił do saloniku.

- Pan dyrektor prosi oznajmił z namaszczeniem.

- Ach tak - pozwolił bezmyślnie zdjąć z siebie płaszcz. Potem znowu schody. Ostatkiem sił trzymał podniesioną głowę.

Barton powitał go chłodnym ukłonem.

- Proszę - wskazał nieco sztywno na skórzany fotel, stojący przed biurkiem.

- Co u pana słychać, mister Coss? Dawno nie miałem przyjemności go oglądać w swoim domu dodał, podsuwając pudełko z papierosami.

Harry machinalnym ruchem sięgnął po papierosa. Nie bardzo zdawał sobie sprawę po co tu przyszedł. Mag wyjechała - tłukło się rozpaczliwym rytmem pod obolałą czaszką.

- Ja... - zaczął, zapalając od ognia podanego przez Bartona - ttak... - bąknął - miałem dużo pracy i... - i zaczynał się już nieco opanowywać.

- Mis Barton wyjechała? - zapytał wreszcie nie patrząc w stronę dyrektora.

- Tak - potwierdził krótko - przedwczoraj.

Twarz Harry'ego stężała, nie wyrażała jednak żadnych uczuć. Teraz już był przytomny.

- Pewno na odpoczynek - otoczył się gęstymi kłębamii dymu.

- Uhum - chrząknął potakująco Barton - widzi pan - dodał po chwili aura Alaski nie bardzo jej służyła.

Harry z trudem powstrzymał cisnący się na wargi jęk ostatecznej rozpaczii. - Aura Alaski... Więc wyjechała poza granicę prowincji!

Zapadło przeciągłe milczenie. Harry skierował cały wysiłek woli ku ujęciu w karby zwiotczalych nerwów.

Gdy odezwał się znowu, palce jego rąk leżących na kolanach wpiły się mocnym uściskiem w ciało.

Pewno spędza teraz czas w bardziej odpowiednim... klimacie.

- Oczywiście skinął głową dyrektor - to jej na pewno pomoże w szybszym powrocie do zdrowia.

- A...

Bardzo pana przepraszam, mister Coss - przeciął ruchem ręki dalsze słowa Harry'ego - muszę go od razu uprzedzić, aby nie było jakichś nieporozumień: otóż moja córka nie upoważniła mnie do udzielania jakichkolwiek informacji o miejscu jej pobytu. - Tak - powiedział cicho Harry - rozumiem. Pochylił ponuro głowę, wlepiając wzrok w zawile kwiaty dywanu. Nie... chyba nie. Natomiast na jej biurku znalazłem po jej wyjeździe kartkę o bardzo dziwnej treści. Leżała luzem na widocznym miejscu. Bez koperty i adresu. Jak odniosłem wrażenie, jest to coś w rodzaju zaczętego utworu literackiego, czy też czegoś podobnego. Zresztą, nie wiem. Nie wspominała mi ani słowem o znaczeniu, ani w ogóle o istnieniu tej kartki.

Odsunął szufladę biurka i wyjąwszy stamtąd arkusik sztywnego liliowego kartonu o powycinanych brzegach, podał Harry'emu. Nie szukał ani chwili. Widocznie miał przygotowany na samym wierzchu.

Harry ujął ostrożnie końcami palców pachnący skrawek. Jaki znowu cios uderzył w niego z tych równych, nieco nerwowych liter?

- Tak! Przeczucie go nie myliło. Litery rozpląwały się we mgle spadłej nagle na oczy. Tych kilka słów, zawierało cały ogrom tragicznej treści: „Wilku! Odchodzę na zawsze z twego życia. Wylane przez ciebie morze krwi rozdzieliło nas nieprzebytą przepaścią”.

- Prawda, jakie dziwne? - Barton spojrzał na niego spod oka.

- Dziwne - odpowiedział powoli - bardzo dziwne... Ręka opadła w dół, jakby karta zaciążyła nieprzewidywanym brzemieniem.

- Dziwne... - powtórzył przysłaniając źrenice powiekami.

- Proszę - położył ostrożnie liliowy skrawek na brzegu biurka.

Wstał z fotela, podpierając się rękoma o jego krawędzie.

- Żegnam, panie dyrektorze - skłonił się sztywno przed Bartonem.

- Żegnam, mister Coss.

Ruszył twardym krokiem ku drzwiom. Wiedział z całą pewnością, że nigdy już nie przekroczy progu tego domu. Pogoniło za nim nieruchome spojrzenie Bartona.

- Dobrze się jednak stało, że nie pozwoliłem na wcześniejsze zaręczyny z Mag - pomyślał dyrektor, zagłębiając się w fotelu.

Wziął z biurka położony przez Harry'ego kartonik, przebiegając po raz tysięczny jego treść.

- WILK? Hm, tak - odłożył go wreszcie. Tylko nie rozumiem, dlaczego go dotychczas nie zamknęli?

OSTATNIE OGNIWO

Nad drzwiami prokuratora płonęła czerwona żarówka. „Zajęty. Nie przeszkadzać” - ostrzegła alarmująco ewentualnych interesantów.

Wilmers jednak był sam.

Na biurku leżało na wpół rozwinięte z grubego szarego papieru zawiniątko. Oczy Wilmersa raz po raz biegły ku dziwnej zawartości paczki, przyniesionej przed kilkunastu minutami. Długi, niekształtny płaszcz ze zgrzebnego płótna i także obszerne spodnie. Ani jednego słowa objaśnienia do tej przesyłki. Ale objaśnienia były tu najzupełniej zbędne. Wilmers nie miał najmniejszej wątpliwości co do jej znaczenia.

- Ostatnie ogniwo - mruczał półgłosem. - Tak, ten niezbyt elegancki strój był właśnie ostatnim ogniwem Wilka.

Spacerował nerwowym krokiem tam i z powrotem, przemierzając gabinet. Wciąż jeszcze się wahał. Zwykły spokój opuścił go bezpowrotnie. I żeby to tylko dzisiaj. Od dwóch przeszło tygodni prokurator Wilmers przestał poznawać samego siebie. Gdzie się podziała jego stanowczość, z której był znany w sferach sądowniczych? Co się stało z przysłowiową niemal równowagą duchową?

Wszystko gdzieś zniknęło. Myśli chygotały jak trzcina na wietrze.

Wiedział dobrze: tym razem musi już powziąć ostateczną decyzję. A przecież zwlekał do ostatniej chwili. Niewiele miał właściwie do zrobienia. Tylko kilka pociągnięć piórem. Ale skutki? Bagatela. O te skutki właśnie chodziło. Gdyby nie to, zlikwidowałby już dawno całą historię. - Łatwo powiedzieć: zlikwidować - uśmiechnął się żałośnie w przestrzeń - wybuchnie skandal, jakiego świat nie widział. Dotychczas usiłował nie wierzyć. Wysuwał najrozmaitsze obiekcje. No, tak. Właściwie nie było niezbitego dowodu.

- A teraz? - zerknął na zwitek szarego płótna, panoszący się na biurku. - Otóż to - teraz miał w ręku dowód. I do tego nie było jaki. O mocy szubienicznej pętli co najmniej. Bomba pęknie. A hałas jej wybuchu usłyszą w najdalszych zakątkach Stanów. Nie było na to sposobu. Chyba gdyby... Nie - drgnął z obrzydzeniem, odtrącając natrętne myśli - nie pójdzie na to, żeby nie wiem co. Nie czuł w sobie powołania do roli kata. Najwyżej można by zostawić tamtemu sposobność, żeby dobrowolnie... To jednak nie dawało żadnych szans.

Tamten miał zbyt rogatą duszę. Będzie się na pewno bronił do ostatka.

W ciszę wpadło metalicznym dźwiękiem bicie zegara. Ósma. Sięgnął zrezygnowanym gestem do kieszeni, wysuwając wieczne pióro.

Odkręcił je powoli. Dalsze zwlekanie nie miało żadnego sensu. Zaczynało nawet grozić katastrofą. Potem może być już za późno.

Oddał małą kartkę z notesu. Strząsnął kroplę atramentu zawisłą na końcu stalówki. Odłożył jeszcze na chwilę pióro, zapalając papierosa. Pogrążył się w niewesołej zadumie. Najchętniej pojechałby na kilka tygodni urlopu, oddając na ten czas urządowanie swemu zastępcy. Niech tamten babrze się w tym świństwie: było to jedyne pobożne życzenie. Nie mógł nawet poważnie myśleć o takim rozwiązaniu. Zastępca nie dałby rady. Trzeba będzie mieć nerwy jak postronki. W ciągu najbliższych dni rozpęta się prawdziwe piekło. Nerwy jak postronki? A kto je miał? Może on sam? Ani mowy. Chodziły luźno jak nie nastrojone struny. Cóż dziwnego.

Żeby kto mógł poza nim wiedzieć naprawdę, jak wiele przeszedł. Choćby ta konferencja z jego ekscelencją? Skoczył na niego jak dziki kot. Co? Jak? Niemożliwe! Musiał mu tłumaczyć całymi godzinami zanim wreszcie uwierzył. A potem znowu dla odmiany zaczął rozpaczać. Taki skandal... taki okropny skandal. Podniósł oczy do góry, jakby wzywając pomocy niebios, aby uderzeniem piorunu rozwiązały tę ohydłą sprawę.

Wreszcie wydał dyspozycję. Teraz był znowu pełnym stanowczości gospodarzem prowincji.

- Jeżeli panu dostarczą ten dowód, zrobi pan tak a tak. Podpisał pisemne zarządzenie.

- Na wszelki wypadek - oznajmił wręczając go Wilmersowi. Wielkie rzeczy: zarządzenie. Obeszłoby się bez niego doskonale.

Niechby tak spróbował być tu w Fairbanks na miejscu prokuratora.

Przenikliwe tykanie wielkiego ściennego zegara zawieszzonego na wprost biurka nieubłaganie odmierzało mijające minuty. Wilmers podniósł oczy: kwadrans po ósmej. Najwyższy czas! Potrząsnął energicznie głową, jakby zrzucając z mózgu gnębiące myśli.

- Co tam - ujął zdecydowanie pióro - tak czy inaczej, trzeba z tym skończyć.

Stalówka szybko pobiegła po papierze. Tylko kilka słów: „Aresztować. Możliwie dyskretnie. Dostarczyć bezpośrednio”. Jeszcze zygzak podpisu. Bo ten niepozorny świstek miał moc dokumentu. I to dokumentu decydującego o czymś życiu. Ale nie tylko o życiu. O rozmaitych innych rzeczach także.

Nacisnął taster dzwonka.

Drzwi uchylły się bezszelestnie i do gabinetu zajrzała młodzieńcza twarz sekretarza.

- Proszę zawołać... no - urwał na ułamek sekundy - tego człowieka.

- Tak jest, panie prokuratorze.

Po chwili do gabinetu wśliznęła się niepozorna figurka kilkunastoletniego wyrostka w obszarpanym ubraniu.

Wilmers stłumił grymas niezadowolenia. Też niedorzeczny pomysł, aby wybierać takiego smarkacza na posłańca w tej niezmiernie ważnej sprawie.

Spojrzał badawczo w szczupłą twarz wyrostka. Czynił wrażenie rozgarniętego nad wiek. Zresztą tamten na pewno wie co robi. Dał już przecież niejednokrotnie dowód ostrożności. Może i lepiej, że taki obszarpany. A przede wszystkim nie podpadnie jemu...

Złożył kartkę w czworo i zapaliwszy świecę stojącą na biurku, zalakował starannie brzegi.

- Masz - wyciągnął w kierunku chłopca zaimprovizowaną kopertę.

Niezbyt czyste palce zacisnęły się skwapliwie na skrawku papieru. Zanim wzrok prokuratora zdążył zarejestrować jakikolwiek ruch wyrostka, list zniknął gdzieś bez śladu w podartej kapocie.

- Wiesz komu masz doręczyć? - Wilmers zajrzał prosto w brunatne źrenice.

- Wiem - skinął pewnym ruchem głowy.

- Pamiętaj, to ma być doręczone tylko... hm... wiadomej osobie. I nikomu innemu - dodał z naciskiem.

- To się wi - potwierdził z powagą chłopak. - Jeszcze się taki nie urodził, kto by potrafił sięgnąć do kieszeni Jaspera Carrona - wykrzywił łobuzersko wargi - czy mogę już odejść?

- Możesz i...

Ale oberwaniec już go nie usłyszał. Pobiegnął szybko ku drzwiom przy akompaniamencie stukotu podbitych gwoździami butów.

Wilmers zabębnił końcami palców po blacie biurka jakąś niezbyt harmonijną melodię. Podpalił oto przed sekundą lont. Chwila wybuchu nadciągała z nieubłaganą pewnością.

Nie pozostało mu nic innego, jak siedzieć i czekać.

- Pierwszy moment spotkania nie będzie jednak należał do specjalnie przyjemnych - skonstatował z rezygnacją, wyciągając z kieszeni jedwabną chustkę, aby obetrzeć pot pokrywający czoło. Kaloryfery w gmachu sądowym grzały naprawdę z nieznośną gorliwością.

XVIII

POJEDYNEK

Harry przyłożywszy rozpalone czoło do lodowato zimnej szyby, patrzył bezmyślnie w ciemność.

Wielkie płaty mokrego śniegu wirowały widmowymi zygzakami w granatowym mroku.

Gdzieś w dole, prawdopodobnie w hallu, basowe dźwięki zegara oznajmiały jedenastą. Jeszcze nie przebrzmiało ostatnie uderzenie, gdy zawtórował mu, niby zniekształcone echo, cienki melodyjny ton z saloniku.

Jedenasta! Oderwał z wysiłkiem czoło od chłodzącego dotyku szkła.

Czas. Musiał wyruszyć na ostatnią wycieczkę. To tylko jedno jeszcze pozostało mu do zrobienia. A potem? Przyszłość stawała przed jego oczyma jako niezmierna, głucha pustka.

- Cóż - strzepnął palcami nie warto o tym myśleć. Może już nie wrócę z tego spacerku? Zszedł powoli w dół. Wyciągnął niedbale burkę. Przełożył rewolwer z bocznej kieszeni. Nawet wbrew zwyczajowi zaniechał sprawdzenia działania mechanizmu. A przecież czekała go decydująca rozgrywka. - Niech tam. Jeżeli nie wypali, to szczęście tamtego - pomyślał beznamiętnie, otwierając drzwi.

Otoczyła go szarpiąca zawierucha zawiei. Nie zwracał na to najmniejszej uwagi. W sercu szalała znacznie większa burza.

Nie starał się tym razem zachowywać ostrożności. Zobaczą, to zobaczą. Dzisiaj zresztą wszystko się rozstrzygnie. Samochód stał w garażu przyszykowany do drogi. Przygotował go już przed kilkoma godzinami. Czekał jedynie na pewną wiadomość i właśnie przed niespełną półgodziną otrzymał ją wreszcie.

Zapuścił motor. Miał przed sobą dobrych kilka mil niezbyt wygodnej drogi. Nie było mowy, by mógł ją przebyć pieszo. Przekręcił taster oświetlenia. Zabłysnęły reflektory, rozcinając ścianę mroku dwoma szerokimi snopami białego światła. Przed szybą drżały szarawe pasma padającego gęsto śniegu. Nacisnął starter. Maszyna ruszyła naprzód szurając zgrzytliwie wstęgami gaśienic. Jechał szybko trzymając mocno oburącz koło kierownicy. Nie pozostawało mu już wiele czasu. Po północy mogą przyjść tamci, a wtedy nie będzie miał żadnych szans.

Śnieg uderzał monotonnie w szybę, oblepiając ją nieprzeniknioną pokrywą. Automatyczna wycieraczka pracowicie zakreślała swe półkole oczyszczając wycinek szkła. Przez cały czas utrzymywał niezgorsze tempo. Samochód o czterech kołach na pewno utknąłby już dawno w jakiejś przydrożnej zaspie. Niezdarny „colonial” trzymał się jednak dobrze.

Upłynęło zaledwie parę minut, gdy dotarł do szosy. Skręcił ostrym łukiem na prawo, w stronę odległego miasta. Na szosie panowała absolutna pustka. Znikąd nie dobiegał najmniejszy choćby odgłos motoru. Nigdzie nie błyskało światełko latarni. Noc trwała w swym niczym nie zmaconym spokoju.

Stalowe płytki zastukały szybko po twardym podłożu szosy. Maszyna szła teraz prawie że gładko. Niedługo jednak. Jeszcze około trzech mil i Harry przyhamował wjeżdżając prosto w puszysty śnieg, leżący na szosie. Mający niewyraźnie w mroku nikły cień odosobnionego krzaka stanowił nieomylny drogowy znak.

Teraz zaczęła się męka. Gąsienice trzymały tył wozu na powierzchni, za to przednie koła raz po raz zapadały głęboko w puch. Wydawało się, że lada chwila maszyna wywinie koła, grzebiąc karoserię w zaspie.

Walczył zajądło z kierownicą! Musiał wyżyć wszystkie siły, by utrzymać samochód w jakiejś takiej równowadze. Moment nieuwagi i niewątpliwie stanąłby kołami do góry. Zaciął zęby.

W oddali zaciemniała kępka drzew. Przyćmił reflektory. Zaczynała się strefa wojennych działań. Po przebyciu jeszcze kilkudziesięciu metrów wcisnął maszynę pomiędzy obsypane okiścią śnieżną gałęzie jodeł. Teraz zgasił światła zupełnie. Otoczył go nieprzniekający, atramentowy mrok. Minęła dłuższa chwila, zanim przyzwyczajone do ciemności oczy zaczęły odróżniać niewyraźne kontury poszczególnych przedmiotów.

Wysiadł z samochodu. Nogi zapadły się po kolana. W ten sposób każdy odcinek drogi zabrałby nieskończenie wiele czasu. Otworzył bagażnik, Wyjmując parę krótkich skórzanych plecionek. Przytwierdził je lekko do butów.

- Tak - zaśmiał się bezgłośnie, sunąc szybko po śniegu - - wycieczka, można powiedzieć, dla przyjemności. Ciekawym dokąd mnie w rezultacie zaprowadzi?

Podniósł głowę nadstawiając gorejącą twarz pod ostre podmuchy wiatru. Nie odczuwał najmniejszego niepokoju z powodu tego, co go oczekiwało u końca tej drogi. Jedyne gorączka panująca w organizmie od tamtej pamiętnej nocy rozpalala w piersi nieznośny żar.

W ciemności zamajaczał niewyraźnie ciemny kształt niewielkiego budynku. Nie zmylił więc drogi, co by się bardzo łatwo mogło przytrafić w zawierusze śnieżnej burzy.

Przystanął na chwilę, chcąc wypocząć po nużącym biegu. Musiał mieć spokojny oddech, aby iść dalej. I te migające iskierki muszą zniknąć sprzed oczu. Wszystkie zmysły powinny pracować precyzyjnie, jak w dobrze wyregulowanym mechanizmie. Tu każdy ułamek sekundy mógł być decydującym. Wiedział dobrze, na co się porywa. Rzucił pytające spojrzenie. Ciemne okna - za późno, czy za wcześnie?

Nagle drgnął wsuwając odruchowo rękę do kieszeni. Poprzez martwe dotychczas szyby zaczęły się przesączać nikłe promyki żółtawego światła. Widocznie na oknach wisiały niezbyt szczelne zasłony. Teraz już wiedział: przybył w sam czas!

Wysunął ostrożnie stopy z luźnych wiązań plecionek. Zawadzałyby mu jedynie, krępując konieczną swobodę ruchów.

Od budynku dzieliło go zresztą nie więcej aniżeli kilkanaście kroków.

Sunął bezszelestnie, stawiając ostrożnie nogi. Minął jakieś szczątki rozwalonego płotu na wpół przysypanego śniegiem. Przyłgął całym ciałem do półokrągłych bierwion ściany. Nadśłuchiwał z napięciem, wstrzymując oddech. Gdyby we wnętrzu chaty rozmawiano, usłyszałby niezawodnie. Ściany nie czyniły wrażenia zbyt silnych.

Panowała jednak niczym nie zmacona cisza. Prawdopodobnie tamten siedział sam, oczekując na swych towarzyszy. Nie potrafiliby na pewno zachować milczenia, gdyby już byli w komplecie.

Przesuwał się cal po calu, aż do zbitych z chropowatych desek drzwi.

Położył lekko rękę na żelaznym skoblu. W prawej trzymał gotowy do strzału rewolwer.

Przeczekał jeszcze króciutką chwilę sprawdzając stan swych nerwów.

Serce biło równym nie przyspieszonym ani o jeden ton rytmem. Spokojny oddech podnosił miarowo klatkę piersiową.

- Ali right - zdecydował podnosząc palcem bezpiecznik rewolweru.

Szarpnął gwałtownie skoblem otwierając na oścież drzwi. Wskoczył susem do wnętrza. Obszerną izbę wypełniało mdłe światło naftowej lampki, ocienionej blaszanym abażurem. Na widok nieoczekiwanego gościa jakaś postać zerwała się raptownie z niezgrabnego stołka.

Harry skierował lufę w jego stronę.

- Ręce do góry! - wrzasnął groźnie, kładąc ostentacyjnym ruchem palec na cynglu.

Sponad puszystego futrzanego kołnierza wyjrzała ku niemu wykrzywiona paroksyzmem wściekłości twarz... inspektora Mac Dufty'ego.

Miał nerwowym ruchem pomiędzy palcami czarną połyskującą szmatę.

- Aaa... - oczy jego zalśniły ponuro. - Co za nieoczekiwana wizyta... Mister Coss...

- Łapy nad głowę warknął Harry. - I żadnych sztuczek bo...

- Ty... - w źrenicach inspektora zapłonęły alarmujące ogniki. Zanim Harry zdołał zrozumieć co zamierza, ręka jego błyskawicznym ruchem opadła do prawego boku.

Żółtawe światło odbiło się na gładkiej powierzchni metalu. Przed oczyma Harry'ego buchnął krwawy płomień.

Odruch instynktu samozachowawczego przygniótł jego ciało ku deskom podłogi. Wszystko co zrobił w następnym mgnieniu oka było podyktowane przez instynkt, zanim

mózg znowu objął kontrolę nad czynnościami mięśni. Mac Dufty leżał na wznak na podłodze, rozplaszczony niby potworny owad. U jego boku ciemniała na deskach czerwona plama, rozlewając z każdą chwilą coraz szerzej swe płynne kontury.

Wyprostował się podchodząc ku leżącemu. Dłoń trzymająca pistolet zwisała niedbale. Wystarczyło jedno spojrzenie, aby skonstatować, że Mac Dufty nie jest już zdolny do najmniejszego nawet ruchu. Zresztą dłoń inspektora wypadła z rozwartych bezsilnie palców.

Pochylił smutno głowę nad siniejącą twarzą inspektora.

- Po co strzelałeś, zapytał jakby z wyrzutem - gdyby nie to...

- Le... piej... że tak... blade wargi poruszyły się z wyraźnym wysiłkiem. - Tu... tu... nie było innego... wyjścia. Albo... ty... albo... ja... - chrapliwy oddech wypłynął z jego piersi - zwyciężyłeś!..

Żrenice zaczęła powlekać mgła śmierci.

- Mylisz się... szepnął Harry cicho - przegrałem. Harry zwiesił głowę na piersi. Tyle krwi! Jeszcze jeden trup na drodze Wilka. Tym razem ostatni.

Wsunął ociężałym ruchem rewolwer do kieszeni i ruszył w powrotną drogę.

Wskazówki zegara wiszącego w hallu farmy „Forvars” wskazywał punktualnie wpół do pierwszej, gdy Harry podniósł słuchawkę telefonu.

Centrala nie odzywała się przez dłuższą chwilę. Czekał z kamiennym spokojem, nie dotykając korbki. Nie miał już powodów do pośpiechu.

Wreszcie zatrzeszczał w mikrofonie zaspiany głos telefonisty. Wymienił jakiś numer.

Znowu czekał dłuższą chwilę, zanim po tamtej stronie nie podjęto słuchawki.

- Inspektor Mac Dufty zabity - rzucił bezbarwnie w przestrzeń.

- Ooo - ktoś po drugiej stronie przewodu odetchnął ni to z żalem, ni to z ulgą - jak to się stało?

- Strzelił pierwszy... zresztą opiszę to wszystko dokładnie - odwiesił mikrofon, choć dźwięczał jeszcze ludzkim głosem.

Osunął się ciężko na fotel przed biurkiem i wyjąwszy z szuflady arkusz papieru zaczął szybko pisać.

Gdy wreszcie już skończył, za oknami szarzał już blask przedświt. Włożył zapisane arkusze do wielkiej koperty z grubego papieru, zaadresował i zakleił.

- Tak - odłożył ją na bok - z tym koniec. A co dalej? Wpatrzył się tępo w połyskujące szyby. Odczuwał ogromne znużenie. Miał iść przez życie samotnym szlakiem bez celu? Nie... czuł, że zabraknie mu na to odwagi. Czy będzie miał dość sił by znosić męczarnie? Nic... Chyba nie...

- A więc - uśmiechnął się smutno skoro nie ma innego wyjścia...

Wyjął z kieszeni pistolet i odciągnąwszy bezpiecznik zajrzał w tajemniczą głębię lufy.

TOM II

BIAŁE PIEKŁO

I

WILK SCHODZI Z WIDOWNI

Prokurator Wilmers spędził bardzo pracowitą noc. Nie tylko zresztą pracowitą. Poza tym jeszcze bardzo przykrą. Po wysłaniu kartki przez wyrostka, zaczął się okres niespokojnego wyczekiwania na wiadomość o skutkach rzuconego w przestrzeń rozkazu. Nie było to wszystko wykonane według litery prawa. Zdawał sobie doskonale z tego sprawę. I już to jedno wprowadzało zamęt do jego myśli. Bo dotychczas prokurator Wilmers uchodził za jednego z najbardziej czujnych na subtelności ustawy urzędników Alaski. Niemal uważano go za formalistę. A teraz? Nie... Ta sprawa nie dałaby się zamknąć w ramy kodeksu. Nie było po prostu innego wyjścia. Jedynie świadomość, że gubernator wiedział o wszystkim i aprobował takie, a nie inne rozwiązanie, łagodziła nieco jego przeczulone sumienie prawnika. Ale, prawdę mówiąc, nie bardzo. Gubernator gubernatorem, a prokuratorów po to państwo przyjmuje na służbę, by stali na straży prawa. Myśl, mimo wysiłków, wybiegała wciąż ku jednemu: co będzie, gdy tamtego zaaresztują? Zegar bez pośpiechu, jakby z zastanowieniem nad każdym uderzeniem oznajmiał godzinę dziewiątą. Dopiero dziewiąta! - westchnął. A jeżeli oczekiwanie potrwa całą noc?

Przez ścianę dobiegał przytłumiony odgłos powolnych kroków.

- Prawda - pomyślał leniwie - policjant... Jego też trzeba właściwie zwolnić. A poza tym będzie to całkiem nie najgorszy pretekst do zatelefonowania do komendy. Miał w tym pewne wyrachowanie.

Sięgnął po słuchawkę. - Gabinet inspektora policji - zażądał, gdy odezwała się centrala. Długo czekał, zanim buczenie dzwonka wywołało jakiś dźwięk po tamtej stronie. Było to dość dziwne. W komendzie pracowano ostatnio przeważnie do północy, albo i dłużej.

- Halo - wyrecytował wreszcie urzędowy głos - tu dyżurny sierżant Hall przy telefonie. Kto mówi?

Gdy podał swoje nazwisko, ton sierżanta uległ gwałtownej zmianie.

- Słucham rozkazów, panie prokuratorze - zameldował służbiście.

- Czy jest inspektor Mac Dufty?

- Nie. Miał do załatwienia jakąś służbową sprawę w mieście. Jest inspektor Herst. Czy połączyć z nim?

Wilmers pomyślał przez chwilę. Mac Dufty'ego nie było? Wyruszył teraz po nocy w teren?

Aha - mruknął do siebie kiwając głową. Rozwiązanie nadciąga wielkimi krokami.

- Dziękuję - odmówił - to zbędne. Przyślijcie mi jakiegoś człowieka na zmianę służbowego. Będę pracował długo w nocy. Może mi być potrzebny.

Położył łokcie na biurku i oparłszy skronie o końce palców, przymknął ociężale powieki.

Zaczął przeglądać jakieś pękate akta. Nie bardzo zdawał sobie jednak sprawę z ich treści. Myśl powracała uparcie do tego, co miało się stać dzisiejszej nocy.

Poprzez mgłę drzemki usłyszał czyjeś kroki i odgłos rozmowy na korytarzu. Otworzywszy z wysiłkiem oczy, spojrzał półprzytomnie w kierunku drzwi. Po chwili zorientował się w znaczeniu dźwięków. To tylko zmiana policyjnej warty. Znowu otoczyła go kojąca cisza marzeń sennych. Rozległa piaszczysta plaża... grzywiaste fale oceanu... Rozżarzona do białości tarcza słońca zawieszona nad zielonkawą, pomarszczoną tonią. Na złocistym tle plaży barwne plamy kostiumów. Wokół gwar wesołości. Śmiechy... Rozgrzany, niemal parzący dotyk sypkiego piasku... Spokój... cały bezmiar spokoju i odpoczynku. Nie potrzebuje myśleć... jest przecież na urlopie... Alaska wraz z ponurym bagnem sprawy Wilka została o tysiąc mil... W oddali pruje fale potężnym dziobem wielki parowiec. Łopocą na wietrze barwne chorągiewki. Syrena huczy przeciągle. Głuchy, dudniący dźwięk potężnieje z każdą sekundą. Przygłusza wszystko inne. Wdziera się ogłuszającym wyciem w uszy. Coraz bardziej dokuczliwie... Przeciągłe dźwięki rozpadają się na tysiące drobnych igiełek, wbijających się w mózg. Dzzzz!... Dzzzzńńń!...

- Co to? - świadomość z trudem powraca do ram rzeczywistości. Poprzez rzednące opary snu występują kontury znanych przedmiotów. Tykający pracowicie zegar w czarnej dębowej ramie. Wygięty, metalowy kształt lampy ocienionej półokrągłym, ciemnozielonym abażurem z emaliowanej blachy. I wreszcie lśniące pudełko telefonu brzęczącego przeciągłym natarczywym dzwonkiem.

Podniósł ociężałą głowę. Lewy policzek zdrętwiał zupełnie od przyciskania do improwizowanej poduszki ze sztywnych kart.

- Halo? - kurczowym zwarciem szczęk stłumił ziewnięcie.

- Co? - otrzeźwiał w jednej chwili. - Mikrofon odpowiedział jedynie dwoma słowami, ale zabłyśły one w mózgu oslepiającym światłem błyskawicy.

Głos niewidzialnego rozmówcy brzmiał zupełnie spokojnie, a przecież to, co mówił, było zdolne nadszarpnąć najbardziej stalowe nerwy. Tym bardziej że on to przecież sam przed chwilą...

- Trzeba... - zanim zdążył wyjaśnić dokładnie o co mu chodziło, tamten przerwał połączenie. - Mocny człowiek - westchnął z pewną zazdrością, wpatrując się przez chwilę bezmyślnie w lśniącą czarnym połyskiem słuchawkę.

Odłożył ją ostrożnie, jakby groziła wybuchem.

Zwiesił głowę i splótłszy palce obu rąk, podparł na nich podbródek. Poczł szorstkie dotknięcie odrastającego zarostu. Golił się dzisiaj rano... Rano? Miał wrażenie, jakby całe wieki upłynęły od tego czasu.

- Ot, i koniec - westchnął z nieokreślonym uczuciem. Koniec? - zapewne. Jednak dla niego właśnie teraz rozpoczynał się okres niezmiernie delikatnej roboty. Pamiętał dokładnie słowa, którymi go żegnał gubernator: „Tylko na miłość Boską bez skandalu. Za wszelką cenę załatwić to z jak największą dyskrecją. Pan sam rozumie, prokuratorze, jakie to może za sobą pociągnąć skutki. Liczę na pana”.

Myśl Wilmersa pracowała z gorączkowym pośpiechem. Trzeba niezwłocznie powziąć decyzję, jak to dalej załatwić.

- Dyskretnie - mruzczał bezradnie - łatwo mu mówić. W jaki sposób można taką historię załatwić dyskretnie? A co zrobić z tym? Tkwił przecież po uszy w bagnie nieznośnych podejrzeń. Wilmers wiedział coś niecoś, jakie skutki dla prywatnego życia tamtego pociągnęła ta sprawa. Nie miał prawa zostawić go w tym trzęsawisku. To było wprost oburzające. Po tym wszystkim, czego dokonał?

- Ba - prychnął w końcu gniewnie, nie doszedłszy do żadnego rezultatu w rozmyślaniach - niech ekscelencja także popracuje głową.

Znowu sięgnął po telefon: międzymiastowa... Juneau... pilna... urzędowa... rezydencja gubernatora... Trwało to nieskończenie długo.

Wreszcie usłyszał spokojny głos gubernatora. Przysłonił mikrofon dłonią i rzucił cicho kilka słów.

Po tamtej stronie zapadło przeciągłe milczenie. W końcu po drucie przebiegła lakoniczna odpowiedź.

Wilmers przymrużył oczy. Było to mocne posunięcie, choć spodziewał się właśnie czegoś w tym rodzaju.

- Czy mogę to traktować jako urzędowy rozkaz? - zapytał przysuwając bloczek telefonogramów. Wypisał wyraźnie kilka zdań, nie zaniebując wypełnić z pedanterią

wszelkich rubryk. Polecenie gubernatora odbiegało od normalnych reguł urzędowania, by je można było załatwić nie na piśmie. Pomimo wszystko, Wilmers nie miał zamiaru ryzykować swej kariery i opinii nieskazitelnego urzędnika. Kto wie, co z tej sprawy może jeszcze w końcu wyniknąć.

- Tak - potwierdziła krótko słuchawka.

- Ali right - prokurator położył pod treścią telefonogramu zamaszty podpis. Spojrzał przelotnie na zegar, chcąc zaznaczyć dokładną godzinę otrzymania zlecenia. W tym wypadku wolałby nie zaniedbywać żadnej formalności. - Oho - skonstatował ze zdumieniem kwadrans po drugiej?

- Jeżeli zaś chodzi o... - zasłona otwartej dłoni łącząca usta z mikrofonem, przytłumiła dalszą część zdania. Odpowiedź nie uzyskała jego aprobaty. - Ale przecież on...

Równy, spokojny głos, nie pozostawiał jednak najmniejszej wątpliwości, co do intencji zarządzenia.

- Tak - Wilmers skrzywił się z niesmakiem, gdy stacja przerwała połączenie - w ten sposób oczywiście najłatwiej. Niech się poświęci dla dobra państwa... - powtórzył mrukliwie ostatnie słowa gubernatora - potem znajdziemy jakiś sposób, by go wyciągnąć nie odkrywając kart. - Potem - westchnął współczująco.

- Zanim się doczeka, szaszczą go na amen. Ano, cóż robić

- wzruszył z rezygnacją ramionami - gubernator zabrał głos i nie ma gadania. Murzyn zrobił swoje...

Zatelefonował do prywatnego mieszkania Hersta. Zastępca inspektora musiał mieć niezwykle czujny sen, bowiem niemal w tej samej chwili odebrał telefon.

- Dla jednego smutek, dla drugiego radość - pomyślał filozoficznie Wilmers chłopak ma teraz otwartą drogę do awansu.

Herst nie wydawał się bynajmniej zdziwiony telefonem o tak późnej porze. Rozmawiał takim tonem, jakby uważał to za zupełnie naturalne.

Wilmers zakomunikował mu w niezmiernie oględny sposób, że właśnie przed chwilą otrzymał doniesienie o jakichś mocno podejrzanych typach, włóczących się w okolicy chaty starego Pearse'a. Nie potrzebował wyjaśniać, gdzie jest ta chata. Znali ją dobrze wszyscy mieszkańcy Fairbanks. Był to na wpół rozwalony, nie zamieszkały barak, w odległości około ośmiu mil od granic miasta. Jego pierwszy i jedyny mieszkaniec, osadnik Pearse, zmarł przed niespełna pięćdziesięcioma laty i od tego czasu niezachęcający budynek, leżący do tego z dala od drogi, nikomu jakoś nie wpadł w oko. Nie było amatorów na objęcie bezpańskiej

spuścizny. Bardziej zabobonni przysięgali, jakoby tam straszło w niektóre bezksiężycowe noce.

- Zachodzi podejrzenie, że chata stanowi miejsce zebrań bandy Wilka - oznajmił prokurator poważnie.

- Byłoby dobrze, gdyby pan wziął dwóch, ale nie więcej ludzi i zrobił małą wycieczkę w tamtym kierunku, bowiem... - zawahał się przez chwilę - chodzi raczej o wywiad. Przede wszystkim jednak proszę o ścisłą dyskrecję, bez względu na to, co by pan tam znalazł - podkreślił z naciskiem. - Nikt, rozumie pan, absolutnie nikt poza panem i ludźmi przez niego zabranymi nie powinien o tym wiedzieć. Będę czekał w kancelarii.

- Aaa... inspektor Mac Dufty? - zająkał się pytająco Herst. Tak oczy Wilmersa powędrowały w kierunku sufitu oczywiście. Ale nie mogłem mimo starań uzyskać z nim połączenia. Niech pan zresztą spróbuje. Podkreślam jeszcze raz: nie mamy zbyt wiele czasu do stracenia.

- Niech próbuje - Wilmers zapalił papierosa. Rzeczywiście - wypuścił kłąb sinawego dymu nikt na całym świecie nie ma tyle czasu, ile potrzeba dla uzyskania rozmowy z Mac Duftym.

Wstał z fotela, przeciągając zdrętwiałe mięśnie. Senność odbiegła gdzieś bez śladu. Napięte do ostatnich granic wytrzymałości nerwy w pierwszej połowie nocy, teraz doznały gwałtownego rozprężenia.

Oczekiwany gość w takiej postaci, w jakiej miał przybyć, niewątpliwie tracił znaczną część swej niepokojącej kłopotliwości.

Podszedł powolnym, nieco powłóczystym krokiem do okna. Kości w stawach trzeszczały jak źle naoliwione zawiasy. Nic zresztą dziwnego. Kilka godzin snu w tak niewygodnej pozycji musiało zrobić swoje.

Wilmers już dawno przekroczył czterdziestkę. Nie potrafił, jak za czasów młodości, wysypiać się smacznie, oparty bodaj o ścianę. Za szybami śnieg wciąż sypał gęstymi płatkami. Na chodniku uliczna latarnia rozsiewała spod wysokiego, białego kołpaka śnieżnej pokrywy, nikłe promienie przyćmionego światła.

Na rozległym placu przed gmachem sądowym panowała niczym nie zmałona, zastygła w ciszy pustka. W oddali lśniły niby złotawe kulki naszyjnika, światełka latarni, stojących po przeciwległej stronie placu.

Znikąd najmniejszego choćby oddźwięku życia.

Oparłszy dłonie na parapecie okna, patrzył nieruchomo przez górną część szyby. Dolną pokrywała matowa warstwa mrozu.

Zmęczone oczy chciwie chłoneły kojący bezruch nocy.

- Tak szepnął - Fairbanks to nie San Francisco. Tu ludzie naprawdę potrafią spać w odpowiedniej porze.

Oczekiwanie zaczęło się przeciągać w nieskończoność. Zegar wydzwonił trzecią, potem wpół do czwartej, a tamci nie wracali.

A może pozostali bandyci zdołali go ukryć... w jakimś niedostępnym miejscu? zaniepokoił się nie na żarty. To oczywiście spowodowałoby nieprzewidziane komplikacje. Na niklowej popielniczce rosła coraz większa sterta niedopałków. Wybiła czwarta. Za oknem zaczynało szarzeć. Żółte plamy latarń zgasły. Niepokój Wilmersa wzrastał. - Jeżeli przyjadą za dnia? Ładna historia - kiwnął z powątpiewaniem głową. Wiadomość obiegałaby w ciągu godziny całe Stany. Dziennikarze mają zwykle zwyczaj wstawania wcześniej, aniżeli to jest z rozmaitych względów pożądane. Nieliczna garstka rezydująca w Fairbanks nie była wolna od tej zawodowej przywary.

Wreszcie, gdy już wskazówki zegara dobiegały do piątej, od strony Sun Avenue dobiegł przytłumiony warkot odległego motoru.

Prokurator wsłuchał się w ten odgłos z natężeniem, usiłując jednocześnie przebić wzrokiem brudnoszarą mgłę, zakrywającą nieprzeniknioną zasłoną szeroki wąwóz ulicy. - Czy na pewno oni? - Sama obecność samochodu na ulicy o tej porze jeszcze niczego nie dowodziła. Równie dobrze mógł to być wóz jakiegoś piekarza albo mleczarza, wyruszającego w poranny objazd swych klientów.

Dźwięki motoru potęgniały z każdą sekundą. Jeszcze parę minut i z mgły wysunęło się cielsko ciemnogrnatowej karoserii.

Teraz już nie mógł mieć najmniejszej wątpliwości - był to policyjny samochód z komendy. Odsunął się od okna i podszedłszy do biurka, opadł ciężko na fotel. Rysy jego stężały w nieruchomej, pozbawionej cienia wyrazu masce.

Czekało go jeszcze kilka przykrych chwil. A potem nareszcie będzie mógł zapomnieć o tej przekłetej, niesamowitej sprawie. Świadomość bliskiego kresu nużących dni i bezsennych nocy dodawała mu sił do pokonania wyczerpania nerwowego.

Poza oknami pisnął zgrzytliwie hamulec. Trzaśnięcie drzwiczek samochodu. Ostry stuk podeszew po kamiennym chodniku. Potem głuchy dźwięk dzwonka, gdzieś w głębi gmachu. Czyjeś powolne kroki...

Wilmers siedział nieruchomo, oparty plecami o twardą poręcz fotela. Nie potrzebował patrzeć, aby wiedzieć dokładnie, co się dzieje. Ręce splótł na piersiach. Czekał. Znowu kroki. Tym razem szybkie, nerwowe. Służbiste stuknięcie obcasami tuż pod ścianą.

- Już przymknął na ułamek sekundy oczy, usiłując przezwyciężyć przyspieszony rytm serca.

Drzwi otworzyły się bez pukania i do gabinetu wpadł w nieprzemakalnej pelerynie, zarzuconej na gruby płaszcz, podinspektor Herst. Na jego mocno pobladłej twarzy widniał wyraz największego wzburzenia.

- Panie prokuratorze! - zawołał od progu - okropność: inspektor Mac Dufty zamordowany.

Wilmers wciągnął potężny haust powietrza. A więc stało się...

- Tak - powtórzył nijakim tonem, nie patrząc na Hersta

- okropność.

- Gdzie on jest? - zapytał po chwili.

- W samochodzie na dole - wykrztusił Herst, dysząc ciężko

- zgodnie z pańskim poleceniem zajechaliśmy przede wszystkim tutaj. Choć nie wiem czy zarządzenie odnosiło się do...

- Odnosiło się rzeczywiście - potwierdził Wilmers. - Czy nikt nie wie... hm... - zawahał się przez mgnienie oka - o wypadku.

- Nie, jeszcze nie zdążyłem wydać potrzebnych zarządzeń w tej sprawie, chcąc uprzednio porozumieć się z panem. Zaraz jednak...

- To niepotrzebne - przeciął dalsze jego słowa stanowczym gestem Wilmers.

Herst wytrzeszczył ze zdumieniem oczy. Miał wrażenie, że nie dosłyszał.

- Jak to, przecież dochodzenie...

- Nie będzie żadnego dochodzenia w sprawie... tragicznej śmierci Mac Dufty'ego - oświadczył niewzruszenie - zaraz wydam polecenie pochowania ciała. Sięgnął po wieczne pióro, przysuwając arkusz papieru.

Nie będzie żadnego śledztwa? wyjąkał niepewnie Herst. Wlepił oczy w nieruchomą twarz prokuratora, jakby badając, czy jest przy zdrowych zmysłach. To przecież nie mogło się żadną miarą pomieścić w głowie. Wilmers nie odpowiedział, zaczynając pisać.

Ale, panie prokuratorze - bąknął zaskoczony do ostateczności - natrafiliśmy na wyraźny ślad Wilka. W rękach inspektora znaleźliśmy jedwabną chustkę z otworami na oczy, taką samą miał Wilk w czasie swego ostatniego występu w Starej Farmie. Widocznie inspektor zerwał ją w czasie walki z twarzy bandyty. Ślad jeszcze gorący i...

Wilmers wyrysował starannie zakrętas podpisu.

- To jest pozwolenie na pogrzeb - podsunął papier w kierunku podinspektora. Nie będziemy robili sekcji zwłok. A śledztwo w sprawie Wilka umarzam zakończył sucho.

- Ooo - w mózgu Hersta nagle zabłysło straszliwe podejrzenie. Prokurator Wilmers na usługach Wilka! A może nawet sam jest Wilkiem? Bo inaczej nie można by sobie wytłumaczyć jego postępowania.

- Proszę o zarządzenie na piśmie głos jego zakrzepł w urzędowym chłodzie.

Oczywiście - Wilmers spojrział na niego spod oka - tego nie mogę panu odmówić. Zdawał sobie doskonale sprawę, jakiego rodzaju myśli rodzą się w jego mózgu - ale może panu wystarczy to?

Podał mu bloczek z nadrukiem „Telefonogram”.

Podinspektor przebiegł szybko oczyma krótką treść notatki.

- Tak - odetchnął głęboko - wystarczy najzupełniej. Zarządzenie gubernatora przecinało wszelką dyskusję na ten temat.

Panie prokuratorze - rzucił Wilmersowi błagalne spojrzenie - czy nie zechciałby mi pan powiedzieć kto jest WILKIEM? Bo chyba to już wiadome? Wilmers pokiwał przecząco głową.

Niestety, nie mam prawa. Otrzymałem co do tego zupełnie wyraźny rozkaz. Musi pan wybaczyć dodał przepaszającym tonem - ale... Ramiona Hersta opadły bezsilnie.

- Tak - bąknął - rozumiem.

- O jednym tylko mogę pana zapewnić dorzucił po chwili Wilmers - sprawa Wilka została zamknięta nie tylko w aktach.

Herst skłonił się w milczeniu i ruszył automatycznym krokiem ku wyjściu. Miał wrażenie, jakby śnił jakiś bezsensowny sen. W gąszczu skłębionych myśli zaczynały migotać ogniki okropnej prawdy.

Wilmers przeczekał, zanim nie trzasnęły drzwi kancelarii.

- A teraz - skrzywił się smętnie - muszę zawiadomić tego... straceńca o skutkach konferencji w Juneau.

Uważał, że tego człowieka, który przecież odegrał decydującą rolę w sprawie, bezlitośnie skrzywdzono.

Chciałby mu nieco dodać otuchy do oczekiwania na spełnienie gubernatorskiej obietnicy.

II

HARRY ZNAJDUJE DROGĘ

Terkotanie telefonicznego dzwonka wpadło ostrym dysonansem w ciszę.

Drgnął, gwałtownie wytracony z odrętwienia.

Telefon dzwonił bez przerwy. Przeciągły, świdrujący odgłos wypełniał całe wnętrze domu, zamierając gdzieś za załamaniem ścian.

Zachnął się niechętnie. - Czego jeszcze mogą chcieć ode mnie? Nie miał najmniejszego zamiaru podchodzić do telefonu. Po co? Wszystkie sprawy przestały go już obchodzić. Pozostał sam, ze swoim ponurym beznadziejnym smutkiem.

Telefon nagle umilkł. Johnson nie nadchodził. Harry ścisnął obolałe skronie rękoma. Odpocząć. Za wszelką cenę odpocząć. Oparł łokcie o blat biurka. Wzrok padł przypadkowo na treść leżącej na stole gazety. Oczy przebiegły bezmyślnie po kolumnach druku. „Nome odcięte od świata. Tysiącom ludzi grozi śmierć. Szkorbut zbiera tragiczne żniwo”. Tysiącom ludzi? - Krwawa jasność słów przebiła się przez kłębowisko szalejących w mózgu myśli. Przynurzył gazetę i zaczął czytać.

„Od trzech tygodni, wskutek wyczerpania zapasów świeżych produktów, co skazywało mieszkańców na wyłączne odżywianie się konserwami, w mieście panuje niebywała epidemia szkorbutu. Więcej niż połowa ludności powalona chorobą. Dwaj miejscowi lekarze, zresztą również chorzy, są bezsilni. Ostatnia ampułka serum została zużyta już dawno. Ludność miasta została skazana na zagładę, jeśli w najbliższym czasie nie uda się dostarczyć surowicy. Wszelkie próby podjęte w tym kierunku spełzły na niczym. Nome jest odcięte od świata. Potężny lodołamacz „Prezydent Wilson”, który przed pięcioma dniami usiłował dotrzeć do portu, zmuszony był zawrócić z uszkodzonymi masztami. Połączenie za pomocą „psiej poczty” nie istnieje. Jakiś niesamowity pech przesładuje nieszczęsne kresowe miasteczko. Psia stacja w Norton Bay została rozgromiona przez niedźwiedzia włóczęgę. Po zwierzętach pozostały jedynie ogryzione kości. W Huista padły, co do jednego, wszystkie psy, wskutek nieznannej epidemii. Zwróciliśmy się w tej sprawie do mister Gustera, znakomitego trenera psów pociągowych. Oto jego słowa: niestety - wyruszenie do Nome w tych warunkach jest niemożliwe. Nie ma człowieka, który by mógł porwać się na bezcelowe szaleństwo. Normalnie trasa jednego zaprzęgu i człowieka jest ustalona na 35-50 mil, po czym następuje zmiana. Przy wielkim wysiłku jeden zaprzęg mógłby przebyć odległość, powiedzmy, 70 mil, ale to jest kres jego możliwości. Tymczasem wobec przerwania sieci podstacji, zaprzęg musiałby odbyć około 700 mil. Jest to zupełna niemożliwość. Ten, kto by wyruszył w tę drogę, poszedłby na pewną śmierć. Czy nie ma żadnych szans? zapytał nasz wysłannik mister Gustera. Znakomity trener, przez którego ręce przeszły setki psów, pracujących wiernie na szlaku, rozmyślał przez dłuższą chwilę. - Nie - odpowiedział wreszcie - żadnych. A właściwie jedna na tysiąc, albo jeszcze mniej, co jest przecież prawie równoznaczne. Więc Nome skazana jest na zagładę? - zadaliśmy jeszcze pytanie.

Twarz mister Gustera spochmurniała.

- Jeśli pogoda nie poprawi się... - nie dokończył machając beznadziejnie ręką.

Opuściliśmy mieszkanie znawcy szlaku z uczuciem prawdziwego przygnębienia...

TRZY TYSIĄCE obywateli Nome czeka na pewną śmierć. Z nadejściem wiosny parowiec zawinie do jednego olbrzymiego grobowca. Radiostacje w Nenanie i Fairbanks odbierają prawie co godzinę rozpaczliwe błagania o pomoc”.

Odłożył powoli gazetę. Trzy tysiące ludzi czeka na pewną śmierć - zdanie to nie ustępowało sprzed oczu, jakby odbite na kliszy siatkówki. Jakież wobec tego ogromu powszechnego nieszczęścia może mieć znaczenie jego własne, dotyczące tylko jednego człowieka? Wpadł w głęboką zadumę. Gdyby serum zostało doręczone, Nome byłoby ocalone. Nieletnie, bezbronne dzieci powalone ogromnym cierpieniem... Kobiety... Osiemset mil... Bezmyślne szaleństwo. Szansa jedna na tysiąc, albo i jeszcze mniej... wirowało w jego mózgu zawiłymi arabeskami myśli.

Jedna na tysiąc szansa powodzenia? - To przecież znacznie więcej niż mógł wymagać od losu.

Decyzja skonkretyzowała się w nim niemal bez udziału woli. Oczywiście, że pójdzie.

Przygotowania do drogi nie zajęły zbyt dużo czasu. Musiał nieco uporządkować swe dotychczasowe sprawy.

Wyjął z biurka wielki arkusz sztywnego papieru. Odkręciwszy wieczne pióro, napisał u góry czytelnymi literami: „Moja ostatnia wola”

„Posiadłość Forwards wraz całym żywym i martwym inwentarzem niczego nie wyłączając, zapisuję... - złota stalówka zawisła przez chwilę w powietrzu - miss Margaret Barton z Fairbanks” - dokończył pewnie.

Tak, Mag była jedyną bliską istotą, jaką zostawiał na świecie. Komuż miał przekazać ojcowską siedzibę. Niech zrobi z tym co będzie chciała. Niech sprzeda, podaruje, niech wreszcie urządzi w farmie przytułek dla bezdomnych, albo coś w tym rodzaju. Wszystko jedno. W każdym razie przez jakiś tam okres czasu będzie właścicielką jego domu, gdzie mieli zamieszkać razem. Wspomni go chociaż przelotnie.

„...Z sumy osiemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów, znajdujących się na koncie w banku „Alaska Gold Comp. Ltd.” w Fairbanks i z sumy dziesięciu tysięcy zdeponowanych w kasie oszczędności miasta Nenany, zapisuję mojemu wiernemu służącemu i przyjacielowi zarazem, Lukę Johnsonowi, kwotę dwudziestu pięciu tysięcy, po pięćset dolarów dla każdego z pozostałej służby, resztę zaś pieniędzy ofiarowuję na rozbudowę szpitala miejskiego w Nome.”

Pomyślał przez chwilę. Co jeszcze? To było wszystko. Położył u dołu dokumentu datę i starannie wykaligrafowany podpis, aby później nie było podejrzeń co do autentyczności testamentu.

Złożył arkusz w czworo i wsunawszy do koperty zalakował, odciskając pieczęć.

Napisał jeszcze na kopercie: „Otworzyć po mojej śmierci”. Położył na samym wierzchu środkowej szuflady biurka. W podręcznej kasie ogniotrwałej miał kilkanaście tysięcy dolarów. Te jednak będą potrzebne w drodze.

Teraz zabrał się do podróznego ekwipunku. Powziąwszy decyzję odzyskał energię. Uważał za punkt honoru dotrzeć jak najdalej. Nigdy niczego w życiu nie miał zamiaru załatwić niedbale. Przyjął na siebie wobec własnego sumienia ciężki obowiązek i musiał go spełnić aż do końca. Zginie dopiero tam, gdzie go opuszczą ostatnie siły, ale ani kroku bliżej. Pójdzie naprzód, dopóki starczy tchu.

Nie minęły nawet dwie godziny, gdy samochód Harry'ego był już gotów do drogi. Bagażnik załadowany aż po samą górę. Harry miał niejaki doświadczenie w zimowych wyprawach, toteż nie zaniedbał niczego, co jest niezbędne w wędrowce przez śnieżną pustynię. Nie chodziło mu bynajmniej o bezpieczeństwo ani wygodę, wiedział jednak, że bez właściwego ekwipunku nie przejedzie nawet dziesięć mil. Nie zapomniał przy tym o ciężkim, zajmującym dość dużo miejsca, śpiworze. Nonsensem przecież było przypuszczać, że zdoła przeskoczyć kilkaset mil szlaku jednym tchem.

Nadchodził moment odjazdu. Powiódł wokoło wzrokiem, żegnając mury, w których spędził tyle lat. Żegnał wszystkie radosne i smutne dni.

Dziwne, niepokojące uczucie. Poczul prawie fizyczny ból. Miał wrażenie, jakby zrywał siłą jakieś żywe nici, łączące ciało z domem.

Potrząsnął energicznie głową. Szkoda czasu na głupstwa. Nie dla każdego widocznie przeznaczone szczęście.

Nacisnął taster dzwonka.

Czekał dłuższą chwilę, zanim od strony służbowej oficyny nadbiegł zdyszany Johnson.

Słucham, sir - obrzucił pytającym spojrzeniem niezwykle obciążony samochód.

Odjeżdżam, Johnson - zaczął spokojnie - i nie wiem jak długo potrwa moja nieobecność. W każdym razie znacznie dłużej niż zazwyczaj. Tymczasem masz zarządzać farmą, nie czekając na moje decyzje w poszczególnych sprawach. W drewnianej kasie na biurku znajdziesz kilkaset dolarów na bieżące wydatki. Rozporządzaj nimi, jak uznasz za stosowne...

Na twarzy Johnsona odmalował się wyraz serdecznego niepokoju. W głosie „panicza” dźwięczały niezrozumiałe nuty, jakich nigdy dotychczas nie słyszał.

- Sir - bąknął niepewnie - ja... - urwał bezradnie. Nie wiedział co powiedzieć.

- I jeszcze jedno... Harry zawahał się przez króciutki moment gdybym... gdybym nie wrócił wcale, w środkowej szufladzie biurka znajdziesz zalakowaną kopertę. Wręczysz ją sędziemu Hempseyowi. Będzie już wiedział, co z nią zrobić dalej.

Wyblakłe źrenice starego kamerdynera zawisły z napięciem na wargach Harry’ego. W pierwszej chwili nie był w stanie pojąć treści słyszanych słów. Mózg pracował znacznie ociężalej, aniżeli za czasów młodości. Siódmy dziesiątek lat, to nie żarty. Wreszcie zrozumiał. Starcze ciało zadrżało gwałtownie, jak trzcina potrząsana potężnym podmuchem wiatru.

- O - szarpnął się odruchowo w stronę Harry’ego - Sir... paniczu! - zawołał błagalnie - czyżby?

- No, no stary - Harry poklepał go przyjacielsko po ramieniu. Nie masz się czym przejmować. Po prostu jadę na dalszą i... hm... cokolwiek niebezpieczną wycieczkę. To wszystko. Na wszelki wypadek chcę pozostawić swoje sprawy w porządku. Żegnaj stary - wyciągnął prawicę.

Wyschłe dłonie starca uchwyciły jego rękę w kurczowy uścisk.

- Paniczu... - szepnął trzęsącym głosem - paniczu... - pomimo wysiłku nie mógł powiedzieć więcej.

Uwolnił delikatnie swą rękę.

- Wrócę za kilka, co najdalej za kilkanaście dni - zawołał uspokajająco, sztucznie wesołym tonem - bywaj.

Zbiegł pospiesznie po kamiennych stopniach i wsiadł do samochodu.

- Tak - powiedział stanowczo Johnson, który pozostał nieruchomo na progu domu, wpatrzony w twarz Harry’ego. - Panicz wróci. Nie wiem kiedy, ale wróci na pewno. Czuję to. Niech Bóg prowadzi panicza w drodze.

Harry nachylił się nad kierownicą i nacisnął starter.

- Tym razem przecucie myli starego - pomyślał beznamiętnie. Z tej wycieczki nie ma powrotu.

III

PIERWSZY ETAP

Powyginana w dziwaczne wzory ostrymi podmuchami wiatru zasłona zadymki śnieżnej coraz gęściej zaciemniała drogę.

Harry jechał niemal na ślepo. Nie przeszkadzało mu to jednak bynajmniej w wyciąganiu najwyższej szybkości, do jakiej był zdolny motor.

Przez cały czas, raz po raz przyciskał starter klaksonu, posyłając w białe kłęby śnieżnej mgły ostrzegawcze wycie syreny.

Nie było czasu na bawienie się w ostrożności. Każda stracona minuta przedłuża męki nieszczęśliwych mieszkańców Nome. Nie myślał zupełnie o sobie. Jedynym dążeniem, w którym skupił wszystkie siły duszy było dotarcie za wszelką cenę jak najbliżej Nome z lekami przeciwko skorbutowi.

Samochód pędził, przedzierając się poprzez zawieję podobny do bolidu. Wskazówka tachometru drgała w okolicy setki. Setka na pokrytej śliskim śniegiem drodze? Bagatela. W każdej chwili mógł skrócić kark pod żalonym rumowiskiem żelaznych resztek maszyny.

Nieliczne samochody wędrujące szosą usuwały się pospiesznie z drogi, spędzane wyciem sygnału.

- Wariat albo samobójca - kiwano głowami, goniąc zdumionymi oczyma stalową błyskawicę. - Na pewno będziemy go zbierali gdzieś po drodze.

W oddali ukazały się niewyraźne, jakby przesłonięte białym woalem mury Nenany.

Harry całym wysiłkiem mięśni trzymał koło kierownicy. Nie mógł zwolnić czujności ani na ułamek sekundy.

Wpadł na ulicę nie zwalniając szybkości. O kilka cali minął jakiś furgon, przy czym konie, na widok niesamowitego pędu stalowej bestii, szarpnęły się gwałtownie w bok, usiłując stanąć dęba.

- Ażebyś osie połamał - zaklął gniewnie woźnica, szamocąc się z oszalałymi z przerażenia końmi.

Harry nie usłyszał. Nie słyszał nic poza wyciem rozcinanego z szalonym impetem powietrza. Wiatr dzwonił przeciągle koło uszu, zagłuszając wszelkie inne dźwięki.

Zahamował ostro przed sporym piętrowym budynkiem. Nad drzwiami wisiał czerwony szyld, ozdobiony złotymi literami „Okręgowa Komisja Zdrowia” i nieco niezgrabnym orłem u góry.

Wbiegł pospiesznie po żelaznych kręconych schodach. Zapukał do drzwi z małą porcelanową tabliczką „Naczelnik Okręgu”.

Wszedł, nie czekając na pozwolenie. Zza niewielkiego jasnego biurka podniosła się sucha postać w palcie narzuconym na ramiona. W pokoju rzeczywiście było zimno, pomimo rozpalonego do czerwoności żelaznego piecyka, stojącego w kącie. Spod okrągłych okularów

w przeźroczystej oprawie wyjrzało ku niemu dobrotliwe spojrzenie bladoniebieskich źrenic. Krótko strzyżone białe wąsy drgnęły na widok wchodzącego, odsłaniając powitalny uśmiech.

- A... mister Coss... jakże mi miło - Harry uściśnął wąską dłoń doktora Ballowa. Znali się od kilkunastu lat co najmniej i aczkolwiek w ostatnich czasach nie było sposobności do zbyt częstych wizyt, Harry wiedział, że doktor darzy go uczuciem przyjaźni.

- Panie doktorze - zaczął bez wstępów - co z Nome? Uśmiech zgasł raptownie na ustach doktora. - Co tu mówić - po prostu nieszczęście. Więcej nawet niż nieszczęście: żywiołowa klęska. Przed chwilą otrzymałem któryś tam z rzędu radiogram. Wczoraj znowu sto osób zapadło na szkorbut. - Razem - siwa głowa opadła na piersi - prawie tysiąc. Jedna trzecia całej ludności.

- A... serum?

- Otóż to - doktor zatarł nerwowo ręce - to właśnie najstraszniejsze bodaj w tym wszystkim. Wystarczyłoby posłać serum, by od razu ukrećić łeb całej epidemii. A tymczasem jesteśmy bezsilni. Tam ludzie giną bez ratunku, my mamy pod dostatkiem środków aby ich ocalić i... nic... Czasami porywa mnie taka rozpacz, że chciałbym tłuc głową o ścianę. Rozumie pan, mister Coss - krzyczał niemal - tam giną ludzie?!!! A my musimy bezradnie oczekiwać na ich śmierć! Bo do wiosny nie doczekają w żadnym razie. Ja wiem, co to jest szkorbut pozbawiony odpowiedniego leczenia...

Potał dłońią czoło. Wargi jego drgnęły z trudem hamowanym wzburzeniem.

Proszę mi wybaczyć - powiedział cicho, zmęczonym głosem... - Przychodzą chwile, gdy mam wrażenie, że tracę po prostu zmysły. Od tygodnia nie zmrużyłem oczu.

Harry obserwował go z głębokim szacunkiem. Ten człowiek cierpi niesamowicie cudzym cierpieniem. Czuł się niezmiernie małym i nędznym wobec doktora Ballowa. To był człowiek. On sam nie potrafił dotychczas sięgnąć myślą poza sprawy własnego serca. Chciał tchórzliwie uciec od życia dlatego jedynie, że jego własna droga nie poszła tak, jakby tego pragnął.

Wszystkie próby zawiodły? - zapytał po chwili milczenia. Doktor Ballow przysłonił oczy powiekami.

- Wszystkie - potwierdził z rezygnacją. - Przedwczoraj wystartował z naszego lotniska wielki dwumotorowiec wojskowy. Nie przybył dotychczas do Nome. Nie przybędzie już nigdy...

Harry mimo woli pochylił głowę, składając niemy hołd poległym na posterunku lotnikom.

- Panie doktorze - zaczął, zapalając papierosa - mam pewien projekt...

- Jaki? - spojrzał na niego z zaciekawieniem doktor.

- Otóż... chciałem się podjąć dostarczenia serum do Nome, a w każdym razie do którejś z najbliższych, czynnych jeszcze stacji psiej poczty...

- Pan? - w głosie Ballowa dźwięczała nuta niedowierzania - czy dobrze usłyszałem?

- Tak - skinął głową - dobrze pan usłyszał. Ja... właśnie mam zamiar...

- W jaki sposób?

- W jedyny, który jeszcze pozostał. Na psim zaprzęgu... Doktor Ballow uśmiechnął się smutno.

- Niestety, mister Coss, to jest zupełnie niemożliwe. Czyż pan nie słyszał o zamknięciu podstacji w Huista, Centlehau, Pomman itd. aż do Norton Bay włącznie?

- Słyszałem, więc cóż z tego?

- Jak to, cóż z tego - powtórzył z goryczą Ballow. - Bardzo dużo... wszystko... Komunikacja psim zaprzęgiem nie istnieje.

- A stacja z tamtej strony?

- At - doktor machnął beznadziejnie ręką - nic nam to nie pomoże. Ostatnia stacja od strony Nome, posiadająca zdolną do pracy załogę to White Rin. A czy pan wie, jak to daleko do tej stacji od Nenany?

- Wiem - potwierdził spokojnie Harry. - Około siedmiuset mil.

- No więc widzi pan sam całą nedorzecznosc swej, zresztą chwalebnej, oferty.

- Panie doktorze - Harry podszedł ku Ballowowi i przechyliwszy ku niemu głowę, zniżył głos - powiem panu całą prawdę. W chwili gdy przeczytałem wiadomość o Nome, czułem na skroni dotknięcie lufy swego rewolweru. A palec trzymałem na cynglu. Powinno to panu wyjaśnić wiele... - urwał, a na jego policzkach wypłynął krwisty rumieniec wstydu. Nie należało do specjalnych przyjemności przyznać się przed człowiekiem, który go znał niemal od dziecka, do zamiarów samobójczych.

- Aaa - za okularami doktora przemknął przelotny błysk i zgasł w tym samym momencie. - To tak... - powstrzymał się od wszelkich komentarzy.

- Tak - Harry utkwiał wzrok w podłódze.

- Hm... - chrząknął wreszcie Ballow - a teraz traktuje pan swoją ofertę jako nieco odmienny rodzaj lufy rewolwerowej?

- Nie... - bąknął. - Z początku, przyznaję, miałem przez krótką chwilę właśnie tego rodzaju zamiar. Bo przecież tu śmierć prawie tak samo pewna, jak od kuli. Później jednak zacząłem już inaczej myśleć. Nie będę umyślnie szukał śmierci, tym niemniej jej widmo nie zdoła mnie powstrzymać w drodze. Widzi pan... tak się złożyło, że życie nie pozostawia mi

żadnych szans osobistego szczęścia... bo... zresztą mniejsza o to. Dość, że mogę je oddać bez żadnych zastrzeżeń na usługi bliźnich. Całe życie bez reszty - rozumie mnie pan, doktorze?

Podkreślił ostatnie słowa ruchem ręki. - Az drugiej strony - podjął znowu po chwili milczenia - zwykłem wypełniać raz przyjęte na siebie zobowiązania do końca.

Ballow ścisnąwszy skronie końcami palców - rozmyślał usilnie. Obowiązek... życie... i groźba zagłady trzech tysięcy ludzkich istnień - szepnął bezgłośnie - tak... to w rezultacie daje potęgę pozwalającą kruszyć skały... Kto wie...

- Mister Coss - zwrócił się ku Harry'emu - niech mi pan spojrzy w oczy!

Harry z trudem wykonał prośbę.

Wnikliwe spojrzenie doktora zapadło głęboko w źrenice Harry'ego, docierając, zda się, do najtajniejszych głębin duszy.

Tak - skonstatował doktor w duchu - to jest wzrok człowieka, który nie cofa się nigdy z raz obranej drogi.

- Poszedłby pan? - zapytał poważnie.

- Przecież po to przyjechałem do Nenany - odpowiedział z prostotą Harry.

- Siedemset mil... - rozmyślał na głos doktor.

- Wiem.

- I - Ballow rzucił przelotnie okiem na zawieszony po tamtej stronie okna termometr - spirytus opadł do minus 55 stopni.

- W nocy pewno będzie jeszcze o dziesięć stopni mniej - zauważył niewzruszenie Harry.

- A 65 stopni grozi odmrożeniem płuc... Ale prawda, komu ja to mówię - zorientował się - pana te rzeczy pewnie nie bardzo obchodzą.

- Nic, a nic. Nie będę wprawdzie, jak już zaznaczyłem, szukał śmierci... jednak nie będę również przed nią uciekał...

- Teraz przejdźmy do praktycznej strony tej... nedorzecznej, proszę mi wybaczyć, propozycji. Czy pan ma choćby przybliżone pojęcie o kierowaniu zaprzęgiem?

- Coś w tym rodzaju - uśmiechnął się Harry - w czasie swej młodości, zanim jeszcze pojechałem do Columbii, wziąłem kiedyś pierwszą nagrodę w wyścigu psich zaprzęgów. To oczywiście bardzo niewiele, bo jak panu wiadomo, wyścigi tego rodzaju odbywały się na ujeżdżonej drodze, w piękną pogodę, i na bardzo krótkim dystansie do tego wszystkiego. Ale w każdym razie nie będę szukał przy psiej uprzęży lejców, ani niczego podobnego, co łatwo by się mogło przytrafić zupełnemu nowicjuszowi.

- Poza tym w mieście nie ma psów...

Przepraszam pana - zaprzeczył Harry to nie jest takie zupełnie ściśle. Na ulicy Waszyngtona mieszka niejaki Guster, o ile wiem...

- W jego pensjonacie zostały same wywłoki - przerwał doktor. Nie ujedzie pan na nich pięćdziesięciu mil. Padną po drodze...

Potrzebne mi są na około czterdzieści mil wszystkiego...

A potem? - w głosie Ballowa zadźwięczało zainteresowanie.

- W okręgu Ruby w okolicach Loeg mieszka pewien mój znajomy. Nazywa się... zresztą mniejsza o jego nazwisko. Nie lubi, by je zbyt często wymieniać. Zajmuje się mianowicie sprawami niezupełnie zgodnymi z wymogami prawa. Jeżeli u tego człowieka nie dostanę odpowiedniego zaprzęgu, to będzie znaczyło, że na całej Alasce nie ma ani jednego psa do rzeczy...

- Obmyślił już pan wszystko, jak widzę - zauważył z podziwem Ballow.

- O tak. Obmyśliłem do najmniejszego szczegółu. Oczywiście tylko te rzeczy, które dadzą się przewidzieć. I przestudiowałem dokładnie trasę na mapie.

Ballow zamyślił się głęboko.

Harry z niepokojem oczekiwał na decyzję doktora...

- Cóż - wzruszył ramionami - w tych warunkach nie mam właściwie prawa pana powstrzymywać. Ani ze względu na nieszczęśliwe Nome, ani ze względu na pana samego. W każdym razie będzie to lepsze niż... - urwał.

- Czy pańska decyzja jest nieodwołalna? - spojrzał badawczo na Harry'ego.

- O, dziękuję panu, doktorze! Harry zerwał się porywczo z krzesła. - Wyciąga mnie pan z prawdziwego piekła...

- Po to, żeby wskazać wejście do innego.

- Nie zaprzeczył z mocą Harry - nie ma tak okropnej otchłani, jak własne myśli. Wszystko inne staje się w porównaniu z nimi mało znaczącą fraszką... Więc da mi pan te leki dla Nome?

- Hm - doktor chrząknął z zakłopotaniem to nie jest takie proste, jakby się zdawało. Jedna skrzynka utknęła aż w Huista, druga spoczywa w magazynach lodolamacza „Prezydent Wilson”, a trzecia... została załadowana na samolot. Mam jeszcze tylko jedną, tym razem ostatnią. Jeżeli pan uważa... - zatrzymał się z wahaniem.

- Ostatnia skrzynka musi pozostać w Nenanie - oświadczył twardo Harry. - Licho nie śpi. Wezmę tę z Huista.

- Ba - mruknął z powątpiewaniem Ballow - trzysta mil bez mała i...

- Ali right - przeciął - w każdym razie po drodze. Jeżeli nie dotrę nawet do Huista, to będzie dowodziło, że przeceniłem własne siły. Wtedy przynajmniej leki nie dostaną się w nieodpowiednie ręce. Ale dotrę na pewno. Da mi pan jakieś upoważnienie do odbioru?

- Oczywiście Ballow oddał kartkę ze stojącego na biurku bloku i szybko napisał kilka słów. Gdy skończył, przycisnął u dołu kwadratowy stempelek.

- Teraz w porządku - wręczył dokument Harry'emu. - Widzi pan, chłopcy z psiej poczty, to nadzwyczaj dzielni ludzie, ale przeważnie mają większe zaufanie do wszelkiego rodzaju pieczęci, niż do pisanego słowa, którego zresztą nie zawsze są w stanie odczytać. Kiedy pan ma zamiar wyruszyć w drogę? - zapytał rzeczowo.

- Naturalnie zaraz - oświadczył z uśmiechem Harry. - Żegnam pana doktora i jeszcze raz dziękuję.

- Do widzenia, chłopcze. - Ballow uścisnął serdecznie jego prawicę. - Z całego serca życzę ci powodzenia.

IV

JOHN SILVER Z LOEG WOOD

- Uff! - westchnął, brnąc pracowicie przez zaspy miękkiego śniegu - żółwie tempo.

Zadymka nie ustawała ani na chwilę. Ze wszystkich stron otaczały go ruchliwe, wirujące płaty śniegu. Od północy dął porywisty, lodowato zimny wiatr. - Ballow miał rację - pomyślał, obserwując z niesmakiem niemrawe ruchy psów - rzeczywiście ostatnie wywłoki.

Zresztą od pierwszego rzutu oka na zapadłe boki, wyliniałą sierść i przygasłe oczy zwierząt, zaprezentowanych mu przez Gustera, skonstatował, że tym weteranom szlaku od dawna należy się zasłużona emerytura. Nie było jednak żadnego wyboru. Guster okazał się całkiem uczciwym przedsiębiorcą. Ani jednym słowem nie próbował wmawiać w klienta nie istniejących zalet zgrzybiałego zaprzęgu.

- Sam pan widzi, mister Coss - oświadczył szczerze - jak to wygląda... Do wyścigów się nie nadają, to prawda, szkoda gadać. Do wyprawy na biegun także nie. Ale kilkanaście mil mogą jeszcze zrobić. Więcej od nich nie można wymagać. Wszystko, co było lepszego, zabrała ostatnia poczta. Wie pan, ta nieszczęśliwa historia z Nome... - zrobił smutną minę. Harry oglądał na wszystkie strony osowiałe huski.

- Boję się, by mi nie padły po drodze - mruknął z powątpiewaniem.

- A jaki spacer chce pan zrobić? - zapytał Guster.

- Około czterdzieści mil.

Guster wpadł w głęboką zadumę, kalkulując coś sobie w myśli.

- To bardzo dużo, jak na ich stare mięśnie powiedział wreszcie.

- Szczególnie przy takiej pogodzie. Jednak jeżeli pozwoli pan im na trochę odpoczynku i nie pożałuje bata, to powinny zrobić. Potem oczywiście nie będą przez dłuższy czas zdolne do żadnej pracy.

- W końcu zażądał pięciuset dolarów nie chcąc ustąpić ani centa. Chciał skorzystać z koniunktury. Harry nie miał czasu na targowanie, zapłacił więc od razu. Guster uszczęśliwiony z transakcji, udzielił mu w prezencie kilku cennych rad.

Z sankami za to nie było kłopotu. Guster miał na składzie całkiem solidne, porządnie okute, a pomimo to wcale lekkie. Dochodziła zaledwie godzina dziewiąta rano, gdy Harry już wyruszył w drogę.

- Dziewiąta rano, a teraz? - spojrzął na zegarek. Kwadrans po piątej. Przeszło osiem godzin i ani śladu Loeg. Przed nim, dokąd oko sięgało, ciągnęła się pofałdowana płaszczyna.

Wymamrotał przez zęby jakieś gniewne przekleństwo. Sprawa zaczynała wyglądać beznadziejnie. Chwiejny, nierówny krok psów wskazywał, że ich siły dobiegają już kresu.

- Come on! - wrzasnął na całe gardło, trzaskając ponad grzbietami zaprzęgu długim, rzemiennym biczem. - Naprzód, chociażby miały pozdychać po drodze!

Psy jednak nie reagowały. Widocznie naprawdę gonily resztkami sił.

Przewodnik, olbrzymi husky, o bokach pokrytych gęstymi szramami, warknął niby to groźnie, obnażając żółte, rzadkie, kiedyś zapewne potężne kły. Wypadło to jednak całkiem nieprzekonywająco. Zaprzęg nie zwrócił uwagi na nieudaną demonstrację. Nie przyspieszył ani trochę kroku. Włókł się z niezmierną powolnością, szurając niemal po śniegu opuszczonymi ponuro nosami.

Harry zacisnął z desperacją szczęki. Dojdzie, gdyby nawet miał sam ciągnąć sanki. I tak przecież robił co mógł, by im ułatwić drogę. W trudniejszych odcinakach szedł przodem, torując swymi raketami drogę. Ani mu nawet przez myśl nie przeszło, by zająć na kilka minut miejsce w sankach, choć ładunek nie był bynajmniej ciężki. Znowu zamachnął batem. Tym razem giętki rzemień musnął po wyliniaty grzbietach. Dodało im to nieco energii. Wiedział jednak, że nie na długo.

- Czyżbym - pomyślał zrozpaczony - nie potrafił nawet przebyć czterdziestu mil, porwawszy się na siedemset?

Sam też zaczynał odczuwać zmęczenie. Muskuly w łydkach drętwiały coraz bardziej. - Przeklęty brak wprawy - syknął, sięgając po papierosa. Nic z tego nie wyszło. Zanim zdołał pod osłoną dłoni wykrześcić płomień z zapalniczki, papieros rozmókł na miękką brunatną miazgę, sączącą obrzydliwie gorzki sok.

Odrzucił go zniechęcony. Trudno. Musi widocznie w czasie tej podróży zrezygnować z palenia. Na drodze wyrosła sylwetka pagórka o dość stromym zboczu. Psy ustały niemal zupełnie. Słyszał ich ciężkie przerywane oddechy. - Jazda! - smagnął ostro batem, po czym zatknął go za pas i ujawszy oburącz poprzeczkę tylnej poręczy sanek, zaczął pchać je przed sobą pod górę. Psy poczuły zmniejszenie ciężaru i ruszyły żwawiej. Jeszcze kilkadziesiąt jardów i pokonali stromiznę. Zjazd poszedł o wiele łatwiej. Psy musiały przyspieszyć kroku nie chcąc wpaść pod okute płozy sunących własnym rozpędem sanek.

Niemal w tej samej chwili, gdy sanki straciły nabrany na pochyłości impet, zaprzęg znowu zwolnił.

Harry bezsilnie zacisnął pięści. Popychał z wysiłkiem sanki, ale to oczywiście nie mogło potrwać długo. Stawało się coraz ciemniej. Fosforyzujące zielonkawym odblaskiem wskazówki zegara docierały do siódmej... Nadciągała noc. Chcąc nie chcąc, będzie musiał zatrzymać się na nocleg. A kto wie, czy potem psy będą w ogóle zdolne do dalszej drogi? Nagle przewodnik wydał krótki, warczący odgłos. Brzmiało to zupełnie inaczej niż przedtem. Psy szarpnęły uprzężą. Sanki śmignęły naprzód, odsadzając się od Harry'ego na dobre kilkanaście jardów. Przyspieszył kroku, aby nie stracić ich z oczu. Szły coraz prędzej. Któryś z husków zawył przeciągle.

- Co się stało? - pomyślał zdumiony Harry, błogosławiąc w duchu niespodziewany przypływ energii do zwiotczących mięśni zaprzęgu. Chyba od samego początku drogi nie biegły jeszcze tak szybko, jak właśnie teraz, gdy już zwątpił zupełnie o ich zdolnościach do marszu.

Wreszcie i on zobaczył to, co psy poczuły od dawna. W czerni nieprzeniknionego mroku połyskiwały dwa nieruchome żółtawe światelka. Jakaś zamieszkała chata.

- A może właśnie Silvera? - wpatrywał się z nadzieją w coraz wyraźniejsze plamy światła. Wątpliwości nie trwały już długo. Kilka minut wytężonego tempa i tuż przed nimi wyrosły ciemne kontury budynku. Przywitało ich ostrzegawcze warczenie, pochodzące z kilku czy nawet kilkunastu psich gardzieli.

Chata Silvera. Teraz już nie miał najmniejszych wątpliwości. Nie zmylił więc kierunku, czego się zaczął obawiać. Huski opadły bezwładnie na ziemię i pospiesznie szurając pazurami po śniegu, wykopały doły dla własnych ciał. Z oddali dobiegł przeciągły szum gałęzi niewidocznego lasu. Harry zastukał ostro do zamkniętych na głucho drzwi chaty. Przez dłuższą chwilę we wnętrzu panowała cisza. Gospodarz widocznie nie kwapił się zbyt do wpuszczenia nocnego gościa.

Harry zastukał ponownie, tym razem waląc z rozmachem pięścią w deski, aż zadrżały pod uderzeniami.

- Kto tam? - dobiegł go wreszcie poprzez drzwi przytłumiony dźwięk ochryplego głosu.

- Otwierajcie, Silver - zawołał głośno Harry. - Tu Joe Brown! - Pod tym bowiem nazwiskiem znał go właściciel osamotnionej chaty.

- Aaa. Mister Brown...

Zaszczekały metalicznym odgłosem odsuwane rygle. Drzwi uchyliły się ostrożnie, przepuszczając kłęby ciepłego, przepojonego kwaśnym zaduchem powietrza.

Na twarz Harry'ego padło światło naftowej lampy, trzymanej brudną dłonią. Chytre, biegające oczka obejrzały go dokładnie.

- Rzeczywiście mister Brown - skonstatował po chwili, kiwając głową pokrytą kołtuniastymi włosami - kto by się spodziewał. Proszę bardzo...

Otworzył szerzej drzwi, przepuszczając Harry'ego do wnętrza. Harry wszedł do dość obszernej, zaśmieconej izby, umeblowanej niezdarnymi, niewątpliwie własnej roboty sprzętami. Rzucił znaczące spojrzenie na oparty o framugę drzwi sztucer o krótkiej spiłowanej lufie.

- Obawiacie się niemiłych odwiedzin? - przymrużył oko. Ostre rysy Silvera ściągnął lisi uśmiech.

- Cóż - wzruszył ramionami - gdy ktoś mieszka na takim odludziu...

- Ale proszę bardzo, mister Brown - starł rękawem brudnej bluzy warstwę kurzu z chropowatej powierzchni stołka - niech pan spocznie.

Harry skwapliwie skorzystał z zaproszenia. Ledwie się już trzymał na nogach. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo droga wyczerpała jego siły.

Wyciągnął z ulgą nogi przed siebie.

- Tak - westchnął, zapalając papierosa - dobrze jest mieć... hm... przyjaciół po drodze... - Spojrzał na Silvera spod oka, otaczając się gęstymi kłębami dymu.

Silver poruszył się niespokojnie. Jego ruchliwe oczka uciekły w bok.

- Oczywiście, mister Brown... jestem... tego, no jak to się mówi... zaszczycony... Dawno już nie widziałem pana w swej chacie... bąknął - i w ogóle... a tu taka podła pogoda... - Był wyraźnie zmieszany.

Harry podsunął mu papierośnicę. Brudne palce wyłuskały papierosa, zostawiając plamy tłuszczu na dwóch sąsiednich.

- Proszę - Harry wyjął również i te dwa, kładąc je na brzegu stołu - nie krępujcie się.

- Dziękuję - Silver rozdarł bibułkę wysypując tytoń do przepalanej fajki o krótkim cybuszku. - Przyjemnie jest czasem poczuć coś dobrego w gębie. - Podniósł z podłogi jakąś drzazgę, zapalił ją od płomienia lampy i przytknął do tytoniu.

- Phy - pyknął z fajki - całkiem dobre. Można nawet powiedzieć: wyśmienite - młasnął smakowicie wąskimi wargami - zupełnie co innego niż to, czym zwykle muszę swoją fajkę napychać...

- Wzrok jego wciąż błędził w przestrzeni, starannie unikając spojrzenia Harry'ego. Harry rozejrzał się nieznacznie po izbie. Musiało być coś, co wprowadziło gospodarza w zamieszanie.

- Aha - stwierdził wreszcie, dojrawszy kłaczki brązowego futra, wyglądającego spod koca nieokreślonego koloru, narzuconego byle jak na wąskie wyrko, stojące w kącie. Więc o to chodzi...

- Niebieskie lisy wzrosły ostatnio w cenie - rzucił obojętnie w przestrzeń.

- Niebieskie lisy?... - powtórzył bezmyślnie Silver. - O - drgnął niespokojnie, zrozumiałszy ukryte znaczenie słów. - Nie wiem, o czym pan mówi... - zerknął jednak ukradkiem w kierunku wyrka. Spochmurniał, dostrzegłszy nieszczęsny kłak, wyzierający zdradliwie spod koca.

- Handluję trochę futrami - bąknął niepewnie.

- Czyżby? - udał zdziwienie Harry. - Dotychczas nic o tym nie wiedziałem.

- Właściwie - machnął pogardliwie ręką - nie ma mowy o czym mówić - jakieś tam zeszłoroczne wiewiórki.

- Otóż to, wiewiórki - palce Harry'ego zabębniły po brudnym blacie stołu - i do tego zeszłoroczne... Jak to jednak dobrze znać się na futrach. Ja na przykład - kiwnął niedbale głową w kierunku posłania - kupiłbym tamten drobiazg jako niebieskiego lisa.

Ostre rysy Silvera wykrzywił wyraz wściekłości. W oczach zamigotało ponurym płomieniem.

- A gdyby nawet - zaczął hardo, otaksowawszy jednak potężne bary gościa, i wielokalibrowy rewolwer wiszący u pasa, osowił

- czy pan należy do Komisji Łowieckiej? - zakończył lęklwym głosem.

Harry wydał wargi.

Niezupełnie, ale mam z nimi pewne stosunki. Przybyłem jednak do was w całkiem innym interesie... - Uważał, że Silver jest zupełnie przygotowany do rozmowy, jaką miał z nim zamiar przeprowadzić. Znał coś niecoś tego niepoprawnego kłusownika i wiedział, jak się do niego należy zabrać.

- Uff! - odetchnął z wyraźną ulgą Silver. - W innym... A w jakim mianowicie?

- Potrzebuję psów pociągowych...

- Psów - zaśmiał się chropowato psów do zaprzęgu? W całej północnej części Alaski nie znajdzie pan w tym roku ani jednego, który by był więcej wart, aniżeli skóra na jego grzbiecie.

- Ani jednego?

- Tak. No, co innego gdyby ktoś miał do stracenia dużo pieniędzy i chciał zapłacić na wagę złota, powiedzmy po półtora za sztukę...

- To czyni około dwudziestu tysięcy za komplet? - zapytał niewzruszenie Harry.

- Właśnie. - Na twarzy Silvera wystąpił rumieniec podniecenia.

Całe życie czekał na taką okazję.

- Mniej więcej dwanaście razy więcej, aniżeli normalna cena - rozmyślał Harry. Nie było mowy, aby zapłacił taką sumę po wydatkach w Nenanie. Pozostało mu niespełna jedenaście tysięcy. Należało także liczyć na to, że w drodze może zajść potrzeba uzupełnienia zaprzęgu.

- A gdyby tak pięć tysięcy?

- Ależ - Silver podskoczył na stołku - nawet za piętnaście nie będę szukał.

- Siedem i ani grosza więcej - oświadczył stanowczo.

- Nie ma zaprzęgu za siedem tysięcy - pokręcił głową Silver.

- Gdybyście chcieli trzy pary... - zawahał się - i do tego bez przewodnika... to...

- Sześć par i przewodnik - przeciął ostro.

- Trzydzieści sztuk za siedem tysięcy. Cena naprawdę na wagę złota.

- Nie ma psów - powtórzył uparcie Silver.

- Ano - westchnął z rezygnacją Harry. - Nie ma, to nie ma. W takim razie wracam do Nenany - zrobił ruch, jakby chciał powstać.

Silver popatrzył na niego obojętnie, nie wstrzymując najłżejszym gestem. Taki moment, jak w tym roku, przychodzi tylko raz w życiu. Słyszał o tragedii w Nome i o epidemii panującej wśród czworonożnych członków psiej poczty. W obrębie kilku okręgów wokoło on jeden miał kompletny zaprzęg mocnych psów jak niedźwiedzie. W normalnych czasach dostałby około dwóch tysięcy. A teraz? Przetrzyma. W końcu nawet poczta będzie musiała wybulić kupę forsy.

- Aha - Harry obciągnął podbitą futrem kurtkę - chciałem wam jeszcze coś powiedzieć na pożegnanie: otóż asystowałem niedawno przy rozprawie przeciwko kłusownikowi... - zaczął niedbale naciągać rękawice.

- I... co? - W głosie Silvera zabrzmiały nuty trwożnego zainteresowania.

- Nic wielkiego... - Harry opuścił nauszniki, wiążąc tasiemki pod brodą - gość dostał trzy miesiące i pięć tysięcy dolarów grzywny, z zamianą na dalszą odsiadkę, oczywiście w wypadku niemożności zapłacenia. Za nędzne cztery lisie ogony. Biedak wpadł po raz drugi i dlatego właśnie sędzia go tak łupnął.

- No, na mnie już czas - zrobił krok w kierunku drzwi. Była to jedynie czeza groźba, bowiem nikt lepiej od niego samego nie zdawał sobie sprawy, że psy nie przejdą ani ćwierć mili. Ale Silver tego nie wiedział. W gęstym mroku, kryjącym litościwie zapadłe boki i wyliniałą sierść, zaprzęg Harry'ego wyglądał tak samo, jak każdy inny.

Ostatnie słowa gościa wywołały na ciele Silvera gęsią skórkę. Trzy miesiące i pięć tysięcy grzywny? I to za drugim razem. Ładna historia. Silver miał za sobą więcej niż dwa razy po dwa wyroki skazujące za przetrzebienie czworonożnych mieszkańców lasów Alaski.

Gotowi go przyskrzynić na Bóg wie ile czasu. Nie, stanowczo nie odczuwał najmniejszej tęsknoty za więzieniem w Fairbanks. Pamiętał coś niecoś jak ono wygląda.

- Panie Brown... - zaczął niepewnie.

- No, o co chodzi? - spojrzał na niego obojętnie Harry. Wiedział doskonale, jakie wrażenie wywarła na niepoprawnym kłusowniku rzucona przed chwilą niby to przypadkowa uwaga, nie chciał jednak zbyt wcześnie odkrywać swoich kart. Zdawał sobie jasno sprawę, że jego postępowanie było czymś w rodzaju zwyczajnego wymuszenia. Nie odczuwał jednak z tego powodu najmniejszych nawet wyrzutów sumienia. W tym wypadku nie miał prawa bawić się w żadne delikatności. Tu chodziło o trzy tysiące istnień ludzkich. A motorem postępowania Silvera była wyłącznie chciwość. Nie mógł się z nią liczyć. I tak przecież ofiarowywał nieprawdopodobną wprost cenę za zaprzęg. Musiał mieć ten zaprzęg, żeby nie wiem co. Gdyby zaszła potrzeba, nie cofnąłby się chyba nawet przed odebraniem Silverowi siłą zaprzęgu. Jakież znaczenie mogło mieć to wszystko wobec nieuchronnej zguby, wiszącej nad ludnością Nome?

- Ja... - oczka Silvera biegały po ścianie, jakby miał nadzieję odkryć w utkanych mchem i pakułami szczelinach pomiędzy bierwionami coś poza ospale spacerującym robactwem... - widzi pan...

- Wygarnijcie od razu wszystko na stół - zażądał szorstko Harry nie mam czasu na zabawy w rozwiązywaniu waszych zagadek. Silver stropił się jeszcze bardziej.

- Bo... czy jeżeliby pan dostał zaprzęg, to zamierza pan wrócić do Fairbanks? - wykrztusił wreszcie.

- Nie. Ani mi to w głowie. Chcę sobie odbyć spacer w całkiem przeciwnym kierunku. Skoro jednak nie ma zaprzęgu, to szkoda gadać. Mój aż piszczy z chęci powrotu do domu.

- To znaczy - Silver wetknął palce w nie czesaną chyby od lat czuprynę - w takim wypadku nie zobaczyłby się pan z członkami Komisji ani z prokuratorem...? Wlepił trwożne spojrzenie w zasępioną twarz Harry'ego.

- Komisji? powtórzył z namysłem Harry - czyżbyśmy cokolwiek mówili o niej?

- Nie mówiliśmy? Silver pokiwał powątpiewająco głową - a przecież...

- Wprawdzie mister Hawkins, kierownik okręgu, jest moim przyjacielem - oświadczył Harry niedbale - to jednak nie mam jakoś do niego specjalnie pilnego interesu. Tylko - dodał po chwili, patrząc przymrużonymi oczyma na Silvera - pewno zagramy jutro w karty. Wtedy cóż... Naturalnie opowiem mu o wycieczce. Wiecie sami, jak to się przy grze gada. Niedawno biadał, że ilość błękitnych lisów zaczęła zastraszająco maleć w okręgu. Nie może zrozumieć dlaczego... - wytrzymał pauzę. - Kiedyś nawet powiedział mi przy okazji jednej z rozmów: mister Brown... gdybym złapał tego typu, co mi trzebi zwierzynę, to bym go chyba żywcem obdarł ze skóry... Uważajcie - zaśmiał się bezgłośnie jaki to stary dziwak? Chce człowieka żywcem ze skóry obdzierać za parę lisich ogonów. Śmieszne, prawda?

Silver jednak nie odczuwał w tej chwili najmniejszej ochoty do śmiechu. Raczej wprost przeciwnie. Coraz silniejsze drżenie przebiegłego mu po plecach. Hawkins naprawdę potrafił się przejmować zwierzętami, jakby były jego rodzonymi dziećmi. A prokurator i sąd? Wszyscy trzymają sztambę przeciw biednemu człowiekowi, który nie zawsze zdoła powstrzymać palec leżący na cynglu. Gotowi zasolic rok jak amen w pacierzu. Albo i jeszcze więcej.

Rejestr karny zatytułowany „John Silver” nie wyglądał wcale przyjemnie.

- Ale... - wahał się jeszcze, miotany sprzecznymi uczuciami chciwości i trwogi - tak czy inaczej, wróci pan kiedyś do Fairbanks, a wtedy...

- Ba - mruknął w zgoła nieokreślony sposób Harry. - To nie jest wcale takie pewne, jak wam się wydaje. A poza tym mam dość krótką pamięć, jeżeli chodzi o moich... hm... przyjaciół. Mając świeży zaprzęg znalazłbym niewątpliwie w czasie dalszej podróży wiele ciekawszych tematów rozmowy z Hawkinsem aniżeli kawalek jakiegoś podejrzanego futra...

Silver już się zdecydował. Tamten przykładał mu po prostu nóż do gardła. A ostatecznie siedem tysięcy za zaprzęg wartości najwyżej dwóch, to też nie taki znowu ostatni interes.

- Może mi pan dać na to słowo?

- Na co? - udał zdumionego Harry. - Nie rozumiem, o co wam znowu chodzi?

- Że... że... nie wspomni pan mister Hawkinsowi o mnie - wypalił jednym tchem.

- Tak bardzo wam na tym zależy? Czyżbyście mieli niezupełnie czyste sumienie wobec Game Commision?

- Niech pan nie udaje - zachnął się niecierpliwie Silver - obydwaj doskonale rozumiemy o co chodzi. Nie mam potrzeby owijać słówek w bawełnę. Zaniechanie rozmowy z Hawkinsem będzie dopłatą do pańskich siedmiu tysięcy za zaprzęg...

- To macie coś w rodzaju psów? Nawet nie potrzebujecie szukać? - zapytał bez żadnego nacisku.

- Mam i to lepsze, niż pan kiedykolwiek w życiu oglądał. Huski jak lwy. Sześć par i przewodnik. Trzeba dobrze trzymać bat w rękę, aby nie skoczyły do gardła. Jeżeli nie rozszarpią po drodze, zawiozą choćby do bieguna.

- Właśnie coś w tym rodzaju jest mi w tej chwili potrzebne. Muszę dojechać na koniec świata, albo do bieguna.

Silver powstał z ociąganiem i podszedł do ściany, gdzie wisiała blaszana latarka z ogarkiem, świecy. Zdjął latarkę i postawił ją na stole.

- Da pan gotówkę? - podniósł nieufnie oczy na Harry'ego.

- Oczywiście - uspokoił go. - Z rączki do rączki. Wy mi dacie pieśni, a ja wam pieniądze.

- Niestety - westchnął z rezygnacją Silver, przykładając zapaloną zapalniczkę do ogarka świecy - za marne siedem tysięcy. Ten przeklęty kawałek futra wystający spod kołdry kosztował mnie cały majątek.

- Nie wydziwiajcie Silver - strzepnął palcami Harry - wcale nie jest tak źle. Inny na waszym miejscu skakałby do góry z radości, zamiast biadolić. Choćby te wasze huski okazały się ósmym czy tam którymś cudem świata, to i tak na pewno nikt by wam nie dał więcej niż trzy kawałki. Wasze szczęście, że ja się muszę śpieszyć.

- Idziemy, mister Brown - podniósł latarkę na wysokość swojej piersi - będziecie mieli mój zaprzęg.

Harry odsunął skobel, otwierając drzwi. Do izby wdarły się w mgnieniu oka gęste kłęby zamieci, przenikające lodowatym tchnieniem rozgrzane ciała do głębi.

Wyszli na dwór. Któryś z psów zaprzęgu Harry'ego warknął sennie.

- Nie wydają mi się zbyt ogniste te wasze pieśni - zauważył niedowierzająco Silver.

- Nasza transakcja skończona? - zapytał zamiast odpowiedzi Harry.

- Tak. Albo co? - w głosie Silvera dźwięczało zdziwienie. Twarzy jego nie mógł dojrzeć w ciemnościach. Migocący ognik latarki dawał tyle światła, co kot napłakał. Silver wziął ją zapewne ze sobą raczej w celu nadania uroczystego charakteru spacerowi, aniżeli w istotnej nadziei oświecenia drogi.

- W takim razie powiem wam coś ciekawego - zaśmiał się Harry. - Zwierzęta gonią resztkami tchu. Gdybym im kazał przejść choćby tylko kilkadziesiąt jardów, wyzdychałyby niewątpliwie co do jednego.

- A - mruknął pod nosem Silver - to takie buty?

W głębi jego duszy zaczynała znowu podnosić głowę męcząca wątpliwość, czy dobrze zrobił, oddając zaprzęg za naznaczoną przez gościa cenę, skoro tamten nie mógł wrócić do Fairbanks o sile własnego zaprzęgu. Ale nieprzyjemne myśli trwały bardzo krótko. Było za późno na wszelkiego rodzaju kalkulacje. Stary kłusownik miał w swym niezbyt kryształowym sumieniu jedną cechę dominującą nad innymi: nigdy jeszcze nie złamał danego słowa. Przysunął latarnię do niskiej, zbitej z sękatych desek szopy.

Za ścianą wybuchnął ogłuszający odgłos kłótliwego warczenia. Któryś z psów Harry'ego odpowiedział niemrawo ze swej śnieżnej jamy. Wyglądało to mniej więcej tak, jak brzęczenie komara usiłującego zagłuszyć grzmot gromu.

- Zobaczysz pan zaraz swoje pieski - oświadczył Silver, manipulując przy olbrzymiej kłódce, zawieszanej przy drzwiach szopy. - Gdyby umiały szczekać, straciłby pan na pewno słuch po pierwszej mili przebytej w ich towarzystwie. Na pańskie szczęście nie umieją. Ale i tak na pewno zalizają panu za skórę, że proszę siadać.

Mówiąc to, ciągnął powoli skobel ku sobie. Coś zakotłowało się przy drzwiach. W nozdrza Harry'ego uderzył zapach amoniaku i zmoczonej, parującej sierści.

V

PODSTACJA PSIEJ POCZTY W HUISTA

Wśród bezkresnej płaszczyzny czerniał samotny kształt niewielkiej, zbudowanej z solidnych jodłowych bierwion chaty. Czyniła wrażenie czegoś tak niepozornie małego, zagubionego na pustkowiu, że po prostu nie chciało się wierzyć, iż przebywa w niej ktoś żywy. A jednak... z blaszanego komina ciągnęła się nieprzerwana smuga dymu, wsiąkając w zamieć. Przed zamkniętymi na głucho drzwiami leżał odgarnięty śnieg. Wydeptana czyimiś stopami ścieżka biegnąca wokół budynku wskazywała, że chata jest zamieszkała. Wnętrze izby wypełniał zaciszny spokój i rozkoszne ciepło. Naprawdę było ciepło. Tak ciepło, że dwaj mężczyźni siedzący przy stole zdjęli swoje skórzane podbite futrem kurtki, zawieszając je na poręczach krzesel. A przecież czerwony słupek spirytusu w zawieszonym za szybą

termometrze opadł do minus sześćdziesięciu trzech stopni. Przy tej temperaturze oddech ludzki zamarzał w gęstą mgłę, trzymającą się przy ustach. Wystarczyło ziewnąć nieopatrnie, by potem długo wypluwać z głębi piersi strzępki odmrożonych płuc, no i w rezultacie oczywiście, przenieść się w mocno przyspieszonym tempie na łono praojców.

Ale dwom członkom załogi podstacji psiej poczty w zapomnianym przez cały świat Huista nie groziło bynajmniej zamarznięcie. Pod szczelnie zbitym, pokrytym blachą dachem, opartym na czterech słupkach, zostało jeszcze ileś tam sążni drzewa opałowego. Mogłoby na upartego wystarczyć nawet na dwie takie zimy, choć przecież nie żalowali opału.

- Czwórka królewska - oświadczył tęższy z siedzących przy stole, wykładając karty i prezentując zatłuszczone do niemożliwości figury.

- To już dzisiaj trzeci raz z rzędu zabierasz bank.

- Ano - triumfator z filozoficzną miną zgarnął stos świstków papieru z nagryzmlonymi ołówkiem cyframi - takie moje szczęście.

Jego towarzysz wzruszył ramionami i oparł się plecami o poręcz krzesła, zapalając fajkę. - Kto ma szczęście w grze, ten... - zauważył znacząco.

Na zwycięzcy aluzja nie zrobiła najmniejszego wrażenia. Wygładził starannie końcami palców wymiętoszone kartki, układając je w równy stos.

- Dwadzieścia dwa tysiące, trzysta pięćdziesiąt dolarów - oznajmił wreszcie.

- Niezła sumka - przegrany pokiwał głową. - Piękna Alicja znalazła sobie pewno kogoś, będącego bliżej pod ręką. Przysłowia nie kłamią - dodał po chwili.

- Tak myślisz?

- Nonsens. Alicja będzie na mnie czekała choćby dziesięć lat, a ty bredzisz ze złości, żem cię ograł... Wiesz co Jonesie

- podszedł do siedzącego nieruchomo towarzysza wygnania - wygrałem od ciebie razem trzydzieści tysięcy, czyż nie? - wskazał ręką na stos papierków, leżących na stole.

- Tamto i jeszcze kilka tysięcy w kieszeni...

- Uhum - westchnął sennie Jones - całkiem możliwe. Więc co z tego? - przymknął powieki, jakby miał za chwilę zasnąć.

- Widzisz, chciałbym po powrocie do Nenany kupić Alicji coś ładnego. A z forszą całkiem krucho. Muszę spłacić raty za ten pierścionek, co jej podarowałem jesienią.

- Rzeczywiście - potwierdził zamierającym głosem Jones - to bardzo ciekawe - ziewnął szeroko.

- Może być więc... hm... za twoje kwitki dał mi pięć dolarów gotówką??

Jones poruszył się gwałtownie. - Spojrzał spod oka na towarzysza.

- Zwariowałeś - syknął porywczo - pięć dolarów.

- No... - zawahał się - to może choćby dwa?

- Nie bądź taki mądry Pat. Za moje... - skrzywił się pogardliwie

- „weksle” nie dostaniesz ani nawet pół dolara. Na forszę zaczniemy grać dopiero wtedy, gdy poczta będzie znowu w ruchu. Ostatecznie

- dodał, widząc zawiedzioną minę Pata - jeżeli nie zdołam się odegrać, mogę ci dać w zamian za kartki jedną małą paczkę tytoniu.

- Capsh za trzydzieści pięć centów.

Tak potwierdził łaskawie Jones - całą paczkę. Dobre i to - mruknął z rezygnacją Pat. Jones podszedł do okna.

Ciekawym, jak to jeszcze długo potrwa - rzucił przez ramię dmie jeszcze bardziej niż wczoraj. Ani nosa wytknąć. O! - umilkł raptownie, wlepiając zdumione oczy w szybę.

Co się stało? - zapytał leniwie Jones. - Znowu zawiało drzwi? Pat milczał. Na twarzy jego malowało się coraz większe zdumienie. W oparach wirujących płatków śniegu dojrzał szereg ruchomych punkcików.

Gadaj po ludzku, gdy się ciebie pytają - sarknął wreszcie Jones, nie doczekawszy się odpowiedzi. - Coś tam dojrzał: wronę?

Ktoś idzie do nas - oświadczył z powagą.

Co? Jones skoczył gwałtownie, jakby krzesło zaczęło nagle parzyć. - Idzie do nas? Człowieku przetrzyj oczy. Na pewno ci się zdaje. Któż by wędrował w taką pogodę? Podbiegł wielkimi krokami do okna.

Ani chybi, zamknięcie rzuciło się chłopakowi na mózg - pomyślał z niepokojem zerkając na Pata.

- Gdzie? - stanął obok niego - nic nie widzę. Wyteżył wzrok, usiłując przebić zasłonę białej kurzawy.

O, tam - Pat wskazał dłonią ku północy. - Wytrzeszcz swoje kurze ślepie. Ja widzę już zupełnie wyraźnie. Człowiek i duży zaprzęg. Chyba sześć par piesków. Wałą do nas, jak w dym.

Teraz dojrzał i Jones. Tak, nie mogło być najmniejszej wątpliwości. Ktoś zbliżał się ku chacie.

- No, no... - pokręcił z powątpiewaniem głową, nie odrywając wyteżonego spojrzenia od wciąż jeszcze niewyraźnych punkcików wolno sunących w kłębach zawiei - prędzej bym się spodziewał, że na naszym płocie wyrosną gruszki. Może poczta sprowadziła skądś psy i wznawia komunikację?

Nie gadaj głupstw - przerwał mu Pat - przecież słyszałeś wczorajszy komunikat radiowy. Nasza poczta nie ma psów. Nie spadły jej przecież z chmur.

- Tak, to racja - przyznał - w takim, razie... nic nie rozumiem. Kogo mogło do tego stopnia przypilić, by wyruszył na taką zadymkę?

- Nie potrzebujesz sobie nad tym łamać głowy. Niedługo sam ci powie.

Czekali w milczeniu niemal wstrzymując oddech. Sylwetki człowieka i psów przybierały z każdą chwilą coraz bardziej określone zarysy.

Jeszcze kilka minut oczekiwania i zaprzęg zatrzymał się przed chatą. Olbrzymie huski opadły bezwładnie na śnieg.

Otworzyli pośpiesznie drzwi. Do chaty wszedł rosty mężczyzna, okutany po uszy w futra i wełnę.

- Witajcie! - zawołał radośnie Jones - nie spodziewaliśmy się... Urwał, chwytając przybyłego mocno za ramię. Gdyby tego nie zrobił, tamten runąłby niechybnie na podłogę.

- Otóż to - podprowadził go do krzesła, sadzając troskliwie. - Spacerek, można powiedzieć, nieco wyczerpujący.

Ostrożnie ściągnął z głowy przybysza futrzaną kapuzę odwijając gruby szal.

Gość siedział bez ruchu, poddając się bezwolnie jego rękom. Jones popatrzył krytycznie na sinawy odcień twarzy nieznanego.

- Pat - powiedział półgłosem - przynieś no garstkę śniegu. Pat bez słowa uchylił drzwi i po chwili podał Jonesowi sporą, twardo ubitą śnieżną kulę.

- Czy podejrzewasz, że...? - szepnął nachylając się do ucha Jonesa.

- Przy sześćdziesięciu pięciu stopniach? Lepiej nie ryzykować... Zaczął zacierać sinawe policzki. Z początku lekko, potem coraz mocniej. Poprzez maltretowaną skórę zaczęły wyglądać krwawe żyłki.

Nieznanomy jęknął cicho i uczynił niemrawy ruch ręką, odpychając dłoń Jonesa od swej twarzy.

- Dosyc - szepnął słabo.

- Hm... - rozmyślał na głos Jones, badając oczyma kolor natartej skóry - może macie rację. Poczzerwieniała i boli. To ostatnie, to grunt. Więc chyba nie odmrożona. W każdym razie nic strasznego.

Rzucił resztkę śniegu do stojącego pod ścianą kubła.

- Teraz zaczniemy z innej beczki - mruknął podchodząc do pomalowanej na żółto szafki, spełniającej w chacie rolę kredensu. Wyjął napelnioną do połowy butelkę i nalał alkoholu do kieliszka z grubego zielonego szkła.

- Wypijcie - podsunął kieliszek nieznanemu. Ten podniósł z wysiłkiem powieki, spojrzał trochę nieprzytomnie na kieliszek i wyciągnął rękę. Opadła jednak bezwładnie w połowie drogi.

- Nie - westchnął, usiłując się uśmiechnąć - nie da rady.

- Nic nie szkodzi. Przejdzie - pocieszał go dobrodusznie Jones, podnosząc kieliszek do fioletowych warg nieznanego. - Potem dostaniecie coś gorącego.

Zęby zaszczekały o szkło. Jones przechylił powoli kieliszek, wlewając wódkę do ust delikwenta. Nieznajomy zakrztusił się gwałtownie. Część alkoholu spłynęła na jego futro, resztę jednak wypił szczęśliwie.

Poczuł dotkliwe pieczenie gardła. Za to po żyłach zaczęło się rozchodzić błogosławione ciepło.

- Dziękuję - wykrztusił z lekka ochryłym głosem - myślałem, że już nie dojdę...

- Cóż - wyjął wargi Jones - pewno. - Przy przeszło sześćdziesięciu stopniach mrozu?

Podróżny poprawił się na krześle. Sylwetka jego straciła wygląd bezwładnie porzucanych części ubrania. Zaczynał powracać do życia.

- W nocy było jeszcze zimniej - zauważył obojętnie.

- W nocy - powtórzył Pat, patrząc na niego z podziwem. - Spędziliście noc na szlaku? W taki czas, to chyba prawdziwe piekło.

- Coś w tym rodzaju - potwierdził bezbarwnie. Pozwólcie się przedstawić. Jestem Harry Coss z Fairbanks.

- Jones Wimson.

- Pat O'Carrly - wyrecytował, ściskając jeszcze w grubej rękawicy prawicę gościa.

- Ale - zerknął na niego z niedowierzaniem O'Carrly - chyba nie wędrujecie bezpośrednio z Fairbanks?

- Prawie. Tylko że drogę do Nenany odbyłem samochodem, a poza tym nocowałem w Loeg, gdzie przy sposobności zmieniłem zaprzęg.

- Fiuuuut - gwizdnął przeciągle Wimson - ładna sztuka, nie ma co. Bez mała trzysta mil jednym tchem. Ustanowiliście coś w rodzaju rekordu, mister Coss - dodał z uznaniem.

- Nigdy bym nie uwierzył w możliwość czegoś podobnego, gdybym was nie widział na własne oczy - mruknął O'Carrly. - Pracuję już ładnie parę lat na szlaku, a nie zdarzyło mi się przecież połknąć za jednym zamachem więcej aniżeli setkę. I do tego przy innej pogodzie.

Harry ściągnął rękawice i zdjawszy ciemne okulary przetarł wierzchem dłoni zaczerwienione ze znużenia i bezsenności oczy. Czuł się już o całe niebo lepiej, niż w chwili przybycia do izby. Powstał ociężale z krzesła i zaczął zdejmować futrzaną kurtkę.

Szło mu dość niesporo. Zesztywniałe palce ślizgały się niezdarnie po guzikach. Gdyby nie skwapliwa pomoc O'Carrly'ego, minęłoby na pewno sporo czasu zanim by się wreszcie zdołał wysunąć z futer. Przeciągnął z ulgą ramiona obolałe od ucisku ciężkiej kurtki.

- Tak - westchnął, siadając z powrotem na krzesło - nie ma to jednak, jak porządny odpoczynek w podróży.

Poszperał po kieszeniach, znajdując w końcu skórzaną papierośnicę. Wyciągnął ją w kierunku gospodarzy. Wimson odmówił, wskazując oczyma na fajkę, tkwiącą w jego zębach, natomiast O'Carrly skorzystał skwapliwie z zaproszenia. Palił papierosy z machorki zawiniętej w grubą bibułę, więc cieszyła go niespodziewana okazja odmiany. Jednym rzutem oka ocenił wartość „Abdullahów”, tkwiących w papierośnicy gościa.

Harry wciągnął dym w płuca, wpadając w prawdziwą kontemplację. Na szlaku mokry śnieg uniemożliwiał wszelkie usiłowania palenia.

Od strony umieszczonego pod przeciwległą ścianą kominka dobiegał wesoly syk pary, wylatującej z blaszanego czajniczka. O'Carrly podbiegł w tamtym kierunku.

- A nie zapomnij o rumie - rzucił za nim Wimson. - Herbata bez alkoholu odpowiednia jest jedynie do płukania gardła, a nie do rozgrzania zziębniętego człowieka - zwrócił się do Harry'ego. - Znam się na tym cośkolwiek.

Harry myślał pogrążony w błogim bezruchu. Czuł niemal jak z odrętwiałych mięśni wyparowuje zmęczenie.

- Długo wędrujecie? - zapytał po chwili milczenia Wimson.

- Piąty dzień...

- Nieźle, wcale nieźle - pokiwał głową. - Przeszło po sześćdziesiąt na dzień... Musicie mieć porządny zaprzęg?

- O, tak - oświadczył z przekonaniem Coss - wspaniałe psy. Prawie przez całą drogę siedziałem na saniach. Tylko niesłychanie żarłoczne - uśmiechnął się na wspomnienie scen, jakie miały miejsce przy wieczornym karmieniu. - Już po trzech dniach pochłonęły zapasy przygotowane na tydzień. Gdybym później nie podzielił się z nimi własnymi prowiantami, porozszarpałyby się niechybnie nawzajem. Albo by mnie samego pożarły. I tak zresztą musiałem trzymać bat mocno w garści.

O'Carrly podszedł do stołu i postawił przed Harrym czerwony, fajansowy kubek, napelniony parującą herbatą. W nozdrza uderzył ostry zapach rumu.

- Jesteście bardzo dla mnie uprzejmi, panowie. Przykro mi, że sprawiłem wam tyle kłopotu... - Harry sączył drobnymi łyżkami wrzący płyn.

- Ale skądże znowu - zaprzeczyli jednogłośnie - bardzo nam przyjemnie.

- Jeżeli pozwolicie, spędzę u was kilka godzin zanim wyruszę w dalszą wędrówkę...

- W dalszą wędrówkę? - spojrzał na niego pytająco Wimson. - Oczywiście - zastrzegł się żywo - jeżeli wam to nie na rękę, możecie nie mówić o celu podróży. Nie chciałbym włączyć w butach do czyjejś duszy.

- Nie - zaprzeczył z przyjaznym uśmiechem Harry - to nie żadna tajemnica. Chcę dotrzeć do Nome.

Wimson zerwał się gwałtownie z krzesła, patrząc na Harry'ego, jakby na jakiś dotąd nie widziany okaz...

- Co? - wyjąkał - czy dobrze usłyszałem? - Do NOME?

- Tak - potwierdził Coss spokojnie - właśnie tam. A w każdym razie do White Rin, jeżeli nie zdołam dowiec się dalej.

- Do Nome, albo do White Rin? - powtórzył osłupiały ze zdumienia Wimson, opadając ciężko na krzesło. - Bagatela! Czy pan wie, że od tych miejscowości dzieli nas około czterysta mil najpodlejszego pod słońcem szlaku?

Wimson wsunął palce we włosy, tarmosząc je bezlitośnie.

- Wiem. Więc cóż z tego?

- Oczywiście powiedzieliście to na wiatr? - zapytał cicho, niemal z prośbą w głosie.

Harry puścił ustami misterne kółko dymu i patrzył w ślad za nim, dopóki się nie rozplynęło pod poczerniałymi belkami sufitu.

- Ani mi się śniło - spoważniał. - W ogóle niezmiernie rzadko rzucam słowa w próżnię, a już nigdy w tak poważnej jak ta sprawie. Mam zamiar dostarczyć do Nome witaminę i właśnie po nią do was przybyłem.

Sięgnął za pazuchę i wydobywszy z portfela kartkę doktora Ballowa, podał ją Wimsonowi.

Ten ujął papier niewinnie końcami palców i zaczął odczytywać półgłosem. Wydać panu Cossowi... skrzynkę... adresowaną do szpitala miejskiego... w Nome... Okazać wszelką możliwą pomoc...

- No - wzruszył niedbale ramionami - to ostatnie zupełnie niepotrzebne. I bez tego zrobilibyśmy dla pana, co tylko w naszej mocy. - „Wydać na koszt rządu wszelkie zapasy... Doktor Ballow, Kierownik Okręgu Nenana. Służba Zdrowia, Zarząd Alaski, Pieczęć”.

- Papierek niby w porządku - odsunął dokument w kierunku Harry'ego - ale wszystko to razem nie ma najmniejszego sensu. Przebycie drogi do Nome, czy choćby do White Rin przez jednego człowieka i jeden zaprzęg jest oczywistą niemożliwością. Ja sam to mówię. A przecież nikt chyba nie powie, że Jones Wimson jest zielonym na szlakach Alaski.

- Nie od was pierwszego to słyszę - Harry odstawił na chwilę kubek. - A jednak spróbuję.

- Chcecie być trzytysięczną pierwszą ofiarą tej piekielnej zimy?

- Nie. Chcę jedynie dostarczyć lek dla cierpiących w Nome.

A czy mi się to uda, to już inna historia. W każdym razie dam z siebie wszystko co dać mogę, by osiągnąć ten cel.

- Ale...

O'Carrly, krzątając się przy przygotowywaniu posiłku dla gościa, nie brał udziału w rozmowie. Jedynie raz po raz zerkał ciekawie na Harry'ego.

- Jones! - zawołał na swego towarzysza - zobacz no, co z tymi konserwami. Nie wyglądają mi na zupełnie świeże.

- Swego nosa nie masz, aby powąchać? - zapytał nie ruszając się z miejsca Wimson.

- Prawie nie mam - roześmiał się O'Carrly - mam za to katar. Ale to wcale nie pomaga przy wąchaniu.

- Jesteś patałach - rzekł Wimson, powstając niechętnie. Poszedł do kuchni. - Pokaż no te twoje podejrzone konserwy.

O'Carrly wskazał na otwartą puszkę. Wimson nachylił nad nią głowę.

- Nic nie czuć - oświadczył, wciągając powietrze do nosa - przewidziało ci się...

- Tss - szepnął cicho O'Carrly - ja cię wcale nie po to wołałem.

- O, a po co? - Chciałem ci powiedzieć - szepnął niemal nie poruszając wargami - byś dał spokój temu gościowi i przestał go odmawiać z drogi...

- Dlaczego? - zdziwił się - przecież go szkoda...

- To nie o to chodzi. Czyś przyjrzał się jego oczom?

- Nnnie. A bo co?

- Warto. Dojedzie do Nome, czy choćby do samego bieguna, jeśli mu przyjdzie taka na to fantazja. Pójdzie, żeby tam nie wiem co; szkoda strzepić gęby.

VI

BIAŁE PIEKŁO

Zaczynało szarzeć. Harry wysunął ostrożnie głowę spod niskiego brezentowego namiociku, przykrywającego go od głowy do kolan. Nogi miał wsunięte pod sanki. Przez noc napadały znowu całe sterty śniegu. Brezent namiotu zwiślał nisko pod jego ciężarem, nieomal dotykając swą szorstką, lodowato zimną powierzchnią głowy Harry'ego.

Metalowe pręty gięły się niepokojąco. Sanki wyglądały jak śnieżny pagórek. Huskom wystawały jedynie końce nosów i ogonów. Teraz zbliżał się nieprzyjemny moment każdego

dnia. Trzeba było wysunąć rozgrzane w szczelnie związanym puchowym worku ciało, na piekielny mróz, panujący na zewnątrz.

- Brr - mruknął na zapas, rozwiązując splątane pod brodą tasiemki. - Hop! - zawołał, dodając sobie bodźca do przebycia przykrego momentu. - Jednym gwałtownym ruchem ściągnął worek. Tak jeszcze było najlepiej. Lodowaty ziąb przeniknął w mgnieniu oka do szpiku kości. Zaszczekał zębami. Miał wrażenie, jakby krew w żyłach zamieniała się powoli w lód, zatrzymując się w swoim biegu.

Zza sanek dobiegało go natarczywe warczenie. Huski przypominały w ten sposób o należnym im śniadaniu.

- Poczekajcie trochę - pomyślał, usiłując powstrzymać dokuczliwe drżenie szczęk. - Jeżelibym się teraz nie umył, to nie zdobyłbym się już na to nigdy. A jeden dzień bez tego nieodzownego na takim mrozie zabiegu mógłby pociągnąć za sobą tragiczne skutki.

Nabrał w obnażone dłonie śniegu i szybko wytarł nim twarz. Pieкло skórę jak dotknięcie rozżarzonego do białości metalu. Miał wrażenie, że odchodzi mu mięso od kości. Wytarł się mocno końcem wełnianego szala.

Teraz skóra pałała żarem. Naprawdę było mu nieco cieplej. Wyciągnął rękawicę i zatknawszy za pas długi bicz, ujął trzonek krótkiej łopaty, z którą nie rozstawał się ani na chwilę w ciągu nocy w obawie zasypania przez śnieg. Sanki trzeba było odkopać spod wysokich stert. Huski warczały coraz natrętniej.

Wreszcie wyciągnął brezentowy worek z suszonym mięsem. Psy na widok znajomego kształtu powyskakiwały gwałtownie ze swych nor. Podbiegły ku Harry'emu, siadając w odległości kilku metrów przed nim, szerokim półkolem. Zdołał je nauczyć zachowania przyzwoitego dystansu.

Z początku szło o wiele mniej sprawnie. Niemal ani razu nie obyło się bez jakiejś większej kotłowaniny połączonej z uszkodzeniem puszystych skór. Teraz zdawało się, że poznały biegłość Harry'ego w posługiwaniu się batem. Toteż siedziały nieruchomo, wpatrzona w zaciśnięte na worku ręce człowieka oczyma lśnącymi jak u dzikich bestii.

Zanurzył rękę we wnętrzu worka. Jeden z psów warknął ostrzegawczo. Harry położył ostentacyjnie dłoń drugiej ręki na rękojeści bata. Warczenie umilkło.

Zaczął rzucać każdemu po kolei garść suszonego mięsa. Te, które musiały czekać dłużej, groziły krótkim, urywanym warczeniem. Harry nie zdejmował ani na chwilę prawej dłoni z bata. Jedynie w ten sposób można było zachować jaki taki porządek wśród sfory. Nie chciał dopuścić, by któryś podszedł bliżej ku sąsiadowi. Wspólna uczta kończyła się

nieodmiennie krwawą masakrą. Zanim obdzielił ostatniego, pierwszy patrzył już na niego głodnymi oczyma, oblizując się czerwonym ozorem.

Zawiązał stanowczym ruchem otwór worka. Trzeba było oszczędzać zapasy. Cofał się tyłem, nie spuszczać psów z oczu. Trzymając w ręku worek z mięsem, nigdy nie ryzykował odwrócenia się do nich plecami. Zdawał sobie sprawę, że atak od tyłu nie dawałby mu żadnych szans obrony.

Gdy położył na sankach worek, czujność doznała odprężenia. Zaczął zaprzęgać. To szło całkiem gładko. Psy, aczkolwiek niezbyt chętnie, to jednak bez żadnego sprzeciwu podstawiały karki pod jarzmo. Pomagał mu w tym zajęciu przewodnik, olbrzymi, znacznie większy od swych towarzyszy huska, zapędzając groźnym warczeniem opieszale psy do sanek. W czasie jedzenia potrafił się awanturować nie mniej od swych podwładnych, jednak z chwilą rozpoczęcia przygotowań do drogi, wchodził z całą powagą w swą rolę pomocnika człowieka. Bez Hubsy, takie bowiem nosił imię przewodnik, Harry na pewno nie zdołałby ani przez jeden dzień dać sobie rady z zaprzęgiem. Wreszcie wszystko było gotowe do drogi, Harry usadowiwszy się na sankach, trzasnął biczem ponad grzbietami psów.

- Come oon!!! - zawołał przeciągle.

Sanki szarpnęły z miejsca i ruszyły naprzód coraz szybszym tempem. Zaprzęg szedł dobrze. Jeżeli nie opadną z sił, powinny zrobić do wieczora ponad siedemdziesiąt mil. A więc jeszcze dwa, trzy dni najwyżej.

Wygodnie oparty o podłożony pod plecy worek do spania, pogrążył się w głębokich rozmyślaniach. Czyżby mimo pesymistycznych przewidywań doktora Ballowa i załogi Huisty miał dotrzeć do Nome? Dotychczasowy przebieg podróży zapowiadał raczej pełny sukces. Mijał właśnie czwarty dzień od chwili wyruszenia z Huisty. I jakoś wszystko szło nadszpiewanie dobrze. Odwalił co najmniej trzysta mil. Huski trzymały się dzielnie. Sam wprawdzie odczuwał czasami piekielne wyczerpanie, ale to głupstwo. Wytrzyma te dwa dni, a gdyby zaszła potrzeba, to nawet dwa razy dłużej. Płuc sobie dotychczas nie odmroził, pomimo niesamowitego wprost mrozu. Jednym słowem o'key.

Obawiał się jedynie stracenia kierunku, nie miał jednak wrażenia, by to było prawdopodobne. Przystudiował przecież dokładnie trasę na mapie i miał ją wciąż utrwaloną na kliszy pamięci. Wszak do Huisty trafił bez najmniejszego kołowania, dlaczego by więc nie miał trafić do Nome? Tu nawet wskazywały kierunek znacznie bardziej widoczne drogowskazy aniżeli w pierwszej połowie drogi. Po lewej ręce wyniosłe krawędzie Gór Kaiuńskich, po prawej pagórkowate wyżyny Yukounu i wciąż kierunek na północny zachód. Od czegoż busola? Nie, stanowczo nie powinien zabłądzić.

Huski biegły ochoczo naprzód. Śnieg skrzypiał pod płozami sanek. Mijały szybko mila za milą. W południe krótki odpoczynek, potem dalej w drogę. Harry odniósł wrażenie, jakby zadymka zaczęła cichnąć. Jeszcze jeden odpoczynek i jeszcze jeden odcinek przebytej drogi i szybko zapadająca noc zmusiła go do noclegu.

Noc minęła tak, jak wszystkie inne, spędzona na szlaku. Nie było ani gorzej ani lepiej. Skoro świt, znowu wędrówka. Harry stwierdził z przykrością, że zadymka wbrew wczorajszym przewidywaniom, zamiast zmniejszyć się, trwała nadal z taką samą, jeżeli nie ze wzmożoną siłą. Ano trudno. Towarzyszyła mu od samego początku drogi i jakoś nie przeszkodziła. Nie zatrzyma go również i teraz. W piersiach zaczynało ni to boleć, ni to przeszkadzać. Trudno było oddychać. Głupstwo. Ból można było wytrzymać bez większego wysiłku. Gdy spluwał, w grudce lodu, która stuknęła szklanym dźwiękiem o podmarzły śnieg, czerwieniały jakieś żyłki. Pewno jakieś naczynie pękło w gardle od mrozu - pomyślał. Zaczynał odczuwać dziwne osłabienie w całym ciele. Zaciśnął zęby i nie poddawał się. Przejdzie. Aby dalej!

Na trzeci dzień poczuł lekki niepokój. Przy tej szybkości powinni już dotrzeć do Nome, w każdym razie do jakiejś osady. A tu nic! Pomimo wyężenia wzroku, nie widział niczego poza niezmaconą, białą pofałdowaną pokrywą. Czyżby jednak zabłądził?

Nie chodziło mu o siebie, ale w Nome czekają. Wiezie przecież ratunek dla setek ludzi. Skręcił bardziej na zachód. Niewiele pomogło. Dzień upłynął bliźniaczo podobny do poprzednich.

Zapadał zmrok, a horyzont wciąż ział bezbrzeżną śnieżną pustką. Niedobrze. Przebył na pewno więcej mil, aniżeli dzieliło Nome od Huisty. Musiał zabłądzić. Tego wieczoru psy dostały mniejszą porcję niż zazwyczaj. Nie pomogło groźne warczenie, ani żalosne wycie. Sam też zjadł tylko połowę tego co zwykle. Trzeba było oszczędzać. Nie wiadomo jak długo jeszcze miała trwać droga, a zapasy dobiegały końca. Położył się spać z ciężkim poczuciem beznadziejności. Zbłądzenie w śnieżnej pustynie groziło zaprzepaszczeniem serum. Spełni się do końca nieszczęsny los Nome. Wyginą wszyscy. Młodzi i starzy. Ludzie pełni sił i małe dzieci. Jedno wielkie cmentarzysko.

W piersiach bolało coraz bardziej, w boku nieznośnie kłuło. Powieki napuchły i zaczęła spod nich wyciekać zamarzająca natychmiast na policzkach ropa. Przewracał się niezliczoną ilość razy wraz ze swym workiem zanim zasnął. W mózgu panowała biała próżnia. Zasypiając wzniosł żarliwą myśl ku zasnutemu ciężkimi, nisko nawisłymi chnurami niebu. - Boże... Boże... Ty przecież nie dopuścisz!

Sen nie dał mu odpoczynku. Spadły nań męczące koszmary. Otaczała go ze wszystkich stron płonąca białym ogniem pustynia. Sępy o twarzach Mac Dufty'ego obsiadły ciasnym kołem, wyciągając zakrzywione, ostre dzioby i szpony. Zbudził go jakiś podejrzany szmer na zewnątrz namiotu. Minęła dłuższa chwila, zanim mózg nastroił się falą rzeczywistości. Trzask rozrywanej tkaniny i ciche powarkiwanie. Zimny pot wystąpił na czoło. Zrozumienie uderzyło jaskrawą błyskawicą w otepiały resztkami oparów sennych mózg: psy dobrały się do żywności.

Jednym gwałtownym ruchem wyskoczył z worka, rozrywając poplątane tasiemki i wypełznął na zewnątrz. Coś kotłowało się w ciemnościach koło sanek. Skoczył raptownie na nogi i wywijając na wszystkie strony biczem, podbiegł z dzikim wrzaskiem w tamtym kierunku.

Nie ustąpiły od razu. Warczały szczerząc groźnie kły na człowieka, który ośmielił się przerwać im ucztę. Walił bez opamiętania na prawo i lewo. Rzemień ze złowrogim świstem przecinał kłęby śnieżnego tumanu spadając na psie grzbiety.

Któryś skoczył mu z rozmachem do gardła. Walnął biczyskiem w wyszczerzone do śmiertelnego chwytu kły, aż zwierzę odleciało z żalonym skowytym, padając ciężko w śnieg. Innego, który go usiłował chwycić zębami za łydkę, kopnął z całych sił ciężkim butem. Huska powinąwszy ogon pod siebie uciekł, napełniając powietrze bolesnym wyciem. Wreszcie uciekły i pozostałe.

Zapaliwszy latarkę elektryczną zaczął w jej świetle badać rozmiary kłęski. Ogarnęła go zgroza. To była prawdziwa katastrofa. Z worka z suszonym mięsem nie pozostało ani śladu. Suchary zniknęły. Ten sam los spotkał suszoną rybę i owoce. Jako całe zapasy żywności, mające wystarczyć na niewiadomy przeciąg czasu, pozostało jedynie kilka puszek mięsnych konserw. Pogięta blacha nosiła liczne ślady psich zębów, jednak oparła się zwycięsko atakom rabusiów.

Ale jakie mogło mieć znaczenie tych kilka puszek? Przeliczył je dokładnie... Osiem. Nie znalazł ani jednej więcej, choć przewrócił cały ładunek sanek. Kilka zginęło. Psy uniosły pewnie ze sobą. Trzeba było uznać je za przepadłe. W ciągu reszty nocy na pewno rozgryzą blachę, dobierając się do wnętrza. Rozgryzłyby nawet żelazo, gdyby zawierało jadalne jądro.

Zabrał konserwy ze sobą. Osiem funtów. Przy największej oszczędności, wystarczy na dwa posiłki dla psów.

Nie spał już do świtu, zaciskając kurczowo w ręku bat. Gdy nastał dzień, zobaczył skutki nocnej bitwy. Jednego psa w ogóle się nie doliczył. Nie znalazł po nim najmniejszego

śladu. Czyżby uciekł w nocy? Nie, to nie wyglądało prawdopodobnie. Dokąd miał uciekać? Raczej zdechł ten, którego walnął ciężkim butem w głowę. Zdechł, a towarzysze...

- Przynajmniej miały śniadanie - uśmiechnął się ponuro. Tego poranka huski musiały się obejść wspomnieniami nocnej uczty. Było to powodem kłopotu z zaprzęgiem. Ten i ów warczał gniewnie na widok podchodzącego człowieka. Widocznie smak świeżej krwi pobudził jeszcze więcej ich wrodzoną wojowniczość. Groźba użycia bata poskromiła jakoś próbę buntu.

Harry również zrezygnował ze śniadania, nie chcąc rozdrażniać psów do reszty. Niosły dzisiaj wspaniale. Harry miał wrażenie, jakby śmigały w powietrzu. Tylko te niepokojące ogniki, latające uparcie przed oczyma. Te natrętne czerwone ogniki, zasłaniające drogę. Czyżby miał gorączkę?

W południe spokój. Wokół, dokąd oko sięgało, bezbrzeżna pustka. Obdzielił psy zawartością czterech puszek. Zamierzał dać im mniej, ale jak się przekonał, było to nie do pomyślenia. Psy wyraźnie pozostały głodne. Nie potrafił tym razem zapobiec bóje i wrywaniu sobie nawzajem kawałków mięsa. Musiał użyć bicia. Czuł, że ma coraz mniej sił. Ogniki latające ze wszystkich stron przybrały na sile. Zaciśnął kurczowo zęby - wytrwa! Żeby tam nie wiadomo co - musi wytrwać!

Po godzinnym postoju ruszyli w dalszą drogę. Huski wyraźnie zwolniły tempo. Nie pomogło nawoływanie ani bat. Zresztą bat dziwnie przybrał na wadze. Ledwie go mógł utrzymać w ręce. Zęby szczękały niepowstrzymanie. Całe ciało przenikał na przemian to nieznośny żar, to lodowaty ziąb. W piersiach bolało chwilami nie do wytrzymania. Odczuwał chęć wycia z bólu. Opanował go krótki, bolesny kaszel. W grudkach zamrożonej śliny coraz więcej krwawych żyłek. - Głupstwo - powtarzał ustawicznie. - Głupstwo!

O zmierzchu wydawało mu się, jakby przez kłęby śnieżnej mgły dojrzał zarysy jakiegoś budynku. Gdy wyciągnął wzrok stwierdził, że to tylko przewidzenie.

Wieczorem psy dostały trzy funty mięsa. Trzy funty na tuzin zgłodniałych paszczek? Załatwiły się z tym w mgnieniu oka. Późno w nocy rozdierały powietrze żalonym wyciem. Poza tym noc minęła spokojnie. Harry jednak nie mógł zasnąć. Pomimo otaczającego mrozu, ciało pałało gorączką. Następnego dnia psy nie dostały śniadania. Nie było już ani uncji mięsa. Przy zaprzęganiu doszło do grubszej awantury. Zanim zdobył się na wysilek rozpędzenia batem kłębka poplątanych kłów i pazurów, jeden z psów już dogorywał na śniegu z przegryzionym gardłem. Pozostałe rzuciły się na niego, rozszarpując go na części.

Przymknął oczy, by nie widzieć ohydneho widowiska. W końcu zdołał nałożyć uprzęż. Nieraz w czasie zaprzęgania musiał szybko cofać rękę przed gniewnym kłapnięciem

groźnych zębów. Wgramolił się niemrawo na sanki. Muskuly zwisały bezwładnie w ciele jak kawałki postrzępionej waty. Gdy ruszyli w dalszą drogę, gdzieś ponad chmurami był już na pewno biały dzień. Wokół wirowały w diabelskim tańcu wielkie płaty. Białe... Nie, chyba nie - daremnie usiłował rozpoznać barwę zadymki - raczej żółte... Nawet nie żółte... Chwilami płonęły purpurową barwą ognia. Leżały już na ziemi. Płazy sunęły po śniegu czy po chmurach?

A może w ogóle stały w miejscu? Gdzieś w niezmierzonej dali, na grzbiecie przewodnika siedział człowiek w czarnej masce i odwracając głowę szczyrzył zęby. - Dalej... Dalej... - szeptał Harry w chwilach przebłysków przytomności. Ale tych przebłysków było coraz mniej. Otaczał go nieprzebyty gąszcz zrodzonych gorączką widziadeł.

Okolo południa psy zatrzymały się bez rozkazu. Mózg Harry'ego pracował z wysiłkiem, usiłując przebić czerwoną mgłę, pożerającą myśl.

- Co miał zrobić?... Tak, przecież coś powinien. Ale co? Prawda, trzeba zdjąć z psów uprząż... Nie, nie starczy mu sił... - siedział odrętwiały w bezruchu.

Nie zdawał sobie sprawy jak długo trwał postój. W pewnym momencie machnął batem. - Naa... przód! - rzucił ochryłym, przerywanym głosem. Sanki drgnęły. Z tumanów zawiei dobiegał coraz głośniejszy odgłos warczenia. Przymknął powieki. Niech się dzieje co chce. Trudno. Nadszedł już kres jego sił.

Ostre szarpnięcie i poczuł nagle dotyk zimnego śniegu. Podniósł z wysiłkiem powieki. Leżał w zaspie. Tuż przed nim wrzały jakieś głosy. Psy rwały uprząż! Białe, kudłate futro mignęło przed oczyma. Jarzące zielone punkciki... Ostre wyszczerzone kły...

Ręka machinalnie powędrowała do boku. Palce objęły lodowatą rękojeść pistoletu. Zęby coraz bliżej jego twarzy. Dźwignął lufę, jakby ważyła jakieś tysiące funtów.

Pociągnął za cyngiel raz po raz. Coś sucho trzasnęło, znikły... A potem znowu... Jedna para, druga... otoczyły go ciasnym kołem... Wszędzie kły i jarzące głodne ślepia.

Pociągał za cyngiel raz po raz. Coś sucho traskało. Ostatni nabój. Był już bezbronny. Psy uciekły. Ale zaraz wróca. Nie przepuszczą okazji pożarcia takiej ilości świeżego mięsa. Harry przecież w dobrych czasach ważył około stu sześćdziesięciu funtów.

Zamknął mocno powieki. Patrzeć w oczy śmierci tak... ale takiej śmierci? Przystawał myśleć. W uszach szumiało coraz mocniej. Poprzez szum przedarł się urywany dziwny odgłos. Coś jakby odległe szczekanie. Halucynacja oczywiście. Przecież huski nie umiały szczekać. Szum walił w obolałą czaszkę, morderczym taranem. Aż nagle ustał.

Zapadła kojąca cisza. Na obolałe źrenice spłynęła powoli nieprzyjazna zasłona ciemności.

VII

GUBERNATOR DOTRZYMUJE OBIETNICY

Doktor Husley biegał jak opętany. Ani chwili odpoczynku. Miał w swej pieczy przeszło pięciuset chorych. Drugie tyle wziął na siebie kolega Ander. Obydwaj zapomnieli już jak wygląda odpoczynek albo sen. Pomimo zmęczenia z oczu obu doktorów wycierał radosny triumf. Nie byli już bezradni wobec rozpanoszonej choroby. Złapali ją za łeb. Ocalał chyba wszystkich. Teraz to już było kwestią czasu. Całe miasto zmieniło się w jeden wielki szpital. O pomieszczeniu przeszło tysiąca ludzi w miejskim szpitalu, obliczonym na pięćset łóżek, nie było mowy. Rozlokowali więc chorych w domach prywatnych. Powaleni epidemią leżeli w swoich i cudzych mieszkaniach. Jak popadło. Kto by w ciągu tych strasznych dni zwracał uwagę na takie drobnostki. Husley sam właściwie nie czuł się specjalnie dobrze. Jakieś wrzodziki na dziąsłach. Szkorbut oczywiście. Ale nie przejmował się tym ani trochę. Skoro już mieli dostarczone w tak cudowny sposób serum, wszystko musiało pójść dobrze.

Wybiegł właśnie z bramy piętrowego drewnianego budynku. Odwiedził kilku chorych. Miał jeszcze przed sobą setki codziennych wizyt. Pędził po ulicach nie zwracając na nic uwagi.

- Doktorze! - ktoś go złapał za rękaw. Chciał wyrwać rękę. Zobaczył jednak wymizerowaną twarz Harrisona.

- Słucham, naczelniku - przystanął na chwilę. Naczelnika miasta nie można przecież zbyć byle czym.

- Jak tam z naszym pacjentem? - Nie dodał ani słowa objaśnienia, było to jednak najzupełniej zbędne. Jeden tylko był w Nome spośród tysiąca chorych „nasz pacjent”. Nie tylko dla naczelnika i doktora, ale dla całego miasta. Wszystkie myśli skupiły się wokół osoby tego tajemniczego człowieka, znalezionej o kilkaset jardów za miastem, gdzie leżał nieprzytomny przy sankach zawierających skrzynkę ze zbawczym serum. Ledwie zdołano od niego odpędzić rozzarte, zdziczałe, wielkie jak niedźwiedzie psy, czyhające na pewny łup.

- Hm - zafrasował się doktor - niezbyt dobrze...

- Nie ma nadziei? - zapytał ze smutkiem.

- To bardzo dziwna sprawa - Husley oparł się znużonym ruchem o ścianę domu, przy którym stali - właśnie chciałem porozmawiać z panem naczelnikiem, ale mi jakoś wywietrzało z głowy. Chłop ma swój komplecik choróbek, to prawda. Zapalenie płuc, coś tam niewyraźnie w prawym wierzchołku, no i przy tym wszystkim - zniżył nieco głos, nachylając się ku Harrisonowi - ten człowiek po prostu nie chce żyć...

- Jak to nie chce? - podniósł na niego zdumione oczy naczelnik - nie rozumiem...

- Otóż - powiedział doktor w zamyśleniu - nie ma chęci do życia. Widzi pan, naczelniku, my lekarze czasami nie możemy sobie dać rady z chorym organizmem, jeżeli nam w tym nie pomaga chęć wyzdrowienia u pacjenta. Tak samo i w tym wypadku. Według wszelkich przewidywań medycznych chory powinien wyjść obronną ręką, w tym jednak sęk, że on nie chce wyjść. Jego wola nie tylko nie broni się przed śmiercią, ale jeszcze jakby ją przyzywa. Cóż my możemy w takim wypadku zrobić? - rozłożył bezradnie ręce.

- Ale dlaczego?

- Hm... odpowiedź na to pytanie nie jest taka łatwa. Oczywiście pacjent nie powie. Proszę jednak posłuchać co mi opowiedziała pielęgniarka. Może pan z tego sam dojdzie do jakiegoś wniosku. Otóż w chwilach, gdy odzyskuje przytomność, milczy jak zakłęty, wpatrując się w jeden punkt, natomiast w czasie gorączkowego bredzenia, przywołuje bez przerwy jakąś Mag... - doktor umilkł.

Nie darmo uchodził w okolicy za uosobienie dyskrecji. Nie chciał powierzyć nikomu dalszych swoich domysłów, nasuwających się z nieodpartą logiką.

- Aaa - naczelnik pokręcił głową - więc kobieta, jak zawsze. Niech mi pan powie, doktorze, czy gdyby przyjechała do Nome, miałby pan nadzieję na wyzdrowienie pacjenta?

- Ba - westchnął z powątpiewaniem doktor - gdyby przyjechała! Ale na pewno nie przyjedzie. Przecież mamy już od dwóch dni komunikację ze światem, a w całych Stanach Zjednoczonych nie ma chyba takiego zakątka, gdzie by nie słyszano o Cossie.

- Gdyby obchodził ją choć trochę, byłaby tu najpóźniej wczoraj.

- Jeżeli jednak przyjedzie? - powtórzył pytanie Harrisom

- To - doktor pomyślał przez chwilę... - Tak - oświadczył wreszcie - raczej prawie na pewno wyrwałbym go z pazurów śmierci. Bo choć choroba trwa od przeszło dwóch tygodni, jak już mówiłem, nasz pacjent ma wprost niespożyty organizm. Inaczej zresztą już dawno musielibyśmy mu wyznaczyć honorowe miejsce na naszym cmentarzu... Taaak - zamyślił się nad czymś.

- No, tymczasem pożegnam pana naczelnika. Mam jeszcze do odwalenia spory kawał roboty...

Pobiegł szybkim, drobnym krokiem dalej. Jego zwisające na figurze wyraźnie zbyt obszerne ubranie wzdęło się jak żagiel.

- Halo! - zawołał za nim Harrison. - Jutro przyjeżdża dwóch dodatkowych doktorów do Nome. Wiozą ze sobą kilka osób personelu pomocniczego. Ekspedycja jest już w drodze od kilkudziesięciu godzin.

- Dzięki Bogu - odpowiedział doktor nie zatrzymując się - może wreszcie człowiek znajdzie pół godzinki na spanie i pojęczenie z powodu własnej choroby...

Harrison patrzył za nim, dopóki nie zniknął za zakrętem ulicy.

- Biedny doktor - pokiwał głową - ledwo się trzyma na nogach.

Z kolei myśl naczelnika skierowała się na treść odbytej przed chwilą rozmowy.

- Hm - zamruczał pod nosem - mówi, że gdyby sprowadzić do Nome tę jakąś nieznaną Mag, wyciągnąłby Cossa? Tak, to byłoby całkiem dobrze. Skąd jednak sprowadzić kobietę, o której nie wiadomo niczego poza imieniem? Na świecie jest na pewno ładnych parę milionów przedstawicielek płci pięknej, noszących dźwięczne imię Małgorzaty.

Potań w zamyśleniu wierzchem dłoni gładko ogolony podbródek. Tak, to wyglądało na przedsięwzięcie całkiem niemożliwe do przeprowadzenia.

Ruszył wolnym krokiem w dalszą wędrowkę, wsłuchując się w głos własnych kroków na drewnianym chodniku. Nagle zatrzymał się raptownie.

- Co! - strzepnął palcami - Gdyby tak?... - pewna myśl błysnęła w jego mózgu.

W pierwszej chwili uznał ją za zgoła nedorzeczną! Powracała jednak natrętnie. Ostatecznie - wzruszył ramionami - od czego mamy gubernatora w Juneau? Siedzi sobie w swej willi jak niedźwiedź w zimowej norze i nie ma na pewno teraz za dużo roboty. Mógłby niewątpliwie działać bez porównania więcej w tej sprawie, niż skromny naczelnik jakiegoś tam kresowego miasteczka. Poprosi go o pomoc. A jeżeli ekscelencja oburzy się i wytnie paternoster? To niech tam. Nie pierwszy chyba i nie ostatni raz.

- Niech jej poszuka - zdecydował wreszcie, skracając w kierunku widniejącego w oddali niewielkiego budynku radiostacji. Po paru minutach siedział już na wygodnym fotelu, otoczony tajemniczymi przyrządami.

- Nadajcie depeszę do jego ekscelencji gubernatora w Juneau - rozkazał telegrafście.

Ali right - telegrafista zaczął szykować nadajnik. - Zwykłą? spojrzął pytająco na naczelnika.

- Hm? - zastanowił się Harrison. - Nie, chyba lepiej nie. Po co wydawać tajemnice czyjegoś serca na łup odbiorników całego świata. Tekst szyfrowany - powiedział - szyfr numer jeden.

Telegrafista wyciągnął z szufladki zeszyt z szyframi. Naczelnik Nome nie miał zbyt licznej personelu w swej kancelarii i mister Norman, poza pełnieniem skomplikowanych funkcji kierownika i operatora radiostacji, piastował jeszcze w wolnych godzinach funkcję przybocznego sekretarza naczelnika miasta.

- Tak jest, panie naczelniku - Norman otworzył odpowiednią stronę. - Słucham treści.

Ołówek tkwiący w jego palcach zawisł z gotowością nad kartką bloczka.

- Jego ekscelencja gubernator Alaski, Juneau - dyktował powoli Harrison, zastanawiając się nad każdym słowem.

Ołówek biegł szybko po papierze, znacząc swą drogę jakimiś kombinacjami liter i cyfr, niezrozumiałymi dla zwykłego śmiertelnika.

- Stan Cossa ciężki, niemal beznadziejny. Doktor, który się nim opiekuje twierdzi, że jest rzeczą konieczną sprowadzenie za wszelką cenę jakiejś bliskiej choremu osoby imieniem Mag (Margaret). Nazwisko nieznane i niemożliwe do ustalenia. Sądzę, że drogą przeprowadzenia odpowiednich wywiadów w Fairbanks dałoby się ustalić identyczność tej osoby i odszukać jej adres. Prawdopodobnie nie wie o stanie Cossa. Sprawa niezmiernie pilna. Lada dzień może nastąpić katastrofa. Uważam, że życie Cossa jest zagadnieniem obchodzącym cały kraj. Podpisano Harrison, naczelnik miasta Nome.

- Zagadnienie życia Cossa jest zagadnieniem obchodzącym cały kraj - powtórzył jak echo telegrafista, kiwając z aprobatą głową. On też interesował się żywo stanem zdrowia zbawcy miasta. - Jaki dać numer depeszy?

- Numer? - Harrison pomyślał. - Nie, nie damy żadnego. Ta depesza nie będzie w ogóle zapisana w dzienniku.

Norman nałożył pospiesznie niklowe tarcze słuchawek na uszy, kręcąc palcami gałki regulatorów. W nadajniku coś brzęczało. Szyfrowane słowa spłynęły z anteny, biegnąc w świat. W Juneau radiotelegrafista obojętnie odnotował tekst otrzymanej depeszy. Nie znał szyfru i nie rozumiał jej treści. Juneau, to nie Nome. Tutaj klucz szyfrowy przechowywany był zazdrośnie w biurku osobistego sekretarza jego ekscelencji gubernatora.

Stromayer popatrzył niemal z rozpaczą na długie kolumny szyfrowanych znaków. Okropnie dużo roboty. A nie można powiedzieć, żeby pałał chęcią do pracy. Miał właśnie zamiar przedrzemać się trochę w fotelu, gdy mu, jak na złość, przyniesiono to szyfrowane świństwo. Nie było rady. Trzeba drzemkę odłożyć na później. Gubernator nie żartował jeżeli chodziło o szyfrowane depesze. A na blankiecie figurowały z nieznośną pedanterią godzina i minuta otrzymania radiogramu.

Dobrze, że chociaż szyfr numer jeden. Najłatwiejszy ze wszystkich.

Kiwał się sennie nad książką szyfrów, ziewając raz po raz na całą szerokość szczęk. Wpisywał oddzielnie słowa nie zastanawiając się nad ich treścią. Po piętnastu minutach robota była gotowa. Gdy jednak przeczytał całą depeszę otrzeźwiał momentalnie.

- O - podskoczył na fotelu - ładna historia. Musiałem coś tu naknocić. Widocznie wczoraj wypilem za dużo... źle zastosowałem klucz. To przecież nie ma żadnego sensu! Jakaś

nieznana Mag, chory Coss i... sprawa obchodząca cały naród? Wszystko razem nie trzyma się kupy!

Wypił trzy pod rząd szklanki wody selcerskiej i znowu zasiadł nad szyfrem. Trzeba to poprawić póki czas. Dałby mu gubernator, gdyby mu zaniósł taki paszтет!

Mozolnie słowo po słowie sprawdzał w kluczu. Nie, nie omylił się.

- Ha - westchnął z rezygnacją, przecierając zaspane oczy - w takim razie nie ma się nad czym głowić. Nonsens, to nonsens, nie moja rzecz. Niech sobie to już rozsądzają gubernator z naczelnikiem Nome pomiędzy sobą.

- Proszę - położył na biurku gubernatora różowy blankiet depeszy wraz z jej rozszyfrowaną treścią.

- Depesza z Nome - oświadczył urzędowo Stromayer. - Przyszła szyfrem numer jeden jako pilna i do rąk waszej eksceleńcji.

- Aa - westchnął gubernator - ttak..

Stromayer uznał to za przyzwolenie odejścia i wycofał się pospiesznie z gabinetu. Nie czuł dzisiaj w sobie najmniejszej ochoty do rozwiązywania skomplikowanych zagadek.

Gubernator przeczytał po raz drugi.

- Także coś - obracał bezradnie depeszę w rękach. - Temu Harrisonowi padł chyba skorbut na mózg - pomyślał gniewnie. - Skąd mu wezmę tę jakąś Mag? A jeżeli ją nawet znajdę, to co z tego? Mają ją zaprowadzić do łóżka chorego, czy jak? A w ogóle na jakiej podstawie prawnej władze państwowe mają się zajmować tego rodzaju sprawami?

„Zagadnienie obchodzące cały kraj!!!” - wołały gromkim głosem ostatnie słowa depeszy. - Hm... To właściwie nie bardzo, prawdę mówiąc, odbiegało od rzeczywistości. Cossem interesowali się niemal wszyscy. Nie dalej jak wczoraj gubernator otrzymał nawet w tej sprawie oficjalne pismo z Washingtonu.

A poza tym przypomniał sobie, że w czasie ostatniej rozmowy z prokuratorem z Fairbanks, Wilmers coś opowiadał o kombinacjach osobistych Cossa, związanych z koniecznością zachowania tajemnicy w sprawie Wilka.

- Nnno, tak - mruknął wpadając w głęboką zadumę. - Ten Coss to rzeczywiście... zasłużył się krajowi. Sprawa Wilka, a teraz znowu Nome. Obiecał przecież Wilmersowi załatwić jakoś tę historię. A teraz obowiązki wobec Cossa wzrosły w dwójnasób.

Cóż - mruknął wreszcie z rezygnacją - trudno. W tych warunkach staje się po prostu obowiązkiem władzy zabawienie się w swaty.

Podszedłszy do telefonu zamówił urzędową rozmowę z prokuratorem z Fairbanks. Wilmers wbrew oczekiwaniom gubernatora ani jednym słowem nie okazał zdumienia z

powodu dziwnej treści polecenia otrzymanego od gubernatora. Wprost przeciwnie. Przyjął je z wyraźną ulgą.

- Leżało mi to ciężkim głazem na sercu - oświadczył wysłuchawszy spokojnie słów gubernatora.

- Ale - zapytał nieco, nieufnie gubernator - czy ta... osoba jest dyskretna, bo sam pan prokurator chyba rozumie, że...

- Na pewno - uspokoił go Wilmers - ręczę za nią głową - dodał z przekonaniem.

Prokurator odłożywszy powolnym ruchem słuchawkę zamyślił się, pocierając z zakłopotaniem czoło. Tak, rozmowa z dyrektorem Bartonem na pewno nie będzie należała do najłatwiejszych ani najprzyjemniejszych. Co do tego nie żywił najmniejszych wątpliwości. Znał przecież dobrze władcę Eastern Creeku. Jego wąskie, ściśnięte wargi i surowa, nieco wyniosła twarz zdawały się ostrzegać przed zadawaniem pytań poufnej natury. Na pewno będzie się wściekał, gdy przyjdzie do wyciągnięcia z niego informacji, co do miejsca pobytu córki. Dotychczas zachowywał największą tajemnic na ten temat. Nikt, absolutnie nikt w całym Fairbanks nie znał celu niespodziewanej wycieczki dyrektorskiej jedynaczki. A przecież nie obyło się bez tego, by ten i ów z licznego koła jej znajomych nie próbował wysondować Bartona. Sam był kilkakrotnie świadkiem czasie zebrań klubowych, jak dyrektor nagabywany przez ciekawych zmieniał ostro temat rozmowy dając wyraźnie do zrozumienia, że ta sprawa nie powinna obchodzić nikogo poza najbliższą rodziną. Toteż towarzystwo z Fairbanks, mocno zaintrygowane nagłym zniknięciem miss Margaret, plotkowało co niemiara. Wysuwano najfantastyczniejsze domysły, ale nie wiedziano nic konkretnego.

Wilmers rzucił okiem na zegar. Dochodziła wpół do piątej. Trzeba było wyruszyć z tą nieprzyjemną misją. Dyrektor na pewno był już domu. A sytuacja, sądząc z rozmowy z gubernatorem, wyglądała alarmująco. Każda chwila mogła decydować o życiu Cossa. Powstał ociężale z fotela, zapinając guziki marynarki. Trudno, nie było innej rady. Musiał przydusić trochę Bartona bez względu na to, czy tamtemu będzie się to podobało. Miał, jakby nie było, poważne zobowiązania wobec Cossa. A niezależnie od tego, lubił go bardzo.

VIII

PROKURATOR WILMERS DZIAŁA

Nie upłynęło nawet piętnaście minut od rozmowy z gubernatorem, gdy już prokurator Wilmers wchodził do sztywnego, umeblowanego ciężkimi dostojnymi sprzętami, gabinetu Bartona.

Dyrektor wskazawszy uprzejmie chłodnym ruchem fotel, zasiadł przy biurku, patrząc na gościa pytającym wzrokiem. Wprawdzie nie okazywał tego, ale nieoczekiwana wizyta

prokuratora zdziwiła go i zaniepokoiła nieco. Nie łączyły ich ze sobą bliższe stosunki towarzyskie, które by usprawiedliwiały grzecznościowy charakter wizyty.

- Więc jednak Wilmers przyszedł tu raczej w urzędowej sprawie? Czyżby chodziło o Wilka? - rozmyślał niespokojnie, oczekując na pierwsze słowa prokuratora. Od chwili ostatniej rozmowy z Mac Duftym żył w ciągłej obawie przed skandalem. Inspektor po napadzie na Starą Farmę oświadczył mu, że lada dzień zaaresztuje Cossa i Wilka. Potem został zamordowany. Barton nie wątpił ani przez ułamek sekundy, że mordercą był znowu Coss. Po śmierci inspektora sprawa Wilka jakoś ucichła. Nie mógł zrozumieć, co było przyczyną, ale starał się jak najmniej tym interesować.

Gdy Coss zniknął z horyzontu, dyrektor odetchnął na pewien czas. Może uciekł na drugi koniec świata, unikając w ten sposób pościgu policji? Niechby tak było. Życzył mu w duchu powodzenia. Oby tylko ludzie jak najprędzej zapomnieli o nieszczęsnej pomyłce Mag. Cóż z tego, że nie byli zaręczeni oficjalnie, kiedy i tak niemal wszyscy wiedzieli, jakie stosunki ją łączyły z tym bandytą. Ładna historia! Córka dyrektora kopalń złota zaręczona z rzeźmieszkiem. A teraz znowu ten przeklęty Coss. Zamiast siedzieć cicho tam gdzie pieprz rośnie, afiszuje się bohaterskimi wyczynami. Naturalnie zaaresztują go, gdy tylko powróci do zdrowia. Wszystko przepadło. Mag będzie miała przyjemność figurować w charakterze świadka w bandyckim procesie. Fakt poświęcenia się przez Cossa niewiele zmienił w pojęciu dyrektora sytuację. Może mu za to złagodzą karę, ale jakież to mogło mieć znaczenie? Pomimo wszystko zostanie w oczach ogółu bandytą.

Wilmers sięgnął niezdecydowanie po papierosa. Nie bardzo wiedział jak ma zacząć. Wyblakłe oczy Bartona patrzyły zgoła niezachęcająco. Obracał przez chwilę papierosa w palcach, zanim go wreszcie zapalił.

W końcu się zdecydował. Nie mógł przedłużać w nieskończoność jałowego milczenia.

- Przykro mi niezmiernie, że zmuszony jestem trudzić pana dyrektora, ale muszę mu zadać pewne pytanie... - zaczął ostrożnie dobierając słowa - chodzi mianowicie o... - zawahał się, wypuszczając ustami kłęb dymu. Czuł się nie bardzo pewnie.

- Trzeba było raczej zawezwać dyrektora do prokuratury - pomyślał obserwując niewzruszoną twarz gospodarza - tam rozmowa wyglądałaby zupełnie inaczej. Ale na to było już za późno. Musiał brnąć dalej:

- O... adres miss Barton.

Barton poruszył się niespokojnie w fotelu. Więc jednak... Tego właśnie obawiał się najwięcej. Wiszący nad domem Bartonów skandal zaczynał nabierać konkretnych zarysów.

Widział już oczyma wyobraźni tytuły dzienników: „Córka dyrektora kopalni Eastern Creek głównym świadkiem w procesie Wilka”. „Panna z najlepszego towarzystwa Alaski, narzeczoną groźnego bandyty”... a może będą wypisywali jeszcze gorsze rzeczy? Trudno liczyć na dyskrecję sprawozdawców sądowych. Proces Wilka będzie niewątpliwie pierwszorzędną sensacją, zainteresowanie wybiegnie daleko poza Alaskę. A gdy jeszcze wyjdzie na jaw, że osławiony bandyta i bohater z Nome jest jedną i tą samą osobą? Zimny dreszcz przebiegł po ciele dyrektora. Rozdmuchają sprawę jak balon. Nie wystarczyłoby złota z całej Alaski, aby powściągnąć rozmach pismaków.

Wilmers obserwował ukradkiem twarz dyrektora w oczekiwaniu na odpowiedź. Pauza przeciągała się stanowczo zbyt długo. Przewidywania go nie myliły. Nie wyglądało na to, by rozmowa miała pójść jak z płatka.

- A więc, panie dyrektorze - zaczął znowu, nie doczekawszy się odpowiedzi - jaki jest obecny adres miss Barton?

Dyrektor pokiwał ubolewająco głową:

- Niestety, panie prokuratorze. Nie mogę panu udzielić na to pytanie odpowiedzi... - Głos jego brzmiał cicho, niemniej jednak zupełnie zdecydowanie.

Wilmers się nastroszył. Opór Bartona podziałał na niego jak dźwięk trąbki bojowej na wojskowego rumaka. Był wprawdzie przygotowany na wykręty, nie oczekiwał jednak tak wyraźnie postawionej odmowy. W jednej chwili zapomniał o całym wahaniu, z jakim rozpoczął rozmowę.

- Chciałbym jeszcze zwrócić panu uwagę, że nie zadaję panu pytań przez prywatną ciekawość - zaznaczył Wilmers dobitnie - moja wizyta nosi charakter najzupełniej oficjalny.

Barton udawał zdziwienie.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że pytanie pańskie zostało postawione przy wykonywaniu jego obowiązków służbowych? Wilmers wstał z fotela.

Podszedł do biurka i oparłszy dłonie na jego krawędzi, utkwiał badawczy wzrok w twarzy dyrektora Bartona.

- Tak - powiedział zimno - jestem tutaj jako przedstawiciel prokuratury.

- Czy wolno wobec tego zapytać, jaki charakter mnie przypada w tej scenie?

- Jest pan świadkiem.

Barton zacisnął palce spoczywające na kolanach rąk. Sprawa przybiera mocno niepożądany obrót. To już nie Wilmers prosi o informacje, a prokurator bada świadka. Doskonale rozumiał różnicę, zachodzącą pomiędzy dwiema sytuacjami.

- A jeżeliby pomimo to odmówił żądanej informacji? - zapytał znacznie mniej pewnym tonem.

Wyćwiczony słuch prokuratora zanotował nutkę niepewności dźwięcząca w głosie Bartona. Trzeba było kuć żelazo póki gorące. Miał już nieraz do czynienia z tego rodzaju załamaniem psychicznym u badanych.

- Zmuszony byłbym wyciągnąć w stosunku do pana dyrektora konsekwencje, jakie prawo przewiduje dla opornych świadków, odmawiających zeznań - zareplikował poważnie.

- To znaczy? - Barton podniósł wyblakłe źrenice.

- To znaczy, musiałbym z całą przykrością podpisać nakaz osadzenia pana dyrektora w więzieniu.

Barton drgnął jakby rażony prądem elektrycznym. Mają go osadzić w więzieniu. Jego, naczelnego dyrektora kopalni Eastern Creek? To przecież byłoby najgorsze ze wszystkiego, co go mogło spotkać w życiu.

Z piersi Bartona wyrwało się chrapliwe westchnienie:

- Więzieniu... powtórzył bezmyślnie - mnie... - Na pomarszczone policzki wystąpił ceglasty rumieniec:

- Za co?

- Za odmawianie zeznań - wyjaśnił niewzruszenie Wilmers

- przy czym zamknięcie trwałoby tak długo, dopóki by się pań nie zdecydował na zmianę stanowiska w tej kwestii. Niezależnie od tego byłbym zmuszony do wytoczenia panu sprawy karnej o utrudnianie władzom wymiaru sprawiedliwości w czynnościach urzędowych. Grozi to karą dwóch lat przymusowych robót.

Wilmers zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że wszystko byłoby tylko czczymi pogrozkami. Bo całe to badanie nie miało w rzeczywistości tak bardzo oficjalnego charakteru, jak to chciał wmówić w Bartona. Pomimo wszystko, nie zaryzykowałby zaaresztowania dyrektora dla wymuszenia od niego adresu. Liczył jedynie na to, że Barton nie jest zbyt biegły w kruczkach proceduralnych i da się sterroryzować. Czuł niesmak z powodu takich chwytów. Nie miał jednak innej rady wobec uporu dyrektora. Przeklęta cuchnąca sprawa. Każdy kto się do niej dotknął, musiał mniej lub więcej powalać ręce. A tu przecież chodziło o życie ludzkie.

Barton siedział nieruchomo, osłupiały z ostatecznego przerażenia.

Wilmers słusznie ocenił skuteczność swych pogrozek. Dyrektor nie orientował się, jak daleko sięgają w tym względzie kompetencje prokuratora. Nie był prawnikiem, a wszelkie kwestie prawne związane z kopalnią załatwiał stały radca towarzystwa, adwokat Hartman. W umęczonym mózgu Bartona błysnęła zbawcza myśl

- prawda Hartman. Trzeba go zawezwać. Potrafi dać sobie radę z prokuratorem.

Wyciągnął rękę w kierunku telefonu.

Ale Wilmers czuwał. Jego dłoń opadła natychmiast ciężko na słuchawkę.

- Dokąd pan chce telefonować? - spojrzał badawczo na Bartona.

Ręka dyrektora zastygła niezdecydowanie w pół drogi. Nie mógł przecież mocować się z Wilmersem, a nie wyglądało na to, by tamten miał zamiar uwolnić telefon.

- Do... mego adwokata... - bąknął.

- Po co? - palce prokuratora obejmowały zdecydowanym chwytem słuchawkę. Na to nie mógł pozwolić w żadnym wypadku. Znał dobrze Hartmana. Stary wyjadacz sądowy. Wy tłumaczyłby w jednej chwili Bartonowi jak sprawa stoi.

- Chcę go zawezwać, by był obecny w czasie mego badania... Wilmers powoli przymrużył powieki. Ładne wymagania. Tylko tego brakowało, by adwokat porównywał postępowanie prokuratora z przepisami procedury. - Niestety, nie mogę dać panu na to pozwolenia - oświadczył.

- Ale - zająkał się Barton to przecież moje prawo?

- Pan się myli. Prawo asysty obrońcy przy badaniu przysługuje jedynie oskarżonemu. A pan, przynajmniej jak dotychczas - podkreślił lekko - jest tylko świadkiem.

Barton cofnął bezsilnie rękę. Od razu zrezygnował z dyskusji. Tamten na pewno zna lepiej przepisy. Głowa opadła ciężko na piersi. Czuł się zupełnie złamany.

Wilmers nie przestawał go obserwować. Nie mógł się jednak cofnąć.

- Pytałem pana o obecny adres miss Barton - przypomniał nieustępliwie.

Barton drgnął wytrącony ostrym głosem prokuratora z niewesołej zadumy.

Czy mógłbym pana prokuratora prosić o zwłokę do jutra? zaproponował nieśmiało. W głębi duszy wciąż jeszcze miał nadzieję na uzyskanie interwencji gubernatora. Wilmers nie zdołał opanować niecierpliwego wzruszenia ramion. Do jutra... to było wszak równoznaczne z odwleczeniem sprawy na nie wiadomo jak długo. Jutro mógłby szukać dyrektora po całym kraju. A poza tym miałby niewątpliwie na karku Hartmana.

- To wykluczone - oświadczył sucho - ani jutro, ani za godzinę. Odpowiedź muszę mieć w tej chwili, albo... urwał, wykonując znaczący gest.

Barton spojrzał na niego niemal z nienawiścią. Ten człowiek zamykał przed nim wszelkie drogi ratunku. Zupełnie jakby czytał w jego myślach.

- Chcę... chcę się zwrócić o interwencję do jego ekscelencji gubernatora Alaski - wybuchnął z determinacją, nie zważając na to, że odkrywa w ten sposób swe karty, pokazując przeciwnikowi ostatni atut. Rozpacзлиwa wściekłość zwierzęcia zagnanego do pułapki bez

wyjścia, zaczynała władać całkowicie sprawnym zazwyczaj mózgiem dyrektora. Nie mógł się zdobyć na trzeźwe refleksje.

- Hm... - odchrząknął Wilmers, chcąc nieco zyskać na czasie.

- Do gubernatora? - przeciągnął. Taka propozycja także nie uśmiecha się mu nawet w najmniejszym stopniu. Pomimo wszystko gubernator nie będzie mógł pochwalić oficjalnie tego rodzaju badania przeprowadzonego w stosunku do jednego z najpoważniejszych obywateli Alaski. Potem, to co innego. Gdy sprawa już zostanie definitywnie załatwiona, potrafi na pewno wyperswadować Bartonowi jego oburzenie w ten czy inny sposób. Ale teraz...

- Nawet jego ekscelencja nie ma nic do powiedzenia w przedmiocie badania świadka, przynajmniej... hm - znowu chrząknął

- w trakcie tego badania.

Jego głos nie brzmiał już przy tych słowach tak samo pewnie jak przedtem, ale Barton był zbyt zdenerwowany, by to zauważyć.

- Więc co mam wreszcie zrobić? - jęknął prawie Barton, jakby pytając swego bezlitosnego prześladowcę o radę.

- Podać mi adres miss Barton - podsunął łagodnie Wilmers.

- Tylko to rozwiąże sprawę ku obopólnemu zadowoleniu.

- Ku... obopólnemu zadowoleniu - powtórzył z goryczą Barton.

- Jeżeli nie powiem, więzienie i hańba na całe życie, jeżeli powiem - skandal... - rozmyślał na głos wpatrzony w jakiś niewidzialny punkt na wzorzystej tapecie.

- Nie będzie żadnego skandalu - wtrącił uspokajająco Wilmers.

- Jak to!?! - spojrział na niego zaskoczony Barton - czyż to mały skandal zeznawanie w procesie tego bandyty?

- Nie będzie zeznawania - zapewnił prokurator.

- Ale.. - Barton nie mógł tego w żaden sposób zrozumieć. Czyżby w słowach Wilmersa tkwiła nowa pułapka?

- Nie wolno mi na ten temat powiedzieć ani słowa więcej - przerwał pytanie Wilmers - oświadczam jednak, że panna Barton nie będzie świadkiem w procesie, który ma pan na myśli. Może pan być tego najzupełniej pewny.

- W takim razie... - zaczął krzepiącym głosem Barton - nie rozumiem, jakim prawem...

- Panie dyrektorze - rzucił pospiesznie Wilmers na nowo groźnym tonem, w obawie, by mu się Barton nie wymknął z rąk - tracimy obydwaj nieproduktywnie czas, który, zapewniam pana, jest dla mnie niezmiernie cenny. Po raz ostatni zapytuję, czy odpowie mi

pan, gdzie mieszka miss Barton? Nie mogę już dłużej czekać. Albo będę miał natychmiast adres, albo zatelefonuję gdzie należy, aby przysłali policję.

Zaczął powoli, ostentacyjnym ruchem podnosić słuchawkę z widełek.

- Dobrze - wyjął Barton załamującym się głosem - powiem: Chicago, Illinois, ulica Schillera 104, u doktorstwa Page... - Pod czaszką czuł zupełną pustkę.

- Chicago, Illinois, Schillera 104, Page - powtórzył półgłosem prokurator. Odnotował szybko w małym notesiku, który wyjął z kieszeni.

Dziękuję - skłonił się uprzejmie przed Bartonem, chowając notes do kieszeni. - Bardzo mi przykro, że byłem taki natrętny. Ale sprawa naprawdę poważna. Teraz już wszystko all right...

Barton podniósł raptownie głowę. Więc nie będzie przynajmniej aresztowany? Zaczął odzyskiwać równowagę. Po co powiedział? Wilmers chyba nie ośmieliłby się zamknąć go do więzienia. Znowu wściekłość gorącą falą podpłynęła do gardła.

All right - syknął w kierunku szerokich pleców oddalającego się Wilmersa - zobaczymy, czy będzie w porządku, gdy zamelduję gubernatorowi o pańskich metodach atakowania spokojnych obywateli. Zaraz składam skargę. Na pewno skręci pan kark na tej historii - podnosił głos za każdym wypowiedzianym słowem.

Wilmers jednak już nie słyszał tego, zbiegając szybko po schodach.

Nacisnął starter swego samochodu. Pędząc po dość ożywionych ulicach miasta, nie bardzo pamiętał o przepisach policyjnych. niesprawiedliwość wobec Cossa musiała być naprawiona, zanim będzie za późno. Zasłużył na to stokrotnie. Śmierć wisząca nad głową tego ostatniego kazała cenić wartość każdej sekundy. Dość już i tak czasu stracił na wałkowanie jednego pytania z Bartonem. Śmierć Cossa uniemożliwiłaby wszelkie doczesne nagrody za jego zasługi wobec kraju. Odszedłby jako niesłusznie pokrzywdzony przez ludzi i państwo.

Rosły policjant stojący na skrzyżowaniu ulic na widok pędzącego z przerażającą szybkością samochodu gwizdnął z naganą przez zęby, sięgając po bloczek z protokołami. Poznawszy jednak prokuratora uznał za bardziej właściwe odwrócić się dyskretnie plecami do jezdni. Dotychczas tak samo jak i inni jego koledzy, uważał prokuratora Wilmersa za uosobienie paragrafów prawa.

To, że jadąc swoim prywatnym samochodem rozwijał na ulicach miasta niedozwoloną szybkość, wyglądało na coś zgoła niezrozumiałego. Pięciokilometrowy odcinek drogi pomiędzy willą Bartona \$a gmachem sądownym nie zajął Wilmersowi więcej aniżeli sześć

minut. Jednym susem wyskoczył z samochodu zanim jeszcze zgaszony motor przestał pracować i wbiegł po opustoszałych schodach do swego gabinetu.

- Uff - padł Zziajany do ostateczności na fotel. - Ależ tempo. Oby tylko okazało się wystarczające!

Patrzył tęsknie na stojącą na biurku karafkę z wodą. Spieczone wskutek zmęczenia i zdenerwowania gardło łaknęło orzeźwienia. Ale nie - powstrzymał się z wysiłkiem od sięgnięcia po szklanekę - na to będzie czas potem. Przede wszystkim obowiązek.

- Dobrze, że właśnie Chicago - pomyślał podnosząc słuchawkę telefoniczną. Dyrektorem chicagowskiej policji był Joe Adler, z którym zżył się w czasie pobytu na praktyce w tym mieście. Nie należałoby niewątpliwie do specjalnych przyjemności wywlekanie tych wszystkich historii przed kimś zupełnie nieznanym.

Na szczęście, pomimo dość późnej pory jak na urzędowe godziny, zastał Adlera w biurze. Telefon funkcjonował marnie, widocznie gdzieś na trasie szalała śnieżna burza. Słowa docierały do słuchawki albo zniekształcone, albo w ogóle ginęły po drodze. Z tego powodu minęła dłuższa chwila zanim Adler poznał po głosie Wilmersa. Z wytłumaczeniem zaś o co chodziło, szło bardzo opornie. Wilmers musiał opowiadać całą historię od samego początku i niejednokrotnie powtarzać po kilka razy to samo słowo, zanim tamten zrozumiał. Toteż ta uciążliwa rozmowa pomiędzy oddalonymi o tysiące mil ludźmi trwała przeszło godzinę. Gdy wreszcie odjął słuchawkę od doszczętnie zdrętwiałego i mokrego od potu ucha, odetchnął z ulgą. Teraz to już chyba będzie mógł naprawdę jechać na urlop.

Dyrektor Adler także pocierał ucho przez dłuższą chwilę. Siedział parę minut nieruchomo, przetrawiając w myśli słowa Wilmersa. Ta sprawa niewątpliwie nie należała do codziennych. I nie bardzo dawała się wtłoczyć w ciasne ramki regulaminu policyjnej służby. Niemniej jednak musiała być załatwiona. Gdyby nawet nie było wyraźnego polecenia gubernatora Alaski, załatwienie tej sprawy nakazywało zwykłe poczucie sprawiedliwości. A w piersi dostojnika policji chicagowskiej biło pod opiętym mundurem ludzkie serce. Poza tym dyrektor Adler uchodził za uosobienie dyskrecji i taktu. Sprawa mająca decydować o życiu Cossa trafiła w odpowiednie ręce.

IX

MAG DOWIADUJE SIĘ PRAWDY

Dyrektor Adler czuł się mocno zakłopotany. Wyjaśnienia, jakich musiał udzielić gościowi, były niezwykle delikatnej natury.

Pokrył zmieszanie uprzejmym uśmiechem, wskazując okrągłym, pozbawionym cienia urzędowości gestem, wygodny fotel stojący przed biurkiem. Mag osunęła się bezsilnie w przepaściste głębie klubowca.

Dyrektor obrzucił dyskretnym spojrzeniem wymizerowane rysy pobladłej dziewczyny zastanawiając się w duchu, od czego zacząć rozmowę. Zerknął w stronę obitych skórzanym materacem drzwi. Były zamknięte na glucho. To stanowiło konieczną ostrożność. Tego, co miał za chwilę powiedzieć, nie powinien usłyszeć nikt trzeci. Absolutnie nikt. Choćby należał nawet do najbardziej zaufanych funkcjonariuszy komendy.

- Otóż tak - odchrząknął starannie dobierając w myśli słowa

- zdziwiło panią zapewne moje... cokolwiek zbyt natarczywe zaproszenie, ale... - urwał wyczekująco.

Mag jednak milczała. Coś w głosie dyrektora ostrzegało ją, że właśnie teraz miało nastąpić to najważniejsze. Skuliła się obronnym ruchem w fotelu, przywołując z rozpaczliwym wysiłkiem woli całą przytomność umysłu na pomoc. Od każdego jej słowa może teraz zależeć los Harry'ego. Nie trzeba wierzyć uprzejmemu uśmiechowi dyrektora. Należy do policji, która czyha na zgubę Harry'ego.

- Chodzi, mianowicie o mister... - wytrzymał krótką pauzę

- Harry'ego Cossa...

Po bladej twarzyczce Mag przeleciała na kształt błyskawicy gorąca łuna. HARRY! Więc nie myliły jej obawy. Do ostatniej chwili żywiła w głębi serca nieśmiałą nadzieję, że może wezwanie oparte jest na jakimś nieporozumieniu. Ostro spiłowane paznokcie jej leżących na kolanach rąk wpiły się boleśnie poprzez wełnę sukienki w ciało. Zacisnęła z desperacją wargi. Nie wolno z siebie wydusić najmniejszego dźwięku na jego niekorzyść, choćby ją nawet mieli torturować. Słyszała przecież nieraz nieśmiałe opowiadania na temat badania „trzeciego stopnia”. Nie ulęknie się żadnych cierpień. Raczej zginie sama, niż przyczyni się do zguby Harry'ego.

Powoli wstępował w nią kamienny spokój ostatecznej decyzji.

- Nie mam niczego do powiedzenia na ten temat oświadczyła dobitnie.

- Pani podejrzewała go o to, że jest osławionym bandytą Wilkiem?

Paznokcie wpijały się w ciało aż do bólu. Miała wrażenie, że świdrujący wzrok mężczyzny w mundurze wwierca się jej pod przymknięte powieki, usiłując dobyć tajemnicy.

- Nnnie - głos z trudem przeciskał się przez zacisniętą krtani

- to nieprawda.

- A jednak...

- Nie, panie dyrektorze - walczyła desperacko z ogarniającą ją niemocą. Głos jej znowu okrzepł - absolutnie nie wiem nic o Wilku.

Pod jej powiekami przewinęła się koszmarna scena w Starej Farmie... Okrwawione postacie padające na wyfroterowaną posadzkę i te siwe... znajome źrenice, połyskujące poprzez wykroje jedwabnej maski. Ale przecież nie wiedziała na pewno. To były tylko jej domysły, które winna zabrać ze sobą do grobu.

- Nic nie wiem - powtórzyła z mocą.

- Ależ tak - uśmiechnął się dyskretnie. Jego baczemu wzrokowi nie uszedł wyraz jej twarzy. Czyniła wrażenie lwicy broniącej swych małych przed niebezpieczeństwem. Sprawa więc znajdowała się na jak najlepszej drodze. Kochała go niewątpliwie, a to przecież w tym wszystkim było najważniejsze.

- Niech pani nie zaprzecza, wiem wszystko.

Krew odpłynęła nagle szeroką falą z serca Mag. Czowała, że zaczyna tracić siły. Wie wszystko! Uczyniła niespokojny ruch, jakby chcąc zerwać się do ucieczki.

- Nie... mam... nic... do... powiedzenia - wykrztusiła.

- Ależ proszę pani - dyrektor uśmiechnął się przepaszająco - widzę, że tu zachodzi jakieś nieporozumienie, prawdopodobnie z mojej winy. Nie umiałem się widocznie zabrać we właściwy sposób do sprawy. My nie chcemy od pani żadnych informacji na temat osoby mister Cossa. Wprost przeciwnie, to ja otrzymałem polecenie wyjaśnienia pani pewnych, jak mam wrażenie, niezmiernie ją obchodzących okoliczności...

- Co? - podniosła na niego osłupiałe ze zdumienia oczy - nie będzie mnie pan badał?

- Nie ma mowy o żadnym badaniu - zaprzeczył żywo - zresztą pani rzeczywiście wbrew własnemu przekonaniu nie wie dotychczas nic o Wilku. Jeżeli pani żywiła jakiegokolwiek podejrzenia w stosunku do mister Cossa, to były one najzupełniej niesłuszne i krzywdzące. Mister Coss nigdy nie był Wilkiem. Sprawa Wilka została już definitywnie zakończona. Wilk nie żyje.

- Nie... żyje... - wyszeptała bezgłośnie - HARRY! - krzyknęła nagle rozpaczliwie. Twarz jej gwałtownie pobraźniała. Osunęła się bezwładnie na oparcie fotela. Nie rozumiała zupełnie wywodów tego uśmiechniętego mężczyzny. W głowie jej panował przeraźliwy chaos. Myśli kłębiły się w jakimś niemożliwym do rozplatania kłębku, boleśnie ugniatając mózg. Usłyszała tylko jedno: Wilk nie żyje, a więc Harry... Uciekła od niego, jak od zapowietrzonego. A przecież tak bardzo go kochała. Odszedł nawet nie widząc tego. Może ją przeklinał w ostatniej minucie...?

Adler wiedział doskonale co się dzieje z dziewczyną. Poczł wyrzuty sumienia za przedwstępną scenę, przeprowadzoną umyślnie w celu wysondowania jej uczuć do Cossa. Przeholował oczywiście. Ale nie mógł oczekiwać aż tak wielkich komplikacji, wywołanych wyczerpaniem nerwów dziewczyny. Był nieco winien. Jego obowiązkiem było mieć na uwadze cierpienia duchowe przez jakie musiała przejść od czasu wyjazdu z Alaski, żyjąc w ciągłej niepewności co do losu ukochanego.

Wstał z fotela i obszedłszy biurko pochylił się nad nią.

- Miss Barton - powiedział z naciskiem - niech się pani uspokoi i postara mnie zrozumieć. Mister Coss nie był Wilkiem. Wilk zginął z powierzchni ziemi, ale mister Coss żyje.

Jego słowa docierały powoli do świadomości Mag, złościąc we mgle otaczającej mózg, ogniste ścieżki. Harry nie był Wilkiem... Jak to... a wtedy w Starej Farmie? W sercu powstało wątpienie.

A jeżeli to tylko jedna z policyjnych pułapek? Spojrzała badawczo w twarz dyrektora. Nie, nie było w niej ani cienia fałszu. Tehnęła wyrazem uczciwej szczeroci i przyjaznego współczucia. Ten człowiek na pewno nie kłamał. Więc Harry naprawdę nie był bandytą?

Szalone podniecenie, które od kilku godzin trzymało jej nerwy w ustawicznym napięciu, zgasło. Nastąpiła reakcja. Siły niespodziewanie odmówiły posłuszeństwa. Wybuchnęła spazmatycznym łkaniem, przysłaniając twarz rękami.

- Harry - szeptała cichutko bolesnym, załamującym się głosem - Harry, czy mi przebaczasz?

Adler wyprostował się w zakłopotaniu, rozglądając się wokoło bezradnie. Taka historia! Nie bardzo wiedział, jak ma się zachować wobec tych rozdzierających łkań gościa. Jego wzrok padł przypadkowo na karafkę stojącą na biurku. Od razu odzyskał zdolność czynu. Prawda, woda powinna na to pomóc w każdym razie.

- Proszę to wypić.

Ani drgnęła. Widocznie nie słyszała tego co mówił, albo nie zrozumiała treści słów. Odsunął delikatnym ruchem jej prawą rękę od twarzy, wciskając pomiędzy palce niemal przemocą szklanke.

Proszę, niech pani to wypije - przemawiał do niej teraz takim tonem jak do chorego dziecka, nadając głosowi jak najbardziej przekonujące brzmienie.

Usłuchała bezwolnie, podnosząc automatycznym ruchem szklanke do ust. Zadźwięczały nierównym rytmem rozdygotane zęby po brzegu cienkiego szkła.

Adler wrócił na swój fotel czekając w milczeniu, aż uspokoi się o tyle, by można było podjąć na nowo wyjaśnienia. Pochylił dyskretnie głowę udając, że czyta jakieś rozłożone na biurku papiery. Nie rozumiał z nich ani jednego słowa. Żalodne odgłosy płaczu mąciły jasność myśli. Chciał jednak by wiedziała, że nie patrzy na nią. Na pewno czułaby się mocno zażenowana, będąc obserwowaną w takiej chwili przez obcego.

Po chwili łkania zaczęły słabnąć, aż wreszcie ucichły zupełnie. Mag zdołała się opanować.

- Prze... proszę pana - szepnęła zawstydzona. Było jej przykro, że okazała taki brak hartu duchowego, ale radość wywołana niespodziewanym oświadczeniem dyrektora i ból z powodu niesłusznego skrzywdzenia ukochanego, dały w sumie mieszaninę gwałtownych uczuć przekraczających wytrzymałość siły jej nerwów.

Adler popatrzył z zainteresowaniem w sufit.

- Głupstwo proszę pani - powiedział lekko - nie ma o czym mówić.

Przeniósł z kolei wzrok na leżący na biurku ołówek. Wolał nie patrzeć na zakłopotaną twarz dziewczyny. Za każdą cenę nie chciał powiększać jej zmieszania. Zdawał sobie sprawę, że po wybuchu nie musi się czuć specjalnie świetnie.

- Otóż, powracając do naszej rozmowy - ciągnął dalej takim tonem, jakby w międzyczasie nie zaszło nic godnego uwagi - aby pani lepiej zrozumiała całą historię mister Cossa, muszę zacząć od zdarzeń ostatnich dni. Wie pani zapewne o bohaterskim czynie swego... hm - zawahał się przez mgnienie oka - znajomego?

- O... bohaterskim czynie? - podniosła na niego zdumione, przysłonięte jeszcze mgiełką minionego płaczu oczy - Harry... to jest mister Coss - poprawiła się czerwieniejąc - wsławił się czymś niezwykłym?

Teraz na niego przeszła kolej zdumienia. Co za dziwna istota. Nie wie, czy też udaje, że nie słyszała o historii, która stała się głośna w całych Stanach?

- No tak - potwierdził z lekkim zniecierpliwieniem - musiała pani przecież czytać o tym w gazetach. Ostatnio o niczym innym przecież nie piszą...

Mag spuściła wzrok na wzorzysty dywan.

- Od paru tygodni nie czytałam gazet - oświadczyła cicho.

- Nie czyta pani gazet? - zerknął na nią z niedowierzaniem. Człowiek stroniący od prasy wydał mu się jakimś archaicznym dziwołagiem.

- Ach... tak, przepraszam - zorientował się wreszcie. Uważała przecież Cossa za Wilka i dlatego wolała nie wiedzieć co się dzieje na świecie. Pokiwał ze zdumieniem głową. Sam

wprawdzie w żadnym wypadku nie zdobyłby się na tego rodzaju strusią politykę niewiedzy, ale to chyba całkiem co innego.

No więc - podjął znowu swobodnym tonem - moje wyjaśnienia będą musiały z konieczności zastąpić wiadomości podawane przez dzienniki. Otóż mister Coss swym niezwykłym bohaterstwem ocalił od zagłady całe miasto. Brzmi to nieprawdopodobnie, a jednak jest to zupełnie prawdziwe. Miastem, które zawdzięcza mu swe ocalenie jest Nome. Zdawałoby się, że jakiś fatalny pech zawisł nieubłaganie nad tą kresową miejsciną. Trwające od kilku tygodni mrozy i śnieżyce przerwały wszelkie szlaki komunikacyjne łączące północne wybrzeże Morza Beringa z resztą świata, odcinając tym samym Nome od wszystkich ośrodków. Na domiar nieszczęścia wyzdychały wszystkie psy na linii psiej poczty Nenana Nome. Mieszkańcy Nome zostali pozbawieni dowozu świeżych produktów będąc skazani na odżywianie się wyłącznie konserwami. W mieście nastąpiło to, co było nieuniknione w tych warunkach: wybuchła gwałtowna epidemia szkorbutu. Niewielkie zapasy szczepionki przeciwskorbutowej zostały wkrótce zupełnie wyczerpane, nowych zaś nie można było w żaden sposób dostarczyć. Próbowano wszelkich możliwych sposobów. Wysłano samolot - wyprawa skończyła się tragicznie, pociągając za sobą śmierć dwóch pilotów. Jeden z największych naszych lodołamaczy musiał się wycofać z uszkodzonymi maszynami. Wszystkim opadły ręce. Radiostacja w Nome niemal co chwila wysyłała na falach eteru rozpaczliwe błagania o pomoc. Epidemia szalała w oddanym na jej łaskę mieście, zabierając coraz to nowe ofiary. Zaczęto już tracić nadzieję na ocalenie nieszczęśliwej ludności. Nie zanosilo się bynajmniej na rychłą zmianę pogody. Śnieżna burza zaciągnęła się według przewidywań obserwatorów meteorologicznych na całe tygodnie. Miastu groziła ostateczna zagłada. I właśnie wtedy mister Coss, wykopawszy jakiś zaprzęg, ruszył sam jeden w podróż, dla której przebycia trzeba było całych dziesięciu zaprzęgów i ludzi. Przedsięwzięcie wyglądało na zupełnie niedorzeczne. Porwanie się na pokonanie w tych warunkach przeszło siedmiuset mil niezwykle trudnego szlaku było czynem desperackim, bohaterstwem graniczącym z... szaleństwem. Jednak wbrew przesłankom logiki, mister Coss po dwutygodniowej wędrówce dotarł jakimś cudem, bo tego nie można inaczej nazwać, do Nome, przywożąc zbawcze serum.

Urwał, sięgając po szklankę z wodą. Musiał zwilżyć zaschnięte gardło. Cóż zresztą dziwnego, że zaschło - mówił bez przerwy już od dobrych kilku minut. Strasznie pracowity wieczór wypadł mu na zakończenie dzisiejszego, również dość uciążliwego dnia.

Mag wsłuchiwała się w słowa Adlera, zachowując absolutne milczenie. Niemal wstrzymywała oddech, by lepiej słyszeć cudowną opowieść. Wchłaniała ją chciwie całą swą istotą.

Harry bohater. Nie krwiożerczy drapieżnik, szczuty ze wszystkich stron, a człowiek, który dokonał czynu uznanego przez innych za niemożliwość. W sercu jej dokonała się głęboka przemiana. Mogła wreszcie kochać z dumnie podniesionym czołem. Stało się więc to, o czym dotychczas nawet nieśmiała marzyć. Kochała człowieka o nieskazitelnym, czystym honorze. Jakżeż daleko odbiegła od uczuć, miotających jej duszę w chwili, gdy przekraczała próg tego pokoju.

Adler wypił kilka łyków wody i postawił szklankę na biurko.

- Niestety jednak - podjął znowu - trudy nieludzkich zmagani wyczerpały zupełnie jego organizm. Doszedł do celu ostatecznie wycieńczony i chory. Znalaziono go zemdlonego u granic miasta. Teraz znajduje się między życiem a śmiercią. Raczej nawet... bliżej śmierci. W gorączce wzywa panią bezustannie. Lekarz, który się nim opiekuje twierdzi, że gdyby chory panią zobaczył, wpłynęłoby to zbawiennie na jego samopoczucie i stan zdrowia. To właśnie jest przyczyną naszej... hm... cokolwiek nieregularnej inicjatywy. Chodzi o jego życie...

Mag siedziała przez chwilę sztywno, jakby ogłuszona. To wszystko następowało zbyt prędko po sobie. Harry chory, bliski śmierci?

Znowu ciemne chmury spłynęły nad jej głowę, gasząc dopiero co odrodzone uczucie beztraskiej szczęśliwości.

- Wzywa ją bezustannie - zajaśniały naraz w jej mózgu słowa Adlera. Powinna iść do niego, zaraz... w tej chwili... może jeszcze potrafi ocalić jego życie...

Zerwała się gwałtownie z fotela.

- Przepraszam - szepnęła jak we śnie - muszę...

- Proszę jeszcze zaczekać parę minut - wstrzymał ją łagodnym gestem - postanowiłem objaśnić pani dokładnie wszystko co tyczy się roli mister Cossa w całej tej niesamowitej historii, zanim się pani do niego uda. To nasz obowiązek, bo mister Coss na pewno nie zdradzi się na ten temat ani jednym słówkiem.

Opadła bezwolnie z powrotem na fotel. Tak, miał rację. Powinna wiedzieć o wszystkim, by móc Harry'ego później przebłagać za niegodne podejrzenia.

- Otóż, jak mówiłem poprzednio, mister Coss nie był Wilkiem. Był on... - Adler zniżył głos, patrząc nieufnie w stronę drzwi - kimś wprost przeciwnym, jeżeli można w ten sposób powiedzieć...

- Kim? - zawisła wzrokiem na jego wargach.

- Detektywem. Najzdolniejszym detektywem Alaski. Z początku na usługach kolei, później przeszedł na służbę państwa. Rozwiązanie wielkiej afery w czasie budowy toru Seward stanowiło jego pierwszy krok na tej drodze. Na ślad tajemnicy wpadł podobno zupełnie przypadkowo. Był to olbrzymi sukces. Nad tą sprawą głowiło się bezskutecznie kilku najtęższych detektywów sprowadzonych od nas, a przecież rozwiązanie znalazł dopiero Coss. Chodziło wtedy o dlbrzymie sumy, bodaj czy nawet nie sięgające setek tysięcy dolarów. Gdy zjawił się w zarządzie kolei i powiedział z prostotą: sprawa wygląda tak i tak, i gdy po sprawdzeniu dostarczonych przez niego danych okazało się, że nie omylił się ani na jotę, złapano się za głowy z podziwu. Zaangażowano go z miejsca. Od tego momentu wszystkie większe sprawy dotyczące kolei przechodziły przez jego ręce. Wykazywał w nich nieprawdopodobną wprost intuicję, graniczącą niekiedy z jasnowidztwem.

Nie było takiej trudnej zagadki, której by nie rozwiązał w rekordowo szybkim czasie. Wyplacone honoraria sięgały nieraz bardzo poważnych sum. To stanowiło, jak mam wrażenie, jedną z przyczyn poświęcenia się przez mister Cossa temu niebezpiecznemu zawodowi. Interesy jego nie stały wtedy zbyt świetnie. Potem zainteresował się nieuchwytnym Wilkiem. Ofiarował swe usługi prokuratorowi Wilmersowi, który przyjął je z otwartymi ramionami. Kolej też nie oponowała przeciwko zmianie przez swego detektywa rodzaju spraw, bowiem Wilk kosztował ją ładny kawał grosza...

Mag słuchała jak urzeczona. Harry detektywem? To już nie mogło się jej pomieścić w głowie. Tkwiąca w sercu sylwetka ukochanego uległa zbyt szerokim, jak na jej zmęczony umysł metamorfozom.

- A... dlaczego nie powiedział mi o tym wszystkim ani słówka? - zapytała z lekkim niedowierzaniem - przecież wiedział o co go podejrzewałam!

- O zawodzie Cossa wiedzieli tylko bardzo nieliczni. Poświęcając się karierze detektywa postawił kategoryczny warunek, by jego zajęcie pozostawało w jak najgłębszej tajemnicy, twierdząc, że tylko w takim wypadku może pracować swobodnie i skutecznie. Nie wiedziała nawet policja. Tylko gubernator, prokurator Wilmers i pomocnik Cossa, zaangażowany przez niego osobiście dla obserwacji parku Mac Kinleya. Nikt więcej. Jak pokazały następne wypadki, mister Coss miał pod tym względem zupełną rację. A poza tym, to już jest jednak osobistym wrażeniem odniesionym przez prokuratora Wilmersa, mister Cossowi chodziło jeszcze o coś innego: obawiał się mianowicie, by charakter jego pracy nie zraził do niego pewnych... Hm... bliskich osób... - umilkł wyraźnie zakłopotany..:

- Czy... czy miał mnie na myśli? - zająkała się nieśmiało. Adler kiwnął potakująco głową.

- Tak przynajmniej przypuszczał Wilmers. Mag spłonęła bladym rumieńcem.

- A kto w takim razie był Wilkiem? - zapytała po chwili milczenia.

Adler wpatrzył się badawczo w jej twarz, noszącą jeszcze ślady niedawnych łez.

- Tak, ma pani prawo wiedzieć i o tym - powiedział bezbarwnie - to jest nie tylko moje zdanie i dlatego też upoważniono mnie do zakomunikowania pani tej wiadomości, stanowiącej najściślejszą tajemnicę państwową. Muszę jednak przedtem prosić panią o absolutną dyskrecję...

- Będę milczała jak głaz - zapewniła solennie.

- Dziękuję pani - skłonił poważnym ruchem głowę - jestem pewien, że mogę z całym zaufaniem powierzyć w pani ręce tę bolesną tajemnicę: Wilkiem był... Mac Dufty...

- Co! - drgnęła gwałtownie, patrząc na niego rozszerzonymi ze zdumienia oczyma - inspektor policji?

Adler opuścił wzrok. Sprawa ta stanowiła plamę na mundurze policyjnym, którym się szczyił.

- Niestety... on - potwierdził ponuro.

- Ale... - z trudem segregowała w myśli nawał rewelacji - to chyba niemożliwe... przecież wtedy... - w czasie balu na Starej Farmie był obecny, a pomimo to miał miejsce napad bandytów, którym przewodził sam Wilk?

Adler uśmiechnął się dyskretnie.

- Wilmers przewidział pani wątpliwości na ten temat i dlatego opisał mi napad na Farmie z całą dokładnością. Napad ten miał zresztą pewne niedociągnięcia w reżyserii, stając się pierwszym poważniejszym potknięciem Wilka na jego drodze zbrodni. Otóż, czy pani widziała inspektora na sali w chwili wejścia bandytów?

Nie odpowiedziała od razu, przypominając sobie każdą sekundę tragicznego balu.

- Nnie... jednak przed tym - bąknęła z namysłem - rozmawiałam nawet z nim i...

- Właśnie o to chodzi - przerwał jej uprzejmie - nikt nie widział Mac Dufty'ego od momentu wtargnięcia bandytów, aż do ich zniknięcia. Pojawił się znowu dopiero w pewien czas po opuszczeniu przez bandę sali. Twierdził wprawdzie, że wyszedł po coś do swego samochodu, stojącego na tyłach domu i nie widział bandytów, ale to nie była oczywiście prawda. Więcej nawet - nie było możliwością, bowiem jak to później sprawdzono, strzały oddane w sali doskonale słyhać na tylnym podwórku. Wilk przeholował w swej zuchwałości, urządzając napad na dom, w którym się sam znajdował. Cała ta kombinacja wygląda już na mocno naciągniętą. Po prostu liczył na to, że nikt nie ośmieli się zadawać niedyskretnych pytań inspektorowi policji. Znalazł się jednak ktoś taki, a był nim detektyw

Cliffton. Ta indagacja naruszyła niewzruszony dotychczas spokój Mac Dufty'ego. Domyślił się, że detektyw go podejrzewa. Wytrąciło go to z równowagi i zaczął popełniać fałszywe posunięcia jedno po drugim, nie wiedząc zaś o roli mister Cossa, krył się tylko z jednej strony, to jest przed Clifftonem. Jednak ten deptał mu coraz bardziej po piętach. Bandycie zrobiło się ciasno. Zaczął się poważnie obawiać zdemaskowania. Wreszcie wciągnął Clifftona w zasadzkę, w której go zamordował. Coss szedł na pomoc nieszczęśliwemu detektywowi, nie zdążył jednak. Wtedy właśnie przyszło do pierwszej otwartej strzelaniny z bandą Wilka. Nie zdołali unieszkodliwić Cossa, choć go dość poważnie zranili. To już było początkiem końca bandy. Pierwszy człowiek, który wyszedł żywy ze starcia z tajemniczym Wilkiem stał się jego zgubą. Mac Dufty miotał się w sieci z coraz większą desperacją. Brakło mu szerszego oddechu. W końcu jak się zdaje przejrzał Cossa. Ale było już za późno. Wreszcie... - dyrektor zamyślił się na chwilę. Nie - postanowił w duchu - lepiej nie odsłaniać przed nią udziału narzeczonego w końcowych scenach dramatu. Kobieta jest zawsze kobietą. - Wreszcie - powtórzył - Mac Dufty zginął, a wraz z nim przestał istnieć i Wilk.

- Prokurator zamknął raz na zawsze tę historię, umarzając na skutek polecenia najwyższych władz kraju dochodzenie. Historia wyglądała zbyt paskudnie, by ją można było rozgłaszać. Toteż postanowiono zachować ją w jak najgłębszej tajemnicy. Wskutek tego postanowienia nie mogliśmy zrehabilitować w należyty sposób mister Cossa, który w niejednych oczach uchodził za Wilka z powodu stworzenia przez siebie, w celu łatwiejszego zamaskowania swej istotnej roli, fałszywych pozorów. Zamurowało ono również usta mister Cossowi. Jako człowiek honoru nie powie na pewno na ten temat ani jednego słowa do końca życia.

- Czy to jest sprawiedliwe w stosunku do niego? - zapytała cicho Mag.

Adler rozłożył ręce.

- Nie moją jest rzeczą sądzić o tym. Ale niech pani weźmie pod uwagę, że chodzi tu o Alaskę, gdzie ze względu na specyficzne warunki, musimy dbać ze szczególną troskliwością o prestiż władz państwowych. Są pewne sprawy w życiu organizmu państwowego, wobec których wzgląd na osobiste szczęście, a nawet życie jednostki musiał ustąpić na dalszy plan. Mister Coss rozumiał to doskonale i dlatego nie protestował przeciwko takiemu załatwieniu.

Mag schyliła z rezygnacją głowę.

- Tak - szepnęła - to prawda. Wstyd mi, że nie zrozumiałam od razu słuszności tej zasady. Widocznie - westchnęła - nie dorosłam jeszcze do mister Cossa.

Podniosła się powoli z fotela.

- Dziękuję - wyciągnęła ku Adlerowi drobną dłoń - nawet pan nie wie, co mi dała ta rozmowa. Przywróciła mi po prostu życie i wiarę w samą siebie.

Dyrektor uścisnęła drżącą rękę dziewczyny.

- Chce pani pojechać do Nome?

- Oczywiście - zawołała żywo - natychmiast. I tak zbyt wiele czasu straciłam na egoistycznym rozmyślaniu o swych rzekomo doznanych od życia krzywdach - dodała z tłumionym żalem.

- Przewidzieliśmy to. Ponieważ zaś normalną trasą podróż trwałaby niezmiernie długo, oddajemy do pani dyspozycji samolot rządowy, o ile jej dogadza ten sposób podróży.

- O - podniosła na niego zdumione oczy - samolot rządowy? Adler uklonił się z powagą.

- Ależ tak. Widzi pani, uważamy jej osobę za niezbędną do życia mister Cossa. A jego życie stało się czymś w rodzaju własności narodowej.

W tej chwili zabrzączał niespodziewanie mikrofon telefonu.

W miarę słuchania jego niewyraźnych dźwięków twarz Adlera pochmurniała coraz bardziej. - Przepraszam panią - zatrzymał w połowie drogi kierującą się ku drzwiom Mag - rozmowa dotyczy zamierzonej podróży. Otrzymałem właśnie wiadomość z lotniska, że warunki na trasie lotu pogorszyły się w znacznym stopniu.

Mag zmartwiała. Nowa przeszkoda.

- Czy to uniemożliwi podróż samolotem? - zapytała z serdecznym niepokojem. Zdawała sobie już teraz doskonale sprawę, że jazda koleją nie daje żadnych szans dotarcia do Nome, a w każdym razie dotarcia na czas...

Adler zamyślił się przez króciutką chwilę.

- Uniemożliwi? - powtórzył powoli - nie. Ale uczyni ją o wiele trudniejszą, a przede wszystkim znacznie niebezpieczniejszą. Niech pani pamięta o losie dwóch pilotów, którzy usiłowali w czasie burzy śnieżnej dolecieć do Nome. A teraz właśnie, jak mi donoszą, panuje gwałtowna śnieżnica.

- Jeżeli dacie mi samolot i znajdzie się ktoś, kto zechce nim kierować, to jadę - oświadczyła stanowczo.

Adler skłonił się z szacunkiem, jak przed bohaterką. Ryzykowała niemal tyle, co Coss w czasie swej wędrówki z serum.

Samolot jest do pani dyspozycji - powiedział poważnie. - Jeśli pani po namyśle nie zmieni swego zamiaru - życzę szczęśliwej podróży. Wśród pilotów na pewno znajdzie się niejeden, który z chęcią zaryzykuje własne życie dla ocalenia życia Cossowi.

- Jeszcze raz dziękuję panu za wszystko i żegnam - zniknęła pospiesznie za drzwiami, jakby w obawie, by nie odwołał swego przyzwolenia.

Adler patrzył w głębokiej zadumie na lśniąca powierzchnię skóry pokrywającej drzwi.

- Tak - szepnął w końcu do siebie, wyjmując z kieszeni fajkę - ci dwoje mogliby stanowić potężny argument przeciwko zdaniu o spodleniu dzisiejszego pokolenia...

X

MAG WYRUSZA W DROGĘ

Wielka czarna limuzyna dyrektora policji przecinała błyskawicznym pędem ruchliwe ulice miasta. Ryk policyjnej syreny spędział spotykane wozy na bok, otwierając wolną drogę.

Mag przykucnęła na brzeżku elastycznego, obitego ciemną skórą siedzenia, ściskając kurczowo w rękę pleciony, jedwabny sznur. Auto nosło miękko i bez wstrząsów, ale na zakrętach zarzucało tak gwałtownie, że gdyby nie ten uchwyt, spadłaby niewątpliwie już dawno na podłogę. O szerokie kryształowe szyby uderzały z rozpędem białe, mokre płyty śnieżne, zalepiając je coraz bardziej nieprzeniknącą zasłoną. Widocznie śnieżycy znowu przybrała na sile. Oby tylko nie uniemożliwiła lotu. Rozcinany z impetem wiatr był przeciągle za szybami. Po nieskończeniu długim, jak miała wrażenie, czasie samochód zahamował ostro. Drzwiczki otworzyły się i do zacisznego wnętrza wpadł gwałtowny tuman wirujących płatków, muskając jej twarz mokrym dotykiem.

Stojący przy stopniu kierowca przyłożył dłoń do daszka swej czapki.

Przyjechaliśmy, proszę pani - oznajmił - dziesięć mil w osiem minut. To wcale niezłe tempo jak na taką pogodę - dodał z odcieniem chępliwości.

Podziękowała mu niewyraźnym uśmiechem, biegnąc niemal w kierunku olbrzymiego, rzęście oświetlonego gmachu lotniczego.

W wielkiej sali panowało niezwykłe podniecenie. Zaaferowani ludzie w podróżnych strojach biegali nerwowo tam i z powrotem.

Mag rozglądała się bezradnie wokoło. Nie mogła nic zrozumieć z całego tego rozgardiaszu.

- Co się stało? - odważyła się zatrzymać jakiegoś starszego pana, spacerującego bez widocznego celu pomiędzy betonowymi filarami, podtrzymującymi strop sali.

Spojrzał na nią z ukosa.

- To pani jeszcze nie wie?

- Nie - zaprzeczyła z poczuciem własnej winy, taki bezmiar zdumionego oburzenia dźwięczał w jego głosie - przyjechałam dopiero w tej chwili.

- To się pani dowie ładnych rzeczy. To po prostu skandal, jak funkcjonują nasze linie lotnicze. Dzisiaj odwołali wszystkie nocne starty, nie licząc się zupełnie z interesami podróżnych. Nie mogą zrozumieć, że ja muszę koniecznie być jutro rano w Portlandzie. A jak niby mam zdążyć. Jeżeli się spóźnię, może mnie to kosztować ładnych parę tysięcy dolarów. Kto mi zapłaci za stratę? Ale ja tego nie zostawię w ten sposób. Poruszę prasę... Trafię gdzie należy. Ma się przecież jakie takie stosunki. Ja...

Mag wycofała się pospiesznie. Perora rozżalonego osobnika zapowiadała się na dłuższy czas.

Trwało dobrych kilka minut, zanim zdołała się dopytać o drogę do gabinetu kierownika lotniska.

W pierwszej chwili zachmurzona twarz kierownika nie wróżyła niczego dobrego. Nie pozwalając jej otworzyć ust, zawołał niecierpliwie, gdy stanęła na progu.

- Nic nie mogę poradzić proszę pani. Nie ja tu rządzę, a komunikaty meteorologiczne. Stan pogody zupełnie niemożliwy. Nie mogę ryzykować życia podróżnych i całości maszyn. Nie odbędzie się ani jeden start.

Powtarzał to już dwudziesty któryś raz z rzędu. Był wyraźnie zdenerwowany. Poza plecami młodej dziewczyny czerniała kolejka interesantów, którym będzie musiał powtórzyć to samo. A w ciągu dzisiejszego wieczoru nasłuchiwał się aż nadto nieprzyjemnych uwag.

Mag zmartwiała. Więc wszystko przepadło? Nie zdąży...

Podeszła niepewnym krokiem do biurka. Kierownik lotniska popatrzył na nią niechętnym wzrokiem. Sądząc po jej delikatnej twarzy miał nadzieję, że pozbędzie się jej od razu. Widocznie nic z tego. Pozory zawodzą. Zaraz ta delikatna panienska rozpuści buzię, jak niejeden z jej poprzedników.

- Jestem Margaret Barton - szepnęła nieśmiało.

Margaret Barton? - spojrzał na nią - więc cóż z tego. Gdyby pani była nawet samym gubernatorem, to i tak by nic nie pomogło. Nie odleci dzisiaj żadna maszyna z naszego lotniska.

Mag zachwiała się pod niespodziewanym ciosem.

- Przepraszam... - szepnęła ledwie dosłyszalnym głosem - myślałam, że dyrektor Adler...

Nagle nogi pod nią zwiotczyły. Musiała się oprzeć o brzeg biurka, aby nie upaść na podłogę.

Kierownik zaniepokoił się.

- Proszę, niech pani spocznie - wskazał lekkim gestem fotel. Nie skorzystała jednak z tego zaproszenia, zbierając siły. Nie ma czasu na mazgajenie się. Harry na nią czeka. Skoro ta droga zawiodła, musi poszukać innej. Za wszelką cenę powinna dotrzeć jak najprędzej do Nome.

- Dziękuję... ja...

Kierownik nieoczekiwanie uderzył się dłonią w czoło. Dopiero teraz nazwisko dyrektora wzbudziło oddźwięk w jego zmęczonym umyśle.

- Zaraz... zaraz... - zawołał pospiesznie, widząc, że zbiera się do odejścia. - Pani zdaje się wspominała dyrektora Adlera?

- Tak. Mówił mi, że porozumiał się telefonicznie z panem.

- Uhum... rzeczywiście - przypominał sobie coraz dokładniej rozmowę z dyrektorem policji, która pod wpływem dzisiejszego zamieszania wyleciała mu z głowy - a pani nazwisko...?

- Margaret Barton - powtórzyła. Nadzieja znowu zaczęła świtać w jej sercu.

- Ooo - zabębnił palcami po blacie biurka - to pani jest narzeczoną mister Cossa.

- Tak... to jest właściwie...

- Chwileczkę - tym razem gest, którym wskazywał fotel wypadł znacznie uprzejmiej od poprzedniego - to oczywiście zupełnie zmienia sytuację... Ależ gapa ze mnie - bąknął przeproszającym tonem - w tym rozgardiaszu człowiek może zapomnieć o wszystkim.

- Niech pani siada - dodał widząc, że wciąż stoi nieruchomo - musimy trochę porozmawiać na temat zamierzonej przez panią podróży.

Usłuchała, przysiadając na brzeżku fotela.

- Więc to nie jest niemożliwe? - wstrzymując oddech oczekiwała trwoźnie na odpowiedź mającą zdecydować o losie dwojga ludzi.

Kierownik przetarł jedwabną chusteczką zapotniałe okulary, osadzając je z powagą z powrotem na nosie.

- Cóż... traktując sprawę z punktu widzenia ogólnych przepisów, należałoby, prawdę powiedziawszy, uznać lot za absolutnie niemożliwy wobec treści komunikatów meteorologicznych. Właściwie nie mam prawa puszczać z lotniska przy takich jak dzisiaj warunkach ani jednej pasażerskiej maszyny. Ale kwestia życia mister Cossa, to zupełnie co innego. Dokonał tak wiele dla społeczeństwa, że jest po prostu naszym najświętszym obowiązkiem zrobienia wszystkiego, co leży w naszej mocy, aby go ocalić. Dlatego, wbrew wszelkim zasadom nie mogę pani odpowiedzieć: nie - na jej prośbę. Rozmawiałem z kim należy w tej sprawie i zdecydowano oddać do pani dyspozycji maszynę...

- A czy pilot... czy znajdzie się ktoś, kto by chciał poprowadzić samolot?

Kierownik uśmiechnął się z dumą.

- Dziesięciu, proszę pani. Gdy przedstawiłem naszym chłopcom całą historię i zapytałem, który z nich poleci na ochotnika, bo mimo wszystko nie miałbym sumienia wydać w tym względzie rozkazu, zgłosili się wszyscy bez wyjątku. O mały włos nawet nie wybuchła poważna kłótnia z tego powodu. Każdy chciał być tym, który poleci z panią. Musiałem wyznaczyć z urzędu. Wybrałem Johna Hartmana. Pierwszorzędny pilot. A poza tym pracował przez dłuższy czas na kanadyjskich liniach i nieraz odbywał loty na Alaskę, więc zna trasę lepiej od innych. W ten sposób nie ma technicznych przeszkód. To jednak jeszcze nie wszystko. Muszę panią uprzedzić, że lot w czasie burzy śnieżnej grozi wielkim niebezpieczeństwem...

- To nie ma dla mnie żadnego znaczenia, panie kierowniku

- oświadczyła pewnie Mag - ja...

- Przepraszam panią - przerwał jej - chciałbym postawić kwestię w sposób zupełnie wyraźny. Mówiąc o niebezpieczeństwie, nie miałem bynajmniej na myśli jakiegoś opóźnienia czy innych niedogodności. Przymusowe lądowanie w czasie burzy śnieżnej grozi śmiercią, a procent możliwości takiego lądowania będzie dzisiejszej nocy bardzo duży. Musi pani to sobie rozważyć przed powzięciem ostatecznej decyzji.

- Nie mam nad czym się zastanawiać. Jestem przygotowana na wszystko, byle tylko dostać się do Nome - rzekła z mocą - i jeżeli tylko mister Hartman...

Kierownik rozłożył ręce, jakby zrzucając z siebie wszelką odpowiedzialność.

- Zaraz będzie pani mogła porozumieć się z nim osobiście

- nacisnął taster leżącego na biurku dzwonka.

Niemal w tej samej chwili otworzyły się drzwi i na progu stanął wyrostek w błękitnej liberii. Wyglądało na to, że stał tuż pod drzwiami oczekując wezwania...

- Mister Hartman - rozkazał krótko kierownik.

Nie minęło nawet parę minut, gdy do gabinetu wszedł elastycznym krokiem szczupły, niezbyt wysoki mężczyzna w sportowym garniturze. Z otwartej, ogorzałej twarzy patrzyły energicznie szare źrenice.

- Pan mnie wzywał?

- Tak. Oto - wskazał na Mag - pańska pasażerka, o której rozmawialiśmy po południu. Pani pozwoli sobie przedstawić jednego z najznakomitszych pilotów naszej linii.

- John Hartman - równe, białe zęby błysnęły w przyjaznym uśmiechu.

- Czy pan zechce ze mną polecieć? - spojrzała na niego błagalnie. - Podobno jest taka pogoda...

Hartman wzruszył lekceważąco ramionami.

- Pogoda, jak pogoda, proszę pani. Widziałem już gorsze. Choć, szczerze mówiąc, rzadko. A sprawa mojej chęci lotu została już dawno załatwiona. Omawialiśmy wszystko szczegółowo z dyrektorem. Ja i mój poczciwy Douglas jesteśmy do pani dyspozycji. Możemy wystartować choćby za parę minut. Nie wiem jednak, czy kierownik panią uprzedził... - spojrzał pytająco na siedzącego za biurkiem zwierzchnika.

- Tak - potwierdził kierownik - przedstawiłem pani całe niebezpieczeństwo, związane z zamierzonym lotem.

- I...? - Hartman zerknął z zaciekawieniem na bladą twarzyczkę Mag.

- Miss Barton jest zdecydowana pomimo wszystko polecieć

- odpowiedział kierownik.

Lotnik uśmiechnął się z uznaniem.

- W takim razie wszystko all right. Wystartujemy za chwilę, jeżeli nie ma pani przed tym czegoś do załatwienia.

Mag podniosła się skwapliwie z fotela.

- Jestem gotowa.

Hartman przesunął niezbyt zachwyconym spojrzeniem po jej lekkim futerku i jedwabnych pończochach, połyskujących ponad płytkimi botkami.

- Chce pani podróżować na Alaskę w tym ubraniu? - pokręcił głową z powątpiewaniem.

Mag wtuliła obronnym ruchem głowę głęboko w ramiona. Prawda, nie poczyniła żadnych przygotowań do drogi. Dyrektor Adler coś tam wspominał o zabranii koniecznych rzeczy ze sobą, ale w pośpiechu zapomniała o tym zupełnie. Gdy tylko znalazła się w samochodzie, poleciała od razu jechać na lotnisko, nie myśląc o niczym innym poza tym, by jak najprędzej wystartować. Wydawało się jej, że każda stracona minuta może uniemożliwić lot wskutek przybierającej ustawicznie na sile śnieżycy. Jeżeli jej teraz każą wracać do mieszkania wujostwa, to znowu straci całą masę czasu.

I nie wiadomo, czy ciotka nie zabroni jej ryzykownej podróży. Mogła po prostu zatrzymać ją siłą.

- Mieszkam tak bardzo daleko... - bąknęła - i jest tak późno, a tam... - umilkła nie znajdując przekonujących argumentów.

Lotnik mrugnął porozumiewawczo okiem.

- Rozumiem. Ja też na miejscu pani opiekunów nie byłbym zachwycony specjalnie projektem tego rodzaju wycieczki.

- Czy pani jest pełnoletnia? - wtrącił niespodziewanie kierownik.

Mag poczerwieniała. Brakowało jej coś niecoś do pełnoletności.

- Ja...

Kierownik spochmurniał. Tego dotychczas nie wziął pod uwagę. A przecież komplikowało to mocno sprawę. Co innego, gdyby nie wiedział.

W tej chwili miał do siebie niemal żal za zadanie tego pytania.

- Panie kierowniku, ja... - zaczęła znowu spuszczać oczy. Kłamstwo jakoś nie chciało się jej przecisnąć przez gardło.

Nie wiadomo, czym by się ta scena skończyła, gdyby nie Hartman, który zorientowawszy się w niebezpieczeństwie, postanowił przyjść z pomocą dziewczynie.

- Panie kierowniku - zawołał energicznie - jeżeli mamy lecieć, to trzeba wystartować jak najprędzej. Kto wie, czy później nie przygniecie nas od razu do ziemi. Dopiero wtedy odetchnę, gdy będę podwoziem kilkaset metrów ponad tymi paskudnymi chmurami. Do tego musimy pomyśleć o jakimś ciepłym okryciu dla pani.

Kierownik zamruczał coś niewyraźnego pod nosem, nie ponawiał już jednak badania.

- Życzę pani szczęśliwej podróży uścisnął mocno jej rękę na pożegnanie - mam nadzieję, że wszystko pójdzie szczęśliwie - odchrząknął lekko ze wzruszeniem. Nie był zupełnie pewien w swoim sumieniu, pozwalając tej młodej dziewczynie na tak ryzykowne przedsięwzięcie. Gdyby podróż skończyła się tragicznie, czułby się niewątpliwie współwinnym jej śmierci.

- Dziękuję panu.

Mag podążyła za lotnikiem w obawie, że znowu wyrośnie jakaś nieoczekiwana przeszkoda. Szła za nim bez słowa. - Byleby się tylko nie cofnął - myślała trwożliwie.

Po kilku krokach znaleźli się w obszernej izbie, tonącej w gęstych obłokach tytoniowego dymu. Kilka postaci tkwiących w głębokich fotelach na stuk drzwi podniosło ciekawe głowy, ujrzawszy jednak Mag, powróciło czym prędzej do przerwanej lektury dzienników. Stanowiło to niewątpliwie dowód nie byle jakiej dyskrecji z ich strony, bowiem wizyta młodej i pięknej damy w izbie odpoczynkowej pilotów należała do zgoła niezwykłych wydarzeń.

Mag stanęła onieśmielona na progu.

Hartman zrozumiał przyczynę jej zażenowania i nie usiłował zapraszać w głąb izby. Zresztą, jak to już zdążył zauważyć, garderoba niektórych kolegów, kryjących się wstydliwie w cieniu swych foteli, nie była całkowicie kompletna.

- Proszę chwileczkę poczekać - zanurzył się w mgłę dymu, skąd powrócił prowadząc siwego mężczyznę, pospiesznie obciągającego na sobie nieco wymiętoszoną kurtkę.

- Pan intendent Harris, miss Barton - zadośćuczynił pokrótce ceremonii przedstawienia nowo przybyłego.

Harris skłonił się z szacunkiem.

- Jestem na pani usługi, miss Barton - wrodzone poczucie delikatności nie pozwoliło mu wspomnieć - że historia Cossa od kilku dni jest głównym tematem rozmów wśród lotników.

Miss Barton ma zamiar w tym ubraniu polecieć do Nome - oświadczył Hartman.

- Ooo zaniepokoił się intendent - ależ to niemożliwe. - Właśnie potwierdził z przekonaniem jestem tego samego zdania. Zamarzłaby na śmierć w drodze. Gdy znajdziemy się poza sto pięćdziesiątym czwartym stopniem długości i sześćdziesiątym czwartym szerokości geograficznej, ogrzewanie kabiny niewiele pomoże. Zresztą w ogóle nie jestem pewny, jak ono będzie funkcjonowało. Nasz Douglas nie jest specjalnie przystosowany do arktycznych podróży. Dlatego też przyprowadziłem panią do intendenta, aby go poprosić o wypożyczenie jakiegoś odpowiedniego kombinezonu.

- Słusznie. Ale nie wiem czy znajdę coś pasującego na pani figurę - przesunął bacznie oczyma po jej szczupłej sylwetce jakby brał z niej miarę - chyba... może damy pani kombinezon Wallisa?

- Wallisa? - Hartman pokręcił głową - wolałbym coś innego. Nie, stanowczo nie miał zamiaru zabierać na swój samolot kombinezonu Wallisa. Lubił bardzo tego chłopca, ale Wallis zginął w katastrofie niespełna miesiąc temu, a Hartman był przesądny.

Harris stłumił westchnienie. Prawda, zapomniał o losie właściciela kombinezonu.

- W takim razie - zgodził się natychmiast - wyszukamy pani coś innego. Ale mam wrażenie, że nie będzie leżał zbyt dobrze

- zastrzegł z uśmiechem.

- Jakoś sobie dam radę - powiedziała Mag.

- I ja tak sądzę - odpowiedział wesoło Hartman - tam, dokąd się wybieramy, nie jest przewidziana w najbliższym czasie żadna rewia mody. Przynajmniej o ile mi wiadomo.

Był bardzo zadowolony z szybkiej decyzji intendenta co do pechowego kombinezonu. W gruncie rzeczy Hartman wstydził się trochę swych przesądów, ale przewyższyły one jego

siłę woli. Intendent kazał przynieść kilka podbitych futrem kombinezonów, dobierając najodpowiedniejszy dla Mag. Mag, nie chcąc tracić cennego czasu, wybrała pierwszy z brzegu, wytłumaczył jej jednak, że zbyt obszerny uniemożliwi jej swobodę ruchów, co w pewnych warunkach mogło stanowić o życiu.

- Niech pani sobie na przykład wyobrazi - wywodził wyciągając któryś z rzędu kombinezon z przyniesionej sterty - że wskutek przymusowego lądowania, trzeba będzie wędrować dziesiątki mil, zanim się dotrze do jakichś ludzi. W takim wlokącym się po ziemi worku będzie pani miała dość po przejściu kilku kroków i albo zginie pani z głodu, albo z zimna zrzuciwszy futro.

Hartman potakiwał energicznie słowom intendenta.

W rezultacie Mag nie tyle przekonana ich argumentami, co w obawie, by nie odwołali w ostatniej chwili startu, stała nieruchomo, pozwalając bezwolnie przymierzać na sobie niezliczoną ilość ciężkich futer. W końcu po ożywionej naradzie Hartman z intendentem zdecydowali się na jedno z nich, pasujące ich zdaniem najlepiej. Wprawdzie i ono nie leżało na dziewczęcej postaci jak ulał, piętrząc się w najmniej spodziewanych miejscach w potworne garby, ale przynajmniej mogła w nim poruszać się względnie swobodnie.

Po upływie jeszcze kilku minut Mag znalazła się wreszcie na dworcu w towarzystwie Hartmana, odzianego również w futrzany kombinezon, w którym, jak to mimo woli zauważyła, wyglądał niewątpliwie znacznie lepiej, niż ona w obwisłym futrzanym worku.

Zadymka wirowała niemal nieprzeniknioną zasłoną białych płatków. Po przejściu zaledwie kilka kroków straciła prawie zupełnie z oczu jarzące światła dworca.

Z oddali przybliżał się głuchy warkot niewidzialnego motoru, potężniejąc z każdą chwilą. Przesunął się, jak Mag odniosła wrażenie, tuż nad nią i zaczął słabnąć.

- Co to jest? - Hartman podszedł ku jakiejś niewyraźnej sylwetce, zamarłej w bezruchu z głową zadartą do góry.

- Osobowy z Winnipeg - odpowiedział tamten jakimś szczególnie głuchym tonem.

- Z Winnipeg? - zdziwił się wyraźnie Hartman - teraz?

- Tak. Ma około dwóch godzin spóźnienia. Cóż dziwnego - przy takiej burzy? Ląduje na ślepo. Prowadzimy go radiogoniometrem, ale jakoś nieszczęśliwie. Robi już trzeci nalot i nie może trafić. Jeżeli teraz spudłuje... - urwał znacząco. Znowu zawarczał potężnie motor.

- Wraca - Hartman nachylił się ku dyżurnemu ruchu. Zabłyśły ledwie widoczne punkciki: zielony, czerwony i biały.

Teraz już widzieli kierunek lądowania.

Nagle grzmiot motoru umilkł. W ogłuszone hałasem uszy wpada nabrzmiała grozą cisza.

- Zamknął gaz. Podchodzi do lądowania - westchnął dyżurny, wpijając palce w ramię Hartmana. Żaden z nich nie zauważył tego ruchu. W tej chwili nie istniało dla nich nic na świecie poza drogą zakreśloną przez sygnałowe światelka samolotu. Tuż przed nimi rozgrywała się rozpaczliwa walka o śmierć lub życie.

- O!!! - drgnął gwałtownie dyżurny - patrzcie - patrzcie. Zmylił kąt. Idzie prosto na przewody wysokiego napięcia. WYŁĄCZYĆ PRĄD!!! - wrzasnął na całe gardło niehumanicznym głosem.

Kolorowe punkciki zbliżały się nieuchronnie ku złocistym drutom, niosącym w swym wnętrzu iskrę bezlitosnej śmierci. Mignęły tuż nad fatalną linią. W powietrzu zadrżał pęk niepewnych, żółtawych promieni. Reflektor samolotu szwankował. Wtem nieprzenikniona ciemność spadła na lotnisko. Wyłączono prąd. W ostatnim ułamku sekundy. Zamigotały tuż nad ziemią prostokąciki oświetlonych okien kabiny.

Może przeskoczy - szepnął z nadzieją dyżurny. - Boże, żeby przeskoczył...

Nie skończył. Ogłuszający trzask rozdarł ciszę.

- Skapotował! - jęknął Hartman. Skoczyli obaj bez tchu w kierunku alarmujących dźwięków. Mag pobiegła za nimi. Poruszała się jednak jak we śnie. Przeżywała całą duszą rozgrywającą się przed oczyma scenę. Powietrze wprost tętniło przerażającą ciszą. Światła samolotu zgasły w momencie trzasku.

Niespodziewanie buchnął ku niebu skłócony gwar podniesionych głosów. Zalśniły słabo promyki ręcznych latarek.

Od miejsca lądowania dzieliło ich dobre kilkadziesiąt metrów. Przebiegli jej w jednej chwili. Trwoga o los pasażerów i lotników - dodawała im skrzydeł.

Potęzną, ciemną masą zarysował się wreszcie przed nimi kadłub samolotu. Połowa śmigła sterczała sztywno ku niebu, jakby wzywając jego pomocy, z drugiej pozostało zaledwie kilka rozczapierzonych drzazg. Koniec lewego skrzydła zawisł ku pokrytej śniegiem ziemi poszarpany płatem blachy. Ale nie to było najważniejsze. Z otwartych drzwiczek kabiny wyskakiwały na śnieg ruchliwe sylwetki pasażerów.

W końcu opuściły kabiny dwie postacie okutane w futrzane kombinezony. Załoga samolotu.

- Jak wam poszło? - zapytał pierwszego z nich Hartman.

- Hm... - nie najgorzej - lotnik starł wierzchem wełnianej rękawicy pot obficie spływający z czoła.

- Zawadziliśmy wprawdzie po drodze o jakieś całkiem solidny słupek, gilotynując kawałki maszyny. Ale z ludźmi na szczęście wypadku nie było.

- Uff - odetchnął - gdybyście jednak nie zdążyli w porę wyłączyć prądu, kabina zastąpiłaby z powodzeniem model fotela elektrycznego.

- A jak tam trasa?

Pod zdechłym sztokfiszem - oświadczył zdecydowanie. - Lecieliśmy przez cały czas na ślepo.

- Podstawa pewno też nie lepsza?

- Podstawa? - przeciągnął nieco zdziwiony. W tej chwili promień latarki elektrycznej trzymanej czyjąś ręką przesunął smugę białego światła pomiędzy nimi, zarysowując kontury twarzy Hartmana.

Ooo? Hartman! - przybysz z podniebnego szlaku wyciągnął przyjacielskim gestem ku niemu dłoń w grubej rękawiczce. - Nie poznałem was w tej ciemnicy. Jak się macie chłopie.

Dziękuję, Warton - dłonie ich spotkały się w mocnym uścisku. - Jakoś się trzymam. Winszuję szczęśliwego lądowania. Obserwowałem was przez cały czas. Mogło być kiepsko. Warton wzruszył obojętnie ramionami.

Cóż - zniżył głos zerkając nieufnie na ciemne sylwetki pasażerów, tłoczące się przy kabinie - przyznam się wam szczerze, że już nie bardzo miałem nadzieję na wyniesienie karku w całości z tej przekłętą historią. Diabelnie trudno trafić w kąt lądowania. Gdy jeszcze do tego zobaczyłem śliczne druty przewodów przed samym śmigłem, zrobiłem w duchu rachunek sumienia. Myślę sobie: kaput, bracie Warton. Odbywałeś swą ostatnią podróż. A potem ten trzask. Słychać było chyba na całe kilometry. Gdy zaś zobaczyłem, że maszyna stoi i wszystkie członki mego ciała trzymają się jakoś na swoim miejscu, po prostu nie chciałem wierzyć własnym oczom. Gdybyśmy zresztą uderzyli kabiną w słupek, też zgmiotłoby nas na papkę. Ano... Bóg strzegł. Odeszli nieco na ubocze.

- W rezultacie nic wielkiego. Warton krytycznym okiem obejrzał sylwetkę lewego skrzydła samolotu. - Zmiana śmigła, kilka godzin łataniny i maszyna może stanąć do konkursu piękności.

- Tak - powiedział Hartman udało się. Powiedzcie mi jak wygląda sprawa z podstawą?

Prawda - zaśmiał się cicho - pytaliście mnie już o to. Jednak takie siadanie gmatwa trochę człowiekowi umebłowanie mózgowicy. Nawet mnie trochę zdziwiło. Gdyście do mnie zagadali, myślałem: pewno jakiś ciekawski bubek chce zaznać dreszczyku emocji, rozmawiając z bohaterem niedoszłej katastrofy. Dopiero to fachowe słówko zdradziło pomimo ciemnicy kolegę. Otóż z podstawą wygląda zupełnie kiepsko. Szkoda gadać. Można

uważać, że w ogóle ją łącho wzięło. Chmury leżą prawie na ziemi. Nie ma mowy, by się precyzyjnie pod nimi choćby na małym odcinku. Hartman zamyślił się.

- I tak cała trasa do Winnipeg? zapytał po chwili. Calutka. Ani jednego jaśniejszego kawałka. Ze wszystkich stron gęsta kasza. Nie widać niczego poza końcem własnego śmigła. Pytanie oczywiście retoryczne? Bo chyba nie znajdzie się taki wariat, który by ryzykował start.

- Owszem znalazł się jeden taki - powiedział lekko Hartman. - A właściwie nawet dwoje. Mają startować za kilka minut.

Skąd wykopaliście takich? - oczy Wartona błysnęły niedowierzająco.

- Tu - Hartman przytknął rękawicę do własnej piersi - i tam wskazał na szczupłą, pomimo niezgrabnego kombinezonu, postać Mag, stojącą w odległości kilku metrów. - Widzicie... nachylił się do ucha Wartona, szepcząc parę słów objaśnienia.

- Aha - Warton pokiwał głową - narzeczona Cossa, to co innego. Sam bym poprowadził maszynę, gdyby tego zaszła potrzeba.

- Obejdzie się - Hartman klepnął go przyjacielsko po ramieniu. - Sam jakoś poradzę. Nie biorę nikogo do pomocy. Lepiej mieć większy zapas benzyny. Przy takiej pogodzie kto wie jak długo będziemy musieli siedzieć w powietrzu. Nie mam specjalnej ochoty lądować gdzieś po drodze, szczególnie z dziewczyną.

- Trudno wam odmówić racji. Jaką maszynę bierzecie?

- Numer piętnasty. Nie ma wprawdzie tych wszystkich nowoczesnych, komfortowych szykan w kabinie, ale za to pierwszorzędnie wyposażony w instrumenty. Zresztą nieraz już zdawał egzamin w trudnych warunkach. Można mieć do niego większe zaufanie, niż do dużych i ciężkich maszyn. Prowadziłem go kilka razy w czasie wypraw ratowniczych i nadzwyczajnie pasował do ręki. Chodzi jak lalka. Ma nieco twarde stery, ale przy takim wietrze to lepiej. Nie zamierzam przecież wyczyniać akrobacji.

Hartman wdawał się w szczegóły zupełnie celowo. Warton uchodził za jednego z najlepszych znawców północnych szlaków. Lepiej więc, gdy dwie głowy przemyślą sprawę. Oczekiwał z zainteresowaniem uwag Wartona. Ten jednak nie zgłaszał żadnych wątpliwości. Wszystkie argumenty kolegi trafiały mu widocznie do przekonania.

- Kiedy startujecie?

- Jak tylko naprawią światło. Obawiam się, że w tych ciemnościach zahaczyłbym jak nic podwoziem o jakieś twarde świństwo, kaputując na samym początku podróży.

- Ali right. W takim razie skorzystam jeszcze trochę ze świeżego powietrza, aby asystować przy waszym odlocie.

Mag stała nieruchomo, czekając z niepokojem na koniec tej rozmowy. Już sama katastrofa, której była świadkiem nie wróżyła nic dobrego, a tu do tego Hartman rozmawia z lotnikiem dopiero co przybyłym z północy. Uczucie wrodzonej delikatności nie pozwalało jej przysłuchiwać się rozmowie, sądząc jednak po gestach lotników, nie miała najmniejszej wątpliwości, że dyskutują właśnie na temat zamierzonego startu. Przeciąganie się gawędy utwierdziło ją w tych podejrzeniach. Hartman niechybnie ma zamiar wycofać się ze swej obietnicy. Piekąca fala goryczy popłynęła jej do serca. Poszłaby choćby piechotą, aby dotrzeć do ukochanego. Gdyby nawet nie kochała, krzywda, którą mu wyrządziła wymagała dla zadośćuczynienia największych nawet poświęceń z jej strony.

Kadłub uszkodzonego samolotu czerniał ponurą masą. Podróżni już dawno odpłynęli w stronę świateł gmachu portowego. Sylwetki dwóch lotników wciąż trwały nachylone ku sobie w poufnej rozmowie.

Nagle na lotnisku zapanował jakiś ożywiony ruch. Zabłyśły liczne świetliki ręcznych latarek. Grupa ludzi sunęła pospiesznie szerokim wyasfaltowanym chodnikiem ciągnąc za sobą coś ciężkiego, wydającego przy każdym poruszeniu cienki, metaliczny głos. Do samolotu jechał przysadzisty ciągnik, prychając motorem.

Zasłonę ciemności przecięło jaskrawe jego światło. Mag zwarła mocno powieki. Brutalne promienie uderzyły tysiącem kłujących igiełek w przyzwyczajone do mroku źrenice. Po chwili traktor ruszył z powrotem, ciągnąc za sobą wielki kształt samolotu. Wyglądał przy nim jak holownik przy transatlantyku. Kadłub samolotu niezdarnie potykał się, sunąc w dziwacznych podrygach. Widocznie przy lądowaniu poza innymi uszkodzeniami poniosło również szwank i podwozie. Wkrótce zniknął w ciemnościach. Ruch jednak na lotnisku nie tylko nie ustał ale jeszcze wzrósł na sile. Zwinne sylwetki biegały z ożywieniem na wszystkie, jak Mag odniosła wrażenie, strony. Tu i ówdzie błyszczały w odbłaskach ręcznych latarek cienkimi stalowymi liniami ciągnione druty. Nad wszystkimi głosami dominowało ustawiczne przeciągłe brzęczenie metalu. Warkot motoru ucichł zupełnie. Mag nadśluchiwała z utęsknieniem. Może lada chwila traktor powróci przytaczając samolot, którym mają polecieć? Nie zanosilo się niestety na to. W stronie gdzie rysowały się niewyraźnymi liniami hangary, panowała odbierająca nadzieję cisza.

Niespodziewanie na rozległą przestrzeń lotniska spadło morze jasności. Zapłonęły od razu wszystkie lampy i reflektory. O mało nie krzyknęła, tak silne było wrażenie nagłego ustąpienia ciemności. Zdawało się jej, że teraz jest znacznie jaśniej, aniżeli przed wygaszeniem świateł. Albo więc zadymka straciła nieco na swej nieprzeniknionej gęstości, albo też po prostu oczy, przyzwyczajone do czerni nocy, mocniej reagowały na światło.

Spojrzała na Hartmana. Wyprostował się, jakby mając zamiar wyjść z dotychczasowego bezruchu. Postanowiła podejść do niego i wyjaśnić sytuację. Jeżeli teraz nie wystartują, to będzie znaczyło, że nie ma w ogóle zamiaru dzisiaj lecieć. Tak czy inaczej musiała wiedzieć jakie będą jej losy. Dalsze bezczynne tracenie czasu nie miało najmniejszego sensu.

Zaledwie jednak uczyniła pierwszy krok w jego kierunku, zamarła w niepewności. Od strony budynków portowych biegł pędem ku niemu człowiek w narzuconym na ramiona palcie, stukając głośno podszwami o asfalt.

- Mister Hartman! Gdzie jest mister Hartman? - wołał w biegu, ciężko dysząc z wysiłku.

- Jestem tutaj Hartman podniósł rękę ponad głowę - co się znowu stało, Bill?

- Komunikat meteorologiczny - oświadczył mężczyzna nazwany Billem, który dobiegłszy do lotniska wręczył mu świstek różowego papieru.

- Dziękuję - Hartman przebiegł uważnie wzrokiem papier. Mag usłyszała wyraźnie, jak gwizdnął przeciągle przez zęby. Potem wręczył komunikat obecnemu lotnikowi. Ten po przeczytaniu uczynił jakiś nieokreślony gest ręką. Nie mogła zrozumieć co chciał przez to wyrazić. Przypuszczała jednak najgorsze. Pewno dostali zawiadomienie, że stan pogody wyklucza możliwość startu.

- Naturalnie! - pomyślała z niechęcią - przegadali dogodny moment, a teraz już za późno. Zreflektowała się po chwili. Trudno. Hartman miał prawo postąpić w ten sposób. Nie mogła wymagać od niego ryzykowania życia w takich warunkach. To przekraczało jego obowiązki, nie tylko jako lotnika, ale również jako współczującego bliźniego. Może po prostu czeka na uciążliwie zawiei, skracając sobie czas rozmową?

Cóż było w tym złego? I tak powinna mu być wdzięczna za jego chęci.

Stała w miejscu miotana sprzecznymi uczuciami, pokonując z wysiłkiem przemożne pragnienie dowiedzenia się o jego postanowieniu.

- Nie - zdecydowała wreszcie w duchu - nie należy mu przerywać rozmowy. Będzie to niewątpliwie uważał za przypomnienie o jego obietnicy, której tymczasem nie może spełnić...

Hartman coś powiedział przybyłemu. Ten rozłożył ręce, rozchylając przy tym ruchu brzegi palta, spod których wyjrzała skórzana kurtka. Wyglądało, jakby podkreślał tym gestem zupełną bezsilność.

Przybliżywszy się tuż do Hartmana wywodził coś z ożywieniem. Porywy wiatru przynosiły poszarpane strzępki słów, wypowiedzianych podniesionym głosem:...dziewięć... granica huraganu... porywiste uderzenia... przygniecie z miejsca...

Mag zwiesiła ponuro głowę. Rozumiała dobrze znaczenie tych wywodów człowieka w skórzanej kurtce. Dotyczyły stanu pogody i warunków startu. Więc lot był wykluczony? Niespodziewanie dojrzała ze zdumieniem szeroki uśmiech na twarzy Hartmana. Widać było doskonale równą linię jego błyszczących zębów.

Coś odpowiedział przybyszowi. Nie słyszała słów, jednak beztroski wyraz jego twarzy wzbudził w jej sercu niewytłumaczoną otuchę. Nadzieja znowu poczyniała podnosić głowę. Może... przecież... Nie, to chyba byłoby zbyt śmiałym marzeniem.

Z drżeniem serca oczekiwała rezultatu tej sceny. Odważyła się zerknąć ukradkiem ku grupie mężczyzn. Człowiek nazwany przez Hartmana Billem, wzruszył wreszcie z rezygnacją ramionami i odwróciwszy się na piętach pobiegł w kierunku gmachu stacji.

Splotła ręce aż do bólu, by zachować przytomność umysłu. Co z tego wyniknie? Zwycięstwo czy klęska? Spojrzała na zegarek. Dochodziła jedenasta. Jeżeli samolot nie wystartuje, zdąży jeszcze na pociąg, wychodzący o drugiej w nocy w kierunku Kanady.

Nie myślała o tym, że podróż drogą lądową będzie trwała całe dziesiątki godzin, nie zastanawiała się, że stalowy szlak kolei urywał się w odległości setek mil od Nome, a szanse dotarcia do tego miasta są więcej niż problematyczne. Wiedziała tylko jedno: za wszelką cenę musi się znaleźć przy łóżku ukochanego. Nagle drgnęła gwałtownie, zmieniając się w słuch. Niski, przytłumiony dźwięk, jakby wydawany przez rozgniewanego kocura. Tak, teraz nie mogła mieć żadnych wątpliwości. To głos motoru.

Prychający warkot ciągnika wydawał się jej tonami najcudowniejszej muzyki. Wchłaniała go chciwie całą istotą. Po jasnej wstędze asfaltowej drogi sunęła zgrabna sylwetka srebrzystego ptaka. Więc Hartman nie zrezygnował ze startu? Chce narażać swe życie dla nieznajomego człowieka? Czy ma prawo wymagać od niego takiego poświęcenia? Może też jakieś kochające serce oczekuje z utęsknieniem na jego powrót? Poczula w głębi duszy bolesny wstyd.

Skrzywdziła go niesłusznie. Tak jak Harry'ego. Nie, stanowczo nie ma dobrego charakteru. Musi na przyszłość bardziej panować nad swymi uczuciami. Wciąż podejrzewa wszystkich wokoło o fałszywe pobudki postępowania, podczas gdy ludzie świadczą jej tylko dobro, na jakie nie zasłużyła.

Traktor parsknąwszy gniewnie stanął. Kształt samolotu zamarł w bezruchu. Ciemne dotychczas okienka kabiny zajaśniały, rzucając białe plamy na śnieg.

Skądś od strony ogona samolotu nadjechał samochód i wyminąwszy jego kadłub sunął wolno drogą, rozgarniając potężnym pługiem zwały śniegu, które pokrywały pas startowy.

Hartman obrócił się ku Mag.

- No, miss Barton - zawołał niefrasobliwie - proszę wsiadać. Karetka już czeka. Koniki aż dyszą z niecierpliwości - wskazał zapraszająco na stopnie dostawiane właśnie do drzwiczek kabiny.

XI

MIĘDZY NIEBEM A ZIEMIĄ

W niewielkiej, ciepłej kabinie Mag poczuła się dziwnie zaciszenie. Pachniało lakierowanym drzewem i skórą. Lekki, ledwie uchwytny zapach benzyny i smarów tonął łagodnie w powodzi tych dominujących woni. Ukryty za złocistą siatką elektryczny grzejnik roztaczał przyjemne ciepło. Wiatr uderzał bezsilnie w mikowe szybki. Wydawało się, jak gdyby zawieja pozostała gdzieś o tysiące mil poza nimi. Opadła z uczuciem niewysłowionej ulgi na elastyczne poduszki fotela. Siedzi już w kabinie. Za chwilę polecą. Ani na ułamek sekundy nie przesunęły się w jej głowie myśli o niebezpieczeństwach związanych z lotem.

Coś ją uwierało w plecy. Dopiero teraz zauważyła przymocowane do oparcia fotela parciane pasy, podobne z kształtu do szelek, używanych dla niemowląt dla zabezpieczenia ich od wypadnięcia z wózków.

Spojrzała pytająco na Hartmana. Ten uśmiechnął się zachęcająco.

- Tak, proszę pani - kiwnął głową odpowiadając na jej nieme pytanie - lepiej założyć... na wszelki wypadek. Nie jest specjalnie wygodnie, ale jak przewiduje, będzie nas porządnie huśtało.

Zakładanie zaplątanych pasów na krępujący swobodę ruchów kombinezon nie szło jej zbyt sprawnie. Musiał jej pomóc. Zaciągnąwszy dokładnie sprzączki obrzucił krytycznym okiem swoją robotę.

- Teraz wszystko w porządku - oświadczył z zadowoleniem - nie spadnie pani, choćbyśmy wyczyniali najzawilsze ewolucje.

- Tu - otworzył drzwiczki niewielkiej szafki umieszczonej w ścianie kabiny - jest pani podręczna spiżarka. Zapasy mogą od biedy wystarczyć na kilka dni. Menu wprawdzie niezbyt urozmaicone, ale za to całkiem pożywne. Kanapki z wędliną i serem, czekolada, w zielonym termosie gorący bulion, w czerwonym zaś herbata zakropiona czymś mocniejszym. Specjalnie doradzam pani zainteresowanie się tym ostatnim. Musiała pani porządnie zmarznąć w czasie wyczekiwania na takiej zawiei. Bardzo panią przepraszam za to nieco przydługie... werandowanie.

Splonęła gorącym rumieńcem.

- To ja... muszę pana przeprosić - szepnęła cicho.

- Mnie? - spojrzał na nią zdziwiony - za co?

Milczała, spuściwszy oczy. Wyznanie krzywdzących podejrzeń nie chciało się przecisnąć przez jej gardło.

- Ja... - zająkała się. - Bo widzi... pan... taka pogoda, więc myślałam...

- Aha - domyślił się wreszcie - ponieważ zwlekałem ze startem, myślała pani, że mam zamiar wykręcić się sianem?

Łuna wstydu paliła jej policzki.

- Strasznie mi przykro - była niemal bliska płaczu. - I...

- Głupstwo - przerwał dalsze tłumaczenie z niefrasobliwym uśmiechem - nie ma o czym mówić. Każdy może brzydko pomyśleć o bliźnim. Mnie samemu też nieraz się to zdarzyło. Ale prawdę powiedziawszy - ciągnął dalej z żartobliwym wyrzutem w głosie - naprawdę mnie pani skrzywdziła w myśli. John Hartman ma tylko jedno słowo. Skoro powiedziałem: polecę, to poleciałbym, żeby tam nie wiem co. Choćbym nawet miał własnoręcznie popychać za ogon maszynę.

Pomimo tego żartobliwego tonu nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy.

- No, proszę pani - dotknął lekko dłonią jej ramienia - wszystko pomiędzy nami załatwione. Pani o mnie brzydko pomyślała, a ja w odwecie wyciąłem jej mowę, niczym najzagorzalszy kaznodzieja. Wet za wet. Teraz chyba będziemy już w przyjaźni.

- Naprawdę nie gniewa się pan na mnie? - spojrzała na niego nieśmiało.

- Też - zrobił oburzoną minę - jakże bym mógł się na panią gniewać? Wprost przeciwnie. Niezmiernie szanuję panią za szczerłość. Czuję się dobrze jedynie z takimi ludźmi, którzy to samo mają na języku co i na myśli. To dla mnie wielka ulga wiedzieć, że za plecami siedzi ktoś, kto mi od razu wygarnie, co o mnie sądzi. Okropnie - wykrzywił się zabawnie - nie znoszę konieczności rozgryzania każdego słowa i doszukiwania się w nim ukrytej treści. Z panią nie oczekuję mnie te tortury. Łatwiej nam będzie podróżować razem. Weil - strzepnął palcami, jakby odrzucając coś od siebie - już czas zabrać się do roboty. Królowa Śnieżka nie ma zamiaru iść spać i baluje z coraz większym zapalem. Jeżeli będziemy tracili czas, może nas zaprosić do niezupełnie przyjemnych tanów. Wyjął z szafki czerwony termos oraz kubek z nieprzezroczystej masy i wetknął jej do rąk.

- Niech pani tymczasem zapozna się z zawartością termosu i oceni przy sposobności wartość dobrego smaku naszego intendenta. Trzeba nabrać odpowiedniego zapasu ciepłaka. Przyda się na później - dodał, odchodząc do swego fotela umieszczonego na przodzie kabiny. Usadowił się wygodnie, nakładając nikłowe słuchawki radia na uszy.

- To nam musi zastąpić słuch, a to - wskazał okrągłym gestem na oświetlone tarcze przyrządów pokładowych - wzrok. Będziemy lecieli zupełnie na ślepo i zawędrujemy jedynie

tam, dokąd nas poprowadzą ci, którzy pozostają na ziemi. Z początku będzie nas prowadziła za rączkę poprzez chmury nasza radiostacja, a od mniej więcej wysokości miasta Minneapolis weźmie nas w opiekę już Winnipeg. Daj Boże, aby odbiornik funkcjonował przez cały czas bez zarzutu. Od tego zależy bardzo wiele. Niemal wszystko.

Położył rękę na manetkach. Zafurczało wściekle śmigło wstrząsając ścianami kabiny, która odmiennie niż w zwykłych pasażerskich samolotach znanych dotychczas Mag, nie była oddzielona ścianą od miejsca pilota. Po twarzy musnął ją wiew ciepłego powietrza. Zapachniało rozgrzaną oliwą i jeszcze jakąś nieokreśloną wonią. Warkot nagle ucichł. Potem znowu zagrział przeciągłym rykiem. Jeszcze raz Hartman sprawdzał działanie silnika. Wolał stracić parę minut, by nie być później zmuszonym do przymusowego lądowania z powodu jakiegoś defektu, wykrytego dopiero w powietrzu.

Z kolei zabrał się do sterów.

Stojący przy samolocie mechanik obserwował uważnie ruchy płaszczyzn sterowych.

Hartman wybrał do tej czynności Cormana, jednego z najbardziej doświadczonych mechaników linii. Mógł w zupełności polegać na jego oku. Nie przepuściłby najmniejszego niedociągnięcia.

- Ali right - zabrzmiał wreszcie przytłumiony głos mechanika.

- Szykować do startu - krzyknął w odpowiedzi Hartman.

- Gotowe!

Samolot ruszył, niezgrabnie rolując na asfalcie. Za oknami przesuwaly się szybko światła lotniska.

- Uwaga - wpatrzony w oświetlone tarcze tajemniczych instrumentów Hartman podniósł głos, usiłując przekrzyczeć hałas wypełniający kabinę - niech się pani trzyma mocno. Zaraz zaczynamy huśtawkę!

Kabiną szarpnęło tak gwałtownie, że mimo woli wpiła palce w poręcz fotela. Miała wrażenie, że poduszki uciekają gdzieś w dół spod jej ciała. Lśniący biały sufit przechylił się pod silnie rozwartym kątem. Lakierowane deski ścian zadrżały gwałtownie, jakby grożąc rozpadnięciem się lada chwila w stertę bezkształtnych drzazg.

Potem ściany powróciły do swej normalnej pozycji, za to podłoga zmieniła się w mocno spadzistą pochylnię. Wystający nad brzeg fotela futrzany kołnierz kombinezonu Hartmana znalazł się nagle niżej stóp Mag.

Kabiną zaczęło chybotać na wszystkie strony. Mag miała uczucie, jakby się znajdowała w łódce podrzucanej przez potężne fale wzburzonego morza.

- Huśtawka - myślała zaciskając kurczowo szczękające zęby.

- Ma rację. To jeszcze lepsze od huśtawki. Błogosławiła w duchu ochronne pasy, którymi była przymocowana do fotela. Gdyby nie one zsunęłyby się już dziesiątki razy na podłogę.

Hartman obserwował z niepokojem licznik obrotów i wysokościomierz. Napór wiatru. Walczył desperacko o życie pasażerki i swoje, ale zaczynał już tracić nadzieję.

Oświetlone małymi żarówkami tarcze wskaźnika kolebały falistym rytmem przed jego oczyma. Samolot pędził niepowstrzymanie w nieznaną. Kto wie, czy nie prosto na stalowy grot anteny wieży? Gdy zobaczy przed śmigłem jej ażurowy kształt, będzie już za późno na wszelki ratunek.

Gdzieś w dole mignęła przez mgłę ognista linia. Raca alarmowa. Ostrzegają go przed niebezpieczeństwem. Ale przed jakim?

W membranie słuchawek zaskrzeczał monotony głos: AX 15... AX 15... zmienić kierunek, albo zwiększyć wysokość... Lecicie wprost na radiostację poniżej wierzchołków masztów antenowych

- AX 15... AX 15...

Wieże antenowe. Tak, miał je przez cały czas na myśli.

Szarpnął rozpaczliwym wysiłkiem ster, ale burza miała większą moc od siły lotnika.

Nagle kolebanie kabiny wyraźnie osłabło, przechodząc z gwałtownych wstrząsów w coraz bardziej łagodne drżenie.

Nie wierzył swoim zmysłom. Czyżby?

Spojrzał z nieśmiałą nadzieją na wysokościomierz. Ależ tak. Wskazówka parła powoli, ale nieustępliwie ku górze czarnej tarczy. 450... 500... 550... 600...

Maszty radiostacji przestały grozić zagładą. Praca stalowego silnika i wysiłku ludzkiego zwyciężyła szaleństwo żywiołu. Samolot wzbija się coraz wyżej. 600... 700... 800... Teraz już wskazówka nabrała życia wychodząc ze swej ospałości. Śmiałymi skokami przebywała oznaczoną białymi cyferkami drogę, 900... 1000... 1100...

Chmury otaczające samolot zaczęły już tracić nieco na swej lepkiej gęstości. W słuchawkach coś zabrzęczało.

- Gratuluję... przeskoczyliście anteny w ostatniej chwili... uwaga... podaję kierunek... - Głos mówiącego było słychać zupełnie wyraźnie.

Hartman notował skrzętnie w myśli, sprawdzając stan wskaźników kierunkowych.

Mógł trochę odsapnąć. Należało mu się ucziwie nieco odpoczynku. Te kilka minut śmiertelnych zmagania z burzą kosztowało go znacznie więcej sił, niż niejeden normalny parogodzinny lot.

Odwrócił przez ramię głowę.

- No - uśmiechnął się jeszcze cokolwiek niewyraźnie - jak się pani trzyma? - Przeszliśmy, prawdę powiedziawszy, paskudne chwile...

Na widok niemej sceny za swoim fotelem roześmiał się wesoło, przy czym tym razem śmiech ten był najzupełniej szczery.

Mag siedziała nachylona - o ile na to pozwalały pasy, wpatrując się z bezradną rozpaczą w szczątki termosu lśniącego u jej nóg tysiącem drobniutkich, srebrnych odprysków szkła. Płyn już zdążył wsiąknąć w podłogę, pozostała jedynie szeroka ciemna plama o dziwacznie poszarpanych brzegach, rozsiewająca wokoło ostry aromat rumu.

Taka ze mnie gapa - uśmiechnęła się przepraszająco, dojrawszy jego rozbawione spojrzenie. - Nie spodziewałam się, że tak mocno szarpnie, a właśnie wtedy trzymałam termos w ręku i...

Głupstwo proszę pani - machnął lekko ręką - w czasie tych wstrząsów groziła nam znacznie poważniejsza katastrofa od rozbicia termosu.

Było mu dziwnie lekko na duszy. Przebyte niebezpieczeństwo napawało go niezmierną radością życia. Tak łatwo mógł przedstawiać w tym momencie zniekształconą miążgę mięsa i kości spoczywającą pod szczątkami rozbitego samolotu.

- Dobrze jest żyć, prawda? - błysnął ku niej zębami w szerokim uśmiechu.

- Prawda - potwierdziła nieco zdziwiona nieoczekiwanymi słowami. Nie zdawała sobie nawet w przybliżeniu sprawy z rzeczywistego rozmiaru niebezpieczeństwa minionych chwil. - To nie zmienia jednak faktu pozbawienia nas skutkiem mej niezdarności całego zapasu alkoholu.

Poczuła się rażniej na duszy. Dobry humor pilota zarażał ją mimo woli.

Hartman pokręcił przecząco głową.

- Na szczęście nie jest tak źle, jak pani przypuszcza. W mojej podręcznej apteczce - wskazał oczyma na umieszczone w pobliżu swego fotela drzwiczki, podobne do tych, które widniały w ścianie Mag - znajdziemy drugi termos z podobną zawartością.

- Podzielę ją po bratersku pomiędzy załogę i pasażerów. Ale - zastrzegł się żartobliwie - na wszelki wypadek nie dam pani termosu do ręki. Najwyżej mogę jej powierzyć kubek z nietłukącej się masy.

Odwrócił się z powrotem. Nie można było zbyt długo pozostawiać sterów na łasce losu.

Maszyna teraz szła względnie równo. Wskazówka wysokościomierza trzymała się mniej więcej na stałej wysokości. Widocznie wyszli już ponad najwyższe nasilenie przyziemnych prądów burzy.

Mag rozpięła górne guziki kombinezonu, rozsuwając szeroko podbitą futrem skórę. W kabinie panował prawie upał, a przecież miała na sobie wełnianą sukienkę. Wyciągnęła się na wygodnych poduszkach fotela. Wyczerpany przejściami ostatnich godzin organizm zaczął gwałtownie dopominać się odpoczynku. Powieki zaciążyły niemożliwym do pokonania ciężarem, opadając na zmęczone oczy. Monotonny warkot motoru szumiał jej w głowie coraz nie wyraźniej, przechodząc w głuchy przeciągły szum, podobny do odgłosów dalekiego wodospadu.

Jednocześnie chybotanie kabiny kołysało usypiająco ciało. Powoli świadomość jej oderwała się od rzeczywistości. Zapadła w drzemkę, która wkrótce przeszła w głęboki, mocny sen.

Z kłębka poplątanych, zamazanych wizji zaczęły wyłaniać się coraz bardziej wyraźne obrazy: Jest przy Harrym... Stoi u wezłowia jego łóżka... Jaki dziwny pokój... Białe lśniąco ściany, jakby wykonane ze śniegu i lodowych brył. Od bieli szerokiej poduszki odbijają pośółkłe rysy wymizerowanej twarzy...

Siwe źrenice patrzą na nią badawczo... Czy ją potępią? Miał do tego prawo... tak bardzo zawiniła wobec niego. Nie... nie potępił... przebacza... wychudła dłoń wyciąga się ku niej powitalnym gestem... Co tak szumi?... chyba wiatr... gorący wiatr, przenikający swobodnie poprzez ściany.

Coś stuknęło złowieszczo w okno... Do matowego szkliwa szyby przylgnęła twarz w czarnej jedwabnej masce... Przez podłużne wykroje patrzą żarzące niesamowitym ogniem oczy... Wyziera z nich śmierć. Nie, to nie są oczy Harry'ego... Jakże mogła przypuszczać przez chwilę taką nedorzecznosc?... Czarny jedwab skłębił się w przezroczystą mgłę dymu... Teraz już widziała wyraźnie wykrzywione wściekłością rysy inspektora... Inspektor w masce Wilka? Cóż za nonsens... Ile razy ojciec powtarzał: Mister Mac Dufty jest bardzo miłym gentlemanem... A jakże gentleman może być mordercą?... Przez szybę przesunęła się długa ręka zakończona zakrzywionymi ostrymi szponami... zbliża się ku zastygłej w bezruchu głowie Harry'ego. Mag na to nie pozwoli... pobiegłaby na pomoc, gdyby jej nogi nie wrosły w ziemię... Krzyczy: precz!... przecież pan widzi, że on nie może się bronić!... - zamiast krzyku z jej gardła wydobywa się niezrozumiały bełkot. Zakrzywione szpony zwisają coraz bliżej nad twarzą Harry'ego. Ostre, spiczaste paznokcie dotykają już wychudłej szyi... Nagle do pokoju wchodzi uśmiechnięty człowiek w mundurze... Dyrektor Adler... - Mianuję pana

Wilkiem z rozkazu jego ekscelencji gubernatora Alaski - mówi stanowczym głosem do przerażonej zjawy za oknem - proszę iść do kasy, tam panu wypłacą gażę za miesiąc...

W przeciwległej ścianie otwierają się drzwi, których poprzednio nie było... Wchodzi Hartman... - Niech pan podpira podstawę!

- woła rozkazująco do Mac Dufty'ego - bo inaczej nie dolecimy do bieguna. Nie mogę przez cały czas popychać maszyny za ogon... Dolatujemy właśnie do Winnipeg... Jesteśmy nad przedmieściem - ostatnie słowa Hartmana mają jakąś odmienną barwę od poprzednich.

Wświdrowują się mocno w mózg.

- Dolatujemy do Winnipeg - powtórzył nieco zdziwiony lotnik, nie słysząc odpowiedzi. Odwrócił się w swoim fotelu. Czyżby pasażerze coś się stało? - O - dopiero teraz dojrzał twarz śpiącej

- usnęło biedactwo. Cóż dziwnego. Po takich przejściach... Niech sobie śpi dalej - pomyślał, ogarniając współczującym wzrokiem głębokie cienie rysujące się poniżej półokrągłej firanki rżęs. Było już jednak za późno. Obudził ją. Powieki Mag uniosły się ociężale ku górze.

- Co... gdzie... zamruła nieco nieprzytomnie oczyma. Zerknęła trwożliwie na czerń zalegającą mikową szybę okna.

Z mózgu jej powoli ustępowały strzępki sennych koszmarów. Samolot... lecą... do Harry'ego... więc tamto to tylko sen... - zorientowała się wreszcie. Hartman zrobił skruszoną minę.

- Bardzo panią przepraszam... nie wiedziałem, że pani śpi. Nie byłbym jej budził - tłumaczył się pokornie.

- Tak - przyznała - nieco zawstydzona - rzeczywiście zdrzemnęłam się trochę...

- Ładnie trochę - zaśmiał się dobrodusznie Hartman. - Spała pani dobrych kilka godzin bez przerwy. Akurat przelatujemy nad Winnipeg. Pierwszy etap podróży skończony. I muszę przyznać: nie przeszedł on najgorzej, poza samym startem.

- Czy będziemy lądowali? - zapytała już zupełnie trzeźwo. Hartman pomyślał przez chwilę.

- Prawdę powiedziawszy, nie mamy specjalnej potrzeby - oznajmił - maszyna w porządku, benzyny mamy pod dostatkiem. Chyba że pani ma ochotę rozprostować kości? - spojrzał na nią pytająco.

Nigdy w świecie zawołała żywo - jedynym moim pragnieniem jest dolecieć jak najprędzej do celu. Niech rni pan wierzy... każda stracona sekunda może zadecydować o moim losie... i nie tylko moim - dodała cicho.

Ma pani zupełną rację. Nie ma żadnego sensu tracić niepotrzebnie czasu na lądowanie. Lecimy więc dalej. Zresztą od początku byłem tego samego zdania. Ujął klucz telegrafu, wystukując depeszę.

Zawiadamiam lotnisko w Winnipeg, że nie skorzystamy z ich gościnności - objaśnił. - W słuchawkach coś zabrzęczało. Odgłos był bardzo wyraźny.

Lotnik nasunął nikłowe tarcze na uszy i słuchał wpół przymknąwszy oczy.

- Tak - uwolnił po chwili jedno ucho spod nacisku słuchawki. - Bardzo im przykro. Będą nas prowadzili dalej. Radzą jednak usilnie, by lądować, bowiem komunikaty meteorologiczne... - urwał przygryzając wargi. - Zrobiłem się gadatliwy niby baba - skonstatował w duchu z niezadowoleniem. - Po co ją przerażać? I bez tego ma dosyć swoich zmartwień.

Mruknął coś niewyraźnie i nachylił się nad sterami. Może nie zwróciła uwagi?

Zwróciła oczywiście. Serce zabiło niespokojnie w jej piersi. Mówił coś o komunikatach meteorologicznych? Od chwili wstąpienia w progi lotniska w Chicago nie mogła się otrząsnąć z obawy, by jakaś niepokonana przeszkoda nie uniemożliwiła lotu.

- Czy bardzo źle?... zapytała trwoźnie.

- Co źle? - udał niezrozumienie.

- Komunikaty, o których pan zaczął mówić.

Machnął ręką. A więc usłyszała. Trudno, w tych warunkach nie mógł pytania pominąć milczeniem..

- Cóż, proszę pani - zmarszczył brwi - nie będę się z panią bawił w ciuciubabkę. Ostatecznie ma pani pełne prawo wiedzieć, jak sprawy stoją. Otóż, jak nam Winnipeg donosi, pogoda na północy wygląda marnie, a w najbliższych godzinach zapowiada się jeszcze gorzej. Śnieżycy, wichury i tym podobne historie. I to wszystko w dość ciężkich dawkach. Ot, co - strzepnął palcami - i dlatego właśnie namawiają nas na przenocowanie na lotnisku.

- Czy to nas zmusi... do lądowania? - podniosła na niego błagalne oczy. Wstrzymując oddech oczekiwała na odpowiedź.

- Zmusi? - wydał pogardliwie wargi. - Proszę pani, Johna Hartmana niewiele rzeczy może zmusić do lądowania, jeżeli właśnie ma ochotę lecieć dalej. W tym wypadku decyzja zależy od pani. Muszę zaznaczyć jednak, że dalsza podróż nie będzie bynajmniej dziecinnie łatwą igraszką.

- Mam nadzieję, że maszyna wytrzyma wichurę, w przeciwnym razie lądowałbym nie pytając nawet pani o zdanie. Podkreślam jednak: jest to nadzieja, a nie pewność. Teraz już wie pani wszystko, co miałem do powiedzenia na ten temat. Jeżeli pani chce, mogę zawrócić i

lądownic w Winnipeg. To byłoby niewątpliwie najrozsądniejsze z punktu bezpieczeństwa. Nie będzie pani miała w tym wypadku absolutnie niczego do zarzucenia sobie przed własnym sumieniem.

Mag słuchała jego słów ze wzrastającą rozpaczą. Z tego co mówił wnioskuje, że powinni lądować.

- Ja... - zająknęła się.

- Chwileczkę proszę pani - przerwał jej uprzejmie - proszę mi pozwolić skończyć. Potem ja będę słuchał. Powiedziałem: możemy lądować, chcę jeszcze dodać, że z równym skutkiem, jeżeli o mnie chodzi, możemy lecieć dalej, choćby bezpośrednio do Nome, o ile oczywiście maszyna nie zawiedzie i wystarczy nam benzyny. Ma pani teraz wóz i przewóz. Proszę wybierać. Zastosuję się całkowicie pod tym względem do jej życzeń.

Umilkł odsapnąwszy ze zmęczenia. Przemowa trwała stanowczo zbyt długo jak na jego zwyczaj.

Mag milczała ściskając dłońmi skronie. W głowie jej szumiało od nawału myśli. Nie było tak łatwo odpowiedzieć na to pytanie. Chodziło przecież nie tylko o jej własne życie. Decydując się na dalszy lot, narażała również życie Hartmana.

- Ja... nie mam prawa... szepnęła bolesnym tonem.

- Daję je pani - oświadczył stanowczo, zrozumiawszy od razu jej skrupuły. - Moją osobą proszę się nie krępować w najmniejszym nawet stopniu.

Zaciskała palce obu rąk aż do bólu. Pomimo wszystko jakiś głos mówił jej, że nie powinna narażać życia tego, bądź co bądź obcego człowieka. I tak zrobił dla niej znacznie więcej niż miał obowiązek.

- A... pan? - wykrztusiła z wysiłkiem. Była już niemal zdecydowana poprosić o lądowanie.

- Co, ja? - odwrócił ku niej głowę.

- Pragnę wiedzieć, co pan uczyniłby, gdybym... no, gdybym nie wypowiedziała swego zdania.

- Odpowiedzieć pani prawdę? - obrzucił ją wnikliwym spojrzeniem.

- Proszę o to.

- Niech i tak będzie. Gdybym leciał sam i miał pierwotny zamiar doleciać do Nome, choćby nie dla specjalnie ważnych powodów, nie lądowałbym teraz nie mając pewności czy do rana warunki trasy się poprawią. Widzi pani... to jest specjalna ambicja lotnicza. Im trudniejsza pogoda, tym piękniejszy wyczyn w jej pokonaniu. Przeszkody piętrzące się przed nami podniecają jedynie nasz upór w dążeniu do osiągnięcia celu. To jest prawda, której pani

żądała - umilkł wpatrzony w bezbrzeżne morze nieprzeniknionej sinoszarej mgły, rozpościerającej się przed oszklonym przodem kabiny.

Mag podniosła zwieszoną dotychczas głowę.

- Więc gdyby mnie nie było, leciałby pan dalej?

- Bezwzględnie tak. Ale jeszcze raz podkreślam, że to są moje absolutnie osobiste uczucia, które w tym wypadku nie odgrywają najmniejszej roli.

Mag odetchnęła pełną piersią. Słowa Hartmana były niewątpliwie zgodne z przekonaniem jakie żywił na ten temat. Wskazywał na to jego ton. Rój dokuczliwych wątpliwości, kołaczący dotąd w jej myślach, zniknął w mgnieniu oka bez śladu. Poleciałby również, gdyby jej nie było w kabinie. Traktowałby wtedy lot jako możliwość osiągnięcia pięknego wyczynu. Uważał więc jej obecność nie za bodziec do kontynuowania niebezpiecznej podróży, ale raczej za przeszkodę do traktowania lotu z punktu widzenia ambicji lotniczych. To oczywiście rozwiązywało w zupełności całą sprawę.

- Więc jak pani w końcu zadecydowała? - przeciął cokolwiek niecierpliwym pytaniem przeciągające się milczenie. - Proszę nie zapominać, że każda minuta oddala nas od Winnipeg o przeszło cztery kilometry...

- Lecimy dalej zawołała gorąco - proszę... błagam o to. Pan zdobędzie nowy liść laurowy do wieńca swej sławy lotniczej, nie mówiąc już o mojej dozgonnej wdzięczności. Ja zaś... więcej niż życie...

- Ali right - potwierdził krótko. - Lecimy dalej. Odwrócił się ku przodowi kabiny. Pogoda według komunikatu zapowiadała się wyjątkowo paskudnie. Skoro mieli zamiar dotrzeć do celu, należało dobrze pilnować precyzyjnych przyrządów, stanowiących serce i mózg stalowego ptaka.

Mag wtuliła głęboko plecy w elastyczną poduszkę oparcia fotela. W odległości mniej więcej pół metra przed sobą widziała szczupły kark i krótko przystrzyżone włosy na tyle głowy lotnika. Głowa ta raz po raz zniknęła z jej pola widzenia. Widocznie nachylał się nad instrumentami. Z kolei przeniosła wzrok na umieszczone tuż przy poręczy fotela szerokie okno.

Wydawało się jakby w oknie tkwiły metalowe szyby. Nie można było dojrzeć niczego, poza kłębiastymi obłokami, podobnymi do strzępów brudnej waty. Widok ten podziałał na nią dziwnie przygnębiająco. Po kilku chwilach wpatrywania się w monotonną szarzystą mgłę zaczęła odnosić wrażenie, że braknie jej w piersiach tchu. Odsunęła ostrożnie jedną z mikowych szybek. Przez otwór wpłynęły lepkie macki wilgoci. W mroźnym, mokrym powiewie nie było niczego odświeżającego. Zupełnie jak gdyby do płuc wsiąkała gęsta,

kleista maź. Zamknęła czym prędzej okno. Nie, to nie nadaje się do oddychania. Ciało jej pałało. W kabinie panowało gorąco, a poza tym rozgrzane powietrze stawało się coraz bardziej duszne. Odór benzyny i rozgrzanych smarów zyskał kilkakrotnie na swej intensywności od chwili startu.

Mag zaczynała odczuwać lekkie nudności.

- Boże - pomyślała z trwogą - byleby nie zachorować teraz. Gdyby zauważył, mógłby zawrócić do Winnipeg, nie zważając na jej błagania.

Ściskania i przykre uczucie ssania w żołądku przybierały wciąż na sile.

- Cóż to znowu? - zastanawiała się z męką. - Przecież nigdy dotychczas nie zdradzała najmniejszych skłonności do morskiej choroby. Dlaczegoż więc miałyby się rozchorować teraz, gdy jej tak bardzo zależy, aby się to nie stało.

- A może jestem po prostu głodna? - wpadło jej nagle na myśl.

- Tak, to bardzo możliwe. Od wczorajszego obiadu nie miała nic w ustach, a denerwujące przejścia ostatnich kilkunastu godzin musiały niewątpliwie wpłynąć na jej apetyt.

Sięgnęła do lakierowanych drzwiczek ściennej szafki przypomniawszy sobie wskazówki Hartmana. Niklowe zawiasy cienko skrzypnęły.

Na wąskich półeczkach leżały kanapki pozawijane w przezroczysty celofanowy papier. Na widok jedzenia poczuła zupełnie wyraźnie głód. Ślina napłynęła jej do ust. Kanapki wyglądały bardzo apetycznie.

- Tu więc leży przyczyna mego złego samopoczucia - pomyślała z ulgą, odwijając pospiesznie szeleszczące opakowanie.

- Smacznego - zawołał wesoło, nie odrywając utkwionego we wskaźnikach wzroku, Hartman. Słyszał widocznie chrobot sztywnego papieru. - Ja już dawno jadłem swoje pierwsze śniadanie. Nawet nie czekałem na pani przebudzenie. Uczyniłem to jednak w imię bezpieczeństwa lotu - dodał żartobliwie. - Z pustym żołądkiem jestem do niczego.

Zagłębiła łapczywie ostre zęby w miąższ chleba. W ustach rozplynał się przyjemny, ostry smak wędzonej kiełbasy.

Pochłonęła sporą kanapkę w kilkunastu sekundach. Bez najmniejszego wahania sięgnęła po drugą. Była naprawdę głodna. Już po zjedzeniu pierwszej poczuła się bez porównania lepiej.

- Poczęstuję panią do śniadania czymś rozgrzewającym - nachylił się nad swą podręczną szafką, wyjmując z niej czerwony termos. - Ale tak, jak już uprzedziłem wczoraj,

nie zaufam pani reszty naszego zapasu alkoholu - uśmiechnął się niefrasobliwie, nalewając parującą, pachnącą rumem herbatę do niewielkiego kubka.

- Tak - przekręcił starannie pokrywę termosu, wystawiając go do metalowej podstawki, specjalnie w tym celu umocowanej na półeczce szafy - to na pewno pobudzi pani apetyt. No i nieco rozgrzeje.

Odwracał się powoli ku niej na fotelu trzymając ostrożnie w palcach ucho kubeczka...

- Dziękuję - uśmiechnęła się. - Z przyjemnością przełknę łyk herbaty.

Wyciągnęła rękę po kubek. Nie zdążyła go jednak odebrać od Hartmana. Raptowny wstrząs zachybotał gwałtownieabiną. Lakierowana ściana po lewej stronie zapadła się nagle w głąb. Za to prawa zajęła dotychczasowe miejsce lśniącej powierzchni sufitu. Wytrącone z równowagi ciała podróżników zawisły na ułamek sekundy bezwładnie w pasach ochronnych. Zawartość kubka chlusnęła w górę, spadając parzącym prysznicem na obnażoną dłoń lotnika.

Mimo woli szarpnął rękę, rozwierając palce. Kubek potoczył się ze stukiem pod fotel. Niespodziewanie przód kabiny przechylił się ku dołowi. Podłoga przyjęła położenie mocno pochyłe, coraz bardziej zbliżające się do pionu. Ściany kolebały się rytmem oszalałego wahadła.

Hartman w mgnieniu oka zorientował się w niebezpieczeństwie; gwałtowne uderzenie zrywającego się huraganu wtrąciło samolot w korkociąg.

Spadają.

Błyskawicznym ruchem ujął ster. Dźwignia sterowa szarpnęła pod uciskiem jego stóp jak oszalałe zwierzę. Spadali. Śmigło warczało ogłuszająco, rozcinając powietrze uderzeniami potężnych skrzydeł, nie było jednak w stanie powstrzymać niepohamowanego pędu ku niechybnej zagładzie. Wytrącona z równowagi maszyna straciła szybkość i spadała bezwładnie niby śmiertelnie raniony ptak.

Zacisnąwszy zęby Hartman szarpnął opornymi sterami. Jeżeli nie zdoła wyrównać maszyny w ciągu kilkunastu sekund, wylądują w postaci rumowiska pogiętych szczątków.

Kabina wirowała jak jakiś piekielny młyn. Stwierdził, że lotki działają wadliwie, obezwładnione potężnym naporem wiatru. Zimny pot wystąpił na czoło lotnika. Jeszcze kilkaset metrów i śmierć. Śmierć z powodu głupiego korkociągu. Czuł, że nie panuje zupełnie nad sterami.

Spojrzał kąciakiem oka na wysokościomierz. Biała wskazówka opadała z przerażającą szybkością ku dołowi tarczy. 650... 600... 550... - Po prostu migąła w oczach. Wąska stalowa strzałka odmierzała z nieubłaganą konsekwencją metry dzielące samolot od katastrofy. Gdy ostrze jej dojdzie do zera... koniec.

Nie przestawał walczyć. Nie ustąpi aż do ostatniej chwili. Nie potrafi czekać na śmierć z założonymi beczynnymi rękami. Choćby nawet walka była beznadziejna, nie przestanie walczyć aż do końca.

- 500... 450... - Chyba już nie ma żadnej nadziei. Maszyna wciąż spadała jak kula. Przestał patrzeć na złowrogą wskazówkę. Odbiera tylko ochotę do walki, po co zresztą ma wiedzieć? I tak dowie się aż nadto dokładnie, gdy kabina uderzy o ziemię.

Zmagał się ze sterem z rozpaczliwym wysiłkiem. Żyły nabrzmiały mu na czole na kształt grubych postronków. Wyglądały tak, jakby miały za chwilę pęknąć pod naporem tętniącej wewnątrz krwi.

Mag siedziała nieruchomo, zaciskając kurczowym chwytem palce na poręczach fotela. W uszach szumiało, mózg boleśnie pulsował. Przed oczyma wirował rój ruchliwych czarnych punkcików. Nie przyzwyczajony organizm ostro reagował na gwałtowną zmianę ciśnienia powietrza.

Zdawała sobie dokładnie sprawę z sytuacji. W tych warunkach nie trzeba mieć fachowych wiadomości, aby się zorientować jak sprawy stoją. Pochylona ku dołowi podłoga kabiny, wirujące ściany i wreszcie migające z szaloną szybkością za oknem strzępki obłoków ulatujących w górę, miały swą tragiczną wymowę.

Spadali! Lada chwila nastąpi katastrofa. Nie wiedziała jak długo ma jeszcze żyć, ale rozumiała, że są to raczej sekundy niż minuty.

Śmierć! Jakież dziwne uczucie! Siedzi tu oto w wygodnym fotelu, jest zupełnie zdrowa, krew krąży szybko w jej żyłach, a za parę sekund...

Przymknęła powieki. Przed oczyma jej wyobraźni przesuwały się poszarpane obrazy, o stonowanych, jakby wyblakłych barwach.

Jej życie... zastygłe w masce wyniosłego bezruchu rysy twarzy ojca. Nigdy nie okazywał jej swych uczuć kryjąc je pod maską chłodu. Prowadził ją przez życie twardą, nieugiętą ręką. Ileż razy nakazywał jej postępować wbrew uczuciom. Kochała go jednak bardzo. - Tatusiu - szepnęła bezgłośnie w przestrzeń - nie zobaczysz już swej niesfornej jedynaczki, która ci sprawiła tyle kłopotu. Twarz ojca ustąpiła miejsca innej o mocnym, energicznym wyrazie.

Siwe, patrzące oczy... Harry... Nie będzie miała sposobności przebłagać go za krzywdę, którą mu wyrządziła... Może, gdy się dowie o jej śmierci w drodze do niego... przebaczy. - Boże - westchnęła gorzko - jakże ciężko jest odchodzić, mając tyle nie załatwionych spraw na ziemi.

Powoli gorycz znikła z jej serca ustępując miejsca solennej powadze. Śmierć... zamyka swoje ziemskie rachunki... Będzie musiała zdać z nich sprawę przed niewidzialnym Sędzią...

Ogarnęło ją podobne uczucie, jak przed kilkunastu laty, gdy po raz pierwszy zbliżała się z bijącym sercem do kratak konfesjonału.

Nagle kabina zachwiała się jeszcze gwałtowniej niż dotychczas.

Zatrzeszczały groźnie lakierowane ściany. Coś brzęknęło za oknem z przeraźliwym metalicznym odgłosem. Nad oparciem samotnego fotela stojącego na przodzie kabiny, ukazała się głowa Hartmana...

XII

„MONTREAL NEW TRIBUNE

Lukę Brown wtulił głowę w ramiona pod naciskiem wściekłego spojrzenia naczelnego redaktora. Z początku rozmowy siedział wygodnie w fotelu, a teraz już zawędrował na sam brzeżek klubowca. Najchętniej zerwałby się i uciekł gdzie pieprz rośnie. Nie należało jednak do takich łatwych zadań wydostanie się zza oszklonych drzwi gabinetu „starego”, zanim ten na to pozwoli. Można było, jak nic, wylecieć jednocześnie z posady. A na to Lukę nie miał najmniejszej ochoty. Siedział więc zrezygnowany, słuchając gromów miotanych przez usta mister Bartholomewa Aureliana, dwojga imion Bradcocka, wszechwładcy jednej z najpoważniejszych kanadyjskich gazet „Montreal New Tribune”. Musiał słuchać. Bo Lukę Brown był tylko reporterem w „Tribunie”. Cóż z tego, że jednym z najzdolniejszych? To nie zmieniało ani trochę jego sytuacji wobec Bradcocka. Wystarczyłoby jedno słowo naczelnego, aby w tej samej chwili w ogóle przestał należeć do prasy.

- Wczoraj znowu mieliśmy o dziesięć tysięcy więcej zwrotów

- grzmiał redaktor obgryzając nerwowo wielkie ciemne cygaro tkwiące w kąci ust.

- Właściwie - zaryzykował nieśmiało Brown - przed tą aferą z Cossem... byliśmy o pięćdziesiąt tysięcy mniej i...

- Więc cóż z tego? - sapnął gniewnie Bradcock. - Przed tygodniem biliśmy mniej, dzisiaj bijemy więcej, a za tydzień musimy bić jeszcze więcej. Gdy nie idziemy naprzód to znaczy, że się cofamy

- wygłosił sentencjonalnie. A dla pisma cofanie się to początek końca. Znikniemy z powierzchni ziemi - dmuchnął na otwartą dłoń ilustrując w jaki sposób gazeta przestanie istnieć. - Rozumie pan? - spojrzał groźnie na skulonego Browna.

- Hm... - chrząknął niezdecydowanie reporter. Co go to wszystko właściwie obchodziło? Był reporterem a nie szefem sprzedaży czy też propagandy. Niech tamci sobie

suszą głowy szukając sposobu podniesienia nakładu. On uczciwie zarabiał na swój kawałek chleba i miał dosyć własnych kłopotów, by jeszcze wtrącać się w dziedziny należące do kompetencji innych funkcjonariuszy pisma. Ale wszystkie te zarzuty nie wyszły poza granicę czaszki reportera. Nie sądzone im było przybrać postać słów, przynajmniej dopóki znajdował się w gabinecie dyrektora.

- Coss już się skończył - redaktor obgryzł znowu kawałek cygara, wypluwając strzępki tytoniowych liści bezceremonialnie na lśniącą, świeżo wyfroterowaną podłogę - i tak żywił nas przez tydzień. Nie możemy karmić co dzień naszych czytelników wiadomościami, ile kresek podniosła się czy też spadła gorączka bohatera. Zresztą taka wiadomość może wystarczyć najwyżej na kilka wierszy, choćbyśmy używali nie wiadomo jak rozstrzelonego druku.

Gdy wyzdrowieje albo umrze, wtedy poświęcimy mu dłuższy artykuł. Ale tymczasem musimy mieć jakąś aktualną sensację... Słuchajże pan! - zawołał znowu widząc, że Brown nie reaguje na te słowa. - Musimy mieć sensację już najpóźniej do jutrzejszego wydania... Bo inaczej kłapa! Zrozumiano? - zapytał dobitnie.

Hm - chrząknął z powątpiewaniem Brown. Skąd niby miał wziąć staremu tę sensację? Na świecie, jak na złość, nie działo się nic, co by mogło zainteresować obywateli Montrealu. Wyssać coś z palca? Nie, dziękuję za taką przyjemność. I tego już raz spróbował w czasie swej kariery dziennikarskiej. Ma dosyć na całe życie. Wynikła paskudna kompromitacja, którą długo musiał pamiętać. Nie, nie miał jakoś szczęścia do wysnutych z czystej fantazji kłamstw. Co innego trochę rozdmuchać, czy też podkoloryzować fakty. Ale tych faktów jak na złość nie było. Wiadomości o zdarzeniach politycznych wszystkie dzienniki czerpały z tych samych źródeł. A rozumiał dobrze, że staremu chodziło o jakąś sensację, która by była wyłączną własnością „Tribuny”.

No więc? - przerwał te rozmyślenia natrętny głos Bradcocka.

- Hm... - powtórzył po raz nie wiadomo który od początku rozmowy.

Redaktor aż podskoczył z wściekłości na fotelu.

Przestań pan już nareszcie z tym diabelskim chrząkaniem. Gadać pan po ludzku nie potrafi, czy co? Człowiekowi aż się bebechy wywracają. „Hm i hm”. Gardło pana boli? Jeżeli tak, to go pan sobie wypłucz, a nie chrząkaj mi tu nad uchem. A zresztą, do licha z pańskim gardłem. Nic mnie ono nie obchodzi. Muszę mieć sensację choćby pan pękł. A jeżeli nie...

Dyskretne pukanie do matowej szyby w górnej połowie drzwi przerwało ich rozmowę.

- Wejść - okrągłe oczka Bradcocka utkwily z wyrazem niechęci w drzwiach.

Do gabinetu wsunęła się ostrożnie gładko ulizana głowa jednego z pracowników redakcyjnych.

Telefon do mister Brown - wyrecytował, cofając się pośpiesznie.

On też już wiedział o wściekłym nastroju „naczelnego” i wołał się nie narażać bez potrzeby.

- O - ucieszył się zupełnie wyraźnie reporter - pan redaktor pozwoli? - było to raczej retoryczne pytanie, bowiem w tej samej chwili zerwał się raptownie z fotela biegnąc ku drzwiom.

- Naturalnie... - sarknął zjadliwie Bradcock - telefoniki... rozmówki w czasie urzędowych godzin. A jak trzeba coś zrobić, to nie ma żadnego...

Reporter już go nie słyszał.

- Uff - odetchnął, zamykając za sobą starannie drzwi - ależ mnie wymagał.

Ruszył powolnym krokiem w kierunku kabiny telefonicznej. Nie miał się czego spieszyć... Im dłużej zostawi redaktora w samotności, tym lepiej. Może się wreszcie wysapie.

- Jak tam stary? - zaczepił go w przejściu któryś z kolegów.

- Gorzej niż źle. Po prostu wulkan w czasie wybuchu.

- Ooo - twarz pytającego wyciągnęła się z wyrazem zawodu a ja go właśnie miałem prosić o zaliczkę.

- Owszem - Brown uśmiechnął się półgębkiem - idź do niego. Nawet cię o to bardzo proszę. Niestety moja rozmowa z nim nie została jeszcze skończona. Będę mocno rad, jeżeli przed dalszym ciągiem wyładuje swoją wściekłość na kim innym.

Zagłębił się w obitą ceratowym materacem ciasną budkę.

Co? - rzucił w mikrofon. Tak, jestem przy telefonie. Co? - powtórzył niecierpliwie - proszę mówić głośniej. Nic nie słyszę. Zaraz, chwileczkę. - Zatrzasnął mocno drzwi kabiny. Miał wrażenie, jakby ogłuszający stukot maszyn do pisania wybijał nieskończone werble w jego uszach.

Jestem. - O ożywił się - z lotniska?... Słucham? Nagle twarz jego zajaśniała.

- Jesteście tego pewni. Tak... oczywiście dam nawet podwójną stawkę. Dziękuję. Zaraz tam będę!

Położył pośpiesznie słuchawkę na widelki i wypadł jak bomba z kabiny, biegnąc w stronę gabinetu naczelnego redaktora.

- Po mojej wizycie możecie poprosić starego o zaliczkę - rzucił w przejściu koledze, który go poprzednio zatrzymał na pewno da forszę.

Otworzył bez pukania oszklone drzwi.

Bradcock obrzucił go zdumionym spojrzeniem. Na widok triumfalnego Uśmiechu na ustach reportera, zamarty mu w gardle opryskliwe słowa, jakimi chciał go przywitać.

- Ali right, redaktorze - oświadczył pewnym tonem Brown - będzie sensacja. I to nie byle jaka.

- Co się stało?

- Nie - Brown usiadł na poręczy fotela zakładając nogę na nogę - nic jeszcze panu nie powiem. Dopiero gdy pasztet będzie całkiem gotów, podam go na stół z całą paradą. Potrzebna mi jest do rozporządzenia nasza maszyna - oznajmił wyciągając rękę do stojącego na biurku srebrnego pudełka z cygarami. Wziął bez najmniejszej żenady od razu trzy sztuki. Jedną wsadził pomiędzy zęby, pozostałe zaś schował do kieszeni kamizelki.

Redaktor obserwował go spod oka, nie wyrażając jednak ani słowa sprzeciwu. Znał dobrze swego najlepszego współpracownika. Jeżeli zachowywał się w ten sposób po rozmowie jaką przed chwilą prowadził, znaczyło niewątpliwie, że ma w zanadrzu poważne atuty. A Brown odznaczał się niepospolitym węchem reporterskim. To co on uważał za pierwszorzędną sensację, było nią ponad wszelką dyskusję.

- Tak powtórzył reporter zapalając redaktorską manillę potrzebna mi jest maszyna.

- Jaka maszyna? Chce pan zabrać samochód?

- Ee, tam... samochód - wykrzywił się pogardliwie, wypuszczając ustami kłęby dymu.

Nie traciłbym w takim wypadku czasu na gadanie. Chwała Bogu w Montrealu mamy dość taksówek. Nie, chcę zabrać nasz samolot.

Mięsiste wargi Bradcocka zaokrąglił wyraz najwyższego zdumienia.

- Samolot? powtórzył. - Na co? Przecież pan wie, że nasz pilot jest właśnie na urlopie...

- Potrzebna mi jest maszyna, a nie pilot - oświadczył.

- Co pan chce z nią zrobić? - wnikliwy wzrok redaktora spoczął badawczo na obliczu Browna - zaaranżować jakąś katastrofę lotniczą, czy coś w tym rodzaju?

Tym razem jednak reporter nie miał najmniejszego zamiaru zmieszać się pod spojrzeniem groźnego zwierzchnika.

- Tss - przyłożył palce do ust, uśmiechając się tajemniczo - to mój sekret... tymczasem. Być może, że z pańskiej maszyny i z reportera łącznie zostanie nie więcej, niż da się zmieścić w małej kopercie. Ale sensacja będzie pierwszorzędna. Ręczę za to głową. No, więc daje mi pan maszynę z nieograniczonymi pełnomocnictwami na dodatek, czy nie? - zapytał energicznie. - Bo szkoda czasu. Sensacja może uciec sprzed nosa.

Bradcock rozmyślał tylko krótką chwilę. Redakcyjna maszyna nie była wiele warta i ubezpieczona na przyzwoitą sumę. Ostatecznie prawie nic nie ryzykował powierzając ją reporterowi do jakichś tajemniczych machinacji.

- Weil - uderzył pięścią w biurko dając panu maszynę.

- Proszę napisać polecenie do portu lotniczego.

Brown podsunął redaktorowi blok, wtykając mu jednocześnie odkręcone pióro pomiędzy palce.

Redaktor uśmiechnął się z uznaniem. Zawsze cenił Browna za jego tempo. Nakreślił kilka słów zakończając je zygzakowatym podpisem.

- Do widzenia! Brown porwał skwapliwie kartkę. - Wrócę z sensacją, albo sensacja wróci zamiast mnie rzucił wesoło, wychodząc z gabinetu.

W trzy minuty później wszedł do taksówki.

- Wał pan całym gazem do portu lotniczego - rozkazał, pakując się na popękana ceratę siedzenia samochodu.

- Ba - szofer pokręcił głową z powątpiewaniem - pełnym gazem nie da rady. Rozumie pan, przepisy...

- Gwiżdż pan na przepisy - zawołał niecierpliwie reporter. - Każda minuta ma dla mnie cenę złota.

- Łatwo powiedzieć - szofer podrapał się z zakłopotaniem za ucho - w zeszłym tygodniu mój kolega dostał dziesięć dolarów grzywny. Muszę dobrze popracować, aby zarobić taki kawałek grosza.

- Dam piętnaście dolarów ponad takse.

- A... w takim razie nie ma o czym gadać zdecydował szofer. Zapуścił szybko motor. Samochód ruszył ostro z miejsca, nabierając szybkości z każdym niemal obrotem kół. Kierowca zręcznie wymijał pojazdy licznie zalegające szeroką asfaltową jezdnię ulicy św. Katarzyny. Motor pracował znacznie sprawniej, niż można się było tego spodziewać, sądząc po niezbyt nowoczesnym pudle karoserii. Taksówka jechała naprawdę bardzo szybko.

Tęgi policjant w granatowym mundurze obrzucił zdumionym wzrokiem pędzący samochód.

Także coś pomyślał z niesmakiem - takie historie o ósmej godzinie na głównej ulicy miasta? Machnął białą pałką. Nic nie pomogło.

Taksówka mknęła jak oszalała. Kierowca zdawał się nie dostrzec sygnału przedstawiciela władzy. Nawet nie przyhamował choćby dla przyzwoitości.

Chwila i przejechał tuż obok jego wysepki.

Poczekaj, bratku mruknął ze złością, wyjmując z kieszeni notes. Jestem kiep, jeżeli ta przyjemność nie będzie cię kosztowała okrągłą dziesiątkę.

W niespodziewanie szybkim tempie samochód podjechał pod gmach portu lotniczego. Brown wyskoczył szybko, rzucając szoferowi dwudziestodolarowy banknot. Licznik wybił na pewno mniej niż pięć dolarów, ale to nie miało znaczenia. Kierowca zasłużył uczciwie na nadprogramowy zarobek. Zresztą i tak za wszystko zapłaci „Tribuna”.

Tuż przy drzwiach oczekiwał na reportera barczysty mężczyzna w mundurze radiotelegrafisty.

- To ja... obejrzał się nieco lękliwie.

Dyrekcja portu niezbyt przychylnym okiem patrzyła na stosunki swego personelu z prasą.

- Wiem nowy banknot wywędrował z portfela reportera.

Dwadzieścia i dwadzieścia, razem sześćdziesiąt - zanotował w myśli Brown, niezupełnie zgodnie z zasadami matematyki. I tak zresztą Bradcock, podejrzewając, że wydatki wyniosły najwyżej trzydzieści dolarów, obetnie odpowiednio pozycje rachunku do pięćdziesięciu. To już był swoisty sposób obrachunków, oparty na milczącej umowie pomiędzy reporterami a redaktorem.

- A jak się sprawa przedstawia, teraz? - zapytał.

Radiotelegrafista odciągnął go w ciemny kąt vestibulu.

Wylądowali przed pół godziną. Podobno zablądzieli. Jak wywnioskowałem z rozmowy pilota z pułkownikiem Lesterem, w czasie huraganu zepsuło się radio i uległy uszkodzeniu instrumenty pokładowe. Lecieli zupełnie na oślep przez kilka godzin. Mieli już lądować w polu, gdy pilot zobaczył światła naszego lotniska. W czasie lądowania najechali na reflektor, który akurat popsuł się przed godziną i naturalnie nie świecił. W rezultacie mała awaria. Uszkodzone podwozie i nadłamane śmigło. Niby nic wielkiego, a wystartować nie mogą. Co najmniej kilka godzin roboty. Amerykański pilot wściekał się, wymyślał i żądał wypożyczenia nowego samolotu.

- A pułkownik?

Radiotelegrafista wzruszył ramionami.

- Pyta pan, jakby pan nie znał naszego naczelnika. Nawet mu w głowie nie powstało wypożyczyć samolotu. Tego nie ma przecież w regulaminie.

- Niech mu za to zdrowie służy - uśmiechnął się w duchu reporter.

- I co teraz robią przybysze?

- Młoda lady rozpacza, pilot zaś biega jak oszalały po całym lotnisku, susząc głowę kierownikowi o samolot.

Brown wszedł do środka wysokiej sali. Było w niej niemal zupełnie pusto.

Bez trudu dojrzał poszukiwanych podróżnych. Przy stoliku w kącie sali siedziała szczupła postać w wyraźnie zbyt obszernym kombinezonie futrzanym. Charakterystyczna linia opuszczonych ramion wskazywała na bolesną rezygnację. Nad futrzanym kołnierzem jaśniała wymizerowana twarz. Wokół stolika spacerował barczysty, niezbyt wysoki mężczyzna, raz po raz zatrzymując się przy siedzącej, do której mówił coś podnieconym głosem.

Brown musnął baczny spojrzeniem jego twarz. Niestety nie znał tego pilota. Osobista znajomość ułatwiłaby niewątpliwie sytuację. Ale i tak nie wyglądała ona na zbyt trudną. Uczucia, miotające przymusowymi gośćmi montrealskiego lotniska, stwarzały dogodny psychologicznie moment do przeprowadzenia zamierzonego planu.

Podszedł pewnym krokiem do osamotnionej grupki.

Pilot obrzucił go niechętnym spojrzeniem. Nie, stanowczo jego mina nie zachęcała do podjęcia rozmowy. Brown jednak nie stropił się tym bynajmniej. Twarde szranki dziennikarskiego zawodu nauczyły go potrzebnej niekiedy dozy bezceremonialności.

- Chwileczkę proszę pana - dotknął ramienia lotnika. Brwi człowieka w kombinezonie zmarszczyły się groźnie.

- Czego pan sobie życzy? - zapytał prawie opryskliwym tonem, Mam pewną propozycję... - zaczął.

- Myli się pan zapewne co do osoby przeciął ostro pilot. Brown pokręcił przecząco głową.

- Nie... chyba nie. Pan przecież jest lotnikiem z Chicago, który wiezie młodą lady do Nome na Alasce?

- Tak, więc cóż z tego. Jeżeli się pan nie myli co do osób, to w takim razie co do dalszych zamiarów. Nie interesują nas w tę chwilę żadne propozycje...

Brown przymrużył oczy.

- Czyżby? Nawet propozycja wypożyczenia samolotu?

- Co? lotnik odwrócił się raptownie ku reporterowi. Ach nie. To pewno jakieś nieporozumienie - osowiał nagle... - Pan ni należy do funkcjonariuszy lotniska.

- To nie ma żadnego znaczenia. Jestem Brown z „Montreal New Tribune” - pochylił lekko głowę w skierowanym raczej ku kobiecie, aniżeli lotnikowi ukłonie.

- Prasa? - w głowie pilota zadźwięczało oburzenie. - Ciekawym skąd znowu wywąchali nasze nieszczęście. Trzeba nie mieć serca, by...

- Ale samolot - szepnął znacząco Brown, przecinając monolo rozsierzonego lotnika.

- Uhum... ach, tak zmitygował się - czy pan chce przez to powiedzieć, że ma samolot?

- Oczywiście - potwierdził właśnie to mam na myśli. Nasz pismo posiada aeroplan, który bylibyśmy skłonni wypożyczyć pań stwu... pod pewnymi jednak... zawahał się chwilę warunkami

- Jakimi? - pilot zajrzał mu głęboko w oczy.

- Nno... że i ja polecę razem z państwem - odpowiedział znacznie mniej pewnym, niż poprzednio tonem.

- Bój się pan Boga. Chce pan męczyć to biedactwo wywiadami? - zniżył głos. - Przecież niech pan popatrzy, ona ledwie żyje... Siedząca przy stoliku dama coraz uważniej przysłuchiwała się rozmowie.

- Panie Hartman - zawołała teraz. - Niech pan się zgodzi. Jestem gotowa na największe przykrości, byleby tylko móc polecieć dalej.

- Proszę pani - Brown skłonił się przed nią z szacunkiem

- proszę mi wierzyć, że nie będzie mowy o żadnych wywiadach. Rozumiem dobrze pani nastrój i nie mam najmniejszego zamiaru mącić go swym wścibstwem. Dla mnie najzupełniej wystarczy wspólna podróż do Nome i zebranie informacji od osób postronnych. I tak artykuł, który z tego wykroję, wynagrodzi naszemu pismu drobną grzeczność wypożyczenia samolotu.

- Dziękuję panu drobna ręka wyciągnęła się ku reporterowi. Dotknął ją delikatnie, jakby w obawie, że silniejszy uścisk może zniszczyć ten kruchy przedmiot.

- W takim razie porządny z pana chłop - lotnik uściśnął mu mocno dłoń. - Teraz przystąpmy do sedna sprawy - ton jego stał się rzeczowy - więc o ile dobrze zrozumiałem, pan, względnie pańskie pismo, chcecie nam wypożyczyć samolot na lot do Nome?

- Zrozumiał pan zupełnie dobrze.

- Czy wasz pilot ma z nami polecieć?

- Nie, niestety pilot przebywa akurat na urlopie.

- Tym lepiej - ucieszył się Hartman - wolę zawsze dla pewności trzymać swoje życie we własnej garści. A jakiego typu jest ten samolot?

- Typu? - przeciągnął niepewnie Brown. Jego zasób fachowych wiadomości dotyczących dziedziny lotnictwa był więcej niż skromny.

- No tak - potwierdził Hartman - od tego przecież zależy niezmiernie wiele.

- Cóż... - Brown czuł się coraz bardziej zmieszany pod badawczym spojrzeniem jego oczu. - No wie pan - uczynił jaki niekreślony gest obiema rękami... Ten... kabinowy wypalił wreszcie.

- Co? - wytrzeszczył oczy ze zdumieniem Hartman - jaki?.. Aaa - uśmiechnął się mimo woli, zrozumiał przyczyną dziwne go określenia - to znaczy, że ma kabinę? Sądzę, że oprócz tego znajdzie się co najmniej para skrzydeł, jakiś tam ogonek, nie mówiąc już o kawałku śmigła? - Ton lotnika brzmiał wyraźnie kpiarsko.

Brown łypnął na niego okiem, milczał jednak. Nie czuł się zbyt pewnie na tym gruncie i wolał się nie wdawać w lotnicze dyskusje.

- Najlepiej będzie, gdy go pan obejrzy - zaproponował wymijająco.

- I ja tak sądę - zgodził się lotnik. - Pani wybaczy - zwróć się do Mag - ale muszę zobaczyć na własne oczy to cudo.

Gdy odeszli na przyzwoitą odległość od stolika, Brown odzyski pewność siebie.

- Niech mi pan powie - - nachylił się do ucha lotnika - czy z tym „kabinowym typem” strzeliłem wielkiego byka?

Hartman zaśmiał się pobłaźliwie.

- No w każdym razie nie najmniejszego, nawet jak na laika.

- A lady... Barton podsunął Hartman.

- Tak. A więc lady Barton, jak pan ma wrażenie, czy bardzo dokładnie zna się na lotnictwie? Hartman poklepał go po ramieniu.

- Innymi słowy, chce pan zapytać czy zauważyła pańską gafę Nie, nie sądę, aby jej to specjalnie podpadło - powiedział uspokajająco. - Ale muszę panu powiedzieć, że choć jak widzę nie zna pa się specjalnie na lotnictwie, tym nie mniej morowy z pana facet. Ratuje pan w moich oczach całą Kanadę. Bo, prawdę mówiąc, po rozmowie z tym nadętym jegomościem, pomyślałem o was trochę brzydko...

- Ma pan na myśli pułkownika Lestera?

- Właśnie jego - potwierdził - napuszony i sztywny, jakby kij połknął. Gadam do niego jak do człowieka, tłumaczę co i jak ostatecznie ponosi sam winę za naszą awarię, a on powtarza swoje niby gramofon. Przepis i przepis.

- Tak... - Brown pokiwał ze zrozumieniem głową - pułkownik Lester jest rzeczywiście nieco zbyt rygorystycznym formalistą.

Zatrzymał jakiegoś funkcjonariusza, wręczając mu wyciągnięty z kieszeni dokument.

- Dobrze - oświadczył ten z gotowością zaraz panów zaprowadzę.

Wyszli z gmachu, kierując się ku ciemnej masie hangarów.

- Czy samolot jest gotowy do drogi? zagadnął Hartman w drodze funkcjonariusza.
- O ile pamiętam nie brakuje mu specjalnie niczego. Przegląd nie potrwałby zbyt długo, gdyby nie to, że jest już po fajrancie, jeżeli chodzi o samoloty prywatne.
- Płacę podwójne stawki za pośpiech - wtrącił Brown.
- W takim razie wszystko all right. Samolot będzie gotowy za niecałą godzinkę.
- Pomogę waszym mechanikom oświadczył Hartman razem pójdzie nam prędzej.

Zbliżył się ku małej przybudówce z falistej blachy przycupniętej przy ścianie olbrzymiej hali wielkiego hangaru. W porównaniu z ogromem swego sąsiada przybudówka czyniła wrażenie czegoś w rodzaju pudełka od zapalek.

- To tu - funkcjonariusz manipulował przez chwilę przy zamku, po czym odsunął blaszane wierzeje.

Wnętrze hangaru wypełniała absolutna ciemność, nie pozwalając rozeznąć czegokolwiek. Funkcjonariusz pomacał po ścianie. Szczęknął cicho przekreślony włącznik. U sufitu zapłonęło kilka żarówek. Z ciemności wyłonił się przysadzisty, niezbyt zgrabny kształt samolotu.

- Bristol trzydzieści jeden - poznał od razu Hartman, przyglądając się sceptycznie maszynie. - Pewne przeróbki przeprowadzone prawdopodobnie domowym sposobem w profilu kabiny - w głosie jego nie wyczuwało się specjalnego entuzjazmu. - Hm - mruczał obchodząc wokół samolot - wszystko zależy od stanu motoru i pogody.

- Jak tam z ogrzewaniem? - zatrzymał się wreszcie przed Brownem.

- Kabina ogrzewana - odpowiedział lakonicznie reporter.

- Dynamo zamontowane dwa lata temu - dodał funkcjonariusz lotniska. - Jak dotychczas działało bez zarzutu. - Cóż - Hartman strzepnął palcami - dobre i to.

- Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się po tym „parasolu” - wskazał nieco pogardliwym kiwnięciem głowy na maszynę takiej innowacji. Gdyby jej nie było, to o ile dolecielibyśmy w ogóle, wylądowalibyśmy niewątpliwie w postaci lodowatych sopli!

- Czy potrafi pan prowadzić ten typ? - zapytał z lekkim niepokojem Brown. Hartman uśmiechnął się nieznacznie.

- Coś niecoś. Kilka lat temu latałem na podobnych typach i muszę przyznać, pasowały mi całkiem niezłe do ręki.

- Zaraz sprowadzę mechaników - funkcjonariusz zniknął w pasie ciemności, leżącym o kilka kroków przed hangarami.

Hartman wdrapał się na samolot. Wchodząc do kabiny przekreślił ebonitowy włącznik. Zapłonęło światło. - Akumulator w porządku - stwierdził z zadowoleniem. Przesunął

czerwony hebelek z napisem „ogrzewanie”. Po chwili zza ażurowych miedzianych blach umieszczonych w ścianach, powiało rozgrzanym powietrzem. - Wcale nieźle - mruknął, zasiadając na fotelu pilota - ten lotnik „Tribuny” musi mieć głowę na swoim miejscu. Ciekawym jak tan z instrumentami pokładowymi? - nachylił się nad szeregiem czarnych oświetlonych tarcz. Coraz bardziej przekonywał się, że dzięki wprowadzonym ulepszeniom samolot nie jest wcale takim gratem, jak z początku przypuszczał. Przynajmniej jeżeli chodzi o urządzenie wewnętrzne. Bo o wartości motoru i zwrotności maszyny mógł się przekonać dopiero w czasie lotu. Było to nie wątpliwie cokolwiek zbyt późno, ale nie miał żadnego wyboru.

Stery działały zupełnie sprawnie.

- Mister Hartman - obcy głos z zewnątrz przerwał dalsze badania.

- Co takiego? - wyrzwał przez uchylone okienko. Przy samolocie stały trzy postacie w roboczych kombinezonach. Jedna z nich powiewała ku górze żółtą kopertą.

- Ki lichy? - pomyślał, ześlizgując się pospiesznie na wyasfaltowaną podłogę.

- Pan pułkownik Laster, dowiedziawszy się o zamierzonym locie, przysyła panu komunikat meteorologiczny - zaraportował człowiek w zasmolonym kombinezonie, wręczając Hartmanowi kopertę.

- Patrzcie no - zdziwił się w duchu lotnik - więc jednak za tymi paragrafami bije serce ludzkie? - pewnym ruchem rozerwał kopertę, przebiegając oczyma treść maszynowego pisma:

„Lotnisko British Imperial Ariway Kanada, Montreal. Godzina 20 m. 55. Stan pogody: Wiatr umiarkowany - kierunek północno-wschodni. Chmury warstwowo-kłębiaste i warstwowo-śnieżne o podstawie od 200 do 300 metrów. Widzialność dobra. Temperatura + 20 st. F. (-60 st. C)”.

- Otóż to - powiedział wesoło do Browna - pogoda jakby specjalnie zamówiona na nasz spacer. Gdybym jeszcze miał swoją maszynę, śmignęlibyśmy jak błyskawica. Ale i na tej damy sobie jakoś radę - dodał pocieszająco, widząc zatroskaną twarz reportera.

Zachęceni nadzieją nadprogramowego zarobku, obiecanego przez Browna, mechanicy zabrali się raźnie do roboty. Hartman także zakasał rękawy.

Wreszcie wszystko było skończone. Wspólnymi siłami wytoczono samolot na lotnisko. Obeszło się bez ciągnika. Maszyna nie była zbyt ciężka. Zaczęto napełniać zbiorniki paliwem. Hartman pogwizdywał niefrasobliwie. Czuł się jak odrodzony od chwili, gdy stwierdził, że maszyna nadaje się do użytku. Przymusowa przerwa w podróży uwierała, jak dotkliwy cierń jego ambicję lotniczą.

Z blaszanym chrzęstem odsunięto wielkie żelazne beczki. Hartman zeskoczył zręcznie na ziemię.

- Wszystko w porządku mister Brown - ujął przyjacielskim gestem Anglika pod ramię - za parę minut startujemy. Zabieramy naszą pasażerkę i jazda.

Ramię w ramię z reporterem weszli do mrocznej sali poczekalni. Mag podniosła ku nim wzrok. W jej źrenicach malowało się trwożne pytanie.

- Głowa do góry, proszę pani! - zawołał Hartman od progu maszyna wyrzeczowana jak się patrzy. Lecimy dalej! Zerwała się raptownie z krzesła. Na policzki wystąpił rumieniec radosnego podniecenia.

- Naprawdę lecimy? - podbiegła ku nim. - Kiedy?

Już lotnik podniósł rękę, jakby dawał znak do startu. - Idziemy do kabiny.

Na lotnisku było prawie widno od światła jaskrawych, gęsto poustawianych reflektorów. Wiał słaby, chłodny, ale nie mroźny wiatr. Wysoko nad głowami przesuwała się powoli prążkowa zasłona wełnistych chmur. Mag wciągnęła pełną piersią orzeźwiające powietrze nocy. Widok oświetlonego samolotu, wokół którego krzątały się pracowite postacie mechaników, napawał otuchą. Gniotący ciężar beczynnego oczekiwania zginął gdzieś bez śladu z jej duszy. Czowała się dziwnie radośnie.

Hartman pogwizdywał przez zęby triumfalnego marsza. I on też był zadowolony. Nie obchodziły go już w tej chwili tysiące mi trudnej trasy, dzielące ich od celu. Co tam. Miał możliwą maszynę Huragan poszedł spać, śnieżyca ucichła, czegoż więc mógł jeszcze wymagać od losu? Wnętrze kabiny przedstawiało się całkiem przyjemnie. Radiatory zdążyły nagrzać powietrze do przyzwoitej temperatury, poduszki foteli, na pewno nie fabrycznego wykonania ugiwały się elastycznie pod ciężarem ciała, jednym słowem wszystko all right.

Po chwili do kabiny wwindował się zasapany Brown, uginając się pod ciężarem olbrzymiej paki, wydającej przy poruszaniu szklany oddźwięk.

- Co to takiego - zapytał ze zdziwieniem pilot - chce pan może zawieźć do Nome zastawę stołową?

- Nnie reporter od wij ał gruby papier, wyjmując z paczki istne sterty puszek z konserwami i liczne butelki - chciałem tylko nieco uzupełnić zapasy naszej żywności.

Ależ pilota ogarniało coraz większe zdumienie w miarę odwijania papieru przecież tego wszystkiego wystarczyłoby chyba bez mała na miesiąc?

- A jeżeli będziemy mieli przymusowe lądowanie w drodze? Hartman machnął ręką. Nie warto było dyskutować. Ostatecznie zapasy się nie zmarnują. W Nome ludzie też mieli niewątpliwie żołądki na swoich miejscach. Odwrócił się ku sterom.

- Szykować do startu! - zawołał gromkim głosem.

- Gotowe.

Po przejechaniu kilkuset metrów pneumatyki kół oderwały się od asfaltu.

Maszyna wzbijała się miękko w powietrze.

- Start wspaniały. - Hartman starał się przekrzyczeć hałas motoru i śmigła - oby i dalej poszło w ten sposób.

Brown wyprostował się swobodnie na swoim fotelu. W rezultacie wszystko szło o wiele sprawniej niż tego oczekiwał. Aż do ostatniej chwili nie miał specjalnego zaufania do redakcyjnej maszyny.

Podłoga kabiny drżała łagodnie.

Zerknął ukradkiem na skupioną twarz dziewczyny. Nie, nie miał jakoś śmiałości przerwania jej zadumy.

Wyjął z kieszeni wielki notes w sztywnej okładce i odkręciwszy wieczne pióro zaczął szkicować efektowny początek artykułu.

„Start odbył się w czasie niesamowitego huraganu - złota stalówła szybko biegła po papierze. - Kabiną miotano jak piórkiem. Ściany kabiny trzeszczały pod naporem wiatru wyginając się niepokojąco. Schylony nad sterami pilot walczył desperacko, by wyprowadzić samolot z wiru. Po jego zmarszczonym czole spływają grube, wielkie krople potu... - rozejrzał się wokoło. Wzrok jego zatrzymał się na cienkiej, nie wiadomo kiedy i z jakiego powodu powstałej kresce na jednej z mikowych szybek. - Szyby wylatują z brzękiem, uderzane porywami wiatru.”

Serca podróżnych drżą trwożnym oczekiwaniem. Co będzie za minutę? Za sekundę? Ba, nawet za jej ułamek? Czy herkulesowe wysiłki pilota potrafią wyrównać samolot, czy też...? - pisał szybko.

W tej chwili Hartman, wyrównawszy lekkim posunięciem steru idącą niespodziewanie gładko maszynę odwrócił się z wesołym uśmiechem:

- Taki lot to prawdziwy odpoczynek - aż błysnął zębami.

Brown przykrył pospiesznie napisane zdanie otwartą dłonią. Wolał tymczasem nie ujawniać ich treści przed obcymi. Kto wie, czy potrafiliby zrozumieć, że gdyby opisał wszystko tak, jak odbywało się naprawdę, sensacja straciłaby swój dreszczyk emocji.

XIII

PAN DYREKTOR BARTON ZMIENIA ZDANIE CO DO OSOBY PRZYSZŁEGO ZIĘCIA

- Uff - odsapnął zatraskując drzwi sypialnego przedziału - poczekaj no panie prokuratorze, teraz zobaczysz co to jest zadzierać z dyrektorem Zjednoczonych Kopalń Złota. Utrą ci nosa.

Opadł na miękkiej kanapce. Rzadko się zdarzało dyrektorowi Bartonowi wyjść z równowagi duchowej, ale tym razem wyszedł z niej naprawdę i miał ku temu aż nadto wystarczające powody.

Z początku wizyta Wilmersa. Już sam sposób badania obywatela na takim stanowisku był czymś zgoła niesłychanym. Po jego wyjściu Barton wściekły na prokuratora i na siebie samego, postanowił przeciwdziałać natychmiast skutkom zdradzenia adresu Mag. Potrafi przecież usunąć Mag w jakieś bezpieczne miejsce, w którym będzie przebywała, zanim interwencja gubernatora nie zniweczy niebezpieczeństwa skandalu. Kazał się niezwłocznie połączyć z Chicago. Niestety jednak, widocznie Wilmers przewidział takie posunięcie i wydał odpowiednie zarządzenia w centrali telefonicznej. Bo chyba nikt w to nie uwierzy, by linia mogła być zajęta bez przerwy całe pięć godzin, pomimo zamówienia błyskawicznej rozmowy. Gdy się wreszcie dodzwonił, doktor Page oświadczył wyraźnie zaniepokojonym głosem, że Mag otrzymała wezwanie od dyrektora policji i wyszła z domu przed prawie trzema godzinami. Dotychczas nie wróciła. Pomimo telefonów do dyrekcji policji, nie mógł uzyskać żadnych informacji.

Odłożył słuchawkę z wściekłością. Uprzedzili go. Dobrze. Niech i tak będzie. Ale za żadną cenę nie daruje tego wszystkiego. Skończą się wreszcie te wszystkie bezprawia Wilmersa. Znajdą się tacy, którzy pouczą go jak należy postępować z obywatelami w praworządnym państwie.

Wciąż jeszcze nie mógł przyjść do siebie po przeżyciach dzisiejszego popołudnia. Ledwo zdążył na pociąg idący w kierunku Juneau. Niemal w ostatniej chwili wpadł na stację, i gdyby nie potężny motor w jego Buicka, musiałby czekać kilkadziesiąt godzin na następny. Nie, nie czekałby w żadnym wypadku. Pomimo szalejącej śnieżycy raczej zaryzykowałby kilkaset mil drogi samochodem, niżby pozwolił na przeciąganie się tej niedorzecznej sytuacji.

Na szczęście siedział już w wagonie. Teraz nic go już nie powstrzyma przed wygarnięciem jego ekscelencji co o tym wszystkim myślał.

Za kilkanaście godzin sprawa musi się wyjaśnić. A jeżeli nie znajdzie sprawiedliwości u gubernatora, potrafi nawet dotrzeć do Białego Domu.

Spojrzał przelotnie na lustrzaną szybę okna. W mroku przesuwają się szybko niewyraźne cienie wyniosłych jodeł. A więc wyjechali już poza obręb miasta. Nawet nie zauważył, że pociąg ruszył.

Osunął się nie zdejmując ubrania, na świeżo powleczonej pościeli.

Koła Stukały monotennie na spojeniach szyn. Elastyczne sprężyny materaca kołysały miarowo zmęczone ciało. Powieki same opadały na oczy: Myśli straciły jasność swych konturów. Po kilku minutach rytmiczny oddech zaczął podnosić pierś Bartona. Zasnął. Pomimo burzy szalejącej w sercu, zapadł w głęboki sen.

Gdy znalazł się wreszcie po wielu, wielu godzinach na zalanych krwawymi odblaskami zachodzącego słońca, schludnych ulicach Juneau, poczuł z niemałym zdumieniem, że jego gniew stracił wiele swej ostrości.

Wymokły sekretarz jego ekscelencji powitał Bartona z całym szacunkiem. A jakże, któż by nie słyszał na Alasce, ba, w całym nawet kraju o dyrektorze Zjednoczonych Kopalń.

Słowa Stromayera polechotały przyjemnie próżność ukrytą głęboko w sercu Bartona.

Gdy jeszcze do tego wszystkiego gubernator kazał go poprosić za ledwie w parę minut po zameldowaniu, Barton odzyskał w zupełności równowagę duchową. Niemal uśmiechnął się, wchodząc do gabinetu jego ekscelencji.

Może usunięcie z posady byłoby zbyt surową karą dla Wilmersa - pomyślał niepewnie, siadając, zaproszony uprzejmie przez gubernatora, na wygodnym klubowcu - chyba wystarczy surowa nagana, no i oczywiście wycofanie z tej całej sprawy osoby Mag?

Zaczął opowiadanie o krzywdach doznanych od prokuratora znacznie spokojniejszym niż zamierzał tonem.

Gubernator wysłuchał cierpliwie do końca, nie przerywając ani razu.

Twarz jego nie wyrażała nawet cienia zdumienia. Wyglądało jakby oczekiwał czegoś w tym rodzaju.

- Tak - westchnął wreszcie zapalając gościowi, a następnie sobie cygaro ma pan, dyrektorze dużo racji. W tym wszystkim popełniono cały szereg nieformalności... Ale niech mi pan wierzy, bywają czasami sytuacje, których nie można załatwić ściśle według litery prawa.

- Zresztą... - dodał wypuszczając gęsty kłęb siniego dymu - mogę pana poinformować, co się stało z pańską córką.

- Wasza ekscelencja? - zdziwił się Barton.

- Ja - wargi gubernatora wykrzywił nieokreślony uśmiech. Ostatecznie ta rozmowa z pewnych względów nie należała do specjalnie przyjemnych.

- Otóż... - ciągnął powoli - miss Barton znajduje się teraz w drodze do Nome.

- Co - dyrektor zamrugał oczyma - do Nome? - Był pewny, że się przesłyszał.

Gubernator skinął potakująco głową.

- Ale... - zająknął się Barton - po co?

- Bo - gubernator obserwował dyskretnie gościa, by wiedzieć jakie wrażenie wywoła na nim i ta nowina - ma się tam spotkać panem Harrym Cossem.

Barton kompletnie osłupiał. Mag jedzie do niedostępnego Nome, aby spotkać się z Cossem? To przecież przekraczało jego zdolności pojmowania. Czyżby najwyższy urzędnik Alaski nagle dostał obłądu?

- Z tym... z tym... jąkał odzyskawszy wreszcie częściowo zdolność wydobywania głosu.

- Z panem pułkownikiem Harrym Cossem - powtórzył spokojnie gubernator.

To już dobiło ostatecznie dyrektora.

- Pułkownikiem? Bandytów mianują pułkownikami? Nie, stanowczo któryś z nich zwariował. A może to wszystko jest po prostu jakimś niesamowitym koszmarnym snem?

- Coss... Coss... pułkownikiem? wykrztusił z wysiłkiem. Tak - potwierdził nominacja mister Cossa na honorowego pułkownika amerykańskiej armii w uznaniu jego szczególnych zasług została już podpisana przez prezydenta Stanów.

Barton przetarł dłonią zmarszczone czoło, jakby chcąc spędzić z niego jakąś oszłamiającą chmurę. Wzrok utkwiał nieruchomo w jeden punkt.

Wytrzeszczone oczy zdawały się wypadać z orbit. Półotwarte usta łąpały powietrze. Przypominał w tej chwili rybę wyjętą z wody.

Gubernator popatrzył na niego ze współczuciem.

- To jeszcze nie wszystko powiedział łagodnie nosimy się z zamiarem powierzenia mister Cossowi odpowiedzialnego stanowiska w administracji Alaski.

Usta Bartona zamknęły się gwałtownie. Gubernator słyszał niemal zgrzyt jego zębów.

- To chyba jakieś kpiny pomyślał Barton bezradnie, patrząc badawczo w poważną twarz gubernatora. Zupełnie nie wiedział jak się miał w takiej sytuacji zachować. W każdym razie nie będzie przecież wysłuchiwał tych wszystkich bzdur, niemy jak drewniana kukła.

- Może... może... stanowisko inspektora policji? sarknął wreszcie zjadliwie.

Dostojnik zdawał się przyjmować jego słowa za dobrą monetę.

- Zdumiewa mnie domyślność pana dyrektora. Właśnie to stanowisko miałem na myśli. Nominacja mister Cossa zależy tylko wyłącznie od jego własnej zgody.

Nie mógł jednak prowadzić dłużej w ten sposób rozmowy. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, co musiało się dzieć w duszy Bartona.

Podniósł się z fotela i okrążywszy biurko, podszedł ku Bartonowi.

- Panie dyrektorze - nachylił się nad nim poufnie - rozumiem dobrze jego zdumienie tym wszystkim, co mu powiedziałem. Przyznaję, że to wszystko wygląda na pierwszy rzut oka niedorzecznie. Ale niech mi pan wierzy, sprawa Wilka ma swoje ukryte kulisy, które to wszystko uzasadniają...

- Jakże? - jęknął Barton. Gubernator pokręcił z ubolewaniem głową.

- Niestety, ze względu na dobro państwa muszą one pozostać w absolutnej tajemnicy.

Mózg Bartona pracował gorączkowo, segregując z trudem otrzymane wiadomości. Sprawa Wilka posiadała swe tajemnicze kulisy? Może wobec tego wyglądała ona istotnie zupełnie inaczej, aniżeli to można było wnioskować, sądząc po jego zewnętrznych dekoracjach? Musiało zresztą tak być naprawdę, skoro Coss...

- Więc to wszystko prawda?

- Najpewniejsza pod słońcem. Mister Coss jest już pułkownikiem, a czy będzie jeszcze na dodatek inspektorem policji, zależy wyłącznie od jego dobrej woli, no i... - wytrzymał krótką pauzę - od woli jego przyszłej małżonki - uśmiechnął się dyskretnie.

W duszy dyrektora nastąpił gwałtowny przewrót. Jeżeli tak, to oczywiście całkiem inna historia. Honorowy pułkownik, właściciel dobrze prosperującej farmy i inspektor policji, to już wcale niezła partia, nawet dla jedynaczki dyrektora Zjednoczonych Kopalń. Niech się wobec tego dzieje jak losy zrządzą. On nie będzie stał na przeszkodzie.

Gubernator obserwował uważnie przemiany zachodzące w wyrazie twarzy gościa.

- I jeszcze jedno. Mister Coss nie popełnił żadnego czynu, który by choć w najmniejszym stopniu uwłaczał jego honorowi. Jest gentlemenem w każdym calu. Ręczę panu za to słowem.

Barton podniósł się powoli z fotela. W głowie mu jeszcze trochę szumiało od zbyt szybkiego tempa wrażeń, ale zdołał już w duchu sprecyzować swe stanowisko wobec nieoczekiwanej zmiany sytuacji. Nikt jeszcze nigdy nie mógł zarzucić Bartonowi ślamazarności w podejmowaniu decyzji.

- Dziękuję waszej ekscelencji. Gubernator uściśnął mocno dłoń dyrektora.

- Będę bardzo zobowiązany miss Barton, jeżeli nie zapomni o mnie przy rozesłaniu zaproszeń na uroczystość swych zaślubin

- oświadczył poważnie.

Najwyższy administrator Alaski posiadał głęboką znajomość ludzi, niezbędną do kierowania tym, tak bardzo trudnym krajem. Wiedział co trzeba czynić, aby przywrócić Cossa do łask społeczeństwa.

Barton wybiegł z gabinetu zupełnie rozpromieniony. Gubernator będzie na zaślubinach? To przecież zamknie usta nawet najbardziej podejrzliwym i zacierzewanym. A poza tym nadzieja gubernatorskiej wizyty łaskotała mile snobizm Bartona.

Prosto z gubernatorskiej willi udał się do urzędu telegraficznego, gdzie nadał depeszę radiową do Nome:

„Miss Margaret Barton - stop. - Wiem wszystko - stop - wyrazy szacunku i uznania dla mister Cossa - stop - życzenia szybkiego powrotu do zdrowia - stop - rad będę, jeżeli wszystkie nieporozumienia wyjaśnią się pomyślnie - stop - nie mam najmniejszych zastrzeżeń co do twoich zamiarów - stop 4i wprost przeciwnie - stop - kochający ojciec”.

Ton był bardzo serdeczny, jak na Bartona. Bodaj czy nie najserdeczniejszy, jaki w ciągu całego życia skomponował. Serce jego rozpierała radość i duma. Życie jest piękne. Ten prokurator Wilmers też całkiem przyzwoity chłop. Może tylko nieco zbyt obcesowy, ale to już pewno przywiązane jest do jego zawodu. Niech tam. Nawet okiem nie mrugnie, gdy się z nim spotka. Nie, nie żałował kilkudziesięciu godzin straconych na podróz.

Mag otrzymała depeszę od ojca w parę minut po wylądowaniu na lotnisku w Nome. Przyjęła ją jako zapowiedź szczęśliwego jutra. Bo pomimo całej miłości do Harry'ego, widmo gniewu ojca leżało jej na sercu przemożnym ciężarem.

XIV

SŁOŃCE WSCHODZI NAD NORTON SOUND

Czerwona, nabrzmiała krwią mgła zaczęła ustępować z mózgu. Na czole czuł chłodny dotyk delikatnej dłoni. Poprzez nieustanny szum dzwoniący w uszach, przesączał się pieszczotliwy szept. Ten głos! Poznałby go wszędzie. Dotarłby do głębi serca, nawet gdyby już znieruchomiał w bezruchu śmierci. Ależ to niemożliwe przecież. Mag? Jakież rozkoszne marzenie. Oby trwało jak najdłużej. Nie pragnął niczego więcej.

To byłoby dostateczną nagrodą za wszystko, co przecierpiał.

- Harry, kochany mój...

Podniósł powieki. Miał wrażenie, jakby ciążyły niemożliwym do pokonania brzemieniem.

Tuż przed oczyma ujrział rozplywające się we mgle rysy ukochanej twarzy.

- Mag... - westchnął gorąco. - Mag...

- Tak, kochany - nachyliła się nad nim jeszcze bardziej. Ciepłe wargi dotknęły pałającego czoła.

Wciąż nie mógł uwierzyć, by to było prawdą. Chyba jakiś błogosławiony zwid gorączki? Mózg jego pracował ospale.

- Ty przy mnie...? - wyszeptał słabo.

- Przy tobie. Zawsze będę już przy tobie. Czy będziesz mi mógł przebaczyć?

Pochłaniał widok ukochanej głodnymi oczami. Na jego twarz rozlał się wyraz bezmiernego szczęścia.

- Ja... tobie... przebaczyć? Mag?... jak możesz... przecież kocham ciebie...

Pochwyciła zwisającą bezwładnie wychudłą rękę i przycisnęła do swych ust.

Wpatrywała się pełna serdecznego niepokoju w zapadłe, woskowożółte policzki. Nadśluchiwała z natężeniem słabego, ledwo dosłyszalnego oddechu, wypływającego spomiędzy wpeł uchylonych, bladych warg. Serce jej ścisnął skurcz bólu. Czyżby jednak miał odejść?

Osunęła się na kolana przy łóżku, zatapiając się w niemej, błagalnej modlitwie, bez słów. Podniosła się dopiero wtedy, gdy cicho skrzypnęły drzwi.

Do pokoju zajrzał doktor Husley.

Przyjrzał się badawczo twarzy Harry'ego.

- Panie doktorze - dotknęła lekko jego ramienia.

- Tss - przytknął ostrzegawczo palec do ust. - Nasz pacjent śpi po raz pierwszy od początku choroby. Będzie żył. O ile tylko... nie ucieknie nam pani w międzyczasie. - Bo - usta doktora drgnęły dobrotliwym uśmiechem - pani obecność przy naszym chorym jest równoznaczna z jego życiem.

- Nigdy już od niego nie ucieknę... - szepnęła cicho.

Przez okno wpadały do pokoju ciepłe promienie, malując na deskach podłogi złociste plamy.

Chmury rozstępowały się powoli, ukazując skrawek bladoniebieskiego nieba. Nad stalowymi wodami zabłysnęło słońce. Fale załśniły niby ruchliwa powierzchnia żywego srebra.

Od południa nadciągało pierwsze, nieśmiałe jeszcze tchnienie wiosny.

TOM III

CIEŃ WILKA

I

SALAMBO ZNAJDUJE NOWYCH PRZYJACIÓŁ

Salambo został pominięty przy awansach. Spodziewaną nagrodę pieniężną też diabli wzięli. W ogóle nic nie mógł zrozumieć z tego, co się działo w ostatnich czasach na terenie

Fairbanks. Czuł się jak wytrawny gończy pies, który biegnąc z nosem utkwionym w świeży ślad lisa, nagle natrafia na słonia. Bo jakże? Harry Coss zamiast powędrować do więzienia, zostaje ni z tego ni z owego mianowany nadinspektorem policji! Człowiek, przeciw któremu zgromadził dowody wystarczające nie tylko do osadzenia pod kluczem, ale i do całkiem pewnego wyroku skazującego, staje na czele obrońców prawa? WILK jako opiekun owczarni?

WILK... otóż to. Ciemnoskóry detektyw fairbanskiej policji nie miał najmniejszych wątpliwości, kto był naprawdę Wilkiem. Zbyt dokładnie wgryzł się w tę całą sprawę, by nie wiedzieć co i jak...

A sprawa zamordowania inspektora Mac Dufty'ego? Znajduje się trupa wysokiego dygnitarza policyjnego w okolicznościach, wskazujących wyraźnie na popełnienie zbrodni i kropka...? Ani dochodzenia, ani śledztwa... Jak gdyby nic się nie stało.

Gdy na swoją rękę zaczął coś niecoś przewąchiwać w tej sprawie i bąknął na jej temat parę słów inspektorowi Herstowi, ten z miejsca zamknął mu usta: nie wasza rzecz!

Salambo miał zbyt bystry wzrok, by nie zauważyć niewyraźnej miny inspektora w czasie tej rozmowy. Chcąc nie chcąc musiał stulić uszy i wyniósł się jak niepyszny. Ale wiedział swoje. Nie jego rzecz? A niby czyja? Więc po co służy się właściwie w policji?

Zresztą cała ta służba od śmierci inspektora zaczęła wyglądać niezachwycająco. Nieboszczyk miał szeroki gest. Gdy poczęstowano go ciekawą wiadomością, nie żałował kilku nadetatowych dolarów. Rozumiał, że człowiek musi przecież z czegoś żyć. A inspektor Herst? Łatwiej chyba byłoby wydusić z kamienia tysiączek niż z niego centa. Zaraz cała litania pytań - a za co, a na co, a po co? I wyjeżdża z regulaminem. Regulamin zaś, wiadomo - w takich sprawach psu na buty.

Jak postępował w takich sytuacjach nowy nadinspektor, tego Salambo nie wiedział. Ludzie mówili wprawdzie, że i z niego szef nie najgorszy, ale Salambo wolał nie sprawdzać tego osobiście. Jak mógł, schodził mu z drogi. Bo przecież Coss miał dostęp do wszystkich akt. I rzeczywiście przestudiował dokładnie sążniste raporty na temat swej własnej osoby, składane swego czasu przez Salambo. Lepiej nie włożyć mu w oczy. Dobrze jeszcze, że nie dobrał się od razu do skóry detektywa, czort wie jednak co takiemu przyjdzie do głowy.

Wszystko nie sprzyjało dobremu samopoczuciu. Salambo miał wrażenie, że grunt usuwa mu się spod nóg. Prędzej czy później tamten zechce na pewno odegrać się za swoje. A być zawieszonym w próżni?

Dopiero w ostatnich czasach zarysowały się pewne możliwości. Nawet więcej niż możliwości, bo zdążyły się pojawić całkiem realne rezultaty. Zaczęło się zupełnie

przypadkowo. Przynajmniej ze strony Salambo zawarcie w podmiejskiej knajpie znajomości przy kieliszku było czystym przypadkiem. Jegomość, który przysiadł się do stolika, postawił sporo kolejek zanim wyłożył na stół, o co mu chodzi. Uczynił to zresztą z zawiłym obchodzeniem na milę jądra sprawy. Ale Salambo umiał wyczuć, skąd wiatr wieje. Od razu nastawił uszu. A jegomościowi chodziło ni mniej ni więcej tylko o osobę samego nadinspektora Cossa. I o WTLKA. Ze niby rozmaicie ludzie gadają o całej tej historii. Właśnie wskazano mu na Salambo jako na tego, który mógł trochę rozświetlić sytuację.

Salambo patrzył spode łba. Szczerze mówiąc, jegomość robił dość podejrzanę wrazenie. Zawodowa czujność wrosła głęboko w duszę mieszańca stając się jego drugą naturą. Od razu wyszczerzył na kompana kły. Z jakiego niby tytułu interesuje się tą sprawą?

Tamtego jednak pytanie to nie stropiło ani trochę. Jeszcze jedna kolejka whisky poprzedziła dokonaną konfidencjonalnym szeptem prezentację.

Agencja Pinkertona - jeżeli już koniecznie chciał wiedzieć - przysłała go właśnie na czyjeś tam zlecenie i tak dalej. Słowa raczej mętne, treść zaś ani trochę nie przekonująca szczególnie dla fachowca. Dawniej Salambo chwyciłby jegomościa za kołnierz i zaprowadził z miejsca na posterunek. Od chwili jednak niezrozumiałych zdarzeń po śmierci Mac Dufty'ego wiele pojęć uległo głębokiemu przewartościowaniu w jego duszy. Zresztą na zakończenie jegomość zupełnie niedwuznacznie wysunął propozycję zapłaty za informacje. To oczywiście czyniło sprawę interesującą!

- Salambo bardzo potrzebował pieniędzy. Była pewna biała dziewczyna, która uważała, że flirt z półkrwi gentlemanem przynosi kobiecie ujmę, o ile nie jest odpowiednio wynagrodzony.

Toteż nie namyślał się zbytnio, oświadczając jedynie, że nie ma zwyczaju sprzedawać za grosze tego, co czynić trzeba na wagę złota.

Zaczęły się targi, przeplatane kolejkami alkoholu. Jegomość miał widocznie nadzieję, że Salambo zmięknie przy whisky co w ogólnej kalkulacji wypadłoby wiele taniej. Zawiódł się jednak nieprzyjemnie. Salambo, choć nie odmawiał ani jednego kieliszka, głowę miał wciąż mocną jak cedrowy pień. Nie zamierzał wypuścić z ręki szansy, jaką mu łaskawy los zesłał. Wymienił swoją cenę i trzymał się kurczowo. Widział po wyrazie oczu jegomościa, jak bardzo mu zależy na tej transakcji. W końcu jegomość ustąpił.

Trudno - pokiwał głową z rezygnacją - skoro jesteście tacy uparci, cóż mi pozostaje innego? Zresztą agencja zapłaci.

Salambo chciał zobaczyć gotówkę. A w tę agencję nie wierzył ani przez chwilę.

- Jegomość z westchnieniem sięgnął do portfela.

Salambo obejrzał uważnie każdy z zatłuszczonych papierków, badając go pod światło. Za stary był wróbel, by się dać nabrać na plewy. Banknoty okazały się co do jednego prawdziwe. Robiły wrażenie znacznie bardziej przekonujące niż miraż agencji Pinkertona.

Salambo schował je pospiesznie do kieszeni. Agent nie agent, skoro płaci gotówką, wszystko O.K.

Wygarnął powoli co wiedział. Było tego sporo.

Jegomość aż sapał. Oczy nabiegły mu krwią. Salambo obserwował go spod opuszczonych powiek. Był pewny, że chodzi o jakąś osobistą sprawę nieznanego. Jaką, tego tymczasem nie potrafił rozgryźć. Plik banknotów tkwił solidnie w kieszeni; zresztą nie miał żadnych specjalnych powodów do uwielbiania nadinspektora. Skoro ten jegomość potrafi wyciągnąć jakieś korzyści dla siebie z tej całej relacji, tym lepiej. Nie zmartwiłby się zbytnio, gdyby Coss skreślił kark. Wreszcie skończył sięgając po whisky.

Jegomość zapadł w ponurą zadumę przetrawiając informację. Czy... czy jesteście zupełnie pewni tego wszystkiego? - zapytał wreszcie utkwivszy wzrok w twarzy mieszkańca.

Salambo oburzył się szczerze. - Nie mam zwyczaju sprzedawać fałszywych produktów za prawdziwą gotówkę odparł z przekonaniem. - Każde moje słowo to towar pierwszej klasy.

- Ano, skoro tak... - sękaty palec jegomości zwarł się kurczowym chwytem na krawędzi stolika, jakby zamierzał oderwać kawałek obitego ceratą blatu - w takim razie... - podniósł się ociężale. Opadł jednak z powrotem na trzeszczące krzesło.

Zapalił powolnymi ruchami papierosa rozmyślając nad czymś głęboko. Salambo nie przestawał go dyskretnie obserwować. Instynkt podsuwał mu nadzieję, że złota żyła nie została jeszcze całkowicie wyczerpana. I nie omylił się.

Po kilku chwilach milczenia jegomość wysunął propozycję, by Salambo podjął się obserwacji wszelkich posunięć nadinspektora i w ogóle wszystkiego, co dotyczy jego osoby. Każda informacja miała być sownie wynagrodzona.

Salambo potraktował propozycję poważnie. Ostatecznie po to jest detektywem, by kogoś śledzić. A skoro w policji nie dają mu ku temu odpowiedniego pola do popisu... Zapłata też stanowiła argument nie do pogardzenia. Podniósł kieliszek obserwując przez chwilę w zamyśleniu jego mętną zawartość pod światło. Pewne momenty były w tym wszystkim jednak niezbyt jasne.

- Dla agencji Pinkertona? - przymrużył znacząco oko patrząc w nieznanego.

Ten zawahał się

- Hm - odchrząknął niepewnie. Widocznie jednak doszedł w końcu do wniosku, że nie nadszedł jeszcze czas na odkrywanie kart, bo przełknąwszy whisky potwierdził:

- Oczywiście dla agencji.

Salambo medytował przez chwilę. Ostatecznie w tej tajemniczości mogło tkwić też dodatkowe źródło zarobku. Kto wie, co się okaże w środku, gdy kłębek zacznie się rozplątywać. Na wszystko przyjdzie odpowiedni moment.

Omówili jeszcze sposób komunikowania się i... cenę.

W końcu dłonie białego i mieszaińca uderzyły jedna o drugą. Transakcja była zawarta.

Potem nastąpiło kilka spotkań w różnych odludnych miejscach.

Salambo znosił informacje, a tajemniczy nieznajomy płacił za każde słowo gotówką.

Apetyt mieszaińca rósł z każdym otrzymanym banknotem. I tak Coss, nie podejrzewając niczego, pozostawał cały czas pod dyskretnym nadzorem Salambo. Mało było teraz momentów w życiu nadinspektora, które by nie dotarły do wiadomości rzekomego agenta Pinkertona. Salambo zdecydowanie zszedł ze swej dotychczasowej drogi, wkraczając na tonącą w mroku ścieżkę, której istnienie było dla otoczenia nieznane. I z tego właśnie powodu los wielu ludzi powiązał się w skomplikowaną pętlę. Z tego samego też powodu obława, zarządzona przez nadinspektora w jednym z leśnych rewirów parku Mac Kinleya, spaliła na panewce.

W przemyślnie zamaskowanej kryjówce natrafiono na ślady wskazujące, że jeszcze niedawno była ona zamieszкана. Ale w chwili wejścia policji schronisko bandytów ziało pustką. Obfite ilości popiołu na skleconym z głązów kominku też miały swoją wymowę. Mieszkańcy kryjówki rozporządzali widocznie okresem czasu wystarczającym na zniszczenie kompromitujących dowodów. A przecież przygotowania do wyprawy trzymane były w najgłębszej tajemnicy. I łańcuch obławy zestawiano tak szczelnie, że nie mogłaby się przezeń prześlizgnąć nawet mysz, a cóż dopiero kilku ludzi.

Nadinspektor Harry Coss zamyślił się głęboko, gdy mu doniesiono o fiasku wyprawy. Coś było w tym wszystkim nie w porządku.

II

ECHO NIOSĄCE ŚMIERĆ

Harry przetrawił każde słowo wypisane umyślnie wykoślawionymi literami na wy miętoszonej Ćwiartce papieru. Obok leżała szara spora koperta. Druga część listu, który niewiadomym sposobem wylądował na biurku urzędowego gabinetu nadinspektora policji.

Już sam fakt, że ktoś obcy zdołał przemknąć się obok posterunków gęsto porozstawianych w gmachu i dotrzeć do sanktuarium najwyższego dostojnika policyjnego, był mocno niepokojący.

Ale treść tajemniczego listu?

Przeczytał jeszcze raz.

„Za złamanie przysięgi - śmierć! Sam ustanowiłeś to prawo i sam je złamałeś. Zginiesz i zginą twoi najbliżsi”.

Koniec. Ani podpisu, ani żadnego znaku, który by pozwalał zidentyfikować osobę autora. Ale Harry nie potrzebował podpisu. Treść listu mówiła sama za siebie. W ten sposób mógł pisać tylko ktoś z bandy Wilka. Zbyt usilnie pracował nad stworzeniem pozorów, by pozory te w końcu nie zawiodły bandytów. A teraz, gdy nie stało Mac Dufty'ego i jednocześnie zniknął bez śladu Wilk... Potarł ręką czoło.

Tak. To było oczywiste. Nie wziął tego w swoim czasie pod uwagę, jak zresztą nie brał pod uwagę wielu innych okoliczności, które mogły zagrozić niebezpieczeństwem jemu samemu.

Zapalił papierosa, zaciągając się głęboko dymem. Tu już nie chodziło tylko o niego; „zginą twoi najbliżsi” - powtórzył bezdźwięcznie. Mag... - właśnie ją miał na myśli list.

Palce bębniły mechanicznie po płycie biurka zawiły rytm jakiegoś marsza, podczas gdy mózg pracował gorączkowo.

Sytuacja nie wyglądała zabawnie. Zbyt dobrze znał desperacką zawziętość podwładnych Wilka, by lekceważyć pogroźkę. Szczególnie jeżeli dotyczyła Mag.

Te jej samotne wycieczki po okolicy. Żeby mógł być stale przy niej i bronić jej przed niebezpieczeństwami. Ale cóż... Przyjęte na siebie dobrowolnie obowiązki szefa policji zostawiały mu tak mało czasu na prywatne życie.

Podać się do dymisji?

- Nie - odsunął z wysiłkiem kuszącą myśl - nie mam prawa ustępować ze stanowiska. Szczególnie teraz. To byłaby najzwyczajniejsza dezercja... i tchórzostwo.

Nie śmiałyby później spojrzeć w oczy Mag... Zresztą ona także przestałaby go szanować, gdyby dowiedziała się prawdy. Znał dobrze jej odważne serce. Więc co robić? Nie znajdował wyjścia z tej nowej sytuacji. Otoczyć ją dyskretnie opieką zaufanych ludzi? Ba, ale komu mógł zaufać jej bezpieczeństwo, skoro bandyci zyskali sprzymierzeńców w gronie pracowników komendy policji. Bo przecież w innym wypadku list nie mógł dostać się aż do gabinetu nadinspektora. A jeżeliby wyznaczył dla ochrony Mag właśnie jednego ze sprzymierzeńców bandytów...

Zupełnie tak, jakby sam posłał jej morderców, ułatwiając im zadanie.

Dyskretne pukanie do drzwi przerwało mu tok ponurych rozmyślań. Sierżant Halle niemal uginał się pod ciężarem grubo wypchanej teczki.

- Samochód czeka - zameldował służbiście.

- Samochód? - spojrzał na niego roztargnionym wzrokiem. Rozmyślenia o grożącym Mag niebezpieczeństwie pochłonęły całkowicie jego uwagę.

- Ach tak - przypomniał sobie wreszcie - prawda.

- Jedziemy do Nenany...

Zaciął wargi. Otóż to. Musiał opuścić Mag na kilkanaście godzin, podczas gdy...

Ale nie było innego wyjścia. Musiał osobiście przeprowadzić dochodzenie.

Brzydka afera w miejscowej policji wymagała interwencji najwyższych czynników.

Powstał z ociąganiem. I wtedy przypomniał sobie, że przecież Mag miała jechać do Lucy Stetson. A autostrada do willi Stetsonów przechodziła właśnie na odcinku paru mil poprzez gęsty zagajnik. I właśnie dziś...

Zgarnął szybkim ruchem list i kopertę do szuflady, przekręcając dwukrotnie kluczyk w zamku. Nie byłoby dobrze z rozmaitych względów, gdyby o pogrózkach dowiedziano się przed czasem.

- Zejdę za chwilę - rzucił sierżantowi sięgając po słuchawkę. Halle wycofał się dyskretnie.

W mikrofonie trzeszczało bez przerwy. Widocznie szalejąca śnieżycą targa drutami telefonicznymi.

Mag dłuższy czas nie mogła zrozumieć o co chodzi. W końcu zaniepokoiła się nie na żarty.

- Mam nie jechać do Lucy? Przecież rozmawialiśmy wczoraj o tym i ty...

- Tak - przerwał jej - wczoraj, ale dziś...

- Czyżby zaszło coś nowego? Jakieś niebezpieczeństwo - głos jej nagle zmatowiał.

Widzisz - zawahał się, szukając jakiegoś prawdopodobnego pretekstu - szaleje taka śnieżycą i... Mag jednak nie daje się zbyć byle czym.

Jeździłam trzy razy w czasie gorszej pogody... Coss patrzył bezradnie w okno. Nie mógł przecież podać istotnej przyczyny. Wiedział, jak bardzo troszczyła się o niego. Po cóż miał jej dawać powód do niepokoju? Tyle ciężkich chwil przeszła w ostatnich czasach.

Tak, ale... - tłumaczył niezdarnie, usiłując zyskać na czasie. Nagle wyprostował się, a głos jego okrzepł; pomyślał, jaki mu właśnie wpadł do głowy, stanowczo nie należał do

najgorszych. - Otóż przed chwilą otrzymałem meldunek, że wichura przewróciła kilka drzew na autostradę...

- Ach tak - odetchnęła z wyraźną ulgą - a już myślałam, że...

- Że co?

- Głupstwo - roześmiała się. - Widzisz... nie tak łatwo zapomnieć widocznie o tamtych strasznych dniach. I czasami reminiscencje nasuwają się wbrew woli. I wbrew zdrowemu rozsądkowi.

Szybko zmienił temat. Rozmawiali jeszcze chwilę o sprawach daleko odbiegających od grozy, tkwiącej w ćwiarteczce papieru zamkniętej w szufladzie. Odłożył słuchawkę z wielką ulgą. Nie umiał kłamać przed tą dziewczyną. I ta jej intuicja - reminiscencje tamtych strasznych dni.

Halle siedział na dole melancholijnie obserwując przez szklane drzwi płyty wirujące we wściekłych podmuchach wiatru.

Podróż nie będzie należała do najmiłszych - westchnął, podnosząc futrzany kołnierz pług chodził dwa razy, ale to oczywiście czerpanie wody sitem. Teraz pošlą go dopiero po ustaniu śnieżycy. Będzie porządna huśtawka na szosie.

Dopóki jechali ulicami, szło jeszcze jako tako. Gdy jednak budynki zostały w tyle, przestając ochraniać drogę, nawałnica uderzyła w samochód z gwałtowną furją.

Motor pracował ciężko. Uzbrojone łańcuchami koła ślizgały się na oblodzonych odcinkach, to znów dla odmiany tonęły w sybkim puchu. Harry” zaciskając kurczowo dłonie na kierownicy, walczył z jej szarpaniną. Samochodem rzucało niemal bez przerwy na wszystkie strony.

- Pie... pieska pogoda - mruknął Halle, szczękając zębami.

Harry pragnął jak najprędzej odbyć jazdę i wracać do narzeczonej. Usiłował nie zmniejszać szybkości. Dopiero gdy tylne koła samochodu zawisły parę razy ponad przydrożnym rowem, chcąc nie chcąc musiał zwolnić.

Gdy wjechali na odcinek obramowany z obu stron gęstwiną leśną, trzeba było jeszcze zmniejszyć tempo jazdy. Wbrew oczekiwaniu wiatru naniósł tu znacznie więcej śniegu niż na otwartej przestrzeni.

- Diabli nadali - klął bezradnie, obserwując drgającą wskazówkę szybkościomierza - w ten sposób nie zajedziemy do rana.

Nagle dźwięk strzaskanego szkła. - Zza któregoś drzewa błysnęło.

Okrągła dziurka w szybie, niemal na wprost twarzy Harry'ego nie wymagała komentarzy. Huk strzału utonął widocznie w hałasie motoru i wycia wichru. Harry gwałtownie nacisnął na hamulec.

Nie czekając aż samochód zupełnie się zatrzyma, wyskoczył, zrzucając z prawej dłoni futrzaną rękawicę.

Usłyszał gwizd pocisków. Pęd rozgrzanego powietrza przesunął się wzdłuż policzka. Kule musiały iść diabelnie blisko.

Pociągnął dwa razy za cyngiel. Oczywiście nie było mowy o jakimś dokładniejszym celowaniu. Po prostu skierował lufę mniej więcej w stronę drzewa, od którego szły strzały.

Nogi zapadały po kolana w miękkim puchu. Sadził długimi skokami. Las nagle zamilkł. Gdy dotarł wreszcie do drzewa nie znalazł za nim nikogo. Płytkie smużki śladów prowadziły zawiłymi pętlami pomiędzy drzewa, niknąc z każdą chwilą pod narastającą warstwą padającego śniegu.

Przystanął nie zdejmując palca ze spustu, choć dotyk metalu parzył niczym rozżarzone żelazo.

Teraz dopiero stwierdził z niepokojem nieobecność Halla. Sierżant nie należał do ludzi, którzy by pozostali w takiej okazji w roli widzów.

Falujący welon śnieżycy zasłaniał samochód. Nie mógł stąd dojrzeć, co się dzieje w jego wnętrzu. Ruszył pośpiesznie w powrotną drogę.

Teraz już dostrzegł kontury futrzanej czapy Halla. Sierżant tkwił nieruchomo w swoim siedzeniu, jednak sylwetka jego miała w sobie wyraz dziwnej bezwładności.

- Halo, sierzancie!

Harry bezskutecznie usiłował podnieść głowę Halla, zwisającą ku przodowi. Zamknięte powieki przysłaniały oczy.

Coss zagryzł Wargi. Wsunął rękę pod futro. Skóra była jeszcze ciepła, ale to oczywiście w tych warunkach nie miało żadnego znaczenia. Dopiero po dłuższej chwili odetchnął z pewną ulgą, wyczuwszy słabiutkie uderzenie serca.

Ułożył bezwładne, ciężkie ciało we wnętrzu wozu i rozchyliwszy trzonkiem podróżnej łyżki zaciśnięte kurczowo zęby sierżanta, zaczął powoli wlewać mu do ust whisky.

Halle zakrztusił się, podnosząc z widocznym wysiłkiem powieki. Powiódł mętym wzrokiem, powieki jednak opadły z powrotem.

Harry ujął kierownicę. Robienie w tym mrozie jakiegokolwiek opatrunku nie miało sensu. Trzeba było zawracać do Fairbanks. Każda chwila mogła decydować o życiu Halla.

Zawrócenie wozu stanowiło trudne zadanie.

Motor wył, jakby dobywając ostatek sił, koła złościły głębokie wykopy w śniegu.

Chwilami odnosił wrażenie, że nic z tych wysiłków nie wyjdzie.

W chwili gdy niemal już rezygnował, rozmyślając o jeździe w kierunku Nenany, koła wyskoczyły nagłym zrywem z głębokich kolein i samochód zataczając się jak pijany zakreślił szeroki łuk na autostradzie.

Po prawej stronie mignęła tablica drogowskazu „Wilczy Bród 3,7 mili”.

- Tak uśmiechnął się niewesoło Harry do swoich myśli - właśnie „Wilczy Bród”!

Bardzo a propos...

III

DYREKTOR BARTON ZNAJDUJE NIEOCZEKIWANEGO SPRZYMIERZEŃCA

Dyrektor Barton był mocno przejęty swą rolą matki wydającej córkę za męża, bo przecież wszystko, co teraz spadło na jego barki, stanowiło zakres działania matek, a nie ojców. Przygotowania do ślubu, zestawienie listy zaproszeń, wyprawa.

Wtrącał się do każdego szczegółu i swoim zwyczajem upierał się jak kozioł, rozdmuchując błahostki do wielkości ważnych zagadnień.

- Ależ moja droga - odpierał z oburzeniem wszelkie perswazje - twój przyszły mąż jest dziś jedną z najbardziej znanych postaci w całej Alasce... Ba wydymał wargi - co tam Alaska, całe Stany dziś wiedzą, kim jest pułkownik Coss i czego dokonał. A poza tym na wasz ślub zjedzie masa grubych ryb ze Zjednoczonych Kopalń... Jego ekscelencja gubernator też pewno nie sprawi zawodu. Powinnaś sama zrozumieć, że w tych warunkach odpowiednie przygotowanie wszystkiego staje się kwestią naszego prestiżu. A ty chciałabyś łapu capu... byle jak, aby prędzej...

- Tak - Mag zarumieniła się lekko masz rację, tatusiu.

- No widzisz - spojrzał na nią z triumfem.

- Ale - zaczerwieniła się mocniej masz rację pod jednym tylko względem.

- O - stropił się - tylko pod jednym? Pod jakim mianowicie, jeśli łaska?

- Że - że Harry i ja... chcielibyśmy się jak najprędzej pobrać. Tak długo czekamy na siebie, a ty...

Dyrektora zgorszyła szczerłość córki, nie zmienił jednak swego postępowania i uważał, że wyprawa Mag musi być zrobiona w Chicago.

- To wstyd, żebyżona pułkownika Cossa i córka dyrektora Bartona nosiła jakąś małomiasteczkową partaninę - oświadczył stanowczo.

Mag była naprawdę zrozpaczona. Wyjazd do Chicago groził znowu odwleczeniem terminu ślubu co najmniej o kilkanaście dni.

Dyrektor pozostawał jednak nieugięty. Na prośby córki miał niezbite w swoim pojęciu argumenty, które powtarzał niezliczoną ilość razy.

- Ciotka Henrietta jest damą wytworną w każdym calu. I zna się na waszych fatalaszkach, czego przecież nie możesz ode mnie wymagać. Wie, co i jak powinno wyglądać i z jakiego ma być materiału. A tu... - wykrzywił pogardliwie usta prowincja...

Mag wreszcie postanowiła zaprotestować zdecydowanie. Nie, tym razem nie ustąpi. Zakupi wyprawę na miejscu i już. Nie chciała gniewać ojca, jednak musiała godzić się ze wszystkimi jego fantazjami.

Pragnęła być jak najprędzej na zawsze razem z Harrym. Od kilku dni wyczuwała w nim jakąś zmianę. Podejrzewała, że gnębią go nowe troski, o których jednak, pomimo nagabywań nie chciał powiedzieć. Odzęgnywał się ze śmiechem od wszelkich pytań na ten temat.

- Ale skądże znowu, kochanie! Zdaje ci się po prostu... Trochę jestem zmęczony... wiesz, ostatnio mam sporo roboty... to wszystko.

Mag odnosiła jednak wrażenie, że w śmiechu Harry'ego dźwięczą niezupełnie szczere nutki. Gdy będzie już jego żoną, potrafi pomóc mu w pokonywaniu trosk, a tak... czekała z niecierpliwością na przyjście narzeczonego.

Od razu gdy tylko wszedł, dostrzegła i tym razem w jego oczach maskowaną zadumę. W pełnych oburzenia słowach powtórzyła projekt ojca. Wbrew oczekiwaniu Harry nie podzielił jej zapatrywania. Chicago? powtórzył z namysłem. I nagle poweselał. Wiesz, małeńka - zaczął niepewnie - ten projekt właściwie nie jest tak całkiem zły...

- Co? - spojrzała na niego z niedowierzaniem - chyba żartujesz?

Harry jednak nie żartował. Popierał gorąco pomysł wyjazdu, zapalając się do niego coraz bardziej.

Mag słuchała w milczeniu, nie mogąc zrozumieć, co się stało. Spuszczała tylko coraz niżej głowę za każdym wypowiedzianym słowem.

Nagle pobladła.

- Harry! - podbiegła ku niemu - więc chcesz, bym pojechała do Chicago?

- Tak - bąknął - to byłoby bardzo... - urwał szukając odpowiedniego określenia - no, bardzo wskazane, bo...

- Pragniesz, by ślub nasz uległ dalszej zwłóce?

Spuścił oczy, starając się nie widzieć drżących ust narzeczonej.

- Widzisz... właściwie...

- Spójrz mi w oczy - łagodną przemocą zmusiła go do podniesienia głowy - i powiedz szczerze... ale zupełnie szczerze... przestałeś mnie kochać? Powiedz... Przecież lepiej, żebym się lepiej dowiedziała teraz, niż gdy będzie już za późno... - W oczach jej zalśniły powstrzymywane siłą woli łzy.

- Mag! - w głosie Harry'ego brzmiała nieklamana rozpacz. - Ja ciebie miałbym przestać kochać? Jak możesz tak mówić... Ja... dla ciebie... - przygryzł wargi hamując wzburzenie.

Wątpliwości jej nagle pierzchły. Ciepła fala uczucia owładnęła sercem Mag. Przytuliła się mocno całym ciałem do narzeczonego.

- Harry, ja ciebie naprawdę tak strasznie Kocham, a ty... - nagle urwała. W oczach jej znowu zamigotał niepokój. - Dlaczego chcesz bym wyjechała? Czy... tu grozi jakieś niebezpieczeństwo? - zajrzała mu głęboko w oczy.

Wytrzymał odważnie jej spojrzenie.

- Moja pani, jak prawdziwa malutka dziewczynka - zażartował z niefrasobliwą wesołością za każdym krzakiem widzi przyczajonego Wilka...

Sam jeden tylko wiedział, ile go zademonstrowanie tej niefrasobliwości kosztowało.

Gawędzili jeszcze długo. Pod wpływem tkliwych słów Harry'ego zniknął powoli narosły w jej sercu niepokój. Harry jednak odchodził pod wrażeniem, że Mag nie jest przekonana o szczerości wysuniętych przez niego motywów w tym stopniu, jakby tego pragnął. I że czuła do niego trochę żalu za poparcie projektów, które w konsekwencji spowodują odwleczenie ślubu.

Jechał umyślnie powoli, paląc w głębokim zamyśleniu papierosa. Czekąca go jeszcze mocno kłopotliwa rozmowa z prokuratorem Wilmersem, który właśnie dziś rano powrócił z urlopu. Wilmers powitał go serdecznie.

- Zmizernieliście jakoś, pułkowniku - mówił, patrząc w wyostrzone rysy Harry'ego.

- Cóż - Harry obserwował uważnie kółko dymu, ulatujące ku sufitowi - praca. Sami wiecie przecież, prokuratorze, jaki tu młyn. A szczególnie z tym świństwem w Nenanie. Najprzykrzej wykryć draństwo we własnym gnieździe.

- Uhum - Wilmers oglądał swego watermana, jakby dopiero po raz pierwszy go zobaczył - rzeczywiście z tą Nenaną... Ach... prawda, mówiono mi, że mieliście dzisiaj po drodze jakiś wypadek samochodowy i że biedny Halle...

Tak Harry był przygotowany od samego początku na to pytanie - rzeczywiście mieliśmy wypadek...

- Dziwny wypadek, nawiasem mówiąc - Wilmers obracał zapamiętałe zakrętką pióra. - Nieczęsto zdarza się, by poszkodowani w katastrofie samochodowej wynosili kule kalibru dziewięć między trzecim a czwartym żebrem. Czy naprawdę przypuszcza pan, że tajemnica da się długo utrzymać?

Harry wzruszył ramionami.

- Czy ja wiem? Ostatnio zaszły pewne okoliczności, które by raczej za tym nie przemawiały. Ale zrobiłem, co mogłem. Doktor Brandt obiecał najściślejszą dyskrecję. A wie pan, jaki z niego człowiek. Potrafi milczeć jak skała.

- Tak - prokurator odłożył pióro. - Bardzo wam zależy, pułkowniku, na zachowaniu tej tajemnicy?

- Owszem - potwierdził poważnie Harry - bardzo. I proszę mi nie brać za złe, że nie chciałbym jeszcze wyklądać na stół wszystkich kart, ale...

- Cóż znowu - prokurator podniósł się, jakby chcąc przeciąć dalsze tłumaczenia - wiem, że lubicie chodzić własnymi drogami! I ostatecznie - uśmiechnął się - prawo jakoś nie najgorzej na tym wychodziło. Ale jeżeli to możliwe, chciałbym usłyszeć przebieg wypadku. Bo Halle dotychczas nie odzyskał przytomności - w konsekwencji czego jesteście jedynym panem tej historii.

Harry długo zapalał nowego papierosa, odłożywszy uprzednio na wpół tylko wypalonego na popielniczkę.

- Przebieg zupełnie nieskomplikowany - zaczął wreszcie wolno cedząc słowa. - Po drodze do Nenany ostrzelano nasz samochód. Strzały padły z lasu. Ja wyszedłem jakoś bez szwanku, choć prawdę powiedziawszy, kulki gwizdały mi nieprzyzwoicie blisko koło nosa. No, a Halle dostał. W pierwszej chwili nawet myślałem, że wykończyli go na amen. Gdy dobiegłem do drzewa, zza którego strzelano, nie znalazłem tam nikogo. Ślady wskazywały na obecność jednego człowieka. To wszystko...

- Wszystko - powtórzył jak echo Wilmers - rzeczywiście bardzo niewiele punktów zaczepienia. No, a podejrzewacie pułkownika, kto był tym tajemniczym strzelcem i dlaczego poczęstował was ołowiem?

Harry wzruszył ramionami.

Czyja wiem? Raczej przychyliam się do werdyktu przysięgłych „usiłowanie zabójstwa, sprawcy nieznani”. To znaczy do wymagowanego werdyktu. Bo czy ta sprawa w ogóle trafi przed sąd, mocno wątpię...

- A gdzie miał miejsce ten napad? zapytał Wilmers.

- W pobliżu Wilczego Brodu.

- O - prokurator podniósł głowę - Wilczego Brodu? Wilczego?

- powtórzył z zastanowieniem, jakby doszukując się ukrytej aluzji. Spojrzał uważnie na twarz Harry'ego.

Jego rysy jednak zakrzepły w nic nie mówiącą maskę.

Tak - potwierdził obojętnie - mila dwudziesta siódma.

Powiedzcie mi pułkownik - Wilmers podszedł ku Harry'emu, kładąc mu rękę na ramieniu czy przypuszczacie, że zbierają się znowu chmury? słowo „znowu” podkreślił znacząco. Harry pomyślał chwilę.

Raczej przypuszczam, że w najbliższym czasie zbierze się na całkiem solidną burzę. Może zresztą się mylę. I dałby Bóg, by tak było rzeczywiście. Ale... pokiwał z powątpiewaniem głową.

Wilmers stłumił westchnienie. Przed oczyma stanęła mu wizja tamtych czarnych dni, przez które musiał przebrnąć swego czasu.

IV

SALAMBO NATRAFIA NA PRZESZKODY

Dotychczas wszystko szło jak najbardziej gładko. Od czasu do czasu zaglądał do swej misternie zakonspirowanej skrytki w podłodze, licząc skrzętnie banknoty. Było ich dużo. Salambo jeszcze nigdy w życiu nie posiadał tyle pieniędzy naraz. Szczególnie obfite plony dało parę słów szepniętych w sam czas przed obławą w leśnych rewirach parku Mac Kinleya. Jeżeliby tylko tak dalej szło, mógłby w niedługim czasie wyemigrować w inne strony jako człowiek całkiem zamożny.

Ale od pewnego czasu coś się zaczęło psuć w misternie skonstruowanym planie. Na gładkiej drodze wyrastały nagle przeszkody, tym trudniejsze do usunięcia, że niewidoczne. Salambo wyczuwał przez skórę zmianę atmosfery. Niby na zewnątrz wszystko było jak dawniej. Otrzymywał pobory, zlecano mu pewne drobniejsze sprawy do przeprowadzenia. Herst witał go za każdym razem uprzejmym uśmiechem, nazywając „chlubą” fairbanksowskich wywiadowców. Ale... Otóż to. Coraz trudniejsza do przeniknięcia mgła zagęszczała się właśnie na tych odcinkach, które Salambo pragnąłby widzieć najjaśniejszymi. Pewne na przykład istotne szczegóły dotyczące posunięć nadinspektora Cossa nieoczekiwanie znikają za nieprzeniknioną zasłoną. Nieprzeniknioną nawet dla bystrych oczu Salambo.

Przede wszystkim sprawa nagłego wyjazdu miss Barton. Mister Five, takie bowiem nazwisko podał rzekomy agent Pinkertona - aż zszarzał, gdy mu Salambo przyniósł tę wiadomość. Klął przez kilka minut, potem kategorycznie zażądał nowego adresu miss Barton i daty jej powrotu. Salambo wzruszył lekceważąco ramionami.

- Oczywiście. Jutro będziecie mieli dokładne informacje. Był pewny, że dotrzyma terminu. Wydawało mu się bowiem, że zdobycie tych szczegółów należy do nieprzyzwoicie łatwych dla detektywa zadań.

W rzeczywistości jednak wyszło zupełnie inaczej „Panienska wyjechała do Chicago zakupić wyprawę”. Kiedy wróci nie wiadomo - to było wszystko, co zdołał wydobyć od służby pałacyku w Estern Creek. A przecież używał wszystkich dostępnych i niedostępnych sposobów, by skłonić ludzi do mówienia. Nie pożalował nawet kilku dolarów, co w arsenale metod mieszańca stanowiło środek wyjątkowy, do którego sięgał tylko w ostateczności. Nic nie pomogło. Więc albo naprawdę nie wiadano więcej, albo... - Ta druga ewentualność wyglądała zresztą znacznie nieprzyjemniej od pierwszej. Szczególnie dla Salambo.

Mister Five pinił się z wściekłości.

- Ładny z was detektyw, Salambo, żeby nawet takiego głupstwa nie załatwić. Chicago - parsknął pogardliwie - to zupełnie jakbyście powiedzieli, że wyjechała do Stanów nie wskazując miejscowości. Skutek ten sam. Zrozumcie, muszę mieć ten adres! Za wszelką cenę!

Za wszelką cenę? Słowa te podziały na Salambo jak uderzenie ostrogi. Zaczął po prostu wyłazić ze skóry, by dogodzić swemu kontrahentowi.

Wreszcie wpadł na pomysł. POCZTA! Że też wcześniej nie pomyślał o tym. Przecież tak zakochana para niewątpliwie pisuje do siebie. Poza tym ojciec. I najszczęsza przyjaciółka miss Stetson. - Na pewno korespondencja wędruje w obie strony bez przerwy. A listy to znaczy adres!

- Teraz wszystko pójdzie jak po maśle - obiecał Five'owi z tak głębokim przekonaniem, że nawet zdołał od niego wydostać całkiem pokaźną zaliczkę na koszty handlowe. Salambo miał zresztą zupełnie poważne podstawy do swej pewności. Bo kierownikiem poczty w Fairbanks był zasuszony staruszek nazwiskiem Wexley, a mister Wexley ogromnie lubił whisky. Szczególnie, gdy była w możliwym gatunku. Trudno. Jeśli już za „wszelką cenę”, to nie można żałować pieniędzy. Tym bardziej cudzych. Dyskretnie tłumiąc westchnienie zrujnował się na całą butelkę „White Horse”. I to oryginalnej marki.

Wexley ciągnął napój jak pompa, cmokając z zachwyty przy każdej kropli.

I gadał bez przerwy. O pogodzie. O notablach miejskich. O swej ukochanej suczce Roxy. O najnowszych filmach. O polityce międzynarodowej. Słowem o wszystkim z wyjątkiem tego jednego, co interesowało detektywa.

Ale Salambo był zbyt doświadczonym w swym fachu, by tamować potok wylewności kierownika poczty. Puszczając mimo uszu gadaninę, nalewając raz po raz nowy kieliszek. Na wszystko przyjdzie czas.

Organizm Wexleya przesiąknięty od wielu lat alkoholem okazał się niespodziewanie odporny. Salambo ze starannie ukrywaną dezaprobatą obserwował opadający gwałtownie poziom płynu w butelce. Żeby taki staruch potrafił łykać w tym tempie!

Dopiero gdy ukazało się niemal dno, a Salambo z niepokojem zaczął rozważać w duszy problem zamówienia drugiej butelki, nastąpił z niecierpliwością oczekiwany skutek. Wexley rozkrochmalił się do reszty, zaprzysiągł mieszańcowi dozgonną przyjaźń i zdradził wszystkie najbardziej ukrywane tajemnice fairbankskiej poczty. Nawet takie, o których nie wiedział sam dyrektor okręgu pocztowego. Salambo uznał, że teraz nadszedł odpowiedni moment. Waxley był gotów. Na pewno nie będzie pamiętał ani słowa rozmowy. Zresztą w ostateczności można będzie po wyciśnięciu zeń informacji zaaplikować mu kilka dodatkowych kieliszków, by do reszty ściąć spragnionego starucha z nóg.

Zachowując jednak na wszelki wypadek jak najdalej posuniętą ostrożność, wyciągnął na stół sprawę Cossa.

Że taki słynny człowiek pewno otrzymuje całe stosy korespondencji ze wszystkich stron kraju? Zagranica chyba też nie pozostaje w tyle. Bo pułkownik Coss... tak, tak... - napełnione przed chwilą kieliszki zostały opróżnione - Fairbanks powinno być dumne z posiadania takiej międzynarodowej sławy.

- Coss? - Wexley spojrzał na współbiedniaka zamglonym wzrokiem. - Oczywiście. Dziesiątki listów. Co tam dziesiątki. Setki... Mówię wam, całe setki - sięgnął po butelkę. Ale butelka była pusta. Salambo jęcząc w duchu zamówił połówkę. Powinno wystarczyć!

- Z Górnego Kraju pewno też. Niedawno słyszałem, że nawet z Chicago.

Salambo nic podobnego nie słyszał, ale po tylu kieliszkach najbardziej mglista fantazja mogła znaleźć łatwe usprawiedliwienie.

- Chicago? - Wexley zamyślił się obserwując entuzjastycznie nową butelkę alkoholu. - Ba jeszcze jak... Sam dyrektor policji Adler... i Towarzystwo Północne...i, at - machnął ręką - do rana chyba bym nie zdołał wyliczyć tego wszystkiego...

- Patrzcie no... Nawet nie przypuszczałem, że aż tak - Salambo udał nabożny podziw... - Ba... cóż zresztą dziwnego. Swoją drogą dobra rzecz być taką znakomitością - napełnił kieliszki - zdrowie pułkownika!

- Zdrowie! - sądząc po szybkości z jaką Wexley wychylił kieliszek, nie zamierzał on jeszcze zwolnić tempa. Salambo podsunął mu specjalnie na tę okazję zakupione papierosy.

- Iw powodzi tych wszystkich urzędowych kopert upstrzonych pieczęciami, pewno wzruszające wrażenie robią pachnące liściki miss Barton - rzucił niby od niechcenia.

Wexley potarł dłonią łysinę, na której występowały kropelki potu.

- Wzruszające, mówicie? Ba... rzeczywiście taki mały liścik wśród wielkich kopert... To rozmaici gubernatorzy, a tam dwa serca złączone razem... he... he... Tak... to byłoby bardzo wzruszające... tylko, że widzicie nie ma powodu do poetycznych wzruszeń.

- Jak to? - nastroszył się Salambo. Wexley pokręcił głową.

- Otóż to... Szczerze mówiąc, to naprawdę wygląda dziwnie. Ale co do tych liścików, ani jednego...

Salambo aż podskoczył.

- Ani jednego?

- Nawet najmniejszej pocztówki, ani nawet tyciej - pokazał na koniec niezbyt czystego paznokcia śmiejąc się z własnego dowcipu. Salambo odgryzł pół papierosa wypluwając tytoń na podłogę.

- Hm - odchrząknął w zamyśleniu - a może wysłała list do Cossa pod adresem ojca. Wicie przecież jaki dyrektor Barton jest czuły na takie historie?...

- He... he... macie rację. Jest czuły jak niańka małej panienki. Kto by nie znał Bartona... Ale w tym sęk, że do ojca miss Mag nie pisze. W ogóle przez nasz urząd nie przeszedł dotychczas ani jeden list od chwili wyjazdu...

Salambo splótł palce obu rąk. To zaczynało wyglądać wprost dziwnie. Więcej nawet niż dziwne. Poczł narastający niepokój. Five płacił pięknymi dolarami, ale w chwili wściekłości robił wcale nie zachęcające wrażenie.

- Tak - zamyślił się, zapominając napęlić opróżnione kieliszki.

Waxley zastąpił go w tej czynności z całą skwapliwością.

- I wicie co jeszcze? - sam z siebie podjął temat - do niej także nikt z Fairbanks nie pisze!

Salambo wytrzeszczył oczy.

- Co? Jesteście tego pewni?

- Jak najpewniejszy - potwierdził solennie. - Prawda, jaka sensacyjka? - zatarł ręce z zadowolenia. - Piękna panna i do tego narzeczona najsłynniejszego człowieka w mieście znika bez śladu. Fiuut... i nic. Jak kamień w wodę. I nikt się tym zniknięciem nie przejmuje. Ani ojciec, ani narzeczony... Była, nie ma... kropka... Jesteście pewnie zachwyceni?

Ale Salambo nie był zachwycony tą sensacją. Raczej wręcz przeciwnie. Bo to wszystko zaczynało mieć dziwny posmak. Poczł przesuwały się wzdłuż krzyża chłodny

dreszczyk. Czyżby ktoś zaczął zaglądać mu w karty? I jeżeli tym kimś jest sam... Bagatela. A diabelnie na to wygląda. Nie miał najmniejszych wątpliwości do czego tamten jest zdolny, gdy mu ktoś zaczyna następować na pięty. Miał tego aż nadto wystarczające dowody. Choćby taki Mac Dufty. Zdawałoby się lis jakich mało, a przecież zainkasował swoją porcję.

Machinalnym ruchem wychylił kieliszek. Czuł się nieswojo...

Następne spotkanie z Five'em nie należało do specjalnych przyjemności. Oświadczył mu wprawdzie, że jest już na tropie i że lada dzień, ale Five ani rusz nie chciał się tym zadowolić. Nastroszył się, wpijając spojrzenie posępnych oczu w detektywa.

- Tralala... myślicie pewno, że natrafiliście na zielonego? - zaśmiał się chropowato. - Chcielibyście wodzić mnie za nos dokąd się wam podoba? - Lada dzień, lada godzina, a w rezultacie figa. Pieniążki brać, to owszem, ale dać coś w zamian? Zakarbujcie to sobie dokładnie, że za stary wyjadacz ze mnie, by się dać nabrać na takie kawałki. Za dobry towar płacę gotówką... Ale jeśli ktoś zaczyna mi kręcić ogonem, potrafię zapłacić także w inny sposób - poklepał się znacząco po tylnej kieszeni spodni. W źrenicach jego zamigotały złowrogie błyski.

Salambo dyskretnym ruchem przesunął rękę do własnej kieszeni, gdzie ostatecznie też tkwiło coś do strzelania.

Krytyczny moment zastraszenia jakoś minął. Detektyw jednak miał się wciąż na baczności. Five powoli odsłaniał maskę. O agencji Pinkertona nie było już mowy. W jednej ręce rewolwer, w drugiej dolary. Ale gotówka stawała się z każdą chwilą trudniejsza do osiągnięcia.

Sytuacja zaczynała się wikłać.

A potem przyszły nowe niepowodzenia.

Coss coraz rzadziej przesiadywał w swym urzędowym gabinecie.

Za to coraz częściej odwiedzano go na farmie „Forwards”. I do tego jakie typy. Okutane po czubek nosa sylwetki wyłaniały się niespodziewanie z mroku, by momentalnie zniknąć za starannie zaryglowaną bramą. Do wnętrza farmy dostać się ani sposobu. Kilkakrotne próby okupił strzępami zupełnie jeszcze przyzwoitych spodni. Po podwórzu kręciły się w milczeniu olbrzymie owczarki. Na zatrutą kielbasę nie chciały spojrzeć. Któregoś wieczoru, gdy Salambo, jak sądził, ukryty doskonale w zagajniku, obserwował jedną z tajemniczych wizyt, krzak pod którym leżał został nagle ostrzelany. Kule przeszły dość blisko nie tak jednak blisko, by się nie zorientował, że strzelano na postrach. Pomimo to rejteradę odbył w niewygodnej pozycji, czołgając się przez niezmiernie długi odcinek drogi brzuchem po obmarzniętym śniegu. Ostatecznie ostrożność nie zawadzi. Kto wie, co takiemu

może wpaść do głowy, gdy złapie człowieka na muszkę? O celności strzałów Cossa Salambo miał swoje, aż nadto dostatecznie ugruntowane zdanie. I wcale nie miał ochoty sprawdzać tego na własnej skórze.

Gdy następnym razem próbował przedostać się w pobliże farmy Cossa, zagroziły mu drogę migające pomiędzy drzewami cienie. Nie strzelano wprawdzie, ale Salambo nie miał najmniejszych wątpliwości, że wystarczyłoby zrobić jeszcze jeden krok w kierunku farmy, by otrzymać poczęstunek ołowiem. Miał przy tym poważne wątpliwości, czy również i tym razem strzelano by tylko na postrach. Musiał zrezygnować.

A Five pieklił się coraz więcej. Zupełnie już otwarcie zaczął pokazywać pazury, szczególnie gdy doniesiono mu z innego źródła, że Coss wyjeżdżał kilkakrotnie w niewiadomym kierunku, o czym Salambo nie przyniósł żadnej wiadomości.

Salambo był bezradny. Od wypadku z Hallem, Coss wyjeżdżał przeważnie z farmy i do tego sam. Nie było sposobu ustalenia celu tych wycieczek. Trudno przecież z braku świadków pociągnąć za język samego Cossa.

Aż wreszcie przyszła najgorsza wsypa.

Tego dnia Salambo właśnie konferował z inspektorem Herstem na temat kradzieży w browarze Beera. Sprawa była tak błaha, że właściwie szkoda było każdego słowa. Herst jednak w niewiadomym celu rozciągnął ją jak gumę.

Nagle Salambo przestał słuchać wywodów inspektora, nadstawiając czujnie uszu. W gmachu komendy zaczęło się dziać coś niezwykłego. Poprzez nie domknięte drzwi przesiąkały odgłosy nerwowej krzątaniny. Na schodach zadudniły liczne przyspieszone kroki.

Herst akurat coś głądził zawile na temat kasjera, który od dawna już siedział pod kluczem, gdy na dole zawarczały samochody. Wyćwiczone ucho detektywa poznało od razu rytm potężnych motorów kilkunastoosobowych Morrisów stanowiących własność komendy.

Salambo zaciął wargi. - Jakaś wyprawa? Przecież musiałby wiedzieć, gdyby zamierzano coś w tym rodzaju. Ale trzaskanie drzwiami i głosy policjantów rozwiały ostatnie wątpliwości.

Ładna historia. A jeżeli w kierunku lasu Mc Kinleya? Nie było ani chwili do stracenia.

Bardzo przepraszam pana inspektora - zerwał się gwałtownie z fotela - ale słyszę, że wyjeżdżają, a...

Brwi Hersta podniosły się.

- Więc cóż z tego, że wyjeżdżają?

- Bo... - Salambo zawahał się. Ale wahanie trwało nie dłużej niż mgnienie oka. Zbyt długo służył w policji, by dać się złapać na takiej drobnostce. Zdaje się, że poznałem głos konstabla Blytha. A z nim właśnie współpracuję w sprawie kradzieży u Beera...

- O - zdziwienie inspektora robiło wrażenie zupełnie naturalnego - nic mi o tym dotąd nie wspominaliście?

- Cóż - roześmiał się niefrasobliwie Salambo, choć dygotał z niecierpliwości - my detektywi korzystamy z niejkiej swobody w stosunku do metod... Chciałbym go zapytać o niektóre szczegóły.

- To takie pilne?

- Bardzo pilne. Jeszcze dziś pragnąłbym dokonać pewnych posunięć... Więc jeżeli pan inspektor pozwoli odejść na chwilę-

Herst skinął przyzwalająco głową.

Salambo musiał użyć całej swej siły woli, by wychodząc z gabinetu inspektora utrzymać przyzwoite tempo. Za to ze schodów zbiegł na złamanie karku.

Gdy zdyszany wpadł przez podjazd, odetchnął z ulgą.

Samochody jeszcze stały. Wszystko jednak wskazywało, że odjazd ma nastąpić lada chwila. Ilość naładowanych na wozy policjantów świadczyła o zakrojeniu wyprawy na większą skalę. W trzecim z rzędu wozie dojrzał czerwoną twarz Blytha. Podbiegł ku niemu szybko. Blythe był dobrym kompanem do kieliszka i do innych znacznie mniej niewinnych rzeczy.

- Dokąd jedziecie? - zapytał szeptem.

Pytanie nie zdziwiło ani trochę Blytha. Więzy łączące go z mieszkańcem były o wiele poważniejszej natury, niżby to mogło wyglądać na zewnątrz.

- W kierunku Srebrnego Zakrętu. Obława. Jakaś liczniejsza banda dokonała przed godziną napadu na młyn Północnego Trustu Zbożowego. Podobno są zabici - komunikował telegraficznym stylem.

Salambo doznał odprężenia. Zapalił papierosa. Srebrny Zakręt leżał w kierunku, który go ani trochę nie interesował. W tej chwili samochody ruszyły, przecinając powietrze ostrym wyciem klaksonów.

Salambo obserwował obojętnie odjazd, wypuszczając nosem kłęby dymu. Musiał trochę ochłonąć przed powrotem do Hersta. Ten też coś zaczyna widocznie węszyć.

Obojętność detektywa uległaby na pewno zachwianiu gdyby wiedział, że po odjechaniu kilku mil od granic miasta samochody zatrzymały się i konstabl Blyth otrzymał rozkaz zajęcia posterunku w domku dróżnika w celu obserwowania szosy. Runęłyby zaś

niewątpliwie w gruzy, ustępując miejsca uzasadnionej panice, gdyby zobaczył jak po przebyciu dalszych kilkunastu mil cała ekipa skręciła na boczną szosę i ominąwszy szerokim łukiem Fairbanks wjechała na autostradę wiodącą prościutko w kierunku parku Mac Kinleya. Nie uspokoiłby go na pewno także fakt spotkania po pewnym czasie przez wyprawę na autostradzie samochodu nadinspektora Cossa, który osobiście objął dowództwo.

I dlatego detektyw, wracając do Hersta był w jak najlepszym nastroju.

V

KRES BOCZNEJ ŚCIEŻKI SALAMBO

Inspektor Herst przez dłuższą chwilę patrzył w zamyśleniu na drzwi, które zamknęły się za Salambo.

- Tak - mruknął wreszcie obcinając cygaro - powinienem właściwie zmienić zawód i stać się jasnovidzem...

Nie miał w tym momencie bynajmniej na myśli ciemnoskórego detektywa. - Wszystko co do joty według planu. Więc konstabl Blyth także? Herst wpadł w ponurą zadumę - ciekawe, ilu jeszcze wyjdzie na wierzch z tej wirówki?

Zapalił cygaro zaciągając się wonnym dymem.

- Chyba jednak w końcu wypłyną wszyscy, którzy wypłynąć powinni. Jeżeli potrafił przewidzieć nawet i to, że Salambo nie uzna za podejrzane tak niezwykle w uporządkowanym trybie życia komendy faktów jak przesadnie nerwowa krzątanina na korytarzach i nie domknięte drzwi gabinetu inspektora w czasie urzędowej konferencji?

Przypomniał sobie spokojną odpowiedź na swoje zastrzeżenia pod tym względem.

- Widzicie, inspektorze, mieszana krew jednak w decydujących momentach często zawodzi... Musimy to także wziąć pod uwagę w naszych okolicznościach. I nie omylił się. W oparciu bowiem o obserwację Salambo w czasie rozmowy, inspektor nie miał nawet cienia wątpliwości, że w tym właśnie wypadku zawiodła mieszanka krwi.

Wyjaśniła się więc pewna sprawa. A właściwie aż dwie za jednym zamachem.

Teraz z kolei należało oczekiwać dalszych posunięć. I to coraz bardziej decydujących. A znając Cossa inspektor nie żywił najmniejszych złudzeń, że posunięcia te nie dokonają się bez żadnych silnych wstrząsów. Trudno. Skoro nie ma innego wyjścia? Bagienko zbyt już stęchło, by przy jego oczyszczeniu bawić się w delikatności...

Samochody stanęły o dobre kilkaset jardów przed osiągnięciem zamierzonego celu. Liczne postacie w szczelnie zapiętych płaszczach ochronnych niepokalanie białego koloru rozsypywały się w szeroką tyralierę, sunąc niemal bezszelestnie w kierunku wyniosłych drzew. Zapadło milczenie. Nie tylko głośnie rozmowy, ale nawet szept został zakazany w

sposób kategoryczny. Wydane w ostatniej chwili rozkazy załatwiały wyczerpująco każdą, najdrobniejszą nawet kwestię wyprawy. Ekwipunek jeszcze przed wyjazdem zredukowano do minimum. Pistolet maszynowy w jednym ręku, gumowa pałka w drugim i ukryta w białym futerale latarka elektryczna na piersiach - to wszystko. Żadnych manierek ani menażek. Ostatecznie na tych parę godzin można mocniej zacisnąć pasa.

Im dalej zagłębiano się w las, posuwali się coraz wolniej. Każdy krzaczek podlegał szczegółowym oględzinom. Zagłądano we wszystkie większe dziuple, w których mógłby się ukryć człowiek. Łańcuch tyraliery musiał być zachowany tak ściśle, by dwaj idący obok siebie policmeni nie tracili się nawzajem z oczu ani na chwilę.

Zdawało się, że tym razem fiasko jest wykluczone. A jednak.

W chwili, gdy spod rozłożystego krzaka gruchnął strzał i barczysta postać Scotta osunęła się na śnieg, tyraliera stanęła bez rozkazu.

Sąsiad Scotta, Wilby, nie byłby chyba człowiekiem gdyby nie przystanął nad rozciągniętą bezwładnie postacią, wokół której czerwieniła się rosnąca plama krwi. Scott był jego najbliższym przyjacielem.

Chwila ta była naprawdę bardzo krótka, lecz zanim Wilby przypomniał sobie o swoim obowiązku i wydanych zawczasu na tego rodzaju wypadek rozkazach, morderca zdążył zniknąć w gęstwinie. Krótka seria z maszynowego pistoletu oddana w kierunku rozkołysanych gałęzi nie odniosła oczywiście najmniejszego skutku. Huknęły strzały dalszych sąsiadów. Powstało zamieszanie. Zanim Harry zdołał wydać odpowiednie rozkazy, było już za późno na pościg.

Bez nadziei na jakikolwiek pozytywny wynik i tylko dla porządku wydelegował paru policjantów dla ścigania mordercy. W głębi duszy żywił przekonanie, że wrócą z niczym.

Reszcie kazał z całym pośpiechem zwięzać zamknięte koło obła wy.

Nie było już teraz mowy o zachowaniu ostrożności. Huk strzałów przekreślił wszelkie rachuby na zaskoczenie przeciwnika.

Sunęli z bronią gotową do strzału. W wielu oczach błyskały ponure ogniki.

Dobroduszny olbrzym Scott cieszył się mirem wśród kolegów. A poza tym pozostawił słabowitą kobiecinkę z dwojgiem nieletnich dzieci. Myśląc o sierotach Scotta niemal każdemu z policjantów przychodziła na myśl własna rodzina. Nie wiadomo któremu wpaźnie następną kolej. Kule nie wybierają.

Harry wyczuł ten niepokój. Szeregi obiegił powtarzany pośpiesznie rozkaz: „Brać za wszelką cenę żywcem. Inaczej śmierć Scotta pójdzie na marne”.

Ludzie zaciskali zęby. Ciężko było usłuchać. Ale rozkaz był rozkazem. Koło obławy zwężało się coraz bardziej. Nagle znowu zaterkotały zachłystliwie serie maszynowej broni.

Pomiędzy drzewami rozciągały się zastygłe w bezruchu sylwetki dwóch ludzi otoczone szczelnie białymi płaszczami policjantów.

Kapral Larkin przysiadł na pniaku cicho pojękując. Palce kurczowo zaciśnięte na lewym ramieniu spływały czerwienią. Harry przypadł do leżącego.

Ogłędziny pierwszego z brzegu nie trwały długo. Poszarpana skóra futrzanej kurtki nasiąkająca krwią mówiła wszystko. Cała seria w piersi. Widocznie któryś z policjantów wbrew rozkazowi nacisnął cyngiel. Na to nie było rady.

Przy drugim zatrzymał się dłużej. Odetchnął z ulgą. Ta zwierzyna została upolowana w stanie względnie nie naruszonym. Ogłuszenie potężnym ciosem pałki gumowej w łeb - to wszystko. Z otoczonych nieporządnym zarostem na wpół otwartych ust wydobywał się słaby, ale dość regularny oddech. Na ciele leżącego żadnych śladów jakiegokolwiek rany. Zwykły nokaut. Gdy się ocknie, będzie gadał. A o to przecież chodziło w pierwszym rzędzie.

W całej tej sprawie wiele jeszcze momentów pozostawało niejasnych. Postanowił przedstawić do nagrody policjanta, który przełożył w walce pałkę gumową nad pistolet. I dorzucić mu jeszcze coś niecoś z własnej kieszeni. Sam wiedział doskonale, że z nagrodami urzędowymi bywa rozmaicie.

A przecież gdyby nie ten policjant, wyprawę należałoby uznać za nieudaną. Nie tylko bowiem chodziło o zniszczenie tych kilku bandytów, co o zasięgnięcie języka o reszcie.

Harry zdziwił się szczerze, gdy wyjaśniło się, że bohaterem wyprawy był właśnie kapral Larkin... Dostał postrzał w ramię i pomimo to powstrzymał się od chęci odwetu. Ta okoliczność oczywiście znacznie zwiększyła zasługę. Toteż Harry do projektowanej na początku sumy dodał jeszcze drugie tyle.

Kapral Larkin z zażenowaniem wysłuchiwał wygłaszanej przez nadinspektora pochwały. Okrwawił prawicę Harry'ego przyjmując dziękczynny uścisk. A gdy na dobitkę przeliczył otrzymane banknoty, zapomniał w ogóle o ranie, postanawiając na przyszłość zostawić pistolet w domu. Pałka gumowa okazała się czymś w rodzaju czarnoksięskiej laski, której odpowiednie uderzenie powoduje wytrysk strumienia złota.

Harry zaopiekował się troskliwie ogłuszonym bandytą.

Pomimo że ten wciąż jeszcze był nieprzytomny, kazał go zakuć w kajdany i umieściwszy pośród policjantów przestrzegł, by pilnowali więźnia, „jak oka w głowie”.

Policjanci nie potrzebowali rozkazów w tym względzie. Bo przecież tylko ujęty bandyta mógł zdradzić, kto jest mordercą Scotta.

Powrót do Fairbanks odbywał się w nastroju ponurym. Wszyscy myśleli o nieruchomej postaci ułożonej pieczołowicie na jednej z ławek ostatniego samochodu. I o chwili gdy tragiczna wiadomość dotrze do schludnego domku przy ul. Białej Foki.

Bandyta nie odzyskał przytomności jeszcze w chwili, gdy wnoszono go do białej sali szpitalnej. A może tylko udawał, chcąc zyskać na czasie? W każdym razie nie było możliwości sprawdzenia, jak jest w rzeczywistości. Dopiero po zaaplikowaniu przez doktora Brandta potężnego zastrzyku otworzył oczy. Ale na żadne pytanie nie odpowiedział.

- Dajcie mi święty spokój jęknął wreszcie, gdy Harry nie ustępując, zaczął nim potrząsać - nic nie wiem... we łbie mi huczy jak w młynie...

Zamknął znów powieki, nieruchomiejąc na łóżku.

Harry spojrzał pytająco na doktora, który badał puls bandyty. Doktor wzruszył ramionami.

- Czyja wiem?! Może mówi prawdę, a może łże. Niestety jeszcze nie wynaleziono przyrządów do badania huków pod czaszką.

Puścił rękę bandyty, która opadła bezwładnie. - Tak czy inaczej - dorzucił po chwili, obserwując krytycznym wzrokiem nieruchomą postać - uważam, że badanie należy odłożyć do jutra.

Do jutra? - Harry zaciął wargi. Każda chwila była droga.

- Tak - potwierdził bezapelacyjnie doktor. - Dzisiaj i tak nic z niego nie wydobędziecie. A po kilkunastu godzinach nie pomoże już żadna symulacja. Gwarantuję za sprawność jego umysłu.

- A czy można go choć przenieść do celi? Obawiam się, by... Doktor Brandt od razu zrozumiał o co chodzi. Widział już niejedno w życiu, a poza tym znał od dawna Cossa i wiedział, że ten nie rzuca słów na wiatr.

- Tak - skinął głową po chwili namysłu - co do tego nie stawiam żadnych zastrzeżeń.

Harry oglądał celę, w której miano umieścić bandytę. Sprawdził kraty w oknach, sprawdził zamki. Przed drzwiami nakazał ustawić specjalny posterunek. Nie opuścił więzienia, zanim nie zostały zasunięte ostatnie rygle za bandytą.

Odszedł spokojny o bezpieczeństwo więźnia, oczekując z niecierpliwością wyniku jutrzejszego badania. Nie miał wątpliwości, że więzień wyśpiewa wszystko, co wie. Jeżeli nie będzie chciał gadać...

Trudno. Istniały pewne sposoby, otwierające usta najbardziej nawet upartym przestępcem.

Nie hołdował bynajmniej tym metodom i jak dotąd nigdy tych środków nie używał. Ale sytuacja była zbyt poważna, by tracić czas na zabawę w delikatności. Zresztą w tej walce nie dawano pardonu. Ani jedna, ani druga strona.

Ale do badania nie doszło.

Rozłamawszy chleb przyniesiony ze śniadaniem do celi, więzień znalazł w nim, tak jak zresztą tego oczekiwał, zawinięty w ciasną kulkę arkusik bibułki. Korzystając z krótkiej przerwy pomiędzy zdradzieckim szczękaniem zasłony judasza w drzwiach, rozwinął kartkę i nabrał od razu otuchy.

„Milcz. Trzymaj się. Będziesz wkrótce wolny.

Kartkę zniszcz natychmiast”.

Podpis był niepotrzebny. Bandyta i tak wiedział doskonale kto był autorem listu. A więc nie porzucono go w biedzie. I wkrótce będzie wolny. Tak, Dawson Drugi potrafi dotrzymać słowa.

Opryszek nawet nie przypuszczał, jak prędko nastąpi uwolnienie. Gdy bowiem po starannym zniszczeniu listu rzucił się wygłodniały na otrzymany chleb, po paru pierwszych kęsach otrzymał wolność. Wolność, której już nikt i nigdy nie będzie w stanie zagrozić.

Zaalarmowany przez wartownika przybiegł Harry, ciągnąc za rękaw zdyszanego doktora.

Doktor nie potrzebował dużo czasu na badanie.

- Exirus - wyprostował się po chwili - niepotrzebnieście mnie przez całą drogę poganiali, pułkowniku.

Więc tak... Harry opanował się z wysiłkiem - a jaka przyczyna?

Hm... doktor obejrzał uważnie paznokcie zmarłego, po czym pochylając się nad trupem wciągnął kilkakrotnie powietrze. Otruty - zaopiniował lakonicznie - cyjankali. Pochylił się nad nadgryzioną kromką.

- Oczywiście. I to duża porcja.

Harry zwiesił z rezygnacją ramiona. Nić, która miała zaprowadzić do kłębka, wyslizgnęła się niespodziewanie spomiędzy palców. Trzeba było znowu zaczynać niemal od początku.

Zresztą przyznawał w duszy, że w tym co zaszło było dużo jego winy. Wiedział przecież o Salambo... i o tych innych... Pozostawienie im możliwości szkodzenia było karygodnym niedbalstwem, które się teraz mściło.

Widocznie plany układane na zbyt długą metę nie zawsze prowadzą do celu.

Wpadł w głęboką zadumę. Tyle było rzeczy do obmyślenia na najbliższy czas.

Po rozmowie z Blythem Salambo uświadomił sobie grozę swojego położenia. Więc to tak? Znalazł się pomiędzy młotem a kowadłem Zbyt daleko już zabrnął, by pozostawała możliwość odwrotu.

Diabli nadali mrucał ponuro, sprawdzając starannie działanie swego pistoletu. W chwilach jakie nadciągały, kwestia sprawności sprężynek była kwestią życia. Zbyt dobrze orientował się w powstałej sytuacji, by mieć jakieś wątpliwości. Zdawał sobie sprawę z tego, co musi nastąpić. Jedyne ostateczny wynik pozostawał zagadnieniem otwartym.

Pistolet działał bez zarzutu. Detektyw spojrzał z zadowoleniem na oksydowaną stal. Tak... jeden ruch... Umiał się przecież obchodzić z bronią. Nie potrzebowałby się wstydzić swej umiejętności pod tym względem nawet przed zawodowym strzelcem legendarnych czasów „Złotego Piekła”.

Przebiegł myślą wypadki, w których użyty we właściwej chwili pistolet uratował mu życie. Znalazło się w jego życiu kilka takich wydarzeń. A teraz...? Ba... gdyby tylko wiedzieć gdzie i kiedy?

Nagle wpadł na pomysł. Uznał go za tak znakomicie rozwiązujący wszelkie komplikacje, że od razu nabrał otuchy.

Zarepetował pistolet wprowadzając kulę do lufy, po czym wesoło pogwizdując wsunął go do kieszeni. Teraz już był przekonany, że ścieżka, którą kroczył, prowadzi do właściwego celu.

A nazajutrz gajowy trzydziestego rewiru parku Mc Kinleya natknął się przy skraju lasu na wół przysypane śniegiem zwłoki mężczyzny.

Sprowadzona policja poznała bez trudu w zmarłym detektywa fairbankskiego okręgu - Hannibala Napoleona Aleksandra kilku imion Salambo.

Doktor Brandt wydlubał pocisk kalibru czterdzieści pięć tkwiący w osierdziu zabitego.

Nadinspektor Harry Coss, gdy mu zameldowano o zabójstwie, nie okazał najmniejszego zdziwienia. Co więcej, nie zainteresował się ani trochę okolicznościami mordu. Wydał polecenie przewiezienia zwłok do prosektorium i na tym ograniczył się jego udział w śledztwie.

Zupełnie inaczej zareagował na tę wiadomość prokurator Wilmers.

W pierwszej chwili zaklął wściekle, a następnie wpadł w ponurą zadumę.

Zaczęło się mruknąć do siebie.

Gdy mu zakomunikowano o wynikach sekcji, znowu zaczął kłąć. W końcu zdecydował, że musi rozmówić się stanowczo z Cossem.

Coss bowiem posiadał rewolwer kalibru czterdzieści pięć i wczorajszego wieczoru wyjeżdżał w kierunku parku Mc Kinleya. Sam zresztą wspominał o tym prokuratorowi. Przynajmniej w pojęciu prokuratora. Tamto z Mac Duftym co innego. Tam nie było innego wyjścia. Ale tu? Jeżeliby tak miało dalej iść, wszyscy podejrzani funkcjonariusze okręgu wyemigrują gwałtowną śmiercią na tamten świat. Ostatecznie po to mu państwo powierzyło to stanowisko, by pilnował przestrzegania prawa.

VI

ZDARZENIE W CHICAGO

Pani doktorowa Page zabrała się z całą energią do siostrzenicy. W tydzień przygotować wyprawę dla panienki z takiej rodziny? Nonsens oświadczyła zaraz na wstępie - nawet o dwóch tygodniach nie ma mowy.

Spojrzawszy jednak na strapioną twarzyczkę Mag trochę zmiękła.

Tak bardzo ci pilno do ślubu? pogładziła głowę siostrzenicy.

- Ja... bardzo kocham Harry'ego, cioteczko - westchnęła. Cóż roześmiała się doktorowa na widok ciemnej łuny wypelzającej zdradziecko na twarz dziewczyny - ostatecznie nie masz znów tak wielkiego powodu do wstydu - miłość to przywilej młodości. Nie martw się. Zrobię wszystko, by poszło jak najlepiej. Cudów jednak nie mogę obiecywać.

Zaczęła się wędrowka po sklepach. Nie ominięto chyba żadnego z elegantszych magazynów. W pierwszorzędnym salonie mój Mag była zmuszona do oglądania całymi godzinami najnowszych modeli. Z początku próbowała skracać te posiedzenia wskazując na pierwszy z brzegu model, nic jednak z tego nie wychodziło. Doktorowa Page rzeczywiście należała do najelegantszych pań w Chicago. Jak słusznie przypuszczał dyrektor Barton, wiedziała doskonale, co jak ma wyglądać. Toteż ani nawet na myśl jej nie przyszło pozwolić siostrzenicy na jakąkolwiek samodzielną decyzję. Upływał dzień za dniem, a wyprawa wciąż jeszcze nie była gotowa.

Niemal z każdym dniem przeciągającej się rozłąki z narzeczonym w sercu Mag wzrastała tęsknota. Powoli do tęsknoty zaczął się przyłączać niepokój o jego losy. Dlaczego tak bardzo nastawał na jej wyjazd z Fairbanks? Po ostatniej rozmowie pozbyła się wszelkich wątpliwości co do niezachwianej miłości Harry'ego. Jednak nie chodziło mu na pewno o wyprawę. Zbyt dobrze znała narzeczonego, by mogła w to uwierzyć. Więc jaka była prawdziwa przyczyna? Czyżby w Fairbanks znowu zaczęły się zbierać groźne chmury, tak jak kiedyś?

Ale jakiego rodzaju niebezpieczeństwo mogło zagrażać? Gdyby miała pewność, że tak jest naprawdę, żadna siła nie zmusiłaby jej do opuszczenia Fairbanks i do pozostawienia Harry'ego, by osamotniony stawiał czoło przeciwnościom.

Istniały zresztą pewne konkretne przyczyny potęgujące niepokój.

Pierwsze listy otrzymane z Fairbanks od Harry'ego, od ojca, ba, nawet od Lucy, nosiły pocztowy stempel Nenany. To było przecież zupełnie niezrozumiałe. Pytania na ten temat nie odnosiły żadnego skutku. Harry i ojciec pominęli je zupełnym milczeniem. Lucy zaś zaprzeczyła kategorycznie. „Zdawało ci się kochanie”, listy nadaje się tak jak zawsze w Fairbanks.

Następne koperty nosiły już stemple fairbankskiej poczty. Mag jednak ani na chwilę nie przypuszczała, jak wiele zabiegów kosztowało Harry'ego wyjednanie u dyrektora zezwolenia na używanie w pewnych specjalnych wypadkach wycofanej z obiegu pieczęci z napisem „Fairbanks” przez zaufanego urzędnika pocztowego z Nenany.

Tak samo zresztą Lucy nie przypuszczała, że jej niedawno przyjęta pokojówka traktuje otrzymywaną w domu państwa Stetson pensję jedynie jako czasowy dodatek do zasadniczego uposażenia, które wypłacał jej zgoła kto inny.

Wreszcie pobyt w Chicago dobiegł kresu. Wyprawa niemal była gotowa. W każdym razie firmy gwarantowały dostawę na ściśle określony termin.

Mag odetchnęła z ulgą. Już za parę dni zobaczy swoich najbliższych.

Nie zaprzeczała bynajmniej sama przed sobą, że wśród tych najbliższych stawiała Harry'ego na pierwszym miejscu. Nie zaprzeczałyby zresztą tak samo, gdyby ją o to i ktoś inny zapytał.

Nadanie depech z oznaczeniem dnia przyjazdu było dla Mag czymś w rodzaju uroczystego aktu.

I wówczas zaszło coś zupełnie niezrozumiałego.

W tym, że ktoś zadzwonił tego przedpołudnia do drzwi mieszkania doktorstwa Page, nie było nic dziwnego. Pacjenci odwiedzali doktora o każdej porze dnia. Również widok policyjnego munduru nie powinien budzić żadnych zastrzeżeń. Doktor Page leczył ludzi najrozmaitszych zawodów.

Jednak ten policjant nie przyszedł w charakterze pacjenta. Przesunięta pod brodę podpinka hełmu wskazywała na urzędowy charakter wizyty.

- Wezwanie do dyrekcji policji - oświadczył, stukając elegancko obcasami.

Najdziwniejsze, że w tym momencie rumiane zazwyczaj policzki doktora powlekła sinawa bladość.

- Wezwanie? - bąknął ochryplym głosem, aż policjant spojrział na niego zdumiony - ach tak... dziękuję.

Pokwitował w książce niewyraźnym zygzakiem.

- Co takiego? - zajrzała przez uchylone drzwi doktorowa.

- Nic... Wzywają mnie jako rzeczoznawcę... - umknął do swego gabinetu, zamykając starannie drzwi na klucz. Opadł na fotel, patrząc bezmyślnie na fatalną kopertę. - Ładna historia - otarł jedwabną chusteczką pot spływający gęsto po czole - tego tylko brakowało. Bo doktor Page nie miał czystego sumienia. Stało się to wczoraj. Prawdę powiedział, nie po raz pierwszy, ale właśnie wczoraj nastąpiła katastrofa.

Dla domowników, a szczególnie dla żony nazywało się to „konsylium” - w rzeczywistości zaś wyglądało cokolwiek inaczej. Wytworny, doskonale zakonspirowany dom gry. Jakiś tam niewinny poker i ruletka.

Oczywiście nie poszedł sam. Doktor Page nie lubił samotności, a miss Daisy jest naprawdę zupełnie sympatyczną damą. Że przy tym trochę pozuje na wampa? Cóż... przy jej młodości wszystko ujdzie. Trochę gry... odrobina alkoholu... Po to przecież odwiedza się tego rodzaju lokale. I nagle policja.

Oczywiście od razu Sodomą i Gomorą. Nic nie pomogło. Policjanci spisali protokół. Słowem posmak grubszego skandalu. A doktorowa w pewnych wypadkach potrafiła wykazać aż nadto gorący temperament. Zdołał ją dobrze poznać przez te lata wspólnego pożycia. Na szczęście znajomy komisarz piątej dzielnicy dał się ubłagać i obiecał wszystko załatwić od ręki. A teraz taki pasztet.

Nie, w żadnym wypadku nie można dopuścić do rozprawy przed sądem policyjnym. Żółta prasa tylko czyha na takie kęski. Osmarowaliby go na wszystkie strony.

W najgorszym wypadku wypadnie chyba poprosić Mag, by napisała do narzeczonego. Coss jest podobno w zażyłych stosunkach z Adlerem. Jeżeli ją poprosić o dyskrecję, na pewno nie zawiedzie. Nie będzie to oczywiście należało do specjalnych przyjemności, ale skoro nie ma innego wyjścia...

- O nagle drgnął, spojrzawszy przypadkowo na wypisany pismem maszynowym adres - niemożliwe. Przybliżył kopertę do oczu. A jednak tak było naprawdę. „Miss Margaret Barton w mieszkaniu Dra Page”.

- Więc list adresowany do Mag a nie do niego? - Niepotrzebna panika - skonstatował niemal rozpromieniony.

W tej samej chwili zawstydził się swego rozradowania. Bo to, że dyrektor policji wzywał Mag, też nie wyglądało przyjemnie. Czego znowu może chcieć od niej? - zamyślił się.

Dyrektor policji to figura. Nie wzywa do siebie ludzi dla błahostek. A szczególnie narzeczonej nadinspektora. Mag kilkakrotnie rozmawiała z doktorem na temat swych obaw co do bezpieczeństwa narzeczonego. Uspokajał ją, bagatelizując wysuwane przez nią argumenty. W głębi duszy nie był jednak tak zupełnie pewien swych argumentów. Barton opowiadał mu coś niecoś o przejściach przyszłego zięcia.

A teraz znowu to wezwanie. Gdyby mieli do zakomunikowania coś przyjemnego, nie używaliby tego sposobu. Wystarczyłoby pismo. A tak...

Mysł doktora przywędrowała do tych okropnych dni przed kilkunastu laty, gdy Ameryka brała udział w wielkiej grze. Wtedy też otrzymał zaproszenie do Ministerstwa Wojny. Tak samo nie pismo, a zaproszenie. Bo chodziło o jedynego syna doktora, Tomka. Tomek był pułkownikiem. I potem te owiane urzędową serdecznością, straszne słowa. Pamięta jak dziś ściany obszernego gabinetu, wirujące wokoło w niesamowitym pędzie. Krótkie słowa jak uderzenie maczugą: „poległ na polu chwały” - później już nic... Z pełnego radości życia chłopca, będącego jedynym celem życia obojga, zostało tylko wspomnienie tych słów. Nawet grobu nie odnaleziono w dalekiej Europie...

Drżącą ręką zapalił papierosa.

Biedna Mag. Wygląda, że chcą jej możliwie ogłędnie zakomunikować o katastrofie. O katastrofie narzeczonego. Bo inaczej co miałby tu do czynienia dyrektor policji? A w jaki sposób Mag na to zareaguje? Tak tęskniła za domem. I do tego tyle przeszła niedawno. Wręczenie jej fatalnego pisma nie będzie należało do łatwych zadań. Ani przyjemnych. Tykanie zegara odmierzało mijający czas. Doktor wciąż nie mógł się zdecydować na oddanie listu. W końcu zawołał do gabinetu żonę. Ostatecznie kobieta potrafi to załatwić jakoś delikatniej. Pocieszyć i dodać otuchy. W tych sprawach kobiety są prawdziwymi mistrzami, umiając operować słowami pozbawionymi treści a mimo to kojącymi. Doktorowa Page nie przyjęła tego tak tragicznie.

- Dlaczego zaraz ma być katastrofa? Ty zawsze musisz we wszystkim widzieć najgorsze. Może po prostu dyrektorowi potrzebne są jakieś informacje.

- Jakie znów informacje? - spojrzał na nią z niedowierzaniem. Wzruszyła ramionami.

- Czyja wiem, jakie? Może o tamtą sprawę chodzi, a może o coś nowego. Sam wiesz, jakie czasem niesamowite pomysły miewa policja. A szczególnie już u nas, w Chicago.

Doktor pokiwał głową z powątpiewaniem, uczeplił się jednak kurczowo wysuniętej przez żonę ewentualności. Ostatecznie przypuszczenia jej mogły mieć pewne podstawy. Po cóż oczekiwać najgorszego? Czuł się odpowiedzialnym wobec szwagra za zdrowie powierzonej swej pieczy siostrzenicy i chciałby jej oszczędzić wszelkich wstrząsów. Słowa żony otwierały nadzieję uniknięcia komplikacji. Pewno, jeżeli chodzi tylko o zasięgnięcie przez dyrektora policji kilku informacji, to znowu nic takiego strasznego.

- Może masz i rację - powtórzył, jakby usiłując wmówić w siebie prawdziwość tych słów w takim razie ujął w końce palców nieszczęsny skrawek papieru, który go kosztował tyle zdenerwowania i wyciągnął go w kierunku żony - oddaj to Mag i wytłumacz jej o co chodzi.

Cofnęła się gwałtownie, jakby jej proponował wzięcie do ręki kawałka rozpalonego do białości żelaza.

- Ty powinienesz to zrobić - zawołała pośpiesznie. - Mag jest taka osłabiona - wyjaśniła w odpowiedzi na pytające spojrzenie męża - jako doktor potrafisz na pewno odpowiednio zaaranżować to wszystko w taki sposób, aby się nie przejęła. Zresztą - dodała uspokajająco, widząc niepewną minę męża - ja będę przy tym.

Doktor z trudem stłumił westchnienie. Propozycja żony nie wzbudziła w nim najmniejszego entuzjazmu. Wolałby stokrotnie, aby ta scena odbyła się bez jego udziału. Postawienie jednak na tej płaszczyźnie sprawy zaangażowało jego ambicję zawodową, na punkcie której był specjalnie czuły, uniemożliwiając odmowę.

Nie można powiedzieć, by w czasie drogi przez trzy pokoje dzielące gabinet od pokoju oddanego Mag doktor specjalnie przyspieszał kroku. Raczej go zwalniał, obmyślając w jaki sposób najlepiej wytłumaczyć siostrzenicy, że w piśmie dyrektora policji nie kryją się żadne groźne niespodzianki.

Mag siedziała na półokrągłym foteliku przysuniętym do okna. Na kolanach jej leżała otwarta książka jakiegoś autora z połowy zeszłego stulecia. Wyciągnęła ją na chybił trafił z biblioteki wuja. Któryś tam z rzędu tom niekończonego tasiemca powieściowego. Nie robiło jej to żadnej różnicy, że książka rozpoczynała się od razu pięćdziesiątym rozdziałem. I tak już nie potrafiła śledzić wątku powieści. Wzrok jej raz po raz prześlizgiwał się po spakowanych walizach. Jeszcze tylko kilkanaście godzin i...

W ciszę pokoju wpadł nagle zza drzwi odgłos kroków budząc ją z zadumy. Ktoś zapukał delikatnie.

Drgnęła niespokojnie. Coś się musiało stać niezwykłego.

- Proszę - rzuciła niepewnym głosem.

Drzwi otworzyły się cicho i w obramowaniu białej lakierowanej framugi ujrzała postać obojga wujostwa.

Zatrzymali się z wyraźnym wahaniem na progu.

Na zwykle dobrodusznie uśmiechniętej twarzy wuja Eryka malowało się zakłopotanie. Ciotka Henrietta wbrew swemu zwyczajowi wepchnęła męża pierwszego do pokoju. Widocznie w nadciągającej scenie on właśnie miał wyznaczoną główną rolę. Doktorowa usunęła się skromnie na bok i utkwiała wzrok w oknie.

Mag przyglądała się ich niezwykłemu zachowaniu z coraz bardziej wzrastającym niepokojem. Zanosilo się na coś niecodziennego.

- Co... się stało?

Doktorowa kiwnęła głową w kierunku męża gestem zachęcającym.

Doktor Page przełknął z wysiłkiem ślinę. Tu, wobec ściągniętych trwoźnym wyczekiwaniem rysów twarzyczki Mag sprawa wyglądała zupełnie inaczej, niż gdy omawiał z żoną w zaciszu gabinetu. Nie był w głębi duszy znowu tak całkowicie pewny absolutnej niewinności tego, co władze policyjne chciały zakomunikować. Cóż z tego, że wezwanie zredagowano w tak delikatnej formie? Coss jest przecież dostojnikiem policyjnym.

- Widzisz, Mag... - utknął beznadziejnie. Obmyślane w czasie drogi przekonywające tłumaczenie sytuacji wywietrzało gdzieś z mózgu bezpowrotnie.

Mag zerwała się z fotela gwałtownie i pobiegła ku niemu.

Serce łomotało jej w piersi alarmującym rytmem rozpaczliwego przerażenia. Coś podeszło duszącym uciskiem aż do samego gardła.

- Wuju Eryku - spojrzała nań błagalnie - powiedz wreszcie, nie męcz mnie dłużej... ja... - głos załamał się w gardle spazmatycznym dźwiękiem.

Doktor opuścił oczy. Nie mógł znieść widoku tych płonących niesamowitym ogniem źrenic. Biedna Mag. Pamiętał przecież wypadek, gdy jako kilkuletnia dziewczynka zemdląła w czasie opowiadania o jakiejś błahej operacji. Zawsze była niezmiernie wrażliwa i impulsywna. Jak ona to przyjmie? Wiedział, jak bardzo kocha narzeczonego. Poczul wyrzuty sumienia. Może naprawdę zbyt wygodnie dla siebie chciał rozwiązać tę kłopotliwą sytuację? Czy nie lepiej było zatelefonować uprzednio do dyrekcji policji i dowiedzieć się choć w ogólnych zarysach o co chodzi? Teraz dopiero zrozumiał cały ogrom egoizmu, jaki okazał w stosunku do swej pupilki, wybierając linię najmniejszego oporu.

- Nie przejmuj się Mag - bąknął bez przekonania - to głupstwo. Ot, po prostu - machnął ręką, w której trzymał to nieszczęsne wezwanie. Zanim zdołał spostrzec co się stało, wyrwała mu papier z ręki.

„Dyrektor... policji... prosi”... litery maszynowego pisma rozplywały się przed oczyma, rosnąc do jakichś monstrualnie olbrzymich rozmiarów. Papier wysunął się z bezsilnie rozwartych palców, spadając z miękkim szelestem na posadzkę. Nie potrzebowała zresztą czytać dalej. Policja ją wzywa. To objaśniało wszystko. Harry... bo przecież tylko o niego mogło chodzić. A więc padło oczekiwane uderzenie gromu.

Przed oczyma jej nagle pociemniało. Kontury otaczających przedmiotów zanurzyły się w gęstą lepłą mgłę.

Harry - szepnęła bezdźwięcznie. Harry...

Zachwiała się gwałtownie na nogach. Doktor Page podskoczył ku niej wyciągając ręce. Bał się, by nie runęła na podłogę. Mag widziała jego postać niewyraźnie, jakby w jakiejś bezmiernej dali.

Zacisnęła kurczowo szczęki, wzywając na pomoc całą siłę woli. Nie, nie będzie robiła z siebie przedstawienia. Jej uczucia są jedynie jej wyłączną własnością. Nie wolno ich wystawiać na pokaz.

Odsunęła delikatnie ręce wuja.

- Dziękuję... już mi lepiej - głos był ledwie dosłyszalny, ale brzmiał prawie spokojnie. Nawet tego zdołała dokonać.

Zobaczysz Mag próbował bagatelizować wbrew przekonaniu doktor - na pewno chodzi o jakąś drobnostkę i - umilkł, zauważywszy, że go nie słyszy. Czyniła wrażenie człowieka, który dopiero co rozbudzony z głębokiego snu nie potrafi jeszcze powrócić do rzeczywistości.

- Ja... Ja... - rozejrzała się bezradnie wokół - pójdę tam... zaraz...

Podeszła zautomatyzowanymi krokami do szafy, otworzyła jej drzwiczki i wsunęła na oślep rękę. Przez chwilę przesuwała palcami po gładkich powierzchniach jedwabnych sukien, aż wreszcie natrafiła na miękkie puszyste futro. Zaczęła wkładać je na ramiona. Byle jak... byle tylko prędzej...

Doktorowa przyglądała się z niepokojem zachowaniu siostrzenicy. Biała jak kreda twarzyczka Mag i jej lśniące płomieniem gorączki oczy czyniły na niej wrażenie ostrzegawczych objawów chorobliwego stanu.

- Ależ Mag - zaczęła z łagodą perswazją - tak nie można.

- Wuj pójdzie z tobą...

- Tss - syknął doktor dotykając ramienia żony daj spokój.

- Co się stało? - zniżyła również mimo woli głos do szeptu - przecież...

Doktor nachylił się jej do ucha.

Mag trzyma się ostatkiem sił nerwowych. Najlepiej będzie zostawić ją w zupełnym spokoju, bo inaczej nastąpi załamanie psychiczne. Chodźmy stąd. Czyjakolwiek obecność działa na nią drażniąco i może spowodować wybuch. Znam się na tym jako lekarz. - Popchnął żonę w kierunku drzwi. Poszła bez słowa sprzeciwu. Powołanie się przez niego na swój autorytet lekarski uniemożliwiało wszelką dyskusję. Doktor Page cieszył się powszechną opinią doskonałego lekarza, o czym dobrze wiedziała.

Mag nie zauważyła ich wyjścia. Nie była w stanie zauważyć niczego. W mózgu jej panowała wszechwładnie jedna jedynie myśl wypełniająca go bez reszty.

Harry... Biedny... kochany Harry. Boże, żeby tylko przeszło najgorsze.

Nie zdawała sobie sprawy, w jaki sposób nasadziła głęboko na czoło pierwszy lepszy kapelusz, który się nawinął pod rękę, zeszała ze schodów i znalazła się na ulicy. Świadomość jej tkwiła w stanie podobnym do pół snu. Wzrok przesłaniała falująca, prawie nieprzezroczysta mgła.

Przepychała się poprzez tłum zapelniający chodniki, prąc naprzód. Na twarz padały wielkie płaty topniejącego śniegu. Po kilku, czy kilkunastu minutach tej wędrówki zmysły zaczęły powracać powoli do równowagi. Przystanęła na chwilę badając oczyma kontury otaczających budynków. Gdzie się znajduje? Nie знаła na pewno tej ulicy. Nigdy jeszcze przedtem na niej nie była. Zbłądziła widocznie. Nie potrafiła się dostać do dyrekcji policji. Co robić?

Jakiś podświadomy głos ostrzegł, że nie można było tracić ani chwili czasu. Że od tego zależy coś nieskończenie ważnego.

Ulica była prawie pusta. Nieliczni przechodnie z ukrytymi głęboko w podniesionych kołnierzach twarzami nie budzili zupełnie zaufania. Ten i ów musnął przelotnym spojrzeniem sylwetkę młodej dziewczyny w kosztownym futrze. Widocznie podobny widok stanowił niecodzienne zjawisko w tej dzielnicy. Ze spojrzeń tych nie wyczytała niczego dobrego. Zaczęła sobie zdawać sprawę, że zbłądziła do któregoś z podejrzanych kwartałów miasta.

Tuż obok niej przeszedł jakiś barczysty mężczyzna w nasuniętym na oczy pogiętym meloniku. Otarł się o rękaw jej płaszcza. Owionął ją zapach alkoholu i mdły odór dawno nie mytego ciała. Obejrzał się zwalniając kroku.

Przeszedłszy kilka kroków zatrzymał się, odwracając ku niej głowę. Zaszarpały wąską krechę zęby w cynicznym uśmiechu. Serce Mag zaczął ogarniać lęk. W ułamku sekundy odzyskała całkowitą świadomość. Groziło jej okropne niebezpieczeństwo. O wiele gorsze od utraty życia. Nieznajomy odwrócił się powoli i ruszył ku niej miękkiymi, skradającymi się krokami. - Hallo, Mary!

Obrzuciła trwożliwym spojrzeniem ulicę w poszukiwaniu ratunku. Nie, nie mogła go znikąd oczekiwać. Dokąd sięgał jej wzrok nie widziała nikogo, poza obdartusem wałęsającym się po przeciwległym chodniku. Wyglądał nie mniej podejrzanie od jej prześladowcy. Może jego współnik? Barczysty drab stanął przed nią wyciągając rękę. Brudny palec zakończony poszarpaną linią obgryzionego paznokcia dotknął jej ramienia. Szarpnęła się odruchowo w tył. Wstręt do tego odrażającego osobnika zwyciężył na chwilę przestrasz.

- Precz! - krzyknęła z pasją i pogardą.

Na nim jednak jej ton nie wywarł najmniejszego wrażenia. Oparta o jej futro ręka ani drgnęła.

- Ha, ha... ha... - zaśmiał się ochryple - patrzcie no jaka ważna sikora. Myśli, że jest w salonie. Ładne futerko, przyda się...

Instynktownie odskoczyła długim susem i zaczęła uciekać. Przed nią czerniała wąska gardziel ponurej ulicy. Poza sobą słyszała ciężkie kroki, głucho dudniące na betonowych płytach.

Biegła, wyężając wszystkie siły. Wysokie obcasy jej pantofelków raz po raz zahaczały o nierówności chodnika.

Nie potrzebowała odwracać głowy, by wyczuć, że prześladowca z każdym krokiem dogania ją. Słyszała już poza plecami jego przyspieszony oddech. Zaczęła sobie zdawać sprawę z całej beznadziejności ucieczki. Tamten miał nad nią przewagę pod każdym względem. Szaleńczy bieg nie może trwać już długo. Ściśnięte zmęczeniem gardło z trudem łąpało powietrze. W piersiach coś kłuło. Jeszcze chwilę i poczuje na ramieniu brutalny chwyt jego ręki. Goniła resztkami sił. Boże - skłębione myśli zestrzeliły się w błagalnej modlitwie ześlij jakiś ratunek... Przed nią zajaśniały lampy wąskiej przecznicy. Tak samo pusta jak i ulica, którą biegła. Ale przed wejściem do narożnego szynku tkwiło odrapane pudło samochodu. Małeńka żarówka oświetlała niewyraźny kształt licznika. Taksówka. Nad kierownicą czerniała jakaś schylona sylwetka.

Ostatkiem tchu dobiegła do samochodu. Szarpnęła drzwiczkami wskakując do wnętrza. Opadła wyczerpana do ostateczności na zniszczone sprężyny siedzenia. Obicie oparcia wydzielalo lekki odór butwiejącego materiału.

Człowiek nachylony nad kierownicą ani drgnął. Widocznie drzemał w najlepsze. Prześladowca dobiegł już do krawędzi chodnika. Nie wyglądało wcale, aby miał zamiar zrezygnować z pościgu. Przesunęła ręką poprzez odsuniętą szybę oddzielającą kierowcę i szturchnęła bezceremonialnie w nieruchome plecy. Drgnął gwałtownie i w mgnieniu oka odwrócił ku niej głowę. - Czego - burknął niechętnie, dostrzegłszy wyłaniającą się z mroku

wypełniającego wnętrza samochodu, bladą twarz dziewczyny - jestem zajęty. Proszę wysiadać.

W mdłej poświacie rozsiewanej przez lampę umieszczoną przed tarczą licznika, jego obrzmiała, pokryta kilkudniowym zarostem twarz nie czyniła bynajmniej wrażenia godnej zaufania.

Mag jednak nie miała żadnego wyboru. Musiała mu zaufać. Na dalszą ucieczkę było już za późno, zresztą czuła, że nie będzie w stanie zrobić choćby kilku kroków.

- Jedziemy, proszę pana - prosiła, zerkając panicznie w okno - zapłacę, ile pan będzie chciał...

- Aaaa - wybałuszył podejrzliwie oczy - a czego panience niby tak spieszno?

Goniący za Mag rzezimieszek doszedł do samochodu i położył rękę na drzwiczkach.

- Jak się masz stary! - zawołał do kierowcy. Szofer odwrócił się ku niemu.

Ali right, Bill - machnął ręką w powitalnym geście - czy masz interes do tej dzierlatki?
- wskazał palcem przez ramię na Mag.

Mag zmartwiała. A więc kierowca był przyjacielem tamtego. Nadzieja ocalenia nagle zmalą.

Klamka ugięła się z ostrym zgrzytem pod naciskiem ręki rzezimieszka. Mag odchyliła przeciwległe drzwiczki. Postanowiła wyskoczyć w chwili, gdy tamten będzie wchodził do samochodu. Da jej to w każdym razie kilkanaście sekund przewagi. Będzie uciekała, dopóki nie padnie ze zmęczenia. Niespodziewanie dla samej siebie odezwała się jeszcze raz do szofera.

Do dyrekcji policji. Prędeż! - głos jej brzmiał rozkazująco. Wrażenie tych kilku słów przeszło jej najśmielsze oczekiwania. Kierowca skurczył się jak balon, z którego wypuszczono powietrze. Klamka zatrzymała w miejscu.

- Ddo... dyrekcji policji? - zająkał się szofer.

- Tak - potwierdziła ostro - jazda. - Zaczęła się domyślać zmiany w zachowaniu się tamtych. Brali ją widocznie za... policjantkę.

Drab stojący przy samochodzie opuścił niezdecydowanie rękę. Twarz jego wyrażała zaskoczenie.

- Cholera - zaklął, wypluwając spomiędzy warg ogryzek cygara. - Szpicel w spódnicy.
Kto by się spodziewał.

- Jazda - powtórzyła Mag - szkoda czasu!

Szofer bez słowa zaczął zapuszczać motor. Mag odetchnęła z ulgą. Było jednak za wcześnie na to. Opryszek ochłonął bowiem tymczasem ze zdumienia wywołanego nieoczekiwanym odkryciem. Nie miał ochoty tak od razu wypuszczać łupu z pazurów.

- Joe - mruknął zniżonym głosem, wsuwając prawą rękę w kieszeń marynarki - masz zamiar posłuchać tego szpicla? Kto wie, czyją wolność wiezie w zanadrzu. Może wpadł jej w oko któryś z naszych kolegów? Nie powinna wyjść stąd żywa.

Kierowca nachylił się ku niemu poprzez okienko samochodu.

- Nic z tego, Bill - szepnęła z naciskiem - mam dość czystą hipotekę i nie chcę być zamieszany w żadną mokrą robotę. Tym bardziej, jeśli jest z policji. Oni dbają o swoich. Gotowi przewrócić całe miasto do góry nogami, aby wywachać, co się z nią stało. Nie, nie tęskno mi wcale za przymiarką do elektrycznego fotela. A poza tym - obejrzał się nieufnie na wszystkie strony - kto wie czy nie ma w którejś z bram pomocników. Wiesz przecież, że u nich teraz ciężkie czasy. Lecą na prowokację z braku prawdziwego „gangu”.

Mag natężywszy słuch wchłaniała tę rozmowę, która miała decydować o jej życiu. Nie uroniła ani jednego słowa. Teraz zapanowało milczenie. Opryszek namyślał się co począć dalej.

Mijały wlokące się ze śmiertelną powolnością sekundy, odmierzane trwożnymi uderzeniami jej serca.

Wreszcie drab widocznie powziął postanowienie.

- Może masz rację, Joe - mruknął, wruszając niechętnie ramionami - w tym parszywym mieście prowokacja siedzi w każdym kącie. - Strzepnął palcami i odwróciwszy się ruszył w kierunku oświetlonych drzwi szynku. Jego prawa dłoń wciąż tkwiła w kieszeni. Nie można przewidzieć co zajdzie za chwilę. Lepiej być przygotowanym na wszystko.

- Jedziemy - oświadczył układnym głosem kierowca - w razie czego, niech panienska pamięta, że to ja ocaliłem jej życie.

- Naturalnie - potwierdziła żywo - nie zapomnę wam tego. Samochód ruszył z miejsca i z chrzęstem potoczył się wzdłuż ulicy.

Mag osunęła się bezwładnie na sterczące sprężyny oparcia. Była ocalona. A przecież w ostatnich chwilach straciła już nadzieję, by mogła się wymknąć z tej pułapki.

Za zamazanymi szybami migotały z rzadka jasne plamy mijanych latarni. Po kilku minutach wjechali na jakąś bardziej ludną i lepiej oświetloną ulicę. Podniecenie wywołane groźną przygodą zaczęło ustępować. Powracała poprzednia przerażająca myśl. Harry!

Tymczasem barczysty drab, zrezygnowawszy z pościgu za Mag, otworzył jednym kopnięciem drzwi szynku i wszedł do wnętrza. Rozejrzał się po zadymionej, zatłoczonej

stolikami sali. Przy jednym dostrzegł znajome twarze. Nie tego jednak szukał. Odpowiedziawszy obojętnym skinieniem głowy na powitalne gesty, przepchnął się do stojącego w głębi izby szynkwasu. Stojący za blaszaną ladą człowiek w fartuchu pstrym od plam najrozmaitszych kolorów i kształtów, obrzucił go badawczym spojrzeniem. Jego mięsiste wargi wykrzywił grymas mający zapewne oznaczać uśmiech.

- Jak się macie, Bill!

- Dziękuję, marnie - nachylił się nad ladą - jest tam kto? - przymrużył oczy w kierunku zasłony zawieszanej za szynkwasem. Barman skinął w milczeniu głową.

- W porządku - barczysty jegomość przeszedł przez ladę

- a przyślijcie mi wódki - rzucił zanurzając się pod zasłonę.

W niewielkim pokoiku, w którym się teraz znalazł, stał tylko jeden stolik. Siedział przy nim mężczyzna przed szklanką do połowy napełnioną jakimś brunatnym płynem. Na dźwięk kroków ręka jego opadła błyskawicznym ruchem na kieszeń marynarki. Gdy jednak ujrzał wchodzącego, położył ją z powrotem na brudnej niebieskiej serwecie przykrywającej stół. Ściągnięte rysy rozprężyły się.

- Jak interesy, Western? - zawołał przyjaźnie, odsuwając nogą stojące naprzeciwko krzesło.

- Pod psem - oświadczył z ponurą miną Western, siadając ciężko na krzesło - gorzej niż źle. Znalazłem dzisiaj futro wartości co najmniej pół tysiączka, ale...

- Ale co??... Tss - syknął ostrzegawczo.

Zasłona uchyliła się i do izby wszedł barman, niosąc w brudnych garściach butelkę i szklankę. Takich wielkopańskich przesądów jak tace nie uznawano w barze „Pod Dobrym Kompanem”. Dla obsłużenia niewybrednych gości wystarczały aż nadto gołe ręce szczupłego personelu. Przeczekali w milczeniu, aż postawiwszy na stole przyniesione przedmioty, barman wyszedł, pozostawiając ich samych. Niby to był zaufanym człowiekiem, ale kto mógł wiedzieć, jak to było naprawdę. Policja miała forszę, dużo forsy, a w ostatnich czasach o zarobki wśród świata podziemnego Chicago było coraz trudniej.

- No więc - podjął znowu niski mężczyzna - gdzie masz to futro? Wiem dobrze gdzie można opylić. Dostaniesz dwie setki, jeżeli naprawdę warte pięćset...

Western poczerwieniał z wściekłości, wybuchając stekiem ohydnych przekleństw.

Jego towarzysz wysłuchiwał tego z niewzruszoną miną. Akcentował jedynie pstrykaniem palców bardziej mocne przekleństwa.

Wybił wyćwiczonym ruchem korek z przyniesionej przez barmana butelki za pomocą uderzenia dłonią rozwartą na płask w dno i nalał wódkę do szklanki stojącej przed Westernem.

Ten ostatni uspokoił się wreszcie.

- Futro przepadło - oświadczył. Niestety w środku siedział szpiclówka.

- I cóż z tego? - spojrzał na niego spod oka.

Western wychylił jednym haustem zawartość szklanki.

- A ot - odstawił ją z brzękiem na stół bardzo wiele z tego. Po prostu... Po prostu... - zawahał się na chwilę - stchórzyłem

- - zakończył, nie patrząc na towarzysza.

Hm chrząknął filozoficznie niepokaźny mężczyzna, popijając małymi łykami brunatny płyn ze swej szklanki - takie buty...

- głos jego nie miał żadnej intonacji.

- Tak. Stchórzyłem przed babą. Ja, który kiedyś... et, co tam gadać - machnął ręką schodzimy coraz bardziej na psy. Joe Kuternoga też stchórzył. I jeszcze nastraszył mnie jakimiś urojonymi polikierami stojącymi w bramie. Istnieli na pewno tylko w jego wyobraźni. Mógłbym mieć jak nic to futro. Joe nie należy w ścisłym tego słowa znaczeniu do nas.

- Do nas, to znaczy do kogo? - obruszył się tamten. - My przecież też do niego nie należymy. Żaden porządny gang nie chce nawet na nas patrzeć. Chodzimy samopas po tym przeklętym mieście i zdychamy z głodu. Nie wiadomo po co przyjeźliśmy tu z Alaski... Zawsze tam było łatwiej. Zawrócili nam w głowie i tyle...

- Iii tam - przeciął filozoficznie - szkoda gadać. Sam wiesz dobrze, że na Alaskę nie wrócisz. Lepiej byłoby przespacerować się do policji i przedstawić się coś za jeden. Taki sam skutek, a mniej zachodu. Nie bój się, mają na pewno twój dokładny rysopis i listę wyczynów. Prosta droga na fotel. Trzeba przecierpieć - łyknął porządny haust portwajnu. - Ani słowa, że od czasu napadu na Starą Farmę przestało się nam powodzić. Bossa gdzieś diabli wzięli...

Western uderzył się nagle dłonią w czoło.

- Poczekaj, mam...

- Co masz? - spojrzał na niego leniwie Mike.

- Stara Farma. To właśnie tam... Od samego początku twarz tej szpiclówki w futrze wydawała mi się znajomą. Tylko nie mogłem skombinować, gdzie ją widziałem. Teraz już wiem; w Starej Farmie. To jest ta sama, której boss nie pozwolił zabrać świecidełek...

Mike pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Aaa... to możliwe... To bardzo możliwe... w ten sposób wiele rzeczy staje się jaśniejsze. Boss i szpicel... - urwał wpadając w zadumę.

- Przesadzasz. Na Alasce nie mogliśmy zostać ani chwili dłużej. Wiem jak się tam ostro do nas zaczęli dobierać po tej historii z Clifftonem. Prawie wszystkich chłopców wyłapali. A tu prędzej, czy później na pewno natrafimy na coś porządnego. W każdym razie jest przynajmniej o wiele spokojniej. Aż za spokojnie. Ty Mike, wiadomo, masz nerwy jak stalowe liny. Nikt cię pod tym względem nie przewyższy. Cedzisz słówka tam, gdzie inny chciałby wyć z wściekłości. Ale ja zaczynam mieć tego wszystkiego po uszy. Wrócę chyba do kraju...

Mike wypuścił gęsty kłęb dymu tytoniowego. Western przechylił się ku niemu przez stół.

- Słuchaj Mike, czytałeś o tym Cossie? Mike przesłonił oczy powiekami jakby chcąc ukryć ich wyraz przed towarzyszem. Oczekiwał od dawna rozmowy na ten temat. Ostatecznie sprawa musiała być prędzej czy później wyjaśniona.

- Cóż - wzruszył ramionami - czytało się to i owo. Człowiek ma dużo wolnego czasu. Po robocie na dwieście dziewięćdziesiątej mili pytał mnie Dawson, kto jest Wilkiem. Ktoś musiał powtórzyć tę rozmowę bossowi, bo Dawson zniknął... Ciekawym kto to zrobił, ja nie pisałem ani słówka...

Mike umilkł, sięgając w milczeniu po butelkę. Nigdy nie lubił poruszać swej roli w bandzie. A szczególnie już teraz, gdy nie stał za nim opiekuńczy prestiż szefa.

- Ale mniejsza o to - podjął Western, nie doczekawszy się odpowiedzi - dzisiaj ja powtarzam to pytanie; kto był Wilkiem?

- Uhhh - Mike, chrząknął nieokreślenie, rzucając badawcze spojrzenie przez ramię. Obezwładniająca groza imienia Wilka sięgała znacznie dalej w czasie, aniżeli to mógł usprawiedliwić rozum. Przecież od paru miesięcy banda już nie istniała.

- Ty byłeś jego adiutantem - nastawał Western.

- Ano - bąknął Mike - coś w tym rodzaju...

- Powinieneś więc wiedzieć.

Mike jeszcze raz rozejrzał się po pustej izbie, zatrzymując niecodłużej podejrzliwie wzrok na fałdach portyry zasłaniającej drzwi i wejściowe.

- Powiem ci coś - zniżył głos do ledwie dosłyszalnego szeptu - możesz wierzyć albo nie, ale to jest prawda. Nie wiem, kto jest Wilkiem.

Western pomyślał przez chwilę.

- Ba - wyduł wargi - dlaczego ci nie mam wierzyć. Boss potrafi zachować tajemnicę. Ale jak popatrzeć uważnie na to, co zaszło pa napadzie na Farmę, można coś niecoś wykombinować. Bo teraz już inaczej, bossa nie ma...

- Bossa nie ma - powtórzył jak echo przez zaciśnięte zębygl Mike. - Rzucił nas jak bezpieczne psy na łup policji, która jakoś dziwnie prędko dobrała się do naszej skóry. Mocno coś mi to pachnie, że ktoś wyszczekał przed policją o naszych kryjówkach.. A któż to by mógł zrobić, jak nie sam boss? Przecież on tylko jeden wiedział gdzie siedzimy. Ty nawet tego nie wiedziałeś...

- Ano nie wiedziałem - potwierdził skwapliwie Mike. Te słowj odsuwały od niego możliwości jakichkolwiek podejrzeń o zdradę. A nie chciał mieć wroga w Westernie.

- Właśnie. Więc mógł zdradzić tylko boss. Bo jego nie złapali. Ool chwili gdyśmy przyszli na zebranie i zamiast bossa zastali trupa inspektora policji, wszelki ślad po nim zaginął. A jednocześnie zniknął także Coss z „Forwardsu”. Interesowałem się tą farmą na własną rękę, nie mogłem bowiem zrozumieć, dlaczego boss zabraniał złożenia wizyty w domu, który stoi pod samym bokiem. Gadano, że Coss ma grubszą forszę, więc wywąchałem co i jak. To była prawda. Na pewno miał porządną gotówkę. Kogo zapytałem potwierdził to bez wahania. A boss nawet nie chciał gadać na ten temat. Nie pozwolił patrzeć chłopcom w stronę farmy. Coś mi w tym wszystkim nie pasowało. Myślałem sobie; może odkłada go na deser. Boss zawsze wiedział co robi. Ale gdy Boss zniknął, a równocześnie z nim przepadł bez śladu Coss... - urwał wyczekująco, wpatrując się w zamyśloną twarz Mike'a.

Mike podrapał się z zakłopotaniem w gładko ulizaną głowę. To co chciał powiedzieć, niełatwo przeciskało się przez gardło. Wciąż I jeszcze miał wrażenie, że w którymś z tonących w mroku kątów izby czyha Wilk z niechybnym rewolwerem w garści.

- Cóż... - przełknął z wysiłkiem ślinę - prawdę powiedziawszy i mnie to podpadło...

- A więc - w głosie Westerna dźwięczało ledwie dostrzegalne drzenie.

Wilk i Coss, to ta sama osoba! Mike położył łokcie na brudnej serwecie, podpierając czoło rękoma. Milczał przez dłuższą chwilę.

- Ha... - ujął wreszcie butelkę i wolno nalewał wódkę do swej szklanki, wsłuchując się w przeciągłe bulgotanie płynu - trudno zaprzeczyć, żeby właśnie na to nie wyglądało...

- A jeżeli tak - w oczach Westerna zapłonęły ponure ognie - to boss jest najpodlejszym psem i zdrajcą.

Mike wpatrywał się w dno szklanki, jakby tam poszukiwał odpowiedzi na to oskarżenie, które jeszcze do niedawna byłoby nie do pomyślenia w ustach członka bandy,

ceniącego choć trochę swoją skórę. - Tak - rozmyślał smętnie - teraz to wszystko wygląda zupełnie inaczej.

Nagle odstawił gwałtownym ruchem szklanę.

- Masz rację - powiedział twardo - Boss jest psem i zdrajcą. Brzmiało to zupełnie zdecydowanie. Bez najlżejszego cienia wahania. Bo Mike był pewny, że pod postacią Wilka występował Coss. Obserwował go niejednokrotnie z ukrycia i zauważył podobieństwo ich postaci i oczu. Przemyślał sobie to w czasie długich i bezsennych nocy, spędzonych po rozpadnięciu się bandy. I gdyby Western nie poruszył dzisiaj tego tematu, on sam prędzej czy później wygarnąłby to wszystko. Tylko że oznaczał się wiele większą ostrożnością niż prymitywny Western. Poczekałby do ostatniej chwili. Skoro jednak Western zaczął...

Western wyprostował się na krześle. Palce jego rąk leżących na serwecie zgięły się na kształt szponów sięgających po ofiarę.

- Aaa - głos jego wypływał gdzieś z głębi piersi - all right. Pamiętasz, jak boss zawsze powtarzał: z bandy nie ma innego wyjścia jak śmierć?

Niepozorna postać Mike'a zgięła się w kabłąk. Wyglądał teraz jak puma szykująca się do skoku.

- Tak - warknął krótko - pamiętam.

- Nie może być innych praw dla chłopców i naczelnika. Skoro więc opuścił nas... - po jego plecach przebiegło drżenie.

- Śmierć - szepnął ochryple Mike - śmierć - powtórzył mnąc w palcach fałdy serwety.
- Coss musi zginąć.

- Niech nie myśli, że nas tak łatwo nabić w butelkę i sprzedać policji. Jest nas dwóch.

- Nie - zaprzeczył Mike - trzech. Zapomniałem ci powiedzieć! Dawson Drugi przyjechał dziś rano do Chicago. Spotkałem go w okolicy dworca centralnego. Z początku nawet mi nie ufał i sięgnął na mój widok do kieszeni. Wytłumaczyłem mu co i jaki Przebył całą drogę wciśnięty pomiędzy paki towarów. Policja następowała mu już na pięty. Ledwie zdołał się im wywinąć spomiędzy palców.

Wyciągnął z kieszeni kamizelki tandetny nikłowy zegarek.

- Powinien tu zaraz przyjść - spojrzał na wskazówki poprzez; porysowane i pogiete szkiełko z przezroczystego celuloиду. - Poza tym mówił, że również i Roberts jakoś się dotychczas trzyma na miejscu. Ma zamiar przyjechać do Chicago. Jeżeli mu się uda, będzie nas już czterech. A czterech takich jak my chłopców to bez żadnej przesady - wystarcza na przyzwoity gang. Pokażemy tym ospałym mieszczuchom, jak się załatwia interesy na sposób alaskański, a potem gdy już napełnimy trochę kieszenie, poszukamy mister Cossa, aby z nim

pogadać na temat ustanowionych przez Wilka praw. Dawson zresztą mówił, że przywiózł całą furę nowości. Nie i chciał o nich gadać na ulicy.

Portiera lekko drgnęła. W mgnieniu oka obydwaj przybrali pozycje pełne bojowej gotowości. Ich prawe ręce zniknęły w głębi kieszeni marynarek.

Minęła chwila napiętego oczekiwania. Wreszcie fałdy spłowiełej bawełny rozchyliły się i w ich obramowaniu stanął muskularny mężczyzna w wymiętoszonym ubraniu, obrzucając podejrzliwymi wzrokiem wnętrze pokoju.

Siedzący przy stole odetchnęli z ulgą.

- Jak się masz Dawson? zawołał Mike.

- Dopiero kilka godzin jestem w mieście, a już przynoszę wam całkiem niezłą robotę - oświadczył przybyły podchodząc do stolika.

Wąskie wargi Mike'a rozciągnął uśmiech zadowolenia. Tak, następca nieszczęśliwego Dawsona w bandzie nosił głowę na karku nie od parady.

- A więc - Dawson Drugi rozsiadł się wygodnie na krześle. - Nadstawcie uszu. Sprawa wygląda tak.

Przysunęli się bliżej ku niemu. Dawson zaczął opowiadać nosowym, nieco niedbałym głosem. W jego sposobie bycia było coś protekcyjnego w stosunku do słuchaczy. Mike, który był dotychczas pewny, że nie ścierpiałby takiego tonu u nikogo poza Wilkiem, teraz skonstatował w duchu nie bez zdziwienia, że poddaje się mocnej indywidualności Dawsona. - Ba - pomyślał w pewnym momencie ze smutną rezygnacją - widocznie nie jest mi sądzone objąć rządów w bandzie... Oto wchodzi na widownię nowy boss...

VII

SYTUACJA GMATWA SIĘ JESZCZE BARDZIEJ

Mag nie zdawała sobie sprawy jak długo trwała podróż roztrzęsionym pudłem taksówki zanim wreszcie szofer zatrzymał się przed surowym, kamiennym blokiem olbrzymiego budynku.

Większość okien frontowych tonęła w mroku. Za ledwie parę spośród kilkudziesięciu przepuszczało żółtawe światło poprzez matowe szyby. Szofer spojrział przez ramię do wnętrza wozu, zdziwiony panującą tam ciszą. Czyżby coś się stało? - pomyślał zaniepokojony.

Pasażerka siedziała nieruchomo, oparta bezwładnie o poduszki, wpatrzona niewidzącymi oczyma w jakiś sobie tylko wiadomy punkt.

- Panienko! - rzucił przytłumionym głosem - przyjechaliśmy. To już dyrekcja policji.

Zerknął przy tym nieufnie na kanciąstą postać w granatowym mundurze tkwiącą przy wejściu. Organicznie nie znosił bliższego kontaktu z przedstawicielami władzy bezpieczeństwa, a jak uważał, policjant zdradzał zbyt wielką ruchliwość.

Rzeczywiście policjant znudzony beczynnym wystawianiem na warcie, zainteresował się odrapanym pudłem archaicznego samochodu, podjeżdżającego pod gmach dyrekcji. Kto wie, co mogła oznaczać ta wizyta. W czasie swej długoletniej służby spotykał się z różnymi dziwnymi sprawami. Potem mogą mieć pretensje, że nie obserwował szczegółów. I dlaczego nikt nie wysiada?

Ruszył wolnym krokiem w kierunku tajemniczego samochodu. Szofer czuł się coraz bardziej niepewnie. Czego ten znowu chce od niego? Nie miał ostatecznie tak bardzo czystego sumienia.

- Panienko - zawołał podnosząc głos.

- Co - drgnęła Mag wyrwana z bolesnej zadumy - dlaczego stoimy?

- Przyjechaliśmy - szofer nachylił się nad kierownicą, nie chcąc wystawiać twarzy na łup niedyskretnych spojrzeń policjanta, który tymczasem podszedł do krawędzi chodnika, zaglądając ciekawie do wnętrza taksówki.

- Ach tak - opamiętała się wreszcie, łapiąc z trudem rozpierzchłe myśli - dziękuję.

Mocowała się przez chwilę z obluzowaną klamką zanim zdołała otworzyć drzwiczki. Powoli wydobyła się na ulicę.

- Ile się panu należy? - sięgnęła do torebki, szukając pieniędzy.

Policjanta zaintrygowało odwracanie twarzy przez szofera. Niemal wsadził głowę poprzez odsuniętą szybę chcąc dojrzeć jego rysy. Historia zaczynała wyglądać coraz ciekawiej. Szofer miał już tego dosyć. Wścibstwo „granatowego munduru” działało mu po prostu na nerwy.

- To może innym razem - bąknął, zapuszczając motor. Dodałby chętnie drugie tyle do sumy wybitej przez licznik, aby znaleźć się jak najdalej od badawczych oczu policjanta.

- Halo, kolego! - wielka obca łapa spadła ciężko na kierownicę chciałbym bardzo ujrzeć wasze oblicze.

Szofer niechętnie odwrócił ku niemu głowę.

- Czego chcecie ode mnie? - mruknął opryskliwym tonem.

- Ja nie mam do was żadnego interesu. Przywiozłem pasażera i tyle. Spiesz mi się - wyrzucił szybko.

Na szerokiej twarzy policjanta zajaśniał uśmiech zadowolenia.

- Popatrzcie no - zawołał rubasznie - co za szczęśliwe spotkanie! Toż to Joe Kuternoga we własnej osobie. Szukamy was od dwóch dni po całym mieście.

Szofer nagle osowiał. Kłapa. Więc jednak wywąchali tamtą historię z Blue Island. Żadnych szans ucieczki. Łapy policjanta obejmowały mocno kierownicę. Ba, gdyby wiedział, nie klóciłby się z Westernem.

Mag zbyt zajęta swoimi myślami, by zrozumieć rozgrywającą się przed jej oczyma scenę, wyciągnęła z torebki jakiś banknot i wsunęła przez okienko samochodu, po czym skierowała się ku oświetlonemu mleczną kulą wejściu.

- Panienko - zawołał za nią rozpaczliwie szofer, czując spadającą na ramię rękę policjanta - niech panienka pamięta, że...

Nie usłyszała go jednak, bowiem w tej samej chwili wchodziła do obszernego hallu.

- Ażeby cię... - zaklął przez zęby szofer - warto było klócić się z Westernem i leżć samemu w pułapkę? Niechby ją sobie zabrał, co mi do tego. Będę miał na przyszłość nauczkę...

- Pani do kogo? - na widok Mag podniosła się postać mężczyzny w mundurze zza niewielkiego stoliczka stojącego tuż przy drzwiach.

- Do... dyrektora.

- Do samego dyrektora Adlera? - w głosie pytającego zadźwięczało tłumione zdziwienie. - Czy to jest konieczne? Może sprawę mógłby załatwić któryś z oficerów? Dyrektor jest teraz zajęty.

- Zostałam wezwana do dyrektora.

- A... w takim razie co innego. Poproszę - wezwanie. Wezwanie, prawda. Mag nie mogła sobie w żaden sposób przypomnieć, co zrobiła z tym nieszczęsnym skrawkiem papieru. Zaczęła gorączkowo szperać we wnętrzu torebki. Bezskutecznie jednak Wezwania nie było.

- Nie zabrałam ze sobą - oświadczyła wreszcie, zrezygnowawszy z bezpłodnych poszukiwań - czy to nie przeszkodzi w widzeniu się z dyrektorem? - zapytała lękliwie. Przecierpiała już tyle od chwili otrzymania wezwania, że nieoczekiwana przeszkoda pozbawiłaby ją resztek sił. Musiała wreszcie wiedzieć, co się stało z Harrym.

- Hm - zastanawiał się policjant. Nie był zupełnie pewny, czy ta historia nie była podstępem, mającym na celu otworzenie drzwi do niedostępnego zazwyczaj dla zwykłych śmiertelników gabinetu dostojnika policyjnego. A dyrektor nie znoślił, gdy mu ktoś z błażej przyczyny przeszkadzał w pracy.

- Mogę prosić o podanie swego nazwiska?

- Margaret Barton.

- Proszę chwileczkę zaczekać. - Sięgnął po słuchawkę i rzucił kilka słów przytłumionym głosem, zasłaniając mikrofon zgiętą dłonią.

Odpowiedź musiała wypaść zadowolająco, bowiem odwiesiwszy słuchawkę uśmiechnął się uprzejmie do Mag, jakby chcąc ją przeprosić za poprzednie podejrzenie.

- Pan dyrektor prosi - oświadczył, naciskając czerwony taster jakiegoś dzwonka.

Za ażurową osłoną szyby zjawiała się oświetlona kabina windy. Z wnętrza jej wyskoczył sprężyste mały Murzynek w opiętej liberii.

- Zaprowadzisz madame do pana dyrektora - rozkazał policjant.

Mag weszła bezwolnie do kabiny. Trzask zamykanych drzwi odbił się głębokim echem w jej duszy. Miała wrażenie, jakby zawierały się za nią jakieś wrota, odcinając drogę odwrotu. Winda bezszelestnie ruszyła w górę.

Tymczasem do hallu wszedł wartownik.

- Dokąd poszła ta dama, która przyjechała przed chwilą? - zapytał dyżurnego.

- Do dyrektora.

- Fiuuut! - gwizdnął przeciągle - aż do samego dyrektora?

- A dlaczego was to interesuje - spojrzał na niego z zaciekawieniem dyżurny.

- Ba - wartownik pomacał po kieszeniach szukając papierośnicy - jak myślicie, kto ją tu przywiózł?

- No? - dyżurny był coraz bardziej zaintrygowany.

Fakt wezwania kogoś bezpośrednio przez dyrektora należał do niecodziennych wypadków w komendzie.

- Joe Kuternoga. Właśnie doprowadziłem go na wartownię, aż do dalszych rozkazów. Poszukiwany od dwóch dni - dorzucił lakoniczne objaśnienie.

- Kto by pomyślał - pokiwał głową dyżurny - taka elegancka. Ano, do gangu należą rozmaici. W każdym razie należy o tym natychmiast zawiadomić dyrektora.

W chwili, gdy Mag wchodziła do gabinetu dyrektora Adlera, ten wyłączył właśnie mikrofon stojącego na biurku telefonu głośnikowego. Na widok wchodzącej podniósł się z fotela.

- Znowu się spotykamy... - urwał jednak na widok pobladłej twarzyczki Mag.

- Diabli nadali - zaklął w duchu, że ten cały Coss zawsze musi tylko wymyślać takie dziwaczne historie. Bo już rozmowa, jaką miał przeprowadzić z gościem była niezbyt przyjemna, a tu jeszcze do tego wszystkiego niezrozumiała komplikacja w postaci poszukiwanego przez policję Joego Kuternogi.

Postanowił zacząć od końca. Osoba podejrzanego szofera wklęła przystąpienie do delikatnej misji, powierzonej przez Cossa.

- Na miłość boską, proszę pani - przybrał ton żartobliwej nagany - skąd pani wykopała tę taksówkę?

Spojrzała na niego trochę nieprzytomnie.

- Jaką taksówkę? - oczekiwała wszystkiego, tylko nie tego pytania. Cały jej wysiłek myślowy nastawiony był na jedno: co się stało z Harrym?

- No tak - potwierdził - mówię o wehikule, którym pani do nas przyjechała. A właściwie jego kierowcy. Widok tego jegomościa postawił na nogi niemal całą załogę komendy... Wreszcie zrozumiała.

- Ten człowiek ocalił mi życie.

Zebrawszy myśli opowiedziała dyrektorowi w krótkich słowach przebytą w czasie drogi przygodę. Wysłuchał uważnie, kiwając z podziwem głową.

- No... no... - mrucał - kto by się mógł tego spodziewać po Kuternodze.

- Czy pani wie - zwrócił się do Mag, gdy skończyła mówić - że ten jegomość ma reputację bardzo niepochebną. A szczególnie już w ostatnich czasach.

- Nie wiem, co to za jeden... Ale ocalił mi życie - powtórzyła - a może nawet znacznie więcej niż życie...

- Tttak zamyślił się - trudno odmówić pewnej słuszności temu mniemaniu. Z jedenastej dzielnicy, dokąd pani sądząc z jej słów zawędrowała, nie zawsze uchodzi się cało. Kuternoga miał widocznie swój szczęśliwy dzień, jeżeli chodzi o cnotę. Zasługa nie może pozostać bez nagrody. Zresztą - przebiegł szybko wzrokiem notatkę leżącą na biurku - sprawa jego nie wygląda zbyt poważnie. Możemy go ostatecznie puścić luzem bez specjalnego naruszenia obowiązków służbowych. Niech mu to posłuży za wskazówkę, że obrona samotnych dam więcej się opłaca od maczania palców w podejrzanym machinacjach.

Nachylił się nad szarym otworem mikrofonu, rzucając kilka słów cichym głosem.

Sierżant Stewens w wartowni wytrzeszczył oczy, gdy polecenie dotarło do jego świadomości. Popatrzył przez chwilę na trzymaną w ręku słuchawkę, jakby dojrzał coś niezmiernie frapującego w jej znanych od dawna kształtach.

- Także coś - mrucał pod nosem, odwieszając ją z powrotem - gościa szukamy, a gdy przypadkiem wpada w nasze ręce, puszczone go wolno. Jakies dziwne dzieje się dzisiaj wieczoru w komendzie. Wytworna dama odwiedza dyrektora Adlera, a potem!!! Et - wzruszył niecierpliwie ramionami - co sobie będę łamał głowę. Rozkaz to rozkaz. Nie ja za niego odpowiadam.

Podszedł do skulonej postaci, siedzącej w kącie długiej drewnianej ławy.

- Macie szczęście, stary - klepnął go po ramieniu.

Joe Kuternoga ocknął się z odrętwienia, w którym trwał od chwili przyprowadzenia go na wartownię.

- Szczęście? - podniósł zdumiony wzrok na sierżanta. Nazywacie to szczęściem? - zapytał z goryczą, wskazując kiwnięciem głowy na otaczające go ściany wartowni.

- Jesteście wolni - oświadczył sierżant.

- Co? - drgnął całym ciałem Kuternoga. Nie, tego przecież nie mógł w żaden sposób zrozumieć. - Wolny? - powtórzył z niedowierzaniem.

- Tak. Właśnie przed chwilą otrzymałem polecenie, by was puścić.

Kuternoga zerwał się raptownie z ławy, prostując skuloną postać.

- Puszczacie mnie „na wabia”? - zerknął podejrzliwie na sierżanta.

Ten zrobił całkiem tajemniczą minę.

- Cóż - wydał wargi - nie mogę przecież zdradzać przed wami tajemnic urzędowych. W każdym razie macie prawo iść, dokąd chcecie. Chwilowo policja nie ma do was żadnego interesu.

Otworzył szufladę stołu - wyjmując z niej paczkę owiniętą w szary papier.

- Oto wasze „umeblowanie” - rozwiązał sznurek - portfel, zegarek - podawał mu wymienione przedmioty - klucz od... hm... - uśmiechnął się pogardliwie - od limuzyny, krawat. A to... - zawahał się, ważąc w rękę spory sprężynowy nóż - nie, lepiej niech ta zabawka pozostanie tymczasem w naszym depozycie - zdecydował, wrzucając go z powrotem do szuflady. - Do dłubania w zębach wystarczy wykałaczka. Po co narażać was na pokusę...

Kuternoga wsuwał wszystko byle jak do kieszeni. Nawet nie zadawał sobie trudu, by zawiązać krawat.

- Mogę już odejść? - zapytał wreszcie, złożywszy koślawy podpis na podsuniełym przez sierżanta pokwitowaniu.

- Naturalnie - potwierdził policjant - przecież wam już mówiłem...

Nie słuchał dalszego ciągu, wypadając jak z procy na ulicę. Pełną piersią wciągał wilgotne powietrze wieczoru. Po upływie niecałych dwóch minut siedział już za kierownicą swego wysłużonego Forda. Zapuszczając motor, spojrzął trwożliwie na granatową sylwetkę tkwiącą przed oświetlonym wejściem do ponurego gmachu. A nuż się rozmyśla?

Zdezelowany motor jak na złość nie chciał zapalić. Musiał się uciec do pomocy korby. Ręce drżały mu ze zdenerwowania. Nic jednak nie zaszło, co by mogło usprawiedliwić jego

obawy. Wartownik wprawdzie przyglądał się z leniwym zainteresowaniem jego wysiłkom, nie zrobił jednak ani jednego kroku w kierunku samochodu.

Gdy wreszcie roztrzęsiona karoseria zadrgała w takt pracy motoru, skoczył jednym susem do wnętrza, naciskając dźwignię.

Samochód ruszył z brzękiem obłuzowanego żelastwa. Kuternoga rzucił jeszcze jedno spojrzenie przez ramię na groźną postać policjanta. Ten ani drgnął.

Po paru minutach Joe skręcił w przecznicę. Potem w drugą, trzecią. Kluczył po ulicach jak lis, chcąc zawikłać swój ślad. Patrząc przez cały czas w zawieszone na przedniej szybie lusterko, skonstatował ponad wszelką wątpliwość, że nikt za nim nie jedzie. Z piersi jego wyrwało się głębokie westchnienie ulgi. Więc naprawdę był wolny!

- To pewno dzięki interwencji tego policjanta w spódnicy - pomyślał, opierając wygodnie plecy o skórzaną poduszkę.

Nieoczekiwana zmiana sytuacji dokonała w jego duszy gwałtownego przewrotu. Nie marzył już, by mógł tak prędko oglądać nad głową gwieździste niebo. Nie marzył o wydostaniu się na wolność. Wiedział, że stalowa obręcz policyjnej pułapki nie otwiera się zbyt łatwo, by wypuścić raz już schwytaną zdobycz. W ciągu kilkunastu minut spędzonych na wartowni przeżył w wyobraźni nieskończenie długi szereg dni zamknięcia w kamiennym pudełku celi. Za żadną cenę nie chciałby przeżyć tego po raz drugi. Nigdy jeszcze nie był w więzieniu i nie miał zamiaru dostać się tam kiedykolwiek, skoro tym razem udało mu się w tak cudowny sposób wywinąć. Bliskie zetknięcie z nieubłaganymi konsekwencjami drogi przestępstwa, na którą dopiero zaczął wstępować, wywołało w jego psychice przygnębiające wrażenie. Nie miał w gruncie rzeczy złego charakteru. I nie był jeszcze zbyt zaawansowany we współdziałaniu z podziemnym światem. Ot, od czasu do czasu pomagał w pewnych niezupełnie czystych historiach. Wywiezienie zrabowanych rzeczy bezpośrednio z willi doktora Eliota na Blue Island było jego pierwszą poważniejszą „pracą”, mającą mu otworzyć wrota do „gangu”. Za to, jak miał wrażenie, poszukiwała go właśnie policja.

Ale teraz koniec z tym wszystkim. Postanowił stanowczo nie wracać już do towarzystwa z jedenastej dzielnicy. Potrafi w inny sposób zarobić na kawałek chleba. Niech się tamci kawalerowie obywają bez niego. Nie warto ryzykować utraty wolności. Wiedział jaki to ma smak, a przecież dopiero liznął po wierzchu.

Po krótkim namyśle skierował samochód w stronę postoju przy ul. Field Museum. Stało tam zazwyczaj mało taksówek - więc łatwiej niż w innych punktach miasta o zarobek. Odtąd będzie jadł chleb bez omasty. Lepiej czasem nie mieć czego włożyć do gęby, niż drzeć

na widok każdego granatowego munduru. Jeżeli mu dadzą spokój za przeszłe historie, hipoteka Joego Kuternogi będzie lśniła nieskazitelną czystością.

Dyrektor chicagowskiej policji nie przypuszczał jak bardzo szczęśliwym w skutkach okaże się kiedyś jego wspaniały gest w stosunku do Kuternogi.

Głośnik telefonu stojący na biurku dyrektora zaskrzeczał zniekształconym głosem sierżanta Stewensa: polecenie wypuszczenia Kuternogi wykonano.

- Pani obrońca poszedł do domu - zakomunikował dyrektor tkwiącej nieruchomo w fotelu Mag.

W umęczonych źrenicach dziewczyny pojawił się wyraz wdzięczności.

Powitał go z zadowoleniem. Jak uważał, był już najwyższy czas do przystąpienia do właściwego tematu, a ze względu na widoczne wyczerpanie nerwowe dziewczyny pragnął, by rozmowa odbyła się w jak najmniej napiętej atmosferze.

- A teraz przystępujemy do naszej właściwej sprawy...

- Co... co z Harrym? - w głosie Mag dzwięczała trwoga - chciałam powiedzieć... co z mister Cossem?

Adler podniósł rękę.

- Proszę się uspokoić miss Barton. U pułkownika wszystko all right.

- Czy naprawdę? - zawisła wzrokiem na jego ustach.

- Daję pani na to słowo honoru - powiedział poważnie - pułkownik zdrowy i cały. Ale...

- urwał, dobierając odpowiednich słów.

- To nie było takie łatwe do powiedzenia. Kto wie, jak ona zechce przyjąć całą tę rozmowę? Bo ostatecznie temat nie należał do codziennych. Mag znowu zdrętwiała.

- Ale co?

- Widzi pani... - spojrzenie dyrektora wędrowało po szczegółach zawieszonych na przeciwległej ścianie obrazu - chodzi o datę pani powrotu do Fairbanks.

- Nie rozumiem? O datę mego powrotu? - powtórzyła ze zdumieniem.

- Tak. Otóż w Fairbanks zaszły pewne okoliczności, o których nie chciałbym bliżej mówić. W każdym razie są one tego rodzaju, że byłoby lepiej, gdyby pani mogła odłożyć swój powrót do domu o kilka dni.

- Czy okoliczności te dotyczą Har... pułkownika?

- Tak. W niejaki stopniu dotyczą. Dotyczą nawet pani osobiście.

- Ale ja...

- Przepraszam - przerwał jej w pół zdania - dla uniknięcia nieporozumień pragnąłbym od razu podkreślić, że pani nieobecność zwiększy szanse bezpieczeństwa pułkownika. Mogę

panią zapewnić, że tak jest naprawdę. Pułkownik nie pisał do pani o tym wszystkim z dwóch zasadniczych względów. Przede wszystkim obawiał się, aby list nie trafił do niepowołanych rąk, a poza tym... hm... - urwał z wahaniem.

- A poza tym przypuszczał, że nie usłucham prośby listownej? - odpowiedziała z nikłym uśmiechem. Odpowiedział uśmiechem na uśmiech.

- Coś w tym rodzaju - potwierdził. - Wszyscy znamy pani odwagę, wobec czego oparta na argumencie osobistego pani niebezpieczeństwa prośba, raczej nie miałaby chyba szans powodzenia?

- Obawiał się, by list nie trafił w niepowołane ręce? - rozmyślała na głos - a w jaki sposób porozumiał się w tej sprawie z panem dyrektorem?

Dyrektor strzepnął jakiś niewidzialny pyłek z kłapy marynarki.

- O proszę pani, to zupełnie co innego - mamy rozmaite bardzo zawile szyfry, stanowiące dla osób trzecich niezrozumiałe hieroglify.

Mag zapadła w smutną zadumę.

- Czy... czy to ma bardzo długo potrwać - zapytała żałośnie. Adler stłumił uśmiech.

- Nie. Sprawa, o którą chodzi, dojrzeła już do rozstrzygnięcia. Mag zdecydowała się. Skoro ma to pomóc Harry'emu...

- Dobrze - wstała powoli z fotela - jeszcze dziś zadeszuję do Fairbanks, że...

- Niestety - dyrektor pokiwał głową z ubolewaniem - pułkownik usilnie nalegał, by pani zechciała na te parę dni powstrzymać się od używania normalnej drogi korespondencji. Wszelkie listy do... hm... do Fairbanks niezależnie od osoby adresata zechce pani łaskawie przesyłać do nas, a my już skierujemy dalej. I jeszcze jedno; nie należy w korespondencji podawać jakichkolwiek danych, które by mogły ułatwić ustalenie pani adresu.

- A więc absolutna konspiracja? - zapytała z kłopotliwym uśmiechem.

Adler rozłożył ręce ruchem pełnym bezradności.

- Cóż robić... Ale to wszystko naprawdę jest niezbędne...

VIII

REWANŻ KUTERNOGI

- Więc to naprawdę była Mag Barton? Western wzruszył ramionami.

- Czyja wiem, jak się nazywa. W każdym razie ta sama co wtedy w czasie balu w Starej Farmie... no ta, co jej boss nie pozwolił obrać ze świecidełek. Mówili, że narzeczona Cossa.

- Jesteś pewien, że ta sama?

- Tak...

- I mając ją w garści wypuściłeś? - w oczach Dawsona Drugiego rozbłysły zielonkawe ogniki.

Western poczuł się nieswojo.

Łatwo powiedzieć... - bąknął, unikając spojrzenia Westerna - „wypuściłeś”. Joe Kuternoga prosił, by jej dać spokój. Twierdził, że w bramie siedzi większa ilość glin i złapią człowieka za kark, gdy tylko przyjdzie do czego.

Dawson skrzywił pogardliwie wargi.

A ty naturalnie z miejsca uwierzyłeś w te wszystkie brednie? Tchórz cię obleciał - oto wszystko. Tchórz! Człowiek ugania się jak wyżeł za tą dziewczyną, a taki... taki nędzny...

Western słuchał w milczeniu, zaciskając zęby. Od nikogo nie zniósłby takiego tonu, i tego rodzaju wymysłów. Ale z Dawsonem... Nawet mu nie przyszło na myśl, by sięgnąć po rewolwer.

- Nic straconego... Może Joe odwiózł ją do domu, to zna adres...

- Ach tak... - Dawson trochę się uspokoił. - W takim razie szukaj Joego. Powiedziałem wam, jaką rolę odgrywał w tym wszystkim Coss. Gdy uderzymy w dziewczynę, zaboli go to więcej, niż gdybyśmy uderzyli w niego samego...

Western szukał. Poszło mu znacznie trudniej, niż początkowo przypuszczał. Na zwykłym postoju na rogu Trzeciej Wschodniej przecznicy ani śladu odrapanego pudła taksówki Joego. Czekał cierpliwie chyba całą godzinę. Może Joe miał jakiś kurs z gościem? Potem zaczął się rozpytywać. Nie. Dzisiaj nie widziano taksówki Joego. Nie przyjeżdżał od rana.

Pokręcił z dezaprobatą głową. Czyżby go zatrzymali wczoraj na policji?

Nie miał zbyt licznych znajomości w mieście. W każdym razie te, które zdążył ponawiazywać, wystarczyły, by stwierdzić, czy ktoś siedzi w ulu.

Zatelefonował gdzie trzeba. Odpowiedź wypadła przecząco. Cóż więc mogło się stać z Kuternogą?

Łaził pół dnia po mieście, gdy wreszcie przechodząc przypadkowo obok Field Museum ujrzał poszukiwany samochód. Joe w tej dzielnicy? Czyżby kombinował na własną rękę jakiś gang?

Joe zaprzeczył niemal z oburzeniem. Nic podobnego. Po prostu tu łatwiej o zyskowny kurs. W ogóle nie wydawał się zachwycony spotkaniem.

Na pytanie o dziewczynę odpowiedział wzruszeniem ramion. Skądże ma znać jej adres? Wcale jej nie odwoził do domu. Dobrze, że wyszedł cało z policji... Zresztą dziewczyna nic a nic go nie obchodzi.

Western obserwował go z coraz większą podejrzliwością. Zachowanie się Kuternogi było co najmniej dziwne. Czekają na zarobki z normalnych kursów taksówki?

Także coś! Mógł to mówić komuś innemu. Western zbyt dużo o nim słyszał, by miał w to uwierzyć. I co znaczą te rzucane przez szofera na wszystkie strony spojrzenia, jakby się obawiał, że ktoś go obserwuje?

Ale najdziwniejsza była w tym wszystkim odpowiedź na propozycję pogawędki „Pod Dobrym Kompanem”. Zaczął się po prostu wymawiać. Że nie ma czasu i inne podobne bzdury... To już było nie do uwierzenia. Kuternoga stroniący od darmowego kieliszka. Świat się kończy albo...

W końcu Western miał tego dosyć. Zresztą wolał nie wracać bez Kuternogi. Zielone błyski w źrenicach Dawsona Drugiego miały całkiem przekonującą wymowę.

- Słuchajcie - rzucił niby to żartem - jeżeli nie przyjdziecie, gotów jestem pomyśleć, że zwąchaliście się z polikerami... He... he... Dobry kawał, co? Kto by tam ryzykował... Wszyscy wiemy, co to kosztuje na naszej giełdzie. Zamiast ceduły wystarczy choćby taki Rollison...

Kuternoga pobladł. Bo Rollisona, którego towarzysze podejrzewali o stosunki z policją, znaleziono ubiegłej soboty w czterech oddzielnych kawałkach pod wiaduktem kolejowym.

- Dobrze - powiedział zduszonym głosem - przyjdę. Ale coś mi się widzi, że w tej sprawie nie będziecie mieli ze mnie żadnego pożytku.

- Czyż naprawdę nie ma dla mnie powrotu na prostą drogę? - rozmyślał ponuro, obserwując plecy odchodzącego Westerna.

Dawson Drugi przyjął Kuternogę z wylewną serdecznością. Po prezentacji dokonanej przez Westerna z początku ani nawet nie wspomniął o dziewczynie. Szerokim gestem stawiał kolejkę po kolejce, pilnując, by Joe nie zostawił nic w kieliszku...

Dopiero po paru butelkach przystąpił do rzeczy.

Joe z miejsca zareagował.

- Nie znam adresu i nic na to nie mogę poradzić. Od razu mówiłem Westernowi.

Dawson westchnął, ale nie oburzył się bynajmniej. Nie chciał zrażać Kuternogi. Bez niego bowiem nie widział żadnych szans zdobycia adresu dziewczyny. A na adresie tym zależało mu w tej chwili więcej, niż na czymkolwiek innym. Nienawiść do Cossa rozpiełała go, nie pozwalając zapomnieć o nim choćby na chwilę. - Gdy będę miał już to gardziołko w palcach - myślał zaciskając pięści - no, wtedy zaczniemy wyrównywać nasze rachunki z mister Cossem.

- Cóż - Dawson zamówił nową kolejkę - nie znacie, to trudno. Ale nic strasznego. Możecie się go dowiedzieć z łatwością...

Joe wytrzeszczył oczy.

- Ja?

- Tak - potwierdził niedbale Dawson - właśnie wy, a nie kto inny.

Kuternoga wzruszył ramionami.

- Bzdury. Czy myślicie, że policja zaraz mi wygarnie z miejsca adres, gdy tylko o to zapytam? - silił się na sarkazm.

- Otóż to. Wyjęliście mi po prostu z ust te słowa. Kuternoga poruszył się niespokojnie na krześle. Czy to miały być pijackie kpiny, czy też aluzja do czegoś o wiele gorszego.

Nieznacznie zerknął ku drzwiom. Ucieczka nie rokowała jednak najmniejszych szans powodzenia. Pomiędzy stołem a drzwiami siedział niedbale rozparty Mike, bawiąc się wykałaczkami. Niby nie zwracał uwagi na nic, co się wokoło dzieje, ale gdyby przyszło do czego... Mike dał się już poznać na terenie jedenastej dzielnicy z pewnych właściwości swego charakteru. Trzech gotowych na wszystko opryszków, trzymających pod ręką rewolwer przeciwko jednemu nie uzbrojonemu kalece? Stosunek sił mówił sam za siebie.

Joe wychylił jednym haustem stojący przed nim kieliszek.

- Niby jak to mam rozumieć? - zapytał.

- Zupełnie prosto - zaśmiał się Dawson. - Otóż widzicie, w czasie tej godziny, jaką kazaliście na siebie czekać, wpadliśmy na pewien pomysł. Pomysł, zapewniam was, całkiem morowy, który musi się udać. Otóż - sięgnął do teczki, wykładając na brudną serwetę płaską paczkę - to właśnie jest nasz wynalazek. Zaczął powoli odwijać papier.

Joe z niepokojem obserwował każdy ruch jego palców. Wytrzeszczył oczy ze zdumienia, gdy ujrzał prostokątny kształt eleganckiej damskiej torebki.

- No? - spojrzał na niego z triumfem Dawson - teraz już rozumiecie?

Joe jednak mrugał oczami nie rozumiejąc, jakie znaczenie mogła mieć ta kupiona zapewne przed chwilą torebka.

Dawson obserwował osłupiałą twarz szofera z uśmiechem wyższości.

- Ależ kolego! - wskazał na złoty monogram w rogu torebki - to przecież jasne jak słońce!

Kuternoga wzruszył ramionami.

- Jak dla kogo. Tyle wiem z tego wszystkiego, co i przedtem. Dawson rozsiadł się wygodnie na krześle i zaczął mu tłumaczyć. Torebka nosi inicjały „M.B.”. A „M.B.” to Margaret Barton. Ta sama, którą Joe wczoraj odwiózł do prezydium policji. Cóż będzie w

tym dziwnego, jeżeli uczciwy szofer zechce ustalić adres pasażerki, która zostawiła w samochodzie tak kosztowną torebkę? Na pewno policjanci tylko pochwalą go za tego rodzaju wyczyn. I kto w takim wypadku mógłby odmówić podania adresu?

Joe słuchał jego słów z rosnącym niepokojem. Próbował wysunąć rozmaite obiekcje, ale argumenty wypadły zupełnie blado.

Zresztą musiał w duszy przyznać, że pomysł był piekielnie zręczny. Trudno mu coś zarzucić. I co gorsze, miał wszelkie szanse powodzenia.

Sposępniał do reszty. Wydać w ręce tych bandytów panienkę, która go wczoraj ocaliła z łap policji? Aby ją zamordowali? Bo co do ich zamiarów nie żywił najmniejszych złudzeń. Wystarczyło zaobserwować wyraz ich oczu, gdy o niej mówili! Nie! Nie pójdzie na to. Usiłował się jeszcze wykręcać. Odczuwał po prostu strach przed włożeniem policji w oczy. Mają go przecież w planie. Przymkną w ulu i tyle wyjdzie z całego pomysłu. Dawson jednak zbył jego zastrzeżenia śmiechem.

- Zamknąć za to, że pragnie dać wzór uczciwości miejscowym szoferom, oddając zostawioną w taksówce torebkę? - Nie plećcie głupstw. Taka historia nie mogłaby się zdarzyć nawet w Chicago.

Dwadzieścia pięć dolarów za kwadransowy spacer bez odrobiny ryzyka to chyba już coś, o czym warto pomyśleć.

Przyparli go do muru. Widział zresztą niepokojące błyski migocące raz po raz w oczach kompanów. Był zrozpaczony. Czy naprawdę nie ma innego wyjścia?

I nagle wpadła mu do głowy myśl.

- Dobrze - oświadczył, wstając ociężale z krzesła - pojedę do prezydium.

Decyzję tę powitali entuzjastycznie.

- Morowy z was chłop - klepali go po ramionach. - Zobaczycie. Jeszcze niejedyn raz zrobicie przy nas kupę forsy...

- Poczekajcie - myślał z determinacją, tarmosząc starter swego samochodu. - I ja mam swój pomysł. Wynalazek za wynalazek. Zobaczymy, który z nich okaże się lepszy.

Sierżant Stevens aż przetarł oczy, gdy ujrzał przed sobą przybysza.

- Wszelki duch Pana Boga chwali! Toż to mister Joe Kuternoga we własnej osobie? I przychodzi dobrowolnie, bez żadnej eskorty do jaskini lwa?

- Chciałbym, panie sierżancie, porozmawiać z dyrektorem Adlerem.

Stevens podskoczył, wpatrując się w Kuternogę jak w niezwykle, nigdy nie widziany okaz.

- Co? Z dyrektorem Adlerem? Tylko tyle?

- Tak - potwierdził skromnie - i bardzo mi zależy na czasie... Tego było już dla sierżanta za wiele. Żeby pierwszy lepszy opryszek zachowywał się w ten sposób?

- Słuchajcie - - nachylił się nad Kuternogą, zakreślając wskazującym palcem kółko na własnym czole - czy u was wszystko w porządku na stryżku?

- Panie sierżancie - ton Joego stał się błagalny - to naprawdę bardzo poważna sprawa. Chodzi o czyjeś życie. I to nie o jedno...

Stevens zamyślił się. Nalegania Kuternogi zachwiały jego nieustępliwość. Sprawa rzeczywiście musiała być cięższego kalibru, jeżeli Kuternoga ryzykował odwiedzin w prezydium policji, skąd zaledwie parę godzin temu wyrwał się skutek jakiegoś zupełnie niezrozumiałego przypadku.

- Hm... - zawahał się - a czy wystarczyłby komisarz Stilling?

- Nie. Tylko dyrektor Adler. Nikt inny. Niech pan zamelduje, że przychodzę w sprawie miss Barton.

W dwie minuty potem Kuternoga na zwiotczających nagle nogach wśliznął się do gabinetu najwyższego dostojnika policyjnego.

Adler spojrzał na wysuniętą ku sobie torebkę z inicjałami „M.B.”.

- Czy to torebka miss Barton? Ale przecież w takim razie wystarczyłoby...

- Nie - odważył się przerwać Joe. I opowiedział jak umiał najdokładniej przebieg rozmowy „Pod Dobrym Kompanem”.

Adler zafrasował się nie na żarty. Wskazał Joemu fotel stojący przed biurkiem.

Joe przycupnął delikatnie na samym brzeżku, ale i tak niemal nie wierzył własnym zmysłom. On, Joe Kuternoga siedzi w wygodnym fotelu klubowym w gabinecie samego dyrektora policji? Przecież taka niesamowita historia mogła się zdarzyć chyba tylko w jakimś zupełnie nieprawdopodobnym filmie.

Dyrektor nagle spojrzał mu prosto w oczy.

- Ale jak się nazywają ci jegomoście i gdzie ich można znaleźć?

Joe zwiesił głowę.

- Proszę mi wybaczyć panie dyrektorze - bąknął niepewnie - ale nie znam ich prawdziwych adresów. A gdybym nawet znał... Chodzi mi tylko o uratowanie miss Barton, a...

Adler nie nalegał dłużej, wiedząc z doświadczenia, że byłoby to bezskuteczne. Długoletnie stykanie się z przestępcami nauczyło go, że tego rodzaju subtelności w ocenie przez podziemny świat niektórych sytuacji były niekiedy nie do pokonania.

- Hm... a jak sobie właściwie wyobrażacie dalszy ciąg tej sprawy?

- Jeżeli pan dyrektor pozwoli zaniósę im adres miss Barton. Adler nastroszył się podejrzliwie. Czy w tym wszystkim nie tkwi jakaś skomplikowana pułapka?

- Chcecie im podać prawdziwy adres?

- Tak - Joe obmyślił sobie wszystko dokładnie w czasie drogi do prezydium.

- Bo cóż z tego wyniknie, że nie dam im adresu? Wykryją go prędzej czy później. A raczej nawet prędzej. Trafwszy na ślad nie spuszczą z niego nosa, dopóki nie dotrą do celu. A w rezultacie, nie wiedząc kiedy go znajdą, nie można będzie upilnować miss Barton.

Tymczasem jeżeli dzisiaj dostanę adres, przystąpię od razu do dzieła. Aż dygocą z niecierpliwości. Więc powiedzmy jutro nastąpi akcja. W ten sposób łatwiej będzie pan dyrektor mógł przygotować wszystko co potrzeba.

Adler wysłuchał uważnie wywodów Kuternogi. W końcu doszedł do wniosku, że trudno im odmówić logiki.

Rozwagał jeszcze pewne pro i kontra. Wreszcie przystał na wysunięty projekt.

Przez kilkanaście następnych minut omawiali szczegóły.

Po wyjściu Kuternogi Adler zaczął trzeć zapamiętane wierzchem dłoni podbródek.

- Diabli nadali. Dziewczyna ucieka przed osami setki mil, aby akurat wpaść w samo gniazdo szerszeni. Jak pech, to pech.

Nie było jednak czasu na dłuższe rozmyślanie. Należało wydać cały szereg pilnych zarządzeń w związku z zamierzonymi posunięciami.

Chwilę zastanawiał się, czy zawiadomić o tym wszystkim Cossa.

Zrezygnował jednak z zamiaru. I tak nie zdąży przybyć na czas, choćby nawet leciał specjalnym samolotem, po co więc zawracać mu niepotrzebnie głowę?

IX

NAPAD

- Twój narzeczony to bardzo solidny mężczyzna. I dżentelmen w każdym calu - zdecydowali jednogłośnie oboje wujostwo, gdy Mag zwierzyła się im pod największym sekretem z rezultatów rozmowy z dyrektorem Adlerem.

- Zresztą - dorzuciła doktorowa - zwłoka ta na pewno nie wyjdzie na złe twej wyprawie. Kilka dodatkowych przymiarek nie zaszkodzi.

Mag odpowiedziała bladym uśmiechem na entuzjazm ciotki. Nie oponowała jednak przeciwko zamierzonemu podjęciu na nowo wędrówek po świątyniach mody. Pozostawanie w samotności z dokuczliwym rojem trwoźnych myśli o tym, co dzieje się w Fairbanks, było czymś, czego by nie miała chyba sił przetrzymać. Idąc spać dała się nakłonić doktorowi do wzięcia środka nasennego. Noc spędziła względnie dobrze.

Nikt z mieszkańców domu doktorstwa Page nie zauważył niewyraźnych cieni snujących się całą noc po ulicy. Zresztą cienie te nie pragnęły bynajmniej być zauważonymi. Korzystały z każdego załomu muru, z każdej wnęki bramy, by jak najdoskonalej zespolić się z ciemnością.

Gdy mrok nocy ustąpił jasności dnia, cienie przedzierzgnęły się w beztroskich spacerowiczów, rozporządzających nadmiarem czasu. I żaden z nich nie spojrział nawet raz jeden na wytworny front domu doktorstwa Page, choć po to przecież wydeptywali chodniki ulicą Zwycięstwa, by ten bez przerwy obserwować. Ludzie ci jednak zostali specjalnie dobrani i byli zbyt doświadczeni w swym fachu, by mogli dekonspirować się w ten sposób. Ale zauważyli zaraz kilka podejrzanych sylwetek nie bardzo harmonizujących z otoczeniem. I wzięli je dokładnie na oko.

Przed południem doktorowa Page posługiwała się małym dwuosobowym Dodgem. Wspaniały Buick z wygalowanym szoferem za kierownicą służył jedynie do wieczornych wyjazdów, gdy kwestia odpowiedniej reprezentacji była jednocześnie kwestią reklamy gabinetu doktora Page. Nie było jeszcze godziny jedenastej, gdy wyciągnęła Mag z domu. Przewietrzmy się trochę, kochanie. Pogoda jest tak cudna, jakiej nie było od dawna. Zobaczysz jak ci dobrze zrobi na twój ból głowy. A odwiedziny w salonie Wortha też nie zaszkodzą twojej wyprawie.

Oszołomiona jeszcze narkotycznym snem Mag nie opierała się ciotce.

Pogoda zresztą naprawdę była wspaniała. Pozbawione najmniejszej chmurki niebo przypominało jednostajnym błękitem kolorowe widokówki.

Mały Dodge stał jak zawsze przed podjazdem, zwracając uwagę przechodniów szmaragdowym kolorem karoserii.

Ani Mag, ani doktorowa nie zauważyły zainteresowania, jakie obudziło ich wyjście w dwóch krańcowo odmiennych zespołach, rozproszonych wśród niewinnych przechodniów. Niejedna ręka dotknęła chłodnej stali rewolweru. Ale na zewnątrz wszystko wyglądało zupełnie zwyczajnie.

Doktorowa zasiadła przy kierownicy, usiłując w głębokim skupieniu, zresztą najzupełniej bezskutecznie, przypomnieć sobie, gdzie schowała przed wyjściem klucz do sejfów.

Historia z sejfem powtarzała się dość często i ślusarz w najbliższej położonej fabryce kas pancernych miał z tego tytułu zapewniony uboczny dochód.

Motor wbrew zwyczajowi nie demonstrował dziś żadnych kaprysów. Wystarczył jeden ruch starteru, by zaskoczył od razu. Ruszyły cicho w kierunku czwartej Alei.

Doktorowa wciąż rozmyślała o nieszczęsnym kluczyku. I z góry zżymała się na myśl o ironicznym wyrazie twarzy męża, gdy mu o tym zakomunikuje. Doktor Page przepadał wprost za takimi momentami drobnego triumfu. Mag, która jeszcze nie zdołała całkowicie otrzeźwieć po dawce narkotyku, kiwała sennie głową w takt miękkiego kołysania resorów.

Na ulicy Zwycięstwa panował zupełny spokój. Dojeżdżały właśnie do skrzyżowania. Olbrzymi ciężarowy wóz rycząc ogłuszająco klaksonem, zatarasował wylot ulicy.

Doktorowa nacisnęła hamulec. Z tyłu dobiegło głośne prychanie motoru pracującego przy otwartym tłumiku.

Ładna historia - pomyślała szczerze oburzona doktorowa żeby w biały dzień na naszej ulicy trzymać otwarty tłumik? Policja powinna by...

Nie zdołała jednak skończyć myśli, gdyż w tej samej chwili coś uderzyło z impetem o bok samochodu, aż podskoczył w przeciwną stronę, piszcząc oponami po gładkim asfalcie.

Wstrząs był tak silny, że doktorowa wypadła na jezdnię. Jacyś ludzie skotłowali się koło wozu wyciągając Mag i starając się prowadzić ją szybko w kierunku stojącej tuż obok wielkiej czarnej limuzyny, o oknach szczelnie zasłoniętych firankami. Mag uczepliła się kurczowo karoserii, wzywając rozpaczliwym krzykiem ratunku.

Opór niewiele pomógł. Brutalne szarpnięcie pozbawiło ją punktu oporu. Coraz bliżej widziała przed sobą ciemne wnętrze limuzyny.

- Ratunku! - walczyła już resztkami sił.

Coś miękkiego spadło jej na wargi, pozbawiając oddechu.

Odgłos szybkich i licznych kroków na chodniku wskazywał, że przechodnie rozbiegają się na wszystkie strony, jak zawsze zresztą w tego rodzaju wypadkach. Mieszkańcy Chicago mieli zbyt wiele doświadczenia, by nie wiedzieć, że asystowanie przy takich historiach nie wszystkim wychodzi na zdrowie.

Mag straciła już niemal nadzieję, nie przestawała jednak szamotać się z napastnikami. Jeszcze chwila i zamkną się za nią drzwiczki tajemniczej limuzyny. Ale chwila ta nie nadeszła.

Liczba ruchliwych sylwetek nagle wzrosła i akcja pomiędzy małym Dodgiem a wielką limuzyną przestała być skoordynowana. Powstało zamieszanie. Rozległy się gлуche odgłosy uderzeń. Buchnęły wściekle wrzaski. Wokół Mag zakotłowało się. Wędrówka ku otwartemu wnętrzu limuzyny ustała. Ktoś, tuż obok Mag jęknął, zakańczając ten jęk seria skomplikowanych przekleństw.

I nagle przez ulicę przetoczył się basowy grzmot. Zaraz potem niby echo huknęło jeszcze raz. Teraz jak dźwięk rzuconego na blachę grochu, zaszczekało przytłumione

brzmienie broni automatycznej. Opasujące ciało Mag twarde ramiona zwiotczały. Na wpół przytomna, pozbawiona nagle podpory, dziewczyna osunęła się powoli na gładką powierzchnię jezdni. Tamująca ulicę olbrzymia ciężarówka nieprawdopodobnie szybkim zrywem ruszyła naprzód, niknąc za zakrętem.

Przeciągłe wycie policyjnych syren rosło z każdą sekundą.

Wielkie wozy nadjechały całym pędem, zatrzymując się za rogiem ulicy Zwycięstwa.

Na jezdni strzelił olbrzymi słup ognia. Powietrzem wstrząsnął ogłuszający wybuch. Z cienkim brzękiem posypały się odłamki szyb. Potem wszystko ucichło.

Gdy Mag otworzyła oczy, ujrzała zafrasowane oblicze dyrektora Adlera.

- Jak się pani czuje? - zapytał.

Przemagając wysiłkiem woli bezwład, zdołała wyjąkać kilka uspokajających słów.

- To dobrze - rozpromienił się - bo choć doktor Ballow zapewniał mnie już od pół godziny, że wszystko w porządku...

Dopiero teraz dostrzegła pękatą postać w białym fartuchu, manipulującą na gumowej serwecie jakimiś metalowymi przedmiotami.

-... Więcej jednak ufam oświadczeniom osób bezpośrednio zainteresowanych - zakończył Adler.

- Proszę to wypić - pachnące jodoformem palce podsunęły do ust Mag szklanekę do połowy napełnioną brunatnym płynem.

Usłuchała bez sprzeciwu, choć napój odznaczał się wyjątkowo przykrym smakiem.

- Co z ciocią? - zapytała niespokojnie.

- Śpi - pospieszył z odpowiedzią Adler. - Wyszła z całej tej awantury bez szwanku poza lekkim wstrząsem nerwowym. Doktor Page siedzi przy niej. Zaglądał tu przed chwilą, aby sprawdzić stan pani zdrowia.

Mag przez chwilę trwała w milczeniu. Pod czaszką wzbierało rytmiczne pulsowanie.

- A... a tamci? - spojrzała pytająco na Adlera. Dyrektor sposepniał.

Cóż - wsunął ręce do kieszeni marynarki, oglądając ponuro deseń leżącego przed łóżkiem dywanika - mecz przegrany. Jeden do dwóch. Dwóch naszych chłopców i jeden bandyta. Reszta zdołała uciec. Któż mógł przewidzieć, że posiadają bojowe granaty? Ale - cedził przez zaciśnięte zęby - już my ich znajdziemy. Choćby przyszło nawet wykopać każdego oddzielnie spod ziemi.

Ale stosunek punktów na korzyść bandytów zwiększył się jeszcze tego samego dnia. Przechodzący wieczorem przez ulicę Fabryczną patrol policyjny, znalazł rozciągniętą na

chodniku nieruchomą postać mężczyzny. W świetle reflektorów ręcznych latarek mdło połyskiwała wielka kałuża krwi.

Gdy go podnoszono, by ułożyć na noszach, Joe Kuternoga dawał jeszcze słabe znaki życia.

- Tak - szepnął niewyraźnie - zamiast... ceduły... naszej giełdy... wystarczy... Rollison... - po czym umilkł.

Policjanci nie zwrócili uwagi na te słowa uważając je za bredzenie konającego. A przecież posiadały one niezmiernie doniosłe znaczenie...

X

CIEŃ WILKA

Prokurator Wilmers nerwowo przerzucił plik raportów. Napad na pociąg w okolicy Hultiny. Obrabowanie banku Farmerów. Zamordowanie na autostradzie jubilera z Nenany. Napad na kasę fabryki Trustu Przetwórczego w Holloway. Zastrzelenie policjanta niespełna sto jardów od granic Fairbanksu. Napady. Morderstwa. Zbrodnie.

Otóż to - jęknął, odsuwając papiery gwałtownym ruchem ręki, aż się rozsypały po całym biurku - zupełnie tak samo, jak w czasie tamtych czarnych dni.

- Prawie tak samo - sprostował obojętnym tonem Harry.

Prokurator przesunął spojrzeniem po niedbale rozpartej w fotelu postaci Cossa, po czym utkwiał zamyślane spojrzenie w mroku zalegającym za oknami.

- Wilk redivivus?

Harry wzruszył ramionami.

- Nie, Wilk odszedł na zawsze i już nie powróci nigdy. Ale został jego cień. Zostało wilcze stado, którego nie zdołaliśmy zniszczyć doszczętnie. Przetrzebiliśmy je tylko i rozproszyliśmy po świecie. A teraz znowu wróciło. I z każdym dniem urasta w siłę.

- A czy wiecie pułkowniku, kto nimi dowodzi?

Harry strzepnął jakiś niewidzialny pyłek z kłapy munduru.

- Nie. Oczywiście, że nie wiem. Inaczej dawno by siedział pod kluczem - uśmiechnął się trochę zagadkowo - ale... domyślam się...

- Kto?

Harry chwilę milczał.

- Cóż... - zaczął wreszcie powoli - człowiek, który w biały dzień rzucał granatami na pryncypialnej ulicy Chicago i który potrafił wyśliznąć się z rąk czterdziestu uzbrojonych po zęby policjantów. A na dobitkę pomimo zarządzanej w mieście obławy znalazł czas i

sposobność, by w parę godzin później dokonać osobistych porachunków niemal tuż pod nosem policyjnego patrolu. To chyba wystarczy?

Palce prokuratora nerwowo zabębniły po biurku.

- Aż nadto, jak na wasze wymagania. Macie na myśli Dawsona Drugiego?

- Tak. Ostatnio zresztą w czasie pobytu na naszym terytorium miał dźwięczne nazwisko „Five”. Ale to oczywiście nie ma najmniejszego znaczenia. Bo w zanadru posiada jeszcze tuzin innych nie mniej dźwięcznych nazwisk, których używa w miarę potrzeby. Gdy jednak będzie wisiał kiedykolwiek, nazwisko umieszczone w wyroku skazującym będzie brzmiało zupełnie dźwięcznie i bardzo skromnie. Ale wątpię, by kiedykolwiek miało dojść do wyroku skazującego...

- Jak to? - Wilmers był wyraźnie zdumiony - przypuszczacie, że Dawson wiecznie będzie grasował bezkarnie?

Wargi Harry'ego drgnęły dziwnie ponurym uśmiechem.

- Ależ nic podobnego. Źle mnie zrozumieliście prokuratorze. Wprost przeciwnie. Jestem zupełnie pewien, że kariera Dawsona skończy się w najbliższym czasie. Nawet wtedy... jeżeli ostatnich posunięć wypadnie już dokonać mojemu zastępcy. Wiem jednak, że Dawson nie da się wziąć żywcem. Zresztą nie ma nic do stracenia. Jak dotąd posiada na osobistym koncie życie czworga ludzi...

- Czworga?

- Tak. Morderstwo młynarki w Davis, to jego własnoręczna robota.

- Krótko mówiąc, osobnik nie mniej niebezpieczny od Wilka?

- Znacznie mniej niebezpieczny - zaoponował Harry - ten nie gra podwójnej roli. Choć - zawahał się, splatając palce obu rąk - no cóż... wiecie sami dobrze, prokuratorze, że Wilk pozostawił spadek nie tylko w lesie. A to utrudnia nasze zadanie. Okropnie utrudnia - powtórzył.

Prokurator pokiwał w milczeniu głową. I jemu spadek po Wilku raz po raz rzucał kamienie pod nogi.

Harry pracował gorączkowo, wiążąc misternie oczka sieci. Nie było czasu do stracenia. Banda Wilka pożerała coraz to nowe ofiary.

W mroku późnego wieczoru przesuwiała się chyłkiem nikła postać w kierunku farmy „Forwards”. Tajemniczy przybysz nie zmierzał jednak ku bramie. Prześlizgując się ostrożnie pomiędzy krzakami gęstego zagajnika, znalazł się wreszcie na wprost muru okalającego tylne zabudowania farmy.

Rozejrzał się bacznie na wszystkie strony. Nie dowierzając wzrokowi znieruchomiał, nadsluchując, czy gdzieś w pobliżu nie odezwie się jakikolwiek szelest, wskazujący na obecność niepożądanych świadków. Nie miał prawa zaniedbywać żadnej ostrożności. Bo od tego, czy odwiedziny te pozostaną tajemnicą zależało nie tylko jego własne życie.

W grze do jakiej przystąpił, jeden fałszywy krok mógł kosztować całe morze krwi. Wiedział o tym niestety aż nadto dobrze. I nie tylko wiedział. Miał przed oczyma szereg tragicznych, przekonujących dowodów.

Minęła dłuższa chwila wyczekiwania. Wokół panowała niczym nie zmacona cisza. Siniejąca w mroku płaszczyzna śniegu była pusta. Gałęzie trwały w sennym bezruchu.

Odetchnął z ulgą. Ale na wszelki wypadek przeczekał jeszcze pewien czas, zanim zdecydował się podjąć dalszą wędrówkę.

Wreszcie ruszył dalej. Zamazana plama pełzającego na śniegu człowieka cał po calu posuwała się naprzód. To był najbardziej ryzykowny odcinek drogi. Kilkudziesięciojardowa pustka pozbawiona najmniejszej choćby osłony.

Jeszcze kilka ostrożnych skrętów całego ciała i droga była przebyta. Pozostał jeszcze wysoki, niemal zupełnie gładki mur. Ale przybysz nie zwykł zatrzymywać się bezradnie przed tego rodzaju przeszkodami. Palce jego wymacywały z niezachwianą pewnością jakieś niewidoczne występy cegieł. Szara plama zaczęła się piąć ku górze. Odpoczął króciutką chwilę na krawędzi zaglądając na drugą stronę. Wędrówka jednak nie była taka łatwa, gdyż łapał mroźne powietrze szeroko otwartymi ustami, ciężko dysząc.

Tuż pod murem zamajaczały cienie olbrzymich psów. Przybysz nie stropił się jednak. Jeden lekki skok i stopy jego zapadły się w głęboki śnieg. Był już wewnątrz murów farmy.

Psy obwąchały uważnie nocnego gościa, po czym odbiegły obojętnie. Długotrwała tresura nauczyła je, jak mają się zachowywać w tego rodzaju wypadkach.

Drzemiący w hallu Johnson nie ocknął się, gdy tuż obok niego przesunęła się bezszelestnie miękko stąpająca postać. A przecież pomimo swego wieku Johnson odznaczał się nadzwyczajną wprost czujnością. Twierdził nie bez podstaw, że wystarczy odgłos spadającego liścia, żeby go wyrwać z najgłębszego snu.

Ale tym razem się nie obudził.

Bo ten, który przemknął przez hall, sprawiał jeszcze mniej szelestu niż spadający wśród nocy z drzewa zeschnięty liść.

Harry patrzył z dezaprobatą na łachmany zwisające ze szczupłych ramion gościa, który wśliznął się do jego gabinetu.

- Coś zrobił z futrem?

Niedawno, zniechęcony ustawicznym znikaniem sum asygnowanych na ubranie Jaspera Carrona, osobiście kupił mu futrzaną kurtkę. I to nie dalej, jak kilka dni temu. A teraz znowu te same, trzymające się na słowo honoru strzępy. W taki mróz brak właściwego ubrania mógł zaważyć na szali wielu poważnych spraw.

Jasper wydał wargi, bynajmniej nie zakłopotany pytaniem. Był na nie przygotowany od dawna.

- Zgubiłem - oświadczył z solenną pewnością. Harry wzruszył ramionami.

- Zobaczysz, spiorę cię kiedyś tak, że cię rodzona matka nie pozna! - zagroził mu bez przekonania.

Jasper nie przejął się bynajmniej pogroźką.

- Cóż - roześmiał się cicho - matka jest przyzwyczajona do widoku siniaków na moim ciele.

- Zmarzłeś?

Chłopiec pokiwał niezdecydowanie głową.

- Czekaj, zaraz dostaniesz herbaty z rumem.

- Wolałbym bez herbaty...

Wypił jednak posłusznie kubek parującej herbaty.

Zresztą również i wtedy, gdy był poza zasięgiem czyjejkolwiek kontroli, nie dotknął nigdy nie rozcieńzonego alkoholu. Bo tak kazał pan pułkownik Harry Coss. A każde słowo Harry'ego było dla Jaspera niemal równoznaczne z przykazaniem boskim. I nawet na myśl by mu nie przyszło, aby nie usłuchać. Tylko w kwestii futra wyłamywał się z tej zasady. Ale tu działały pewne szczególne okoliczności, o których nie śmiał mówić Harry'emu.

Harry przeczekał w milczeniu aż Jasper wypił gorący płyn, obserwując zsiniałą z mrozu twarz chłopca. Wiedział dobrze, jak długą i niebezpieczną drogę musiał przebyć, zanim dotarł do farmy.

Potem przystąpili do omawiania sprawy. Pochylone blisko ku sobie głowy i zniżone do szeptu głosy robiły dziwne wrażenie w farmie, strzeżonej przez wysokie mury, wiernego butlera i psy. Obydwaj wiedzieli dobrze, że w grze, którą prowadzili za przegraną płaciło się życiem. A najmniejsza niestrożność mogła się równać przegranej.

W pewnym momencie Harry aż zacisnął pięści.

- Jesteś tego pewien? - zapytał stłumionym głosem. Chłopiec obruszył się.

- A niby jak? Chciałoby się wędrować taki kawał, by strzepić gębę po próżnicy? Sami chyba wiecie, że słowo Jaspera Carrona to mur - napuszył dumnie chuderławą postać!

- A gdzie i kiedy?

Jasper rozłożył bezradnie ramiona.

- Tego nie wiem. Tamci zresztą też nie wiedzą. Ani jeden. Tylko sam boss. Wzywa wszystkich na jakiś dzień, a później zbiera i taszczy dziesiątki mil do siebie tylko uprzednio wiadomego miejsca. Wszystko robi tak samo, jak nieboszczyk... W każdym razie jutro. Inaczej by nie wyznaczył spotkania. Jutro już będę wiedział. Ale wtedy za późno. Żebym nawet miał skrzydła, nie dałbym rady dolecieć na czas.

Harry zagryzł wargi. Tak, system Wilka był jeszcze niezawodny. A Dawson nie tylko przyswoił go sobie jak najdokładniej, ale bodaj czy nawet nie ulepszył. Ale przyjdzie w końcu taka chwila... Zakomunikował Jasperowi wskazówki na najbliższy okres czasu. Powtarzał każde zdanie kilka razy, chcąc je wbić głęboko w mózg chłopca. Od dokładności wykonania głęboko przemyślanych rozkazów zależało wszystko. Aż się w końcu chłopiec zniecierpliwił.

- Dobra, już dobra - machnął lekceważąco ręką. - Czy to mam głowę dziurawą jak sito, że mi tak wkładacie łopatą? Przecież to nie pierwszozna.

Zniknął równie bezszelestnie, jak przyszedł.

Harry, tłumiąc westchnienie, wyciągnął z szafy futrzaną czapkę. A później sprawdził dokładnie działanie swego rewolweru. Czuł się piekielnie zmęczony, a nie było mu sądzone spędzić nadchodzącej nocy w łóżku. Nie pierwszy zresztą raz w tym ciężkim okresie walki i na pewno nie ostatni. Najgorzej, że sprawa raz po raz wyslizgiwała się z rąk. Oczka sieci rwały się jak pajęczne nici. I znów trzeba było zaczynać od początku. A tymczasem lała się krew i padały trupy pomordowanych przez bandę Wilka ofiar.

Lekki skrzyp schodów obudził Johnsona.

- Oo - butler przecierał zaspane oczy - panicz znowu wyjeżdża?

Wargi Harry'ego drgnęły w zrezygnowanym uśmiechu.

- Cóż robić, stary - taki widocznie mój los.

Całą drogę pędził, wyciskając z motoru maksimum szybkości.

Nie było czasu do stracenia. Już i tak stracili go wiele. A tamci potrafili wykorzystać każdą podarowaną sekundę.

Pomimo wczesnego świtu, przyjazd Harry'ego do Curry wprowadził w ożywiony ruch sporo osób piastujących urzędowe godności.

Dyspozytor podbiegł do naczelnika stacji i obaj radzili raz po raz, zerkając na Harry'ego. Ale niewiele uradzili. Sytuacja była diabelnie zagmatwana. Naczelnik miejscowej policji stękał bezradnie.

- Ależ skąd mam wziąć tych ludzi, pułkownika? Zgodnie z waszym telefonogramem obsadziłem ekspres, dałem kilku policjantów na osobowy tysiąc cztery. Na tym jednak

koniec. Z pustego i Salomon nie naleje - podtykał Harry'emu oprawioną w ceratę książkę ewidencyjną - sami sprawdźcie, że ani rusz. Zresztą przecież poczta ma swoich konwojentów, więc może oni?

Dyrektor obwodu pocztowego załamał rękę.

- Konwojentów? Przecież w każdym ambulansie pocztowym jedzie uzbrojony urzędnik... A wozy te chodzą na naszej linii niemal bez przerwy. Czy przynajmniej pewny pan jest nadinspektorze, że akurat na ten pociąg dokonają napadu?

Harry pokiwał niezdecydowanie głową.

- Niczego nie jestem pewien. Wiem tylko, że dzisiaj.

- Ba - naczelnik poczty biegał w zdenerwowaniu po swoim gabinecie - łatwo powiedzieć: dzisiaj! A wiecie ile dzisiaj przechodzi przez Curry pociągów? Dwadzieścia sześć! Całej armii by nie wystarczyło na obsadzenie wszystkich konwojem...

Harry podszedł do dyrektora i kładąc mu rękę na ramieniu, zatrzymał go w miejscu.

- W każdym jedzie cenna przesyłka do Banku Zbożowego Trustu?

- Hm - zawahał się urzędnik. To było oczywiście ścisłą tajemnicą. Skoro jednak pytał nadinspektor policji? Po krótkim namyśle doszedł do wniosku, że nie może odmówić odpowiedzi.

- Pospieszny sto trzynaście. W Curry będzie o siódmej zero trzy, to znaczy - wyjął cebulasty zegarek - akurat za kwadrans. Postój dwie minuty.

- Tak - Harry przysiadł na fotelu - więc przede wszystkim ten pociąg narażony będzie na napad...

- Ooo - spojrzał na niego zaskoczony dyrektor - myślicie, że bandyci wiedzą?

Harry uśmiechnął się lekko.

- Jestem gotów trzymać dziesięć przeciwko jednemu, że nie tylko wiedzą o przesyłce, ale także z jakich banknotów się składa i jak wygląda worek, do którego banknoty włożono...

- W takim razie - zamyślił się dyrektor - no... tak... rzeczywiście. No - zdecydował wreszcie - w takim razie nie pozostaje nic innego, jak obsadzić ambulans dodatkowym konwojentem...

- Co? - spojrzał na niego ze zdumieniem Harry. - Chcecie dyrektorze dać jednego człowieka?

Dyrektor obruszył się. Przede wszystkim nie był przyzwyczajony do tak wczesnych konferencji, a poza tym ustawiczne napady na pocztę załazły mu już mocno za skórę.

A wyście, pułkowniku, myśleli, że dam piętnastu? - zapytał z sarkazmem. - A skąd ich wziąć? Przecież nie urodzę. I tak ten, którego wsadzę na ambulans, będzie wyrwany z własnego biura. Zresztą ambulanse przecież są opancerzone.

Harry wzruszył lekceważąco ramionami.

- Diabła komu przyjdzie z tego pancerza. Czy nie widzieliście, jak wyglądają ambulanse po operacji?

- Rzeczywiście - entuzjazm dyrektora dla wychwalanego przed chwią pancerza nagle zmalął. - Za to człowiek, którego przydzielę do ambulansu, wystarczy za dziesięciu. Pocztmistrz Walley to nie byle kto. Z latarnią drugiego takiego szukać. Raczej zginie, niż da sobie wydrzeć pocztę...

Harry kiwał sceptycznie głową.

- Że zginie, w to bardzo wierzę. Nie rozumiem jednak, w jaki sposób śmierć pocztmistrza ma przeszkodzić bandytom w zrabowaniu przesyłki? Ogarną ich nagle wyrzuty sumienia, czy jak?

Dyrektor był zmęczony tym wszystkim. Opadł na fotel ciężko dysząc. Ostatecznie nerwy ludzkie też mają granice wytrzymałości...

- Więc cóż począć? Macie może inne wyjście?

- Tak - potwierdził krótko Harry - właśnie mam.

Podszedł do dyrektora i nachyliwszy się nad nim, zaczął mu szeptać w ucho.

- Ależ - wykrzyknął przerażony - - przecież to się sprzeciwia przepisom.

- Trudno - Harry był niewzruszony - niech raczej przepisy doznają pewnego szwanku, niżby banda miała połknąć pół miliona.

- Ale - ale - bąknął całkiem zmartwiony dyrektor - kto weźmie za to odpowiedzialność? Za taką historyjkę można nie tylko wylecieć z posady, ale na dobitkę wylądować w kryminale.

- Uspokójcie się dyrektorze. Ja biorę odpowiedzialność za wszelkie skutki.

Dyrektor odetchnął z pewną ulgą. W ten sposób oczywiście sprawa zaczęła wyglądać cokolwiek inaczej. W każdym razie nie jemu groziło złamanie karku w razie jakichś komplikacji. Dacie polecenie na piśmie?

- Tak - Harry usiadł przy biurku i pospiesznie wypełnił wyraźnym pismem ćwiartkę papieru.

- To - wskazał palcem na umieszczoną u góry dokumentu uwagę „ściśle tajne”, nie jest czczą formułką. O treści tego pisma nie powinien nikt wiedzieć poza nami dwoma.

- Nawet obsługa ambulansu?

- Nikt - powtórzył Harry. - A teraz - zerknął na wskazówki swego zegarka - musimy się zabrać galopem do roboty. Mamy zaledwie osiem minut na wszystko.

Głos dyrektora pomimo wszystko lekko drżał, gdy wydawał polecenia podwładnym urzędnikom. Bo przecież, gdyby ktoś nie wtajemniczony zechciał zanalizować jego przygotowania, musiałby dojść do wniosku, że dyrektor zamierza popełnić pospolite przestępstwo.

Najgładziej poszła dyrektorowi rozmowa z Walleyem. Wygłosił krótkie, za to bardzo wzniosłe i naszpikowane bombastycznymi frazesami przemówienie, rojące się od porównań urzędnika ambulansu pocztowego z kapitanem tonącego statku. Przemówienie todziwnym trafem przypominało w ogólnych zarysach pewien ustęp wojennej powieści, którą dyrektor akurat w zeszłym tygodniu przeczytał. Zresztą trudno go było za to winić. Do obowiązków dyrektora w żadnym wypadku nie należało samodzielne komponowanie bohaterkich mów na użytek posyłanych na stracone placówki urzędników pocztowych. Pomimo zawyłych zdań, Walley od razu zrozumiał o co chodzi.

- Napad, to napad - skomentował obojętnie - nie pierwszy i nie ostatni.

Po czym poinformował się, kto jedzie w ambulansie.

Na wiadomość że Carson, doznał wielorakich uczuć. Carson był jego przyjacielem. Chłop poczciwy z kośćmi. Tyle tylko, że już po pierwszej młodości. Pewno, że przyjemnie w krytycznej chwili czuć przy sobie przyjazną duszę. Ale jeżeli chodzi o walkę z bandytami, Walley wolałby mieć pod bokiem jakiegoś bardziej bojowo nastrojonego chłopca. Ale tak czy inaczej, nie było żadnego wyboru. Zdążył jescze opatrzyć swój służbowy karabinek.

- Niech no tylko się posuną te draby - mruknął, wsuwając do zamku magazyn - zębki sobie niemowlęta połamią, zanim zdołają rozgryźć naszą pocztę.

Maszynista pociągu numer sto trzysta był szczerze oburzony, gdy dyżurny przetrzymał na stacji Curry jego pociąg zamiast dwie, okrągłe osiem minut. Wyżalił się swemu pomocnikowi, stopniując przekleństwa aż do dziesiątej potęgi. Pomocnik jednak nie przejmował się ani trochę, kwitując żale szefa ziewaniem na całe gardło.

- Dużo was to obchodzi. Przecież on odpowiada za spóźnienie, a nie wy.

Maszynista wzruszył ramionami. Nie warto strzępić języka na rozmowy z takim szczeniakiem, który nie potrafi zrozumieć, że Knox zwykł prowadzić „swoje” pociągi z dokładnością do minuty. Kwestia zawodowego prestiżu po prostu, a nie jakieś tam odpowiedzialności.

- Całe to młode pokolenie w ogóle do niczego - zdecydował wreszcie, naciskając dźwignię na widok podnoszącego się ku górze ramienia semaforu. - A spóźnienie i tak nadrobi się w czasie drogi.

XI

PRZYSIĘGA POCZMISTRZA WALLEYA

Powycinane wybuchem w dziwaczne wzory płyty stalowego obicia zwisały luźno na ścianach ambulansu pocztowego, uderzając z blaszanym chrzęstem o deski. Wewnątrz wagonu panował szary półmrok.

Urzędnik pocztowy z trudem podniósł nabrzmiałe opuchlizną powieki, ogarniając na wpół przytomnym spojrzeniem znajome sprzęty. W mózgu panował chaos.

Nie bardzo potrafił sobie zdać sprawę z tego, gdzie się znajduje. Przed oczyma wirowały gęstym korowodem ogniste iskierki. Minęła dłuższa chwila zanim ustąpiły, pozwalając rozróżnić poszczególne przedmioty. Tak - wodził wzrokiem wokoło - szafka rozdzielcza na listy, zakratowane okienko i wreszcie obramowana wąskimi liniami czarnego drzewa mapa Alaski, upstrzona rzymskimi cyframi. Niewątpliwie ambulans. Pomimo mocno przyćmionej świadomości nie mógł nie poznać tego otoczenia, w którym spędził lwią część swego życia.

Poruszył kilkakrotnie powiekami, usiłując z nich spędzić niezrozumiałą ociążałość. Widocznie zasnął, ukołysany monotonnym stukotem kół. Zdarzało mu się to zresztą nieraz. Nic dziwnego. Dawno już przekroczył ostatnie granice młodości, pozwalającej na całonocne czuwanie w czasie jednostajnych podróży. Kontury otaczających go przedmiotów rysowały się coraz wyraźniej w jego świadomości. Coś w wyglądzie przedziału nie było w porządku. Dlaczego na przykład wysokie krzesło przed szafką leżało na podłodze? Przecież było przyśrubowane. I te czarne rysy pęknięć na matowej szybie okna? W ogóle utrzymywany zazwyczaj w pedantycznej czystości przedział pocztowy, wyglądał jakby przez niego przeszedł huragan.

- Oooo - drgnął gwałtownie, wytrzeszczając ze zdumieniem oczy. Teraz dopiero dojrzał podłużny, zwiotczały kształt, przewalający się po zakurzonej podłodze w takt chybotania wagonu.

- Walley? - zmarszczył czoło usiłując rozwikłać jakoś z sensem ten niezwykły widok. - Czyżby upił się do nieprzytomności?

- W głowie Carsona huczało jak w młynie. Miał wrażenie, że niesamowita burza szaleje w ciasnych ścianach obolałej czaszki, chcąc ją rozsadzić na drobne kawałki. Myśli pełzły leniwie, niby zanurzone w gęstej, obezwładniającej cieczy.

Nagle z jasnością błyskawicy zaczęły się przedzierać poprzez mgłę spowijającą gęstymi tumanami mózg, wspomnienia tego, co zaszło przed zapadnięciem w mrok nieświadomości. Niespodziewany postój w lesie... alarmowy, docierający do głębi nerwów gwizd lokomotywy. Grali wtedy w karty. Na dźwięk sygnału zerwali się jednocześnie z krzesła podbiegając pospiesznie ku oknu. Czyżby jakaś katastrofa? To było gorsze niż katastrofa. Odsunawszy połówkę matowej szyby, ujrzeli mrozący krew w żyłach widok. Dziesiątki ciemnych postaci wyłoniło się z gęstwiny lasu i biegło z bronią gotową do strzału w stronę pociągu. Nie potrzebowali zbyt wiele czasu by zrozumieć, jakie znaczenie ma ta nieproszona wizyta. Napad bandytów oczywiście. Przypomniawszy sobie nieprzyjemne drzenie palców w chwili, gdy sięgał do stalowego rygla, by zamknąć drzwi ambulansu. Cóż, nie był już młodzikiem, dla którego podobne historie stanowią wymarzone okazje do rozładowania energii życiowej. A poza tym dopiero teraz pierwszy raz w życiu zetknął się z tym, co dotychczas znał tylko z opowiadań.

Potem zagrzmiała nagle strzelanina. Kule grzechotały jak grad po opancerzonych ścianach ambulansu. Carson odsunął się pospiesznie od okna, zerkając niepewnie na Walleya. Ten nie wyglądał wcale na przejętego.

Uszy do góry, stary - zawołał różnym głosem, sięgając z niefrasobliwą miną po karabinek. - Siedzimy tu jak w fortecy. - Gwizdał nawet wesoło, pociągając raz po raz za cyngiel. Uważał pewno to wszystko, co się rozgrywało, za coś w rodzaju zabawy.

- Nie dadzą rady - uspokajał wyraźnie zdenerwowanego Carsona - zobaczysz, połamią na nas zęby. Lada chwila nadjedzie pomoc.

Bolesne westchnienie wydarło się z piersi Carsona, goniącego wzrokiem za wędrówką bezwładnego kształtu po podłodze.

- A jakże - rozmyślał dalej - nie dali. - Strzelanina zaczęła się przeciągać. Dotychczas ani jedna kula nie wpadła do wnętrza wagonu. Carson nabierał otuchy. Rzeczywiście wagon stanowił coś w rodzaju fortecy. I ktoś wreszcie musi w końcu usłyszeć kanonadę i uwolnić pociąg z opresji. Nic nie wróżyło tragicznego końca. I nagle ten potworny wstrząs w chwili, gdy już miał nadzieję, że wszystko rozejdzie się po kościach. Ogłuszający huk i krwawy snop płomieni. A potem zarejestrowane ostatnim ułamkiem świadomości uczucie niepowstrzymanego pędu w kierunku twardych desek ściany. Okropny, szarpiący całym ciałem ból od uderzenia. Tego uderzenia nie zapomni na pewno do końca życia, jak długo by ono miało trwać. Wreszcie ogarniająca miękka, kojąca falą, ciemność i cisza.

Zacisnąwszy zęby spróbował pokonać drętwołę. Jeden ruch i będzie już na podłodze. Doczołga się jakoś. Coś go przytrzymało na miejscu. Spojrzał zdumiony w dół, w kierunku

swej piersi. Co to? Dopiero teraz zauważył, że jest mocno przytroczony do krzesła. Niemożność ruchów nie pochodziła wyłącznie z osłabienia organizmu. Elastyczny rzemień opasywał całe jego ciało.

Naprężywszy mięśnie, szarpnął pętami. Nie ustąpiły. Cienki rzemień wpił się boleśnie w potłuczone ciało. Zacisnął w desperacji szczęki i spróbował jeszcze raz. Co tam, niech boli, byle tylko mógł podejść do zwłok. Wysiłek jednak nie dał żadnego rezultatu. Tylko pęta w paru miejscach przerzwały skórę rąk. Po dłuższej chwili rozpaczliwej walki z więzami, zdał sobie wreszcie sprawę, że nie potrafi ich rozluźnić ani na ułamek cała.

Siedział osowiały, nie odrywając oczu od doczesnych szczątków przyjaciela. Zaczęła go opanowywać coraz ostrzejsza rozpacz. Kiedyż wreszcie przybędą na jakąś stację i skończy się ta męka bezsilności? Wsłuchiwał się tęsknie w stuk kół po szynach. Niestety, nic nie wskazywało na to, by mieli zwalniać. Przeciwnie, pociąg przyspieszał wciąż biegu. W czasie niezliczonych wędrówek odbytych w ambulansie ucho jego wyćwiczyło się zbyt dobrze, by mógł się mylić pod tym względem. Nie, na pewno nie dojeżdżali jeszcze do żadnego przystanku.

Nagle drgnął, otwierając oczy. Jakiś obcy dźwięk wdarł się w hałas pędzącego pociągu.

Co to? - wytrzeszczył oczy. Coś, jakby słaby, ledwie dosłyszalny głos ludzki, rozległ się w przeciwnym kącie wagonu, dokąd zawędrowało ciało Walleya.

Pośród zagęszczonego pod ścianą mroku szarzała nieruchoma plama twarzy Walleya. Wpatrywał się w nią jak urzeczony. Minęły chyba całe wieki niepewności, zanim sztywną maskę śmierci ożywiły szczeliny otwieranych oczu. Trwało to zaledwie drobny ułamek sekundy. Radosny fakt nie zdążył jeszcze dotrzeć do świadomości Carsona, gdy powieki leżącego opadły z powrotem.

Serce w piersi Carsona забиło mocniejszym rytmem. Doznał jakby olśnienia. Więc Walley żył. A już był pewien śmierci przyjaciela.

Odetchnął głęboko.

- Jack! - ryknął na całe gardło, zwijając się w krępujących ciało pętach - żyjesz?

Wreszcie po nieruchomych dotąd sino bladych wargach przebiegało lekkie drżenie.

- Co... co, się stało?... - wypłynął pomiędzy nich słaby, przerywany szept - kto... mnie... woła?

Oczy Walleya otworzyły się znowu, tym razem już na dobre. Jego dłonie szurały przez kilkanaście sekund po podłodze, po czym oparł się na nich, usiłując powstać. Ruchy były niezdarne, jakby człowieka pogrążonego w głębokim śnie. Dwa razy opadł ciężko z

powrotem na deski podłogi, zanim zdołał w końcu przybrać pozycję siedzącą. Oparł ociężale plecy o ścianę. Zmętniałe oczy patrzyły nieruchomo w przestrzeń. Wreszcie źrenice zabłyśły słabym odbłaskiem powracającej świadomości.

Splunął przed siebie brunatnoczerwoną, pełną kurzu i krwi śliną.

- Ażeby to... - zaklął chrapliwym głosem, odwracając powoli głowę w stronę Carsona - rozgryźli nas jak orzeszek. Ładna „forteca” - zerknął na jasny prostokąt wyrwany w miejscu gdzie przedtem znajdowały się solidne, obite stałą drzwi. - Wystarczył jeden ładunek dynamitu.

- Co tam - powiedział troskliwie Carson - żyjesz przecież...

- To właśnie najgorsze, że żyję - zwiesił ponuro głowę Walley. - Żyjemy obydwaj, a tamci połknęli przesyłkę jak gdyby nigdy nic.

Carson wzruszył niecierpliwie ramionami, o ile pozwoliły mu na ten odruch ciasne więzy.

- Bredzisz stary - zaprzeczył perswadującym tonem - walczyliśmy przecież do ostatniej chwili. Cóż mieliśmy robić, skoro ta ich bomba łupnęła nas tak, że straciliśmy przytomność? Niewiele brakowało abyśmy obydwaj przenieśli się na tamten świat. Jesteśmy zupełnie w porządku. Całkiem w porządku - powtórzył ze szczerym przekonaniem. Obserwował ukradkiem zafrasowaną minę Walleya. Czego się martwi ten dzieciuch zamiast dziękować opatrności za cudowne ocalenie? Nie bardzo rozumiał skrupułów przyjaciela. O co mu niby chodzi? Zrobili wszystko, co mogli. Na pewno wszyscy będą tego samego zdania.

Walley podniósł z wyraźnym wysiłkiem rękę i wsunął rozczapierzone palce w zmierzwioną czuprynę.

- Tak mówisz? - zamyślił się głęboko. - Ano - mruknął po dłuższej chwili milczenia - może masz i rację. Nie nasza wina. Rzeczywiście w czasie rabunku poczty mało różniliśmy się od nieboszczyków.

Jego jeszcze wciąż bladą, zamazaną krwią i kurzem twarz rozjaśniał uśmiech szczerzej ulgi.

- No widzisz, stary - ucieszył się Carson - zaczynasz wreszcie gadać po ludzku. Nie ma nad czym łamać sobie głowy. Powinniśmy podziękować Bogu, że uszliśmy z życiem. Banda Wilka rzadko zostawiała żywych na swej drodze...

- O - drgnął gwałtownie Walley - Wilka? Carson wyduł wargi.

- Ba - mruknął przez zęby - naturalnie, że Wilka. A tyś co myślał?

Walley pokiwał głową.

- Tak... Wilk... Na pewno on. Przywarował tak długo, że wszyscy już odetchnęli będąc pewni, że go diabli wzięli... Teraz znowu wszystko zaczęło się od początku, naostrzył jeszcze sobie pazury w czasie urlopu, stał się - rozmyślał na głos - zmorą naszego kraju. Nikt nie zna ani godziny, w której capną go jego zęby... - zamilkł, wpadając w głęboką zadumę. - Skoro policja nie może sobie dać z nim rady - zaczął znowu - powinniśmy sami...

- My, to znaczy kto? - spojrzał na niego ze zdumieniem Carson.

- No, obywatele, oczywiście - wyjaśnił niecierpliwie - trzeba wreszcie oczyścić kraj z tej hańby.

Carson był coraz bardziej zdumiony. W głosie Walleya zwykle nastrojonego kpiarsko brzmiała solenna powaga.

- Cóż ci się znowu dzisiaj zebrało? Przemawiasz jak profesor... - zaczął żartobliwie.

- Daj spokój - zachnął się Walley - nie mam nastroju do żartów. Pomyśl sam; obywatele powierzają swoje pieniądze poczcie. Zdawałoby się - najpewniejsza pod słońcem sprawa... Tymczasem przychodzi Wilk i zabiera przesyłki jak swoje. Ludzie przyjeżdżają z dolnego kraju przywożąc forszę za którą chcą coś u nas zbudować... Gdzie tam... Po drodze napotykają Wilka i po wszystkim. Dobrze jeszcze, jeżeli uciekną z życiem. Potem wieją do domu i dziesiątego ostrzegają przed myślą o podróży na Alaskę. Zupełnie jak w latach osiemdziesiątych. Czy wyobrażasz sobie do czego dojdziemy, jeżeli to potrwa dłużej?

- Ale... przecież to nie nasza sprawa... - mruknął niepewnie Carson, śledząc z wysiłkiem tok rozumowania przyjaciela. Mózg jego nie pracował jeszcze ze zwykłą sprawnością. Widocznie młody organizm Walleya szybciej powrócił do równowagi po przebytych wstrząsach. - Od tego jest policja. Płacimy podatki...

Podatki powtórzył pogardliwie Walley. - Płacimy podatki i leżymy do góry brzuchem. Dlatego właśnie Wilk może grasować po kraju jak chce. Nie, panie Carson, tego mało. Jeżeli nie chcemy, by powróciła do nas dzikość z zeszłego stulecia, musimy sami zabrać się do Wilka.

- Co - wytrzeszczył oczy Carson - mamy zabierać się do wyłapywania bandytów?

- Tak - potwierdził z przekonaniem Walley - gdy policja pokazała, że jest do niczego, musimy ująć sprawę w swoje ręce. Tak czy inaczej banda Wilka musi przestać istnieć. Za wszelką cenę.

Carson poruszył się niespokojnie. Teraz dopiero zrozumiał do czego dąży jego przyjaciel.

- Tss - syknął ostrzegawczo, rzucając podejrzliwe spojrzenie w kierunku wybitego wybuchem otworu w ścianie. - Daj spokój, wariacie. Nie masz żadnych szans, porywając się

na Wilka... Nie tacy jak ty połamali na nim zęby. A Wilk ma podobno długie uszy... może usłyszeć.

- Niech słyszy - Walley podniósł przekornie głos - i jeżeli ma mnie zamordować, niech się śpieszy póki czas, bo nie spocznę, dopóki nie trafię na jego legowisko. Przysięgam na swój honor.

- Walley - przerwał mu proszącym głosem Carson - opamiętaj się...

- Nie - głos Walleya brzmiał zupełnie stanowczo - przysięgam. I nie należę do ludzi, którzy by potrafili zapomnieć o przysiędze. Oddam życie, albo unieszkodliwię bandę.

Carson z rezygnacją opuścił głowę na piersi. Znał dobrze Walleya. Nie było takiej siły, która by go zdołała odwieść od raz powziętego zamiaru. W wagonie zapanowało milczenie.

- Poczekaj, stary odezwał się wreszcie Walley, patrząc z ukosa na smętną minę Carsona - rozwiąż te rzemienie. Ścisnęli cię, że ledwie zipiesz.

Opierając ręce na gładkiej powierzchni lakierowanej ściany spróbował powstać na nogi. Dłonie ześliznęły się bezsilnie po ścianie i opadł ciężko na podłogę.

Wreszcie zrezygnował z wysiłków, powracając do poprzedniej siedzącej pozycji.

- Widzisz - wargi jego wykrzywił żalony uśmiech - do czego mnie doprowadzili. Jestem kompletny niedołęga. Nie mogę nawet zrobić kilku kroków. Musisz pocierpieć, zanim nie dojedziemy do pierwszej lepszej stacji. Ale gdy odzyskam siły...

Nie skończył. Carson nie żywił jednak najmniejszej wątpliwości, co miał na myśli. Zacięta w zdeterminowanej stanowczości twarz Walleya mówiła wyraźniej niż słowa.

XII

O WŁOS OD ŚMIERCI

Harry układał w myśli poszczególne części zawilej łamigłówki. Dużo jeszcze brakowało do zestawienia przejrzystej całości. Niektóre fragmenty ani rusz nie pasowały do reszty.

- Tak - westchnął - to nie takie proste, jakby się wydawało. Przede wszystkim sprawa kontaktów bandy w komendzie policji. Blyth to przecież jeszcze nie wszystko. Od dłuższego czasu pozostawał pod ścisłą obserwacją... musiał zresztą to zauważyć, bo ostatnio przycupnął, Salambo wyeliminowany z gry. A jednak wieści przeciekały na zewnątrz, jak woda z rozbitego garnka. Którędy? Otóż to! Jak dotąd nie mógł znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Rozwiązanie zagadnienia ogromnie ułatwiłoby definitywne załatwienie całej sprawy.

Ale rozwiązania nie było.

Jeszcze raz spróbował uporządkować wszystko od początku. Szło jednak coraz oporniej. Ciężkie brzemie otępiającego zmęczenia mąciło myśli.

Tyle nie przespanych nocy jedna po drugiej, a w przerwach szaleńczy wysiłek nieustającej pracy. Nie stało czasu na odpoczynek. Wyścig ze zbrodnią nie zostawiał chwili wytchnienia.

Potaął oblodzoną rękawicą czoło - ostatecznie wytrzyma jeszcze trochę.

Powoli zaczęła go opanowywać nieprzewyciężona senność. Walczył z nią całą siłą woli. Gdyby uległ choć na ułamek minuty przy tym tempie jazdy, nie byłoby co zbierać.

Zacisnął ręce na kierownicy. Pod czaszką narastał tuman oparów, zacierając poczucie rzeczywistości. Mocne przetarcie oczu trochę pomogło. Pusta autostrada świeciła jasną wstęgą w poświacie księżyca. Z obu stron szosy czerniała jednolitym murem gęstwina lasu. Zaśniła emalia ostrzegawczej tablicy. Zamrugnął powiekami. Ostry zakręt? Ale tak. Stopa mechanicznym ruchem nacisnęła hamulec.

Za zakrętem autostrada prowadziła idealnie prostą linią. Tu można nadrobić coś niecoś z tych stu pięćdziesięciu minut. Dotknął manetki gazu. Nie zdążył jednak jej przesunąć.

Przeciągniętym echem odbił się od gęstwiny wystrzał. I nagle rozpętało się piekło.

Harry otrzeźwiał w jednej chwili.

Przygięty całym ciałem do kierownicy sięgał do kieszeni. Wiatrochlonna szyba rozprysła się w kawałki, trafiona naraz kilkoma pociskami.

- Dostali mnie wreszcie - pomyślał.

Sytuacja wyglądała beznadziejnie. Sądząc z natężenia strzelaniny, napastników musiało być co najmniej kilku. Albo nawet kilkunastu. Tak, raczej kilkunastu. Banda na pewno zmobilizowała wszystkie swoje siły do polowania na tak łakomą zwierzynę, jaką był dla niej nadinspektor Harry Coss.

Ukryci w gęstwinie strzelali jak do celu. Cud, że jeszcze żadna z cmokających po karoserii kul nie dosięgła Harry'ego.

Jedyną szansą byłoby zwiększenie szybkości. Może zdoła przeskoczyć plujący ogniem odcinek?

Zanim jednak zdążył zrealizować pomysł, było już po wszystkim.

Ujrzał nagle rozprysk ognia niemal tuż przed maską samochodu. Jakaś potężna siła wyrwała go z siedzenia rzucając w powietrze. Huk wybuchu nie dotarł do zamierającej świadomości. Ogarnęła go nieprzenikniona czerń nocy.

Bezładne ciało szerokim łukiem przeleciało nad autostradą, wpadając w zaspę sypkiego śniegu.

- Hurra! - las zabrzmiał głośnymi okrzykami.

- Tym razem poszedł wreszcie do diabła - roześmiał się Dawson, obserwując płonący wysoki słupem ognia samochód Harry'ego.

Mike zaklaskał rękawicami aż odpowiedziało echo.

- To był naprawdę wspaniały pomysł, szefie! - zawołał z entuzjazmem.

Dawson przymrużył oczy.

- Inne wam się mniej podobają? - spojrzał na niego spod oka... Mike z trudem powstrzymał odruch niepokoju. Dawson trafił w samo sedno.

Tak. Nie wszystkie pomysły nowego bossa przypadły mu do gustu. Przede wszystkim choćby to, że zagarnął lwią część łupu dla siebie. Znacznie większą, niż niegdyś prawdziwy Wilk. Poza tym... Mike nie był zgoła zachwycony podrzędną rolą, jaką mu wyznaczył Dawson w bandzie. Przecież swego czasu był prawą ręką szefa. A teraz? Et, szkoda gadać. Zazdrosny o zagarniętą samowolnie władzę, Dawson zepchnął go na ostatnie miejsce. Mike próbował szczerzyć kły i dochodziło kilkakrotnie do nader krytycznych sytuacji.

Jak dotychczas, Mike ustępował. Nie miał zamiaru dać się sprowokować. Uderzy, kiedy sam uzna, że przyszedł odpowiedni moment. A prędzej czy później moment taki przyjść musi.

Teraz udał, że nie rozumie zaczepki.

- Szkoda, że Western nie dożył tego widowiska - mruknął.

- Cóż - Dawson wydał wargi - tak się zdarza, że nie wszyscy mogą dożyć tego, czego by pragnęli - ton podkreślał niemal zupełnie wyraźną pogroźkę zawartą w słowach.

Mike jednak i tym razem zamilczał. Nadejdzie kiedyś czas - sięgnął po papierosa.

Z hukiem eksplodował zbiornik płonącego samochodu, po czym ogień zaczął powoli przygasać.

Dawson obserwował przez chwilę coraz niżej pełzające płomyki.

- No, chłopcy - wstał powoli z pnia, na którym dotychczas siedział - warto by zobaczyć co zostało z naszego nadinspektora. Nie możemy przecież tkwić tu do rana.

- Ba - zarechotał któryś z zamaskowanych bandytów - co tam mogło zostać? Kupka śmierdzącego popiołu - to wszystko.

Gromada ludzi wyszła na otwartą przestrzeń autostrady. Szli bezładną grupą, przy akompaniamencie śmiechów, jakby czekała ich najweselsza zabawa...

Harry'emu szum dzwoniący w uszach potęgował się chwilami do ogłuszającego grzmotu.

Coś wypełniało szczelnie usta i zatykało nozdrza, tamując oddech. Gniotąca duszność rozpierała płuca.

Ociężałe podniósł powieki. Co to? Otaczała go nieprzenikniona ciemność. I to przejmujące zimno.

- Śnieg? Kurczowym wysiłkiem szarpnął do góry głowę. Mięśnie karku bolały, jakby je rwano rozpalonymi obcęgi. Nareszcie. Kłębek wypadł z ust.

Aż zachyłsnął się mroźnym powietrzem. Mrok, spowijający mózg zaczął powoli rzędnąć. Usiłował sobie przypomnieć, co się właściwie stało.

W odległości kilku jardów dogasało czerwone zarzewie. Poryw wiatru uderzył w nozdrza charakterystycznym odorem rozgrzanego metalu.

Na tonącej w mdłej księżycowej poświacie płaszczyźnie asfaltu zaczerniały ruchliwe sylwetki. Dojrzał zamaskowane twarze. Bandyci.

No tak... oczywiście. Idą sprawdzić wynik swego polowania.

Powoli sięgnął do kieszeni futra po rewolwer.

Odsunął bezpiecznik, wycelował starannie w jedną z postaci.

Jeden z bandytów potknął się i runął na jezdnię.

W grupie powstało nagle zamieszanie. Zanim jednak zdołał wystrzelić po raz drugi, bandyci przypadli na płask do ziemi.

Chwila i zamigotał gęsty ogień w odpowiedzi na samotny strzał.

Harry przywarł całym ciałem do śniegu. Za ochroną zasy czuł się niemal bezpieczny. Kule, jak dotąd, pogwizdywały w przyzwoitej wysokości nad głową.

Czekał z palcem na cynglu, kierując lufę w stronę rozciągniętych na asfalcie postaci. Nie strzelał. Musiał oszczędzać amunicję, gdyż zapasowe magazynki zostały w samochodzie.

- Nie będą przecież wylegiwać się całymi wiekami - rozważał. - Lada chwila ktoś może przejeżdżać, a wtedy...

Dowódca bandy pomyślał jednak widocznie o tym samym, gdyż ochryply rozkaz poderwał bandytów, którzy gwałtownym zrywem przebiegli parę jardów, rozpraszając się znowu na szosie. Harry strzelił celując uważnie. Stwierdził jednak z rozczarowaniem, że tym razem żadnego z nich nie trafił. Znowu skoczyli.

Harry pociągnął kilkakrotnie za cyngiel. Czyjś zduszony jęk pokwitował celność kuli. Rana jednak nie musiała być groźna, skoro przy następnym skoku żaden z bandytów nie pozostał w tyle.

Harry skonstatował z przerażeniem, że przy każdym etapie atakujący rozsypywali się w coraz szerszą tyralierę. Obrona stawała się z każdą chwilą trudniejsza.

- Jeżeli jeszcze zechcą zejść od tyłu? - pomyślał ze zważeniem.

Właśnie trzy postacie skoczyły w stronę lasu. Harry strzelił. Jeden z biegnących przyklęknął, dwaj pozostali jednak dopadli gęstwiny. Suchy szczęk oznajmił Harry'emu, że kula, która wyszła z lufy jego rewolweru, była ostatnią.

- Koniec - skonstatował i odłożywszy bezużyteczny rewolwer, wyciągnął wygodnie całe ciało na śnieżnej podściółce. Nie było już powodu do żadnego wysiłku.

Bandyci znowu poderwali się. Ale, jak i poprzednio, padli nie dobiegając do Harry'ego. Widocznie nie dowierzali jeszcze nagłej ciszy zapadłej za zaspą.

Jeszcze jeden skok i...

Ale ostatni skok nie nastąpił.

Gdzieś tuż za zakrętem autostrady załomotał rytm pędzącego samochodu.

Na autostradę padły szerokie smugi potężnych reflektorów.

Harry wpatrywał się w zbawcze światło, nie wierząc własnym zmysłom. Jednak nadjeżdżający samochód nie był halucynacją. Gdakliwie czekał karabin maszynowy. Widocznie nadjeżdżający zdołali w mgnieniu oka zorientować się w sytuacji.

Bandyci nagle zniknęli z jezdni, zapadając w pobliskiej gęstwinie. Zahamowany w miejscu ciężki wóz zamiótł tylnymi kołami, zataczając półkole po gładziźnie oblodzonego asfaltu. Ze stukiem podkutych butów zaczęli wyskakiwać ludzie w mundurach, trzymając w rękach broń gotową do strzału. Oślepiające promienie reflektorów chciwie lizały ścianę lasu, wydzierając z jej dotychczasowej jednolitości ostre zarysy poszczególnych drzew.

Ktoś podbiegł pośpiesznie ku Harry'emu.

- Życie pułkownika? - czyjeś ręce uniosły go delikatnie za ramiona.

Harry poznał ściągniętą wyrazem serdecznej troski twarz inspektora Hersta.

- Ano - uśmiechnął się blado - jakoś żyję. Choć prawdę powiedziawszy piekielnie mało już brakowało, by było inaczej. Ale skąd się tu wzięliście? - spojrzał w stronę samochodu - spadliście naprawdę z nieba.

- Wyprawa do Six Joinction.

Harry bezskutecznie usiłował stanąć na nogi. Dopiero gdy z drugiej strony podtrzymał go sierżant Halle, który właśnie podbiegł, udało mu się tego z trudem dokonać.

- A tam znowu co się stało?

- Napad na osobowy sto trzynaście - wyjaśnił krótko Herst. - Tak jak zawsze rozwalili ambulans i zabrali całą pocztę.

- Aha - we wciąż jeszcze mętnych oczach Harry'ego zamigotał triumf, gdy sobie wyobraził miny bandytów na widok zawartości worka z cenną przesyłką. - Są ofiary?

- Kilku rannych. Zdaje się, że szczęśliwym trafem nikt tym razem nie zginął w czasie napadu.

- O.K. - odetchnął z ulgą.

Oparty ciężko o pomocne ramiona inspektora i sierżanta, z trudem wgramolił się do samochodu.

- Czuję się, jakby mnie przepuścili przez magiel tam i z powrotem parę razy - stęknął wyjaśniająco.

- Czy każe pan, pułkowniku, kontynuować pościg po lesie? zapytał Herst, gdy Harry zajął już miejsce na ławce. Wzruszył ramionami.

- Po co? Szkoda zachodu. Najwyżej można co oberwać w gęstwinie.

Przeciągły sygnał syreny dał znak do odwrotu. Po kilku minutach spomiędzy drzew zaczęły się wyłaniać sylwetki policjantów.

Herst dopiero teraz wsunął rewolwer do futerału.

- A jakie są rozkazy co do wyprawy na Six Joinction? - zwrócił się do Harry'ego.

Pytanie jednak padło w próżnię.

Herst zauważył z niepokojem dziwny bezwład rozciągniętej na ławce postaci. - Zemdlął - mruknął a może...

Halle, który ze względu na liźniętą szkołę felczerską pełnił w czasie wypraw również rolę sanitariusza, nachylił się nad leżącym.

Gdy wyprostował się, twarz jego jaśniała wyrazem serdecznej ulgi.

- Tss - przyłożył palec na ustach - pułkownik po prostu zasnął. Niewiele spał biedaczysko w ostatnim czasie.

XIII

WALLEY DOTRZYMUJE PRZYSIĘGI

Było trochę trudności z urlopem. Naczelnik urzędu krzywił się wyraźnie. - Przedtem choroba, a teraz znowu urlop? - próbował go nastraszyć groźnym marsem. - Może myślicie, że mam stu urzędników w rezerwie, by zastępowali chcących odpoczywać?

Walley jednak nie ustąpił i w końcu otrzymał upragnione zwolnienie na kilka dni.

Potem znowu wtrącił się Carson. Przewąchał nie wiadomo w jaki sposób, na co Walley zamierza wykorzystać z takim trudem uzyskany urlop. Niemal błagał go, by zaniechał swego zamiaru.

- Daj spokój, na co się porywasz? Nie masz żadnych szans. Skręcisz kark i tyle. Po co ci to?

Biadolił tak przez bite dwie godziny. Walley ledwie zdołał się w końcu odczepić od strapionego przyjaciela. Obiecał mu ostrożność i tym podobne historie. Bzdury oczywiście, których jedynym przeznaczeniem było uspokojenie Carsona. Jaka tam może być ostrożność przy tego rodzaju polowaniu, na jakie wyruszał?

Zarzucił przez ramię dobrze naładowany plecak, wsunął do kieszeni wielkokalibrowy rewolwer i opuścił wreszcie miasto. Postanowił zacząć poszukiwania od parku Mc Kinleya. Przemawiały za tym rozmaite względy. Przede wszystkim park leżał w pobliżu miejsca napadu na pociąg, a poza tym znajomy dozorca parku, będąc ostatnio w mieście, opowiadał pewne mocno podejrzanym historie o tym, co się czasem dzieje w puszczy. Nie mógł naturalnie liczyć na to, by w ciągu tych kilku wyżebranych dni zdołał przeszukać cały las. Liczył raczej na szczęśliwy przypadek. Zresztą jeżeli nic nie znajdzie, weźmie nowy urlop. Choćby miał przy tym stracić posadę. Trudno, Walley należał do ludzi, dla których dotrzymanie przysięgi jest ważniejsze niż wszystko. Albo znajdzie Wilka, albo zginie. Teraz nie było dla niego trzeciej ewentualności.

Podróż koleją nie trwała zbyt długo. Nie całe pięć godzin. Drobnostka w porównaniu z resztą drogi. Cały dzień jazdy na niewygodnych sankach o niskich, szeroko rozstawionych płozach. I do tego paskudnym szlakiem, pełnym ukrytych korzeni, na których sanki podskakiwały jak opętane. Do chaty dozorca przyjechał na wpół żywy. Stary Larson przyjął go z wylewną serdecznością. Pewno, siedział tu jak w pustelni i tygodniami nie oglądał żywej duszy. Walley nie wtajemniczał dozorca w cel swych odwiedzin w parku. Po co? Ot, po prostu wycieczka po dzikim lesie dla przyjemności i sportu.

Larson nie zdradzał najmniejszego entuzjazmu dla tego projektu.

- Wycieczka teraz, w czasie zimy? - kręcił z powątpiewaniem głową. - I to do tego samotnie? - To ostatnie oświadczenie Walleya przeraziło go najwidoczniej. - Po co macie łązić bez sensu? Siedźcie raczej w chacie, albo jeżeli już koniecznie odczuwacie potrzebę spaceru, zabiorę was na obchód rewiru - proponował.

Walley był nieustępliwy.

- Pójdę i już. Mam kompas, więc nie zabłądzę. A w najgorszym razie znajdziecie mnie przecież.

- Tak - bąknął niepewnie Larson ale tak jak wam mówiłem w Curry, teraz nie jest zbyt bezpiecznie w lesie.

- Nie szkodzi - oświadczył zuchowato Walley, klepiąc się po odstającej kieszeni mam całkiem niezgorszą pukawkę. A wierzcie mi - potrafię pociągnąć za cyngiel w odpowiednim momencie.

Wreszcie przyciśnięty do muru dozorca puścił farbę i wyśpiewał wszystko co i jak. Po prostu obawiał się puścić gościa samego. W ostatnich dniach włóczyli się po lesie rozmaici. Kto ich tam wie, co za jedni? Larson w każdym razie nie wiedział i nie chciał nic o tym wiedzieć. Obejdzie się. I tak nie da rady, więc po co się narażać? Były takie rewiry, do których od dawna już nie wtykał nosa. Pachniało na milę niebezpieczeństwem. Nie to, żeby był tchórzem, po cóż jednak ma się porywać w pojedynkę na kilku czy kilkunastu? Jeszcze mu życie miłe. Gdyby choć istniała jakaś szansa, to co innego, ale tak? Nie miał najmniejszego zamiaru iść na niechybną śmierć. Nie uważał zresztą, by to należało do jego obowiązków. O ile odniósł wrażenie, tamci nie byli zwykłymi włóczęgami. Coś znacznie gorszego. Złożył o tym wszystkim w swoim czasie raport gdzie należy, a gdy nie wywołało to skutku, machnął ręką. Nie jego sprawa. Skoro tamci się nie przejmują, on także nie będzie z siebie robił wariata. Miał zupełnie czyste sumienie pod tym względem. Obchodził od czasu do czasu tylko te rewiry, gdzie było czyste powietrze, nie zaglądając do tamtych, żyjących w nocnym mroku, pełnym tajemniczej grozy. I Walleya też nie puści. Za żadne skarby. Choćby go miał powstrzymać siłą. Jeżeli zajdzie potrzeba, zwiąże go i odwiezie do Curry, a nie da iść na pewną zagładę - zagroził w końcu zdesperowany zaciekłym uporem gościa. Walley, w obawie, by poczciwy dozorca nie wprowadził w życie swej groźby, przywarował. Udał, że zrezygnował ze swego niedorzecznego, zdaniem władcy parku, zamiaru.

Sondował go jednak ostrożnie, gdzie są te podejrzane rewiry.

- A, ot tam - mruknął niechętnie. Larson, machając ręką w kierunku zachodu. - W pobliżu brzegów Hulitny dodał, zniżając głos niemal do szeptu.

Więcej już nie chciał mówić na ten temat. Stracił cały humor na wspomnienie tego, o czym pragnął usilnie zapomnieć. Nie należy do specjalnych przyjemności życie o dziesiątki mil od najbliższej osady ludzkiej z przyczajoną śmiercią pod bokiem. Toteż na wszelki wypadek noc w noc barykadował swą chatę jak fortecę, okładając się ze wszystkich stron nabitą bronią. Do tego doszedł. A przecież nikt by nie powiedział, że w piersi Larsona było zajęcze serce. A kto by powiedział w ten sposób, zełgałby paskudnie. Larson w niejednej już okazji pokazał swoją odwagę. Ale niech ktoś spróbuje w takich warunkach zachować niewzruszoną równowagę ducha. Każdego by wzięło.

Walley jeszcze wypytywał niby mimochodem dozorcę o to i owo, a na drugi dzień prysnął w las w czasie popołudniowego spaceru. Stracił całą dobę, ale na to nie było rady.

Ucieczka z zabarykadowanej chaty w nocy nie była możliwa. Nawet nie próbował, choć ponosiła go rozpacz z powodu zmarnowania dwudziestu kilku cennych godzin. Wystarczyło jedno spojrzenie. Na głucho pozamykane drzwi i okiennice. Zresztą Larson pilnował go dyskretnie.

Trudno, musiał poczekać aż do tej chwili, za to teraz szedł wyciągniętym krokiem, szybko zagłębiając się w las.

Wyteżał siły w obawie, by go Larson nie dogonił i nie zawrócił z powrotem.

Z początku maszerował na oślep, byleby tylko odejść jak najdalej od chaty. Dopiero, gdy po upływie godziny uznał, że już osiągnął bezpieczną odległość, zaczął się radzić kompasu. Na zachód w okolicy Hulitny? Cóż, nie było to znowu takie trudne znaleźć te podejrzane rewiry. Namagnesowana igła wskazywała z niezawodną dokładnością strony świata, a rzekę znał coś niecoś, przynajmniej na odcinku, który przecinał tor kolejowy w pobliżu dwieście dziewięćdziesiątej mili. Po prawej ręce miał w odległości iluś tam dziesiątków mil tor kolejowy, więc rzeka musiała być przed nim. Nie mógł zabłądzić w takich warunkach. Był wyćwiczonym piechurkiem, potrafił więc utrzymać odpowiednie tempo.

Szedł równym, elastycznym krokiem, który go nie męczył. Naprężona czujność rejestrowała w okamgnieniu wszystkie wrażenia zewnętrzne. Wzrok omiatał każde drzewo, każdy najmniejszy nawet krzaczek. Palce obejmowały rękojeść rewolweru. Wiedział dobrze, na co się porywa i nie miał zamiaru stracić życia przez gapiostwo. Dotychczas nie zauważył jednak niczego podejrzanego. Niepokalanie biały śnieg odbijał łagodną poświatą ni to dnia, ni to zmierzchu. Gdyby nie kotłował zegarka mógłby przypuszczać, że dzień zbliża się ku końcowi. Tylko na nielicznych polanach, przez które przechodził, śnieg skrzył miliardem diamentów w pełnym blasku popołudniowego słońca. Kilka razy minął wąskie, drobne tropy zwierzęcych pazurów. Nie spotkał jednak żadnego śladu, przypominającego odcisk ludzkich stóp albo drózkę wyżłobioną przez narty. Ponieważ od kilku dni nie padał już śnieg, Walley miał pewność, że od dłuższego czasu nikt tędy nie przechodził.

Mijała godzina za godziną monotonnej wędrówki. W lesie robiło się coraz ciemniej. Drzewa zatraciły brunatną barwę, przybierając ciemnognatowy odcień. W górze raz po raz szumiały potracone podmuchami wiatru gałęzie. Gdzieś z wysoka zabrzmiała trelem wieczorna modlitwa jakiegoś ptaka. Zaskowytało odległe wycie wilka. Nic nie mąciło zwykłych odgłosów leśnych, a przecież Walley przeszedł już co najmniej dobre trzy mile. Powinien dotrzeć do podejrzanych okolic parku. A może zabłądził? Nie, to chyba nie było możliwe. Co kilkanaście kroków kontrolował kierunek marszu według kompasu. A jeżeli Larson przesadził w swoich opowiadaniach? Może po prostu przez park przechodziła

gromadka prospektorów, kierując się ku górcom, gdzie spodziewali się znaleźć żyłę złotodajnego kruszcu?

Nagle drgnął, zamierając w bezruchu. Skądś z bardzo bliska dobiegło przeciągłe szuranie. Zwierz, albo...

Szuranie się powtórzyło. Teraz już nie miał najmniejszej wątpliwości. Coś dużego poruszało się tuż za grupą stłoczonych jodeł, zamykających drogę nieprzezroczystą ścianą, zaledwie o kilkanaście metrów od Walleya.

Coś albo ktoś. Wysunął szybko rewolwer z kieszeni i odwiódłszy bezpiecznik położył zdecydowanym ruchem palec na cynglu.

Serce zabiło mu podnieconym rytmem. Nerwy napięły się jak naciągnięte do ostatecznych granic wytrzymałości struny. Szuranie cichło z każdą chwilą. Nie mógł stać dłużej w bezruchu. To, co przechodziło za jodłami, mogło zniknąć bezpowrotnie w chaszczach.

Postąpił bezszelestnie kilka kroków naprzód i przylgnął do szerokiego pnia jodły.

Teraz odgłos dobiegł znowu wyraźnie. Szuranie i szelest potrącanych gałęzi. To na pewno nie był mały zwierz. Albo człowiek, albo spóźniony miś zwlekający z wyborem zimowego legowiska. Ale raczej człowiek.

Przylegając policzkiem do kory drzewa wyjrzał ostrożnie przed siebie.

Z trudem powstrzymywał chęć gwizdnięcia, która go nasza na widok szarzejącej w półmroku sylwetki, okutanej w skórzaną kurtkę z wysokim futrzanym kołnierzem. Nieznajomy sunął szybko na nartach, przemykając zręcznie pomiędzy drzewami.

Zaciskając kurczowo w ręku rewolwer, Walley przebiegł ostrożnie kilka kroków za osłoną jodeł. Potem przystanął i znowu wyjrzał. Tamten szedł, nie zmieniając tempa. Widocznie nie usłyszał.

Znowu przebył kilka metrów. Śledzony oddalał się coraz bardziej.

Nie zachowując ostrożności sunął znacznie szybciej niż Walley. Zniknął już niemal w oddali pomiędzy drzewami. Walley zacisnął z desperacją zęby. Zdawał sobie sprawę, że kontynuowany w ten sposób pościg musi spalić na panewce. Lada chwila straci ściganego z oczu. Zamyślił się, stanąwszy w miejscu. Mózg jego pracował z gorączkowym wysiłkiem. Tu nie było ani ułamka sekundy do stracenia. Każde chybione choćby o włos posunięcie mogło decydować o życiu, a co najważniejsze, o fiasku wyprawy. Bo dla Walleya własne życie stało teraz na dalszym planie. Co robić? Ukrywając swoją obecność, w żaden sposób nie potrafi dotrzymać mu kroku. A poza tym parawan jodłowej ściany urwał się kilkanaście metrów

dalej i odsłaniał dość obszerną polanę, jaśniejącą, pustą, pozbawioną nawet krzaczka - przestrzeń.

A gdyby wystąpił otwarcie i zatrzymał tamtego pod groźbą rewolweru? Nieznajomy widocznie nie oczekiwał żadnej napaści i niewątpliwie dałoby się go zaskoczyć. Ale jeżeli nie jest tym, kogo szukał? Nie miał przecież żadnych danych na to, że samotny przechodzień jest Wilkiem. Nic przecież nie przemawiało za tym, poza jego spacerem w podejrzanym rewirze. Mógł się okazać równie dobrze jakąś płotką w bandzie, która ostrzeżona w porę, zawikła prowadzący do głównego legowiska ślad, albo zgoła niewinnym przechodniem, który będzie go uważał za bandytę. Ciemna sylwetka nieznajomego zniknęła tymczasem w gęstwinie. Przebyta przez niego drogę zaznaczył wyraźny ślad nart.

Walley, patrząc na odcisnięte na śniegu smugi, doznał nagle olśnienia. Nie potrzebuje iść w bezpośredniej bliskości za tamtym. Wystarczy pilnować jego śladu. Musi go w końcu dokądś zaprowadzić. Jeżeli idąc za nim nie znajdzie nic ciekawego, będzie to niewątpliwym dowodem, że nieznajomy nie ma nic wspólnego z bandą. Przeczekał jeszcze pewien czas w ukryciu jodeł, z trudem powściągając ogarniającą go z coraz większą siłą niecierpliwość. Gdy nareszcie, jak uznał, wyjście poza jodły nie groziło już niebezpieczeństwem dostrzeżenia, ruszył znaczoną przez ślad drogą. Nie zaniedbał ostrożności, rozglądając się uważnie na boki. Zachowanie przechodnia mogło być podstępą grą, obliczoną na wprowadzenie go w błąd. Kto wie czy nie czyha za któryś z drzew z lufą wycelowaną w pierś prześladowcy?

Nic jednak nie wskazywało na słuszność takiego podejrzenia. W lesie panowała cisza. Ślad nart biegł równą nieprzerwaną linią przez środek polany. Walley przyspieszył kroku, chcąc jak najprędzej przebyć otwartą przestrzeń. Wzdłuż krzyża przebiegł nieprzyjemny chłodek w momentach, gdy patrzył na ciemną linię okalających polanę drzew. Jakże łatwo mogła paść stamtąd śmiertelna kula, i, co gorsza, bez najmniejszej możliwości obrony z jego strony.

Gdy w końcu po upływie, jak miał wrażenie, całych wieków, wszedł pomiędzy pierwsze drzewa, odetchnął z ulgą. Miał poza sobą mocno nieprzyjemny odcinek drogi. Było już niemal zupełnie ciemno. By nie zgubić kluczącego pomiędzy gęstwiną śladu, musiał się ustawicznie nachylać. Śledzenie stawało się z każdą chwilą trudniejsze. Szedł coraz wolniej. Tamten wyprzedzał go na pewno o dobre pół mili. Miało to jedynie tę dobrą stronę, że nie potrzebował zachowywać poprzedniej ostrożności.

Mozolna wędrówka śladami tajemniczego wędrowca trwała całymi godzinami. Spojrzał na zegarek. Fosforyzujące zielonkawą poświatą wskazówki docierały do dziesiątej. Zaczynał odczuwać zmęczenie. Kręgosłup bolał od ciągłego schylania się w poszukiwaniu

ginących w mroku śladów. Ręka trzymająca wielki rewolwer omdlewała od ciężaru. Obawiał się jednak schować go do kieszeni. Spotkanie mogło nastąpić w każdej chwili, a wtedy mgnienie oka decydować będzie o szansie.

Zapatrzony w odciski nart nie zauważył, jak płaszczyna urwała się nagle, przechodząc w dość spadziste zbocze. O mały włos nie zsunął się w dół na złamanie karku. Tylko gałąź jakiegoś krzaka ocaliła go od upadku. Odczuwał teraz dotkliwie brak nart. Wędrówka po stromym spadku, pokrytym podmarzniętym śniegiem, wyglądała mocno nieprzyjemnie. Ślizgał się niemal co krok, ratując zachwianą równowagę przytrzymywaniem się zarośli. Raz zachwiał się tak gwałtownie, że wypuścił z ręki rewolwer. Musiał go szukać dłuższą chwilę, przesuwając rękoma po śniegu. Ogarnęła go rozpacz. Jeżeli broń spadła na dół, wszystko przepadło. Włazenie w paszczę bandytów z gołymi rękoma nie miało najmniejszego sensu. Wreszcie znalazł niemal przypadkiem. Ciężki pistolet przebił wierzchnią zlodowaciałą warstwę śniegu i zagłębił się w mokrym puchu. Otarł go skrzętnie chustką od nosa, nie był jednak pewny czy mechanizm jest w porządku. W tym wypadku pistolet nie miałby większej wartości od kawałka stali, z którego zrobiono go. Nie brał niestety zapasowych nabożów z chaty. Zostały w plecaku. Ruszając w dalszą drogę czuł się przygnębiony. Wypadek z rewolwerem odebrał mu nawet tę pewność, jaką daje trzymana w ręku broń. Nie wiedział teraz, czy nie zawiedzie go w decydującym momencie.

Schodził dalej jeszcze ostrożniej niż przedtem. Zabrało mu to przeszło godzinę. Pomimo tych wszystkich trudności myśl o zawróceniu nie powstała nawet w jego głowie. Los dał mu do ręki nić i pójdzie za nią do końca bez względu na to, co ma znaleźć u kresu drogi i bez względu na to, jak wiele sił będzie musiał poświęcić na dobrnięcie do celu.

Był coraz bardziej zmęczony.

- Ot - mruzczał zaciskając gniewnie zęby - co znaczy brak treningu.

Złościła go mała wytrzymałość własnego organizmu. Przed oczyma migotały całe roje ciemnych, ruchliwych punkcików. Mięśnie nóg drętwiały, gdy wyciągał z wysiłkiem stopy zapadające po kostki w śnieg.

Gdy zszedł do stóp zbocza gonił już ostatkiem sił. Stał na chwiejnych nogach, opierając ciężko plecy o pień jakiegoś drzewa. Musiał za wszelką cenę odpocząć. W tym stanie, w jakim się znajdował, powaliłoby go nawet dziecko.

Łapał mroźne powietrze szeroko, otwartymi ustami, jak ryba wyciągnięta z wody. Gdyby nie twarda podpora pod plecami, niewątpliwie runąłby bezwładnie na ziemię.

- Tak - myślał ponuro, ocierając wierzchem rękawic pot przymarzający na czole - jestem wykończony.

Nie był pewny czy zdoła zrobić choćby krok naprzód. Opanowała go bezsilna rozpacz. Utknąć w połowie drogi? Nie, za żadną cenę. Pójdzie dalej, choćby miał pełznąć na czworakach. W czasie dzisiejszej wędrówki mięśnie pracowały znacznie mniej sprawnie, aniżeli w czasie urządzanych corocznie w lecie pieszych wycieczek; dzisiaj, gdy zależało mu na dotrzymaniu kroku tamtemu więcej niż na własnym życiu. Zresztą nic dziwnego. Po prostu nie obliczył się z siłami, zapominając, że zaledwie na parę dni przed wyruszeniem na poszukiwanie, wstał z łóżka po ciężkiej chorobie. Minęło kilka minut przymusowego bezruchu. Poczuł się niespodziewanie znacznie lepiej. Przyspieszony rytm krwi w żyłach opadł do normy. Sprzed oczu zniknęły denerwujące punkciki. Poplątane myśli odzyskały swoją przejrzystość. Mógł już ruszyć dalej. Nie zwlekał ani sekundy. I tak dość stracił czasu na odpoczynek. Szedł powoli, stawiając sztywno odrętwiałe nogi. Brnął jednak nieustępliwie naprzód, nie spuszczać oczu ze śladów. Zresztą droga była teraz znacznie wygodniejsza, biegnąc po równym terenie. Gdyby znowu natrafił na stromiznę, na pewno nie zdołałby jej przebyć. Z oddali dobiegał jednostajny głuchy szum. Z początku nie zwrócił na to uwagi, sądząc, że to szumi mu w uszach wskutek zmęczenia. Szum jednak potężniał z każdą chwilą. Przystanął zdumiony słuchając odgłosu.

- Ach tak - zorientował się wreszcie - Hulitna River. - Widocznie jej gwałtowne nurty walczą zaciekle z okowami lodu. A więc dochodzę do granic rewirów określonych przez dozorcę jako „zapowietrzzone”.

Ścisnął mocno rękojeść pistoletu. Czyżby nieznajomy zamierzał dojść aż do samego brzegu? I co dalej?

Wyprostował zgarbione nad śladami plecy i spojrzał przed siebie. Drgnął, wyężając wzrok. W ciemnognanatowym mroku migotało żółtawe światełko. Nie wyglądało to żadną miarą na odbłask ognia. Raczej oświetlone okno. A okno znaczyło wybudowaną na stałe chatę. Bo sklecone byle jak szałas prospektorów i włóczęgów nie miały takich luksusowych urządzeń.

- Więc prawdziwa chata w kanionie Hulitny - zastanawiał się Walley. - Kto ją zbudował i kto zamieszkuje teraz? Niemożliwe, żeby Larson nie wiedział o tym budynku. Dlaczego jednak nie wspomniał ani słowem w czasie rozmowy na temat podejrzanych rewirów?

Tak, to wszystko było jakieś niewyraźne. Trzeba zbadać co w tym tkwi.

Postanowił zajrzeć do wnętrza. Albo znajdzie w niej coś ciekawego, albo przekona się, że szedł fałszywym tropem.

Bo nie było prawdopodobne, by bandyci urządzali schadzki w pobliżu domostwa zamieszkałego przez kogoś obcego. Zresztą ślad ginął w ciemnościach, biegnąc właśnie w kierunku chaty.

Teraz już nie potrzebował trzymać głowy tuż nad śniegiem. Szedł wyprostowany ku migocącemu światłu, rosnącemu z każdym niemal krokiem.

Śnieg trzeszczał alarmująco pod podeszwami. Musiał stawiać ostrożnie nogi, by nie wywołać zbyt dużego hałasu. Czy nieznajomy naprawdę dążył do chaty? A może ominął ją, idąc dalej?

Zarysowały się wyraźnie zamazane kontury budynku. Tylko jedno okno lśniło światłem, reszta chaty tonęła w nieprzejrzanym, zagęszczonym jeszcze w pobliżu ścian mroku.

Walley przystanął w niepewności o kilka metrów od chaty. Jeżeli w zabudowaniach jest pies, to wszystkie ostrożności na nic. Zaalarmuje swego pana. Nadśluchował z napięciem. Nic. Wokół panowała niezmacona cisza. Odetchnął z ulgą. A więc nie było psa, bo niewątpliwie zacząłby swój koncert.

Kilkoma szybkimi susami podbiegł do chaty, zanurzając się w ciemnościach. Niemal przylepił ciało do sękatych bierwion.

Z wnętrza chaty dobiegały przytłumione dźwięki rozmowy. Musiał zobaczyć, kto rozmawiał. Nie było to takie proste. Mogli go łatwo zauważyć. A wtedy wszystko stracone.

Rozmyślał przez kilka sekund. Tak - zdecydował wreszcie - w ten sposób będzie chyba najlepiej.

Przygiął się do ziemi i przytknął twarz do dolnej części parapetu okna. Zajrzał. Na środku oświetlonej naftową lampą izby stał sklecony z nie heblowanych desek stół. Przy nim siedziało dwóch mężczyzn. Jeden w skórzanej kurtce z wysokim kołnierzem, prawdopodobnie ten sam, którego śledził, siedział tyłem, za to drugi twarz miał zwróconą do okna. Ciekawa twarz. Obrosnięta gęstym, ciemnym zarostem. Czyżby to był Wilk we własnej osobie? Więc zamieszkiwał jak gdyby nigdy nic w tej tkwiącej na pustkowiu chacie?

Serce Walleya zabiło niespokojnie. Po prostu nie dowierzał, by to wszystko mogło pójść tak łatwo. Przecież bandyty poszukuje policja całego kraju.

Gdy drugi mężczyzna odwrócił się profilem, Walley z trudem powstrzymał odruch zdumienia. Znał go. Nie przypominał sobie w tej chwili jego nazwiska, ale to nie miało najmniejszego znaczenia. Wiedział kim jest. Kiedyś będąc w Fairbanks zwrócił uwagę na dziwny samochód, posiadający zamiast tylnych kół gąsienice. Przy kierownicy siedział ten

sam człowiek. Zapytał o niego któregoś z miejscowych kolegów. Powiedziano mu wówczas jakieś obce nazwisko Coss, czy coś w tym rodzaju.

Oderwał się pośpiesznie od okna. Widział już dostatecznie wiele, by wracać. Sam nie da rady, za to zawiadomi o swoim okryciu kogo należy. Zdążą. Na pewno zdążą. Skoro Wilk siedział dotychczas w chacie, kpiąc sobie z całej policji, to będzie siedział i nadal. Szedł szybko, zapominając o zmęczeniu. Pierś rozpierało uczucie triumfu. Tajemnica Wilka przestała być tajemnicą. Przynajmniej tak myślał. Wracał o wiele prędzej aniżeli szedł w tę stronę. Nie potrzebował już pilnować ginącego w mroku śladu. Nie wahał się ani na chwilę co do wyboru kierunku. Odbywane stale od wielu lat wycieczki piesze rozwinęły w nim nadzwyczajnie zmysł orientacyjny. Zapamiętał doskonale drogę, którą tu przyszedł. Spieszył się bardzo, wkładając w marsz całe serce. Aby tylko zawiadomić jak najprędzej policję. Po upływie niecałej godziny ujrzał rzadziejące drzewa. Docierał już więc do pamiętnej polany. - Dobrze idę - stwierdził w duchu z zadowoleniem, spojrzawszy na zegarek. W tym samym niemal momencie gęstwina nagle ożyła. Zaczerniały ze wszystkich stron liczne, ciemne postacie. Zabłyśła stal rewolwerów. Zanim zdążył podnieść rękę uzbrojoną w pistolet, huknęło kilka strzałów naraz.

Przez ułamek sekundy miał wrażenie jakby ciemnogrnatowe niebo runęło mu całym ciężarem na głowę. Potem przestał czuć. Osunął się miękko na śnieg. Czerwona, gorąca krew zastygła szybko w mroźnym powietrzu...

Carson przeżył męki niepewności i trwogi, oczekując na powrót przyjaciela. Gdy minął termin końca urlopu i Walley nie wrócił, opanowało go ostateczne przerażenie, co do jego losu. Przeczekał jeszcze całą dobę, a gdy i ona nie przyniosła żadnych wieści od przyjaciela, zaczął działać. Złożył wizytę miejscowemu komendantowi policji i przedstawił całą sprawę.

Słuchano go z niedowierzaniem. Na relację o celu wycieczki Walleya komendant machnął niecierpliwie ręką i jak Carson odniósł wrażenie, miał niepohamowaną ochotę parsknąć śmiechem. Ale Carson nie należał do ludzi, których można zbyć byle czym. Narobił takiego gwałtu w urzędzie policyjnym, grożąc przy tym skargami do wszystkich władz, aż do gubernatora włącznie, że w końcu chcąc nie chcąc musiano potraktować jego zameldowanie poważnie.

Rozdzwoniły się telefony policyjne. Na trzeci dzień szeroka tyraliera barczystych postaci w granatowych mundurach zaczęła przeszukiwać gęsty las parku Mc Kinley. Zeznanie dozorca wzbudziło sensację.

A jakże, był Walley. Wypytywał o podejrzane rewiry i poszedł przed pięcioma dniami w las. Prowadzący obławę inspektor zmarszczył groźnie brwi.

Podejrzane rewiry? Co to znowu takiego? Dlaczego nie zameldowaliście o tym? Larson nie przejął się tym bynajmniej.

Owszem, meldowałem - oświadczył z niewzruszonym spokojem - wysłałem raport do komendy policji.

- No i co? - zapytał znacznie mniej pewnym tonem inspektor.

- No i... co - odpowiedział Larson.

Inspektor pomruczał jeszcze coś pod nosem nie wiadomo pod czyim adresem - takie to porządki, a potem się dziwią... - i ruszył wraz ze swoimi ludźmi na dalsze poszukiwania. Mieli ułatwione zadanie. Śnieg nie padał od przeszło dwóch tygodni, ślady więc trwały jak gdyby odcisnięte w gipsie. Znaleźli odciski stóp, biegnące od samej chaty dozorca - prawdopodobnie zostawione przez Walleya, potem dróżkę, wyżłobioną przez czyjeś narty. Na skraju polany natrafili na wielkie brunatnoczerwone plamy zakrzepłe na śniegu i wyżłobiony kształt leżącej postaci. Wokół aż roiło się od śladów. Zupełnie jakby przeszła cała armia.

- Zabili go... na pewno zamordowali - zawodził żałośnie Carson.

Inspektor pokiwał smętnie głową. Był tego samego zdania. Ciała nie znaleziono. Rozkazał przekopać w paru miejscach. Policjanci bez przekonania pogrzebali łopatkami w zamrzniętej ziemi. Oczywiście bez żadnego rezultatu. Byli zresztą pewni tego od samego początku. Inspektor też. Rozkaz kopania wydał raczej dla uspokojenia własnego sumienia, aniżeli w nadziei dokonania jakichkolwiek odkryć.

Ruszyli dalej śladem nart. Ponieważ mieli narty, ujechali ze stromego zbocza w rekordowym tempie. Chata w parowie Hultiny stała na swoim miejscu. - Pewnie od dawna opustoszała - zaopiniował inspektor, kierując krok ku zabudowaniom. Przewidywania omyliły go jednak. W izbie zastali rozpartego wygodnie w prymitywnie skleconym fotelu osobnika o gęsto obrośniętej fizjonomii. Czytał gazetę sprzed paru dni. Wizyta policji wydawała się nie robić na nim większego wrażenia.

Inspektor zaczął od razu urzędową indagację: Kto, skąd i po co?

Odpowiedzi mieszkańca pustelni wypadły raczej nijako. Każde słowo pachniało łągarstwem. Jeżeli drwał, to gdzie narzędzia? I gdzie narąbane drzewo.

Narzędzi wprawdzie nie było, za to na ścianie wisiał starannie utrzymany winchester najnowszego typu, zaś na stole spoczywała pochwa zawierająca wielokalibrowy automatyczny pistolet.

- Jakiś dziwny drwał - podejrzliwie rozmyślał inspektor. A poza tym... - na kominku płonęły wesołym trzaskiem wielkie szczapy drewny. Dlaczego więc nie było widać dymu na zewnątrz? Podeszedł do kominka i zajrzał ciekawie do wnętrza. Naturalnie. Skomplikowany system blaszanych rur odprowadzał dym gdzieś w dół. Pewno wychodził w znacznej odległości od chaty pomiędzy jakąś gęstwinę krzaków. Oryginalne urządzenie jak na chatę zwykłego drwala. Co mu mogło zależeć na tym, by chata robiła wrażenie nie zamieszkaną?

Podejrzana historia. Teraz już zaczął patrzeć na jegomościa jak na osaczoną zwierzynę.

Zasiadłszy na krześle, przygotował się do bardziej szczegółowych badań, gdy niespodziewanie rzekomy drwał zażądał kategorięcznym tonem rozmowy w cztery oczy.

- Hm - zawahał się urzędnik - w cztery oczy? - Zerknął nieznacznie na karabinek i rewolwer podejrzanego.

Tamten dostrzegł wahanie policjanta i zrozumiał przyczynę.

- Te cacuszka - wskazał niedbałym gestem na swoją broń - możecie kazać wynieść, aby się przewietrzyły w czasie naszej rozmowy. A więcej broni nie mam. Każcie zresztą przeszukać - zaproponował.

Twarz inspektora poczerwieniała gwałtownie. A to przebiegła sztuka. Czyta po prostu w myślach. Nie wyszło zbyt ładnie. Wyglądało, jakby miał strach przed tym niepoważnym jegomościem.

- Obejdzie się - mruknął opryskliwie. Wasze pukawki nie przeszkadzają mi w rozmowie. A wy - rozkazał podwładnym - wynoście się i zczekajcie przed chatą. Niech nikt nie wsadza nosa, póki nie zawołam.

Izba opustoszała w mgnieniu oka. Wprawdzie sierżant coś zamruczał pod nosem o „wariackim ryzyku”, ale zabrakło mu odwagi, by wypowiedzieć swe uwagi głośno. Inspektor trzymał swoich ludzi twardą ręką i czasami potrafił być mocno nieprzyjemny.

Pozostali we dwóch. Mieszkaniec podejrzaną chaty milczał. Inspektor tymczasem także nie zabrał głosu, taksując go baczny okiem. Niewiele jednak mu to dało, Obrośnięta zarostem twarz tchnęła absolutną obojętnością.

Ciężki będzie orzech do zgryzienia - pomyślał - ale go zgryzę. Kto wie może to właśnie morderca Scotta we własnej osobie? - Na wszelki wypadek opuścił nieznacznie prawą rękę na wysokość kolby rewolwerowej sterczącej z otwartej pochwy.

- Słucham - wparł natężony wzrok w twarz podejrzanego. Nie przepuścił ani jednego drgnięcia mięśni. Nie pierwszy raz przecież tkwił w takiej robocie.

Jak się okazało, znowu przewidywania go myliły. Nie było niczego do słuchania. Raczej do oglądania.

Gdy drzwi chaty zamknęły się za ostatnim policjantem, podejrzany osobnik zerknął na niego nieufnie, przeczekał jeszcze chwilę, po czym sięgnął do wewnętrznej kieszeni brezentowej bluzy.

Palce inspektora dotknęły gładkiego metalu rękojeści pistoletu. Któż może przewidzieć, co ta kreatura wyciągnie z kieszeni.

Wyciągnął jednak tylko całkiem zwyczajny portfel. Inspektor otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Co to znowu miało znaczyć? Czyżby usiłował przekupstwa?

Tamten poszperał chwilę pomiędzy różnymi papierzyskami i wyłowił wreszcie wymiętoszony skrawek, zawierający tylko kilka słów i odcisk pieczęci. Ten zresztą był najwyraźniejszy.

Podsunał uprzejmym ruchem paperek pod oczy inspektorowi. Policjant przeczytał go jednym rzutem oka.

Zagwizdał cichutko przez zęby.

- Więc to tak, mister...

- Tss - syknął ostrzegawczo rzekomy drwal - tylko bez nazwisk, proszę. W tych stronach nawet drzewa mają swoje uszy.

- Jak pan uważa.

Gdyby ktoś mógł słyszeć ich rozmowę, nie posiadałby się pewno ze zdumienia. Teraz ton policjanta brzmiał zupełnie odmiennie, aniżeli przed paroma minutami. - Czy... czy pan nie ma czegoś do zakomunikowania? - zapytał po chwili pocierając wierzchołkiem dłoni czoło. Wrażenie wywołane widokiem dokumentu było silne.

- Nie - obrośnięty jegomość chował troskliwie skrawek do portfela, a następnie portfel do kieszeni bluzy, zapinając ją pedantycznie na błyskawiczny zatrzask - mam wrażenie, że nie znajdziecie dziś w lesie nic ciekawego. Jeszcze przedwczoraj było całkiem inaczej. Ale wtedy musiałbym was prosić o zaniechanie poszukiwań.

Inspektor wstał powoli, obciągając futrzaną kurtkę.

- Do widzenia - wyciągnął rękę do człowieka, którego przed chwilą uważał za mordercę.

- Nie potrzebuję chyba panu przypominać o konieczności absolutnej dyskrecji co do naszej rozmowy. Pan rozumie... Poza nadinspektorem, nie chciałbym, by ktokolwiek dowiedział się o mojej tu obecności. - Sam pan chyba rozumie, jakie to może mieć dla mnie znaczenie - powiedział gospodarz.

XIV

PĘTLA ZACIEŚNIA SIĘ

Było dużo trudności w urzędzie. Naczelnik poczty wzruszył ramionami.

- Także coś. Spóźniacie się o kilka tygodni, a teraz chcecie jak gdyby nigdy nie wracać do pracy? Ostatecznie posada państwowa to nie szynk, gdzie każdy wchodzi i wychodzi kiedy ma ochotę.

Wymizerowana twarz podwładnego nie robiła na naczelniku najmniejszego wrażenia. Tłumaczeń nie chciał nawet słuchać. Polowanie na bandytów? Od tego jest policja. A pragmatyka służbowa nie przewiduje tego rodzaju ekstrawagancji urzędników pocztowych. Każdy w swoim zakresie - oto podstawa sprawnej służby.

Walley był zgnębiony. Dymisja wisiała w powietrzu. A szanse znalezienia nowej posady przy jego obecnym stanie zdrowia nie wyglądały bynajmniej pocieszająco.

I nagle wszystko odmieniło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Któregoś wieczoru zapukano do skromnego mieszkania poczmistrza.

Przybysza widział Walley po raz pierwszy w życiu. Toteż gdy ten zagał rozmowę na niezwykle temat, Walley nastroszył się nieufnie. Diabli wiedzą, z jakimi zamiarami przychodzi nieznajomy?

W końcu jakoś się dogadali. A gdy gość wyjaśnił wszystko, Walley wpadł w niezakłamany zachwyty. To, co proponował nieznajomy, stanowiło właśnie szczyt jego marzeń.

Długo w noc omawiali szczegóły, studiując dokładnie mapę leśnych rewirów parku Mc Kinleya. Potem na stoliku wyrosła potężna kupka banknotów, w rękach zaś Walleya znalazł się dokument opatrzony groźną pieczęcią - ale to tylko na ostateczny wypadek, zastrzegł gość, który od tej chwili stał się przełożonym Walleya.

Od następnego dnia wypadki potoczyły się błyskawicznie. Bezterminowy urlop dla poczmistrza Walleya został podpisany przez samego dyrektora obwodu. Naczelnik urzędu oglądał pismo ze wszystkich stron.

- Ładne porządki - zżymał się w duchu - w tych warunkach oczywiście urząd muszą diabli wziąć. To tylko kwestia czasu.

Zastrzeżenie to jednak zachował dla siebie i wręczając poczmistrzowi pismo, zdobył się nawet na coś w rodzaju słodkawo - kwaśnego uśmiechu.

- Widzicie, poczmistrzu, jak to na naszej służbie... jak w zgranej rodzinie. Spełniamy z miejsca każdą zachciankę urzędników. Nawet jeżeli jest sprzeczna z pragmatyką...

Kompletny ekwipunek dostarczono Wallyowi do domu: maszynowy pistolet i automatyczny karabinek stanowiły okazy nowoczesnej techniki rusznikarskiej.

Wieczorem tego samego dnia poczmistrz Walley znikł bez śladu.

Gdy Carson, powróciwszy z podróży służbowej, zaczął szukać przyjaciela, natrafił na niezrozumiałą próżnicę. - Dostał urlop i wyjechał - to było wszystko, co zdołał zdobyć obchodząc wszystkich, od których spodziewał się uzyskać wieści o losie Walleya.

- Ale dokąd? - nastawał zrozpaczony Carson - przecież człowiek nie może rozplynać się jak dym.

Na to pytanie jednak nikt nie potrafił odpowiedzieć.

Carson zaprzestał dalszych poszukiwań. Serce dławił mu ciężar złego przeczucia...

W zakonspirowanej wśród krzaków chatce w pobliżu brzegów Hultiny zjawił się nowy mieszkaniec. Właściwie traktował chatkę jedynie jako miejsce noclegu; spędzał w niej wyłącznie noce a raczej ich skrawki. Po całych dniach przepadał gdzieś, myszkując wśród leśnych bezdroży. Zajmował się tylko sobie wiadomymi sprawami. Nikt nie zauważył jego obecności. Nawet dozorca Larson zdziwiłby się niezmiernie, gdyby ktoś mu o tym zakomunikował. A niezbyt odlegli sąsiedzi samotnej chatki, gdyby się dowiedzieli o celu przybycia nowego mieszkańca lasu, doznaliby nie tylko zdziwienia. Bo w tym wypadku chodziło o ich życie.

Na szczęście jednak dla przybysza, nie podejrzewali nawet jego obecności. Ci zaś, co o niej wiedzieli, byli ludźmi pewnymi. Nie istniała żadna siła, która by potrafiła z nich wydobyć jakąkolwiek wiadomość na ten temat. Przybysz mógł więc pracować bez przeszkód. A praca ta wkrótce zaczęła wydawać rezultaty.

Nawet Jasper Carson, który w pierwszej chwili odniósł się raczej nieufnie do nowego partnera w grze, raczył w końcu zmienić zdanie.

- Wiecie co, szefie - oznajmił pobłażliwym tonem w czasie jednej ze swych nocnych wizyt na farmie „Forwards” - ten cały Walley to jednak naprawdę morowy chłop.

Harry nabrał otuchy. Przede wszystkim wyszły na jaw szpary, którymi tajemnice komendy policji przeciekały do uszu najmniej powołanych.

Roztoczono dyskretną opiekę nad kapralem Siftly. Gdyby wiedział do czyich rąk trafiały składane przez niego w umówionej dziupli liściki, ścierpłaby na pewno na nim skóra i straciłby ochotę do życia. Ale nie wiedział. Zresztą skąd mógł podejrzewać, że coś nie jest w porządku, skoro wynagrodzenie za informacje z poprzednią regularnością nadchodziło na wiadomy adres? Musiałby być jasnowidzem by przeczuć, że pieniądze te pochodziły z

dyspozycyjnego funduszu nadinspektora. A kapral jasnowidzem nie był. Na swoje nieszczęście zresztą.

Bardziej przywidujący okazał się starszy strażnik więzienny Boyd, który mając wrażenie, że ktoś zaczyna mu deptać po piętach powziął od razu decyzję i któregoś dnia znikł, ulatniając się z Fairbanks w niewiadomym kierunku. Konstabla Blytha spotkało nieszczęście. W czasie czyszczenia broni spowodował niechcący wystrzał, odnosząc poważną ranę. Prokurator Wilmers miał swoje zdanie co do tego wypadku. Jedno w każdym razie było pewne: nadinspektor Coss nie miał tym razem nic wspólnego z katastrofą. Przynajmniej bezpośrednio.

W każdym razie Blyth został na dłuższy czas wycofany z obiegu w sposób nie mogący wywołać alarmu u swych zakonspirowanych przyjaciół.

Teraz zaczęto przygotowywać ostateczne posunięcie. Definitywne rozwiązanie sprawy wisiało w powietrzu. Jeszcze kilka dni i...

Którejś nocy w samotnej chatce w pobliżu Hulitny odbywała się konferencja. Jasper Carson ze skupioną twarzą obserwował palec Walleya wędrujący po planie leśnych odcinków.

- Uważaj, chłopcze, dobrze - głos Walleya nasycony był znużeniem - będziesz musiał wszystko powtórzyć. A więc tu - krótko obcięty paznokieć zakreślił małe kółko na planie - albo tu. Zapamiętałeś?

Tym razem Jasper nie oburzył się na kilkakrotne powtarzanie wskazówek. Wiedział dobrze, że w nadciągających zdarzeniach najmniejsza omyłka pociągnęłaby za sobą katastrofę nie do powetowania.

Prościej byłoby zaznaczyć miejsce na mapie dotknięciem ołówka. Walley nie chciał jednak ryzykować. Gdyby plan trafił w niepowołane ręce, wyniki dotychczasowej pracy runęłyby w gruzy. Znał bystrość oczu swoich przeciwników. I szybkość ich orientacji. A na podjęcie pracy od początku chyba nie stałoby już sił.

Zapalił papierosa.

- W porządku?

Carson jeszcze raz wskazał palcem.

- Tu?

Tak zwinął starannie mapę, wręczając ją chłopcu. Teraz nie była mu już potrzebna.

Jasper wstał powoli z krzesła, przeciągając się jak kot. Czekająca go długa, najeżona niebezpieczeństwami droga. Wiedział jednak, że musi ją przebyć wbrew wszystkiemu. Gra

wprawdzie dobiegała końca, ale wciąż jeszcze trwała. A wynik meczu nie był jeszcze ogłoszony.

- OK, poczmistrzu - z powagą uścisnął rękę Walleya.

Walley odwzajemnił uścisk. Tu nie było różnic. Obydwaj balansowali po wąskiej kładce nad przepaścią. I dla obu stawką była własna głowa.

- Good luck, chłopcze.

Jasper rozpląnął się jak cień w otaczającej chatkę ciemności. Walley nadśluchiwał dłuższą chwilę. Ale w lesie panowała absolutna cisza. Żaden odgłos nie zdradzał kroków Carsona.

- Zupełnie jak leśny zwierz - pomyślał z uznaniem Walley. Stąpając cicho, wrócił do chaty.

Opadłszy na prymitywne krzesło, zapalił nowego papierosa.

Pokryty skórami tapczan wabił znużone ciało. Nie położył się jednak. Nie, lepiej nie.

Bo teraz już nie szło tak gładko jak na początku. Wiele oznak wskazywało, że śledzona zwierzyna zaczyna wietrzyć obecność myśliwego. W każdej chwili role mogły się odwrócić. A wtedy oczywiście nie byłoby żadnych szans. Jeden przeciwko kilkunastu? Wzruszył ramionami, śledząc ulatujące ku powale kłęby dymu. Jednak co by nie zaszło, lwia część jego roli w grze została dokonana. I tego nie potrafi mu wydrzeć żadna siła. Choćby...

Powoli zmęczenie brało górę nad chęcią zapanowania nad nim. Walley zapadł w półdrzemkę.

Nagle drgnął całym ciałem, zrywając się z krzesła.

Tuż pod oknami zaskrzypiał śnieg.

W mgnieniu oka zdał sobie sprawę ze znaczenia tego odgłosu.

Role odwróciły się. Myśliwiec stał się zwierzyną. Oczekiwana katastrofa nadciągała.

Wyciągnął rękę w kierunku zawieszzonego na ścianie automatu.

Zanim jednak zdołał go osiągnąć, kopnięte brutalnie drzwi odskoczyły, uderzając z rozmachem o ścianę.

We framudze zaczerniały zamaskowane postacie.

Odblask nikłego światła naftowej lampki zagrał pełgającymi płomykami na stali wycelowanych luf.

- No - zarechotał ochrypły głos - spotkaliśmy się nareszcie, mister wścibski.

A tym razem nie zaszedł żaden cud, który by mógł ocalić życie poczmistrza Walleya.

XV

CIEŃ WILKA ZAPADA W NICOŚĆ

- Tu, albo tu - palec wskazujący Jaspera błędził wśród zawiłych linii planu. Konferencja trwała przeszło godzinę. Żadne oznaki nie zapowiadały jej rychłego końca. Nic zresztą dziwnego.

Każdy nawet najdrobniejszy szczegół musiał być omówiony z drobiazgową dokładnością. Nadchodził moment ostatecznej rozgrywki. Pełniący rolę bankiera los rozdawał powoli karty.

Prokurator Wilmers przysłuchiwał się uważnie, z rzadka tylko wtrącając parę słów. Nie raziło go bynajmniej, że nadinspektor policji i brudny wyrostek w łachmanach traktowali się nawzajem jak równi partnerzy. Zbyt dobrze zdołał poznać Jaspera Carsona i rolę, jaką odgrywał w sprawie, by mieć na ten temat jakiegokolwiek zastrzeżenia.

- Więc tak - Harry wreszcie wstał z krzesła rozpoczynając wędrówkę po pokoju - to byłoby mniej więcej załatwione. Resztę musimy uzależnić od okoliczności. Jeżeli zaś chodzi o Walleya... ach tak - zatrzymał się na wprost biurka, za którym siedział Wilmers - muszę was uprzedzić prokuratorze, że na obławę wezmę wszystkich policjantów z Fairbanks.

- Jak to? - zdumiał się nie na żarty Wilmers. - Jak to, wszystkich?

- Zwyczajnie. I tych, co śpią w koszarach, i tych, co stoją na posterunkach, i tych wreszcie, co siedzą za biurkami.

- Ale - prokurator był wyraźnie strapiiony - przecież przepisy... regulamin...

Harry wzruszył ramionami.

- Nic na to nie mogę poradzić, prokuratorze. Niech pan zresztą sam patrzy - podsunął rozłożony plan. - Obławę musimy zacząć aż stąd - zakreślił ołówkiem szerokie koło. Długość obwodu mówi sama za siebie. A łańcuch musi być dostatecznie gęsty. Nie możemy ryzykować żadnych luk. Proszę łaskawie obliczyć, ilu na to potrzeba ludzi.

- Hm... a gdyby wziąć ludzi z podmiejskich posterunków?

- Będą więźni.

- A... a... powiedzmy z Davies albo nawet z Curry? Harry uśmiechnął się.

- Nic nie pomoże, prokuratorze. Wszyscy rozporządzani ludzie w najszerszym promieniu siądą z bronią w ręku w samochodach, czekając na sygnał wyjazdu.

Wilmers pokiwał głową z powątpiewaniem.

- Tak... rozumiem, ale jednak pomimo wszystko to byłoby czymś zgoła niesłychanym. A gdyby stało się coś poważniejszego? - tu na miejscu.

- Sprawa bandy Wilka jest też niesłychana - odparował Harry - a zresztą na wszelki wypadek zostanie w komendzie paru ludzi. Ci, którzy na dobrą sprawę powinni siedzieć pod kluczem. Nie bójcie się, prokuratorze. W razie czego będą wylazili ze skóry, by dowieść swej

lojalności. Tak czy inaczej, co tu długo gadać, musimy zrobić wszystko - albo w ogóle nie zaczynać. Trzeciego wyjścia z tej sytuacji nie ma. Więc?

Wilmers pomrukiwał pod nosem, w końcu jednak ustąpił. Rzeczywiście tu nie było wyboru.

Nazajutrz banda Wilka miała dokonać nowego skoku. Wieczorem pojedyncze postacie wślizgiwały się ostrożnie w głąb lasu.

A tuż po północy z wielu miast ruszyły cicho samochody, ukrywając pod szczelnie naciągniętymi brezentami gęsto stłoczone policyjne hełmy.

Zawczasu podkręcano policyjne syreny, zastępując je zwykłymi klaksonami. Żaden z policjantów nie znał ostatecznego celu nocnej wyprawy. Nawet komendanci poszczególnych grup nie byli wtajemniczeni w szczegóły. Rozkaz miano otrzymać dopiero na miejscu zbiórki. Miejsce to zaś wyznaczono w tak dużej odległości od właściwego terenu zamierzonej akcji, że nie mogło w nikim z zainteresowanych budzić podejrzeń.

Rozrzuceni w szeroką tyralierę policjanci przycupnęli pod krzakami, czekając na sygnał rozpoczęcia akcji. Czas upływał, coraz większy mróz przenikał członki trwających w bezruchu ludzi, a sygnał wciąż nie nadchodził.

Harry, który miał wydać rozkaz, też czekał. Czekał na Jaspера Carsona.

Wilmers, siedząc na jakimś oblodzonym pniu, ćmił papierosa za papierosem. Wiedział, że gdy już ruszą, nie będzie mowy o paleniu, chciał się więc napalić na zapas. Raz po raz zerkał na wskazówki zegarka.

- Hm - mruknął wreszcie - a jeżeli Jasper w ogóle nie przyjdzie?

Harry popatrzył w ciemność.

- Jasper przyjdzie - powiedział z przekonaniem - o ile tylko żyje... - dodał po chwili cicho.

- A jeżeli... jeżeli coś mu się stało? Przecież w tych warunkach to także może się zdarzyć?

Przedłużające się w nieskończoność oczekiwanie wśród napelnionego tajemniczym szumem ciemnego lasu zaczynało działać prokuratorowi na nerwy. A poza tym było mu coraz bardziej zimno.

Harry rozłożył ramiona.

- Cóż... w takim wypadku musimy wracać. Znowu zapadło przeciągłe milczenie.

Wilmers powoli zaczął drzemać. Nagle drgnął. Tuż gdzieś obok cicho zaskrzypiał śnieg. Przy Harrym wyrósł nikły cień. Wilmers nachylił się ciekawie.

- Jasper? Nie słyszałem, jak przyszedłeś... Chłopiec machnął lekceważąco ręką.

- Gdybym chodził tak, że pan mógłby usłyszeć, w ogóle nie wyszedłbym z lasu. Tak jak z niego nigdy nie wyjdzie Walley - zakończył ponuro.

Harry zmarszczył brwi.

- Co z Walleyem?

- Nie żyje. Dopadli go w chacie. Gdy przyszedłem, było już po wszystkim. Podziurawiony jak krzesło. Szkoda. Morowy z niego chłop...

Harry zwiesił głowę. Chwilę panowało milczenie.

- Tak - odezwał się wreszcie - naprawdę szkoda Walleya. Wytrwał do końca, choć właściwie miał się już prawo wycofać z gry. I wiedział, co go czeka. Ale mimo wszystko nie ustąpił. Walczył do ostatniej chwili...

Urwał, zapalając nowego papierosa. Zdążył polubić dzielnego poczmistrza. A teraz? Jak rzeszoto... Trudno - zacisnął zęby...

- Czy są wszyscy? - zwrócił się do Jaspera. Głos jego brzmiał zupełnie chłodno.

Chłopiec zastanowił się.

- Byli wszyscy - odpowiedział. - A jak dawno obstawiono las?

Harry spojrział na zegarek. - Godzina i pięć minut.

- W takim razie żaden z nich nie zdołał się wyśliznąć. O ile tylko łańcuch dostatecznie szczelny...

- Wystarczająco - zapewniał Harry. A więc w drogę... Cichy sygnał poderwał skostniałych ludzi. Odetchnęli z ulgą. Przeciągające się oczekiwanie na mrozie zdążyło każdemu zaleźć za skórę.

Ruszyli, zwężając niemal z każdym krokiem zakreślone koło. Harry szedł w szeregach tyraliery, trzymając w ręku maszynowy pistolet. Wilmers wbrew ostrzeżeniom Harry'ego uparł się maszerować tuż przy nim.

- Możecie coś niepotrzebnie oberwać, prokuratorze - uprzedził Harry.

- Nie myślicie chyba pułkownik, że z tego powodu schowam się pod pierzynę? - odburknął niezbyt uprzejmie Wilmers. Był zły, nie wyspany i zdenerwowany.

Harry wzruszył obojętnie ramionami.

- Jak uważacie.

Później nie stało już czasu na dyskusję. Musieli przepatrywać każdy cal mijanego terenu. Tym razem nie mogą pozwolić, by coś z wilczego pomiotu przedostało się na zewnątrz łańcucha. A zajęcie miejsca w łańcuchu obowiązywało zarówno Harry'ego, jak i prokuratora do zachowania takiej samej czujności, co każdego innego uczestnika obławy. Gra

należała do zbyt poważnych, by zwracać uwagę na rangi. Mijali jard za jardem, nie spotykając nikogo po drodze. Obwód koła zwężał się coraz bardziej.

W duszy Harry'ego zaczęło narastać z wątpienie. A jeżeli i tym razem po zamknięciu potrzasku przekonają się, że schwytali próżnię? To byłoby okropne!

Ostrzeżeni bandyci nie daliby się tak łatwo podejść po raz drugi.

Położył rękę na ramieniu idącego obok Jaspera i nachylił się do jego ucha.

- Czy jesteś pewny, że nie przeszli przedtem na drugą stronę lasu?

- Są - syknął chłopiec, który też dygotał z niecierpliwości - na pewno są.

Jeszcze kilkadziesiąt kroków i drzewa zaczęły lekko przeswitywać, odsłaniając pokrytą śniegiem polanę. Harry był zrozpaczony nie na żarty. Przecież za chwilę wszyscy zjedną się w centrum zakreślonego obławą koła i nic?

Nagle zaczęło się. Od razu walono całymi seriami. Widocznie bandyci stwierdzili, że nie mają innego wyjścia.

Któryś z policjantów zaklął dziko i wypuszczając nagle ze zdrętwiałej dłoni automat, złapał się za przestrzelone ramię. Inny osunął się powoli w śnieg.

Pierwszeństwo strzałów dało bandytom pewną przewagę. Nie trwało to długo. Zbyt wielka był różnica sił. Przypadłszy do ziemi, policjanci zasypywali polanę kulami. Osaczeni odgryzali się zajadle. Widocznie nie groził im brak amunicji. Strzelanina zaczęła się przeciągać. Pierwszy granat padł ze strony bandytów. Nie mieli już nic do stracenia.

Na śniegu zakwitła szeroko rozlana plama czerwieni. Halle, który pospiesznie pełznął na miejsce wybuchu, ciągnąc opatrzoną znakiem czerwonego krzyża torbę, wrócił z ponurą miną. Nie było tam nic do roboty dla sanitariusza. Z kostbala Smitha, który znalazł się w miejscu wybuchu granatu, nie pozostało więcej, niżby można zebrać do pudełka od butów.

Harry odbył pospieszną konferencję z Wilrhersem.

- Trudno przecież czekać, aż wybiją nam wszystkich chłopców - zbijał zastrzeżenia prokuratora - nie mamy żadnej potrzeby oszczędzać bandytów i... - zawahał się - właściwie żadnej potrzeby...

Tym razem prokurator nie mógł się powoływać na regulamin, którego przepisy przemawiały całkowicie za tezą Harry'ego. W chwilę później wybuchy ciężkich granatów wzniosły w kilku miejscach polany tumany śniegu. Teraz nie trwało już długo.

Nie upłynęło nawet dziesięć minut, gdy wszystko ucichło. Halle spocił się pomimo siarczystego mrozu, opatrując rannych kolegów.

Harry został zgodnie z własnym rozkazem opatrzony na samym końcu.

Kula przeszła gładko przez mięśnie ramienia, nie naruszając kości. Rana nie wyglądała groźnie, bolała go jednak mocno.

- Będzie pan musiał, panie nadinspektorze, poleżeć co najmniej dziesięć dni w łóżku - zaopiniował Halle, kończąc bandażowanie. Słowa jego brzmiały niemal z doktorską powagą.

Harry nie słyszał. Czekala go wstrętna robota, która jednak musiała być wykonana. Trzeba było sprawdzić, czy na polanie znajdowali się wszyscy bandyci. Wilmers nerwowo zaciągnął się papierosem, walcząc z uczuciem mdłości. Polana robiła ponure wrażenie. Rozrzucone wokoło poszarpane ciała ludzkie zastygły w najdziwniejszych pozycjach. Na śniegu krzepła warstwa brunatnego lodu. W nozdrza uderzał słodkawy odór krwi.

Wilmers dotrzymał kroku Harry'emu, sam jednak tylko wiedział, ile go to kosztowało wysiłku.

Oglądali dokładnie jedne zwłoki po drugich. Jasper, głęboko zasunawszy ręce w kieszenie podartej kurtki, patrzył na trupy z obojętną powagą. Zbyt wiele widział już w czasie tej gry, by widok krwi miał go przyprawić o mdłości.

Ostatni z kolei leżał Dawson Drugi. Wykrzywiona skurczem wściekłości twarz bandyty wyglądała jak żywa. Ciało było na pozór nienaruszone. Tylko niewielka rdzawa plama po lewej stronie futrzanej kurtki znaczyła drogę, którą weszła śmierć.

- Wszyscy - oświadczył lakonicznie Harry.

- Ale - Wilmers z trudem przezwyciężył chęć jak najszybszego odwrotu z polany - przecież tu brak Mike'a. Harry zamienił z Jasperem porozumiewawcze spojrzenie.

- Mike został zastrzelony przez Dawsona przedwczoraj. Zakopany w wąwozie Hulitny.

- Sure - poświadczył z przekonaniem Jasper. I nawet spojrział prosto w oczy prokuratorowi.

Wilmers nie powracał już do kwestii Mike'a, choć nigdy nie odnaleziono jego grobu. Jedna rzecz pozostała na zawsze niejasna dla prokuratora. Kto mianowicie zdradził Harry'emu nową kryjówkę bandy?

Harry unikał tego tematu. Bo ostatecznie nie wszystkie środki, których używał w czasie likwidacji bandy, mogły przypaść do gustu obrońcy prawa.

Gdy wyszedł z polany, spod któregoś drzewa podniósł się oczekujący ich powrotu Halle.

- Nosze już gotowe - dotknął rękawa Harry'ego. Harry wytrzeszczył oczy.

- Nosze? Dla kogo?

Halle oburzył się nie na żarty.

- Ależ dla pana nadinspektorze oczywiście. Rana wcale nie jest taka lekka i gdyby wkradła się do tego gorączka...

Harry poklepał sierżanta lewą ręką po ramieniu.

- Głupstwa pleciecie, sierżancie. Mam jeszcze do załatwienia pewną nie cierpiącą zwłoki sprawę.

Wgramolił się z niemałym trudem do nowo nabytego Fordsona.

Słuchaj - zwrócił się siedząc już za kierownicą do Jaspera - jeżeli i tym razem nie kupisz sobie palta, każe cię zamknąć. Teraz mogę sobie już na to pozwolić - uśmiechnął się.

Jasper poczerwieniał.

Ależ!, szefie... teraz naprawdę już sobie kupię...

- A dlaczego nie mogłeś przedtem?

- Bo... - Jasper przestępował z nogi na nogę, czerwieniąc się coraz bardziej pod badawczym spojrzeniem Harry'ego - widzi pan... mam troje rodzeństwa, takie małe szkraby... czyż mogłem pozwolić, by marzły, gdy ja grzeję się w futrze? I właśnie dlatego te pieniądze, co mi pan dawał... a także ta futrzana kurtka.

Harry uściśnął rękę chłopca.

- OK przyjacielu. Będą z ciebie ludzie.

Podszedł Wilmers, mocno zacierając skostniałe od mrozu dłonie. Dacie radę pułkownikowi sami prowadzić wóz? Spróbuję jakoś.

- A nie lepiej wsiąść do naszego samochodu?

Hm... - Harry pokrył jakimś uśmiechem zakłopotanie - muszę niezwłocznie załatwić pewną rzecz... Nacisnął starter.

Wpadnę do was po południu - krzyknął w ślad za nim Wilmers.

Harry nie odpowiedział, zwiększając szybkość. Sprawa była rzeczywiście nader pilna. Miał nadać depezę. Tak długo trzeba było czekać. Naturalnie musiał to uczynić osobiście. Gdy wyjechał z lasu, szarość przedświt nabrała różowej barwy. Właśnie purpura wstającego dnia oblała krwistym odbłaskiem pokryty wierzchołek Mc Kinleya.

- Krew - sposepniał Harry - morze krwi. Przed oczyma stanął mu obraz polanki i wiele innych momentów drogi, która pozostała poza nim. Iluż ludzi zasała ją swymi ciałami. Clifton... Walley... Scott... i inni... Ale tym razem nadszedł kres przesiąkniętego krwią i cierpieniem szlaku. Cień Wilka zapadł bezpowrotnie w nicość.

Przesunął manetkę gazu, zwiększając szybkość.

Mroźny wiatr gwizdał ożywczym pędem koło uszu.

Myśli zmieniły kierunek. Czyż mógł rozmyślać o rzeczach ponurych, gdy za chwilę wyśle w daleki świat wezwanie do niej... do Mag... by wreszcie wracała?

Gdy zajechał przed gmach urzędu pocztowego, spojrzął na zegarek.

- Wcale przyzwoite tempo. Osiemdziesiąt mil na godzinę? Bagatela.

W tej samej chwili zmienił jednak zamiar. Nie, nie nada depeszy. Tak długo musiałby jeszcze czekać. Przecież za dziesięć minut odjeżdża ekspres w kierunku Górnego Kraju...

I tak jak stał, w porwanej, zbrukanej krwią sportowej kurtce, wsiadł do luksusowego pulmana, powitany zdumionym wzrokiem konduktora.

XVI

W ŚWIETLANĄ DROGĘ

Joe Kuternoga nerwowo kusztykał po swej separacie w szpitalu Świętego Ducha i wreszcie zatrzymał się przed uśmiechniętym posługaczem.

- Powtórzcie jeszcze raz - nalegał.

Posługacz wzruszył ramionami.

- Choćby nawet tysiąc razy. Jakiś gentleman pragnie od was kupić samochód.

Joe znowu zaczął biegać po pokoju. Nie, to przecież ani rusz nie mogło się pomieścić w głowie zdrowo myślącego człowieka!

- I daję tysiąc dolarów! - znowu powrócił do posługacza.

- I daję tysiąc dolarów - powtórzył jak echo. - Zresztą nie mogę zrozumieć waszego wzburzenia. Tysiąc dolarów to wcale przyzwoita sumka, jak na dzisiejsze czasy. Chyba że wóz jest wyjątkowo cenny...

- Uhum - uśmiechnął się Joe. - Właśnie trafiliście w samo sedno. Cenniejszego świat nie widział. A jak się nazywa ten amator na mój cenny wóz?

- Niestety, tego nie chce powiedzieć - odparł posługacz. Joe machnął ręką.

- No, wszystko jedno. Niech stracę. Bierzcie forszę, skoro ją mister „X” daje. A jeżeli rzeczywiście przyniesiecie gotówkę, uwierzę w cuda.

I Joe Kuternoga musiał uwierzyć w cuda. Bo w niespełna kwadrans stał się posiadaczem dziesięciu nowiutkich banknotów studolarowych.

- No, no... - kręcił z niedowierzaniem głową, patrząc na spadłe niespodziewanie z nieba bogactwo. Żeby takie historie zdarzały się w bajce, to rozumiem, ale w życiu? Pograżył się w marzeniach. Świat wytrzeszczy oczy, jak zobaczy, na jakiej taksówce teraz będzie jeździł stary Joe. Zaczął się zastanawiać, czy postój przed Field Museum nie będzie za mało elegancki dla takiego cuda. Może jednak lepiej wybrać sobie operę?

*

- Bardzo boli ręka? - Mag dotknęła ostrożnie rękawa narzeczonego.

- Czyż mogę myśleć o tym, gdy mam ciebie przy sobie, kochanie? - odpowiedział pytaniem na pytanie, obrzucając ją gorącym spojrzeniem.

Przygarnął ją mocno zdrowym ramieniem.

- Czy bardzo będziesz smutna kochanie, gdy do prezentów ślubnych dojdzie stara, przeraźliwie stara i brzydka taksówka?

- Ooo - uśmiechnęła się radośnie - taksówka Kuternogi? Jakże się cieszę. Myślałam, żeś o nim zapomniał.

- Mag - wtulił usta w pachnące włosy narzeczonej - to bardzo, brzydko z twojej strony. Czy naprawdę sądzisz, że mogłem zapomnieć o czymkolwiek, co dotyczy ciebie. Przecież gdyby nie Joe...

- Ale prócz tego podziękujemy mu osobiście?

- Naturalnie, kochanie. Tylko chciałem choć raz w życiu odegrać rolę świętego Mikołaja i dlatego urządziłem zabawę z taksówką.

Przez otwarte drzwi hallu, w którym stali, wpływała z ogrodu fala zapachów budzącej się z zimowego snu ziemi. Mag przytuliła się do narzeczonego.

- Harry - powiedz mi, czy zawsze będzie mi z tobą tak dobrze, jak teraz?

- Jeżeli to będzie w mojej mocy, zawsze - powiedział żartobliwie.

KONIEC